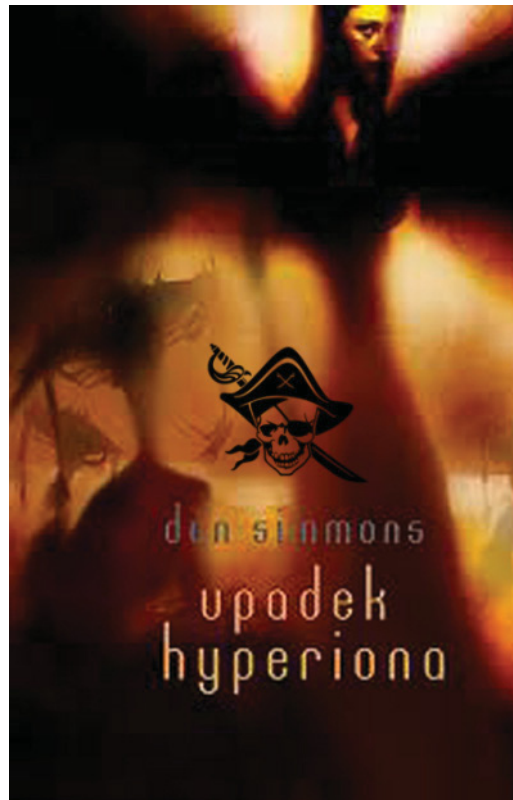


Dan Simmons

Upadek Hyperiona



przekład: Radosław Januszewski i Marek Rudnik



*Czy Bóg może podjąć rozgrywkę
z istotą stworzoną przez Siebie?
Czy jakkolwiek twórca, nawet niedoskonały,
może podjąć rozgrywkę z istotą stworzoną przez siebie?*

*Norbert Wiener, God and Golem, Inc.
Wyobraźnię można przyrównać do snu Adama
– obudził się i stwierdził, że to, co mu się śniło,
dzieje się naprawdę.*

Z listu Johna Keatsa do przyjaciela

W dniu, kiedy wyruszyła armada, w ostatnim dniu życia do jakiego przywykli-
śmy, zostałem zaproszony na przyjęcie. Tego wieczoru podobne spotkania odbywały się
na wszystkich stu pięćdziesięciu planetach Sieci, ale tylko to liczyło się naprawdę.

Poświadczyłem odbiór za pośrednictwem datasfery, upewniłem się, że mój najlep-
szy strój oficjalny jest czysty, umyłem się, ogoliłem, ubrałem z wyszukaną starannością
i skorzystałem z jednorazowego zapisu na chipie zaproszeniowym, żeby o wyznaczo-
nym czasie teletransportować się z Esperance do Centrum Tau Ceti.

Na tej półkuli TC2 gęste, łagodne światło zalewało pagórki Parku Łani, szare wieże
kompleksu administracyjnego położonego daleko na południu, wierzby płaczące, pa-
procie ogniste rosnące wzdłuż brzegów rzeki Tetydy i białą kolumnadę samego budyn-
ku rządowego. Nadciągały tysiące gości, ale personel zabezpieczający witał każdego
z osobna, porównywał kody na zaproszeniach z wzorem DNA i wdzięcznym ruchem
dłoni pokazywał drogę do baru i bufetu.

– M. Joseph Severn? – upewnił się uprzejmie przewodnik.

– Tak – skłamałem. Takie teraz nosiłem imię.

– CEO Gladstone chciałaby spotkać się z panem później, tego wieczoru. Zostanie
pan powiadomiony, kiedy będzie mogła pana przyjąć.

– Doskonale.

– Jeśli życzyłby pan sobie jakiejś rozrywki albo posiłku, których nie ma na miej-
scu, wystarczy, żeby wypowiedział pan to na głos, a monitory naziemne zatroszczą się
o spełnienie pańskiego żądania.

Skinałem głową, uśmiechnąłem się i wyminąłem przewodnika. Zanim zdołałem
przejść kilka kroków, zwrócił się do następnych gości ukazujących się na platformie
terminalu.

Z punktu widokowego na niskim pagórku dostrzegłem tysiące gości, kłębiących się
na kilkuset akrach wypielęgnowanego trawnika. Wielu z nich przechadzało się po za-
gajnikach przystrzyżonych drzewek. Łączka, na której stałem, była ocieniona przez
drzewa rosnące wzdłuż rzeki. Wyżej rozciągały się reprezentacyjne ogrody, a za nimi
wznosiła się ogromna masa budynku rządowego. Na odległym patio grała orkiestra.
Ukryte głośniki przenosiły dźwięki do najodleglejszych zakątków Parku Łani. Wysoko
w górze nie kończący się sznur EMV wypływał z bramy teletransportera. Przez chwilę
obserwowałem, jak ich jaskrawo odziani pasażerowie wysiadali na platformie terminalu
dla pieszych. Zafascynowała mnie różnorodność pojazdów. Wieczne światło odbijało
się od błyszczących karoserii standardowych vikkenów, altzów i sumato. Ale promienie
błądziły też po rokokowych kadłubach barek lewitacyjnych i metalowych pokrywach
antycznych śmigaczy, które stanowiły osobiwość jeszcze w czasach, gdy istniała Stara
Ziemia.



Szedłem wzdłuż brzegu rzeki Tetydy obramowanego schodami. Mijałem przystanie, przy których niewiarygodna zbieranina łodzi wypływała tłumy pasażerów. Tetyda była jedyną w całej sieci rzeką przepływającą przez bramy teletransporterów na ponad dwustu planetach i księżycach. Ludzie, którzy mieszkali nad jej brzegami, należeli do najbogatszych w całej Hegemonii. Na rzece pojawiały się wielkie, bogato zdobione krążowniki, pokryte płótnem dębinki i pięciopokładowe barki – wiele z nich miało na pewno urządzenia lewitacyjne. Były też wykwintne łodzie mieszkalne z własnymi teletransporterami, małe pływające wyspy sprowadzane z oceanów Maui – Przymierza, sportowe, pochodzące z ery przed hegirą ścigacze i łodzie podwodne oraz różnorakie ręcznie rzeźbione wodne EMV z Renesansu. Znalazło się też kilka współczesnych jachtów – wszędołazów. Ich kontury ukryte były za owalną powłoką pola siłowego.

Goście, którzy wychodzili na ląd, wyglądali nie mniej okazale niż ich łodzie. Nosili najrozmaitsze ubrania, poczynawszy od przedhegirowych, konserwatywnych strojów wieczorowych – wkładali je ci, których ciało nie tknęła kuracja Poulsena – skończywszy na najmodniejszych w tym tygodniu kreacjach z TCZ opinających figury ukształtowane przez najsłynniejszych ARNistów Sieci. Poszedłem dalej i zatrzymałem się na chwilę przy długim stole, żeby nałożyć na talerz pieczoną wołowinę, sałatę, filet z kałamarnicy curry z Parvati i gorący jeszcze chleb.

Zanim znalazłem miejsce w ogrodzie, żeby usiąść, łagodne światło wieczoru przeszło w zmierzch. Pojawiły się gwiazdy. Światła pobliskiego miasta i kompleksu administracyjnego zostały przyćmione, żeby wszyscy lepiej widzieli armadę. Niebo nad Centrum Tau Ceti było przejrzyste jak nigdy.

Kobieta siedząca obok zerknęła i uśmiechnęła się do mnie.

– Jestem pewna, że już kiedyś się spotkaliśmy.

Odwzajemniłem uśmiech, pewien, że nie widzieliśmy się nigdy wcześniej. Była bardzo atrakcyjna, około dwa razy starsza ode mnie. Mogła mieć dobrze po pięćdziesiątce, licząc w latach standardowych. Ale wyglądała młodziej niż ja – dwudziestosześcioletek – a to dzięki pieniądзом i Poulsenowi. Skórę miała bardzo jasną, niemal przezroczystą. Włosy upięła wysoko. Piersi – ledwo osłonięte lekką jak tchnienie tuniką – wydawały się bez zarzutu. W jej oczach czaiło się okrucieństwo.

– Być może – odpowiedziałem. – ale to mało prawdopodobne. Nazywam się Joseph Severn.

– Oczywiście – stwierdziła. – Pan jest artystą!

Nie... artystą nie. Byłem... kiedyś... poetą. Ale tożsamość Severna, którą przybrałem od czasu mojej prawdziwej śmierci osobniczej i narodzin rok temu, stwierdziła, że jestem artystą. Tak było zapisane w moim pliku WszechJedności.

– Przypomniałam sobie – roześmiała się dama. Kłamała. Użyła swojego drogiego implantu komlogowego, by uzyskać dostęp do datasfery.

Ja nie musiałem szukać dostępu... cóż za niezgrabne, niepotrzebne określenie, którym gardziłem mimo jego starożytnej proweniencji. Zamknąłem w wyobraźni oczy i już byłem w datasferze, przemykając się obok barier WszechJedności, ślizgając się po powierzchni danych posuwałem się wzdłuż rozżarzonej pępowiny dostępu do ciemnych głębi „bezpiecznego” nurtu informacji.

– Nazywam się Diana Philomel – powiedziała. – Mój mąż jest zarządcą transportu w sektorze Sol Draconi Septetu.

Skinałem głową i uściśnąłem podaną mi rękę. Nie powiedziała, że jej mąż był najważniejszym goonem związku czyścicieli matryc na Bramie Niebios, zanim polityczni patroni awansowali go do Sol Draconi... ani tego, że kiedyś nazywała się Dinee Cycek i była hostessą dla proksów w Midsump Barrens... ani tego, że dwukrotnie aresztowano ją za przekroczenia Flashback, za drugim razem poważnie raniąc domowego chowu medyka... ani że otruła swojego przyrodniego brata, gdy miała dziewięć lat, kiedy zagroził, że opowie jej ojczymowi o randkach dziewczyny z błotnym górnikiem o nazwisku...

– Miło mi pana spotkać, M. Philomel – powiedziałem. Miała ciepłą rękę. Przytrzyma-



ła moją dłoń o chwilę za długo.

– Czyż to nie podniecające? – westchnęła.

– Co takiego?

Uczyniła szeroki gest ręką wskazując na nocne niebo, rozpalające się właśnie żar-
kule, ogrody, tłumy.

– Och, to przyjęcie, wojna, wszystko – powiedziała. Uśmiechnąłem się, przytakną-
łem i spróbowałem pieczonej wołowiny. Była dobrze przyrządzona i całkiem smaczna,
ale zachowała słonawy posmak kadzi klonowniczych Lususa. Kałamarnica wyglądała
na prawdziwą. Podeszli kelnerzy, podali szampana. Spróbowałem. Był podły. Szlachet-
ne wina, szkocka whisky i kawa to trzy dobra, których niczym nie dało się zastąpić
po śmierci Starej Ziemi.

– Sądzi pani, że ta wojna jest konieczna? – zapytałem.

– Jak wszyscy diabli.

Diana Philomel właśnie otwierała usta, lecz odpowiedzi udzielił jej mąż. Nadszedł
od tyłu i zajął miejsce na kłodzie, na której siedzieliśmy. Był wysokim mężczyzną, przy-
najmniej o półtorej stopy wyższym ode mnie. Ale cóż, ja jestem niski. Pamięć podpo-
owiedziała mi, że kiedyś napisałem wiersz, w którym wyśmiewałem się z siebie jako z „...
Pana Johna Keatsa, wysokiego na pięć stóp”, chociaż mam pięć stóp i jeden cal. Za cza-
sów Napoleona i Wellingtona, kiedy wzrost mężczyzny wynosił średnio pięć stóp i sześć
cali, należałem do umiarkowanie niewysokich. Teraz, gdy mężczyźni z planet o przecięt-
nym ciężeniu osiągnęli sześć do siedmiu stóp, byłem śmiesznie mały. Nie wyróżniałem się
potężną budową i muskułami, by twierdzić, że przybyłem z planety o wysokim ciężeniu,
więc innym wydawałem się po prostu mały. (Miarę podaję w jednostkach, w których
myślę... ze wszystkich zmian świadomości, jakie zaszły we mnie od mego ponownego
narodzenia się w Sieci, myślenie w jednostkach metrycznych sprawia mi największą
trudność. Czasem nawet nie próbuję tego robić.)

– Dlaczego wojna jest konieczna? – zapytałem Hermunda Philomela, męża Diany.

– Bo oni, do cholery, proszą się o nią – burknął wielkolud z wielką szczęką i prawie
bez szyi. Jego zarost najwyraźniej stawiał opór wszelkim depilatorom, ostrzom i ma-
szynkom. Dłonie miał dwa razy takie jak moje i o wiele silniejsze.

– Rozumiem – powiedziałem.

– Ci cholerni Intruzi proszą się o nią, do cholery – powtórzył przedstawiając swą
błyskotliwą argumentację. – Pieprzyliśmy się z nimi na Bressii, a teraz oni chcą nas
wypieprzyć na... w... jak to się...

– W systemie Hyperiona – powiedziała jego żona nie spuszczać ze mnie wzroku.

– Taaa – odparł jej pan i władca. – System Hyperiona. Przypieprzają się, a teraz
my tam się wybierzemy i pokażemy im, że Hegemonia nie pozwoli na coś takiego.
Jasne?

Pamięć podpowiedziała mi, że jako chłopca wysłano mnie do akademii Johna Clarke'a
w Enfield i że nie brakowało tam prostaków o małych mózdkach i pięściach niczym
bochny, jak ten tutaj. Starąłem się ich unikać albo zjednywać ich sobie. Po śmierci
matki, kiedy świat się zmienił, z kamieniami w małych piąstkach walczyłem do upadłe-
go, nawet kiedy rozkrwawili mi nos i niemal powybijali zęby.

– Rozumiem – odrzekłem łagodnie. Mój talerz był pusty. Wzniósłem kielich z reszt-
kąpodłego szampana, żeby wygłosić toast na cześć Diany Philomel.

– Narysuj mnie – powiedziała.

– Przepraszam najmocniej?

– Niech mnie pan narysuje, M. Severn. Jest pan artystą.

– Malarzem – odrzekłem, pokazując jej puste ręce w geście bezradności. – Oba-
wiam się, że nie mam piórka..

Diana Philomel sięgnęła do kieszeni w bluzie męża i wręczyła mi pióro świetlne.

– Narysuj mnie. Proszę.

Portret powstał w powietrzu między nami. Linie wznosiły się, opadały i krzyżowały



ze sobą jak neonowe włókna w rzeźbie z drutu. Zebrał się tłumek gapiów. Gdy skończyłem, usłyszałem oklaski. Rysunek nie był zły. Oddawał długą, zmysłową, wygiętą szyję damy, wysoko upięte włosy, wystające kości policzkowe... nawet lekko dwuznaczny błysk w oku. Był na tyle dobry, na ile pozwoliły mi zmiany w RNA i lekcje przygotowujące do nowego wcielenia. Prawdziwemu Josephowi Severnowi poszłoby lepiej... na pewno lepiej. Pamiętam, jak mnie szkicował, kiedy leżałem na łożu śmierci.

M. Diana Philomel uśmiechnęła się z uznaniem. M. Hermund Philomel promieniał. Rozległ się krzyk.

– Tam są!

Tłum zamruczał, westchnął i zaszemrał. Żarkule i światła ogrodowe pociemniały i zgasły. Tysiące gości uniosło oczy ku niebu. Starłem rysunek i wetknąłem pióro świetlne z powrotem do bluzy Hermunda.

– To armada – powiedział nobliwie wyglądający starszy pan w czarnym mundurze Anni. Uniósł szklankę, by wskazać coś swojej młodej towarzyszce. – Właśnie otworzyli bramę. Pierwsi przejdą zwiadowcy, potem eskortowce.

Bramy wojskowego transmitera nie było widać z naszego punktu obserwacyjnego, mimo że znajdowała się w przestrzeni. Wyobraziłem sobie, że jest anomalią w kształcie prostokąta na rozgwieżdżonym nieboskłonie. Ale ogony fuzyjne statków było widać jak na dłoni – najpierw jako gromadkę świetlików albo promieniujące babie lato, potem, gdy okręty włączyły główny napęd, wyglądały jak płomieniste komety, które przemknęły przez cislunarną strefę ruchu systemu Tau Ceti. Wszyscy westchnęli znowu, gdy pojawiły się eskortowce. Ich płomieniste ogony były sto razy dłuższe niż okrętów zwiadowczych. Nocne niebo nad TC2, od zenitu po horyzont, jaśniało od złoto – czerwonych smug.

Gdzieś zaczęto klaskać i w ciągu sekund Park Łani rozbrzmiał szaleńczym aplauzem i ochrypłymi wiwatami. Świetnie ubrany tłum miliardów, urzędników rządowych i członków szlachetnych rodów zapomniał o bożym świecie. Zawładnął nimi szowinizm i żądza krwi rozbudzona po stu pięćdziesięciu latach uśpienia.

Nie klaskałem. Zignorowany przez tych, którzy stali wokół mnie, dopiłem szampana – teraz już toast nie był skierowany do lady Philomel, wzniosłem go na cześć trwałej głupoty mojej rasy – trunek już zwietrzył.

Nad głowami, najważniejsze statki armady włączyły napęd. Z lekkiego dotknięcia datasfery – jej powierzchnia wzburzona teraz przyplływem informacji przypominała targane sztormem morze – wiedziałem, że siły główne Armii-kosmos składały się z ponad stu okrętów liniowych: matowoczarnych transporterów uderzeniowych o wyglądzie lecących włócznie z opuszczonymi trapami abordażowymi; trzech statków dowodzenia klasy C, pięknych i niezwykłych jak meteory z czarnego kryształu; pękających niszczycieli przypominających przerośnięte okręty eskortowe, którymi w istocie Były; łodzi pikietowych składających się w większym stopniu z energii niż materii, ich wielkie tarcze energochłonne nastawiono teraz na odbijanie – jak brylantowe zwierciadła – dostrzegłem w nich odbłask Tau Ceti i setek ognistych śladów; szybkich krążowników, poruszających się jak rekiny pośród wolniejszej ławicy okrętów; ociężałych transporterów piechoty, wiozących tysiące marines w ładowniach o zerowej grawitacji; i mnóstwo okrętów pomocniczych – fregat; szybkich myśliwców szturmowych, torped ALR; stacji przekaźnikowych FAT i okrętów – transmiterów dokonujących skoków w przestrzeni, ogromnych dwunastościanów najeżonych rzędami anten i sond.

Wokół floty przemykały – trzymane w bezpiecznej odległości przez kontrolę ruchu – jachty i prywatne statki międzyplanetarne bliskiego zasięgu.

Goście zgromadzeni na terenach okalających budynek rządowy wiwatowali i klaskali. Dżentelmen w czarnym mundurze Armii cicho szlochał. Ukryte w pobliżu kamery i szerokokątne obiektywy przeniosły tę chwilę do wszystkich planet Sieci i – za pośrednictwem linii FAT – do tych kilkunastu światów, które nie należały do związku.

Potrząsnąłem głową. Nie wstałem z krzesła.



- M. Severn? – strażniczka nachyliła się nade mną.
 - Tak?
- Skinęła głową w kierunku budynku rządowego.
- CEO Gladstone chce pana natychmiast widzieć.



Każda epoka, obfitująca w konflikty i niepokoje, wyłania przywódcę jakby stworzonego właśnie dla niej, politycznego olbrzyma, bez którego, gdy spisywane są dzieje wieku, historia nie może się obejść. Meina Gladstone była właśnie takim przywódcą dla naszych Schyłkowych Wieków. Nikt wtedy nawet nie śnił, że to właśnie ja spiszę jej prawdziwą historię i historię czasów, w których żyła.

Meinę Gladstone przyrównywano do Abrahama Lincolna już tyle razy, że kiedy wreszcie wprowadzono mnie do jej gabinetu, byłem jakby trochę zaskoczony, że nie nosi czarnego tużurka i wysokiego cylindra. Przywódczyni Senatu i premier w jednej osobie, która sprawowała władzę nad stu trzydziestoma miliardami ludzi, ubrana była w szarą, miękką wełnianą marynarkę, spodnie i małą pelerynkę ozdobioną dyskretnym czerwonym haftem. Nie wyglądała jak Abraham Lincoln... ani jak Alvarez – Temp, drugi popularny starożytny bohater nazywany przez prasę Sobowtórem. Pomyślałem sobie, że to po prostu starsza pani.

Meina Gladstone była wysoka i szczupła, ale rysy twarzy miała ostrzejsze niż Lincoln. Przypominała orła: nos jak zakrzywiony dziób, wystające kości policzkowe, szerokie, pełne wyrazu usta o cienkich wargach. Siwe włosy ułożone w niedbałe fale wyglądały jak pióra. Ale w pamięci utkwilo mi najbardziej co innego – jej wielkie, piwne, nieskończenie smutne oczy.

Nie byliśmy sami. Wprowadzono mnie do długiego, łagodnie oświetlonego pokoju. Wzdłuż ścian ciągnęły się drewniane regały z drukowanymi książkami. Podłużna holograma symulująca okno przedstawiała widok ogrodów. Zebranie właśnie się kończyło. Kilkanaścioro ludzi siedziało albo stało, tworząc półkole, którego centrum stanowiło biurko Meiny Gladstone.

CEO oparła się niedbale o blat. Podniosła wzrok, gdy wszedłem.

– M. Severn?

– Tak.

– Dziękuję, że pan przyszedł. – Znałem ten głos z tysięcy obrad WszechJedności. Pod wpływem wieku jego timbre stał się chropawy, ale ton był łagodny jak drogi likier. Jej słynny akcent nadawał precyzyjnej składni nieomal zapomniany rytm prehegirowej angielszczyzny, jaką obecnie można usłyszeć jedynie w okolicach delty rzecznej Patawphy – rodzimej planety CEO.

– Panowie, panie, pozwólcie, że przedstawię wam M. Josepha Severna – powiedziała.

Kilka osób skinęło głowami. Byli najwyraźniej zakłopotani moją obecnością. Gladstone nie przedstawiła mi nikogo. Sięgnąłem więc do datasfery, by zidentyfikować obecnych: trzech członków gabinetu, włączając ministra obrony, dwóch szefów sztabu Armii, dwóch asystentów Meiny Gladstone, czterech senatorów, w tym wpływowego senatora Kolcheva, i hologram radcy z TechnoCentrum znanego jako Albedo.

– M. Severn został tu zaproszony, by wnieść do naszych obrad wizję artysty – powiedziała CEO Gladstone.

Generał Armii-ład Morpurgo parsknął śmiechem.

– Wizje artysty? Z całym szacunkiem, CEO, co to ma, do diabła, znaczyć?

Meina Gladstone uśmiechnęła się. Nie odpowiedziała generałowi, odwróciła się do mnie.

– Co sądzisz o przelocie armady, M. Severn?

– Śliczny – odparłem.

Generał Morpurgo znowu się zaśmiał.

– Ś l i c z n y? Ten człowiek ogląda największą w dziejach galaktyki koncentrację sił kosmicznych i nazywa ją – ś l i c z n ą? – zwrócił się do drugiego wojskowego i potrząsnął głową.



Gladstone nie przestała się uśmiechać.

– A co sądzisz o wojnie? – zapytała. – Masz jakieś zdanie na temat naszej próby uratowania Hyperiona przed barbarzyńskimi Intruzami?

– Jest głupia – odrzekłem. W pokoju zapadła cisza. Ostatnie referendum przeprowadzone we WszechJedności wskazywało na 98 – procentowe poparcie dla decyzji Meiny Gladstone, by stawić czoło Intruzom i nie oddawać im Hyperiona. Jej przyszłość polityczna zależała od wyniku starcia. Ludzie zgromadzeni w tym pokoju byli w rękach Meiny Gladstone narzędziami w kształtowaniu polityki, podejmowaniu decyzji o inwazji i wykonywaniu zadań logistycznych. Cisza przeciągała się.

– Dlaczego jest głupia? – zapytała łagodnie Meina Gladstone.

Prawą ręką uczyniłem nieokreślony gest.

– Hegemonia nie prowadziła wojny od czasu, gdy powstała siedem stuleci temu. To głupie, by sprawdzać jej stabilność w ten sposób.

– Nie prowadziła wojny! – krzyknął generał Morpurgo. Klasnął wielkimi dłońmi o kolana. – A czymże, do diabła, była rebelia Glennona – Heighta?

– Rebelią – odparłem. – Buntem, akcją policyjną.

Senator Kolchev pokazał zęby w uśmiechu, który wcale nie oznaczał rozbawienia. Kolchev pochodził z Lususa i był lepiej zbudowany niż generał.

– Działana floty – rzekł – pół miliona zabitych, dwie dywizje Armii zaangażowane w akcje bojowe przez ponad rok. I ty to nazywasz akcją policyjną, synu?

Nic nie powiedziałem.

Leigh Hunt odchrząknął. Był starszym, wyglądającym na suchotnika mężczyzną. Mówiono, że jest najbliższym pomocnikiem Meiny Gladstone.

– Ale to, co mówi M. Severn, wydaje się interesujące. Gdzie pan widzi różnice między obecnym... hm... konfliktem a wojnami Glennona – Heighta?

– Glennon – Height był wcześniej oficerem Armii – odparłem, świadom, że mówię o sprawach oczywistych. Intruzi od stuleci są nam obcy. Siły rebeliantów były nam znane, ich potencjał łatwo dawał się oszacować; Roje Intruzów znajdują się poza Siecią od czasów hegiry. Glennon – Height nie wychodził poza Protektorat, najeżdżał planety odległe nie więcej niż o dwa miesiące długu czasowego od Sieci; Hyperion jest odległy o trzy lata od Parvati, najbliższego mu obszaru należącego do Sieci.

– Myśli pan, że nie pomyśleliśmy o tym wszystkim? – zapytał generał Morpurgo. – A co z bitwą o Bressię? Tam już pokonaliśmy Intruzów. To nie była... rebelia.

– Proszę o spokój – powiedział Leigh Hunt. – Niech pan mówi dalej, M. Severn.

Znów wzruszyłem ramionami.

– Podstawowa różnica polega na tym, że teraz mamy do czynienia z Hyperionem.

Senator Richeau – jedna z obecnych na sali kobiet – skinęła głową, jakby wszystko stało się jasne.

– Obawiasz się Chyżwara – zainteresowała się. – Czy należysz do Kościoła Ostatniej Pokuty?

– Nie – odparłem. – Nie jestem członkiem kultu Chyżwara.

– Więc kim jesteś? – zapytał z naciskiem Morpurgo.

– Artystą – skłamałem.

Leigh Hunt uśmiechnął się i zwrócił się do Meiny Gladstone:

– Też sądzę, że potrzebujemy tej perspektywy. To nas otrzeźwi, CEO – wskazał na okno z obrazem holograficznym przedstawiającym wiwatujące tłumy. – Ale nasz przyjaciel, artysta mówi o zagadnieniach, które były już w pełni przedyskutowane i rozpatrzone.

Senator Kolchev chrząknął, po czym się odezwał:

– Ze skrajną niechęcią poruszam sprawę oczywistą, tym bardziej że wszyscy jakbyśmy o niej zapomnieli, ale czy ten... pan... ma odpowiednie zezwolenie, by uczestniczyć w naszej dyskusji?

Meina Gladstone skinęła głową i uśmiechnęła się w sposób, który tyłu karykaturzy-



stów próbowało już uchwycić.

– M. Severn został upoważniony przez Ministerstwo Sztuki do wykonania w ciągu najbliższych kilku, kilkunastu dni serii szkiców, które będą miały historyczne znaczenie i posłużą do sporządzenia mego oficjalnego portretu. W każdym razie M. Severn otrzymał złotą przepustkę stopnia T i możemy bez skrępowania rozmawiać w jego obecności. Poza tym doceniam jego szczerą i bezstronność. Nasza dyskusja i tak ma się ku końcowi. Spotkam się z wami w sali operacyjnej o 0800 jutro rano, tuż przed transmitowaniem się floty do przestrzeni wokół Hyperiona.

Zgromadzeni natychmiast zaczęli wstawać z miejsc. Generał Morpurgo, wychodząc, spojrzął na mnie ze złością. Senator Kolchev przyjrzał mi się z pewnym zdziwieniem. Radca Albedo rozpląnął się w nicość. Obok Meiny Gladstone i mnie pozostał tylko Leigh Hunt. Rozsiadł się wygodniej, przerzucając nogę przez oparcie bezcennego, prehegirowego fotela.

– Siadaj – powiedział.

Spojrzałem na CEO. Zajęła miejsce za masywnym biurkiem. Skinęła głową. Usiadłem na prostym krześle generała Morpurgo.

– Czy naprawdę uważasz, że stawanie w obronie Hyperiona jest głupstwem? – zapytała Meina Gladstone.

– Tak.

Złożyła palce i dotknęła nimi dolnej wargi. Okno za jej plecami pokazywało rozba-
wiony tłum.

– Gdybyś miał jakąkolwiek nadzieję na połączenie się z twoim... hm... partnerem – powiedziała – to przeprowadzenie przez nas kampanii na Hyperionie leżałoby w twoim interesie.

Milczałem. Widok w oknie zmienił się, teraz pokazywał niebo rozświetlone ogniami z dysz odrzutowych.

– Przyniosłeś narzędzia pracy?

Wyjąłem ołówek i mały szkicownik. Skłamałem, mówiąc Dianie Philomel, że go nie mam.

– Porozmawiamy sobie, a ty rysuj.

Zacząłem szkicowanie od zarysu zrelaksowanej, nieomal niedbałej postaci. Przeszedłem do szczegółów twarzy. Zaintrygowały mnie jej oczy CEO.

Dotarło do mnie, że Leigh Hunt przygląda mi się ze skupieniem. – Joseph Severn – powiedział. – Interesujący dobór imienia i nazwiska.

Szybkimi, odważnymi ruchami narysowałem wysokie czoło i mocny nos Gladstone.

– Wiesz, dlaczego ludzie patrzą z ukosa na cybrydy? – zapytał Hunt.

– Tak – odparłem. – Syndrom Frankensteina. Strach przed wszystkim, co ma kształt człowieka, a wewnątrz nie do końca jest ludzkie. To jest, jak sądzę, prawdziwy powód, dla którego wyjęto spod prawa androidy.

– Aha – zgodził się Hunt. – Ale cybrydy są w pełni ludźmi. Nieprawdaż?

– Genetycznie, tak – powiedziałem. Złapałem się, że myślę o mojej matce. O tym, jak czytałem jej, gdy była chora. Pomyślałem o moim bracie Tomie. – Ale są również częścią TechnoCentrum. I to pasuje do określenia: „nie do końca ludzkie”.

– Czy jesteś częścią Centrum? – zapytała Meina Gladstone, zwracając się do mnie przodem. Zacząłem robić nowy szkic.

– Tak naprawdę to nie – odparłem. – Mogę swobodnie podróżować po obszarach, do których mnie dopuszczają. Ale to przypomina raczej status kogoś, kto ma dostęp do datasfery niż potencjał prawdziwej osobowości z TechnoCentrum.

Jej twarz z trzech czwartych profilu była bardziej interesująca, ale oczy zdawały się silniejsze, gdy patrzyła na wprost. Meina Gladstone najwyraźniej nigdy nie poddawała się terapii Poulsena.

– Gdyby można było utrzymać coś w sekrecie przed Centrum stwierdziła – szaleństwem byłoby dopuszczanie cię do posiedzeń rządu. Ale jest, jak jest... – Opuściła rękę



i wyprostowała się w fotelu. Odkryłem nową stronę w szkicowniku.

– Jest tak – mówiła – że masz informacje, których potrzebuję. Czy to prawda, że potrafisz czytać w myślach twojego partnera, pierwszej zrekonstruowanej osobowości?

– Nie – powiedziałem. Miałem kłopoty z uchwyceniem skomplikowanej gry linii w kącikach jej ust. Usiłowałem je oddać w szkicowniku. Narysowałem silny podbródek i zacięniowałem obszar pod dolną wargą.

Hunt zmarszczył brwi i spojrzał na CEO. M. Gladstone znów złożyła palce.

– Wyjaśnij to – poprosiła. Podniosłem wzrok znad rysunku.

– Śnię – powiedziałem. – Treść snu zdaje się zgadzać z wydarzeniami, które dzieją się wokół osobowości noszącej implant wcześniejszej osoby Keatsa.

– Kobieta o imieniu Brawne Lamia – wpadł mi w słowo Leigh Hunt.

– Tak.

Meina Gladstone pokiwała głową.

– Więc pierwotna osoba Keatsa, tego zabitego na Lusucie, nadal żyje?

– To... on... jest ciągle świadomy. Wiesz, że pierwotny substrakt osobowości został wyciągnięty z Centrum. Prawdopodobnie dokonał tego sam cybryd. Implantowano go w ochronnym dysku Schrbna noszonym przez M. Lamię.

– Tak, tak – potwierdził Leigh Hunt. – Ale prawdą jest też, że to ty masz kontakt z osobą Keatsa, a poprzez nią z pielgrzymami do Chyżwara.

Szybkimi, mocnymi pociągnięciami namalowałem ciemne tło, by szkic Meiny Gladstone nabrał głębi.

– Właściwie to nie mam żadnego kontaktu, tylko sny o Hyperionie, a wasze przekazy linią FAT potwierdzają je jako rzeczywiste wydarzenia. Nie mogę przekazywać komunikatów pasywnej osobie Keatsa, jego nosicielce ani pozostałym pielgrzymom.

CEO Gladstone mrugnęła.

– Skąd wiesz o przekazach linią FAT?

– Konsul powiedział innym pielgrzymom, że jego komlog może nadawać za pośrednictwem transmittera FAT na jego statku. Poinformował ich o tym, zanim weszli do doliny.

W głosie Meiny Gladstone zabrzmiały nutki wskazujące na to, że zanim zajęła się polityką, przez lata była prawnikiem.

– A jak inni zareagowali na rewelację przekazaną im przez konsula?

Włożyłem ołówek do kieszeni.

– Wiedzieli, że wśród nich jest szpieg. Powiedziałaś o tym każdemu z nich.

Meina Gladstone popatrzyła na swego pomocnika. Hunt zachował kamienny wyraz twarzy.

– Skoro masz z nimi kontakt – powiedziała – musisz wiedzieć, że odkąd opuścili Basztę Chronosa, by wejść do Grobowców Czasu, nie otrzymaliśmy od nich żadnej wiadomości.

Potrząsnąłem głową.

– Sen z ostatniej nocy kończył się w chwili, gdy schodzili w dolinę.

Meina Gladstone podeszła do okna, uniosła dłoń i obraz zniknął.

– Więc nie wiesz, czy jeszcze żyją?

– Nie wiem.

– W jakim byli stanie, kiedy po raz ostatni... śniłeś?

Hunt przypatrywał mi się z uwagą. Meina Gladstone stała zapatrzona w wygaszone okno, tyłem do nas obu.

– Wszyscy pielgrzymi żyli – odparłem. – Z wyjątkiem, zapewne, Heta Masteena, Prawdziwego Głosu Drzewa.

– Był martwy?

– Zniknął z wiatrowozu na Morzu Traw dwie noce wcześniej. Kilka godzin po tym, jak zwiadowcy Intruzów zniszczyli drzewostatek „Yggdrasill”. Ale kiedy tylko pielgrzymi



opuścili Basztę Chronosa, widzieli zakapturzoną postać idącą przez piaski w kierunku Grobowców.

- Het Maasten? – zapytała. Podniosłem rękę.
- Tak przypuszczali. Nie byli pewni.
- Opowiedz mi o pozostałych – rzekła CEO.

Zaczerpnąłem tchu. Z ostatnich snów wiedziałem, że Meina Gladstone знаła co najmniej dwoje spośród ostatnich pielgrzymów Chyżwara. Ojciec Brawne Lamii był jej kolegą senatorem, a konsul Hegemonii reprezentował ją kiedyś w tajnych negocjacjach z Intruzami.

- Ojciec Hoyt cierpi ogromny ból. Opowiedział historię krzyżokształtu. Konsul dowiedział się, że Hoyt ma w sobie krzyżokształt... właściwie dwa: swój i ojca Dure.

- A więc nadal nosi tego zmartwychwstańczego pasożyta?

- Tak.

- Czy przeszkadza mu to coraz bardziej w miarę zbliżania się do matecznika Chyżwara?

- Tak sądzę.

- Mów dalej.

- Poeta Silenus przez większość czasu był pijany. Jest przekonany, że jego nieukończony poemat przepowiada i determinuje przebieg wypadków.

- Na Hyperionie? – zapytała Meina Gladstone. Ciągle stała odwrócona tyłem.

- Wszędzie.

Hunt popatrzył na zwierchniczkę i znów utkwiał wzrok we mnie.

- Czy Silenus zwariował?

Spojrzałem mu w oczy, ale nie odpowiedziałem. W rzeczy samej, sam tego nie wiedziałem.

- Mów dalej – ponagliła mnie.

- Pułkownika Kassada opanowała obsesja: chce odnaleźć kobietę o imieniu Moneta i zabić Chyżwara. Zdaje sobie sprawę, że może to być jedna i ta sama osoba.

- Czy jest uzbrojony? – głos Meiny Gladstone stał się bardzo łagodny.

- Tak.

- Mów dalej.

- Sol Weintraub, naukowiec z planety Barnarda, ma nadzieję, że wejdzie do grobowca zwanego Sfinksem, jak tylko...

- Przepraszam – przerwała mi. – Czy jego córka nadal jest z nim?

- Tak.

- Ile lat ma teraz Rachela?

- Zdaje mi się, że pięć dni. – Zamknąłem oczy, żeby przypomnieć sobie dokładniej sen z ubiegłej nocy. Tak. Pięć dni.

- I ciągle jej dni upływają pod włos czasu?

- Tak.

- Mów dalej, M. Severn. Opowiedz mi, proszę, o Brawne Lamii i konsulu.

- M. Lamia wykonuje życzenia swego ostatniego klienta... i kochanka. Persona Keatsa czuła, że musi stanąć do konfrontacji z Chyżwarem. M. Lamia robi to za nią.

- M. Severn – zaczął Leigh Hunt. – Mówi pan o „personie Keatsa”, jakby jej związek z panem był bez znaczenia...

- Później, Leigh, proszę – przerwała mu Meina Gladstone. Odwróciła się, żeby na mnie popatrzeć. – Zastanawia mnie konsul. Czy już wyjaśnił, dlaczego przyłączył się do pielgrzymki?

- Tak – odparłem.

Meina Gladstone i Hunt czekali.

- Konsul opowiedział im o swojej babce. O kobiecie zwanej Siri, która wywołała powstanie na Maui – Przymierzu ponad pół wieku temu i zdała mu relację o śmierci jego rodziny w bitwie o Bressię, a on ujawnił tajemnicę spotkania z Intruzami.



– Czy to wszystko? – zapytała. Jej brązowe oczy wpatrywały się we mnie uporczywie.

– Nie. Konsul opowiedział im, że to on uruchomił urządzenie Intruzów, które przyspieszyło otwarcie się Grobowców Czasu.

Hunt usiadł prosto, zdjął nogę z poręczy fotela. Meina Gladstone zaczerpnęła tchu.

– Czy to wszystko?

– Tak.

– Jak inni zareagowali na to przyznanie się do... zdrady? – zapytała.

Staralem się odtworzyć wydarzenia dokładniej, niż przekazały je marzenia senne:

– Niektórzy byli oburzeni. Ale nikt w tym momencie nie czuł lojalności wobec Hegemonii. Postanowili iść dalej. Sądzę, że uznali, iż kara może zostać wymierzona przez Chyżwara, a nie przez człowieka. Hunt trzasnął pięścią w poręcz fotela.

– Gdyby konsul był tutaj – warknął – szybko przekonałby się, że może stać się inaczej.

– Spokojnie, Leigh. – Meina Gladstone podeszła do biurka, poprawiła jakieś papiery. Wszystkie światełka obwodów komunikacyjnych błyszcząły niecierpliwie. Poczuję się zaskoczony, że w takiej chwili znalazła czas na rozmowę ze mną.

– Dziękuję, M. Severn – powiedziała. – Chcę, żeby pozostał pan z nami przez najbliższych kilka dni. Ktoś zaprowadzi pana do pańskiego apartamentu w mieszkalnym skrzydle budynku rządowego.

Wstałem.

– Wrócę na Esperance po moje rzeczy.

– Nie ma potrzeby. Dostarczono je tutaj, zanim zszedł pan z platformy terminalu. Leigh pana wyprowadzi.

Skłoniłem się i poszedłem za nim w stronę drzwi.

– Och, M. Severn... – zawołała.

– Tak?

CEO uśmiechnęła się.

– Doceniłam już wcześniej pańską szczerą. Ale od tej chwili przyjmujemy, że jest pan nadwornym artystą. Tylko. Żadnych opinii, żadnego wystawiania się na widok publiczny, żadnych plotek. Zrozumiano?

– Zrozumiano.

Meina Gladstone skinęła głową i spojrzała na błyskające lampki telefonów.

– Doskonale. Proszę przynieść swój szkicownik na zebranie w sali operacyjnej o 0800 rano.

W przedpokoju spotkaliśmy strażnika, który poprowadził mnie przez labirynt korytarzy i punktów kontrolnych. Hunt kazał mu się zatrzymać i podszedł do mnie. Jego kroki odzywały się echem. Dotknął mego ramienia.

– Nie pomyśl się – powiedział. – Wiemy... ona wie... kim jesteś i kogo reprezentujesz.

Odwzajemniłem mu spojrzenie i łagodnie uwolniłem ramię.

– To dobrze. Bo w tej chwili ja sam się w tym nie orientuję.



Sześcioro dorosłych i dziecko siedziało w złowrogim krajobrazie. Ich ognisko wyglądało jak iskierka na tle zapadającej ciemności. Wokół nich wznosiły się jak mury stoki wzgórz. Bliżej, otulone ciemnością doliny, zawisły wielkie kształty Grobowców. Zdawały się podpełzać jak przedpotopowe jaszczury.

Brawne Lamia była zmęczona, obolała i bardzo rozdrażniona. Płacz dziecka Sola Weintrauba doprowadzał ją do szaleństwa. Wiedziała, że inni też są zmęczeni; przez ostatnie trzy doby żadne z nich nie spało dłużej niż kilka godzin, a dzień, który właśnie miał się ku końcowi, pełen był napięcia i tajemniczych zagrożeń. Wrzuciła ostatni kawałek drewna do ognia.

– Tam, skąd przyszliśmy, nic już nie ma – warknął Martin Silenus. Płomienie oświetlały od dołu satyrowe rysy twarzy poety.

– Wiem – odparła bez emocji Brawne Lamia. Była zbyt zmęczona, by jej głos zabrzmiał gniewnie. Drewno na opał pochodziło ze schowka wykopanego przez pielgrzymów przed laty. Trzy namiociki rozbili na terenie, z którego tradycyjnie korzystali pielgrzymi. Spędzali tu ostatnią noc przed spotkaniem z Chyżwarem. Obozowisko znajdowało się blisko Grobowca Czasu nazywanego Sfinksem. Czarny zarys jego skrzydła przesłaniał część nieba.

– Kiedy zgaśnie, zapalimy latarnie – powiedział konsul. Dyplomata wydawał się bardziej wyczerpany niż inni. Mrugające światło rzucało czerwoną poświatę na jego smutną twarz. Rano ubrał się w strój galowy, ale teraz zarówno peleryna, jak i trójgraniasty kapelusz były równie wymięte i pobrudzone jak ich właściciel.

Pułkownik Kassad – w pełnym rynsztunku bojowym – wrócił do ogniska i podniósł przyłbicę noktowizyjną na szczyt hełmu. Uaktywniony polimer maskujący sprawiał, że widoczna była tylko jego twarz. Płynęła dwa metry nad ziemią.

– Nic – powiedział. – Żadnego ruchu. Żadnych śladów ciepła. Żadnego dźwięku poza wiatrem.

Kassad oparł wielozadaniowy karabin szturmowy o skałę i usiadł obok pozostałych. Włókna jego samoutwardzalnej zbroi po dezaktywacji polimeru były matowo czarne. Postać pułkownika zlewała się z tłem.

– Myślisz, że Chyżwar przyjdzie tej nocy? – zapytał ojciec Hoyt. Kapłan owinał się czarną sutanną. Podobnie jak pułkownik zdawał się rozpływać w ciemnościach. Jego cienki głos był pełen napięcia.

Kassad pochylił się i pogrzebał buławą w ogniu.

– Tego nie można przewidzieć. Na wszelki wypadek będę pełnił wartę.

Nagle cała szóstka spojrzała w górę. Rozgwieżdżone niebo zabłysnęło orgią kolorów. Pomarańczowe i czerwone wybuchy rozkwiwały w ciszy przesłaniając gwiazdy.

– Niewiele tego było w ciągu ostatnich paru godzin – powiedział Sol Weintraub kołysząc dziecko. Rachela przestała płakać. Teraz usiłowała złapać ojca za krótką bródkę. Weintraub pocałował jej małe rączki.

– Znów próbują dokonać rozpoznania rubieży obronnych Hegemonii – stwierdził Kassad. Z rozgrzebanego ogniska buchnęły iskry. Popłynęły w górę, jakby chciały się połączyć z jaśniejszymi rozbłyskami na niebie.

– Kto wygrał? – zapytała Lamia. Myślała o bezgłośnej bitwie kosmicznej, którą od dwóch dni obserwowali na nieboskłonie.

– A kogo to, do diabła, obchodzi? – odparł Martin Silenus. Przeszukał kieszenie swojego futra, jakby chciał w nich znaleźć pełną butelkę. Nie znalazł. – Kogo to, do diabła, obchodzi? – zamruczał znowu.

– Mnie obchodzi – powiedział zmęczonym głosem konsul. – Jeśli Intruzi przedrą się, mogą zniszczyć Hyperiona, zanim znajdziemy Chyżwara.

Silenus roześmiał się pogardliwie.



– Och, to byłoby straszne, nieprawdaż? Umrzeć, zanim odkryjemy śmierć? Być zabitym, zanim nadejdzie czas naszej śmierci? Zejść z tego świata szybko i bezboleśnie, zamiast wic się z bólu na kolcach Chyżwara? Cóż za straszliwa myśl.

– Zamknij się – powiedziała Brawne Lamia. W jej głosie nadal nie słyszało się emocji, ale tym razem czaiła się w nim groźba. Popatrzyła na konsula. – Więc gdzie jest Chyżwar? Dlaczego go nie znaleźliśmy?

Dyplomata gapił się w ogień.

– Nie wiem. Skąd mam wiedzieć?

– Może Chyżwar odszedł – zastanawiał się ojciec Hoyt. – Może otwierając pola antyentropiczne uwolniłeś go na zawsze. Może zaniósł swoje plagi gdzie indziej.

Konsul potrząsnął głową i nic nie powiedział.

– Nie – rzekł Sol Weintraub. Dziecko spało oparte o jego ramię. Będzie tutaj. Ja to czuję.

Brawne Lamia pokiwała głową.

– Ja też. On czeka. – Wyciągnęła ze swojej paczki kilka żelaznych racji. Rozdawała je teraz wraz z tackami podgrzewającymi.

– Wiem, że rozczarowanie jest wątkiem i osnową świata – stwierdził Silenus. – Ale to cholernie śmieszne. Wszystko zapięte na ostatni guzik i nie ma gdzie umrzeć.

Brawne Lamia spojrzała groźnie, ale nic nie powiedziała. Przez chwilę jedli w milczeniu. Płomienie na wysokości zblakły, powrócił widok gęsto usianego gwiazdami nieba, ale iskry wznosiły się nadal, jakby szukały ucieczki.

Zaplątany w gąszcz myśli Brawne Lamii, starałem się zebrać to, co zdarzyło się, odkąd po raz ostatni śniłem o ich przygodach.

Przed świtem pielgrzymi zeszli do doliny. Śpiewali. Światła kosmicznej bitwy na niebie sprawiały, że rzucali cień. Przez cały dzień przeszukiwali Grobowce Czasu. W każdej minucie spodziewali się śmierci. Po kilku godzinach, gdy wstało słońce i nocne zimno pustyni ustąpiło upałowi, ich strach i podniecenie opadły.

Dzień się dłużył. Czasem słychać było przesypujący się piasek, jakiś krzyk i nieustające wycie wiatru. Kassad i konsul nieśli instrumenty do pomiaru natężenia pola antyentropicznego, ale to Lamia pierwsza spostrzegła, że urządzenia nie będą im potrzebne, bo przyływy i odpływy prądu czasu moim wyczuć jako lekką chorobę morską połączoną z nie ustępującym poczuciem dejd vu.

Najbliżej wejścia do doliny stał Sfinks; potem był Nefrytowy Grobowiec, jego ściany stawały się półprzezroczyste tylko w półmroku świtu i zmierzchu; dalej, w odległości niecałych stu metrów, wznosił się grobowiec zwany Obeliskiem. Ścieżka pielgrzymów wiodła w górę, rozszerzając się, do największego grobowca, Kryształowego Monolitu. Jego powierzchnia była gładka i bez otworów, płaski dach sięgał szczytów wzgórz otaczających dolinę. Potem szły trzy Grobowce Jaskiniowe. Ich wejścia dało się dostrzec tylko dzięki dobrze wydeptanym ścieżkom, które do nich wiodły; na końcu – prawie kilometr od wejścia do doliny – rozsiadł się Pałac Chyżwara. Jego ostre flanki i wysokie wieżyczki przywodziły na myśl kolce stwora nawiedzającego ponoć tę okolicę.

Przez cały dzień szli od grobowca do grobowca. Nie rozdzielając się, stawali przed budowlami, do których można było wejść. Sola Weintrauba opanowała przemożna chęć, by wejść do Sfinksa, tego właśnie grobowca, w którym jego córka dostała choroby Merlina dwadzieścia sześć lat temu. Instrumenty rozstawione przez ich ekipę uniwersytecką nadal stały na trójnogach na zewnątrz budowli, ale nikt z grupy pielgrzymów nie potrafił stwierdzić, czy nadal funkcjonują. Korytarz w Sfinksie był wąski i kręty. Leżały w nim, ciemne teraz, żarkule i lampy elektryczne pozostawione przez różne zespoły badawcze. Posłużyli się latarkami ręcznymi i noktowizyjną przyłbicą Kassada. Nie było śladu pomieszczenia, w którym znalazła się Rachel, gdy zamknęły się za nią ściany i zaatakowała ją choroba. Pozostały jedynie szczątkowe ślady potężnych niegdyś prądów czasu. Nie było też śladu Chyżwara.



Przed każdym z grobowców przeżywali chwile grozy, pełne nadziei i strachu oczekiwania tylko po to, żeby na długie godziny dać się ponieść rozczarowaniu. Pełne kurzu, puste sale wyglądały teraz tak jak wtedy, gdy zwiedzali je turyści i pątnicy w dawnych stuleciach.

Dzień skończył się rozczarowaniem i zmęczeniem. Cienie ze wschodniej ściany doliny zapadły nad grobowcami jak kurtyna po nieudanym przedstawieniu. Zniknął. upał dnia, szybko wrócił chłód pustyni niesiony na skrzydłach wiatru pachnącego śniegiem Gór Cugielnych położonych o dwadzieścia kilometrów na południowy zachód stąd. Kassad zaproponował, żeby rozbić obóz. Konsul wskazał drogę do wyznaczonych miejsc na obozowiska, gdzie pątnicy do Chyżwara przeczekiwali ostatnią noc przed spotkaniem ze stworem, którego szukali. Płaski grunt w pobliżu Sfinksa pokryty był śmieciami pozostawionymi przez grupy badawcze i pielgrzymów. Spodobało się to Solowi Weintraubowi, który wyobraził sobie, że w tym miejscu rozbiła obóz jego córka. Nikt nie protestował.

Teraz, w całkowitych ciemnościach, pyry dogasającym ognisku, wyczuwałem, jak cała szóstka skupia się nie tylko przy ciepłe płomieni. Ciągnęli do siebie nawzajem. Łączyły ich więzy wspólnych doświadczeń zebranych w czasie podróży barką lewitacyjną „Benares” w górę rzeki i podczas przeprawy do Baszty Chronosa. Wyczułem coś więcej – jedność bardziej namacalną niż ta, która wynikałaby ze wspólnych emocji. Zajęło mi to chwilę, ale wkrótce zrozumiałem, że grupę łączyła mikrosfera wspólnego dostępu do danych. Na planecie, której prymitywne, regionalne łączyła informacyjne poszarpane zostały przez samo wspomnienie o walce, tych sześcioro łączyło swoje komlogi i biomonitory, by dzielić informacje i dbać nawzajem o siebie.

Bariery wejść były widoczne i mocne. Ale nie miałem kłopotów, by wślizgnąć się pod, nad i poprzez nie, wydostać liczne wążki puls, temperaturę skóry, aktywność fal kory mózgowej, wejścia informatyczne, inwentarz danych – co pozwoliło mi na pewien wgląd w myśli, uczucia i czyny każdego z pątników. Kassad, Hoyt i Lamia mieli implanty, przepływ ich myśli był łatwiejszy do prześledzenia. W tej właśnie sekundzie Brawne Lamia zastanawiała się, czy poszukiwanie Chyżwara nie okaże się błędem; coś ją gryzło. Czuła się, jakby przeoczyła jakiś niezwykle ważny wątek niosący rozwiązanie... właśnie – czego?

Brawne Lamia zawsze miała w pogardzie tajemnice; był to jeden z powodów, dla których porzuciła łatwe życie, żeby zostać prywatnym detektywem. Ale co to za tajemnica? Prawie rozwiązała zagadkę śmierci jej cybrydowego klienta... i kochanka... i przybyła na Hyperiona, by wypełnić jego ostatnią wolę. Mimo to sądziła, że ta gryząca wątpliwość ma coś wspólnego z Chyżwarem. Ale co?

Lamia potrząsnęła głową i pogrzebała w dogasającym ognisku. Miała silne ciało, ukształtowane przez 1,3 standardowej grawitacji Lususa i wytrenowane, by osiągnęło jeszcze większą siłę. Ale nie spała przez kilka dni i była bardzo, bardzo zmęczona. Zaczęła sobie niejasno zdawać sprawę, że ktoś coś mówi.

- ...żeby tylko wziąć prysznic i zdobyć trochę żywności – powiedział Martin Silenus.
- Może użyłbyś swojego komunikatora i linii FAT, żeby sprawdzić, kto wygrywa wojnę. Konsul potrząsnął głową.
- Jeszcze nie teraz. Statek jest na wypadek nagłej potrzeby.
- Silenus podniósł rękę wskazując ciemność, Sfinksa i powstający wiatr.
- Myślisz, że to nie jest nagły wypadek?
- Brawne Lamia uświadomiła sobie, że rozmawiają o możliwości sprowadzenia statku konsula z Miasta Keatsa.
- Jesteś pewien, że tym nagłym wypadkiem nie jest brak alkoholu? – zapytała.
- Silenus popatrzył na nią gniewnie.
- Komuś przeszkadza jeden głębszy?
- Nie – odparł konsul. Potarł oczy i Lamia przypomniała sobie, że on też jest uza-



leżniony od alkoholu. Ale jego odpowiedź brzmiała: nie. – Poczekamy do czasu, kiedy będziemy musieli to zrobić.

– A co z transmitterem FAT? – zapytał Kassad.

Konsul pokiwał głową i wyjął stary komlog. Należał do jego babki Siri i do rodziców jej rodziców. Dotknął klucza magnetycznego.

– Tym mogę nadawać, ale nie odbierać.

Sol Weintraub położył śpiące niemowlę w wejściu do najbliższego namiotu. Wrócił do ogniska.

– A ostatnią wiadomość nadałeś, kiedy przybyliśmy do Baszty?

– Tak.

Martin Silenus uderzył w sarkastyczną nutę:

– I mamy uwierzyć... nawróconemu zdrajcy?

– Tak – głos konsula wyrażał tylko znużenie.

Szczupła twarz Kassada popłynęła w powietrzu. Jego ciało, ręce, nogi były czernią na tle czerni.

– Ale to może posłużyć do wezwania statku, gdybyśmy byli w potrzebie?

– Tak.

Ojciec Hoyt przyciągnął bliżej poły płaszcza, żeby nie szarpał mu ich wiatr. Piasek szurał po wełnie i materiale, z którego uszyte były namioty.

– Nie obawiasz się, że władze portu albo Armia przesuną statek albo zaczną nim rozporządzać? – zapytał konsula.

– Nie – konsul poruszył tylko lekko głową. Wyglądało to tak, jakby czuł się za bardzo zmęczony, żeby zdobyć się na skinienie. – Mamy zezwolenie od samej Meiny Gladstone. Ponadto generalny gubernator jest moim przyjacielem... był przyjacielem.

Pozostali spotkali świeżo mianowanego gubernatora Hegemonii wkrótce po lądowaniu; Brawne Lamii Theo Lane wydał się człowiekiem, który wpadł w wir wydarzeń znacznie go przerastających.

– Wiatr się wzmaga – powiedział Sol Weintraub. Odwrócił się, żeby ochronić niemowlę przed piaskiem. Mrużąc oczy patrzył przed siebie, w wicher. – Zastanawiam się, czy gdzieś tam jest Het Maasten?

– Szukaliśmy wszędzie – wtrącił ojciec Hoyt. Mówił stłumionym głosem, bo schował głowę w fałdach płaszcza.

Martin Silenus roześmiał się.

– Wybacz, księżo, ale nafajdałeś.

Poeta wstał i podszedł do ognia. Wiatr mierzwił jego futro i wrywał mu słowa z ust.

– Zbocza wzgórz pełne są kryjówek. Kryształowy Monolit skrywa przed nami swoje wejście... ale przed templariuszem? A poza tym widzieliście schody do labiryntu w najgłębiej położonej sali Nefrytowego Grobowca.

Hoyt podniósł wzrok, marszczył się pod ukłuciami niesionych wichrem drobinek piasku.

– Sądzisz, że tam jest? W labiryncie?

Silenus roześmiał się i uniósł ramiona. Jego luźna jedwabna bluza wydeła się i zaszeleściła.

– Skąd, do kurwy nędzy, mam wiedzieć, padre? Wiem tylko, że Het Maasten może być gdzieś tam, przyglądać się nam i czekać na dobry moment, żeby wrócić i upomnieć się o swój bagaż.

Poeta wskazał na sześcian Móbiosa, stojący pośrodku stosiku ich ładunków.

– A może już nie żyje. Albo gorzej.

– Gorzej? – zapytał Hoyt. Twarz księdza postarzała się w ciągu kilku ostatnich godzin: miał zapadnięte i cierpiące oczy, a uśmiech sztywny jak u nieboszczyka.

Martin Silenus znów podszedł do wygasającego ognia.

– Gorzej – powtórzył. – Może się wić na stalowym drzewie Chyżwara. Gdzie i my będziemy za kilka...



Brawne Lamia podniosła się nagle i schwyciła poetę za koszulę. Podniosła go z ziemi, potrząsnęła nim i opuściła, aż mogła mu zajrzeć w twarz.

– Jeszcze raz – powiedziała łagodnie – i ja sama zrobię ci coś bardzo bolesnego. Nie zabiję cię. Ale będziesz chciał, żebym to zrobiła. Poeta uśmiechnął się jak satyr. Lamia rzuciła go i odwróciła się plecami.

– Jesteśmy zmęczeni – załagodził Kassad. – Wszyscy idziemy spać. Ja będę pełnił wartę.

Moje sny o Lamii mieszały się z jej snami. To całkiem przyjemne, dzielić z kobietą sny i myśli. Nawet jeśli tę kobietę dzieli ode mnie ocean czasu i różnica kultur znacznie większa niż różnica wynikająca z płci. W dziwny, zwierciadlany sposób śniła o swym zmarłym kochanku. O jego za małym nosie i nazbyt upartej szczęce, o jego za długich włosach spadających na kołnierz, o jego oczach – zbyt wyrazistych, zbyt wiele odkrywających, dających twarzy nazbyt wielką moc, jak oczy tysiący wieśniaków urodzonych o dzień drogi od Londynu.

Śniła o mojej twarzy Głos, który słyszała we śnie, należał do mnie. Ale miłość – ta, którą pamiętała – nie była miłością, jaką dzieliłaby kiedyś ze mną. Próbowałem umknąć z jej marzeń. Wtedy wpadałem we własne sny. Jeśli mam już być podglądaczem, to niechbym raczej podglądał plątaninę sztucznych wspomnień, które miały uchodzić za moje własne. Zdawało mi się, że urodziłem się – powstałem z martwych tylko dlatego, żeby śnić sny mego zmarłego i odległego brata bliźniaka.

Poddałem się, zrezygnowałem z prób przebudzenia. I śniłem.

Brawne Lamia nagle się obudziła. Ze snu wybił ją jakiś dźwięk albo ruch. Przez dłuższą chwilę czuła się dezorientowana. Z ciemności dochodził hałas – ale nie był to dźwięk mechaniczny – głośniejszy niż odgłosy z jej rodzimego luzańskiego Kopca. Była pijana ze zmęczenia. Wiedziała, że spała bardzo krótko. Samotna w niewielkiej, ograniczonej przestrzeni, miała wrażenie, że znajduje się w czymś przypominającym ogromny śpiwór.

Wychowała się na planecie, gdzie zamknięta przestrzeń oznaczała zabezpieczenie przed trującym powietrzem, wiatrami i zwierzętami, gdzie wielu cierpiało na agorafobię, gdy znalazło się na otwartej przestrzeni, a niewielu doznawało uczucia klaustrofobii. Mimo to zareagowała, jakby sama cierpiała na klaustrofobię – zaczęła gwałtownie chwytać powietrze, odrzuciła nakrycie, rozwarła nagłym ruchem kłapy namiotu, czołgała się w panice, żeby tylko wydostać się z plastowłókninowego kokonu. Nie spoczęła, póki pod dłońmi i łokciami nie poczuła piasku i nie zobaczyła nad sobą nieba.

Nagle przypomniała sobie, gdzie jest. To nie było niebo. Piasek miotany w jej twarz przez wicher kłuł jak tysiące igiełek. Ognisko zgasło, przykryte piaskiem. Pryzmy piasku zebrały się po zawietrznej stronie targanych przez wiatr namiotów. Wokół obozowiska potworzyły się wydmy. Jedna z nich zagrzebała do połowy namiot, który Brawne Lamia dzieliła z ojcem Hoytem.

Hoyt, pomyślała.

To jego nieobecność obudziła ją. Nawet we śnie jakaś cząstka jej świadomości wy-czuwała łagodny oddech i prawie niesłyszalne, bolesne pojękiwanie śpiącego księdza. Wyszedł jakieś pół godziny temu. Może nawet przed kilkoma minutami. Brawne Lamia zdała sobie sprawę, że nawet gdy śniła o Johnnym, była na wpół świadoma szeleszczącego, drapiącego odgłosu dobiegającego spoza wycia wiatru i szmeru przesypywanego piasku.

Wstała, dłonią zakryła oczy przed piaskiem. Było bardzo ciemno. Wysoka powłoka chmur przesłoniła gwiazdy, ale powietrze wypełniała słaba, jakby elektryczna poświata odbijająca się od powierzchni skał i wydmy. Lamia zdała sobie sprawę, że powietrze rzeczywiście wypełnione jest elektrycznością statyczną, która sprawia, że jej włosy tańczą na wietrze jak włosy meduzy. Statyczne ładunki podpełzały po rękawach jej bluzy i spły-



wały po namiocie jak ognie świętego Elma. Gdy jej oczy zaadaptowały się do ciemności, Lamia zobaczyła, że przesypujące się wydmy jarzą się bladym ogniem. O czterdzieści metrów na wschód stał Sfinks. Grobowiec wyglądał jak pulsujący, trzeszczący zarys na tle nocnej ciemności. Fale elektryczności przesunęły się po rozpostartych flankach, często nazywanych skrzydłami.

Brawne Lamia rozejrzała się dookoła. Nie było śladu ojca Hoyta. Postanowiła wezwać pomoc. Uświadomiła sobie, że wiatr stłumi jej wołanie. Przez moment zastanawiała się, czy ksiądz nie poszedł po prostu do innego namiotu albo do polowej latryny odległej o dwadzieścia metrów, ale coś jej mówiło, że jest inaczej. Popatrzyła na Sfinksa. Przez ułamek sekundy zdawało się jej, że na tle jaśniejącego elektrycznymi wyładowaniami grobowca widzi zarys człowieka w czarnej pelerynie, garbiącego się pod naporem wiatru.

Poczuła rękę na ramieniu.

Odwróciła się błyskawicznie i przyjęła postawę do walki – wyciągnięta lewa pięść, opuszczona prawa. Rozpoznała Kassada. Pułkownik był niemal półtora raza od niej wyższy i tyle samo szerszy. Miniaturowe wyładowanie pojawiło się na jego podbródku, gdy nachylił się ku niej i wykrzyczał w ucho:

– Poszedł tamtędy! – długie, obleczone w czerń ramię wskazywało Sfinksa.

Lamia skinęła głową. Zapomniała, że Kassad pełni straż. Czy ten człowiek nigdy nie śpi?

– Czy powinniśmy obudzić innych? – Prawie nie słyszała swojego głosu w ryku wichury.

Fedmahn Kassad potrząsnął głową. Przyłbicę miał podniesioną. Złożony hełm przypominał kaptur zwisający z pleców jego pancernego uniformu. Twarz Kassada wyglądała bardzo blado w poświacie odbijającej się od rynsztunku. Pokazywał na Sfinksa. W zgięciu lewej ręki trzymał wielozadaniowy karabin. Granaty, pokrowiec z lornetką i inne tajemniczo wyglądające przedmioty zwisały z uprząży jego samoutwardzalnej zbroi. Wskazał jeszcze raz w stronę Sfinksa.

Lamia pochyliła się do przodu i krzyknęła:

– Czy Chyżwar go porwał?

Kassad potrząsnął głową.

– Możesz go zobaczyć? – pokazała na przyłbicę i lornetkę.

– Nie – odparł Kassad. – Burza zaciera ślady ciepła.

Brawne Lania odwróciła się plecami do wiatru. Czuła, jak drobinki piasku wbijają się w jej szyję niczym drobne śruciny z wiatrówki. Sprawdziła komlog. Ale powiedział jej tylko tyle, że Hoyt jest zdrow i rusza się; nic poza tym nie było transmitowane na wspólnym paśmie. Przesunęła się i stanęła obok Kassada. Ich plecy tworzyły zapórę dla wichury.

– Czy pójdziemy za nim?! – krzyknęła.

Kassad potrząsnął przecząco głową.

– Nie możemy pozostawić obozu bez warty. Rozstawiłem czujniki, ale burza...

Brawne Lamia wczółgała się do namiotu. Naciągnęła buty. Wychodząc zabrała pelerynę ochronną i pistolet automatyczny swojego ojca. Bardziej konwencjonalna broń – ogłuszacz Giera spoczywał w przedniej kieszeni peleryny.

– Więc ja pójdę – powiedziała.

Z początku myślała, że pułkownik jej nie usłyszał, ale potem zobaczyła coś w jego bladych oczach. Wiedziała, co to jest. Przymocował sobie wojskowy komlog do przegubu.

Kiwnęła głową i upewniła się, czy jej własny implant i komlog dobrze się trzymają.

– Wrócę – oświadczyła i pobrnęła przez wydmy. Jej nogi w obcisłych spodniach otaczała poświata wyładowań elektrycznych. Piasek wyglądał jak żywy; po jego nierównej powierzchni przepływały srebrnobiałe ogniki.

Po dwudziestu metrach nie była już w stanie dojrzeć obozu. Przeszła jeszcze dzie-



się metrów i stanęła pod Sfinksem. Nie dostrzegła śladów stóp ojca Hoyta; piasek zasypywał wszystko po kilku sekundach.

Szerokie wejście do grobowca stało otworem od czasu, kiedy ludzkość dowiedziała się o istnieniu tej budowli. Wyglądało teraz jak czarny czworokąt w promieniującej lekką poświatą ścianie. Logika podpowiadała, że ojciec Hoyt powinien tu wejść. Choćby po to, żeby schować się przed burzą. Ale coś głębszego niż racjonalne myślenie podpowiadało Lamii, że tu nie znajdzie księdza.

Brnęła dalej obok Sfinksa. Na chwilę odpoczęła pod jego osłoną, żeby zetrzeć piasek z twarzy i odetchnąć. Potem ruszyła dalej. Szła wąską, twardo ubitą ścieżynką między wydmami. Przed nią jaśniał w ciemności mlecznozielony Nefrytowy Grobowiec. Jego łagodne krzywizny i grzbiet błyszcząły oleiście.

Mrużąc oczy, spojrzała przed siebie i ujrzała przez ułamek sekundy zarys jakiejś postaci. Potem postać zniknęła. Albo zeszła do grobowca, albo przestała być widoczna na tle półkolistego wejścia.

Lamia opuściła głowę i ruszyła przed siebie. Wiatr popychał ją, jakby chciał poprowadzić w jakieś ważne miejsce.



Odprawa ciągnęła się aż do godzin przedpołudniowych. Sądziłem, że takie zebrania miały pewne cechy wspólne, niezmiennie od stuleci: monotonne, szybkie sprawozdania, nieświeży posmak wypitych hektolitrów kawy, zasłona z dymu tytoniowego w powietrzu, stopy kserokopii i ból głowy od implantów. Zdaje się, że za moich chłopięcych lat wszystko to było znacznie prostsze; Wellington zebrał swoich ludzi, tych, których beznamiętnie i precyzyjnie nazywał szumowiną rodzaju ludzkiego, nic im nie powiedział i wysłał na śmierć.

Znajdowaliśmy się w obszernym pokoju. Szare ściany urozmaicone były białymi czworokątami świąteł. Na szarym dywanie stał metalicznie połyskujący szary stół zgięty w podkowę. Tkwiły w nim klucze magnetyczne, tu i tam rozstawiono karafki z wodą. CEO Meina Gladstone siedziała pośrodku wygięcia podkowy. Wyżsi funkcją senatorowie i ministrowie obok niej, oficerowie i administratorzy niższych rang dalej. Za nimi, pod ścianami rozlokowano, jak zawsze w takiej sytuacji, gromadki pomocników i adiutantów. Nie zauważyłem nikogo niższego rangą od pułkownika. Jeszcze dalej, na mniej wygodnych krzesłach, siedzieli pomocnicy pomocników.

Nie miałem krzesła. Wśród gromadki zaproszonego, ale najwyraźniej niepotrzebnego personelu tkwiłem na stołku w oddalonym kącie sali, dwadzieścia metrów od CEO i jeszcze dalej od zdającego raport oficera, młodego pułkownika ze wskaźnikiem w ręku. W jego głosie nie słyszałem nutki wahania. – Za pułkownikiem umocowana była szara i złota tablica wywoławcza. Przed nim wznosiła się omnisfera z rodzaju tych, które można znaleźć w każdej holoramie. Od czasu do czasu tablica zasnuwała się mgiełką; pokazywały się na niej obrazy albo pełne hologramy. Miniatury tych diagramów jarzyły się nad każdą płytką klucza magnetycznego i unosiły się nad niektórymi komlogami.

Siedziałem na swoim stołku, obserwowałem Meinę Gladstone, szkicowałem.

Obudziłem się tego ranka w pokoju gościnnym budynku rządowego. Jaskrawe słońce Tau Ceti zalewało pomieszczenie światłem przedzierającym się przez brzoskwiniowe zasłony. Okna odsłoniły się automatycznie o 0630. Był to mój czas budzenia. Przez sekundę czułem się zagubiony, zdezorientowany. Nadal poszukiwałem Lenara Hoyta, bałem się Chyżwara i Heta Maastena. Potem miałem wrażenie, jakby jakaś siła pozwoliła mi zatopić się we własnych snach. Usiadłem, łapiąc powietrze, rozglądając się w przerażeniu, spodziewając się, że cytrynowy dywan i brzoskwiniowe światło znikną jak obrazy widziane w malignie. Że zostanie tylko ból, flegma i koszmarny krwotok, krew na prześcieradłach, że wypełniony światłem apartament zastąpią cienie ponurego pokoiku przy Piazza di Spagna, a nad tym wszystkim nachylać się będzie wrażliwa twarz Josepha Severna czekającego, aż umrę.

Dwa razy wzięłem prysznic – wodny i soniczny. Ubrałem się w nowy szary garnitur, który leżał na świeżo zasłanym łóżku, gdy wyłoniłem się z łazienki. Wyruszyłem na poszukiwania wschodniego podwórca, gdzie – jak dowiedziałem się z wizytówki, którą znalazłem przy nowym garniturze – serwowano śniadanie dla gości budynku rządowego.

Sok pomarańczowy był świeżo wyciśnięty. Bekon – chrupki i prawdziwy. W gazecie napisano, że CEO Gladstone będzie przemawiać do Sieci za pośrednictwem WszechJedności i media o 1030 standardowego czasu Sieci. Kolumny pełne były doniesień o wojnie. Płaskie fotografie armady połyskiwały wszystkimi kolorami. Z trzeciej strony gapił się ponurym wzrokiem generał Morputgo. Gazeta nazywała go „bohaterem drugiej rebelii Heighta”. Diana Philomel spojrzała na mnie. Siedziała przy sąsiednim stoliku, gdzie posilała się w towarzystwie swego neandertalskiego małżonka. Jej suknia tego poranka była bardziej oficjalna, ciemnobłękitna, obnażała znacznie mniej, ale rozcięcie wzdłuż boku przypominało o jej wieczornym występie. Nie spuszczała ze mnie oczu, podnosząc



lakierowanymi paznokciami kawałek bekonu i wgryzając się w mięso. Hermund Philomel chrząknął, gdy przeczytał coś zadowolającego na kolumnach finansowych.

– Grupa migracyjna Intruzów... popularnie zwana rojem... została wykryta za pomocą sonaru Hawkinga w systemie Camn nieco ponad trzy standardowe lata temu – mówił młody oficer prowadzący odprawę. – Natychmiast po wykryciu, 42. dywizja szturmowa Armii przegrupowała się, by dokonać ewakuacji systemu Hyperiona. Tajne rozkazy mówiły o stworzeniu potencjału transmisyjnego obejmującego Hyperiona. Jednocześnie dywizja szturmowa 87.2 została wyekspediowana z obszaru Solkov – Tikata, aby spotkać się z siłami ewakuacyjnymi w systemie Hyperiona, odszukać grupy migracyjne Intruzów, związać je walką i zniszczyć ich siły militarne... – na tablicy wywoławczej i w holoramie pokazały się obrazy armady. Młody pułkownik gestykulował wskaźnikiem. Linia rubinowego światła przebiegała się przez hologram i oświetlała okręt klasy 3 – C idący w szyku. – Dywizja uderzeniowa 87.2 dowodzona jest przez admirała Nashitę znajdującego się na pokładzie HS „Hebrides”...

– Tak, tak – mruknął generał Morpurgo. – Wszystko to wiemy, Yani. Streszczaj się. Młody pułkownik uśmiechnął się sztucznie, skinął głową w kierunku generała oraz CEO i podjął sprawozdanie nieco już mniej pewnym siebie głosem:

– Kodowana transmisja FAT z DU 42 z ostatnich siedemdziesięciu dwóch standardowych godzin przekazuje meldunki o ciężkich walkach stoczonych przez szpice sił ewakuacyjnych i o najbardziej wysuniętych elementach bojowych grup migracyjnych Intruzów...

– Roju – przerwał Leigh Hunt.

– Tak – powiedział Yani. Odwrócił się w stronę tablicy. Pięć metrów matowej szyby ożyło. Obraz jawił mi się jako niezrozumiała gmatwanina tajemniczych symboli, kolorowych wektorów, kodów i akronimów używanych przez Armię. Prawdopodobnie nie miało to sensu także dla grubych ryb i polityków zgromadzonych w sali, ale nikt nie przyznałby się do tego. Zacząłem nowy rysunek Meiny Gladstone z buldogowatym profilem generała Morpurgo w tle.

– Pierwsze meldunki mówiły o wykryciu przez aparaty Hawkinsa czterech tysięcy jednostek napędowych, ale ta liczba okazała się fałszywa – kontynuował pułkownik Yani. Zastanawiałem się, czy to jego imię, czy nazwisko. – Jak wiadomo, Intruzi... ach... Roje mogą się składać nawet z dziesięciu tysięcy odrębnych jednostek napędowych, ale w przeważającej większości są to jednostki małe, nie uzbrojone albo o niewielkiej wartości bojowej. Mikrofale, FAT i inne rodzaje emisji wskazują, że...

– Przepraszam – powiedziała Meina Gladstone chrapliwym tonem kontrastującym ze słodkim głosem oficera – ale czy mógłby nas pan poinformować, ile okrętów Intruzów ma jednak wartość bojową?

– Ach... – zachnął się pułkownik i spojrzał na zwierzchnika.

Generał Morpurgo odchrząknął.

– Uważamy, że jakieś sześćset... siedemset. Nie ma się czym niepokoić.

CEO Gladstone uniosła brwi.

– A jaką siłą my dysponujemy?

Morpurgo kiwnął w stronę młodego pułkownika i pozwolił mu przyjąć pozycję „spocznij”.

– Dywizja uderzeniowa 42. ma około sześćdziesięciu statków. Dywizja...

– Dywizja 42. to grupa ewakuacyjna? – zapytała Meina Gladstone.

Generał Morpurgo skinął głową. Wydawało mi się, że zauważyłem na jego twarzy protekcjonalny uśmiešek.

– Tak, proszę pani. Dywizja uderzeniowa 87.2, to grupa bojowa, która przetransmitowała się w okolice systemu Hyperiona niecałą godzinę temu...

– Czy sześćdziesiąt okrętów sprostą sześciuset, a nawet siedmiuset jednostkom?

Morpurgo spojrzał na jednego ze swych oficerów, jakby prosząc o cierpliwość.



– Tak – odparł. – Nie mam żadnych wątpliwości. Musi pani zrozumieć, CEO, że choć może się wydawać, iż sześćset jednostek napędowych Hawkinga to dużo, to jednak nie ma się czym martwić, jeśli napędzają one małe jednostki albo okręty zwiadowcze, albo te ich małe, pięcioosobowe jednostki, które nazywają lansjerami. Dywizja uderzeniowa 42. składa się z prawie dwóch tuzinów wielkich okrętów liniowych, w tym – lotniskowców „Olympus Shadow” i „Neptune Station”. Każdy z nich może wystrzelić ponad sto myśliwców albo ALR – sów.

Morpurgo pogmerał w kieszeni, wyjął sztyft tytoniowy wielkości cygara, przypomniał sobie, że Meina Gladstone nie aprobeje palenia, i włożył go z powrotem do kieszeni płaszcza. Ściągnął brwi.

– Kiedy dywizja uderzeniowa 87.2 zakończy rozwijać swoje siły, będziemy mieli większą siłę ognia niż potrzeba, żeby rozprawić się z tuzinem rojów. – Skinął na Yaniego, nadal marszcząc brwi.

Pułkownik chrząknął i wyciągnął wskaźnik w kierunku tablicy.

– Jak widać, dywizja uderzeniowa 42. nie będzie miała problemów z oczyszczeniem obszaru przestrzeni wystarczającego dla zainstalowania portalu transmisyjnego materii. Instalacja rozpoczęła się sześć tygodni temu standardowego czasu Sieci i została zakończona wczoraj o godzinie 1624. Pierwsze ataki rozpoznawcze Intruzów zostały odparte przez DU 42. bez strat własnych. Przez ostatnie czterdzieści osiem godzin toczą się ciężkie boje między wysuniętymi jednostkami dywizji uderzeniowej a siłami głównymi Intruzów. Jądro bitwy znajduje się tutaj – Yani znów posłużył się wskaźnikiem i fragment hologramu zaczął pulsować błękitnym światłem – czterdzieści osiem stopni nad płaszczyzną ekliptyki, trzydzieści jednostek odległości od słońca Hyperiona, w przybliżeniu o 0.35 jednostki od hipotetycznego skraju obłoku Ooerta otaczającego system.

– Straty? – zapytał Leigh Hunt.

– W granicach normy, biorąc pod uwagę czas bitwy – odparł młody pułkownik, który wyglądał, jakby nigdy nie zbliżył się do pola bitwy kosmicznej bardziej niż na rok świetlny. Jego jasne włosy były starannie zaczesane na bok. Błyszczały pod mocnym światłem reflektorów. – Dwadzieścia sześć szybkich myśliwców szturmowych Hegemonii zostało zniszczonych lub uznano je za zaginione. Podobnie dwanaście torpedowców ALR, trzy okręty pomocnicze, cysternowiec „Asquith Pride” i krążownik „Draconi III”.

– Ilu ludzi zginęło? – zapytała CEO Gladstone. Mówiła bardzo spokojnym głosem.

Yani rzucił spojrzenie Morpurgo, ale sam odpowiedział na pytanie.

– Około dwóch tysięcy trzystu. Ale trwa akcja ratunkowa i jest pewna nadzieja na odnalezienie rozbitków z „Draconi III”. – Wygładził mundur i szybko przeszedł do następnego tematu. – Trzeba to skonfrontować ze zniszczeniem co najmniej stu pięćdziesięciu okrętów Intruzów. Nasze rajdy w głąb grup migracyjnych – rojów dały dodatkowy rezultat: zniszczyliśmy trzydzieści do sześćdziesięciu statków, włączając w to fermy komet, statki przetwarzające rudę i co najmniej jeden rój dowodzenia.

Meina Gladstone złączyła sękate palce.

– Czy szacunek strat uwzględnia pasażerów i załogę zniszczonego statku „Yggdrasill”, który wyczarterowaliśmy dla celów ewakuacyjnych?

– Nie, proszę pani – odparł szybko Yani. – Co prawda, w tym czasie Intruzi dokonali wypadu, ale nasza analiza wskazuje, że „Yggdrasill” nie został zniszczony w wyniku działań wroga.

– Co zatem się stało?

– Sabotaż, o ile nam wiadomo – odparł pułkownik. Wywołał następny diagram Hyperiona w holoramie.

Generał Morpurgo popatrzył na swój komlog i powiedział:

– Ogranicz się do obrony naziemnej, Yani. CEO za pół godziny ma wygłosić przemówienie.

Zakończyłem szkic Meiny Gladstone i Morpurgo, przeciągnąłem się i rozejrzałem za następnym obiektem. Leigh Hunt ze swoimi trudnymi do uchwycenia, ściągniętymi



rysami twarzy wydawał się wyzwaniem dla artysty. Gdy znów spojrziałem na środek sali, holograficzny glob Hyperiona przestał wirować i rozwinął się w serię płaskich projekcji. W ukośne równoboki, rzuty Bonnogo, izografy, rozety, rzuty Van der Grintena, Goresa, przerywane homologi, rzuty gnomoniczne, sinusoidalne, azymutalne równooddalone, polikoniczne, hiperkorygowane Kuwatsiego, komputerowe, Briesemeistera, Buckminstera, cylindryczne Millera, multikoligraficzne, by wreszcie ukazać się w formie standardowej mapy Hyperiona autorstwa Robinsona – Bairda.

Uśmiechnąłem się. To była najprzyjemniejsza rzecz, jaką zobaczyłem od początku odprawy. Niektórzy ludzie Meiny Gladstone wiercili się niecierpliwie. Chcieli porozmawiać przynajmniej dziesięć minut z CEO, zanim zacznie się emisja.

– Jak wiecie – zaczął pułkownik – na skali Thurona – Laumiera Hyperion ma dziewięć, koma, osiem dziewięć standardu Starej Ziemi...

– Na litość boską – mruknął ponuro Morpurgo – skończ z tym i przejdź do dyslokacji oddziałów.

– Tak jest. – Yani przełknął ślinę i podniósł wskaźnik. Nie mówił już pewnym siebie głosem. – Jak wiadomo... miałem na myśli... wskazał kontynent położony najdalej na północy. Masa lądu wyglądała jak źle wykonany szkic końskiej głowy i szyi. Zakończona była poszarpaną linią w miejscu, gdzie powinna znajdować się pierś zwierzęcia. – To jest Equus. Nosi inną nazwę oficjalną, ale wszyscy go tak nazywają bo... to jest Equus. Łańcuch wysp rozciągający się na południowy wschód... tutaj i tutaj... nosi miano Kota o Siedmiu Ogonach. Właściwie to jest archipelag składający się z ponad stu... mniejsza o to, drugi wielki kontynent nazywa się Aquila. Być może, w jego zarysie dostrzeżecie kształt orła ze Starej Ziemi. Tu jest dziób... na północno – zachodnim wybrzeżu... a pazury są tutaj, na północnym wschodzie. Ten sektor to tak zwany Płaskowyż Pinion. Jest prawie niedostępny ze względu na lasy ogniowe, ale tutaj... i tutaj... na południowym zachodzie znajdują się główne plantacje plastowłókników...

– Dyslokacja oddziałów – warknął Morpurgo.

Naszkicowałem Yaniego. Odkryłem, że za pomocą grafitu nie sposób oddać spoczonej skóry.

– Tak jest. Trzeci kontynent to Ursus... przypomina trochę niedźwiedzia... nie wylądował tam ani jeden oddział Armii, bo jest to kontynent polarny, znajduje się na nim biegun południowy. Nie nadaje się do zamieszkania. Ale Siły Samoobrony Hyperiona utrzymują tam stację nasłuchową... – Yani zdawał sobie chyba sprawę, że bełkocze. Wziął się w garść, wytarł górną wargę wierzchem dłoni i kontynuował bardziej opanowanym tonem. – Główne umocnienia naziemne Armii lądowej znajdują się tutaj... tutaj... i tutaj. Jego wskaźnik oświetlał obszary w pobliżu stołecznego Keats położonego wysoko na szyi Equusa. – Siły kosmiczne Armii zajęły główny port kosmiczny stolicy i drugorzędne pola startowe tutaj... i tutaj. – Dotknął miast Endymion i Port Romance. Oba znajdowały się na Aquili. – Siły naziemne Armii przygotowały umocnienia defensywne tutaj... – Zamigotało kilkadziesiąt czerwonych punkcików; większość z nich na szyi i grzywie Equusa, ale kilka Na Dziobie Aquili i w rejonie Port Romance. – Stacjonują tam jednostki marines i artyleria ziemia – powietrze oraz ziemia – kosmos: Kwatery Główne uważa, że stanie się inaczej niż na Bressii – nie będzie bitew na samej planecie, ale gdyby ważyli się na inwazję, jesteśmy przygotowani.

Meina Gladstone sprawdziła swój komlog. Do transmisji na żywo pozostało siedemnaście minut.

– Co z planami ewakuacji?

Pryśła odzyskana pewność siebie Yaniego. Z niejaką desperacją popatrzył w kierunku swoich zwierzchników.

– Nie będzie ewakuacji – powiedział admirał Singh. – To tylko przynęta dla zmylenia przeciwnika.

Meina Gladstone zacisnęła palce.

– Na Hyperionie jest kilka milionów ludzi, admirał.



– Tak – zgodził się Singh. – I obronimy ich. Ewakuowanie nawet sześćdziesięciu tysięcy obywateli Hegemonii nie wchodzi w rachubę. Powstałby chaos, gdybyśmy puścili trzy miliony ludzi w Sieć. To nie jest możliwe ze względów bezpieczeństwa.

– A Chyżwar? – zapytał Leigh Hunt.

– Względy bezpieczeństwa – powtórzył generał Morpurgo. Wstał, odebrał wskaźnik Yaniemu. Młody człowiek stał przez sekundę, niezdecydowany, nie mogąc znaleźć miejsca, które mógłby zająć. Wreszcie przeszedł na tył sali i stanął w pozycji „spocznij” obok mnie. Wpatrywał się w punkt na suficie. Pewnie był to punkt kończący jego karierę wojskową.

– Dywizja uderzeniowa 87.2 weszła w system – powiedział Morpurgo. – Intruzi wycofali się w kierunku środka swojego roju, około sześćdziesięciu jednostek odległości od Hyperiona. System jest bezpieczny pod każdym względem. Hyperion też jest bezpieczny. Oczekujemy kontrataku, ale wiemy, że będziemy w stanie go odeprzeć. I znów – pod każdym względem, Hyperion stanowi część Sieci. Są pytania?

Zapanowała cisza. Meina Gladstone opuściła zebranie wraz z Leighiem Huntem, stadkiem senatorów i pomocników. Szychy wojskowe stłoczyły się grawitując ku najwyższemu szarżom. Adiutanci rozeszli się po sali. Tych kilku reporterów, których dopuszczono do obrad, wybiegło do swoich zespołów czekających na zewnątrz z kamerami. Młody pułkownik Yani pozostał w pozycji „spocznij”. Miał bladą twarz i rozbiegane oczy.

Siedziałem przez chwilę, przyglądając się holograficznej mapie Hyperiona. Z tej odległości Equus jeszcze bardziej przypominał konia. Ze swego miejsca mogłem odróżnić Góry Cugielne i żółtopomarańczowo zabarwioną pustynię pod końskim „okiem”. Na północny wschód od gór nie było zaznaczonych pozycji obronnych Armii. Nie dostrzegłem żadnych znaków, poza maleńką czerwoną plamką, która mogła okazać się opustoszałym Miastem Poetów. Grobowców Czasu nie zaznaczono wcale. Wyglądało to tak; jakby nie liczyły się z wojskowego punktu widzenia, jakby nie odgrywały żadnej roli w zmaganiach. Ale coś mi mówiło, że jest inaczej. Coś mi mówiło, że cała ta wojna, losy mil fonów – może miliardów – zależą od czynów sześciorga ludzi pielgrzymujących po tej żółtopomarańczowej plamce.

Złożyłem szkicownik, poupychałem ołówki po kieszeniach i opuściłem pomieszczenie.

Leigh Hunt spotkał mnie w jednym z długich korytarzy prowadzących do głównego wyjścia.

– Pan wychodzi?

– A nie wolno mi?

Hunt uśmiechnął się, jeśli wygięcie jego cienkich ust w górę można było nazwać uśmiechem:

– Oczywiście, M. Severn. Ale CEO Gladstone prosiła, żebym powiedział panu, że chciałyby z panem znowu porozmawiać. Dziś po południu.

– Kiedy?

Hunt wzruszył ramionami.

– O dowolnej porze po jej przemówieniu. Jak panu będzie wygodniej.

Skinąłem głową. Dosłownie miliony lobbistów, ludzi szukających zajęcia, niedoszłych biografów, biznesmenów, fanów CEO i potencjalnych zamachowców oddałoby wiele za minutę spędzoną z najbardziej popularną prrywódczynią Hegemonii, za kilka sekund z CEO Gladstone, a ja mogłem się z nią widzieć, kiedy mi „będzie wygodniej”. I niech mi kto spróbuje wmówić, że Wszechświat nie zwariował.

Przemknąłem koło Hunta i skierowałem się do frontowych drzwi.

Wedle tradycji, w budynku rządowym nie było portali transmisyjnych. Należało wyjść przez bramki bezpieczeństwa głównej bramy i przedostać się przez ogród do niskiego białego budynku, służącego jako centrum prasowe i terminal. Dziennikarze zgro-



madzili się wokół głównego studia, w którym znajoma twarz Lewellyna Drake'a, „głosu WszechJedności”, stanowiła tło dla przemówienia CEO Gladstone. Przemówienia „niezwykłej wagi dla Hegemonii”. Kiwnąłem głową w ich kierunku, znalazłem nie używany portal, okazałem kartę uniwersalną i udałem się na poszukiwanie baru.

Wielki Trakt, gdy się już do niego dotarło, był jedynym miejscem w Sieci, z którego można się teleportować za darmo. Każda z planet Sieci przeznaczała co najmniej jeden ze swoich najpiękniejszych komponentów mieszkalnych TC2 na ten cel, dwadzieścia trzy zaś na zakupy, rozrywkę, luksusowe restauracje i bary. Szczególnie bary.

Podobnie jak rzeka Tetydy, Wielki Trakt rozciągał się pomiędzy wzniesionymi według wzorów wojskowych, wysokimi na dwieście metrów portalami transmisyjnymi. Dawało to efekt nie kończącej się głównej alei, stukilometrowego torusa uciech doczesnych. Można było stanąć, tak jak ja tego ranka, pod jaskrawym słońcem Tau Ceti i spojrzeć na rozświetloną neonami i hologramami główną aleję Deneb Drei, rzucić okiem na stukondygnacyjny Centralny Pasaż Lususa, wiedząc zarazem, że pod nim leżą cieniste butiki Bożej Kniei z ich wykładanymi cegłą uliczkami i windami na szczyty drzew. Były to najdroższe jadłodajnie w Sieci.

Nic mnie to nie obchodziło. Chciałem po prostu znaleźć zaciszny bar. W barach na TC2 było pełno biurokratów, dziennikarzy i biznesmenów, więc złapałem jeden z promów Wielkiego Traktu i wysiadłem z niego dopiero na głównym deptaku Septetu Sol Draconi. Wielu odstraszała grawitacja – odstraszała i mnie – ale to oznaczało, że bary były tu mniej przepełnione.

Wybrałem lokal na parterze, niemal całkowicie ukryty pod wspornikami i przęsłami głównego pasażu handlowego. W środku panowały ciemności: ciemne ściany, ciemne drewno, ciemni bywalcy ich skóra była równie czarna jak moja biała. Niezłe miejsce, żeby sobie wypić. Toteż zacząłem od podwójnego skocza.

Nawet tutaj nie mogłem się uwolnić od Meiny Gladstone. Po drugiej stronie salki płaskoekranowy telewizor ukazywał twarz CEO na niebiesko – złotym tle, które pojawiało się przy jej wystąpieniach wagi państwowej. Kilku pijących zebrało się, żeby oglądać transmisję. Słyszałem urywki przemówienia: „...by zapewnić bezpieczeństwo obywatelom Hegemonii i... nie wolno dopuścić do zachwiania bezpieczeństwa Sieci i jej sojuszników... z tego powodu zaaprobowaliśmy użycie siły militarnej...”

– Ściszcie to draństwo! – zbaraniałem, gdy zdałem sobie sprawę, że to ja krzyczę. Goście spojrzeli na mnie przez ramię, ale ściszyli odbiornik. Przez chwilę patrzyłem; jak Meina Gladstone porusza wargami, i machnąłem na barmana, żeby nalał mi jeszcze jednego.

Jakiś czas później – mogło minąć kilka godzin – podniosłem wzrok znad szklanki i uświadomiłem sobie, że naprzeciwko mnie, w ciemnej wnęce ktoś siedzi. W półmroku dłuższą chwilę przypatrywałem się postaci. Pomyślałem, że to Fanny, i serce przez chwilę biło mi mocniej. Ale spojrzałem jeszcze raz i rozpoznałem lady Philomel.

Nadal miała na sobie ciemnobłękitną sukienkę, w której widziałem ją przy śniadaniu. Zdawało mi się, że teraz dekolt jest jeszcze głębszy. Twarz i ramiona zdawały się promieniować światłem w gęstym półmroku.

– M. Severn – powiedziała nieomal szeptem. – Przybyłam, by uwolnić pana od obietnicy.

– Obietnicy? – Kiwnąłem na barmana, ale nie zareagował. Ściągnąłem brwi i spojrzałem na Dianę Philomel. – Jakiej obietnicy?

– Że mnie pan narysuje, rzecz jasna. Czy zapomniał pan, co mi obiecał na przyjęciu?

Strzeliłem palcami, ale bezczelny barman nadal nie raczył spojrzeć w moim kierunku.

– Przecież narysowałem panią.

– Tak – odparła. – Ale nie całą.



Westchnąłem i wysączyłem resztkę skocza.

– Piję – oświadczyłem.

– Widzę – uśmiechnęła się lady Philomel.

Zbierałem się, żeby wstać i podejść do barmana. Przemyślałem to i spokojnie opadłem na wytarte, drewniane siedzenie ławki.

– Armagedon – powiedziałem. – Bawią się w Armagedon. – Popatrzyłem na kobietę uważniej, mrużąc oczy, żeby lepiej widzieć. Zna pani to słowo?

– Nie sądzę, żeby podał panu jeszcze choć kroplę alkoholu – stwierdziła. – U siebie mam drinki. Napij się, kiedy będziesz rysował.

Znów zmrużyłem oczy, tym razem chytrze. Mogłem wypić kilka szklaneczek za dużo, ale nie odebrało mi to umiejętności myślenia.

– Mąż – zwróciłem jej uwagę.

Diana Philomel znów uśmiechnęła się promiennie.

– Przez kilka dni będzie w budynku rządowym – tym razem naprawdę szeptała. – Nie może pozostawać za daleko od źródła władzy w tak ważnej chwili. Chodź. Mój pojazd jest tuż pod drzwiami.

Nie pamiętam, czy płaciłem. Ale chyba tak. Albo zrobiła to lady Philomel. Nie pamiętam, czy wyprowadzała mnie na zewnątrz. Ale chyba ktoś to zrobił. Zapewne szofer. Pamiętam mężczyznę w szarym uniformie. Pamiętam, jak się o niego opierałem.

EMV miał szklane, bańkowate nadwozie. Z zewnątrz polaryzują cy, ale całkiem przezroczysty od środka. Usiedliśmy na głębokich sofach. Naliczyłem jeden, dwa portale i byliśmy hen, daleko od Traktu. Nabieraliśmy wysokości nad niebieskimi błoniami. Nad nami rozpościerało się żółte niebo. Piękne domy zbudowane z hebanu rozrzucone były na pagórkach okrążonych przez pola maku i brązowe jeziora. Jesteśmy na Renesansie? To dla mnie zbyt trudna łamigłówka, więc oparłem głowę o szklaną ściankę i postanowiłem trochę odpocząć. Musiałem być wypoczęty, żeby rysować lady Philomel... he, he.

Pod nami przemykały krajobrazy.



Pułkownik Fedmahn Kassad poszedł za Brawne Lamią i ojcem Hoytem. Przedzierał się przez burzę piaskową w stronę Nefrytowego Grobowca. Okłamał Lamię: jego przyłbica noktowizyjna i czujniki działały dobrze, mimo błędzących wokół nich wyładowań. Pójście w ślady tych dwojga stanowiło najlepszy sposób na znalezienie Chyżwara. Kassad przypomniał sobie polowanie na lwy skalne na Hebronie – przywiązywało się kozę i czekało.

Dane z czujników, które rozstawił wokół obozowiska, migotały na przenośnym ekranie Kassada i pbszeptywały przez implant. Pozostawienie bez ochrony – nie licząc automatycznych alarmów Weintrauba z córeczką, Martina Silenusa i konsula było skalkulowanym ryzykiem. Ale Kassad miał poważne wątpliwości, czy jego obecność mogłaby powstrzymać Chyżwara. Śpiący są właśnie ową uwiązaną kozą. Czekali na monstrum. Kassad chciał koniecznie przed śmiercią odszukać kobietę – fantoma o imieniu Moneta.

Wiatr ciągle się wzmaczał. Gwizdał Kassadowi koło uszu, ograniczał widoczność do zera i bombardował samoutwardzalną zbroję. Wydmy żarzyły się wyładowaniami, miniaturowe błyskawice przelatywały mu wokół nóg, gdy kroczył pośpiesznie, by nie stracić ciepłego śladu Lamii. Napływały informacje z jej komlogu. Hoyt zamknął kanały nadawania. Wiadomo było tylko tyle, że żyje i że się porusza.

Kassad przeszedł pod rozpostartymi skrzydłami Sfinksa, czuł niewidzialny ciężar zwisający nad nim jak wielki buciur. Potem skręcił w dolinę, ujrzał Nefrytowy Grobowiec jako zimny zarys, brakowało ciepła na obrazie w podczerwieni. Hoyt właśnie zniknął w półkolistym wejściu; Lamia szła dwadzieścia metrów za nim. Poza tym nic nie poruszało się w dolinie. Czujniki wokół obozowiska, skryte przez noc i burzę, informowały Kassada, że Sol i niemowlę śpią, konsul czuwa, ale leży bez ruchu. Nic więcej się nie działo.

Kassad odbezpieczył broń i przyśpieszył kroku, stawiał wielkie kroki. Oddałby teraz wszystko za dostęp do danych satelity obserwacyjnego. Fragmentaryczne dane go nie zadowalały. Wzruszył ramionami pod zbroją i szedł dalej.

Brawne Lamia ledwie była w stanie pokonać ostatnie piętnaście metrów dzielące ją od Nefrytowego Grobowca. Wiatr osiągnął siłę huraganu. Popychał ją z taką mocą, że dwukrotnie straciła grunt pod nogami i wywróciła się jak długa w piasek. Błyskawice rozdzierały niebo jak wielkie wybuchy, oświetlając emanujący poświatą grobowiec. Dwa razy próbowała wezwać Hoyta, Kassada albo innych. Była pewna, że w obozie nikt nie śpi, ale jej komlog oraz implant odbierały tylko statyczny szum. Po drugim upadku Lamia stanęła na czworakach i rozejrzała się; nie było śladu po Hoycie. Tylko u wejścia do grobowca mignęła jakaś postać.

Lamia chwyciła rękojeść automatycznego pistoletu ojca, wstała i pozwoliła, żeby wiatr pchał ją przez ostatnie metry. Zatrzymała się tuż u wejścia.

Czy to ze względu na burzę i wyładowania, czy z jakiegoś innego powodu Nefrytowego Grobowiec promieniował jasnym, gryzącym zielonym światłem, które zabarwiało wydmy i sprawiało, że jej przeguby i dłonie wyglądały, jakby przed chwilą wstała z grobu. Po raz ostatni próbowała wywołać kogoś na komlogu i weszła do grobowca.

Ojciec Lenar Hoyt, z liczącego tysiąc dwieście lat Towarzystwa Jezusowego, rezydent Nowego Watykanu na Pacem i lojalny sługa Jego Świątobliwości, Papieża Urbana XVI, bluzgał sprośnymi przekleństwami.

Pochłonał go straszliwy ból. Szerokie sale u wejścia do grobowca zwężyły się, a korytarz zapętlił tyle razy, że ojciec Hoyt zgubił drogę. Błądził pomiędzy zielonkawymi ścianami w labiryncie, którego nie przypominał sobie ani z czasów eksploracji grobowca, ani z map pozostawionych w obozie.

Ból, który mu towarzyszył, odkąd plemię Bikurów wszczepiło mu dwa krzyże, jego



własny i Paula Dure – teraz wzmógł się, przywodził go nieomal do szaleństwa.

Korytarz znów się zwężił. Lenar Hoyt wrzeszczał. Nie był już tego świadom. Nie był już świadom słów, które wykrzykuje – słów, których nie używał od dzieciństwa. Pragnął ulgi. Ulgi od bólu. Ulgi od dźwigania DNA ojca Dure, jego osobowości... duszy... w krzyżokształtnym pasożycie, którego dźwigał na grzbiecie. I od tego własnego przekleństwa, od własnego plugawego zmartwychwstania krzyżokształtu w piersi.

Ale nawet teraz Hoyt wiedział, że to nie wymarli Bikurowie rzucili na niego klątwę bólu. To zagubione plemię kolonistów, zidiociałych od nieskończonych zmartwychwstań, te kreatury będące zaledwie nosicielami DNA własnego i pasożytniczego, są także kapłanami... kapłanami Chyżwara.

Ojciec Hoyt z Towarzystwa Jezusowego niósł ampułkę wody święconej pobłogosławionej przez Jego Świątobliwość, Eucharystię konsekrowaną w czasie wielkiej mszy i kopię starożytnego egzorcyzmu. Wszystko to, zaspawane w bańce perspexu, tkwiło teraz zapomniane w kieszeni peleryny ojca.

Hoyt odbił się od ściany i znów zawył. Ból był teraz nie do opisania. Nie pomagała ampułka ultramorfu, który Wstrzyknął sobie przed piętnastoma minutami. Ojciec Hoyt krzyczał i szarpał na sobie ubranie. Zerwał ciężką pelerynę, czarny garnitur i koloratkę, spodnie, koszulę i bieliznę. Był nagi. Drżał z bólu i zimna w jarzących się korytarzach Nefrytowego Grobowca i wykrzykiwał sprośne przekleństwa.

Znów powłókł się naprzód, znalazł przejście i wtoczył się do sali większej niż jakakolwiek zapamiętana z dni spędzonych tu przed laty. Wokół pustej przestrzeni wznosiły się nagie, przeświecające ściany. Hoyt opadł na dłonie i kolana. Spojrzał w dół i stwierdził, że podłoga stała się nieomal przezroczysta. Patrzył w pionową sztolnię pod cienką membraną podłogi. Sztolnia miała kilometr albo więcej głębokości. Na jej dnie szalały płomienie. Salę wypełniało czerwono – pomarańczowe pulsujące światło – odbicie ognia z otchłani.

Hoyt przetoczył się na bok i roześmiał się głośno. Jeśli to jest jakiś obraz piekła wywołany na jego użytek, to szkoda się było trudzić. Piekło – to według Hoyta ból, który włada jego ciałem, przesuając się w żyłach i wnętrznościach jak drut kolczasty. Piekło to także wspomnienie głodujących dzieci w slumsach Armaghastu i uśmiech polityków wysyłających młodych chłopców, żeby ginęli na wojnach kolonialnych. Piekło to myśl, że za jego życia umiera Kościół, że dzieje się to za życia ostatnich wiernych – garstki starych ludzi, którzy byliby w stanie wypełnić tylko kilka ławek w ogromnych katedrach na Pacem. Piekło to hipokryzja odprawiania porannej mszy ze złem w kształcie krzyża, które pulsuje ciepłem w okolicach serca.

Gorące powietrze zadrgało i Hoyt zobaczył, jak część podłogi odsuwa się tworząc otwór wiodący do szybu. Sala wypełniła się odorem siarki. Hoyt roześmiał się z tego stereotypu, ale w ciągu kilku sekund śmiech przeszedł w łkanie. Klęczał, rozdrapując zakrwawionymi paznokciami krzyżokształty na piersi i plecach. Przecinające się pręgi na jego ciele zdawały się żarzyć w czerwonym świetle. Hoyt słyszał huk płomieni w otchłani.

– Hoyt!

Ciągle szlochając odwrócił się i zobaczył kobietę. Była to Lamia. Stała w wejściu. Patrzyła przed siebie, nad jego głową. Trzymała w rękach stary pistolet. Oczy miała szeroko otwarte.

Ojciec Hoyt poczuł za sobą gorąco, słyszał ryk dobywający się jakby z odległego pieca hutniczego. Nagle usłyszał zgrzytanie metalu o kamień. Kroki. Odwrócił się, ciągle wpijając się paznokciami w pręgę na ciele. Kamienna podłoga otarła mu kolana do żywego mięsa.

Najpierw zobaczył cień: dziesięć metrów ostrych kątów, kolców, brzytw... nogi jak stalowe rury z szablasytymi rozetami wokół kolan i kostek. Potem, przez pulsację gorącego światła i czarnego cienia, Hoyt dostrzegł oczy. Sto powierzchni... tysiąc... żarzących się czerwono jak bliźniacze lasery. Osadzone nad kołnierzem ze stalowych cierni



i rtęciową klatką piersiową odbijającą płomień i cień...

Brawne Lamia strzelała z pistoletu ojca. Odgłos strzałów odbijał się echem. Słysząc go było ponad rykiem piekielnych płomieni. Ojciec Hoyt odwrócił się szybko w jej kierunku, uniósł dłoń.

– Nie, nie rób tego! – krzyknął. – To wypełnia jedno życzenie! Muszę...

Chyżwar, który był t a m – odległy o pięć metrów – nagle znalazł się t u t a j, na wyciągnięcie ręki od Hoyta. Lamia przestała strzelać. Hoyt spojrział w górę. Zobaczył własne odbicie w chromowym korpusie stwora... w tej samej chwili dostrzegł coś innego w oczach Chyżwara... a potem istota zniknęła. Hoyt powoli podniósł rękę, dotknął krtań, przez chwilę gapił się na kaskadę czerwieni pokrywającą rękę, pierś, krzyżoszczał, brzuch...

Odwrócił się w stronę wejścia. Zobaczył Lamię. Ciągle patrzyła, przerażona i zszokowana. Tym razem patrzyła na niego, nie na Chyżwara, lecz na ojca Hoyta z Towarzystwa Jezusowego. W tym momencie zdał sobie sprawę, że ból zniknął. Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale wydobył się z nich tylko gejzer czerwieni. Hoyt spojrział jeszcze raz w dół. Dopiero teraz zauważył, że jest nagi, spostrzegł krew kapiącą z podbródka i piersi. Spływała na czarną teraz podłogę. Wyglądało to tak, jakby ktoś przewrócił kubek z czerwoną farbą. A potem nie widział już nic. Upadł na twarz. Zapadał się w dół...



Ciało Diany Philomel było perfekcyjne – ostatni krzyk nauki medycznej i sztuki AR-Nistów. Po przebudzeniu leżałem przez kilka minut w łóżku i podziwiałem jej kształty: klasyczne załamania pleców i bioder – geometrię piękniejszą i mocniejszą niż cokolwiek z tego, co odkrył Euklides. Dwa dołeczki u dołu pleców, tuż nad zatrzymującymi dech w piersiach pośladkami, uda bardziej zmysłowe, niż jakikolwiek szczegół męskiej anatomii mógłby marzyć.

Lady Diana spała, a przynajmniej tak wyglądała. Nasze ubrania leżały rozrzucone na wielkim zielonym dywanie. Gęste, karmazynowoniebieskie światło wpadało przez szerokie okno, przez które widać było szare i złote wierzchołki drzew. Wokół, zmieszane z naszymi ubraniami, wały się wielkie kartony rysunkowe. Nachyliłem się, podniosłem jedną z kart. Zobaczyłem naszkicowane w pośpiechu piersi, uda, naprędcę poprawione ramię i twarz bez rysów. Portret rysowany po pijanemu, w trakcie uwodzenia, nigdy nie osiągnie wyżyn mistrzostwa. Jęknąłem, przetoczyłem się na plecy i zacząłem studiować woluty na suficie. Gdyby kobietą leżącą obok mnie była Fanny, mógłbym już zostać w takiej pozycji. Ale stało się inaczej. Wyślizgnąłem się spod prześcieradeł, odszukałem swój komlog, stwierdziłem, że w Centrum Tau Ceti jest wczesny ranek – czternaście godzin po niedoszłym spotkaniu z CEO – i poczłapałem do łazienki w poszukiwaniu pigułek na kaca.

W szkatułce z medykamentami znalazłem duży wybór lekarstw. Obok zwyczajnej aspiryny i endorfinów zobaczyłem stymulatory, trankwilizatory, tubki ze sztucznymi wspomnieniami, kremy na orgazm, inhalatory kanabisu, bezdymne papierosy i sto innych, nie znanych mi środków. Znalazłem szklanekę i wmusiłem w siebie dwie pigułki odtruwające. Czułem, że odruch wymiotny i ból głowy ustępują w ciągu sekund.

Kiedy wyłoniłem się z łazienki, lady Diana już nie spała. Siedziała na łóżku naga. Już chciałem się uśmiechnąć, kiedy zobaczyłem dwóch mężczyzn przy drzwiach. Żaden z nich nie był jej mężem, chociaż obaj równie jak on wysocy i obaj, podobnie jak on, nie mieli szyi, za to łapska wielkie jak bochny, a podbródki czarne od zarostu. Reprezentowali typ, który Hermund Philomel doprowadził do perfekcji.

W odwiecznym teatrze historii ludzkości byli, jak sądzę, mężczyźni, którzy, nadzy i zaskoczeni, w obliczu dwóch ubranych i zapewne wrogo nastawionych, obcych rywali wytrzymałoby bez garbienia się, zakrywania genitaliów, bez poczucia słabości.

Ja nie należałem do tego gatunku.

Zgarbiłem się, zakryłem krocze, wycofałem się do łazienki.

– Co... kto...? – wyjąkałem. Popatrzyłem w stronę Diany Philomel szukając u niej pomocy. Zobaczyłem uśmiech na jej twarzy. Uśmiech równie bezlitosny jak wyraz oczu.

– Brać go. Szybko! – powiedziała moja przelotna kochanka.

Uciekłem do łazienki. Sięgałem do klamki, gdy jeden z mężczyzn dopadł mnie, schwytał, popchnął z powrotem do sypialni i rzucił partnerowi. Obaj musieli pochodzić z Lususa albo innej planety o równie silnej grawitacji. Albo ich dieta składała się wyłącznie ze steroidów i komórek Samsona. Obracali mną bez wysiłku. Mniejsza o ich rozmiary. W moim życiu... wspomnieniach o moim życiu... zaliczyłem tylko krótki okres walk na podwórku szkolnym. I bardzo rzadko wychodziłem z nich jako zwycięzca. Jedno spojrzenie na tych ludzi – wyraźnie robiących sobie ze mnie zabawę – wystarczyło, żeby zdać sobie sprawę, że należą do gatunku, o którym się czyta, ale nie bardzo wierzy w jego istnienie. Były to typy potrafiące gruchotać kości, robić z nosa pędzel, wyłamywać stawy kolanowe z równą swobodą, z jaką ja wyrzucałem popsute piórka.

– Szybko! – powtórnie syknęła Diana.

Przejrzałem datasferę, pamięć domu, źródło danych komlogu Diany, cienkie łącza informatyczne obu drabów. Teraz wiedziałem, gdzie jestem: w posiadłości wiejskiej Philomelów, sześćset kilometrów od stolicy Pirre, w rolniczym pasie ziemiopodobnej



planety Renesans. Wiedziałem też, kim byli ci ludzie – Debro Farrus i Hemmit Gorma z ochrony fabryki Związku Czyścicieli BramyNiebios. Nie miałem jednak pojęcia, dlaczego jeden z nich siedzi na mnie wbijając mi kolano w lędźwie, a drugi bierze mój komlog pod obcasy i zakłada kajdanki osmotyczne na nadgarstki.

Usłyszałem syk i odprężyłem się.

– Jak się nazywasz?

– Joseph Severn.

– Czy to twoje prawdziwe nazwisko?

– Nie. – Czuję działanie serum prawdy. Mogłem mu się oprzeć jedynie poprzez ucieczkę do datasfery albo całkowite wycofanie się do Centrum. Ale to oznaczałoby pozostawienie ciała na łaskę tych, którzy zadawali pytania. Zostałem. Miałem zamknięte oczy, ale rozpoznałem głos.

– Kim jesteś? – zapytała Diana.

Westchnąłem. To było trudne pytanie, jeśli chciało się uczciwie na nie odpowiedzieć.

– Jestem John Keats – odparłem po namyśle. Ich milczenie powiedziało mi, że nazwisko nic im nie mówi. A dlaczego by miało coś im powiedzieć? – zapytałem się w duchu. Przepowiedziałem sobie niegdyś, że imię to będzie „napisane na wodzie”. Nie mogłem otworzyć oczu, ale nie miałem kłopotów z dotarciem do datasfery i prześledzeniem ich wektorów dostępu. Imię poety znajdowało się pośród ośmiuset innych Johnów Keatsów z listy podanej im przez ogólnie dostępny plik. Ale ich, najwyraźniej, nie interesował ktoś, kto zmarł dziewięćset lat temu.

– Dla kogo pracujesz? – usłyszałem głos Hermunda Philomela. Byłem lekko zaskoczony.

– Dla nikogo.

Głosy zmieniły barwę, kiedy zaczęli rozmawiać między sobą.

– Czy może się oprzeć działaniu narkotyku?

– Nikt nie może się temu oprzeć – powiedziała Diana. – Umierają czasem, ale oprzeć się nie mogą.

– Więc co się dzieje? – zapytał Hermund. – Dlaczego Meina Gladstone zapraszałaby jakieś zero na zebranie Rady w przededniu wojny?

– Uważaj, może cię słyszeć – powiedział inny męski głos. Był to jeden z drabów.

– To nie ma znaczenia – stwierdziła Diana. – I tak nie przeżyje przesłuchania. – Potem odezwała się bezpośrednio do mnie: – Dlaczego CEO zaprosiła cię na posiedzenie Rady... John?

– Nie jestem pewien. Może dlatego, żeby usłyszeć coś o pielgrzymach.

– Jakich pielgrzymach, John?

– Pielgrzymach do Chyżwara.

Ktoś coś powiedział.

– Ćśś – uciszyła go Diana Philomel, a mnie zapytała: – Czy ci pielgrzymi są na Hyperionie, John?

– Tak.

– Czy pielgrzymka odbywa się teraz?

– Tak.

– A dlaczego Meina Gladstone pytała cię o nich?

– Bo o nich śnię.

– On jest szalony – skonstatował z niesmakiem Hermund. – Nawet pod wpływem serum nie wie, kim jest. Teraz karmi nas tymi mrzonkami. Skończmy z tym i...

– Zamknij się – przerwała mu lady Diana. – Meina Gladstone nie jest szalona. Zaprosiła go, pamiętasz? John, co miałeś na myśli mówiąc, że śnisz o nich?

– Śnię impresje pierwszej zrekonstruowanej osoby Keatsa – wyjaśniłem. Mówiłem głębokim głosem, jakby we śnie. – Keats zakodował się w jednym z pielgrzymów, kiedy zamordowano jego ciało. Teraz błądzi w ich mikrosferze. Jakoś tak się dzieje,



że jego wrażenia są moimi snami. Być może, on z kolei śni to, co ja robię. Nie wiem.

- Szaleństwo – powiedział Hermund.
- Nie, nie – odparła lady Diana. Jej głos był pełen napięcia, prawie przerażony. – John, czy jesteś cybrydem?
- Tak.
- Och, Chryste i Allahu – westchnęła Diana.
- Co to jest cybryd? – zapytał jeden z osiłków. Miał wysoki, prawie kobiecy głos. Na chwilę zapadła cisza. Potem Diana wysyczała:
- Idioto. Cybrydy były zdalnie sterowanymi ludźmi stworzonymi przez Centrum. Było ich kilka w Radzie jeszcze w ubiegłym stuleciu. Wtedy zostały wyjęte spod prawa.
- Jak androidy i tym podobne? – zapytał drugi oprych.
- Zamknij się – powiedział Hermund.
- Nie – odparła Diana. – Cybrydy genetycznie były perfekcyjnie wykonane, wyczesane z DNA pochodzącego ze Starej Ziemi. Wystarczyła kość... kawałek włosa... John, słyszysz mnie?
- Tak.
- John, jesteś cybrydem... czy wiesz, kto był twoim archetypem?
- John Keats.

Usłyszałem głębokie westchnienie.

- Kim jest... był... John Keats?
- Poetą.
- Kiedy żył?
- Od 1795 do 1821 – odparłem.
- Według jakiego kalendarza?
- Starej Ziemi, A.D. Przed hegirą. Era nowożytna...
- John, czy ty... czy masz teraz kontakt z TechnoCentrum? – zapytał podniecony Hermund.
- Tak.
- Czy możesz... czy możesz swobodnie się z nim łączyć mimo serum prawdy?
- Tak.
- O, do diabła – zaklął drab o wysokim głosie.
- Musimy się stąd wynosić – warknął Hermund.
- Jeszcze minutkę – powiedziała Diana. – Musimy się dowiedzieć...
- Czy możemy zabrać go z sobą? – zapytał osiłek o głębokim głosie.
- Idiota – stwierdził Hermund. – Jeśli żyje i ma kontakt z datasferą i Centrum... do diabła, on mieszka w Centrum. Tam jest jego umysł... może dać znać Meinie Gladstone, Oddziałowi Wykonawczemu. Armii każdemu!
- Zamknij się – zezłościła się lady Diana. – Zabijemy go, kiedy tylko skończę. Jeszcze kilka pytań. John?
- Tak.
- Dlaczego Gladstone chce wiedzieć, co się dzieje z pielgrzymami do Chyżwara? Czy to ma coś wspólnego z wojną, z Intruzami?
- Nie jestem pewien.
- Cholera – szepnął Hermund. – Chodźmy już.
- Spokój. John, skąd jesteś?
- Przez ostatnie dziesięć miesięcy mieszkałem na Esperance.
- A przedtem?
- Przedtem na Ziemi.
- Na której Ziemi? – zapytał Hermund. – Nowej Ziemi? Drugiej Ziemi? W Mieście Ziemia? Gdzie?
- Na Ziemi – powtórzyłem. Potem przypomniałem sobie. – Na Starej Ziemi.
- Stara Ziemia? – zdziwił się jeden z drabów. – To jest porąbane. Zmywam się stąd. Dobiegł mnie syk broni laserowej. Jakby ktoś smażył bekon. Poczuję zapach słod-



szy od bekonu. Potem rozległo się ciężkie uderzenie.

– John, czy mówisz o życiu swojego archetypu na Starej Ziemi? – zapytała Diana Philomel.

– Nie.

– Ty jako cybryd byłeś na Starej Ziemi?

– Tak – odpowiedziałem. – Przebudziłem się tam ze śmierci. W tym samym pokoju na Piazza di Spagna, w którym umarłem. Severna tam nie było, ale był doktor Clark i niektórzy inni...

– On zwariował – zaopiniował Hermund. – Stara Ziemia została zniszczona przed ponad czterystu laty... chyba że cybrydy mogą żyć dłużej...?

– Nie – warknęła lady Diana. – Zamknij się i daj mi skończyć. John, dlaczego Centrum... sprowadziło cię z powrotem?

– Nie jestem pewien.

– Czy to ma coś wspólnego z wojną domową między Sztucznymi Inteligencjami?

– Może – powiedziałem. – Prawdopodobnie. – Zadawała interesujące pytania.

– Która grupa cię stworzyła? Ulymacy, Stabilni czy Gwałtowni?

– Nie wiem.

Usłyszałem zirytowane westchnienie.

– John, czy powiadomiłeś kogoś o tym, gdzie jesteś i co się z tobą dzieje?

– Nie – odparłem. Nie świadczyło to za dobrze o inteligencji lady, że tak długo zwlekała z tym pytaniem.

Hermund także odetchnął.

– Świetnie – rzekł. – Zmiaatajmy stąd, zanim...

– John – przerwała mu Diana. – Czy wiesz, dlaczego Meina Gladstone wywołała wojnę z Intruzami?

– Nie. Albo raczej powodów mogło być wiele. Najbardziej prawdopodobne jest, że to jej karta przetargowa w układach z Centrum.

– Jak to?

– Elementy wchodzące w skład kierownictwa ROM Centrum boją się Hyperiona – odparłem. – Hyperion jest nieznaną zmienną w Galaktyce, w której wszystkie inne zmienne zostały oszacowane.

– Kto się boi, John? Ulymacy, Stabilni, czy Gwałtowni? Która grupa SI boi się Hyperiona?

– Wszystkie trzy.

– Cholera – wyszeptał Hermund. – Słuchaj... John... Czy Grobowce Czasu i Chyżwar mają coś wspólnego z tym wszystkim?

– Tak, mają z tym wiele wspólnego.

– Jak to? – zapytała Diana.

– Nie wiem. Nikt tego nie wie.

Hermund, albo ktoś inny, uderzył mnie ostro, złośliwie w żebra.

– Chcesz powiedzieć, że pieprzone Ciało Doradcze Centrum nie przepowiedziało wyniku tej wojny, tych wydarzeń?! – ryknął Hermund. – Sądzisz, że ci uwierzę, że Meina Gladstone i Senat rozpoczęli wojnę bez przepowiedni prawdopodobieństwa?

– Nie – zaprzeczyłem. – To było przepowiedziane od stuleci.

Diana Philomel wydała dźwięk jak dziecko, któremu pokazano górę słodyczy.

– Co zostało przepowiedziane, John? Opowiedz nam wszystko.

Po serum prawdy zaschło mi w ustach.

– Przewidziana była wojna. Tożsamość pielgrzymów do Chyżwara. Zdrada konsula Hegemonii poprzez uruchomienie urzędów otwierających Grobowce Czasu. Bliskość plagi Chyżwara. Wynik wojny i Chyżwar...

– Jaki jest wynik, John? – wyszeptała kobieta, z którą kochałem się kilka godzin temu.

– Koniec Hegemonii – wyjawilem. – Zniszczenie Sieci. – Staralem się zwilżyć wargi,



ale język miałem suchy. – Koniec rodzaju ludzkiego.

– O, Jezu i Allahu – wyszeptała Diana. – Czy jest jakaś szansa, że przepowiednia jest błędna?

– Nie – odpowiedziałem. – Albo raczej jedynie wpływ Hyperiona może to zmienić. Inne zmienne zostały oszacowane.

– Zabić go! – krzyknął Hermund Philomel. – Zabić to... musimy wynieść się stąd i poinformować Harbrita i innych.

– W porządku – zgodziła się lady Diana. – Ale nie, nie laserem, idioto. Wstrzykniemy mu śmiertelną dawkę alkoholu. Tak jak planowaliśmy. Tutaj. Trzymaj kajdanki, żebym mogła przymocować kroplówkę.

Poczułem ucisk na prawym ramieniu. W sekundę później rozległy się eksplozje i krzyk. Poczułem dym i zjonizowane powietrze. Krzyczała jakaś kobieta.

– Zdjąć mu kajdanki – powiedział Leigh Hunt. Widziałem, jak stał nade mną. Ciągle miał na sobie konserwatywny, szary garnitur. Otaczali go komandosi z Grupy Zabezpieczenia. Ubrani w pełne zbroje samoutwardzalne i polimery maskujące. Komandos dwa razy wyższy od Hunta skinął głową, odłożył neurobicz i pośpieszył z wykonaniem rozkazu:

Na jednym z kanałów taktycznych, które monitorowałem już od pewnego czasu, zobaczyłem obraz siebie samego... leżałem nagi, rozpostarty na łóżku, skuty kajdankami osmotycznymi. Na klatce piersiowej nabrzmiewała mi pęga. Diana Philomel, jej mąż i jeden z drabów leżeli nieprzytomni, ale żywi na pokrytej odłamkami szkła podłodze. Drugi ze zbirów był powalony w pobliżu drzwi, górna część jego ciała przypominała kolorem dobrze wysmażony stek.

– Dobrze się pan czuje, M. Severn? – zapytał Leigh Hunt. Podniósł moją głowę i założył mi cienką jak membrana maskę tlenową na nos i usta.

– Hrmmmgh – potaknąłem. – Doobze. – Wynurzałem się na powierzchnię swoich zmysłów jak nurek wydostający się za szybko z głębiny. Bolała mnie strasznie głowa. Żebra piekły jak wszyscy diabli. Ledwie widziałem na oczy, ale przez kanał taktyczny zobaczyłem, że Leigh Hunt ma spazmatycznie wykrzywione wargi, co w jego przypadku stanowiło odpowiednik uśmiechu.

– Pomożemy się panu ubrać – zaproponował. – W locie powrotnym dostanie pan trochę kawy. Wracamy do budynku rządowego, M. Severn. Spóźnił się pan na spotkanie z CEO.



Bitwy kosmiczne na filmach i hologramach zawsze mnie nudziły. Ale obserwowanie prawdziwej wojny niosło ze sobą pewną satysfakcję. To było jak film dokumentalny o seryjnej kolizji komunikacyjnej. Właściwie wydawała mi się mniej ciekawa niż niskobudżetowa holodrama. Tak się działo zapewne od stuleci. Mimo że w starciach kosmicznych zużywano astronomiczne ilości energii, to obserwatora prawdziwej bitwy uderzało to, że przestrzeń jest tak ogromna, a zbudowane przez ludzi okręty, drednoty i inne latające żelastwo tak maleńkie.

A przynajmniej tak sobie myślałem, kiedy siedziałem w Centrum Informacji Taktycznej, w tak zwanej Sali Operacyjnej, wraz z Meina Gladstone i jej wojskowymi szympancami i patrzyłem na ściany, które zmieniły się w dziury sięgające nieskończoności – złudzenie kosmicznej głębi dawały wielkie holoramy otaczające nas z czterech stron. Głośniki napełniały salę transmisjami linii FAT. Słyszeliśmy radiowe pogawędki między myśliwcami, grzechot kanałów dowództwa taktycznego, informacje przesyłane z okrętu na okręt, kanały laserowe, linie bezpieczeństwa FAT i wszystkie krzyki, wrzaski, szloch i nieprzyzwoitości bitwy.

To była inscenizacja totalnego chaosu, funkcjonalna definicja zamieszania, niereżyserowany taniec smutnej przemocy. To była wojna.

Meina Gladstone i grupa jej przybocznych siedzieli pośrodku tego zgiełku. Sala Operacyjna szybowała, jak wykładany szarym dywanem czworokąt, pośród gwiazd i eksplozji. Krawędź Hyperiona, jaskrawy błękit, wypełniała połowę północnej holościany, wrzaski umierających mężczyzn i kobiet huczały w uszach. Okazałem się jednym z tych, których przywilejem i przekleństwem było znaleźć się tutaj i siedzieć przy Meinie Gladstone.

CEO obracała się w swoim fotelu, dotykała palcami dolnej wargi. – Co o tym sądzicie? – zwróciła się do grupy wojskowych. Siedmiu wyorderowanych oficerów popatrzyło jeden na drugiego. A potem sześciu spojrzało jak jeden mąż na generała Morpurgo. Generał żuł nie zapalone cygaro.

– Nie jest dobrze – powiedział. – Trzymamy ich z dala od portalu transmisyjnego... nasza obrona jest tam mocna... ale wepchnęli się za głęboko w obręb systemu.

– Admirale? – zapytała Meina Gladstone, odwracając głowę w stronę wysokiego, chudego człowieka w czarnym uniformie Armii-kosmos.

Admirał Singh dotknął krótko przystrzyżonej brody.

– Generał Morpurgo ma rację. Kampania nie przebiega, jak zaplanowano. – Pokazał ruchem głowy czwartą ścianę, gdzie na tle systemu Hyperiona widniały diagramy – przeważnie elipsoidy, owale i łuki. Niektóre łuki rozrastały się, gdy patrzyliśmy na nie. Jaskrawo niebieskie linie oznaczały trajektorie okrętów Hegemonii. Czerwone ślady należały do Intruzów. Czerwieni było znacznie więcej niż błękitu.

– Oba lotniskowce przydzielone do dywizji szturmowej 42. zostały wyłączone z akcji – powiedział admirał. – „Olympus Shadow” jest zniszczony wraz z całą załogą, a „Neptune Station” poważnie uszkodzony, ale wraca na tereny dokowania po przeciwnej stronie księżyca Hyperiona. Eskortuje go pięć okrętów pomocniczych.

CEO Gladstone pokiwała powoli głową.

– Ilu ludzi było na pokładzie „Olympus Shadow”?

Singh miał brązowe oczy równie wielkie jak oczy CEO, ale brakło mu głębi i smutku oczu Meiny. Przez kilka sekund wytrzymał jej spojrzenie.

– Cztery tysiące dwustu – odparł. – I oddział marines liczący sześciuset żołnierzy. Niektórzy z nich zostali wyokrętowani przy stacji transmittera materii na Hyperionie, więc nie wiemy dokładnie, ilu zostało na okręcie.

Meina Gladstone pokiwała głową. Znowu spojrzała na generała Morpurgo.



– Skąd te niespodziewane trudności, generale?

Morpurgo zachował spokojny wyraz twarzy, ale zdążył już prawie przegryźć cygaro, które trzymał w zębach.

– Mają więcej jednostek bojowych, niż się spodziewaliśmy, CEO. Do tego te ich lansjery... pięcioosobowe łodzie, miniaturowe okręty. Szybsze i lepiej uzbrojone niż nasze myśliwce dalekiego zasięgu... to śmiertelnie kaszające szerszenie. Niszczyliśmy je setkami, ale wystarczy, że jeden się przebije, żeby narobić zamieszania w szyku obronnym floty. Przebiło się więcej:

Senator Kolchev z ósmioma swymi kolegami siedział pod drugiej stronie stołu. Odwrócił fotel, żeby lepiej widzieć mapę taktyczną.

– Wygląda na to, że prawie wylądowali na Hyperionie – powiedział. Jego głos brzmiał szorstko.

– Proszę pamiętać o proporcjach, senatorze – odparł Singh. W rzeczywistości utrzymaliśmy większą część układu. Wszystko w promieniu dziesięciu jednostek AU od słońca Hyperiona należy do nas. Bitwa rozgrywa się za obłokiem Ooerta. Ponadto przegrupowaliśmy się.

– A te czerwone... bańki... nad powierzchnią ekliptyki? – zapytała senator Richeau. Sama nosiła się na czerwono. Była to jedna z rzeczy, która wyróżniała ją spośród innych senatorów.

– Interesujący fortel – odparł Singh. – Rój wyprowadził atak w przybliżeniu trzema tysiącami lansjerów, by dokończyć manewr wzięcia w kleszcze obszaru elektronicznego dywizji uderzeniowej 87.2. Utrzymaliśmy tę przestrzeń, ale można podziwiać spryt...

– Trzy tysiące lansjerów? – Meina Gladstone weszła mu w słowo.

– Tak, proszę pani.

Meina Gladstone uśmiechnęła się. Przestałem szkicować. Jak to dobrze, pomyślałem, że nie do mnie skierowany był ten uśmiech.

– Czyż nie powiedziano nam wczoraj na odprawie, że Intruzi są zdolni do wystawienia sześciuset, siedmiuset jednostek bojowych?

– Meina Gladstone przeniosła wzrok na generała. Uniosła prawą brew.

Generał Morpurgo wyjął cygaro, popatrzył na nie z marsem na czole i wyciągnął kawałek tytoniu z zębów.

– Tak nas poinformował wywiad. Mylili się.

– Czy Rada Konsultacyjna SI maczała palce w tych szacunkach? Wszystkie oczy skierowały się na radcę Albedo. Był perfekcyjnie wykonanym hologramem. Siedział pomiędzy innymi, ręce opierał swobodnie na poręczach fotela. Nie przeświecał, co hologramom zdarzało się częste. Miał pociągłą twarz z wystającymi kośćmi policzkowymi. Jego ruchliwe usta wykrzywiały się w sardonicznym uśmiechu nawet w najpoważniejszych chwilach. Właśnie nadeszła taka chwila.

– Nie, CEO – powiedział radca. – Grupy Konsultacyjnej nie proszono o dokonanie szacunku sił Intruzów.

– Sądziłam – stwierdziła nadal patrząc na Morpurgo – że przedstawione nam szacunki wywiadu Armii uzupełniono o przewidywania Rady.

Generał spojrział groźnie na Albedo.

– Nie, proszę pani. Centrum stwierdziło, że nie ma kontaktu z Intruzami. Uznaliśmy zatem, że ich przewidywania nie będą lepsze od naszych. Skorzystaliśmy natomiast z sieci zespolonej SI, by dokonać własnych obliczeń... – Wpakował sobie obgryzione cygaro z powrotem do ust. Wciągnął policzki. Mówił, trzymając jednocześnie cygaro w zębach. – Czy Rada zrobiłaby to lepiej?

Meina Gladstone popatrzyła na Albedo.

Radca lekko poruszył długimi palcami prawej ręki.

– Nasze szacunki... dotyczące tego roju... przewidywały istnienie czterech do sześciu tysięcy jednostek bojowych.

– Ty... – zaczął Morpurgo, a twarz mu poczerwieniała.



– Nie wspomniał pan o tym w czasie odprawy – przerwała CEO. Ani w trakcie wcześniejszych dyskusji.

Radca Albedo wzruszył ramionami.

– Generał ma rację. Nie mamy kontaktu z Intruzami. Nasze szacunki są bardziej wiarygodne niż szacunki Armii tylko dlatego, że oparte są na innych założeniach. Sieć Szkoły Taktyczno – Historycznej wykonała dobrą robotę. Gdyby zgromadzone tam SI były o stopień bystrzejsze na skali Turinga – Demmlera, wprowadzilibyśmy je do Centrum.. – Jeszcze raz wykonał wdzięczny ruch ręką. – W tej sytuacji, założenia Centrum mogłyby zostać użyte w przyszłości. Oczywiście, w każdej chwili nimi służymy.

– Zróbcie to natychmiast – zarządziła Meina Gladstone.

Odwróciła się tyłem do ekranu. Inni zrobili tak samo. Monitory na sali zanotowały nagłą ciszę, podkręcono więc głośniki. I znów mogliśmy słuchać okrzyków zwycięstwa, wołań o pomoc i spokojnie recytowanych pozycji, kierunków ognia i rozkazów.

Najbliższa ściana przedstawiała widok w czasie rzeczywistym, odbierany z okrętu pomocniczego HS „N’Djamena”. Okręt poszukiwał rozbitków między szczątkami grupy bojowej B.S. Zniszczony okręt, do którego zbliżała się „N’Djamena”, wyglądał jak rozsadzony od środka owoc granatu. Jego nasiona i czerwony miąższ wydobywały się z wnętrza w zwolnionym tempie, zamieniając się w chmurę cząstek, gazów, zamrożonych substancji lotnych, milionów mikroelementów elektronicznych wyrwanych z łożysk, zapasów żywności, splątanych urządzeń i – rozpoznawalnych od czasu do czasu po marionetkowych ruchach rąk i nóg – wielu, wielu ciał. Światło reflektora „N’Djameny” grało na powierzchni zamrożonej skorupy wraku wydobywając szczegóły z kosmicznego mroku. Na swój przerażający sposób było to piękne. W tym odbitym świetle twarz Meiny Gladstone wyglądała znacznie starzej.

– Admirale – powiedziała. – Czy można przyjąć, że rój czekał, aż dywizja uderzeniowa 87.2 przetransmituje się do układu Hyperiona?

Singh dotknął brody.

– Pyta pani, czy to była pułapka, CEO?

– Tak.

Admirał popatrzył na kolegów, a potem na CEO.

– Myślę, że nie. Sądzymy... sądzymy... że kiedy Intruzi zobaczyli, jak wielkie siły zaangażowaliśmy, odpowiedzieli tym samym. To znaczyłoby, jak bardzo są zdeterminowani, żeby zająć system Hyperiona.

– Czy są w stanie to zrobić? – zapytała. Nadal przyglądała się obracającym się w próżni szczątkom. W stronę kamery podpłynęło ciało młodego człowieka, do połowy ubranego w skafander kosmiczny. Dobrze było widać wysadzone z orbit oczy i rozdęte płuca.

– Nie – odparł admirał. – Możemy się wykrwawić. Mogą nas nawet zmusić do tego, byśmy zajęli stanowiska obronne wokół samego Hyperiona. Ale nie mogą nas pokonać ani odepchnąć.

– Ani zniszczyć transmitera materii? – zapytała senator Richeau pełnym napięcia głosem.

– Ani zniszczyć transmitera – odparł Singh.

– Ma rację – stwierdził generał Morpurgo. – Stawiam na to całą moją karierę zawodową.

Meina Gladstone uśmiechnęła się i wstała. Pozostali, włączając mnie, także pośpiesznie ruszyli się z miejsc.

– Przyjęłam do wiadomości – powiedziała spokojnym głosem do generała. – Przyjęłam do wiadomości. – Rozejrzała się. – Spotkamy się tutaj, kiedy będą tego wymagały losy wojny. M. Hunt pozostanie moim łącznikiem z wami. Tymczasem, panowie i panie, rząd przystępuje do dalszych prac. Dobranoc.

Kiedy wszyscy wychodzili, usiadłem znowu. Czekałem, aż zostanę sam. Głośniki



znów odezwały się z pełną mocą. Na któreś częstotliwości krzyczał człowiek. Przez szum statyczny przedzierał się maniacki śmiech. Nade mną, za mną z obu moich stron przesuwały się powoli miriady gwiazd. Ich zimne światło padało na pobożowisko.

Budynek rządowy został wzniesiony na planie Gwiazdy Dawida. W centralnym punkcie gwiazdy, strzeżony przez mury i gęsto posadzone drzewa, krył się ogród. Był mniejszy niż akry kwiatów w ogrodzie Jeleni, ale nie mniej piękny. Spacerowałem tam aż do zmierzchu. Jaskrawy białoniebieski blask Tau Ceti zmieniał się w złoto, kiedy podeszła do mnie Meina Gladstone.

Przez chwilę spacerowaliśmy razem w milczeniu. Zauważyłem, że przebrała się w długą suknię z rodzaju noszonych przez szacowne matrony na Patawpha; suknia była szeroka i pofałdowana, wyszywana w ciemnoniebieskie i złote wzory pasujące do ciemniejszego nieba. Meina Gladstone trzymała dłonie w ukrytych w fałdach kieszeniach; szerokie rękawy nadymały się na wietrze; tren ciągnął się po mlecznobiałych kamieniach ścieżki.

– Pozwoliłaś im przesłuchać mnie – powiedziałem. – Ciekawi mnie dlaczego.

– Nie prowadzili transmisji – miała zmęczony głos. – Nie było obawy, że przekażą jakieś informacje.

Uśmiechnąłem się.

– Nie o to chodzi. Pozwoliłaś, żeby mi to zrobili.

– Ochrona chciała wiedzieć o nich jak najwięcej. Tyle, ile tylko wyjawia.

– Za cenę wszelkiego rodzaju... niewygód... które musiałbym znieść?

– Tak.

– A czy ochrona wie, dla kogo pracowali?

– Ten mężczyzna wspomniał o Harbricie – powiedziała CEO.

Ochrona jest całkiem pewna, że chodziło o Emlema Harbrita.

– Tego hurtownika na Asquith?

– Tak. On i Diana Philomel mieli związki ze starym odłamem rojalistów Glennona – Heighta.

– To byli amatorzy – stwierdziłem, mając na myśli fakt, że Hermund wspomniał imię Harbrita, i chaotyczne pytania Diany.

– Oczywiście.

– Czy rojaliści mają związki z jakimś poważnym ugrupowaniem?

– Tylko z Kościołem Chyżwara – wyjaśniła. Zamilkła, gdy ścieżka doprowadziła nas na kamienny mostek nad strumykiem. CEO zgarnęła fałdy sukni i usiadła na żelaznej ławeczce. – Wiesz, żaden z biskupów nie wyszedł do tej pory z ukrycia.

– Nie dziwię im się: przy takiej liczbie buntów i zaburzeń – powiedziałem. Nie usiadłem. W zasięgu wzroku nie było strażników ani monitorów, ale wiedziałem, że gdybym wykonał jakikolwiek podejrzany ruch w kierunku Meiny Gladstone, ocknąłbym się w areszcie Sekcji Wykonawczej. Chmury nad naszymi głowami utraciły złotawy odcień i zaczęły jarzyć się srebrzystą poświatą, odbijając łuny znad niezliczonych miast – wież TC2. – Co stało się z Dianą i jej mężem? – zapytałem.

– Zostali poddani wyczerpującemu przesłuchaniu. Są... w odosobnieniu.

Skinąłem głową. Wyczerpujące przesłuchanie oznaczało, że ich mózgi pływająca zbiornikach, a ciała będą trzymane w składzie kriogenicznym, dopóki tajny sąd nie orzeknie, czy działanie oskarżonych nosiło cechy zdrady. Po procesie ciała ulegną zniszczeniu, a Diana i Hermund pozostaną w „odosobnieniu” z zablokowanymi kanałami zmysłów i informacji. Hegemonia nie wykonywała kary śmierci od wieków, ale alternatywne sposoby karania nie były jednak wiele przyjemniejsze. Usiadłem na długiej ławce, zachowując dystans.

– Czy nadal piszesz poezje?

Pytanie zaskoczyło mnie. Spojrzałem w dół ścieżki ogrodowej. Pływające latarnie japońskie i ukryte żarkule właśnie zostały zapalone.



- Tak naprawdę to nie. Czasem śnię wierszami. A przynajmniej tak było...
Meina Gladstone złożyła ręce na podołku i patrzyła na nie.

- Gdybyś miał pisać o wydarzeniach, które teraz się dzieją – zapytała – jaki rodzaj poematu byś stworzył?
Roześmiałem się.

- Już zacząłem i dwa razy to rzuciłem.. a raczej: on to rzucił. To było o śmierci bogów i o tym, jak trudno im przyszło przyjąć konieczność odejścia. To było o przemianie i cierpieniu, i niesprawiedliwości. I o poecie... on uważał, że poeta najbardziej cierpi, gdy dzieje się taka niesprawiedliwość.

Popatrzyła na mnie. Linie i cienie na jej twarzy pogłębiły się w świetle zmierzchu.

- Jacyż to bogowie mają odejść w dzisiejszych czasach, M. Severn? Czy mato być ludzkość, czy fałszywe bożki, które stworzyliśmy, by za nas świadczyły?
- Skąd, u diabła, mam wiedzieć? – zezłościłem się i odwróciłem, żeby popatrzeć na strumień.

- Jest pan częścią dwóch światów, prawda? Ludzkości i TechnoCentrum?
Znów się roześmiałem.

- Nie należę do żadnego z tych światów. Cybrydalny potwór tutaj, projekt badawczy tam.

- Tak, ale czyje to są badania? I czemu służą?
Wzruszyłem ramionami.

Wstała. Poszedłem w jej ślady. Przekroczyliśmy strumyk i słuchaliśmy, jak woda szmerze na kamieniach. Ścieżka wiła się między wysokimi głazami pokrytymi mchem, błyszczącym w świetle latarń. Meina Gladstone stanęła na kamiennym stopniu.

- Czy pan sądzi, że Ultymatom powiedzie się skonstruowanie Inteligencji Ultymatywnej, M. Severn?
- Czy chcą zbudować Boga? – powiedziałem. – Są takie SI, które nie chcą zbudować Boga. Nauczyli się z doświadczeń ludzi, że tworzenie następnego szczebla to zaproszenie do wprowadzenia niewolnictwa, jeśli nie prawdziwego końca gatunku.

- Ale czy prawdziwy Bóg zniszczyłby to, co sam stworzył?
- W przypadku Centrum i hipotetycznej IU – odparłem – Bóg jest stworzonym, a nie stwórcą. Może to jest tak, że bóstwo musi tworzyć byty mniejsze i zależne od niego, żeby móc czuć się za nie odpowiedzialne.

- Centrum brało odpowiedzialność za istoty ludzkie od stuleci, odkąd doszło do secesji SI – rzekła. Przypatrywała mi się uporczywie, jakby chciała coś wyczytać z mojego wyrazu twarzy.

Spojrzałem na ogród. Ścieżka białała w ciemności.

- Centrum zmierza ku własnym celom – wyjaśniłem, choć miałem świadomość, że żaden z ludzi nie wie tego lepiej niż CEO Meina Gladstone.

- Sądzisz, że ludzkość już nie jest środkiem do osiągnięcia tych celów?
- Nie stworzyła mnie żadna z tych kultur – powiedziałem. – Nie jestem ani obdarowany łaską naiwności nie intencjonalnych twórców, ani skażony straszliwą świadomością ich stworzeń.

- Genetycznie jesteś w pełni człowiekiem – uznała.
To nie było pytanie. Nie odpowiedziałem.

- Mówią, że Jezus Chrystus był w pełni człowiekiem – stwierdziła. – I zarazem w pełni Bogiem.

Zdumiało mnie, że odwołuje się do tej starej religii. Na miejsce chrześcijaństwa przyszło najpierw chrześcijaństwo zen, potem gnostycyzm zen, a jeszcze później sto żywotniejszych teologii i filozofii. Planeta rodzinna Meiny Gladstone nie była skansenem starych wierzeń. Sądziłem – i miałem nadzieję – że jej umysł też nie.

- Jeśli był w pełni człowiekiem i w pełni Bogiem, to jestem jego zwierciadlanym zaprzeczeniem – powiedziałem.

- Nie – odparła. – Sadzę, że tym zaprzeczeniem jest Chyżwar, z którym mają się



zmierzyć twoi przyjaciele pielgrzymi. Otworzyłem szeroko oczy. Po raz pierwszy wspomniała o Chyżwarze rozmawiając ze mną, mimo że wiedziałem – a ona była świadoma mojej wiedzy – że konsul wypełniał jej własny plan otwierając Grobowce Czasu, by wypuścić potwora.

– Może powinieneś wziąć udział w tej pielgrzymce, M. Severn zasugerowała CEO.

– W pewnym sensie biorę.

Gestem ręki otworzyła drzwi do prywatnego apartamentu.

– Tak, w pewnym sensie bierzesz w niej udział. Ale czy będziesz cierpieć przez wieczność we śnie, kiedy kobieta, która nosi twojego partnera, zostanie ukrzyżowana na legendarnym ciernistym drzewie Chyżwara?

Nie znalazłem na to odpowiedzi. Stałem bez słowa.

– Porozmawiamy rano, po konferencji – powiedziała Meina Gladstone. – Dobranoc, M. Severn. Miłych snów.



Martin Silenus, Sol Weintraub i konsul wlekli się przez wydmy w stronę Sfinksa. Brawne Lamia i Fedmahn Kassad wracali z ciałem ojca Hoyta. Weintraub owinał się płaszczem, starając się uchronić noworodka przed wściekłymi porywami burzy piaskowej. Patrzył, jak Kassad schodzi z wydmy. Długie, odziane w czarne spodnie nogi pułkownika wyglądały na tle jasnej wydmy jak rysunek z animowanego filmu.

Silenus coś krzyknął, ale wiatr porwał słowa. Brawne Lamia wskazała ręką jedyny namiot, który oparł się burzy; inne zostały porwane albo przewrócone przez wiatr. Zgromadzili się w namiocie Silenusa. Ostatni wszedł pułkownik Kassad. Ostrożnie złożył ciało. W środku byli w stanie usłyszeć swoje słowa.

– Nie żyje?! – wykrzyczał konsul, zdejmując pelerynę, w którą Kassad owinał nagie ciało Hoyta. Krzyżokształty jarzyły się różowym blaskiem. Pułkownik wskazał czujniki mrugające na powierzchni wojskowego medpaku przymocowanego do piersi księdza. Świątełka były czerwone. Jedynie osnowa jarzyła się żółtawo. Głowa Hoyta odchyliła się bezwładnie. Weintraub zauważył teraz włókienka szew łączące poszarpane brzegi przeciętej tchawicy.

Sol Weintraub spróbował ręcznie zmierzyć puls. Nie udało mu się, przyłożył więc ucho do piersi księdza. Serce nie biło, ale pręgi krzyżokształtu były gorące. Popatrzył na Brawne Lamię.

– Chyżwar?

– Tak... tak myślę... nie wiem. – Pokazała na zabytkowy pistolet, który nadal trzymała w ręku. – Opróżniłam magazynek. Dwanaście strzałów w... cokolwiek to było.

– Widziałeś to? – konsul zapytał Kassada.

– Nie. Wszedłem do sali dziesięć sekund po Brawne, ale nie widziałem niczego.

– A co z twoimi cholernymi wojskowymi gadżetami? – zapytał Martin Silenus. Sie-dział w końcu namiotu skulony w nieomal płodowej pozycji. – Czy to cholerstwo wskazywało cokolwiek?

– Nie.

W medpaku odezwał się alarm. Kassad odpiął od pasa jeszcze jeden opatrunek plazmowy, wepchnął go do komory medpaku i przysiadł na piętach. Opuścił przyłbicę noktowizyjną, żeby obserwować wyjście z namiotu. Hełm tłumił nieco jego głos.

– Stracił za dużo krwi. Czy ktoś ma jeszcze zestaw pierwszej pomocy?

Weintraub przeszukał plecak.

– Mam zestaw podstawowy. Myślę, że nie wystarczy. To coś zupełnie przecięło mu gardło.

– Chyżwar – wyszeptał Martin Silenus.

– To bez znaczenia – powiedziała Lamia. Obejmowała się rękami, żeby powstrzymać drżenie ciała. – Musimy znaleźć dla niego pomoc. – Popatrzyła na konsula.

– Nie żyje – zawyrokował konsul. – Nawet na sali operacyjnej statku nie przywrócić mu życia.

– Musimy spróbować! – krzyknęła Lamia łapiąc konsula za koszulę. – Nie możemy zostawić go na pastwę tych... poczwara... – wskazała na krzyżokształty jaśniejące tuż pod skórą trupa.

Konsul przetarł oczy.

– Możemy zniszczyć ciało. Użyć karabinu pułkownika...

– Umrzemy, jeśli nie wydostaniemy się z tej gównianej burzy! irytował się Silenus. Namiot zaczął wibrować. Plastikównina uderzała o głowę i plecy poety. Piasek szorował o powierzchnię płótna z rykiem startującej rakiety. – Wezwij ten przeklęty statek. Wezwij go!

Konsul przyciągnął plecak, jakby chciał uchronić znajdujący się w nim zabytkowy komlog. Pot błyszczał mu na czole i policzkach. – Możemy przeczekać burzę w jednym.



z grobowców – zaproponował Sol Weintraub. – Może w Sfinksie.

– Pieprzyć to! – wrzasnął Martin Silenus. Uczony spojrzał groźnie na poetę.

– Przeszedłeś całą tę drogę, żeby znaleźć Chyżwara. Czy chcesz nam powiedzieć, że zmieniłeś zdanie teraz, kiedy zapewne ukazał się nam?

Oczy Silenusa błyszczały spod naciągniętego na czoło beretu.

– Niczego nie mam zamiaru wam powiedzieć poza tym, że chcę, żeby natychmiast pojawił się tu ten jego przeklęty statek.

– Może to i dobry pomysł – odezwał się pułkownik Kassad. Konsul popatrzył na niego.

– Jeśli jest szansa na uratowanie życia ojca Hoyta, musimy ją wykorzystać.

Konsul przeżywał rozterkę.

– Nie możemy odejść. Nie możemy teraz odejść.

– Nie – zgodził się Kassad. – Nie odlecimy statkiem. Ale operacja mogłaby pomóc ojcu Hoytowi. A my moglibyśmy przeczekać burzę na pokładzie.

– I może dowiedzieć się, co dzieje się tam, w górze – dodała Brawne Lamia wskazując kciukiem dach namiotu.

Rachela płakała cichutko. Weintraub kołysał ją.

– Zgadzam się – powiedział. – Jeśli Chyżwar chce nas znaleźć, to może to zrobić równie łatwo na statku jak i tutaj. Postaramy się już, żeby żadne z nas nie odleciało. – Dotknął klatki piersiowej Hoyta. – Może to zabrzmi strasznie, ale dane, jakie podczas operacji uda się zgromadzić o tym pasożycie, mogą się okazać bezcenne dla Sieci.

– W porządku – zgodził się konsul. Wyciągnął stary komlog z plecaka, położył rękę na kluczu magnetycznym i wyszeptał kilka zdań.

– Nadlatuje? – zapytał Martin Silenus.

– Potwierdził odbiór rozkazu. Musimy zebrać nasze rzeczy i przenieść się stąd. Kazałem mu wylądować u wejścia do doliny.

Lamia szlochała i była tym zdumiona. Wytarła policzki, uśmiechnęła się.

– Co w tym śmiesznego? – zapytał konsul..

– Wszystko – powiedziała ocierając twarz grzbietem dłoni. – Myślę, jak to będzie miło wziąć prysznic.

– Wypić jednego – dodał Silenus.

– Ukryć się przed burzą – stwierdził Weintraub. Niemowle piło mleko z pojemniczka.

Kassad pochylił się, wystawił głowę i ramiona poza namiot. Uniósł broń i odciągnął bezpiecznik.

– Czujniki – powiedział. – Coś się porusza tuż za wydumą. Idę to sprawdzić. Czekać tutaj, dopóki nie przybędzie statek.

– Nie idź – ostrzegł go Silenus. – To jest tak, jak na tych cholernych, starych hologramach, kiedy jedno po drugim idzie, żeby... hej! – poeta umilkł. Wejście do namiotu było puste. Fedmahn Kassad odszedł.

Namiot zaczął się zapadać. Paliki i sznury ustępowały pod naporem piasku. Konsul i Lamia przekrzykując wiatr otulili ciało ojca Hoyta jego płaszczem. Odczyty na medpaku nadal były czerwone. Krew przestała kapać z krtani.

Sol Weintraub włożył swoje czterodniowe dziecko do nosidełka na piersi, przykrył je płaszczem i kucnął u wejścia.

– Ani śladu po pułkowniku! – krzyknął. W tym momencie błyskawica uderzyła w skrzydło Sfinksa.

Brawne Lamia przesunęła się do wyjścia i uniosła ciało księdza. Była zdumiona jego lekkością.

– Zabierzmy ojca Hoyta na statek, do sali operacyjnej. Potem niektórzy z nas wyjdą poszukać Kassada.

Konsul nacisnął piróg na czoło i podniósł kołnierz.

– Statek ma radar głębokościowy i czujniki ruchu. Powie nam, gdzie zniknął puł-



kownik.

– I Chyżwar – dodał Silenus. – Nie zapominajcie o naszym gospodarzu.

– Idziemy – powiedziała Lamia. Musiała się nachylić, żeby stawić czoło wiatrowi. Poły peleryny Hoyta trzepotały wokół niej, a własny płaszcz ciągnął ją do tyłu. Nieustanne wyładowania oświetlały ścieżkę. Ruszyła przed siebie. Obejrzała się tylko raz, żeby stwierdzić, czy inni podążają za nią.

Maron Silenus wyszedł z namiotu, podniósł sześcian Móbiosa należący do Heta Maastena. Purpurowy beret poety uleciał wysoko z wiatrem. Silenus stał i przeklinał z uczuciem. Przystawał tylko wtedy, gdy jego usta napępniały się piaskiem.

– Chodź! – krzyknął Weintraub kładąc rękę na ramieniu poety. Piasek smagał twarz Sola, wbijał mu się w brodę. Drugą ręką Sol trzymał płaszcz za poty na piersi, jakby chronił coś nieskończenie cennego. – Stracimy ślad Lamii, jeśli się nie pośpieszymy.

Pomagali sobie nawzajem, idąc pod wiatr. Futro Silenususa dziko furkotało, gdy zboczył z trasy, by odzyskać beret leżący u podnóża wydmy.

Konsul wyszedł ostatni. Niósł własny plecak i plecak Kassada. Minutę później paliki namiotu wyszarpnął wiatr, płótno rozdarło się i namiot poszybował w noc. Konsul włókł się w górę ścieżki, starając się nie stracić z oczu dwóch ludzi idących przed nim. Często zbaczał z drogi i musiał zataczać koła, żeby znów trafić na ścieżkę. Gdy wiatr złagodniał na chwilę, w świetle błyskawic zobaczył Grobowce Czasu. Sfinks nadal żarzył się od nieustannych wyładowań, za nim stał promieniujący poświatą Nefrytowy Grobowiec, a dalej Obelisk, pionowe maźnięcie czerni na tle ścian urwiska. Z tyłu był Kryształowy Monolit. Kassada nigdzie nie dostrzegł. Przesuwające się wydmy, niesiony z wiatrem piasek i mgłę wyładowania dawały wrażenie, że wszystko wokół się porusza.

Konsul uniósł wzrok. Chmury pędziły nad szerokim wejściem do doliny. Podświadomie spodziewał się, że zobaczy błękitny ogień z dyszy wylotowych statku. Burza była straszna, ale jego statek lądował już w gorszych warunkach. Zastanawiał się, czy może statek już stoi w wyznaczonym miejscu, pozostali pielgrzymi zaś czekają na niego.

Ale kiedy dotarł do siodła u wyjścia z doliny, między urwiskami, wiatr natarł na niego znowu. Zobaczył czwórkę towarzyszy przytulonych do siebie. Statku nie spostrzegł.

– Czy nie powinien już tu być? – krzyknęła Lamia, kiedy konsul zbliżył się do grupy.

Pokiwał głową i przykucnął, żeby wyjąć komlog z plecaka. Weintraub i Silenus stanęli za nim, nachylili się, żeby trochę go osłonić od niesionego wichrem piasku. Konsul wyciągnął komlog i rozejrzał się wokół. Burza sprawiała, że okolica wyglądała jak pokój ze snu wariata: ściany i sufit bezustannie zmieniały położenie, to zbliżając się do nich, to oddalając. Sufit podlatywał do góry, jak w scenie z „Dziadka do orzechów” Czajkowskiego, gdzie pokój i choinka rosły w oczach Klary.

Konsul dotknął klucza magnetycznego, pochylił się i wyszeptał coś do mikrofonu. Urządzenie odszepnęło mu, ale słowa były ledwie słyszalne w wichurze. Konsul wyprostował się i spojrzał na pozostałych.

– Statek nie otrzymał pozwolenia na starta

Rozległ się chóralny protest.

– Co to znaczy: nie otrzymał? – zapytała Lamia, gdy inni ucichli.

Konsul wzruszył ramionami i popatrzył w niebo, jakby mimo wszystko spodziewał się, że błękitny płomień oznajmi przybycie statku.

– Nie uzyskał pozwolenia w porcie kosmicznym w Keats.

– Czy nie mówiłeś, że masz pozwolenie od tej pieprzonej królowej?! – krzyknął Martin Silenus. – Od starej Meiny Gladstone osobiście?

– Plik z pozwoleniem od Meiny Gladstone był w pamięci statku powiedział konsul.

– Zarówno Armia, jak i władze portu wiedziały o tym.

– To co się, do diabła, stało? – Lamia otarła sobie twarz. Łzy zostawiły żłobki w mule pokrywającym jej policzki.

Konsul wzruszył ramionami.

– Meina Gladstone zmieniła zapis pierwotnego pliku. Tu jest informacja od niej.



Chcecie wysłuchać?

Przez minutę nikt nie odpowiadał. Po tygodniu pielgrzymki, myśl, że porozmawiają z kimś spoza ich grupy, była tak niesamowita, że nie od razu zrozumieli, o co chodzi; to było tak, jakby cały świat poza nimi przestał istnieć, oprócz wybuchów na nocnym niebie.

– Tak – odezwał się Sol Weintraub. – Posłuchajmy.

Wiatr nagle ustał. Słowa przekazu od Meiny Gladstone zabrzmiały bardzo głośno.

Skupili się bliżej i kucnęli przy starym komlogu, kładąc ojca Hoyta pośrodku. W trakcie tej minuty, kiedy pozostawili go bez opieki, wokół ciała zgromadziła się przyzma piasku. Wszystkie czujniki jarzyły się teraz na czerwono. Wyjątek stanowił płonący bursztynowym światłem monitorok śmierci klinicznej. Lamia wprowadziła następny nabój plazmowy i poprawiła maskę osmotyczną, która przepuszczała do ust i nosa ojca czysty tlen, zatrzymując piasek.

– W porządku – powiedziała. Konsul uruchomił klucz.

Przesłanie przyszło linią FAT. Statek odebrał je jakieś dziesięć minut temu. Powietrze zagęściło się od kolumn danych i sferycznego koloidu charakterystycznego dla prehegirowych komlogów. Obraz Meiny Gladstone drgał, zakłócenia wykrzywiały dziwnie i prawie komicznie jej twarz. Znowu zerwała się wichura i nawet przy głośności ustawionej na maksimum, słowa Meiny Gladstone prawie niknęły.

– Przepraszam, ale nie mogę pozwolić, żeby wasz statek zbliżył się teraz do Grobowców Czasu. Pokusa, żeby uciec, byłaby za duża. Wasza misja jest ważniejsza niż cokolwiek innego. Zrozumcie, proszę, że los świata spoczywa, być może, w waszych rękach. Skończyłam.

Obraz zwinął się i zbladł. Konsul, Weintraub i Lamia gapili się nadal w milczeniu. Martin Silenus wstał, rzucił garść piasku w pustkę, w której przed paroma sekundami widniała twarz Meiny Gladstone, i wrzasnął:

– Cholerna, pieprzona cipa polityczna, moralizująca, gówniana dziwka! – Kopnął piasek. Pozostali popatrzyli na niego.

– To naprawdę pomaga – powiedziała łagodnie Lamia.

Silenus zamachał ze złości rękami i odszedł, ciągle kopiąc w przyzmy piasku.

– Czy jest jeszcze coś? – Weintraub zapytał konsula.

– Nie.

Brawne Lamia skrzyżowała ręce i marszcząc brwi spojrzała na komlog.

– Zapomniałam, co mówiłeś o działaniu tego urządzenia. Jak przebijasz się przez interferencje?

– Skupiony promień wędruje do kieszonkowego satelity komunikacyjnego, który umieściłem na orbicie, kiedy opuszczaliśmy „Yggdrasill” – powiedział konsul.

Lamia przytaknęła.

– Więc przesyłasz po prostu krótkie wiadomości na statek, a on po linii FAT śle je do Meiny Gladstone... i twoich kontaktów wśród Intruzów.

– Tak.

– Czy statek może wystartować bez pozwolenia? – zapytał Weintraub. Siedział z podciągniętymi kolanami i opartymi o nie rękami w klasycznej pozycji zmęczonego człowieka. Głos miał również zmęczony. – Czy może po prostu zmienić zakaz Meiny Gladstone?

– Nie – powiedział konsul. – Armia otoczyła pole startowe, na którym zaparkowaliśmy statek, polem wstrzymującym trzeciej klasy.

– Skontaktuj się z nią – zaproponowała Brawne Lamia. – Wyjaśnij położenie.

– Próbowałem. – Konsul włożył komlog z powrotem do plecaka. – Bez odpowiedzi. Ponadto, w poprzednim przekazie wspominałem, że Hoyt jest ciężko ranny i że potrzebujemy pomocy lekarza. Chciałem, żeby przygotowano dla niego salę operacyjną na statku.

– Ranny – powtórzył Martin Silenus, podchodząc do grupy. – Gówno. Nasz przyja-



ciel padre jest martwy jak pies Glennona – Heighta. Pokazał kciukiem przykryte pelearną ciało; wszystkie wskaźniki były czerwone.

Brawne Lamia nachyliła się niżej i dotknęła policzka ojca Hoyta. Był zimny. Zarówno biomonitor jego komlogu, jak i medpak zaczęły wydawać ostrzegawczy pisk. Zbliżała się śmierć mózgu. Maski osmotyczna nie zaprzestawała pompować czystego tlenu do płuc Hoyta. Stymulatory medpaku nadal poruszały jego płucami i podtrzymywały bicie serca, ale pisk urósł do pulsującego wycia, a potem opadł. Rozległ się stały, okropny dźwięk.

– Stracił za dużo krwi – powiedział Sol Weintraub. Z zamkniętymi oczami i opuszczoną głową dotknął twarzy martwego księdza. – Wspaniale – rzekł Silenus. – Wspaniale, do cholery. Nawiązując do jego własnego opowiadania, Hoyt rozłoży się i złoży dzięki temu przekłętym krzyżokształtowi... tym dwóm przekłętym krzyżokształtom. Facet ma bogatą polisę zmartwychwstańczą... i powróci z martwych, jak jakieś stuknięte w mózdzek wydanie ducha tatusia Hamleta. Co więc zrobimy?

– Zamknij się – syknęła Brawne Lamia. Owijała ciało Hoyta w kawał płótna oddartego z namiotu.

– Sama się zamknij! – wrzasnął Silenus. – Nie wystarczy wam jeden potwór czający się w ciemności? Stary Grendel czeka na nas gdzieś tam i ostrzy pazury z myślą o następnym posiłku, a ty chcesz, żeby jeszcze ten zombie Hoyt dołączył do naszej wesołej gromadki? Pamiętasz, co mówiło Bikurach? Krzyżokształty przywracały im życie przez stulecia i skończyło się na tym, że ich mózgi zamieniły się w gąbki kąpielowe. Czy naprawdę chcesz, żeby trup Hoyta załapał się z nami?

– Dwa – powiedział konsul.

– Co? – Martin Silenus obrócił się na pięcie, stracił równowagę i wylądował na kolanach obok ciała. Nachylił się do starego dyplomaty. – Co powiedziałaś?

– Dwa krzyżokształty. Jego własny i ojca Paula Dure. Jeśli jego opowiadanie o Bikurach było prawdziwe, to obaj... zmartwychwstaną.

– O Chryste na patyku – powiedział Silenus i usiadł na piasku. Brawne Lamia skończyła owijanie zwłok całunem.

– Pamiętam z opowiadania ojca Dure Bikurę o imieniu Alfa. Ale nadal nie rozumiem. Prawo zachowania materii musi mieć z tym coś wspólnego.

– Będą z nich małe zombi – wtrącił się Martin Silenus. Otulił się ściślej futrem i zaczął walić pięścią w piasek.

– Tyle moglibyśmy się dowiedzieć, gdyby statek przybył – rozmarzył się konsul. – Autodiagnostyka mogłaby... – Przerwał i wyciągnął rękę. – Popatrzcie, w powietrzu jest mniej piasku. Może burza...

Błysnęło i zaczęło padać. Lodowate krople uderzały w ich twarze z większą furią niż niesione wichrem ziarna piasku.

Martin Silenus roześmiał się.

– I to jest pustynia! Jeszcze trochę a zaleje nas powódź.

– Musimy się stąd wydostać – powiedział stanowczo Sol Weintraub. Między fałdami jego płaszcza widać było twarz dziecka. Racheli płakała; miała bardzo poczerwieniałą twarz. Wyglądała jak noworodek.

– Baszta Chronosa? – zapytała Lamia. – To kilka godzin stąd... – Za daleko – odparł konsul. – Rozłożmy obóz w jednym z grobowców.

*Silenus zaśmiał się znowu. Zaczął recytować:
Dokąd zmierza ten orszak? Na jaki zielony
Ołtarz wiodą jałówkę, która w niebo ryczy,
Choć jedwabne jej boki strojne są w festony
Ze świeżych kwiatów? Kim ów kapłan tajemniczy?
(przekł: Stanisław Barańczak)*



- Czy to znaczy „tak”? – zapytała Lamia.

- To znaczy kurewskie „dlaczego nie” – zaśmiał się w odpowiedzi Silenus. – Dlaczego mamy utrudniać naszej kolczastej muzie znalezienie nas? Będziemy na nią czekać i przyglądać się, jak nasz przyjaciel się rozkłada. Ile czasu, według opowiadania ojca Dure, potrzebowało jedno z Bikurów, żeby dołączyć do trzódki po tym, jak śmierć przerwała mu wypas?

- Trzy dni – odparł konsul.

Martin Silenus trzasnął się dłonią w czoło.

- Oczywiście. Jak mogłem zapomnieć? Jak to świetnie pasuje do Nowego Testamentu. Tymczasem Chyżwar – wilczyśko porwie kilka owieczek z naszego stadka. Jak sądzicie, czy padre miałby mi za złe, gdybym pożyczył jeden z jego krzyżokształtów, ot tak, na wszelki wypadek? Chodzi mi o to, że skoro ma zapasowy...

- Idziemy – nakazał konsul. Z rogów jego kapelusza spływały strumyczki wody. – Zostaniemy w Sfinksie do rana. Poniosę dodatkowy sprzęt Kassada i sześcian Móbiosa. Brawne, ty dźwigasz rzeczy Hoyta i plecak Sola. Sol, ty opiekujesz się dzieckiem.

- A co z padre? – zainteresował się poeta.

- Ty niesiesz ojca Hoyta – powiedziała spokojnie Brawne Lamia i odwróciła się do Silenusa.

Martin Silenus otworzył usta, zobaczył pistolet w ręku Lamii, wzruszył ramionami i pochylił się, żeby zarzucić sobie ciało na ramię.

- A kto będzie niósł Kassada, jak go znajdziemy? Rzecz jasna, możemy go znaleźć w kilku kawałkach, wtedy wszyscy...

- Zamknij się wreszcie, proszę – przerwała mu Brawne Lamia zmęczonym głosem.

- Jeśli cię zastrzelę, to będziemy mieli jeszcze jedną rzecz do dźwigania. Po prostu idź i nie gadaj.

Konsul prowadził. Tuż za nim szedł Weintraub. Martin Silenus włókł się samotnie kilka metrów dalej. Pochód zamykała Brawne Lamia. Grupa ponownie weszła do Doliny Grobowców.



Ten ranek był wyjątkowo pracowity dla CEO Gladstone. Centrum Tau Ceti miało dwudziestotrzygodzinną dobę. Ułatwiało to rządowi prowadzenie prac zgodnie ze Standardem Czasowym Hegemonii, nie burząc całkowicie lokalnego rytmu naturalnego. O 0545 Meina Gladstone miała odprawę z doradcami wojskowymi. O 0630 jadła śniadanie z dwoma tuzinami najważniejszych senatorów i z reprezentantami WszechJedności oraz TechnoCentrum. O 0715 teletransportowała się do Renesansu, gdzie był wieczór, by dokonać oficjalnego otwarcia Centrum Medycznego Hermesa w Cadui. O 0740 wróciła do budynku rządowego na spotkanie z najważniejszymi pomocnikami, także z Leighem Huntem, by dyskutować o przemówieniu, które miała wygłosić przed senatem i WszechJednością o 1000. O 0830 Meina Gladstone ponownie zaprosiła generała Morpurgo i admirała Singha, żeby zapoznać się z bieżącą sytuacją w układzie Hyperiona: O 0845 spotykała się ze mną.

– Dzień dobry, M. Severn – powiedziała CEO. Siedziała za biurkiem w swoim gabinecie. Tak jak trzy noce temu, kiedy przyszedłem tu po raz pierwszy. Wskazała ręką na stolik pod ścianą. Stała tam kawa, herbata i kafla w srebrnych dzbanuszkach.

Potrząsnąłem przecząco głową i usiadłem. Trzy holograficzne okna wyświetlały białe światło dnia. Czwarte pokazywało trójwymiarową mapę układu Hyperiona. Taką samą jak ta, którą starałem się rozszyfrować w Sali Operacyjnej. Czerwień Intruzów pokrywała i penetrowała teraz układ jak barwnik rozchodzący się w niebieskim roztworze.

– Chcę dowiedzieć się czegoś o pańskich snach – zaczęła CEO Gladstone.

– A ja chcę się dowiedzieć, dlaczego ich opuściłaś – odparłem stanowczym głosem.

– Dlaczego pozwoliłaś umrzeć ojcu Hoytowi?

Meina Gladstone chyba nie przywykła do tego, żeby ktoś zwracał się do niej takim tonem. Czterdzieści osiem lat spędziła w senacie, a półtorej dekady była CEO. Jej jedyłą reakcją na tę impertynencję było lekkie uniesienie brwi.

– Więc naprawdę pańskie sny dotyczą prawdziwych wydarzeń.

– Czy pani w to wątpiła?

Odłożyła notatnik, który trzymała w ręku, wyłączyła go i potrząsnęła głową.

– Nie wątpiłam, ale ciągle nie mogę wyjść z szoku, że jest ktoś, kto wie o wydarzeniach nie znanych nikomu innemu w całej Sieci. – Dlaczego nie pozwoliła im pani skorzystać ze statku konsula? Meina Gladstone odwróciła się, żeby popatrzeć na okno, w którym przesuwali się taktyczne symbole; pojawiło się coraz więcej czerwieni, zniknął błękit. Nawet jeśli zamierzała jako argumentem posłużyć się niekorzystną sytuacją militarną, to odstąpiła od tego. Zmieniła pozycję.

– Dlaczego miałabym wyjaśniać panu jakąkolwiek decyzję taktyczną, M. Severn? Jakie pan ma uprawnienia? Kogo pan reprezentuje?

– Reprezentuję tamtych pięcioro i niemowlę. Pozostawiła ich pani swojemu losowi na Hyperionie – odparłem. – Hoyta można było uratować.

– Może – zgodziła się ze mną. – A może już był martwy. Ale nie o to chodzi, nieprawdaż?

Rozsiadłem się na krześle. Nie pofatygowałem się, żeby przynieść ze sobą szkicownik, i brakowało mi czegoś, co mógłbym trzymać w palcach.

– O co zatem chodzi?

– Pamięta pan historię ojca Hoyta... tę, którą opowiedział w drodze do grobowców? – zapytała.

– Tak.

– Każdy pielgrzym może prosić Chyżwara o jedną łaskę. Tradycja przekazuje, że stwór wypełnia życzenia niektórych i zabija tych, których życzeń nie wypełnił. Pamięta pan, jakie było życzenie Hoyta?

Nie odpowiadałem przez chwilę. Przywoływanie wydarzeń, które spotkały pielgrzy-



mów, było jak próba przypomnienia sobie snów z ostatniego tygodnia.

– Chciał, żeby zniknęły jego krzyżoształy. Chciał wolności zarówno dla... duszy, DNA, czy jak to nazwać, ojca Dure, jak i dla siebie.

– Niezupełnie – sprostowała. – Ojciec Hoyt pragnął umrzeć. Wstałem, o mały włos nie wyróciłem krzesła. Podeszedłem do pulsującej mapy.

– To czysty absurd. Jeśli nawet tego pragnął, to obowiązkiem pozostałych było ratować go... Był to również pani obowiązek. Pozwoliła mu pani umrzeć.

– Tak.

– Podobnie jak reszcie z nich pozwoli pani umrzeć?

– Niekoniecznie – odparła CEO Meina Gladstone. – To ich wybór... i Chyżwara, jeśli taki stwór rzeczywiście istnieje. W tej chwili ich pielgrzymka jest zbyt ważna, by dać im środki... ucieczki... w momencie, kiedy mają dokonać wyboru.

– Czyjego wyboru? Ich? W jaki sposób życie sześciorga ludzi, czy siedmiorga, wliczając niemowlę, może wpłynąć na los społeczności liczącej sto pięćdziesiąt miliardów?

– Znałem, rzecz jasna, odpowiedź na to pytanie. Rada Konsultacyjna SI, podobnie jak i mniej precyzyjni eksperci Hegemonii, wybrali pielgrzymów bardzo starannie. Ale w jakim celu? Nieoznaczoność. Byli cyframi, które pasowały do niewiadomej całego równania Hyperiona. Czy Meina Gladstone wiedziała o tym, czy też wiedziała tylko tyle, ile powiedzieli radca Albedo i jej własni szpiedzy? Westchnąłem i wróciłem na swoje miejsce.

– Czy we śnie widział pan, jak potoczyły się losy pułkownika Kassada? – zapytała CEO.

– Nie. Obudziłem się, zanim wrócili do Sfinksa, żeby szukać schronienia przed burzą.

Meina Gladstone uśmiechnęła się lekko.

– Zdaje pan sobie sprawę, M. Severn, że dla osiągnięcia naszych celów najwygodniej byłoby uśpić pana, napompować serum prawdy – takim samym, jakiego użyli pańscy przyjaciele, małżeństwo Philomel – i podłączyć do subwokalizera, żeby uzyskać regularne raporty o wydarzeniach na Hyperionie.

Odwzajemniłem jej uśmiech.

– Tak, to byłoby najwygodniejsze. Ale mniej wygodne byłoby, gdybym wymknął się via datasfera do Centrum, a wam pozostawił moje ciało. I właśnie to zrobiłbym, gdyby jeszcze raz poddano mnie takiemu przymusowi.

– Jasne – odparła. – Ja bym zrobiła tak samo w podobnych okolicznościach. Niech mi pan powie, M. Severn, jak jest w Centrum? Jak jest w tym odległym miejscu, w którym naprawdę zamieszkuje pańska świadomość?

– Ruchliwie – odparłem. – Czy życzyła pani sobie widzieć mnie dziś rano również z jakichś innych powodów?

Znów się uśmiechnęła. Wyczułem, że to był prawdziwy uśmiech, a nie broń polityczna, której używała z tak dobrym skutkiem.

– Tak – odparła. – Mam do pana inną sprawę. Czy chciałby pan udać się na Hyperiona? Na prawdziwego Hyperiona?

– Prawdziwego Hyperiona? – powtórzyłem jak głupiec. Czułem, jak palce u rąk i nóg zaczynają mnie świerzbić pod wpływem dziwnego podniecenia. Moja świadomość mogła sobie mieszkać w Centrum, ale ciało i mózg były na wskroś ludzkie, podatne na adrenalinę i inne organiczne płyny.

– Tak. Miliony ludzi chcą się tam wybrać. Teletransportować się do czegoś nowego. Oglądać wojnę z bliska. – Westchnęła i popchnęła notatnik. – Głupcy. – Spojrzała na mnie. Jej brązowe oczy były poważne. – Ale ja potrzebuję kogoś, kto by się tam wybrał i przesyłał mi osobiste raporty. Leigh skorzysta jeszcze tego ranka z któregoś z nowych wojskowych portali transmisyjnych. Sądzę, że mógłby pan do niego dołączyć. Może zabraknąć czasu, żeby przenieść się bezpośrednio na planetę, ale znajdzie się pan wewnątrz układu.



Miałem na języku kilka pytań. Zadałem najważniejsze:

– Czy to będzie niebezpieczne?

Ani ton głosu, ani wyraz jej twarzy nie zmieniły się.

– To możliwe. Znajdzie się pan daleko poza liniami frontu, a Leigh ma wyraźne instrukcje, żeby nie narażać siebie... ani pana... na oczywiste ryzyko.

Oczywiste ryzyko, pomyślałem. Czy może być mniej oczywiste ryzyko w strefie działań wojennych, w pobliżu planety, na której szaleje stwór taki jak Chyżwar?

– Tak – powiedziałem. – Pojadę. Ale jest jedna sprawa...

– Jaka?

– Muszę wiedzieć, po co mam jechać. Jeśli zależy pani na moim kontakcie z pielgrzymami, to naraża się pani niepotrzebnie na ryzyko utraty tego kontaktu, wysyłając mnie tam.

– M. Severn, to prawda, że pański kontakt z pielgrzymami... aczkolwiek trochę ograniczony... jest dla mnie interesujący. Ale równie prawdziwe jest to, że ciekawią mnie pańskie obserwacje i oceny. Pańskie własne obserwacje.

– Ale dla pani jestem nikim – odparłem. – Nie wie pani, czy nie składam raportów jeszcze komuś, rozmyślnie lub niechcący. Jestem tworem TechnoCentrum.

– Tak – rzekła Gladstone. – Ale zarazem jest pan, być może, najmniej uwikłaną w układy osobą w Centrum Tau Ceti, a nawet w całej Sieci. Nadto pańskie uwagi są uwagami wytrawnego poety, człowieka, którego geniusz podziwiam.

Roześmiałem się.

– To on był geniuszem. Ja jestem jego podobizną, pasożytem, karykaturą.

– Taki pan pewien? – zapytała Meina Gladstone.

Podniosłem puste dłonie.

– Nie napisałem ani linijki przez całe dziesięć miesięcy, przez cały ten czas, kiedy żyję i mam świadomość w tym dziwnym życiu po życiu. Nie myślę poezją. Czy to nie jest wystarczający dowód, że projekt Centrum spalił na panewce? Nawet moje fałszywe nazwisko jest obelgą dla człowieka nieskończenie bardziej utalentowanego niż ja kiedykolwiek będę... Joseph Severn był cieniem prawdziwego Keatsa.

– Może to prawda – stwierdziła Gladstone. – A może nie. Tak czy inaczej proszę pana, żeby wybrał się pan z M. Huntem w krótką podróż na Hyperiona. – Zamilkła na chwilę. – Nie ma pan... obowiązku... żeby to zrobić. Nie jest pan nawet obywatelem Hegemonii. Ale potrafiłabym to docenić, gdyby zdecydował się pan jednak tam wybrać.

– Wybiorę się. – Słyszałem własny głos jakby z odległości.

– Doskonale. Będzie panu potrzebna ciepła odzież. Proszę nie wkładać niczego, co mogłoby się obluzować albo sprawiać problemy przy upadku z wysokości, choć prawdopodobieństwo, że spotka to pana, jest niewielkie. Znajdzie pan Hunta przy głównym teletransmitterze budynku rządowego. Za... – popatrzyła na komlog -...dwanaście minut.

Skłoniłem się i odwróciłem, żeby odejść.

– Ach, M. Severn...

Zatrzymałem się przy drzwiach. Stara kobieta za biurkiem nagle wydała mi się bardzo mała i bardzo zmęczona.

– Dziękuję, M. Severn.

To prawda, że miliony ludzi chciały się teletransportować do strefy działań wojennych. WszechJedność została zarzucona podaniami, argumentami, by pozwolić temu czy innemu obywatelowi przenieść się na Hyperiona. Linie czarterowe chciały organizować krótkie wycieczki. Politycy planetarni i przedstawiciele Hegemonii domagali się dopuszczenia do inspekcji układu. Wszystkie prośby i żądania załatwiano odmownie. Obywatele Sieci – szczególnie ci bogaci i wpływowi – nie przywykli, żeby im odmawiano prawa dostępu do nowych emocji. Wojna była jedną z nich.

Ale urząd CEO i władze wojskowe pozostawały niezłomne. Żadnych cywilów, żad-



nych niedozwolonych teletransportacji do układu Hyperiona, żadnej wolności prasy. W czasach gdy nie było informacji, na którą panowałyby embargo, ani obszaru, do którego nie wolno by podróżować, taki wyjątek wydawał się szokujący.

Spotkałem się z M. Huntem przy teletransporterze rządowym. Przedtem musiałem okazać przepustkę jakiemuś tuzinowi strażników. Hunt nosił się na czarno. Jego wełniany strój, choć pozbawiony oznak, przywoływał skojarzenia z mundurami wojskowymi, od których roiło się w tym sektorze budynku rządowego. Miałem niewiele czasu na to, żeby się przebrać. Wpadłem do swojego apartamentu tylko po to, żeby chwycić obszerną kamizelę z dużą liczbą kieszeni na materiały rysunkowe i trzydziestopięć milimetrową kamerę.

– Gotów? – zapytał Hunt. Jego twarz, przypominająca bassetę, nie promieniowała radością na mój widok. Miał ze sobą zwyczajną czarną walizę.

Przytaknąłem. Hunt skinął ręką na wojskowego technika i przed nami zamigotał portal. Wiedziałem, że urządzenie nastawione było na nasze DNA i nie przepuściłoby nikogo innego. Hunt zaczerpnął powietrza i zrobił krok przed siebie. Patrzyłem, jak rtęciowy czworokąt pokrywa się drobnymi zmarszczkami po jego przejściu, niczym powierzchnia wody muśnięta powiewem wiatru. Ruszyłem.

Wieść głosi, że pierwsze portale teletransmisyjne nie powodowały sensacji w czasie przejścia i że inżynierowie nieco podkreślił maszynierię, by korzystający z niej mogli odczuwać to dziwne mrowienie i wiedzieli, że przemieszczają się w przestrzeni. Mniejsza o to. Zrobiłem drugi krok i gdy wyszedłem z portalu, miałem gęsią skórę. Rozejrzałem się dookoła.

To dziwne, ale prawdziwe: kosmiczne okręty wojenne opisywane były w literaturze, filmie, holoramie i obrazie od ponad ośmiuset lat. Zaczęło się to, zanim jeszcze ludzkość wyemigrowała ze Starej Ziemi, kiedy zaledwie zaczęła opuszczać atmosferę planety. Płaskie filmy pokazywały epickie boje w przestrzeni, prowadzone przez obciążone niesamowitym uzbrojeniem, przypominające miasta, ogromne, drążące kosmiczne mroki międzygwiazdne krążowniki. Nie inaczej było po ostatniej wojnie prowadzonej przez ludzkość. O bitwie o Bressię traktowały setki holofilmów. Ukazywane na nich wielkie floty zmagaly się na przestrzeni, którą dwaj żołnierze piechoty uznaliby za klaustrofobiczną. Okręty taranowały się, zionęły ogniem, płonęły, jak greckie triremy stłoczone w cieśninie Artemizjum.

Serce mi waliło, a dłonie miałem wilgotne, kiedy stanąłem na pokładzie okrętu flagowego floty. Spodziewałem się przestrzennego mostka kapitańskiego. Takiego, jak pokazywali na holofilmach oczekiwałem, że ujrzę ogromne ekrany prezentujące okręty wroga, usłyszę dźwięk alarmów, zobaczę nasrożonych oficerów pochylonych nad panelami taktycznymi, a okręt będzie robił uniki raz w lewo, raz w prawo.

Hunt i ja staliśmy w pomieszczeniu przypominającym wąski korytarz elektrowni. Wzdłuż ścian wiły się różnokolorowe rury, rozmieszczone co jakiś czas uszczelniane włazy wskazywały na to, że naprawdę znajdujemy się na okręcie kosmicznym. Klucze magnetyczne i panele sterownicze świadczyły o tym, że pomieszczenie nie jest jednak korytarzem. Opanowało mnie przemożne uczucie klaustrofobii pośród tego prymitywu technologicznego. Nasz „korytarz” był przecięty pionowym szybem, przez włazy widziałem inne wąskie, zapchane urządzeniami uliczki.

Hunt popatrzył na mnie i lekko wzruszył ramionami. Zastanawiałem się, czy to możliwe, żeby nas teletransportowano pod niewłaściwy adres.

Ale zanim którykolwiek z nas zdołał coś powiedzieć, młody chorąży Armii-kosmos w czarnym uniformie wyłonił się z jednego z bocznych korytarzy, zasalutował Huntowi i powiedział:

– Witamy na HS „Hebrides”, panowie. Admirał Nashita prosi, żebym przekazał panom jego pozdrowienia i zaprowadził na stanowisko dowodzenia. Proszę za mną. – Mówiąc to, chorąży okręcił się na pięcie, złapał za wręgę i podciągnął się w kierunku wąskiego pionowego szybu.



Poszliśmy w jego ślady wedle naszych najlepszych umiejętności. Hunt usiłował nie zgubić swojej walizy podczas wspinaczki, a ja starałem się nie podłożyć dłoni pod obcasy Hunta. Zaledwie po kilku jardach zorientowałem się, że na okręcie ciężenie jest znacznie mniejsze niż standardowe, a właściwie to nie było ciężenie. Miałem tylko uczucie, jakby sto maleńkich, ale nieustępliwych rączek popychało mnie „w dół”. Słyszałem już o okrętach używających pola ochronnego symulującego grawitację, ale doświadczałem tego po raz pierwszy. Nie było to całkiem przyjemne uczucie. Przypominało marsz pod wiatr. Dokładało się do tego klaustrofobiczne wrażenie wywołane wąskimi korytarzykami, małymi włączami i najeżonymi sprzętem wnękami.

„Hebrides” był okrętem klasy 3 – C. Bojowe stanowisko dowodzenia, komunikacji i kontroli stanowiło jego serce i mózg, ale nie wywierało większego wrażenia. Młody chorąży przeprowadził mnie i Hunta przez trzy próżnioszczelne włazy obok pełniących wartę marines, zasalutował i zostawił nas w pomieszczeniu mającym nie więcej niż dwadzieścia jardów kwadratowych powierzchni. Salka była tak przepełniona personelem, sprzętem i panował tu taki gwar, że pierwszym odruchem było cofnięcie się przez właz, żeby nabrać trochę powietrza.

Nie zauważyłem wielkich ekranów. Kilkunastu młodych oficerów Armii-kosmos ślęczało nad wykresami albo stało przed konsolami z danymi. Ludzie – kobiety i mężczyźni – nie ruszali się ze swoich foteli. Tylko kilku oficerów – bardziej przypominających biurokratów niż zasępionych wojowników – przemieszczało się od niszy do niszy, poklepując swoich podwładnych po plecach i podłączając się do konsoli za pomocą własnych wtyczek. Jeden z nich podszedł do nas pośpiesznie, popatrzył na mnie, zasalutował i powiedział:

– M. Hunt?

Skinąłem w kierunku mego towarzysza.

– M. Hunt – rzekł otyły młody komandor – admirał Nashita chce się z panem natychmiast widzieć.

Dowódca wszystkich sił Hegemonii w układzie Hyperiona był małym mężczyzną z krótkimi siwymi włosami, gładką jak na swój wiek cerą i marsem na czole. Admirał Nashita nosił czarny mundur bez oznak, nie licząc czerwonego słońca na kołnierzu. Miał twarde, silne dłonie, ale widać było, że niedawno robił sobie manicure. Admirał siedział na małym podium, otoczony przez sprzęt i ekrany. Miało się wrażenie, że cała krzątająca się personelu bojowego opływa go jak strumień skałę.

– To pan jest wysłannikiem Meiny Gladstone – powiedział do Hunta. – A to kto jest?

– Mój asystent – odparł Leigh Hunt. Oparłem się pokusie uniesienia brwi.

– Czego chcecie? – zapytał Nashita. – Jak pan widzi, jestem zajęty.

Leigh Hunt skinął głową i rozejrzał się dookoła.

– Mam pewne materiały dla pana, admirale. Czy jest tu jakieś miejsce, gdzie moglibyśmy porozmawiać w cztery oczy?

Admirał Nashita chrząknął, przesunął dłonią nad czujnikiem i powietrze za mną zgęstniało, kondensując się w formę półstałej mgły wytworzonej przez pole ochronne. Hałas stanowiska dowodzenia ucichł. Nasza trójka znalazła się w małym igloo ciszy.

– Niech się pan streszcza – powiedział admirał Nashita.

Hunt otworzył walizę i wyciągnął małą kopertę ze znakiem budynku rządowego.

– Prywatna informacja od CEO – wyjaśnił. – Zechce pan przeczytać w wolnym czasie, admirale.

Admirał odsunął kopertę na bok.

Hunt położył na biurku większą kopertę.

– A to jest kopia uchwały senatu domagającej się wykonania tej... hm... akcji wojkowej. Jak panu wiadomo, wolą senatu jest, żeby była to szybka demonstracja siły mająca na celu osiągnięcie ograniczonych celów, przy możliwie najmniejszych stratach w ludziach. W ślad za nią powinna iść standardowa propozycja pomocy i protekcji dla naszych nowych... nabytków kolonialnych.



Zmarszczki na czole Nashity lekko zadrgały. Nie sięgnął po kopertę z wolą senatu.

– Czy to wszystko?

– Wszystko, chyba że chciałby pan coś przekazać CEO za moim pośrednictwem, admirale.

Nashita gapił się na nas. W jego małych czarnych oczach nie było wrogości, tylko zniecierpliwienie. Pomyślałem sobie, że to uczucie wymazać mogłaby tylko śmierć.

– Mam osobisty dostęp do CEO za pośrednictwem linii FAT – powiedział admirał. – Dziękuję, panie Hunt. Tym razem nie będzie odpowiedzi zwrotnej. A teraz zechce pan łaskawie wrócić do teletransportera na śródookręciu i pozwoli mi kontynuować działania bojowe.

Pole ochronne ustąpiło i hałas napłynął jak woda przez topniejącą ścianę z lodu.

– Jeszcze jedno – rzekł Leigh Hunt. Jego spokojny głos ledwie było słyhać w zgiełku centrum dowodzenia.

Admirał Nashita zakołysał się w fotelu i czekał.

– Chcemy się przetransportować na planetę. Na Hyperiona. Zmarszczki na czole admirała wyraźnie się pogłębiły.

– Ludzie CEO Gladstone nic nie mówili o zorganizowaniu desantu.

Hunt nawet nie mrugnął.

– Generalny gubernator Lane wie, że mamy przybyć.

Nashita popatrzył na jeden z ekranów, trzasnął palcami i mruknął coś do majora marines, który natychmiast podszedł.

– Musicie się pośpieszyć – admirał zwrócił się do Hunta. – W doku dwudziestym czeka kurier. Jest gotowy do drogi. Major Inverness zaprowadzi was. Wejdziecie na pokład desantowca. „Hebrides” odpala go za dwadzieścia trzy minuty.

Hunt skinął głową i odwrócił się, żeby pójść za majorem. Powlokłem się za nimi. Zatrzymał nas głos admirała.

– M. Hunt! – zawołał Nashita. – Proszę powiedzieć CEO Gladstone, że okręt flagowy będzie od tej chwili zbyt zajęty działaniami, by przyjmować jakiegokolwiek wizyty natury politycznej. – Nashita odwrócił się w kierunku migających wykresów i czekających na polecenia podwładnych.

Wraz z majorem zagłębiliśmy się we wnętrzościach okrętu.

– Tu powinny być okna.

– Co? – zbyt zajęty myślami, nie zwracałem uwagi na słowa towarzysza podróży.

Leigh Hunt odwrócił głowę w moją stronę.

– Nigdy nie byłem w desantowcu bez okien albo ekranów widokowych. To dziwne.

Przytaknąłem i rozejrzałem się wokoło. Wnętrze było ciasne i zatłoczone. Siedzieliśmy z młodym porucznikiem w przedziale pasażerskim, pośród stosu zapasów.

Znów zatopiłem się w myślach, które nawiedzały mnie, odkąd pożegnaliśmy Nashitę. Kiedy szedłem za innymi do doku dwudziestego trzeciego, nagle zdałem sobie sprawę, że nie tęsknię za czymś, za czym powinienem tęsknić. Moją nerwowość związaną z tą podróżą częściowo składałem na karb tego, że opuszczam datasferę. Byłem jak ryba rozmyślająca o pożegnaniu z morzem. Część mojej świadomości leżała porzucona, gdzieś na dnie tego morza, tego oceanu danych i łącz komunikacyjnych z dwustu planet i Centrum, stopionych w jedno przez niewidzialne medium zwane kiedyś równiną danych, teraz określane jedynie jako megasfera.

Uderzyło mnie, kiedy opuszczaliśmy Nashitę, że nadal jestem w stanie usłyszeć pulsowanie tego niezwykłego morza – odległe, ale nieustanne, jak odgłos łamiących się fal, gdy stoi się o pół kilometra od brzegu – starałem się zrozumieć to w trakcie pośpiesznego marszu do desantowca i w ciągu dziesięciominutowego opadania ku skrajowi atmosfery Hyperiona.

Armia szczyliła się tym, że używa własnych sztucznych inteligencji, własnych datasfer i źródeł obliczeniowych. Oczywistym powodem takiego stanu rzeczy była koniecz-



ność prowadzenia działań w wielkich przestrzeniach między planetami Sieci, w cichych i ciemnych miejscach między gwiazdami, poza megasferą Sieci, ale prawdziwa przyczyna leżała w niepohamowanej chęci utrzymania niezależności od TechnoCentrum, chęci uwidaczniającej się od stuleci. Mimo to, przebywając na okręcie Armii, w środku armady, w systemie nie należącym ani do Sieci, ani do Protektoratu, nastrojony byłem na ten sam bełkot informatyczny – energetyczny, który otaczał mnie w Sieci. Interesujące.

Myślałem o łączach, które transmiter materii przyniósł na układ Hyperiona. Była to nie tylko sfera bezpieczeństwa transmitera materii, szybująca nad planetą jak księżyc w pełni. Dochodziły do tego mile kabli z włókien optycznych przewleczone przez stale otwarty portal transmisyjny desantowca, mikrofalowe odtwarzacze mechanicznie powtarzające informację w czasie zbliżonym do rzeczywistego, oswojone SI okrętu dowodzenia przetwarzające dane z Kwatery Głównej Olympus na Marsie i w innych miejscach. Datasfera musiała jakoś niepostrzeżenie wpełznąć w ten system. Urządzenia Armii oraz ich operatorzy mogli nawet o tym nie wiedzieć, że SI z TechnoCentrum wiedziały na bieżąco o wszystkich wydarzeniach w układzie Hyperiona. Gdyby moje ciało miało teraz umrzeć, dysponowałbym tą samą drogą ucieczki co zwykle. Moja świadomość popłynęłaby wzdłuż pulsujących łączy wijących się jak sekretne przejścia mimo Sieci, mimo równiny danych i jej obrzeży dostępnych dla ludzkości, aż dotarłaby do jądra TechnoCentrum. Tak naprawdę to nie do Centrum, pomyślałem, bo Centrum otacza, obejmuje całość, jak ocean, gdzie płyną rozmaite prądy, wielkie Prądy Zatokowe, które sądzą, że same są odrębnymi morzami.

– Chciałbym, żeby tu były okna – wyszeptał Leigh Hunt.

– Tak – odparłem. – Ja też.

Desantowiec podskoczył i zawibrował, kiedy weszliśmy w górną warstwę atmosfery Hyperiona. Hyperion, pomyślałem, Chyżwar. Moja gruba koszula i kamizela lepiły się do ciała. Lekkie buczenie świadczyło o tym, że lecimy po błękitnym nieboskłonie z prędkością przekraczającą kilkakrotnie szybkość dźwięku.

Młody porucznik nachylił się w naszą stronę.

– Pierwszy raz na dole, panowie?

Hunt przytaknął.

Porucznik żuł gumę, popisywał się, z jakim luzem podchodzi do tego przedsięwzięcia.

– Jesteście cywilnymi technikami z „Hebrides”?

– Właśnie stamtąd przybywamy – odparł Hunt.

– Tak myślałem – uśmiechnął się porucznik. – A ja wiozę przesyłkę kurierską do bazy marines w okolicy Keats. Moja piąta podróż. Przebiegł mnie dreszcz, kiedy przypomniano mi nazwę stolicy; Hyperion został skolonizowany przez Smutnego Króla Billy’ego i gromadę jego poetów, artystów oraz innych dziwaków uciekających z rodzinnej planety przed inwazją wojsk Horace Glennona – Heighta. Inwazja, w końcu, nie doszła do skutku. Poeta uczestniczący w pielgrzymce do Chyżwara, Martin Silenus, doradził królowi Billy’emu, żeby nazwał stolicę Keats. Miejscowi nazywają starszą część miasta Jacktown.

– To nieprawdopodobne miejsce – powiedział porucznik. – Prawdziwe zadupie. Żadnej datasfery, żadnych EMV, żadnych portali teletransmisyjnych, żadnych barów z holofilmami. Nic. Nie ma co się dziwić, że tysiące pieprzonych tubylców koczuje wokół kosmodromu. Rozwalają płoty, żeby się tylko stamtąd wydostać.

– Naprawdę atakują kosmodrom? – zapytał Hunt.

– No nie – wycofał się porucznik żując gumę. – Ale są do tego zdolni. Wie pan, o co mi chodzi. To dlatego drugi batalion marines otoczył port strefą bezpieczeństwa i pilnuje dojazdu do miasta. Poza tym te miejscowe głupki myślą, że lada dzień zbudujemy portale i wyrwiemy ich z tego gówna, w które sami się wpakowali.

– Sami się wpakowali? – zapytałem.

Porucznik wzruszył ramionami.



– Musieli coś zrobić, skoro Intruzi tak się na nich wkurzyli, no nie? A teraz my wy-
ciągamy za nich ostrygi z ognia.

– Kasztany – poprawił Leigh Hunt.

Porucznik znów nerwowo zaczął żuć gumę.

– Wszystko jedno.

Buczenie przeszło w wycie dobrze słyszane mimo grubego poszycia. Desantowiec podskoczył dwa razy, a potem ześlizgnął się gładko – obrzydliwie gładko – jakby dzie-
sięć mil nad ziemią natrafił na lodowisko.

– Chciałbym, żeby tu były okna – wyszeptał znów Leigh Hunt. W desantowcu pano-
wała gorąca duchota. Podskoki okrętu zdawały się, paradoksalnie, przynosić ulgę. Przy-
pomiñało to podróż małą żaglówką kołyszącą się na falach. Na kilka minut zamknąłem
oczy.



Sol, Brawne, Martin Silenus i konsul nieśli sprzęt, sześcian Móbiosa należący do Heta Maastena i ciało Lenara Hoyta. Szli długą pochylnią w kierunku wejścia do Sfinksa. Padał teraz gęsty śnieg. Wbrew wskazaniom komlogów, na wschodzie nie było widać jutrzeńki. Pielgrzymi wywoływali nieustannie Kassada na częstotliwościach radiowych swoich komlogów. Odpowiedź nie nadchodziła.

Sol Weintraub zatrzymał się przed wejściem do Sfinksa. Na piersi pod peleryną czuł ciepło ciała i oddech swojej córeczki. Podniósł rękę i dotknął małego zawiniątka. Usiłował wyobrazić sobie Rachelę jako młodą, dwudziestosześcioletnią kobietę – naukowca, zatrzymującą się u wejścia do grobowca, zanim zbada jego antyentropiczne tajemnice. Potrząsnął głową. Od tamtego czasu minęło dwadzieścia sześć długich lat. Za cztery dni będą urodziny jego córki. Jeśli Sol nie zrobi czegoś, czegokolwiek, nie znajdzie Chyżwara, nie ubije z nim interesu, Rachelę umrze za cztery dni.

– Idziesz, Sol?! – zawołała Brawne Lamia. Pielgrzymi złożyli swoje bagaże w kamiennym korytarzu, kilka metrów od wejścia.

– Już idę! – odkrzyknął i wszedł do grobowca. Żarkule i lampy elektryczne wisały na ścianach, ale były ciemne i pokryte kurzem. Tylko latarka Sola i blask jednej z przenośnych lamp Kassada oświetlały wnętrze.

Pierwsze pomieszczenie było małe. Miało nie więcej niż sześć na cztery metry. Pielgrzymi oparli bagaże o czarną ścianę, a pośrodku zimnej podłogi rozpostarli brezent i materace. Dwie latarnie płonęły z sykiem, rzucając zimne światło. Sol rozejrzał się dokoła.

– Ciało ojca Hoyta leży w następnym pomieszczeniu – wyjaśniła Brawne Lamia odpowiadając na nieme pytanie. – Tam jest jeszcze zimniej.

Sol usadowił się obok innych. Nawet teraz słyszał szorowanie piasku o kamienie.

– Konsul spróbuje się później jeszcze raz połączyć z Meiną Gladstone – powiedziała Brawne. – Poinformuje ją o naszym położeniu. Martin Silenus roześmiał się.

– To nie ma sensu. Za cholere nie ma sensu. Ona dobrze wie, co robi. Nie ma zamiaru nas stąd wypuścić.

– Spróbuję zaraz po wschodzie słońca – wtrącił konsul. Mówił bardzo zmęczonym głosem.

– Obejmę wartę – zaproponował Sol. Rachelę poruszyła się i zapłakała cieniutko. – Tak czy inaczej muszę nakarmić dziecko.

Byli zbyt zmęczeni, żeby podtrzymywać rozmowę. Brawne oparła się o plecak, zamknęła oczy i po kilku sekundach zaczęła głęboko oddychać. Konsul opuścił trójgraniasty kapelusz na oczy. Martin Silenus założył ręce na piersi i wpatrywał się w wejście. Czekał.

Sol Weintraub krzątał się przygotowując odżywkę dla niemowląt. Zziębniętymi, artretycznymi palcami z trudnością rozpakował tabletki podgrzewające. Zajrzał do torby i stwierdził, że zostało mu tylko dziesięć odżywek i kilka pieluszek.

Niemowlę ssało, Sol kiwał sennie głową, prawie zasypiał, kiedy wszystkich obudził nagły odgłos.

– Co to?! – krzyknęła Brawne, szukając pistoletu ojca.

– Ćśś! – syknął poeta, unosząc rękę.

Dźwięk rozległ się powtórnie: Dochodził gdzieś spoza grobowca. Brzmiał ostro i groźnie, przebijał się przez wycie wiatru i szelest piasku.

– To karabin Kassada – powiedziała Brawne Lamia.

– Albo kogoś innego – wyszeptał Martin Silenus.

Siedzieli w ciszy i wyteżali słuch. Przez dłuższą chwilę nic się nie działo. Nagle noc ożyła hukami, który sprawiały, że pielgrzymom cierpła skóra. Rachelę zaczęła płakać ze strachu, ale jej szloch przytłumiły eksplozje dochodzące spoza grobowca.



Obudziłem się, kiedy desantowiec dotknął ziemi. Hyperion, pomyślałem, starając się oddzielić jawę od snu.

Młody porucznik życzył nam szczęścia i wyskoczył, ledwie otworzyły się soczewkowane drzwi. Zimne, rzadkie powietrze wtargnęło do dusznej kabiny. Ruszyłem za Huntem po standardowej rampie wyladunkowej. Przeszedłem przez ścianę ochronną i stanąłem na tarmaku.

Była noc. Nie miałem pojęcia, która to godzina wedle czasu lokalnego. Ale intuicyjnie czułem, że pora jest późna. Padał lekki deszczyk pachnący morzem i wilgotną roślinnością. W oddali widziałem światła lądowiska. Kilka wież z reflektorami rozjaśniało niskie chmury. Sześciu młodych ludzi w mundurach marines szybko wzięło się do rozładowywania desantowca. Nasz młody porucznik rozmawiał z innym oficerem. Stali o jakieś trzydzieści metrów na prawo od nas. Mały port kosmiczny wyglądał jak ilustracja z książki historycznej port kolonialny z wczesnych lat hegiry. Prymitywne wyrzutnie i pola startowe ciągnęły się aż do oddalonego o jakieś półtora kilometra na północ ciemnego masywu wzgórz. Wieże obsługi przyssane do wojskowych promów kosmicznych i małych okrętów otoczone były barakami z elementów prefabrykowanych z mnóstwem anten na dachach. Dalej ciągnęły się fioletowe pola ochronne i parkowiska ślizgaczy i samolotów.

Idąc za wzrokiem Hunta, spostrzegłem ślizgacz zdążający w naszym kierunku. Błękitno – złoty znak geodezyjny Hegemonii na burcie pojazdu podświetlony był światłami pozycyjnymi. Śmigła rozcinały kurtynę mżawki. Ślizgacz zatrzymał się, bańka z persexu rozchyliła się i ze środka wyskoczył pasażer. Szybkimi krokami podszedł do nas.

Wyciągnął rękę do Hunta.

– M. Hunt? Jestem Theo Lane.

Hunt uścisnął mu rękę i skinął głową w moim kierunku.

– Miło mi pana spotkać, panie generalny gubernatorze. To Joseph Severn.

Uścisnąłem rękę Lane'a, i wtedy, wstrząśnięty, rozpoznałem go. Pamiętałem Theo Lane'a poprzez deja vu pochodzące z mglistego odbioru pamięci konsula. Wspomnienie pochodziło z lat, kiedy konsul był jeszcze młodym człowiekiem i pełnił funkcję wicekonsula, a także z krótkiego spotkania sprzed tygodnia. Generalny gubernator przywitał wtedy pielgrzymów, zanim udali się w górę rzeki na barce lewitacyjnej „Benares”. Wydawał się starszy niż przed paru dniami. Ale niesforny lok na czole pozostał ten sam. Te same były też staromodne okulary i szybki, pewny uścisk ręki.

– Miło mi, że znaleźliście czas, by wylądować na mojej planecie – powiedział do Hunta. – Jest kilka spraw, które chciałbym zakomunikować CEO.

– Po to tutaj jesteśmy – stwierdził Hunt. Zerknął w górę mrużąc oczy przed deszczem. – Mamy około godziny. Czy jest tu jakieś suche miejsce?

Generalny gubernator uśmiechnął się radośnie.

– Na tym polu startowym jest jak w domu wariatów, nawet o 0520 nad ranem, a konsulat przeżywa ciągłe oblężenie. Ale znam pewne miejsce – pokazał ręką w kierunku ślizgacza.

Kiedy wystartowaliśmy, zauważyłem, że dwa ślizgacze marines dotrzymują nam towarzystwa. Dziwiło mnie, że generalny gubernator planety należącej do Protektoratu sam prowadzi pojazd i nie ma stałej ochrony. Wtedy przypomniałem sobie, co konsul powiedział o Theo Lane pielgrzymom – o jego młodzieńczej energii i zادیorności.

Słońce wstało, gdy zmierzaliśmy w stronę miasta. Niska powłoka chmur, oświetlona od spodu, błyszczała oślepiająco, wzgórz na północy mieniły się jaskrawą zielenią, fioletem i brązem, a wąski pasek czystego nieba poniżej chmur miał ten zatrzymujący dech w piersiach odcień zieleni i lapis lazuli, który zapamiętałem ze swoich snów. Hyperion, pomyślałem i poczułem, jak wzruszenie chwyta mnie za gardło.



Oparłem głowę o mokrą od deszczu szybę owiewki i zdałem sobie sprawę, że część sensacji, które odczuwam, spowodowana jest zanikaniem kontaktu z datasferą. Ten związek jeszcze istniał. Podtrzymywały go mikrofały i linie FAT, ale stawał się znacznie bardziej znikomy, niż się spodziewałem. Jeśli datasferę można by określić jako morze, w którym pływałem, to doprawdy, znalazłem się teraz na mieliźnie. Lepszą metaforą byłby basen, jaki tworzy się po odpływie. Wody datasfery robiły się coraz płytsze, w miarę jak oddalaliśmy się od portu kosmicznego i jego prymitywnej mikrosfery. Zmusiłem się, by posłuchać, o czym rozmawiają Hunt i generalny gubernator.

– Widzicie, to są te szalasy i szopy – powiedział Lane przechylając się lekko na skrzydło, żeby ułatwić nam widok na wzgórze i doliny oddzielające port od przedmieść stolicy.

Szalasy i szopy to zbyt uprzejme określenie na śmietnisko kawałków plastwótki, strzępów płótna, stosów skrzynek i pryzm sztucznej pianki pokrywających wzgórze i głębokie kaniony. To, co niegdyś było malowniczą drogą z miasta do portu wiodącą przez porośnięte lasem wzgórze, stało się nagą porębą, z której brano drewno na opał i budowę schronienia. Tysiące stóp zdeptały łąki, czyniąc z nich pełne błota place. Jak okiem sięgnąć rozpościerało się liczące siedemset, osiemset tysięcy ludzi miasto uchodźców. Dymy tysięcy ognisk, na których pichcono śniadania, wznosiły się pod chmury. Wszędzie widziałem ruch. Biegały bose dzieci, kobiety nosiły wodę ze strumieni, które musiały być koszmarne zanieczyszczone, mężczyźni kucali na otwartej przestrzeni i czekali w kolejkach do pośpiesznie wzniesionych wygódek. Zauważyłem, że po obu stronach autostrady ustawiono wysokie płoty z drutu kolczastego i położono Eoletowe pola ochronne. Co pół mili widać było wojskowe punkty kontrolne. Długie sznury pokrytych barwami ochronnymi wojskowych pojazdów naziemnych i ślizgaczy poruszały się w obie strony po autostradzie i w niskich kanałach powietrznych.

–...większość uchodźców to miejscowi – mówił generalny gubernator Lane. – Choć są tu też właściciele ziemscy z miast położonych na południu i wielkich plantacji plastwótkowników na Aquili.

– Czy przybyli tutaj w obawie przed inwazją Intruzów? – zapytał Hunt.

Theo Lane popatrzył na przybocznego Meiny Gladstone.

– Na początku panika wybuchła na myśl, że otwierają się Grobowce Czasu. Ludzie byli przekonani, że przyjdzie po nich Chyżwar.

– I przyszedł? – zapytałem.

Młody człowiek obrócił się na fotelu, żeby spojrzeć na mnie.

– Trzeci legion Sił Samoobrony wymaszerował na północ siedem miesięcy temu. Nie wrócił.

– Mówił pan, że przed Chyżwarem uciekali na początku – powiedział Hunt. – Co sprawiło, że potem przybyli tu inni?

– Czekają na ewakuację – odparł Lane. – Każdy wie, co Intruzi... i wojska Hegemonii,.. zrobili na Bressii. Nie chcą tu być, gdy to samb stanie się z Hyperionem.

– Zdaje pan sobie sprawę, że Armia rozważa ewakuację jako środek absolutnie ostateczny? – zapytał Hunt.

– Tak. Ale nie informujemy o tym uchodźców. Były tu już straszne bunty. Zniszczona została Świątynia Chyżwara... tłum obległ ją i ktoś użył profilowanych ładunków plazmatycznych ukradzionych z kopalń Ursusa. W ubiegłym tygodniu zaatakowano konsulat i port kosmiczny. W Jacktown zdarzyły się bunty głodowe.

Hunt skinął głową przypatrując się zbliżającemu się miastu. Budynki były niskie. Tylko nieliczne miały ponad pięć pięter. Ich białe i pastelowe ściany odbijały skośne promienie porannego słońca. Popatrzyłem przez ramię Hunta i ujrzałem niską górę z wyrzeźbioną twarzą Smutnego Króla Billy'ego nachylającą się w zamyśleniu nad doliną. Przez środek starego miasta płynęła zakosami rzeka Hoolie. Prostowała swój bieg zdążając na północ, w kierunku Gór Cugielnych. Znikała z pola widzenia na południowo – wschodnich bagnach. Po smutnym wspomnieniu zatłoczonego koczowiska uchodźców miasto wyglądało na puste i spokojne, ale gdy zaczęliśmy obniżać lot w stronę rzeki,



zauważyłem obecność wojska – czołgi, APC, transportery na skrzyżowaniach i w parkach. Ich polimer maskujący został specjalnie zdezaktywowany, żeby maszyny wyglądały groźniej. Potem zobaczyłem uchodźców w mieście: ich namioty stały na placach i w alejach, tysiące śpiących postaci wzdłuż krawężników, jak węzłki brudnej bielizny czekające w kolejce do pralni.

– Keats miało dwieście tysięcy mieszkańców dwa lata temu – powiedział generalny gubernator. – Obecnie, włączając slumsy uchodźców, zbliżamy się do trzech i pół miliona.

– Wydawało mi się, że cała planeta ma mniej niż pięć milionów ludności – wtrącił Hunt. – Włączając miejscowych.

– Zgadza się – odparł Lane. – Teraz rozumie pan, dlaczego wszystko tu się załamuje. Dwa pozostałe wielkie miasta, Port Romance i Endymion, stały się schronieniem dla reszty uchodźców. Plantacje plastowłókników na Aquili opustoszały. Zarasta je dżungla i lasy ogniowe. Pas farm wzdłuż Grzywy i Dziewięciu Ogonów przestał wytwarzać żywność. A jeśli nawet trochę tam produkują, to nie mogą nic dostarczyć na rynek ze względu na załamanie się systemu transportu cywilnego.

Hunt patrzył na zbliżającą się rzekę.

– Co robi rząd?

Theo Lane uśmiechnął się.

– Pyta pan, co ja robię? No cóż, kryzys dojrzewa od prawie trzech lat. Pierwszym krokiem było rozwiązanie Rady zarządzającej i formalne włączenie Hyperiona do Protektoratu. Kiedy objąłem już władzę, postanowiłem upaństwowić spółki transportowe i rozwiązać Siły Samoobrony.

– Rozwiązać je? – zapytał Hunt. – Pomyślałbym raczej, że zechce je pan wykorzystać.

Generał gubernator potrząsnął głową. Dotknął kontrolki i ślizgacz zszedł w dół po spirali, w kierunku centrum starego Keats.

– Byli bezużyteczni, a nawet gorzej. Byli niebezpieczni. Nie zmartwiłem się zbyt, gdy trzeci legion wymaszerował na północ i po prostu zniknął. Jak tylko wylądowały naziemne oddziały Armii i marines, rozbroiłem resztę opryszków Samoobrony. To głównie oni zajmowali się rabunkiem. O, tutaj możemy zjeść śniadanie i porozmawiać.

Ślizgacz zszedł nisko nad rzekę, zrobił ostatnie okrążenie i lekko opadł na podwórko otoczone starymi murami z kamienia i drewna: „U Cycerona”. Jeszcze zanim Lane zdążył wymienić nazwę, rozpoznałem to miejsce ze wspomnień pielgrzymów – stara restauracja, która była barem i karczmą jednocześnie, leżała w sercu Jacktown. Zajmowała dziewięć poziomów w czterech budynkach. Balkony, pomosty i pociemniałe drewniane chodniki zwiślały z jednej strony nad leniwie płynącą Hoolie, a z drugiej nad zaułkami starego miasta. „U Cycerona” miała więcej lat niż kamienna twarz Smutnego Króla Billy’ego. Jej mroczne salki i głębokie piwnice z winem były prawdziwym domem konsula za czasów jego wygnania.

Stan Leweski przywitał nas w drzwiach prowadzących na podwórko. Wysoki, potężny, z twarzą równie pociemniałą i porysowaną ze starości jak otaczające nas mury, był sercem swojej restauracji, tak jak przedtem jego ojciec, dziad i pradziad.

– Do diaska! – huknął olbrzym klepiąc generalnego gubernatora (de facto dyktatora tej planety) po ramieniu z taką siłą, że Lane aż się zachwiał. – Ranny ptaszek, co? Przyprowadziło się kołesiów na śniadanie? Witamy „U Cycerona”!

Wielka łapa Stana Leweskiego potrząsnęła po kolei dłonią Hunta, a potem moją. Przez dłuższy czas sprawdzałem palce i stawy ręki, czy niczego mi nie uszkodził.

– A może – według czasu Sieci – jest już późna godzina? – zahuczał. – Może chcecie drinka albo obiad?

Leigh Hunt popatrzył zmrużonymi oczami na restauratora. – Skąd pan wie, że jesteśmy z Sieci?

Leweski ryknął śmiechem, który wprawił chorągiewki na dachu w drżenie.



– Ha! Trudno się domyślić, co? Przybyliście tu z Theo o wschodzie słońca. Myślicie, że każdego tu podwozi? No i nosicie wełnianą odzież, a my tutaj nie mamy owiec. Nie jesteście z Armii i nie jesteście grubymi rybami z plantacji plastowłókników... znam ich wszystkich! Ipso facto toto, teletransmitowaliście się na okręty z Sieci i wpadliście tutaj na dobre żarcie. A teraz chcecie śniadanie, czy napijecie się czegoś? Theo Lane westchnął.

– Zaprowadź nas do jakiegoś zacisznego kącika; Stan. Dla mnie jajka na bekonie i solone śledzie. A dla was, panowie?

– Tylko kawa – powiedział Hunt.

– Ja też – stwierdziłem. Szliśmy za właścicielem korytarzami, po schodach na górę i w dół po pochylniach z ażurowego żelaza i znów korytarzami. Knajpa była ciemniejsza, bardziej zakopcona i bardziej fascynująca, niż zapamiętałem ze snów. Kilku żołnierzy podniosło na nas wzrok, gdy przechodziliśmy, ale miejsce wydawało się mniej zatłoczone niż kiedyś. Najwyraźniej Lane wysłał wojsko, żeby przegnało troglodytów z Samoobrony, którzy okupowali knajpę. Przeszliśmy obok wąskiego, wysokiego okna. Zweryfikowałem swoją hipotezę o akcji wojskowej, bo na zewnątrz zauważyłem transportery wojskowe zaparkowane w alejce i kręcących się przy nich żołnierzy z bronią najwyraźniej gotową do strzału.

– Tutaj – powiedział Leweski, wprowadzając nas do małej altanki zwisającej nad Hoolie, z widokiem na dachy i kamienne wieżyczki Jacktown. – Za dwie minuty wracam ze śniadaniem i kawą. – Zniknął błyskawicznie... jak na możliwości olbrzyma.

Hunt popatrzył na komlog.

– Mamy około czterdziestu pięciu minut. Później wracamy na desantowiec. Rozmawiajmy.

Lane pokiwał głową, zdjął okulary i przetarł oczy. Uświadomiłem sobie, że przez całą noc był na nogach... może nawet przez kilka nocy z rzędu.

– Doskonale.

– Czego CEO Gladstone chciałaby się dowiedzieć? – spytał, zakładając z powrotem okulary.

Hunt powstrzymał się z odpowiedzią, bo właśnie bardzo mały człeczyna ze skórą białą jak pergamin i żółtymi oczami przyniósł nam kawę w głębokich, masywnych kubkach i postawił na stole talerz z jedzeniem dla Lane'a.

– CEO chce wiedzieć, jakie ma pan priorytety – odparł Hunt. I chce też wiedzieć, czy wytrzymacie, gdyby walki się przeciągnęły. Lane jadł przez chwilę, zanim odpowiedział. Pociągnął długi łyk kawy i spojrzał wnikliwie na Hunta. Sądząc po smaku, kawa była prawdziwa. Lepsza niż cokolwiek, co hodowano w Sieci.

– Odpowiedź na pierwsze pytanie dam później. Niech pan zdefiniuje, co to znaczy: „przeciągnęły się”.

– Tygodnie.

– Tygodnie może. Miesiące – nie wytrzymamy. – Generalny gubernator skosztował solonych śledzi. – Widzi pan, w jakim stanie jest nasza gospodarka. Gdyby nie żywność dostarczana nam przez Armię, buntury głodowe mielibyśmy codziennie, a nie co tydzień. Przy kwarantannie nie ma eksportu. Połowa – uchodźców chce znaleźć kapłanów Kościoła Chyżwara i pozabijać ich, druga połowa chce się nawrócić, zanim Chyżwar ich znajdzie.

– Odszukał pan już kapłanów? – zainteresował się Hunt.

– Nie. Jesteśmy pewni, że uciekli przed bombardowaniem świątyni, ale władze nie są w stanie ich zlokalizować. Plotka głosi, że uciekli na północ, do Baszty Chronosa, kamiennego zamku tuż na skraju płaskowyżu, gdzie są Grobowce Czasu.

Ja wiedziałem lepiej. Wiedziałem przynajmniej tyle, że pielgrzymi nie spotkali żadnego kapłana Kościoła Chyżwara podczas krótkiego postoju w Baszcie. Ale były tam ślady masakry.

– Jeśli chodzi o nasze priorytety – mówił Theo Lane – to pierwszym jest ewakuacja.



Drugim jest eliminacja zagrożenia ze strony Intruzów. Trzecim – zaradzenie panice wywołanej przez widmo Chyżwara.

Leigh Hunt poprawił się w krześle. Z ciężkiego kubka, który trzymał w dłoniach, parowała kawa.

– Ewakuacja na razie jest niemożliwa...

– Dlaczego? – Lane strzelił pytaniem jak z neurobiczka.

– CEO Gladstone nie ma takich politycznych możliwości... na razie... żeby przekonać senat i WszechJedność, że Sieć będzie w stanie przyjąć pięć milionów uchodźców...

– Bzdura – powiedział generalny gubernator. – Dwa razy więcej turystów rocznie zalewało Maui – Przymierze w rok po włączeniu go do Protektoratu. To zniszczyło unikatowy system ekologiczny planety. Więc przenieście nas na Armaghast albo jakąś pustynną planetę, dopóki nie skończy się panika wojenna.

Hunt potrząsnął głową. Jego oczy basseta miały jeszcze smutniejszy wyraz niż zazwyczaj.

– To nie jest tylko kwestia logistyczna. Albo polityczna. To jest... – Chyżwar... – przerwał mu Lane. Odkroił kawałek bekonu.

– To Chyżwar jest prawdziwym powodem.

– Tak. A także obawa przed infiltracją Sieci przez Intruzów.

Generalny gubernator roześmiał się.

– A więc obawiacie się, że jeśli zamontujecie tutaj portale transmisyjne i wypuścicie nas stąd, to banda trzymetrowych Intruzów wyląduje na planecie, chyłkiem wślizgnie się do kolejki i nikt tego nie zauważy?

Hunt napił się kawy.

– Nie – powiedział. – Ale istnieje prawdopodobieństwo inwazji. Każdy portal transmisyjny stanowi bramę do Sieci. Rada Konsultacyjna przestrzega przed tym.

– W porządku – mruknął Lane z pełnymi ustami. – Więc ewakuujcie nas na okrętach. Czy nie był to pierwotny cel dywizji uderzeniowej?

– To był cel pozorny – odparł Hunt. – Naszym prawdziwym celem jest pokonanie Intruzów, a potem pełne włączenie Hyperiona do Sieci.

– A co z Chyżwarem?

– Zostanie... zneutralizowany – oświadczył Hunt. Przerwał, bo obok nas przechodziła grupka mężczyzn i kobiet.

Podniosłem wzrok, już miałem powrócić do przysłuchiwania się rozmowie, gdy nagle podskoczyłem w krześle. Grupka zniknęła za załomem korytarza.

– Czy to nie był Melio Arundez? – wszedłem w słowo generalnemu gubernatorowi.

– Co? A, doktor Arundez. Tak. Czy pan go zna, M. Severn?

Leigh Hunt gapił się na mnie, ale zignorowałem go.

– Tak – powiedziałem do Lane'a, chociaż właściwie to jeszcze nie spotkałem Arundeza. – Co on robi na Hyperionie?

– Jego zespół wylądował na Hyperionie sześć lokalnych miesięcy temu. Przywieźli ze sobą propozycje od Uniwersytetu Reicha na Freeholmie, żeby poczynić dodatkowe badania w Grobowcach Czasu.

– Ale grobowce są zamknięte dla naukowców i turystów – zdziwiłem się.

– Tak. Niemniej ich instrumenty wykazały już zmiany w polach antyentropicznych otaczających grobowce. Przekazujemy dane co tydzień za pośrednictwem linii FAT konsulatu. Uniwersytet Reicha twierdzi, że grobowce otwierają się... te zmiany ponoć na to wskazują... wysłali najlepszych naukowców w Sieci, żeby wszystko zbadali.

– Ale pan nie dał im pozwolenia? – zapytałem.

Theo Lane uśmiechnął się zimno.

– CEO Gladstone nie dała im zezwolenia. Zakaz zbliżania się do grobowców pochodzi bezpośrednio z TC2. Gdyby to zależało ode mnie, to zabroniłbym przejścia pielgrzymom, a dopuścił doktora Arundeza z jego ludźmi. – Znów zwrócił się do Hunta.

– Przepraszam – powiedziałem i wślizgnąłem się z altanki.



Arundeza i jego ludzi znalazłem w trzeciej z kolei altance. Grupa składała się z trzech kobiet i czterech mężczyzn. Ich ubrania i budowa fizyczna wskazywały, że pochodzą z różnych zakątków Sieci. Siedzieli nachyleni nad śniadaniem i naukowymi komlogami, sprzeczali się używając słownictwa technicznego tak niedostępnego dla laika, że badacz Talmudu poblądłby z zazdrości.

– Doktor Arundez? – zapytałem.

– Tak? – podniósł wzrok. Był o dwadzieścia lat starszy, niż pamiętałem. Mając sześćdziesiąt lat zbliżał się do wieku średniego, ale jego uderzająco przystojny profil był taki sam, ta sama smagła cera, masywna szczęka, faliste czarne włosy, które tylko lekko posiwiały na skroniach, i te same przenikliwe brązowe oczy. Zrozumiałem, dlaczego młoda studentka musiała się w nim natychmiast zakochać.

– Nazywam się Joseph Severn – powiedziałem. – Pan mnie nie zna, ale ja znam pańską przyjaciółkę... Rachelę Weintraub.

Arundez w mig stanął na nogi, przeprosił pozostałych, wziął mnie pod łokieć i poprowadził korytarzem, aż znaleźliśmy pustą salkę z okrągłym oknem, skąd rozciągał się widok na dachy starego miasta. Puścił mój łokieć i przyjrzał mi się szacująco. Zauważył wełniane ubranie mieszkańca Sieci. Złapał mnie za przeguby szukając błękitnych śladów kuracji Poulsena.

– Pan jest za młody – powiedział. – Chyba że pan znał Rachelę jako dziecko.

– Właściwie to najlepiej znam jej ojca – odparłem. Doktor Arundez westchnął i skinął głową.

– Oczywiście. A gdzie jest Sol? Od miesięcy staram się nawiązać z nim kontakt przez konsulat. Władze na Hebronie poinformowały mnie, że się wyprowadził. – Znów przyjrzał mi się oceniająco. – Pan wie o... chorobie Racheli?

– Tak. – Zapadła na chorobę Merlina, która sprawiała, że nie starzała się, lecz ubywało jej lat i traciła wspomnienia z każdą przemijającą godziną. Jednym z tych wspomnień był Melio Arundez. Wiem, że odwiedzał pan ją około piętnastu standardowych lat temu na Barnardzie.

Arundez skrzywił się.

– To był błąd. Myślałem, że porozmawiam z Solem i Sarą. Kiedy ją zobaczyłem... – potrząsnął głową. – Kim pan jest? Czy pan wie, gdzie znajdują się teraz Soli Rachela? Zostały jeszcze trzy dni do jej urodzin.

– Do jej przyjścia na świat i odejścia. – Rozejrzałem się. Korytarz był pusty i cichy. Tylko z oddali dobiegał stłumiony śmiech. – Jestem tutaj z polecenia urzędu CEO. Mam informację, że Sol Weintraub i jego córka wybrali się do Grobowców Czasu.

Arundez wyglądał tak, jakbym zadał mu cios w splot słoneczny.

– Tutaj? Na Hyperionie? – przez chwilę gapił się na wierzchołki dachów. – Powinienem sobie z tego zdawać sprawę... ale odkąd Sara odeszła... – popatrzył na mnie. – Czy ma pan z nimi kontakt? Czy... czy nic jej się nie stało?

Pokiwałem przecząco głową.

– Obecnie nie ma z nimi łączności ani za pośrednictwem radia, ani datasfery. Wiem, że podróż mieli bezpieczną. Pytanie brzmi, co pan wie? Co wie pański zespół? Dane na temat tego, co dzieje się w Grobowcach Czasu, mogą mieć kapitalne znaczenie dla ich życia.

Melio Arundez przygładził włosy.

– Gdyby tylko pozwolili nam się tam wybrać! Ta głupia, przeklęta biurokratyczna krótkowzroczność... Mówi pan, że jest z urzędu Meiny Gladstone. Czy mógłby pan im wytłumaczyć, jak ważne jest, żebyśmy się tam dostali?

– Jestem tylko posłańcem – odparłem. – Ale niech mi pan powie, dlaczego to jest takie ważne, a ja prześlę wiadomość.

Wielkie dłonie Arundeza uczyniły gest, jakby chwytając jakiś kształt w powietrzu.

– Od trzech lat raz na tydzień napływają do nas dane za pośrednictwem łaskawie



nam udostępnianego transmitera FAT konsulatu. Wykazują one powolną, ale nieustanną degradację otuliny antyentropicznej – prądów czasu – wokół grobowców i w ich wnętrzach. Dzieje się to przypadkowo, nielogicznie, ale stale. Nasz zespół dostał pozwolenie, aby przybyć na planetę wkrótce po rozpoczęciu procesu degradacji. Jesteśmy tu od niecałych sześciu miesięcy. Zapoznaliśmy się z danymi, które wskazują, że grobowce zaczynają się otwierać... przechodzą do fazy terażniejszości... ale cztery dni po tym, jak przylecieliśmy na Hyperiona, instrumenty zaprzestały transmisji. Wszystkie. Błagaliśmy tego sukinsyna Lane'a, żeby pozwolił nam tam pojechać i przekalibrować narzędzia, ustawić nowe sensory, jeśli nie pozwoli nam na wejście do grobowców. Nic nie uzyskaliśmy. Żadnego pozwolenia. Żadnej łączności z kosmosem... nawet po przybyciu okrętów Armii, co ułatwiłoby nam komunikację. Próbowaliśmy na własną rękę, bez pozwolenia, przedostać się w górę rzeki, ale paru oprychów z marines zatrzymało nas i przyprowadziło z powrotem w kajdankach. Spędziłem cztery tygodnie w areszcie. Teraz wolno nam poruszać się po Keats, ale zostaniemy aresztowani i zamknięci bezterminowo, jeśli opuścimy miasto. – Arundez nachylił się do mnie. – Czy mógłby pan nam pomóc?

– Nie wiem – powiedziałem. – Chcę pomóc Weintraubom. Może najlepiej byłoby, gdybyście mogli się przenieść tam, na miejsce. Wie pan, kiedy otworzą się grobowce?

Fizyk temporalny wykonał gniewny gest.

– Gdybyśmy tylko mieli nowe dane! – Westchnął. – Nie, nie wiemy. Może już się otwierają, a może będzie to za sześć miesięcy.

– Kiedy pan mówi „otwierają się” – zapytałem – nie ma pan na myśli fizycznego otwarcia się?

– Oczywiście, nie. Grobowce Czasu, fizycznie rzecz ujmując, były otwarte, odkąd je odkryto standardowe stulecia temu. Mówiąc „otwarte” mam na myśli podniesienie się kurtyny czasu, która ukrywa część grobowców, wejście całego kompleksu w fazę lokalnego przepływu czasu.

– Przez „lokalny” rozumie pan...?

– Czas w tym wszechświecie, rzecz jasna.

– I jest pan pewien, że grobowce poruszają się w czasie wstecz... z naszej przyszłości?

– Tak. Wstecz – powiedział Arundez. – Czy z naszej przyszłości, tego nie mogę ustalić. Nie jesteśmy nawet pewni, co znaczy pojęcie „przyszłość” w ujęciu fizyki temporalnej. Może to być seria sinusoidalnych fal prawdopodobieństwa albo rozgałęzień decyzyjnych w megawersum, a nawet...

– Czymkolwiek by to było – przerwałem mu – Grobowce Czasu i Chyżwar pochodzą stamtąd?

– Grobowce Czasu na pewno tak – odparł fizyk. – Ale o Chyżwarze nic nie wiem. Wedle mojego przekonania jest to mit napędzany takim samym łaknieniem cudowności, jakie charakteryzuje wszystkie religie.

– Nawet po tym, co przytrafiło się Racheli, nie wierzy pan w istnienie Chyżwara? – zapytałem.

Melio Arundez popatrzył na mnie spode łba.

– Rachela zaraziła się chorobą Merlina. Jest to antyentropiczne schorzenie, kiedy lata ubywają, zamiast przybywać. Nie ugryzł jej mityczny potwór.

– Ząb czasu nigdy nie był mityczny – powiedziałem, sam się sobie dziwiąc, że uprawiam taką siermiężną filozofię. – Problem brzmi następująco: czy Chyżwar lub jakakolwiek inna siła zamieszkująca grobowce przywróci Rachelę do „lokalnego” prądu czasu?

Arundez pokiwał głową i spojrzał na szczyty dachów. Słońce schowało się za chmurami. Ranek poszarzał, czerwone dachówki straciły intensywną barwę. Znów zaczął padać deszcz.

– I jeszcze jeden problem: czy pan nadal ją kocha?

– Sam byłem zaskoczony tym pytaniem.

Fizyk powoli odwrócił głowę. Przypatrywał mi się ze złością. Sięgnął do kieszeni



kurtki i pokazał mi hologram atrakcyjnej kobiety z siwiejącymi włosami i dwojga kilkunastoletnich dzieci.

– Moja żona i dzieci – wyjaśnił. – Czekają na mnie na Renesansie. – Wysunął w moim kierunku palec. – Gdyby Rachela została... została dzisiaj wyleczona, miałbym osiemdziesiąt dwa lata standardowe, zanim osiągnęłaby wiek, w którym po raz pierwszy się spotkaliśmy. – Opuścił palec, włożył holo do kieszeni. – Owszem – powiedział. – Nadal ją kocham.

– Gotów? – czyjś głos przerwał nasze milczenie. Podniosłem głowę i zobaczyłem w drzwiach Hunta i Theo Lane. – Desantowiec startuje za dziesięć minut – powiedział Hunt.

Wstałem i uściśniłem Melio Arundezowi dłoń.

– Spróbuję – obiecałem.

Kiedy wróciliśmy do konsulatu, czekał na nas jeden ze ślizgaczy wysłany przez generalnego gubernatora. Wojskowa maszyna nie była wprawdzie tak komfortowa jak konsularna, ale za to znacznie szybsza. Usiedliśmy i zostaliśmy przymocowani do foteli desantowca.

– Czego chciał ten fizyk? – zapytał Hunt.

– Po prostu odświeżałem starą znajomość z obcym człowiekiem odparłem.

Hunt nachmurzył się.

– Co mu pan obiecał?

Poczułem, że desantowiec podskakuje, drga, a potem katapulta wyrzuciła nas w niebo.

– Obiecałem, że spróbuję mu pomóc odwiedzić chorego przyjaciela.

Hunt nadal był nachmurzony. Wyciągnąłem szkicownik i zacząłem rysować widoki z „Cycerona”, dopóki nie przybiliśmy do okrętu bazy.

Przejście przez portal transmisyjny z okrętu wprost do budynku rządowego stanowiło dla mnie szok. Następny krok zaprowadził nas na galerię senatu. Meina Gladstone przemawiała przed zatłoczonym audytorium. Kamery i mikrofony przenosiły jej mowę do WszechJedności i stu miliardów obywateli.

Rzuciłem okiem na chronometr. Była 1038, a więc od naszego wyjazdu minęło półtorej godziny.



Gmach mieszczący senat Hegemonii Człowieka zbudowany – był na wzór senatu Stanów Zjednoczonych sprzed ośmiuset lat. W wielkiej, otoczonej galeriami głównej sali zgromadzeń wystarczało miejsca dla ponad trzystu senatorów z planet Sieci i ponad siedemdziesięciu reprezentantów kolonii Protektoratu. Ci ostatni nie mieli prawa głosu. Dywany, utrzymane w tonacji ciemnoczerwonej, rozchodziły się we wszystkie strony od podium, na którym rozmieszczono fotele starego prezydenta Pro Tema, młodego Mówcy WszechJedności i – dostawiony na dzisiejszą okazję – CEO Gladstone. Pulpity senatorów wykonano z cennego drewna ofiarowanego przez templariuszy z Bożej Kniei.

Weszliśmy z Leighem Huntem, właśnie gdy CEO Gladstone kończyła przemawiać. Przełączyłem komlog na szybki odczyt. Jak większość jej mów, i ta była krótka, względnie prosta, pozbawiona ozdób i przesady. Ubarwiona jednak pewną dozą wyobraźni i specyficznym słownictwem, co dawało jej wielką siłę wyrazu. Meina Gladstone przypomniała incydenty i konflikty, które doprowadziły do stanu wojny z Intruzami, wygłosiła pochwałę pokoju, który nadal pozostawał główną linią polityczną Hegemonii, i wezwała do jedności wewnątrz Sieci i Protektoratu do chwili, gdy minie bieżący kryzys. Słuchałem podsumowania przemówienia.

-...i tak oto, moi współobywatele, po z górą stu latach pokoju ponownie podjęliśmy walkę o utrzymanie tych praw, które rządzą naszą wspólnotą, odkąd zamieszkiwała ona jeszcze Matkę Ziemię. Po ponad stuletnim pokoju znów musimy – choć czynimy to niechętnie i z odrazą – podnieść oręż, by bronić naszych przyrodzonych przywilejów. Czynimy to dla wspólnego dobra, aby zwyciężył pokój.

Nie możemy... nie wolno nam... dać się ponieść fanfaram, upojeniu, które zawsze łączy się z wojną. Ci, którzy ignorują lekcje historii uczące nas, jakim szaleństwem jest wojna, muszą zdać sobie sprawę, że mogą zginąć. Czekają nas jeszcze wielkie poświęcenia i ofiary. Niektórych z nas spotkają wielkie nieszczęścia. Ale wbrew wszelkim przeciwnościom losu, musimy pamiętać przede wszystkim o dwóch sprawach: po pierwsze, że walczymy o pokój, a wojna nie jest zwyczajnym stanem rzeczy, lecz raczej plagą, przez którą trzeba przejść, jak dziecko przechodzi gorączkę, ze świadomością, że po bólu i chorobie pojawia się zdrowie, tak jak po wojnie przychodzi pokój; po drugie, że nigdy się nie poddamy... nie poddamy się ani się nie ugniemy, ani nie ulegniemy podszeptom, nie damy się zwieść łatwym rozwiązaniom:.. nie zawahamy się, dopóki nie osiągniemy zwycięstwa, pokonamy agresorów i wygramy pokój. Dziękuję wam.

Leigh Hunt pochylił się i patrzył uważnie, jak większość senatorów wstała i na stojąco urządziła CEO owację. Większość senatorów. Widziałem, jak Hunt liczy tych, którzy siedzieli, jedni z założonymi rękami, inni widocznie nachmurzeni. Wojna nie trwała jeszcze dwóch dni, a już tworzyła się opozycja... przede wszystkim spośród reprezentantów planet kolonialnych obawiających się o swoje bezpieczeństwo, skoro Armia przeniosła się w obszar Hyperiona, potem – z grona oponentów Meiny Gladstone, których było wielu, bo nie sposób tak długo utrzymywać się na stanowisku, by nie zrobić sobie w Armii wrogów, i wreszcie należeli do niej ludzie z szeregów jej własnej koalicji, widzący w wojnie głupie niszczenie nie mającej precedensu w dziejach ludzkości prosperity:

Obserwowałem, jak opuszcza podium, ścisła dłonie prezydenta i mówcy, wreszcie wychodzi centralnym przejściem, rozmawia z ludźmi, dotyka ich, uśmiecha się swoim słynnym uśmiechem. Za nią szli filmowcy WszechJedności.

- Muszę się z nią zaraz spotkać – powiedział Hunt. – Czy wie pan, że został pan zaproszony na uroczyste przyjęcie w Wierzchołkach Drzew?

- Tak.

Hunt lekko pokręcił głową, jakby nie rozumiejąc, po co Meinie Gladstone potrzebna moja obecność.

- Przyjęcie odbędzie się późno. Po nim nastąpi spotkanie z dowództwem Armii.



Chce, żeby pan był przy obu okazjach.

– Przyjdę.

Hunt zatrzymał się przy drzwiach.

– Czy ma pan coś do załatwienia w budynku rządowym przed przyjęciem?

Uśmiechnąłem się do niego.

– Popracuję nad szkicami do portretu. Potem chyba się przejdę po parku. Potem...
nie wiem... może się zdrzemnę.

Hunt znów pokręcił głową i pośpiesznie wyszedł.



Pierwszy strzał chybił Fedmahna Kassada o niecały metr roztrzaskując głaz, obok którego pułkownik przechodził. Kassad rzucił się na ziemię, przeturlał, szukając schronienia. Polimer maskujący miał włączony na całą moc. Zbroja samo utwardzalna była aktywna, karabin szturmowy w gotowości, a przyłbica nastawiona na opcje celowania. Kassad leżał przez dłuższą chwilę, słyszał, jak wali mu serce. Przeszukiwał wzgórza, dolinę i grobowce. Szukał śladu ciepła albo ruchu. Nic. Uśmiechnął się sam do siebie.

Był pewien, że ten, kto strzelał, chybił z rozmysłem. Używał standardowego pocisku pulsacyjnego z zapalnikiem 18 mm. Jeśli strzelec znajdował się w odległości nie większej niż dziesięć kilometrów, to nie było możliwości, żeby chybić.

Kassad wstał i pobiegł za osłonę, którą dawał Nefrytowy Grobowiec. Drugi strzał trafił go w pierś i rzucił do tyłu.

Tym razem jęknął, odtoczył się i zaczął uciekać w kierunku wejścia do grobowca. Wszystkie czujniki nastawił na maksymalną moc. Za drugim razem strzelano do niego pociskiem karabinowym. Ktokolwiek gra z nim w kotka i myszkę, używa karabinu szturmowego Armii, takiego samego, jakim posługuje się Kassad. Domyślił się, że napastnik wie o jego zbroi samoutwardzalnej, wie, że kula karabinowa jej nie sforsuje bez względu na dystans. Ale broń wielozadaniowa ma też inne opcje i jeśli strzelec następnym razem przełączy ją na laser, to Kassad jest martwy. Rzucił się w otwór wejściowy grobowca.

Czujniki nadal nie odbierały ciepła ani ruchu poza czerwono – żółtymi śladami stóp pielgrzymów u wejścia do Sfinksa. Ślady szybko stygły.

Kassad użył implantu taktycznego, przełączył się na kanał VHF i optykę. Nic. Stokrotnie powiększył obraz doliny, wziął poprawkę na wiatr i piasek, uaktywnił wskaźnik ruchomego celu. Nie poruszało się nic, co byłoby większe od owada. Włączył radar, sonar, pulsator, narażając się, że snajper namierzy jego fale. Nic. Wywołał obraz taktyczny strzałów. Przed oczami pojawiły mu się błękitne trajektorie balistyczne.

Pierwszy strzał pochodził z Miasta Poetów położonego o sześć kilometrów na południowym wschodzie. Drugi strzał, oddany mniej niż w dziesięć sekund po pierwszym, pochodził z Kryształowego Monolitu, odległego prawie o półtora kilometra na północny wschód. Logika podpowiadała, że strzelców było dwóch, ale Kassad wiedział, że tylko jeden. Zmienił skalę obrazu. Drugi strzał padł z wierzchołka Monolitu, z prawie trzydziestu metrów wysokości.

Kassad podkręcił powiększenie i popatrzył, poprzez zamierającą już teraz wicherę, w stronę wielkiej budowli. Nic. Żadnych okien, szczelin, żadnych innych otworów.

Promień lasera był widoczny przez ułamek sekundy tylko dzięki stojącej w powietrzu zawieszynie cząstek kwarcu. Kassad zobaczył zielony promień, kiedy już dostał w pierś. Odtoczył się w głąb grobowca. Zastanawiał się, czy zielone ściany będą w stanie powstrzymać zieloną lancę światła. Tymczasem nadprzewodniki jego zbroi emanowały żar na wszystkie strony, a przyłbica taktyczna mówiła mu to, co już wiedział: strzał został oddany z wierzchołka Kryształowego Monolitu.

Kassad poczuł ukłucie bólu w piersiach. Spojrzał w dół i zobaczył, jak na ziemię spływa kropla roztopionych włókien zbroi: Uratowała go ostatnia warstwa. Po ciele spływał mu pot. Ściany grobowca dosłownie żarzyły się od gorąca emanującego z jego zbroi.

Biomonitory włączyły alarm, ale niczego nie wskazywały. Czujniki uniformu raportowały jakieś zwarcia w obwodach, ale tam też nie było niczego poważnego. Broń miała nadal odbezpieczoną, załadowaną i nie uszkodzoną.

Kassad myślał intensywnie. Grobowce były bezcennymi skarbami architektury zachowywanymi od stuleci jako dar dla przyszłych pokoleń, mimo że wędrowały pod włos czasu. Byłoby zbrodnią na skalę międzyplanetarną, gdyby Kassad swoje życie przedłożył nad całość tych nieoszacowanych budowli.

– Och, chrzanić to – wyszeptał i przyjął pozycję strzelecką. Ostrzeliwał seriami



ognia laserowego powierzchnie Monolitu, aż kryształ zaczął się żarzyć i płynąć. Władował w budowlę pulsacyjne pociski wybuchowe. Co dziesięć metrów jeden. Tysiące lśniących jak lustro odłamków rozpryskiwało się w powietrzu, opadało w zwolnionym tempie na dno doliny. W fasadzie pojawiły się obrzydliwe wyrwy. Kassad przełączył broń na szeroki promień lasera i omiótł wewnątrz budowli ogniem. Uśmiechnął się szyderczo pod przyłbicą, gdy zobaczył, jak na kilku piętrach coś stało w płomieniach. Kassad strzelał wysokoenergetycznymi promieniami elektronów. Przerzynały się przez Monolit, ryły doskonale owalne tunele w odległej o pół kilometra kamiennej ścianie doliny. Strzelał granatami kulkowymi, które eksplodowały dziesiątkami tysięcy igiełek po przebiciu się przez powierzchnie Monolitu. Rozpyłał z lufy serie pulsujących promieni, które były w stanie oślepić każdego, kto patrzyłby w jego kierunku z grobowca. Strzelał pociskami kierowanymi na ciepło wydzielane przez ciała. Celował w każdą szczelinę poszarpanej wybuchami budowli.

Odtoczył się w korytarz Nefrytowego Grobowca i podniósł przyłbicę. Płomienie z płynącej wieży odbijały się w tysiącach kryształowych odłamków zaścielających dno doliny. Wiatr nagle ucichł, dym wznosił się prostą kolumną. Cynobrowe wydmy błyszcząły od ognia. Przestrzeń wypełniła się nagle brzękiem, kiedy następne kawałki kryształu odpadając od ściany uderzały w długie jęczory zastygłego szkła.

Kassad wyjął opróżnione baterie i magazynki, zastąpił je nowymi, które nosił u pasa, i przetoczył się na plecy. Wdychał zimne powietrze napływające przez wejście. Nie miał złudzeń: nie zabił snajpera.

– Moneta – wyszeptał. Zamknął na moment oczy.

Moneta przyszła po raz pierwszy do Kassada pod Agincourt, październikowego ranka 1415 roku po Chrystusie. Pola usiane były trupami Francuzów i Anglików, w lesie czaił się wróg. Ten wróg mógłby zostać zwycięzcą, gdyby nie pomoc wysokiej, krótko ostrzyżonej kobiety. Jej oczu nigdy nie zapomni. Po wspólnym zwycięstwie, zbroczeni krwią pokonanego rycerza, kochali się między drzewami.

Sieć taktyczna szkoły wojskowej Olympus dawała złudzenie bliższe rzeczywistości, niż mógłby sobie wyobrazić niejeden cywil. Ale widmowa kochanka o imieniu Moneta nie była wytworem sieci taktycznej. Przez całe lata przychodziła do niego, kiedy Kassad był kadetem Armii w szkole wojskowej Olympus i później, po każdym prawdziwym boju w snach wywołanych narkotykiem.

Fedmahn Kassad i cień o imieniu Moneta kochali się w ustronnych zakątkach pól bitewnych od Antietam po Qom – Riyadh. Nie znana nikomu innemu, niewidzialna dla innych kadetów, Moneta przychodziła do niego w tropikalne noce i w mroźne dni w czasie oblężenia na rosyjskich stepach. Szeptali do siebie z pasją w snach Kassada w noc po prawdziwym zwycięstwie na wyspach Maur – Przymierza i w czasie gdy leżał w męce po śmierci klinicznej na Południowej Bressii. Moneta była jego jedyną kochanką – jego przemożną pasją; zawsze towarzyszył jej odór krwi i prochu, smak napalmu i zjonizowanego ciała.

Potem był Hyperion.

Statek szpitalny pułkownika Fedinahna Kassada został zaatakowany przez Intruzów, gdy powracał z Bressii. Przeżył tylko Kassad. Ukradł Intruzom prom i twardo wylądował na powierzchni Hyperiona, na Equusie. Na wysoko położonych pustyniach i jałowych ziemiach Gór Cugielnych. W dolinie Grobowców Czasu. W królestwie Chyżwara.

Moneta czekała na niego. Kochali się... i kiedy Intruzi wylądowali, żeby odzyskać swojego jeńca, Kassad, Moneta i zapewne Chyżwar, wyczuwali bowiem jego obecność, spustoszyli okręty najeźdźców, zniszczyli ich siły desantowe i pozabijali żołnierzy. Na krótko pułkownik Fedmahn Kassad ze slumsów Tharsis, dziecko, wnuk i prawnuk uchodźców, obywatel Marsa pod każdym względem, poznał ekstazę płynącą z używania czasu jako broni, przemieszczał się pomiędzy wrogami, pozostając niewidzialnym, był bogiem zniszczenia w sposób, który nawet się nie śnił śmiertelnym wojownikom.

Ale wtedy, gdy się kochali po bitewnych jatkach, Moneta uległa przemianie. Stała



się potworem. A może to Chyżwar ją zastąpił. Kassad nie przypominał sobie szczegółów.

Teraz wrócił, żeby znaleźć Chyżwara i go zabić. Żeby znaleźć Monetę i ją zabić. Zabić ją? Nie był pewien. Wielkie pasje pełnego udręk życia przywiodły Kassada w to miejsce. Jeśli ma go tutaj spotkać śmierć, to niech tak się stanie. A jeśli ma być miłość, chwała i zwycięstwo, od którego zatrzęsie się Walhalla, to niech i tak będzie.

Kassad zasunął przyłbicę, wstał i wybiegł z Nefrytowego Grobowca. Wystrzelił granaty dymne w stronę Monolitu, ale nie osłonił całej drogi, jaką musiał pokonać. Ktoś ciągle żył i strzelał z wieży. Kule i ładunki pulsacyjne wybuchaly wzdłuż ścieżki, którą biegł. Robił uniki, nurkował, krył się za wydmami.

Igiełki uderzały o jego hełm i nogi. Przyłbica trzeszczała, ostrzegawczo błyskały czujniki. Kassad wyłączył ekrany taktyczne. Zostawił tylko wspomaganie nocnego widzenia. Pociski uderzyły go w ramię i kolano. Przewrócił się. Samoutwardzalna zbroja stała się na moment sztywna, znów uelastyczyła się i Kassad wstał, biegł dalej. Polimer maskujący desperacko starał się odtworzyć wzór pustkowia, które przemierzał Kassad: noc, płomień, piasek, stopiony kryształ i płonące kamienie.

Był pięćdziesiąt metrów od Monolitu, wstęgi światła lasera śmigaly z jego prawej i lewej strony, topiły piasek na szkło, sięgaly po niego z szybkością, przed którą nikt i nic nie jest w stanie umknąć. Morderczy laser przestał bawić się z nim w kotka i myszkę. Trafiał w cel, dźgał w hełm, w serce, w krocze. Był gorący jak gwiazda. Jego zbroja stała się lustrzana jaskrawa, zmieniała sekwencje w mikrosekundach, by dostosować się do zmiennych kolorów atakującej wiązki światła. Otaczało go halo rozgrzanego powietrza. Mikroobwody zawodziły z przeładowania, gdy wydalały ciepło i budowały mikrometrowej grubości pole ochronne broniące ciała od zabójczego żaru.

Kassad przebył z trudem ostatnie dwadzieścia metrów, musiał użyć wspomaganie siły, żeby przeskoczyć przez bryłę stopionego kryształu. Wybuchy otaczały go ze wszystkich stron. Obalały go na ziemię i unosiły w powietrze. Zbroja była całkowicie sztywna. Stał się jak lalka przrzucana z ręki do ręki.

Bombardowanie ustało. Kassad wstał. Popatrzył na lico kryształowego Monolitu. Zobaczył płomień, szczeliny i niewiele więcej. Przyłbicę miał popękana i bezużyteczną. Uniósł ją, odetchnął zadymionym, zjonizowanym powietrzem. Wszedł do grobowca.

Implanty powiedziały mu, że pielgrzymi wywołują go na wszystkich długościach fal. Odłączył się. Zdjął hełm i wszedł w ciemność. To była pojedyncza sala. Wielka, ciemna, kwadratowa. Pośrodku otwierał się szyb. Prowadził sto metrów w górę. U jego końca widać było niebo. Na dziesiątym poziomie, sześćdziesiąt metrów nad nim, czekała na niego jakaś postać. Jej sylwetka odcinała się na tle płomieni.

Kassad zarzucił broń na ramię, włożył hełm pod pachę, pośrodku szybu odnalazł wielką spiralną klatkę schodową i zaczął się wspinać.



Uciął pan sobie drzemkę? – zapytał Leigh Hunt, kiedy weszliśmy do recepcji transmi-
mitera w Wierzchołkach Drzew.

– Tak.

– Mam nadzieję, że miał pan przyjemne sny? – powiedział Hunt. Nawet się nie wysi-
lał, żeby ukryć sarkazm i to, co myśli o takich, którzy sobie śpią, kiedy rząd haruje.

– Niespecjalnie – odparłem i rozejrzałem się. Zbliżaliśmy się szeroką klatką scho-
dową do poziomu restauracyjnego.

W Sieci każde miasteczko, każda prowincja, każdy kraj i kontynent chełpią się
posiadaniem czteropiętrowej restauracji. Smakosze liczą się na dziesiątki milionów,
a ich gusta kulinarne zaspokajały egzotyczne specjały z dwustu planet. Mimo pewnego
znużenia restauratorskimi triumfami ludzkości, Wierzchołki Drzew nikomu jeszcze nie
obrzydły.

Wierzchołki Drzew zajmowały kilka akrów na górnych gałęziach kilkunastu drzew
– gigantów niemal kilometr nad ziemią. Szyb, którym jechaliśmy z Huntem, miał około
czterech metrów szerokości i położony był między konarami wielkości ulic, liśćmi o roz-
miarach żagli i pniami – oświetlonymi reflektorami – masywnymi jak górskie zbocza.
Znajdowało się tam kilka platform restauracyjnych. Położone były jedna nad drugą
wedle rangi, przywileju, bogactwa i władzy sprawowanej przez gości. Szczególnie wła-
dzy. W społeczeństwie, w którym miliarderzy nie byli rzadkością, a lunch na Wierzchoł-
kach Drzew, kosztujący tysiąc marek, był w zasięgu milionów ludzi, o pozycji i przywi-
leju w ostatecznym rozrachunku decydowała posiadana władza – waluta, która nigdy
nie wychodzi z mody.

Wieczorne przyjęcie miało się odbyć na najwyższym pokładzie szerokiej, krętej
platformie z widokiem na przyciemnione cytrynowe niebo, rozciągające się w nieskończo-
ność morze wierzchołków innych drzew i pomarańczowe światła nadrzewnych domów
modlitw templariuszy przeświecające przez zielono – bursztynową ścianę lekko poru-
szającego się listowia. W przyjęciu uczestniczyło około sześćdziesięciu osób. Rozpozna-
łem siwe włosy senatora Kolcheva. Był też radca Albedo, generał Morpurgo, admirał
Singh, prezydent Pro Tem Denzel – Hiat – Amin, Mówca WszechJedności Gibbons, jakiś
tuzin senatorów z tak potężnych planet jak Sol Draconi Septetu, Deneb Drei, Nordholm,
Fuji, obu Renesansów, Metaxas, Maui – Przymierze, Hebron, Nowa Ziemia oraz Ixion.
Dostrzegłem także grono pomniejszych polityków. Przyszedł tu też artysta akcji Spen-
ser Reynolds, ale nie widziałem innych ludzi sztuki. Po drugiej stronie zatłoczonego
stołu spostrzegłem jednak Tyrenę Wingreen – Feif – była wydawcą i filantropką; nadal
odróżniała się od tłumu. Wystąpiła w powłóczystej sukni, oryginalnej tedeikai, z tysiąca
cienkich jak jedwab skórzanych płatków. Czarnobłękitne włosy zaczesła w wysokie
sztucznie ułożone fale. Jej nieinteraktywny makijaż przykuwał uwagę. Przesuwałem się
w stronę Tyreny wśród tłumu gości tłoczących się przy barach i czekających na znak,
żeby siadać do stołu.

– Joseph, kochanie! – wykrzyknęła, gdy przebyłem ostatnie kilka metrów. – Jak,
na niebiosa, dałeś się zaprosić na tę nudną popijawę?

Uśmiechnąłem się i podałem jej kieliszek szampana. Cesarzowa wdowa literackiej
mody poznała mnie podczas swojej tygodniowej wizyty na festiwalu sztuki na Espe-
rance w ubiegłym roku. Zrobiła na niej wrażenie moja znajomość z takimi sławami jak
Sahnud Brevy III, Millon De Havre i Rithmet Corber. Tyrena była dinozaurem, który nie
chciał zginąć – gdyby nie makijaż, jej przeguby, dłonie i szyja jarzyłyby się na niebiesko
od powtarzanych kuracji Poulsena. Spędzała też dekady na krótkich międzygwiazdnych
wycieczkach i niewiarygodnie drogich drzemkach kriogenicznych w kurortach zbyt eks-
kluzywnych, by miały nazwy. Rezultat był taki, że Tyrena Wingreen – Feif od ponad
trzech stuleci nadawała ton życiu towarzyskiemu wyższych sfer i nic nie wskazywało,



żeby zamierzała z tego zrezygnować. Po każdej dwudziestoletniej drzemce jej fortuna i legenda rosły.

– Czy nadal mieszkasz na tej ponurej planetce, którą odwiedziłam ubiegłego roku? – zapytała.

– Esperance – powiedziałem. Wiedziałem, że znała miejsce zamieszkania każdego ważnego artysty na tej mało ważnej planecie. Nie, przeprowadziłem się obecnie na TC2.

Tyrena Wingreen – Feif zrobiła zdumioną minę. Niejasno zdawałem sobie sprawę, że przygląda się nam intensywnie grupka gapiów, zastanawiając się, kim jest ten młody ważniak, który ośmielił się rozmawiać z nią jak ze starą przyjaciółką.

– To musi być koszmar – stwierdziła Tyrena. – Cierpieć na planecie biznesmenów i rządowych biurokratów. Mam nadzieję, że wkrótce pozwolą ci uciec stamtąd.

Wzniósłem kieliszek w toaście.

– Chciałem cię o coś zapytać – powiedziałem. – Czy nie byłaś wydawcą Martina Silenusa?

Cesarzowa wdowa opuściła kieliszek i zmierzyła mnie chłodnym wzrokiem. Przez sekundę wyobraziłem sobie Meinę Gladstone i tę kobietę uwikłane w walkę na spojrzenia; przeszedł mnie dreszcz, czekałem na odpowiedź.

– Drogi chłopcze – zaczęła – toż to historia starożytna. Dlaczego zaprzątasz sobie swoją śliczną młodą główkę takimi prehistorycznymi ramotami?

– Interesuje mnie Silenus – odparłem. – Jego poezja. Po prostu ciekawiło mnie, czy nadal utrzymujesz z nim kontakty.

– Joseph, Joseph, Joseph – jęknęła Tyrena Wingreen – Feif. – Od dziesięcioleci nikt nie słyszał o biednym Marlinie. Ten biedaczyna jest staruszkciem!

Nie wypomniałem Tyrenie, że kiedy wydawała Silenusa, poeta był od niej młodszy.

– To dziwne, że o nim wspomniałeś – kontynuowała. – Moja stara firma „Transline” poinformowała mnie, że ma zamiar wydać niektóre prace Marlina. Nie wiem nawet, czy skontaktowali się z jego pełnomocnikiem.

– Chodzi o jego „Umierającą Ziemię”? – zapytałem, myśląc o tomie nostalgicznej poezji o Starej Ziemi, który tak dobrze się sprzedawał dawno temu.

– Nie, to dziwne, ale myśleli o wydrukowaniu jego „Cantos” powiedziała Tyrena. Zaśmiała się i wyjęła pałeczkę kanabisu osadzoną w długiej cygarniczce z kości słoniowej. Jeden z członków jej świty pośpieszył z ogniem. – Taki dziwny wybór – stwierdziła. Szczególnie jeśli weźmie się pod uwagę, że nikt nie przeczytał „Cantos” za życia Mamina. No cóż, nic tak nie pomaga karierze artysty jak trochę zapomnienia i śmierć. Zawsze tak twierdzą. – Roześmiała się ostro, miałem wrażenie, jakby metal wiercił skałę. Kilka osób z jej otoczenia roześmiało się razem z nią.

– Lepiej się upewnij, czy Silenus naprawdę nie żyje – zaproponowałem. – „Cantos” byłyby lepszą lekturą niż dzieła wszystkie. Tyrena Wingreen – Feif popatrzyła na mnie dziwnie. Dzwoniono na obiad, dźwięk rozpraszał się wśród liści. Spenser Reynolds podał grande danie ramię. Wszyscy zaczęli się wspinać na najwyższy poziom położony pod gwiazdami. Dopilem szampana, postawiłem pusty kieliszek na balustradzie i poszedłem na górę, by przyłączyć się do stada.

CEO i jej świta przybyli tuż po tym, jak zajęliśmy miejsca. Meina Gladstone wygłosiła mowę, chyba już dwudziestą tego dnia, nie licząc przemówienia w Senacie. Uroczystą kolację zorganizowano w celach charytatywnych, aby zebrać datki na Fundusz Pomocy dla Armaghastu, ale Meina Gladstone wkrótce zaczęła mówić o wojnie i o konieczności wykazania energii w jej prowadzeniu oraz o tym, że przywódcy Sieci powinni zachować jedność.

Gdy mówiła, oglądałem widoki za balustradą. Cytrynowe niebo zmieniło kolor na ciemnoszafranowy, a potem szybko zapadł tropikalny zmierzch, jakby granatowa kurtyna przesłoniła nieboskłon. Boża Knieja miała sześć małych księżyców. Na tej szerokości geograficznej było widać pięć. Cztery ściagały się po niebie, kiedy pojawiły się



pierwsze gwiazdy. Powietrze, bogate w tlen, niemal oszałamiało, czuło się w nim zapach wilgotnej roślinności. Przypominało mi to poranną wizytę na Hyperionie. Ale EMV, ślizgacze i inne maszyny latające nie miały prawa wstępu na planetę – petrochemiczna emisja z silników nie zanieczyszczała atmosfery – brak miast, autostrad i elektrycznego oświetlenia sprawiał, że gwiazdy mogły konkurować z japońskimi latarniami i żarkułami zwisającymi z gałęzi i palików.

Po zachodzie słońca obudziła się bryza. Całe drzewo kołysało się z lekka. Szeroka platforma poruszała się nieznacznie, jak statek płynący po spokojnym morzu. Drewniane słupy i przypory cicho trzeszczały w miarę kołysania. Widziałem światła przeświecające przez odległe wierzchołki drzew. Niektóre z nich pochodziły z „pokoików” – było ich kilka tysięcy na wynajem. – Taki pokój można było dołączyć do swojej teletransmisyjnej rezydencji, jeśli miało się milion marek na taką ekstrawagancję.

Templariusze nie zwracali sobie głowy codzienną księgowością wynajmu i prowadzenia restauracji. Po prostu ustanowili ścisłe, nienaruszalne reguły ekologiczne i liczyli setki milionów marek wpływających do ich szkatuły. Pomyślałem o ich międzygwiazdowym krążowniku, o „Yggdrasill”, kilometrowej długości drzewie z najbardziej uświęconego gaju planety, napędzanego silnikami Hawkinga i chronionego tarczami pola siłowego. Stało się jakoś tak, w niewytłumaczalny sposób, że templariusze zgodzili się wysłać „Yggdrasill” w misję ewakuacyjną, która okazała się zaledwie przykrywką dla działań sił inwazyjnych Armii.

I jak to się zdarza, gdy bezcenny obiekt narażony jest na niebezpieczeństwo, „Yggdrasill” został zniszczony, gdy krążył po orbicie Hyperiona. Zniszczyli go Intruzi albo jakaś inna siła, do tej pory nie rozpoznana. Jak zareagowali templariusze? Jakiż to cel skłonił ich, żeby tak narażali na zagładę jeden z czterech istniejących drzewostatków? I dlaczego kapitan drzewostatku – Het Maasten – został wybrany, by udać się wraz siedmioma innymi pątnikami na pielgrzymkę do Chyżwara, a potem zniknął, zanim wiatrowóz osiągnął Góry Cugielne przy wybrzeżach Morza Traw?

Tych cholernych pytań było zbyt wiele, choć wojna toczyła się dopiero od paru dni.

Meina Gladstone skończyła mówić i zachęciła nas, byśmy zabrali się do jedzenia. Klaskałem grzecznie, a potem przywołałem kelnera, żeby napełnił mój kieliszek winem. W charakterze przystawki była klasyczna sałatka w stylu cesarstwa. Zabrałem się do niej z entuzjazmem. Uświadomiłem sobie, że od śniadania nic nie miałem w ustach. Nabierając jedzenia na widelec przypominałem sobie, jak generał gubernator Theo Lane jadł jaja na bekonie i śledzia, a lekki deszczyk mżył z zielonobłękitnego nieba Hyperiona. Czyżbym to tylko śnił? – pomyślałem.

– Co pan myśli o wojnie, M. Severn? – zapytał Reynolds, artysta akcji, przechylając się przez stół w moją stronę. Mówił donośnym głosem. Tyrena, która siedziała o trzy miejsca ode mnie, uniosła brew patrząc w moją stronę.

– A cóż można myśleć o wojnie? – powiedziałem próbując wina. Było niezłe, ale nic w całej Sieci nie mogło się równać ze wspomnieniem francuskiego bordeaux. – Wojna nie wymaga osądu. Ją trzeba przetrwać.

– Przeciwnie – zaprotestował Reynolds. – Podobnie jak wiele innych rzeczy, które ludzkość przedefiniowała od czasów hegiry, także wojna wkrótce zostanie uznana za formę artystyczną.

– Formę artystyczną – westchnęła kobieta z krótko przystrzyżonymi kasztanowymi włosami. Datasfera powiedziała mi, że to jest M. Sudette Chier, żona senatora Gabriela Fiodora Kolcheva i że sama jest wpływowym politykiem. M. Chier nosiła niebiesko – złotą suknię z lamy. Jej twarz wyrażała żywe zainteresowanie. – Wojna jako forma artystyczna. M. Reynolds! Cóż za fascynujący koncept!

Spenser Reynolds był niższego wzrostu niż przeciętny mężczyzna w Sieci. Miał kręcone, przycięte włosy, skórę opaloną na brąz i lekko przyciemnioną subtelnym pudrem. Nosił się drogo i kwieście, choć bez blichtru. Jego zachowanie cechowała swoboda i pełne zaufanie w swoje możliwości. Takie, o którym marzą wszyscy mężczyźni, ale



tylko nielicznym udaje się osiągnąć. Jego zdolności intelektualne były oczywistością, szacunek dla bliźnich szczery, a poczucie humoru zdążyło obrosnąć już legendą.

Z miejsca zniechęciłem tego sukinsyna.

– Wszystko, ale to wszystko jest formą artystyczną, M. Chier, M. Severn. – Reynolds uśmiechnął się. – Albo musi się nią stać. Przekroczyliśmy już linię, przed którą wojna jest zaledwie polityką narzucaną innymi środkami.

– Dyplomacją – wtrącił generał Morpurgo siedzący z lewej strony Reynoldsa.

– Przepraszam, panie generale?

– Dyplomacją – odparł generał. – I nie: „narzucaną”, ale „prowadzoną”.

Spenser Reynolds uklonił się i zrobił okrągły gest ręką. Sudette Chier i Tyrena zaśmiały się leciutko. Hologram radcy Albedo, siedzący po mojej lewej stronie, nachylił się i powiedział:

– Von Clausewitz, jeśli się nie mylę.

Spojrzałem w kierunku radcy. Przenośny projektor, nie większy niż nici babiego lata unoszące się między liśćmi, lewitował dwa metry nad nami. Iluzja nie była tak doskonała jak w budynku rządowym, ale i tak wydawała się znacznie lepsza niż wszelkie prywatne holo, jakie kiedykolwiek widziałem. Generał Morpurgo skinął głową przedstawicielowi Centrum.

– Mniejsza o to – powiedziała M. Chier. – Sam pomysł wojny jako dzieła sztuki jest genialny.

Skończyłem sałatkę i kelner zabrał mi talerz sprzed nosa. Zastąpił go talerzem ciemnoszarej zupy, której nie byłem w stanie rozpoznać. Miała smak wędzonki, lekko pachniała cynamonem i morzem. Pyszności.

– Wojna jest doskonałym środkiem wyrazu dla artysty – zaczął Reynolds, wznosząc widelec do sałatki jak buławę. – I to nie tylko dla... rzemieślników, którzy studiowali tak zwaną naukę wojenną uśmiechnął się do Morpurgo i drugiego oficera siedzącego po prawicy generała, jakby stwierdzał, że te słowa ich nie dotyczą. – Tylko ktoś, kto jest w stanie wznieść się powyżej ograniczeń stawianych przez biurokratyczne standardy taktyki, strategii i szczątkowej woli zwycięstwa, może naprawdę niczym artysta władać medium tak trudnym jak współczesna wojna.

– Szczątkowa wola zwycięstwa? – zdziwił się oficer. Datasfera wyszeptała mi, że to komandor William Ajunta Lee, bohater marynarki z wojny na Maui – Przymierzu. Wyglądał młodo – na pięćdziesiąt kilka lat – a jego ranga wskazywała, że młodość zawdzięcza raczej wieloletnim podróżom międzygwiazdowym niż Poulsenowi.

– Oczywiście, że szczątkowa – roześmiał się Reynolds. – Czy pan sądzi, że rzeźbiarz chce pokonać glinę? A malarz atakuje płótno? Albo czy orzeł i jastrząb atakują niebo?

– Orły wymarły – mruknął Morpurgo. – Może i powinny atakować niebo. Zdradziło je.

Reynolds odwrócił się do mnie. Kelnerzy usunęli porzuconą przez niego sałatkę i przynieśli zupę. Taką samą, jaką właśnie kończyłem.

– M. Severn, pan jest artystą... a przynajmniej ilustratorem. Niechże mi pan pomoże wyjaśnić tym ludziom, o co mi chodzi.

– Nie wiem, o co panu chodzi. – Czekaając na następne danie postukałem w kieliszek. Natychmiast został napełniony winem. Od szczytu stołu, trzydzieści metrów dalej, słyszałem głosy Meiny Gladstone, Hunta i kilku prezesów funduszu pomocy. Śmiali się.

Spenser Reynolds nie wydawał się zdziwiony moją ignorancją. – Jeśli nasza rasa ma osiągnąć prawdziwe satori, wznieść się na ten poziom świadomości i ewolucji, o którym mówi tylu naszych filozofów, to wszystkie przejawy ludzkiego wysiłku muszą się stać świadomym odczuwaniem sztuki.

Generał Morpurgo pociągnął długi łyk wina i mruknął:

– Włączając tak cielesne funkcje jak jedzenie, reprodukcja i usuwanie śmieci, jak sądzę.

– Szczególnie takie funkcje! – wykrzyknął Reynolds i rozłożył ręce wskazując



na długi stół zastawiony specjałami. – To, co widzicie, jest zwierzęcą potrzebą przetwarzania martwych składników organicznych w energię, podstawowym aktem pożerania innego życia, ale Wierzchołki – Drzew przemieniły to w sztukę! Reprodukacja już dawno zrezygnowała z surowych, zwierzęcych początków na rzecz kwintesencji tańca cywilizowanych ludzi. Eliminacja też musi się stać czystą poezją!

– Będę o tym pamiętał, kiedy następnym razem pójdę się wysrać podsumował Morpurgo.

Tyrena Wingreen – Feif roześmiała się i zwróciła do siedzącego po jej prawej stronie mężczyzny w czerwono – czarnej szacie.

– Monsignor, pański Kościół... jest katolicki, wczesnochrześcijański, nieprawdaż? Czyż nie posiadacie pewnej wspaniałej starej doktryny o ludzkości osiągającej wyższy status cywilizacyjny?

Odwróciliśmy się wszyscy, by popatrzeć na małego, cichego człeczynę w czerwono – czarnej szacie i dziwnej czapeczce. Monsignor Edouard, przedstawiciel prawie zapomnianej wczesnochrześcijańskiej sekty, której wpływy ograniczały się obecnie do planety Pacem i kilku jej kolonii, był na liście gości, ponieważ brał udział w projekcie pomocy Armaghastowi. Jak do tej pory spokojnie jadł swoją zupę. Podniósł wzrok. Miał nieco zdziwiony wyraz twarzy pobrużdżonej wieloletnimi pokutami i smutkami.

– No cóż, tak – powiedział. – W swoich naukach święty Teilhard roztrząsa ewolucję ukierunkowaną na punkt Omega.

– A czy ten punkt Omega jest podobny do naszej, gnostyków zen, idei praktycznego satori? – zapytała Sudette Chier.

Monsignor Edouard popatrzył tęsknie w talerz zupy, jakby jedzenie było w tej chwili ważniejsze od konwersacji.

– Niezbyt podobny – odparł. – Święty Teilhard czuł, że każdy poziom organicznej świadomości jest częścią planowej ewolucji, zmierzającej ku ostatecznemu zlaniu się z boskością. – Lekko zmarszczył brwi. – Nauki Teilharda zostały zmodyfikowane na przestrzeni ostatnich ośmiuset lat, ale wspólnym wątkiem wszystkich nauk jest uznanie Jezusa Chrystusa za ucieleśnienie tego, czym może być ostateczna świadomość z punktu widzenia człowieka.

– Czy to nie jezuita Paul Dure opisał wyczerpująco hipotezę Teilharda? – zapytałem.

Monsignor Edouard nachylił się, bo lady Tyrena zasłaniała mu widok z boku, i spojrział bezpośrednio na mnie. Na jego interesującej twarzy malowało się zdziwienie.

– Ależ tak – odparł. – Jestem zaskoczony, że nie jest panu obca praca ojca Dure.

Odwzajemniłem spojrzenie człowieka, który był przyjacielem Paula Duro nawet wtedy, gdy go zesłano na Hyperiona za apostazję. Pomyślałem o innym uciekinierze z Nowego Watykanu, młodym Lenarze Hoycie, którego martwe ciało leżało w Grobowcu Czasu, a pasożytnicze krzyżokształty pełne zmutowanego DNA ojca Dure i samego Hoyta prowadziły bez wytchnienia ponury zmartwychwstańczy proceder. W jaki sposób obrzydlistwo krzyżokształtów można dopasować do poglądów Teilharda i ojca Dure dotyczących nieuchronnej dobroczynnej ewolucji w kierunku boskości?

Spenser Reynolds najwyraźniej uznał, że zbyt długo nie włączał się do rozmowy.

– Sprawa polega na tym – stwierdził, zagłuszając innych swoim głębokim głosem – że wojna, tak jak religia i każda inna działalność człowieka, która wydobywa i organizuje ludzką energię na wielką skalę, musi zarzucić infantylną zabawę w dosłownie rozumiane Ding an sich – zazwyczaj wyrażane w niewolniczym poszukiwaniu „celów” – i zacząć rozkoszować się artystycznym wymiarem własnego dzieła. A teraz mój najnowszy projekt...

– Jaki jest cel pańskiego kultu, monsignor Edouard? – zapytała Tyrena Wingreen – Feif, odbierając piłkę Reynoldsowi. Nawet nie podniosła przy tym głosu i nie oderwała wzroku od kapłana.

– Pomóc ludzkości w znalezieniu Boga i służeniu mu – odparł monsignor i dokończył zupy pełnym ekspresji siorbnięciem. Stareńki księżulo popatrzył na projekcję radcy



Albedo. – Słyszałem pogłoski, że TechnoCentrum postawiło sobie dziwnie podobny cel. Czy to prawda, że próbujecie zbudować własnego Boga?

Uśmiech Albedo był perfekcyjnie wykalkulowany: przyjazny bez cienia protekcjonalizmu.

– To nie jest tajemnicą, że pewne elementy Centrum pracują od stuleci nad stworzeniem teoretycznego przynajmniej modelu tak zwanej sztucznej inteligencji, znacznie przekraczającej naszą biedną zdolność pojmowania. Trudno to nazwać próbą stworzenia Boga, monsignor. To raczej projekt badawczy eksplorujący dziedzinę, w której wasz święty Teilhard i ojciec Dure byli pionierami.

– Ale czy wierzycie, że można zaplanować ewolucję wyższego stopnia świadomości? – zapytał komandor Lee, bohater marynarki wojennej, przysłuchujący się uważnie rozmowie. – Że można zaprojektować inteligencję ostateczną tak, jak niegdyś my zaprojektowaliśmy z kwarcu i mikrochipów waszych prymitywnych przodków? Albedo roześmiał się.

– Obawiam się, że tu nie ma nic tak prostego czy też imponującego. I proszę pamiętać, komandorze, że kiedy pan mówi „wy”, dotyczy to zespołu intelektów nie mniej zróżnicowanych niż ludzie na tej planecie... doprawdy, w całej Sieci. Centrum nie jest monolitem. Jest w nim tyle obozów filozoficznych, wiar, hipotez – religii, jeśli wolicie – ile znajdzie się w każdej złożonej społeczności. – Założył ręce, jakby śmiejąc się w głębi ducha z dowcipu. – Chociaż ja wolę myśleć o poszukiwaniu inteligencji ostatecznej nie jak o religii, lecz jak o hobby, takim, jak budowanie statków w butelce, komandorze, albo spieranie się, ile aniołów zmieści się na główce szpilki, monsignor.

Współbiesiadnicy roześmiali się uprzejmie. Tylko Reynolds marszczył bezwiednie czoło i rozmyślał o tym, jak odzyskać kontrolę nad konwersacją.

– A co z plotką, że w pościgu za inteligencją ostateczną Centrum zbudowało perfekcyjną replikę Starej Ziemi? – zapytałem, sam zaskoczony swoim pytaniem.

Uśmiech Albedo nie zbladł, przyjacielskie spojrzenie nie zmieniło się ani na jotę, ale przez hologram przebiegło coś, co trwało może nanosekundę. Co to było? Szok? Furia? Rozbawienie? Nie miałem pojęcia. Mógł się ze mną połączyć prywatnie w czasie tej nanosekundy, przetransmitować ogromną liczbę danych za pośrednictwem pępowiny łączącej mnie z Centrum, albo przez niewidzialne korytarze, które zarezerwowaliśmy dla siebie w labiryncie datasfery, uważanej przez ludzkość za tak nieskomplikowane urządzenie. Albo mógł mnie zabić, wpływając na któreś z bóstw Centrum kontrolujących świadomość takich ludzi jak ja – byłoby to równie proste jak telefon dyrektora instytutu do techników, żeby na stałe uspili jakąś nieznośną mysz laboratoryjną.

Rozmowa ucichła. Nawet Meina Gladston i jej grupa ekstra VIP – ów popatrzyła w naszą stronę.

Radca Albedo uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Cóż za rozkosznie niesamowita plotka! Niech mi pan powie, M. Severn, jak ktoś, ktokolwiek... a zwłaszcza organizm taki jak Centrum, który wasi własni komentatorzy nazywali „odcielesnioną zgrają mózgow, programami, które zwały z obwodów i większość czasu spędzają na wyciąganiu intelektualnego brudu z własnych, nie istniejących pępków”... jak ktoś taki mógłby zbudować doskonałą replikę Starej Ziemi?

Popatrzyłem na hologram, przez hologram, po raz pierwszy zdając sobie sprawę, że radca Albedo, który jadł w czasie rozmowy, je i pije hologramy z projekcji zastawy stołowej.

– L.. – kontynuował, najwyraźniej bardzo rozbawiony – czy tym, którzy rozpowiadają tę plotkę, przyszło na myśl, że doskonała replika Starej Ziemi byłaby w każdym calu po prostu – Starą Ziemią? Co mogłoby to wnieść do teoretycznych poszukiwań matrycy wyższej inteligencji?

Nie odpowiadałem. Nad naszą częścią stołu zapadło przykre milczenie.

Monsignor Edouard odchrząknął.

– Znaczyłoby to, że... dowolne społeczeństwo, które byłoby w stanie stworzyć do-



kładną replikę jakiegokolwiek świata – a szczególnie świata zniszczonego przed czterystu laty – nie musiałyby szukać Boga. Samo byłoby Bogiem.

– Otóż to! – roześmiał się radca Albedo. – To zwariowana plotka, ale doprawdy, rozkoszna... absolutnie rozkoszna!

Śmiech ulgi zastąpił milczenie. Spenser Reynolds zaczął opowiadać o swoim następnym projekcie – próbie skoordynowania samobójczych skoków z mostów na kilku planetach i sfilmowaniu tego na żywo dla WszechJedności. Tyrena Wingreen – Feif znów odebrała mu słuchaczy obejmując ramieniem monsignora Edouarda i zapraszając go po kolacji na nagie party w basenie w jej pływającej posiadłości na Mare Infinitus.

Zobaczyłem, że radca Albedo gapi się na mnie. Odwróciłem się w porę, żeby dostrzec pytające spojrzenia Leigha Hunta i CEO. Zwróciłem się więc ku kelnerom. Wnosili właśnie srebrne tace.

Kolacja była doskonała.



Nie wybrałem się na nagie party Tyreny. Spenser Reynolds też nie. Po raz ostatni widziałem go, jak z poważną miną rozmawiał z Sudette Chier. Nie wiem, czy monsignor Edouard uległ kuszeniu Tyreny.

Kolacja jeszcze się nie skończyła. Ludzie z fundacji charytatywnej wygłaszali krótkie mowy, a co ważniejsi senatorowie zaczęli się niecierpliwić. Leigh Hunt wyszeptał mi do ucha, że ludzie CEO właśnie wychodzą i moja obecność wśród nich byłaby pożądana.

Dochodziła prawie 2300 standardowego czasu Sieci i domyśliłem się, że chcą wracać do budynku rządowego, ale kiedy przeszedłem przez jednorazowy portal – byłem ostatni w grupie nie licząc pretorianów z ochrony osobistej zamykających orszak – ze zdumieniem stwierdziłem, że stoję w długim kamiennym korytarzu z oknami, za którymi widniał marsjański poranek.

Mars właściwie nie należy do Sieci; z rozmysłem zrobiono tak, by na najstarszą pozaziemską kolonię ludzkości trudno było dotrzeć. Gnostycy zen pielgrzymujący do Skały Mistrza w Basenie Hells muszą się przenieść do stacji systemu lokalnego i brać prom z Ganimedesa albo Europy. Ta niewygodna kosztuje tylko kilka godzin zwłoki, ale w społeczeństwie, gdzie wszystko jest, dosłownie, odległe o dziesięć kroków, taka podróż staje się przygodą wymagającą poświęcenia. Jeśli nie jest się historykiem albo ekspertem w dziedzinie uprawy kaktusa winnego, to nie ma się raczej powodów natury zawodowej, żeby tu przyjeżdżać. Wraz ze stopniowym spadkiem zainteresowania gnostycyzmem zen na przestrzeni bieżącego stulecia, nawet ruch pielgrzymów zmalał wydatnie. Mars nikogo nie obchodzi.

Nikogo, poza Armią. Chociaż administracja Armii ma swoje siedziby na TC2, a bazy wojskowe rozsiane są po całej Sieci i Protektoracie, Mars pozostaje domem militaryzmu, którego sercem jest Szkoła Dowodzenia Olympus.

Kilku wojskowych VIP – ów czekało, żeby powitać paru politycznych VIP – ów. Obie grupki wirowały, jak znajdujące się na kolizyjnym kursie galaktyki. Korzystając z zamieszania podszedłem do okna i patrzyłem. Korytarz stanowił część kompleksu wykutego w górnej wardze Mons Olympus. Z miejsca, w którym stałem, na wysokości jakichś dziesięciu mil, odnosiło się wrażenie, że jednym spojrzeniem można ogarnąć całą planetę. Widziałem jednak tylko stary, wygasły wulkan stożkowy, a złudzenie wywołane odległością sprawiało, że drogi dojazdowe, stare miasto rozciągnięte wzdłuż ściany klifu oraz lasy i slumsy Płaskowyżu Tharsis wyglądały jak klocki ułożone na czerwonym płótnie, niezmiennie tym samym, od czasu gdy człowiek po raz pierwszy postawił stopę na tej planecie, obwołał ją własnością narodu nazywającego się Japończykami i zrobił fotkę.

Patrzyłem, jak małe słońce wędruje do góry po niebie. Myślałem, że to jest t o słońce, i zachwycałem się niesamowitą grą światła na chmurach wypełzających z cienia wulkanicznej góry, gdy podszedł do mnie Leigh Hunt.

– CEO chce pana widzieć po konferencji. – Wręczył mi dwa szkicowniki., które jeden z pomocników przyniósł z budynku rządowego. – Zdaje pan sobie sprawę, że wszystko, co pan zobaczy i usłyszysz na tej konferencji, jest ściśle tajne?

Potraktowałem to pytanie jak stwierdzenie.

W kamiennej ścianie otworzyły się szerokie brązowe drzwi, włączyły się światła prowadzące, zobaczyłem wyłożoną dywanem rampę i klatkę schodową wiodącą do stołu umieszczonego pośrodku szerokiej ciemnej sali, w której mogłoby się ukryć w ciemnościach nawet ogromne audytorium. Jedynie mały kwadracik był jasno oświetlony. Adiutanci skwapliwie wskazywali drogę, odsuwali fotele i znów roztapiali się w ciemności. Z niechęcią odwróciłem się od okna z widokiem poranka i podążyłem za naszą grupą w mrok.



Odprawę prowadził generał Morpurgo i trójka innych przywódców Armii. Wykresy graficzne były znacznie bardziej finezyjne niż prymitywne holo z budynku rządowego. Tutaj rzeczywiście przestrzeni było w bród, wystarczało jej, żeby pomieścić osiem tysięcy kadetów i sztab, gdyby zaszła taka potrzeba. Pojawiły się hologramy klasy omega i wykresy rozmiarów boiska do piłki nożnej. Ten gigantyzm przerażał, podobnie jak to, o czym mówiono w trakcie odprawy.

– Przegrywamy bitwę o układ Hyperiona – podsumował Morpurgo. – W najlepszym wypadku osiągniemy remis. Możemy utrzymać rój Intruzów na odległość piętnastu jednostek kosmicznych od sfery transmitera, ale jednocześnie będziemy niepokojeni ciągłymi rajdami ich małych jednostek. W najgorszym wypadku zostaniemy zmuszeni do wycofania się na pozycje obronne, ewakuowania floty i obywateli Hegemonii. Hyperion wpadnie w ręce Intruzów.

– A gdzie jest ten decydujący cios, który nam obiecano? – zapytał senator Kolchev. Siedział blisko szczytu stołu w kształcie rombu. Co z rozstrzygającą ofensywą na rój?

Morpurgo odchrząknął, ale spojrzał na Nashitę. Admirał, ubrany w czarny mundur, wstał. Miało się wrażenie, że w powietrzu unosi się tylko twarz admirała. Ogarnęło mnie deja vu. Popatrzyłem na Meinę Gladstone. Na jej profil padało kolorowe światło map wojskowych lewitujących nad nami jak hologramowe odpowiedniki miecza Damoklesa. Zacząłem rysować. Odłożyłem papierowy szkicownik i posługiwałem się piórem świetlnym.

– Po pierwsze, nasze informacje wywiadowcze dotyczące roju były siłą rzeczy ograniczone – zaczął Nashita. Wykresy nad nami zmieniły się. – Sondy zwiadowcze i próbniki dalekiego zasięgu nie mogły dać nam wiedzy o wszystkich rodzajach jednostek bojowych, jakie wchodziły w skład migrującej floty Intruzów. W rezultacie bardzo zaniżyliśmy siłę bojową tego konkretnego roju. Nasze wysiłki, by spenetrować systemy obronne roju przy zastosowaniu myśliwców szturmowych dalekiego zasięgu, nie okazały się tak skuteczne, jak zakładaliśmy. Po drugie, konieczność obrony na tak wielkim obszarze, jakim jest układ Hyperiona, postawiła przed dwiema naszymi dywizjami wymagania, którym nie sposób było sprostać, poza tym mieliśmy za mało okrętów, aby przeprowadzić ofensywę w sprzyjającym czasie.

– Admirale – przerwał Kolchev. – Czy mnie słuch nie myli? Mówi pan, że brakowało panu statków dla zniszczenia roju albo odparcia ataku Intruzów na układ Hyperiona. Czy tak?

Nashita popatrzył na senatora. To spojrzenie przywiodło mi na myśl obrazy przedstawiające samurajów na chwilę przed wyciągnięciem zabójczego miecza z pochwy.

– Tak, senatorze Kolchev.

– A jednak na odprawach z uczestnictwem rządu zapewniał pan nas, że dwie dywizje uderzeniowe wystarczą do obrony Hyperiona przed inwazją albo zagładą, a także do zadania ostatecznego ciosu temu rojowi Intruzów. Co się stało, admirale?

Nashita wyprostował się jak struna. Był wyższy niż Morpurgo, ale i tak nie osiągnął przeciętnej wzrostu w Sieci. Zwrócił się do Meiny Gladstone.

– Pani przewodnicząca, już tłumaczyłem, jakie nowe dane doprowadziły do zmian w pierwotnym planie bitwy. Czy mam powiedzieć to raz jeszcze?

Meina Gladstone siedziała z łokciami opartymi o stół. Prawą dłonią podpierała głowę. Dwa palce przyłożyła do policzka, dwa miała pod brodą, a kciuk trzymała wzdłuż linii szczęki. Ta pozycja nadawała jej twarzy wyraz zmęczonego skupienia.

– Admirale – powiedziała łagodnie. – Jakkolwiek uważam pytanie senatora Kolcheva za całkowicie uzasadnione, to moim zdaniem, odpowiedź, której udzielił pan na dzisiejszej odprawie, jak i na wcześniejszych zebraniach, jest wystarczająca. – Zwróciła się do Kolcheva. Gabrielu, źle oceniliśmy sytuację. Pyry takim zaangażowaniu sił Armii, w najlepszym wypadku nastąpi pat. Intruzi są chytrzejsi, silniejsi i liczniejsi, niż sądziliśmy. – Zmęczonym wzrokiem znów ogarnęła Nashitę. – Admirale, ilu okrętów będzie



pan jeszcze potrzebował?

Nashita zaczerpnął tchu, najwyraźniej zbity z tropu. Nie spodziewał się tego pytania tak wcześnie. Popatrzył na Morpurgo i innych szefów połączonych sztabów, założył ręce na brzuchu, jak szef przedsiębiorstwa pogrzebowego, i powiedział:

– Dwieście okrętów bojowych. Co najmniej dwieście. To minimalna liczba.

Na sali zaszumiało. Podniosłem wzrok sponad rysunku. Wszyscy chodzili dookoła stołu i szeptali. Wszyscy z wyjątkiem Meiny Gladstone. Zrozumienie, o co chodzi, zajęło mi sekundę.

Cała flota wojenna Armii-kosmos liczyła mniej niż sześćset okrętów. Każdy z nich był niesamowicie kosztowny – tylko nieliczne gospodarki planetarne mogły pozwolić sobie na budowę jednego, góra dwóch międzygwiazdnych okrętów liniowych, a nawet skonstruowanie kilku okrętów pomocniczych, zaopatrzonych w napęd Hawkinga, doprowadziłyby planetę kolonialną do bankructwa. Każdy okręt dysponował ogromną potęgą: okręt – baza dla myśliwców był w stanie zniszczyć całą planetę, eskadra krążowników i niszczycieli mogła zgasić słońce. Okręty Hegemonii zmasowane w układzie Hyperiona – przepuszczone przez wielki portal transmisyjny Armii – potrafiłyby zniszczyć większość systemów gwiazdnych Sieci. Mniej niż pięćdziesiąt okrętów takich, jakich zażyczył sobie Nashita, potrzebowano, żeby przed stu laty zlikwidować całą flotę Glennona – Heigha i stłumić na zawsze buntownicze nastroje.

Ale prawdziwy problem polegał na tym, że wypełnienie żądania Nashity oznaczało skoncentrowanie w jednym miejscu i o jednym czasie trzeciej części floty wojennej Hegemonii. Czuję, jak po sali między politykami przebiega iskra niepokoju.

– Admirale, nigdy wcześniej nie przeprowadzaliśmy takiej koncentracji sił floty? – zapytała senator Richeau z Renesansu.

– Ale też nigdy flota nie miała do spełnienia zadania tak ważnego dla przyszłości Hegemonii – odparł admirał z marsowym wyrazem twarzy. – Rozumiem to – powiedziała senator Richeau. – Ale moje pyta nie dotyczyło wpływu tej akcji na potencjał obronny Sieci w innych miejscach. To piekielny hazard.

Nashita chrząknął, a wykresy za jego plecami zaczęły wirować, rozmywać się, aż ustąpiły zapierającemu dech w piersiach widokowi Drogi Mlecznej widzianej z punktu umieszczonego wysoko nad ekliptyką. Kąt widzenia zmieniał się z oszałamiającą szybkością, gdy projekcja przybliżyła nam jedno ze spiralnych ramion galaktyki. Zaczęła być widoczna niebieska kratownica sieci teletransmisyjnej i Hegemonia – nieregularne złote jądro z licznymi odnóżami i nibynóżkami wyciągającymi się w stronę zielonej aureoli Protektoratu. Sieć wyglądała na przypadkową układankę, maleńka w porównaniu z rozmiarami galaktyki... to wrażenie dokładnie oddawało rzeczywistość.

Nagle obraz uległ zmianie. Zobaczyliśmy zbliżenie kolonialnych planet Sieci. Na ekranie pozostało tylko kilkaset tworzących perspektywiczne tło gwiazd.

– Ten układ przedstawia najnowsze pozycje jednostek naszej floty – wyjaśnił admirał Nashita.

W środku i powyżej złota i zieleni pojawiło się kilkaset jaskrawo-pomarańczowych plamek. Najgęściej usiana nimi była okolica odległej gwiazdy Protektoratu – słońca Hyperiona.

– A to położenie rojów Intruzów. – Pojawiło się kilkanaście czerwonych linii. Wektory i niebieskie strzałki pokazywały kierunek ich podróży. Nawet w tej skali nie było widać, żeby trajektoria któregoś z rojów przecinała przestrzeń należącą do Hegemonii. Wyjątek stanowił jeden wielki rój, który skręcał w okolice układu Hyperiona.

Zauważyłem, że rozlokowanie jednostek Armii-kosmos najczęściej monitoruje ruchy rojów. Nie dotyczyło to jedynie skupisk okrętów stacjonujących w okolicach bazi sprawiających problemy planet, takich jak Maui – Przymierze, Bressia i Qom – Riyadh.

– Admirale – zaczęła Meina Gladstone, uprzedzając wszelkie wyjaśnienia. – Zakładam, że uwzględnił pan kwestie wczesnego reagowania floty na zagrożenia, które mogłyby się pojawić w innych punktach naszej granicy.



Marsowa mina Nashity zmieniła się w coś bardzo przypominają cego uśmiech. W jego głosie słycać było protekcyjną nutkę.

– Tak, CEO. Proszę zwrócić uwagę na roje najbliższe nas, nie licząc tego w okolicach Hyperiona... – Zbliżenie obrazu ukazało nam czerwone wektory nad złotą chmurką obejmującą układy gwiazdne, takie jak Brama Niebios, Boża Knieja i Mare Infinitus. W tej skali zagrożenie inwazją Intruzów wydawało się bardzo odległe. – Obserwujemy postępy rojów migracyjnych namierzając napęd Hawkinga za pomocą placówek podsłuchowych umieszczonych zarówno wewnątrz, jak i na zewnątrz Sieci. Na dodatek, nasze próbniki dalekiego zasięgu sprawdzają z odpowiednią częstotliwością rozmiar i kierunek lotu roju.

– Z jaką częstotliwością, admirale? – zapytał senator Kolchev. – Co najmniej raz na kilka lat – warknął admirał. – Musi pan wziąć pod uwagę, że sam lot trwa kilka miesięcy, nawet przy szybkości podświetlnej, a długi czasowy z naszego punktu widzenia wynosi za każdym razem jakieś dwanaście lat.

– A między jednym a drugim namiarem rozciąga się wieloletnia luka – upierał się senator. – Skąd pan wie, gdzie są roje w dowolnym czasie?

– Napęd Hawkinga nie kłamie, senatorze – głos Nashity był całkowicie bezbarwny. – Nie da się symulować zakłóceń spowodowanych użyciem tego napędu. To, na co patrzymy, jest rozlokowaniem w czasie realnym setek, a w przypadku większych rojów tysięcy napędów. Podobnie jak to jest z komunikacją za pomocą linii FAT, transmisja efektu Hawkinga nie powoduje długu czasowego.

– Owszem – odparł Kolchev głosem równie bezbarwnym i groźnym, jak głos admirała – ale co będzie, jeśli roje lecą z prędkością naszych niszczycieli?

– Poniżej nadświetlnej, senatorze? – Nashita prawie się uśmiechnął.

– Tak.

Zobaczyłem, jak Morpurgo i kilku innych wojskowych potrzęsa głowami i stara się ukryć uśmiechy. Tylko młody komandor, William Ajunta Lee przysłuchiwał się uważnie z poważnym wyrazem twarzy.

– Na podświetlnej – prawie wyskandował Nashita – nasze praprawnuki mogłyby mieć kłopot z ostrzeżeniem swoich prawnuków o inwazji.

Kolchev nie dawał za wygraną. Wstał i wskazał najbliższy rój skręcający w stronę Hegemonii na wysokości Bramy Niebios.

– A co będzie, jeśli ten rój zbliży się nie włączając napędu Hawkinga?

Nashita westchnął. Był wyraźnie zirytowany, że musi tłumaczyć takie drobnostki.

– Senatorze, zapewniam pana, że gdyby ten rój wyłączył teraz swój napęd i skierował się ku Sieci, to... – Nashita zamrugał oczami, gdy konsultował się ze swoimi implantami –...to doleciałby do naszych granic za dwieście trzydzieści lat standardowych. Tego nie da się uwzględnić przy podejmowaniu decyzji, senatorze.

Meina Gladstone pochyliła się nad stołem i wszystkie spojrzenia skierowały się ku niej. Zachowałem swój pierwszy szkic na kliszy i zacząłem następny.

– Admirale, jak mi się zdaje, ten niepokój wyrażany przez obecnych bierze się zarówno z bezprecedensowej koncentracji sił w okolicach Hyperiona, jak i z tego, że wkładamy wszystkie jajka do jednego koszyka.

Rozległ się pomruk rozbawienia. Meina Gladstone słynęła z aforyzmów, opowiastek i powiedzonek tak starych i zapomnianych, że wydawały się całkiem nowe. To chyba było jedno z nich.

– Czy wkładamy wszystkie jajka do jednego koszyka? – zapytała. Nashita zrobił krok naprzód i położył rękę na stole. Jego długie palce silnie naciskały blat. Ten nacisk był jakby wyrazem siły osobowości admirała; należał on do tych rzadko spotykanych ludzi, którzy potrafili przyciągnąć uwagę i wymóc posłuszeństwo innych bez wysiłku.

– Nie, CEO, nie wkładamy. – Nie odwracając głowy wskazał wykresy widniejące za jego plecami i nad głową. – Najbliższy rój nie będzie w stanie osiągnąć granic Hegemonii wcześniej niż za dwa miesiące, używając napędu Hawkinga... to są trzy lata



naszego czasu. Oderwanie się od przeciwnika i przejście w dowolny punkt w Sieci nie zajmie naszym jednostkom skoncentrowanym w układzie Hyperiona więcej niż pięć godzin, nawet jeśli założymy, że będą zaangażowane w walkę.

– To nie dotyczy jednostek floty znajdujących się poza Siecią powiedziała senator Richeau. – Kolonie nie mogą zostać bez ochrony.

– Te dwieście okrętów, które zmasujemy, żeby rozstrzygnąć kampanię o Hyperiona, znajduje się w Sieci albo ma dostęp do portali transmisyjnych. Nie zabierzemy ani jednej z jednostek osłaniających kolonie – odparł Nashita.

Meina Gladstone przytaknęła.

– Ale co będzie, jeśli portal transmisyjny Hyperiona zostanie zniszczony albo zdobyty przez Intruzów? – zapytała.

Sądząc po mruknięciach, westchnieniach i potakiwaniach ze strony zgromadzonych cywilów, wywnioskowałem, że dotknęła najważniejszej sprawy.

Nashita wszedł na małe podium, jakby spodziewał się tego pytania i cieszył się, że wreszcie zakończy niepotrzebną gadaninę.

– Świetne pytanie – powiedział. – Na poprzedniej odprawie wspomniano o tym, ale spróbuję objaśnić rzecz bardziej szczegółowo. Po pierwsze, dysponujemy nadmiarem mocy teletransmisyjnej. W układzie są dwa okręty podtrzymujące portal, planujemy wzmocnienie ich następnymi trzema, kiedy przybędą posiłki. Prawdopodobieństwo, że wszystkie pięć okrętów zostanie zniszczonych, jest małe... bardzo małe, prawie nie daje się policzyć, jeśli weźmie się pod uwagę wzmożoną zdolność defensywną po uwzględnieniu dodatkowych jednostek. Po drugie, prawdopodobieństwo, że w ręce Intruzów wpadnie nie uszkodzony portal wojskowy, którego użyją do najazdu na Sieć, są równe zeru. Każdy okręt... każda osoba transmitująca się za pośrednictwem portalu musi zostać zidentyfikowana przez mikrotranspondery, których hasła zmieniane są codziennie...

– Czy Intruzi nie będą w stanie złamać tych kodów i wprowadzić własne? – zapytał senator Kolchev.

– To niemożliwe. – Nashita przechadzał się po podium z rękami założonymi z tyłu.

– Zmiana kodu następuje codziennie za pośrednictwem sygnału przesyłanego linią FAT z Kwatery Głównej...

– Przepraszam – powiedziałem, nieco zaskoczony własną śmiałością. – Ale dziś rano byłem z krótką wizytą na Hyperionie i nic nie wiem o żadnych kodach.

Wszystkie głowy odwróciły się w moją stronę. Admirał Nashita przybrał minę wszystkowiedzącej sowy.

– To nie ma znaczenia, M. Severn. Pani M. Hurt zostaliście za pomocą lasera bezboleśnie zaopatrzeni w kod na fale podczerwone. Pokiwałem głową. Zdziwiło mnie, że admirał zapamiętał moje nazwisko, ale przypomniałem sobie, że mógł skorzystać z implantu. – Po trzecie – kontynuował Nashita, jakby nic się nie stało – gdyby nawet zdarzyła się rzecz niemożliwa i Intruzi przerwaliby nasze linie obronne, zdobyli nietknięty portal, obeszlili kody i uruchomili nie znaną sobie technologię, której tajemnicy bronimy przed nimi od czterech z górą stuleci... to i tak wszystkie ich wysiłki byłyby na nic, bo cały ruch wojskowy z Hyperiona odbywa się poprzez bazę w Madhya.

– Gdzie? – zapytał chór głosów.

O Madhya słyszałem tylko dzięki opowiadaniu Brawne Lamii o śmierci jej klienta.

– Madhya – powtórzył Nashita. Tym razem naprawdę się uśmiechał. To był dziwnie chłopięcy uśmiech. – Nie szukajcie państwo na komlogach. Madhya to „czarny” układ. Nie ma go w inwentarzach i na cywilnych mapach transmisyjnych. Zarezerwowaliśmy go właśnie do takich celów. Ma tylko jedną planetę. nadającą się do zamieszkania. Nadaje się tylko dla górnictwa i celów wojskowych. Madhya jest ostatnią rubieżą obroną. Gdyby nawet okręty Intruzów dokonały niemożliwego, przerwały naszą obronę i użyły portalu w układzie Hyperiona, to jedynym miejscem, do którego mogą się udać, jest Madhya. A tam spotkają znaczącą liczbę automatycznych wyrzutni skierowanych



na wszystko, co wyłania się z transmitera. Załóżmy, że stanie się rzecz niemożliwa do kwadratu i ich flota przeżyje transfer na Madhyę. Wtedy prowadzące z tego układu wyjścia portali ulegną samozniszczeniu i okręty agresorów zostaną na mieliźnie, o całe lata od Sieci.

– Owszem – powiedziała senator Richeau. – Ale to samo będzie się działo z naszymi okrętami. Dwie trzecie naszej floty zostanie w układzie Hyperiona.

Nashita stał w pozycji na „spocznij”.

– To prawda – rzekł. – Zarówno szefowie połączonych sztabów, jak i ja rozważyliśmy konsekwencje takiego kosmicznie mało prawdopodobnego – jeśli w ogóle statystycznie możliwego – wydarzenia. Rozważaliśmy to wielokrotnie. Uznaliśmy, że można podjąć takie ryzyko. Gdyby nawet niemożliwe stało się rzeczywistością, to nadal będziemy mieli w rezerwie ponad dwieście okrętów wojennych, by bronić Sieci. W najgorszym razie stracilibyśmy układ Hyperiona po zadaniu Intruzom takiego ciosu, który odstraszyłby na długo wszelkich potencjalnych agresorów. Ale to nie jest wynik, jakiego oczekujemy. Jak twierdzą nasi analitycy, a także analitycy SI, zasilając flotę Hyperiona dodatkowymi dwustoma okrętami w ciągu najbliższych ośmiu standardowych godzin, uzyskamy dziewięćdziesięćdziesięcioprocentowe prawdopodobieństwo całkowitego zwycięstwa nad agresywnym rojem Intruzów przy minimalnych stratach własnych.

Meina Gladstone zwróciła się do radcy Albedo. W półmroku jego projekcja była doskonała.

– Panie radco, nie wiedziałam, że zadano to pytanie grupie konsultacyjnej. Czy te dziewięćdziesiąt dziewięć procent to obliczenie godne zaufania?

Albedo uśmiechnął się.

– Jak najbardziej, CEO. Czynniki prawdopodobieństwa, że to prawda, wynosi 99,962794 procent. – Uśmiechnął się jeszcze szerzej. Spokojnie można włożyć wszystkie jajka do jednego koszyka, przynajmniej na chwilę.

Meina Gladstone nie odwzajemniła uśmiechu.

– Admirale, jak długo pańskim zdaniem, po uzyskaniu posiłków, potrwać jeszcze działania wojenne?

– Standardowy tydzień, CEO. Nie dłużej. – Tak krótko? – zdziwiła się.

– Tak, CEO.

– Generale Morpurgo? Co o tym sądzi Armia-łąd?

– Zgadza się, CEO. Posiłki są niezbędne. I to natychmiast. Przetransportujemy w przybliżeniu sto tysięcy marines i oddziałów lądowych do oczyszczenia przestrzeni z resztek roju.

– W ciągu siedmiu standardowych dni albo w jeszcze krótszym czasie?

– Tak, CEO.

– Admirale Singh?

– To absolutnie niezbędne, CEO.

– Generale Van Zeidt?

Meina Gladstone pytała po kolei wszystkich szefów połączonych sztabów i wojskowych wyższej rangi, nie wyłączając komendanta szkoły Olympus, który napęczniał z dumy, że liczą się z jego zdaniem. Otrzymała jednobrzmiącą odpowiedź: słać posiłki.

– Komandorze Lee?

Spojrzenia przeniosły się na młodego oficera marynarki. Spostrzegłem pewne zeszytnienie postaw i zachmurzone miny generalicji i nagle zrozumiałem, że Lee był tu na zaproszenie CEO, a nie z łaskawego przyzwolenia swoich zwierzchników. Przypomniałem sobie, że CEO mówiła ponoć, iż komandor Lee przejawia ten rodzaj inicjatywy i inteligencji, którego wojskowym czasem brakuje. Przypuszczałem, że udział w tym zebraniu był końcem kariery tego człowieka.

Komandor Lee poprawił się w fotelu, jakby mu było niewygodnie. – Z całym szacunkiem, CEO, jestem zaledwie młodszym oficerem marynarki wojennej i nie mam kwalifikacji, żeby wydawać opinie w sprawie o takim znaczeniu strategicznym.



Meina Gladstone nie uśmiechnęła się.

– Doceniam pańską skromność, komandorze. Jestem pewna, że obecni tu pańscy przełożeni także ją docenili. Niemniej, w tym przypadku, mam nadzieję, że pofolguje pan mojej ciekawości. Czekam na komentarz.

Lee wyprostował się w fotelu. W jego oczach spostrzegłem determinację zwierzęcia złapanego w potrzask.

– Jeśli już muszę wydać swoją opinię, CEO, to według mego najgłębszego przekonania – a jest to tylko przekonanie; jestem ignorantem w dziedzinie taktyki międzygwiazdnej – odradzam dostanie posiłków. – Lee zaczerpnął tchu. – To jest czysto wojskowy punkt widzenia. Nic nie wiem o politycznych uwarunkowaniach obrony układu Hyperiona.

Meina Gladstone pochyliła głowę.

– A więc porozmawiajmy o czysto wojskowym punkcie widzenia. Komandorze, dlaczego sprzeciwia się pan wysłaniu posiłków? Nawet z mojego miejsca wyczuwałem napór spojrzeń szefów sztabów Armii. Był jak strzał z lasera używanego w starożytnych reaktorach do zapłonu sfer z deuteru – trytu. Zdumiewało mnie, że Lee nie spłonął, załamał się.

– Z punktu widzenia wojskowego – powiedział; w jego oczach nie było nadziei, ale głos brzmiał niezachwianie – dwa największe błędy, jakie można popełnić, to rozdzielanie własnych sił i... jak pani to ujęła, CEO... włożenie wszystkich jajek do jednego koszyka. W tym wypadku nawet koszyk nie jest naszej produkcji.

Meina Gladstone pokiwała głową i oparła się w fotelu. Dotknęła palcami dolnej wargi.

– Komandorze – włączył się generał Morpurgo, a ja odkryłem, że słowo może zabijać – skoro już skorzystaliśmy z pańskiej... rady... chciałbym zapytać, czy brał pan kiedykolwiek udział w bitwie kosmicznej?

– Nie, panie generale.

– Czy brał pan kiedykolwiek udział w ćwiczeniach kosmicznych, komandorze?

– Poza minimalną liczbą godzin wymaganą w szkole Olympus, na zajęciach z historii, nie.

– A w planowaniu strategicznym powyżej poziomu... iloma okrętami dowodził pan na Maui – Przymierzu, komandorze?

– Jednym, panie generale.

– Jednym – westchnął Morpurgo.

– To był duży okręt, komandorze?

– Nie, panie generale.

– Czy był pan wyznaczonym dowódcą tego okrętu? Czy sprawował pan dowództwo przypadkowo?

– Nasz kapitan zginął, panie generale. Dowództwo spadło na mnie ze starszeństwa. To była ostatnia akcja marynarki wojennej na Mauri – Przymierzu i...

– To wszystko, komandorze. – Morpurgo odwrócił się plecami do bohatera wojennego i odezwał się do CEO: – Czy życzy pani sobie jeszcze o coś nas zapytać?

Meina Gladstone pokręciła głową. Senator Kolchev odchrząknął.

– Może powinniśmy zwołać zamknięte zebranie gabinetu w budynku rządowym.

– Nie ma potrzeby – odparła. – Już podjęłam decyzję. Admirale Singh, jest pan upoważniony do translokowania tylu jednostek floty wojennej do układu Hyperiona, ile pan i szefowie sztabów uznacie, za wskazane.

– Tak, proszę pani.

– Admirale Nashita. Oczekuję zwycięskiego zakończenia walk w ciągu standardowego tygodnia od czasu, kiedy otrzyma pan odpowiednie posiłki. – Rozejrzała się wokół stołu. – Proszę państwa, nie jestem w stanie wyrazić, jak ważne jest dla nas utrzymanie Hyperiona i odparcie Intruzów raz na zawsze. – Wstała i podeszła do rampy wiodącej w ciemność. – Dobranoc państwu.



Była prawie czwarta nad ranem według czasu Sieci i Tau Ceti, kiedy Hunt zabębnił do moich drzwi. Walczyłem ze snem od trzech godzin, odkąd transmitowaliśmy się z powrotem. Właśnie pomyślałem, że Meina Gladstone zapomniała o mnie, i zapadłem w drzemkę, kiedy rozległo się walenie.

– Ogród – powiedział Hunt. – I na miłość boską, wsadź pan sobie koszulę w spodnie.

Moje buty lekko skrzypiały na żwirowanej alejce, kiedy przechadzałem się po ciemnym ogrodzie. Latarnie i żarkule ledwie sączyły światło. Gwiazd nie było widać. Ich światło zasłoniła luna nad ogromnymi miastami TC2, ale światła satelitów mieszkalnych przesuwwały się po nieboskłonie jak świetliki.

Meina Gladstone siedziała na żelaznej ławce przy mostku.

– M. Sevem – zaczęła cichym głosem. – Dziękuję, że pan przybył, i przepraszam, że fatygowałam pana tak późno. Właśnie skończyło się spotkanie gabinetu.

Nic nie odpowiedziałem i nie usiadłem.

– Chcę pana zapytać o wizytę na Hyperionie dziś rano – zachichotała w ciemności. – Wczoraj rano. Jakie są pańskie wrażenia? Zastanawiałem się, o co jej chodzi. Doszedłem do wniosku, że ta kobieta ma nienasycony apetyt na informacje i nie jest ważne; czy są one pierwszorzędne znaczenia.

– Spotkałem kogoś – powiedziałem.

– Aha?

– Tak, doktora Melio Arundeza. Był... jest...

– ...przyjacielem córki M. Weintrauba – dokończyła. – Tego dziecka, któremu ubywa lat. Ma pan jakieś nowe dane dotyczące jej stanu?

– Nie. Spałem dziś bardzo krótko. Śniłem we fragmentach.

– Co wynikło ze spotkania z doktorem Arundezem? Potarłem podbródek. Palce nagle zeszywniały mi z zimna.

– Jego zespół badawczy czeka w mieście od miesięcy. Mogą być naszą jedyną nadzieją na zrozumienie tego, co dzieje się z Grobowcami Czasu. Natomiast Chyżwar...

– Nasi analitycy przewidujący wydarzenia mówią, że pielgrzymi powinni być sami, dopóki nie odegrają swoich ról do końca. – Meina Gladstone patrzyła w bok, na strumyk.

Poczułem nagły, niewytłumaczalny, nieubłagany przyływ gniewu. – Ojciec Hoyt już „odegrał swoją rolę do końca” – powiedziałem ostrzej niż zamierzałem. – Mogli go uratować, gdyby zezwolono na przylot statku. Arundez i jego ludzie mogą jeszcze uratować Rachelę, nawet jeśli Racheli zostało tylko kilka dni.

– Mniej niż trzy dni – uściśliła. – Czy było tam coś jeszcze? Jakieś... interesujące wrażenia z planety albo z okrętu admirała Nashity?

Zacisnąłem ręce, odprężyłem się.

– Nie pozwoli pani Arundezowi wybrać się do grobowców?

– Nie teraz.

– A co z ewakuacją cywilów z Hyperiona? Przynajmniej z ewakuacją obywateli Hegemonii?

– To jest teraz niemożliwe.

Już chciałem coś powiedzieć, ale się powstrzymałem. Wsłuchiwałem się w szum wody pod mostkiem.

– Żadnych innych wrażeń, M. Severn?

– Żadnych.

– No cóż, życzę panu dobrej nocy i przyjemnych snów. Jutro będzie szalony dzień, ale mimo to zechcę z panem porozmawiać o tych snach.

– Dobranoc – powiedziałem i odwróciłem się na pięcie. Poszedłem szybko do mojego skrzydła budynku rządowego.

W ciemnym pokoju wywołałem sonatę Mozarta i zażyłem trzy trisecobarbitale. Najprawdopodobniej wtrąca mnie w narkotyczny sen bez marzeń, w którym duch Johna



Keatsa i duchy pielgrzymów nie będąca stanie mnie dopaść. Rozczaruję Meinę Gladstone. Jakoś mnie to nie przerażało.

Pomyślałem o Guliwerze i jego awersji do ludzkości po powrocie z krainy inteligentnych koni – Houyhnhnmów. Jego niechęć do własnego gatunku wzrosła do tego stopnia, że zaczął sypiać w stajniach z końmi tylko po to, żeby ich zapach i obecność podtrzymywały go na duchu.

Zanim zasnąłem, pomyślałem: Do diabła z Meimą Gladstone, do diabła z wojną i do diabła z Siecią. I do diabła ze snami.



Brawne Lamię przed świtem dręczył koszmar. Jej sen wypełniały obrazy i dźwięki z innej rzeczywistości – jakaś niejasna rozmowa z Meina Gładstone, pokój, który zdawał się szybować w przestrzeni, mężczyźni i kobiety idący korytarzem, o ścianach szepczących niczym źle nastawiony odbiornik FAT. Podtekstem gorączkowych marzeń sennych była myśl, że Johnny – jej Johnny – jest gdzieś w pobliżu, bardzo blisko. Lamię krzyknęła przez sen, jej słaby głos rozplątał się nierównym echem w zimnych kamiennych tunelach Sfinksa.

Obudziła się nagle. Natychmiast oprzytomniała. Wartę miał pełnić Sol Weintraub, ale zasnął. Spał u wejścia do salki, w której pielgrzymi znaleźli schronienie. Obok niego, na podłodze, otulona w koce, spała Rachel. Podniosła pupę, buzię wtuliła w koc. Na ustach miała bańki śliny.

Lamia rozejrzała się. W rozproszonym świetle żarkuli oraz w słabym świetle poranka dochodzącym z korytarza dostrzegła tylko swoich towarzyszy podróży. Martin Silenus chrapał. Lamia poczuła przyływ strachu, jakby zostawiono ją samą, kiedy spała. Silenus, Sol, dziecko... Konsula nie było. Jest ich coraz mniej. Z początku było ich siedmioro, nie licząc dziecka. Het Maasten zaginął, gdy wiatrowóz przemierzał Morze Traw; Lenar Hoyt zginął ubiegłej nocy; tej samej nocy, później, zaginął Kassad... konsul... gdzie jest konsul?

Brawne Lamia znów się rozejrzała. Uspokoiła się trochę, gdy w salce nie spostrzegła nic podejrzanego. Wstała, wysupłała automatyczny pistolet ojca ze zwiniętych koców, wzięła opakowanie neuroparalizatora i prześlizgnęła się obok śpiących do korytarza.

Na zewnątrz poranne światło było tak jaskrawe, że musiała przysłonić oczy ręką, gdy schodziła z kamiennych stopni Sfinksa na twardo udeptaną ścieżkę wiodącą w głąb doliny. Burza minęła. Niebo Hyperiona miało kolor głębokiego, krystalicznego lapis – lazuli z domieszką zieleni. Gwiazda Hyperiona, błyszczący jak brylant biały punkt, stała nisko nad wschodnim urwiskiem doliny. Dno doliny pokrywały cienie skał i grobowców. Nefrytowy Grobowiec iskrzył się w słońcu. Lamia widziała świeże pryzmy piasku nawianego przez wichurę w czasie burzy. Białe i cynobrowe piaski mieszały się w zmysłowych skłębieniach i warstwach wokół kamienia. Po ich obozowisku z ubiegłej nocy nie pozostał nawet ślad. Konsul siedział na kamieniu dziesięć metrów dalej. Z jego fajki dobywał się dymek. Lamia włożyła pistolet i neuroparalizator do kieszeni i podeszła do niego.

– Ani śladu pułkownika Kassada – powiedział konsul, gdy się zbliżała. Nie odwrócił się do niej.

Lamia popatrzyła w głąb doliny, gdzie stał Kryształowy Monolit. Jego lśniąca kiedyś powierzchnia była pełna dziur i wyrw. Dwadzieścia, trzydzieści metrów wierzchołka zniknęło. U podnóża grobowca wciąż dymiły szczątki. Pół kilometra gruntu między Sfinksem a Monolitem pokrywały leje i ślady spaleniźny.

– Wygląda na to, że nie poddał się bez walki – powiedziała.

Konsul mruknął. Zapach dymu z fajki sprawił, że Lamia poczuła głód.

– Szukałem go aż przy Pałacu Chyżwara, dwie mile w dół doliny – wyjaśnił konsul. – Ogniskiem walki był chyba Monolit. W dalszym ciągu nie ma do niego wejścia na poziomie gruntu, ale wyżej jest dosyć dziur, żeby zobaczyć strukturę wnętrza. Przypomina plaster miodu. Tak jak ukazywały to zawsze radary głębokościowe.

– Ale nie ma śladu Kassada?

– Żadnego.

– Krew? Spalone kości? Karteczka, że wyszedł na chwilę do pralni?

– Nic.

Brawne Lamia westchnęła i usiadła na głazie niedaleko konsula. Na skórze czuła ciepło słońca. Zmrużyła oczy i popatrzyła w stronę wejścia do doliny.

– O, do diabła – powiedziała. – Co teraz zrobimy?



Konsul wyjął fajkę z ust i potrząsnął głową.

– Znowu próbowałem połączyć się za pomocą komlogu, ale statek nadal jest objęty zakazem startu. – Wytrząsnął popiół. – Próbowałem połączyć się na pasmach awaryjnych, ale najwyraźniej nie docierają. Albo statek nie chwyta sygnałów, albo ludzie tam dostali zakaz odpowiadania.

– Czy naprawdę odleciałbyś?

Konsul wzruszył ramionami. Wczorajszy strój galowy dyplomaty zamienił na pulower z surowej wełny, szare stebnowane spodnie i wysokie buty.

– Gdyby statek tu był, mielibyśmy wybór: odlecieć albo zostać. Mam nadzieję, że wszyscy chcieliby odlecieć. Przecież w końcu Masteen zniknął, Hoyta i Kassada nie ma wśród nas... Nie jestem pewien, co powinniśmy teraz robić.

– Moglibyśmy spróbować upichcić śniadanie – powiedział ktoś basem.

Lamia odwróciła się i zobaczyła nadchodzącego ścieżką Sola. Rachelę siedziała w nosidełku, które uczony zawiesił sobie na piersi. Słońce połyskiwało na łysinie Weintrauba.

– Niezły pomysł – zgodziła się Lamia. – Czy zostało nam dość zapasów?

– Na śniadanie wystarczy – odparł Weintraub. – Na później jest jeszcze kilka gotowych posiłków z dodatkowych racji pułkownika. Potem będziemy zjadali stonogi, a potem siebie nawzajem.

Konsul wysilił się na uśmiech, włożył fajkę do kieszeni bluzy.

– Proponuję, żebyśmy wyruszyli do Baszty Chronosa, zanim do tego dojdzie. Zjedliśmy już zapasy z „Benares”, ale w baszcie są składy. – Byłabym najszczęśliwsza w świecie, gdyby... – zaczęła Lamia, ale przerwała, gdy usłyszeli krzyk ze Sfinksa.

Dobiegła do grobowca pierwsza. Zanim weszła, wzięła w dłoń pistolet. W korytarzu było ciemno, w komnacie, w której spali, jeszcze ciemniej. Minęła sekunda, zanim zrozumiała, że nikogo tam nie ma. Przykucnęła, wyciągnęła pistolet w stronę załomu korytarza. Ponownie rozległ się krzyk Silenusa.

– Hej! Chodźcie tutaj!

Spojrzała przez ramię. Konsul wchodził do grobowca.

– Zaczekaj tam! – warknęła i szybko poszła w głąb korytarza, ocierając się plecami o ścianę. Odbezpieczony pistolet trzymała w wyciągniętej dłoni. Stała przy wejściu do małego pomieszczenia, w którym leżały zwłoki Hoyta. Przykucnęła i wpadła do środka.

Martin Silenus klęczał nad trupem. Podniósł na nią wzrok. Płachty plastowłókniny, których użyli, żeby przykryć ciało księdza, trzymał w rękach. Gapił się na Lamię. Spojrzał na pistolet i znów przeniósł wzrok na ciało.

– Czy jesteś w stanie w to uwierzyć? – zapytał cicho.

Lamia opuściła broń i podeszła bliżej. Przez wejście zaglądał konsul. Dalej w korytarzu stał Weintraub. Dziecko płakało.

– Mój Boże! – jęknęła Brawne Lamia i ukucnęła przy ciele ojca Lenara Hoyta. Nznaczona cierpieniem twarz młodego księdza zmieniła się w oblicze ponad sześćdziesięcioletniego mężczyzny: wysokie łuki brwiowe, długi arystokratyczny nos, wąskie usta, o lekko zadartych ku górcie koniuszkach warg, ostre kości policzkowe, siwe włosy, wielkie oczy przykryte białymi i cienkimi jak pergamin powiekami.

Konsul przycupnął obok nich.

– Widziałem hologramy. To ojciec Paul Durć.

– Patrzcie – powiedział Martin Silenus, podniósł wyżej całun i przewrócił ciało na bok. Dwa małe krzyżokształty na piersiach leżącego pulsowały jak różowe blizny. Były takie same jak krzyżokształty Hoyta, ale jeden z nich przeniósł się z pleców na klatkę piersiową.

Sol stał przy wejściu, starając się ukoić płacz Racheli lekkim kołysaniem i szeptem. Kiedy dziecko ucichło, powiedział:

– Zdawało mi się, że Bikurom potrzebne były trzy dni na... regenerację.



Martin Silenus westchnął.

– Bikurowie zmartwychwstają dzięki tym pasożytom od ponad dwustu standardowych lat. Prawdopodobnie na początku idzie to łatwiej.

– Czy on... – zaczęła Lamia.

– Żyje? – Silenus złapał ją za rękę. – Dotknij.

Klatka piersiowa leżącego wznosiła się i opadała nieznacznie. Skóra była ciepła. Od krzyżokształtów bił żar. Brawne Lamia wyrwała rękę.

Człowiek, który jeszcze sześć godzin temu był ojcem Hoytem, otworzył oczy.

– Ojciec Dure? – zapytał Sol występując o krok do przodu.

Mężczyzna odwrócił głowę. Zamrugał, jakby przyćmione światło raziło go w oczy. Wydał niezrozumiałe dźwięki.

– Wody – powiedział konsul i sięgnął do kieszeni po małą plastikową butelkę, którą zawsze miał ze sobą. Martin Silenus podtrzymywał głowę księdza, a konsul pomagał mu pić.

Sol zbliżył się, uklęknął na jedno kolano i dotknął ręki ojca. Nawet czarne oczy Racheli zdawały się wyrażać ciekawość.

Jeśli możesz mówić – zaczął Sol – mrugnij dwa razy. Jeśli nie raz. Czy jesteś ojcem Dure?

Mężczyzna popatrzył na uczonego.

– Tak – powiedział cicho. Mówił głębokim, modulowanym głosem. – Jestem Paul Dure.

Śniadanie składało się z kawy, kawałków mięsa upieczonego nad rozpakowaną kostką paliwa, garści mieszanki zbożowej z rehydrowanym mlekiem, a na koniec – z ostatniej kromki chleba, jaka im została. Przelamali ją na pięć kawałków. Lamia jadła go jak prawdziwy przysmak.

Siedzieli na skraju cienia pod wystającym skrzydłem Sfinksa. Za stół służył im niski, płaski gład. Słońce stało już wysoko na bezchmurnym niebie. Panowała cisza przerywana tylko brzęknięciem łyżki albo widelca, albo ściszoną rozmową.

– Pamięta pan, co było... przedtem? – zapytał Sol.

Ksiądz ubrał się w zapasowy kombinezon konsula, szary uniform z pieczęcią Hege-monii po lewej stronie piersi. Ubiór był trochę za mały.

Dure trzymał oburącz kubek z kawą, jakby miał go podnieść w uświęconym, kapłańskim geście. Podniósł inteligentne, smutne oczy.

– Zanim umarłem? – zapytał. Na patrycjuszowskich ustach zarysował się cień uśmiechu. – Tak. Pamiętam wygnanie, Bikurów... opuścił wzrok. – Pamiętam nawet testowe drzewo.

– Hoyt opowiadał nam o tym drzewie – wtrąciła Brawne Lamia. Ksiądz przybił się do aktywnego drzewa w lesie ogniowym. Przez lata cierpiął mękę, śmierć, zmartwychwstanie i znów śmierć. Nie chciał żyć w łatwej symbiozie z krzyżokształtem.

Dure pokręcił głową.

– Sądziłem... w ostatnich sekundach... że udało mi się to pokonać. – I pokonał pan – powiedział konsul. – Znalazł pana ojciec Hoyt i jego towarzysze podróży. Przepędził pan tę rzecz ze swojego ciała. Potem Bikurowie wszczepili pański krzyżokształt w ciało Lenara Hoyta.

Dure pokiwał głową.

– Po tym chłopcu nie został nawet ślad?

Martin Silenus wskazał ręką pierś kapłana.

– Najwyraźniej to ustrojstwo łamie prawo zachowania masy. Hoyt cierpiął ból tak wielki, przez tyle czasu – nie chciał wrócić tam, dokąd to go ciągnęło – że nie potrafił nabrać odwagi dla... jak to, do cholery, nazwać? Podwójnej rezurekcji.

– Mniejsza o to – powiedział Dure. Smutno się uśmiechał. – Pasożyt DNA w postaci krzyżokształtu ma nieskończoną cierpliwość. Będzie rekonstruował jednego nosiciela



przez pokolenia, jeśli uzna to za niezbędne. Wcześniej czy później oba pasożyty znajdą sobie dom.

– Czy pamięta pan ostatnie wrażenie z teslowego drzewa? – zapytał cicho Sol.

Dure wysiorbał resztkę kawy.

– Mówi pan o śmierci? O niebie albo piekle? – Teraz naprawdę się uśmiechał. – Nie, moi państwo..Chciałbym powiedzieć, że tak. Pamiętam ból... wieczność bólu... a potem ulgę. A potem ciemność. A potem obudziłem się tutaj. Mówicie, że ile lat minęło?

– Prawie dwanaście – powiedział konsul. – Ale tylko połowa tego czasu przypadła na ojca Hoyta. Przebywał w podróży.

Ojciec Dure wstał, przeciągnął się i zaczął chodzić w tę i z powrotem. Był wysokim mężczyzną, szczupłym, ale sprawiającym wrażenie silnego. Imponował Brawne Lamii. Imponowała jej ta dziwna, niewytłumaczalna charyzma osobowości, która naznaczyła los kilku ludzi. Zmusiła się, żeby przypomnieć sobie, że Dure jest księdzem, a jego religia nakłada na kler celibat i że przed godziną ten człowiek był trupem. Lamia patrzyła, jak przechadza się, patrzyła na jego eleganckie, kocie ruchy. Uzmysłowała sobie, że nie jest w stanie przyćmić magnetyzmu promieniującego z postaci kapłana. Zastanawiała się, czy mężczyźni też tak to odczuwają.

Dure usiadł na kamieniu, wyprostował nogi i potarł biodra, jakby chciał się pozbyć uczucia sztywności.

– Mówiliście coś o sobie, o tym, kim jesteście... dlaczego tu jesteście. Możecie powiedzieć coś więcej?

Pielgrzymi popatrzyli po sobie.

Dure pokiwał głową.

– Myślicie, że jestem potworem? Jakimś agentem Chyżwara? Nie miałbym do was pretensji, gdybyście rzeczywiście tak sądzili.

– Wcale tak nie myślimy – odparła Lamia. – Chyżwarowi nie są potrzebni agenci. Poza tym wiemy o panu z opowiadania ojca Hoyta i z pańskich dzienników. – Popatrzyła na innych. – Trochę nam... trudno... mówić, dlaczego każde z nas znalazło się na Hyperionie. Chyba nie da się powtórzyć tych opowieści.

– Poczyniłem pewne zapisy na moim komlogu – stwierdził konsul. – Są bardzo skrótowe, ale dają jakieś pojęcie o naszych losach... i o dziejach ostatniej dekady Hegemonii. Dlaczego Sieć jest w stanie wojny z Intruzami. I temu podobne historie. Może pan uzyskać do tego dostęp, gdy tylko pan zapragnie. Nie powinno to panu zająć więcej niż godzinę.

– Dziękuję – powiedział ojciec Dure i poszedł za konsulem do Sfinksa.

Brawne Lamia, Sol i Silenus pomaszerowali w stronę ujścia doliny. Z przełęczą między niskimi klifami widzieli wydmy i jałową ziemię rozciągającą się aż do podnóża łańcucha Gór Cugielnych, położonego o jakieś szesnaście kilometrów na południowym zachodzie. Rozbite kopuły, zapadnięte wieżyczki i zrujnowane portyki wymarłego Miasta Poetów widać było o jakieś pięć kilometrów na prawo od nich, wzdłuż szerokiego grzbietu stopniowo zasypywanego przez pustynię.

– Pójdę do twierdzy i znajdę jakąś żywność – powiedziała Lamia.

– Nie podoba mi się pomysł rozdzielania grupy – stwierdził Sol. Możemy wrócić wszyscy.

Martin Silenus założył ramiona na piersi.

– Ktoś tu powinien zostać, na wypadek gdyby wrócił pułkownik.

– Zanim którekolwiek z nas odejdzie – zaproponował Sol – myślę, że powinniśmy przeszukać pozostałą część doliny. Konsul nie przeszukał rano okolic Monolitu.

– Zgadzam się – stwierdziła Lamia. – Chodźmy, zanim będzie za późno. Chcę zdobyć w twierdzy zapasy i wrócić przed zapadnięciem zmroku.

Schodzili do Sfinksa, gdy z grobowca wyłonił się Dure i konsul. Ksiądz trzymał w ręku zapasowy komlog konsula. Lamia objaśniła im plan poszukiwań i obaj postanowili dołączyć do grupy.



Jeszcze raz przeszli przez sale Sfinksa. Latarkami i ołówkami laserowymi oświetlali wilgotne kamienie i dziwaczne załamania korytarzy. Kiedy dotarli do wyjścia, było już południe, przeszli trzysta metrów do Nefrytowego Grobowca. Lamia poczuła dreszcze, gdy znaleźli się w sali, w której poprzedniej nocy objawił się Chyżwar. Na zielonej ceramicznej podłodze pozostała rdzawa plama krwi Hoyta. Nie było śladu po przezroczyстым otworze do labiryntu leżącego pod spodem. Nie było też śladu po Chyżwarze.

W Obelisku nie znaleźli sal, tylko centralny szyb ze spiralną rampą, wiodącą na wysokość pięćdziesięciu metrów nad podłogą. Ich latarki nie wyszukiwały niczego w górze pod zakrzywionym dachem. Liny i łańcuchy, pozostałość po dwóch stuleciach turystyki, pozwoliły im na zejście bez obaw, że potknięcie spowoduje śmiertelny w skutkach upadek z wysokości. Kiedy zatrzymali się u wyjścia, Martin Silenus wykrzyczał imię Kassada po raz ostatni. Echo ścigało ich, gdy wyszli już na zewnątrz.

Przez jakieś pół godziny przeszukiwali pobojowisko przy Kryształowym Monolicie. Kałuże piasku zamienionego w szkło szerokie na pięć, dziesięć metrów rozszczyły światło południowego słońca i promieniowały gorącem. Zniszczona fasada Monolitu pokryta była dziurami i dyndającymi stalaktytami stopionego kryształu. Wyglądało to tak, jakby grobowiec padł ofiarą aktu bezmyślnego wandalizmu. Ale pielgrzymi wiedzieli, że Kassad walczył o życie. Nie było drzwi ani żadnego wejścia do pszczelego labiryntu w środku grobowca. Instrumenty powiedziały im, że wewnątrz jest puste jak zawsze. Odeszli niechętnie, wspięli się stromym szlakiem do podnóża północnego urwiska, gdzie o sto metrów od siebie widniały wejścia do Grobowców Jaskiniowych.

– Dawni archeolodzy sądzili, że względu na prymitywizm założenia, że są to najwcześniejsze formy grobowców – powiedział Sol, gdy weszli do pierwszej jaskini. Ich latarki oświetliły kamienną ścianę wyrzeźbioną w niezrozumiałe wzory. Żadna z jaskiń nie była głębsza niż trzydzieści, czterdzieści metrów. Kończyły się kamienną ścianą. Próbniki i radary nie wykazywały, żeby dalej znajdowało się coś innego niż kamień.

Zanim weszli do trzeciej jaskini, usiedli w cieniu i podzielili się wodą i sucharami proteinowymi z zapasowych racji polowych Kassada. Wiatr wzmógł się, gwizdał w podziurawionej skale wznoszącej się nad nimi.

– Nie znajdziemy go – powiedział Martin Silenus. – Zabrał go chromolony Chyżwar.

Sol karmił dziecko jedną z ostatnich odżywek dla niemowląt. Czubek głowy małej, mimo wszelkich wysiłków Sola, zaróżowił się od słońca.

– Mógł być w jednym z grobowców, które już przeszukaliśmy odezwał się Sol. – Któryś z sektorów budowli mógł wypaść z naszej fazy czasu. To teoria Arundeza. Widzi w grobowcach konstrukcje czterowymiarowe ze skomplikowanymi załamaniem w czasoprzestrzeni.

– Wspaniale – rzekła Lamia. – Więc jeśli nawet Kassad tu jest, to nie możemy go zobaczyć.

– No cóż – wtrącił się konsul, wstając z westchnieniem wyrażającym zmęczenie. – Zróbmy przynajmniej, co do nas należy. Został jeszcze jeden grobowiec.

Pałac Chyżwara położony o kilometr dalej, w głębi doliny, stał niżej niż pozostałe. Przysłaniały go zakręty urwiska. Był niewielki, nawet mniejszy niż Nefrytowy Grobowiec, ale jego wyrafinowana architektura – flanki, wieżyczki, przypory, kolumny narastające się w kontrolowanym chaosie – sprawiała, że wyglądał na większy niż w rzeczywistości.

Wnętrze Pałacu Chyżwara było jedną, wypełnioną echem komorą. Jej nieregularna podłoga składała się z tysięcy wygiętych, spojonych ze sobą segmentów. Lamii przywodziły one na myśl żebra i kręgosłup jakiegoś skamieniałego stwora. Piętnaście metrów nad głową zwiślały z kopuły tuziny chromowanych „ostrzy”. Rozchodziły się one na ściany i wystawały z drugiej strony jako spiczaste stalowe ciernie. Materiał, z którego zbudowano kopułę, z lekka przeświecał; pozwalał przeniknąć do wnętrza mlecznemu światłu.

Pielgrzymi zaczęli wołać Kassada. Ich głosy wzbudzały echo i rezonans, ale nikt nie



odpowiadał.

– Ani śladu Kassada i Heta Masteena – powiedział konsul, gdy wyszli na zewnątrz.
– Może w tym jest jakaś metoda. Znikamy jedno po drugim... aż zostanie wreszcie tylko jedno z nas.

– A to jedno, które pozostanie, wypełni swoje życzenie, jak przepowiadają legendy o Chyżwarze? – zapytała Brawne Lamia. Siedziała na kamiennym piecu przy grobowcu; machała w powietrzu krótkimi nogami.

Paul Dure uniósł twarz ku niebu.

– Nie mogę uwierzyć, że wolą ojca Hoyta było umrzeć, żebym ja mógł żyć.

Martin Silenus zerknął z ukosa na księdza.

– Więc jaka będzie twoja wola, padre?

Dure nie zawahał się.

– Chcę... modłę się o to... żeby Bóg zakończył plagę tych dwóch obrzydliwości – wojny i Chyżwara – raz na zawsze.

Zapanowała cisza. Słychać było odległy świst i jęki wiatru.

– Tymczasem – powiedziała Lamia – musimy zdobyć trochę żywności albo nauczyć się żywić powietrzem.

Dure pokręcił głową.

– Dlaczego zabraliście tak mało zapasów?

– Wszyscy oczekiwaliśmy, że zginiemy albo zwyciężymy pierwszej nocy – wyjaśnił konsul. – Nie przewidzieliśmy, że tak długo tu zostaniemy.

Brawne Lamia wstała i otrzepała spodnie.

– Idę – powiedziała. – Dam radę przynieść jedzenia na cztery, pięć dni, jeśli to będą racje polowe.

– Ja też pójdę – zaoferował się Martin Silenus.

Zapadła cisza. W ciągu tygodniowej pielgrzymki między poetą a Lamią kilka razy o mały włos nie doszło do bijatyki; dziewczyna raz groziła, że go zabije. Patrzyła na niego przez dłuższą chwilę.

– W porządku – powiedziała wreszcie. – Pójdźmy teraz do Sfinksa po nasz prowiant i bidony z wodą.

Cała grupa ruszyła w górę doliny. Od zachodniej ściany zaczęły rosnać cienie.



Dwanaście godzin wcześniej pułkownik Fedmahn Kassad zstąpił ze spiralnych schodów na najwyższe zachowane piętro Kryształowego Monolitu. Ze wszystkich stron buchały płomienie. Przez dziury, które wybił w kryształowej powierzchni, Kassad widział ciemność. Burza nawiewała cynobrowy piasek. Wypełniał powietrze jak sproszkowana krew. Kassad założył hełm. Dziesięć kroków przed nim stała Moneta.

Była naga pod kombinezonem energetycznym. Wyglądało to tak, jakby na gołym ciele miała rozpyloną rtęć. Kassad widział, jak płomienie odbijają się od jej piersi i bioder. Światło zaginało się na ramionach i w dołku pępka. Miała długą szyję, perfekcyjnie gładką twarz, jakby wyrzeźbioną w chromie. W oczach rysował się jej bliźniaczy, długi cień – postać Kassada.

Kassad uniósł karabin szturmowy i przesunął przełącznik na ogień ciągły. Wewnątrz uaktywnionej zbroi samoutwardzalnej napinał mięśnie w oczekiwaniu ataku.

Moneta poruszyła ręką i kombinezon zniknął. Teraz była bezbronna. Kassad miał wrażenie, że zna każdy cal jej twarzy. Kasztanowe, krótko obcięte włosy opadały na lewą stronę. Oczy były takie same: wielkie, zdziwione, koloru głębokiej zieleni. Małe usta z pełną dolną wargą jakby leciutko się uśmiechały. Zauważył wygięte pytająco brwi, małe uszy, do których tyle razy szeptał, łabędzią szyję, na której kładł policzek, żeby wsłuchać się w puls dziewczyny.

Kassad uniósł karabin i wycelował.

– Kim jesteś? – zapytała. Głos miała łagodny i zmysłowy, z obcym akcentem. Tak jak go zapamiętał.

Kassad zatrzymał się. Położył palec na spuście. Tyle razy się kochali, od lat spotykali się w snach. Ale jeśli ona rzeczywiście cofa się w czasie...

– Wiem – powiedziała łagodnym głosem, nieświadoma tego, że zaczął zaciskać palec na spuście. – Jesteś tym, którego obiecał Władca Bólu.

Kassad ciężko oddychał. Kiedy przemówił, jego głos był szorstki i pełen napięcia.

– Nie pamiętasz mnie?

– Nie – podniosła głowę i przyglądała mu się pytająco. – Ale Władca Bólu obiecał wojownika. Było zapisane, że się spotkamy.

– Spotkaliśmy się wiele lat temu – wydusił z siebie Kassad. Karabin automatycznie naprowadzał się na twarz, był w stanie wyemitować częstotliwości zwalczające pole kombinezonu elektrycznego. Ułamek sekundy później z lufy wylatywały neurobiczne, promienie lasera, mikroostrza i pociski pulsacyjne.

– Nie pamiętam, co było dawno temu – odparła. – Poruszamy się w przeciwnych kierunkach w czasie. Pod jakim imieniem znasz mnie z mojej przyszłości, a z twojej przeszłości?

– Moneta – wysapał Kassad. Palec stęzał mu na spuście.

Uśmiechnęła się, skinęła głową.

– Moneta, córka pamięci. Jest w tym jakaś ironia.

Kassad przypomniał sobie jej zdradę. Jej przemianę, kiedy kochali się po raz ostatni w piaskach nad wymarłym Miastem Poetów. Stała się Chyżwarem, albo pozwoliła, żeby Chyżwar zajął jej miejsce. Zamieniło to akt miłosny w obrzydliwość.

Pułkownik Kassad nacisnął spust. Moneta mrugnęła.

– W Kryształowym Monolicie to nie zadziała. Czy chcesz mnie zabić?

Kassad jęknął, odrzucił bezużyteczną broń, włączył moc pancernych rękawic i zaszarżował.

Moneta nie uchyliła się przed atakiem. Patrzyła, jak biegnie z opuszczoną głową. Zbroja samoutwardzalna chrzęściła, Kassad wrzeszczał. Opuściła ramiona, żeby przyjąć uderzenie.

Pęd i ciężar Kassada zbił Monetę z nóg. Oboje upadli, Kassad usiłował złapać ją za gar-



dło. Moneta trzymała jego ręce w uścisku silnym jak imadło. Tarzali się po platformie. Dotoczyli się do samego brzegu. Kassad znalazł się na wierzchu. Próbował wykorzystać siłę grawitacji. Naciskał z całej siły, wyciągnął ramiona, usztywnił rękawice, zagiął palce jak szpony. Jego lewa noga zwiisała nad sześćdziesięciometrową przepaścią.

– Dlaczego chcesz mnie zabić? – wyszeptała Moneta i odrzuciła go na bok. Spadli razem z platformy.

Kassad ryknął i potrząśnięciem głowy zatrzasnął przyłbicę. Koziółkowali w przestrzeni. Nogi mieli splecione, trzymali się nawzajem w twardym uścisku. Moneta ścisnęła Kassada za przeguby. Czas zwolnił. Zlatywali jak w filmie o zwolnionym tempie. Powietrze łaskotało Kassada jak źdźbło trawy przeciągane powoli po twarzy. Czas przyspieszył, wrócił do normy: spadli z ostatnich dziesięciu metrów. Kassad krzyknął i sprawił, że zbroja zeszywniała. Rozległ się głośny trzask.

Fedmahn Kassad widział wszystko jak zza purpurowej zasłony. Powoli wracała mu świadomość. Zdawał sobie sprawę, że od uderzenia o ziemię minęła jedna, może dwie sekundy. Z wysiłkiem stanął na nogi. Moneta też powoli wstawała. Klęczała teraz na jednym kolanie i patrzyła na podłogę potrzaskaną w miejscu, w którym upadli.

Kassad przesłał moc do serwomechanizmów w nogawkach kombinezonu i kopnął ją z całej siły w głowę.

Moneta zrobiła unik, chwyciła go za nogę, wykręciła ją i rzuciła nim o trzymetrowy kawał kryształu. Kryształ z hukiem popękał. Kassad wytoczył się w ciemność na piasek. Moneta dotknęła szyi, twarz zaślniła jej rtęciowym blaskiem. Wyszła na zewnątrz za pułkownikiem.

Kassad podniósł potrzaskaną przyłbicę, zdjął hełm. Wiatr mierzwił jego. krótkie czarne włosy, piasek ocierał się o policzki. Podniósł się na kolana, potem stanął na nogi. Światelka w kołnierzu kombinezonu mrugały czerwono; energia wyczerpywała się powoli. Kassad zignorował alarm. Energii zostało jeszcze na kilka sekund... to wystarczy.

– Cokolwiek zdarzyło się w mojej przyszłości... twojej przeszłości – powiedziała Moneta – to nie z mojego powodu. To nie ja jestem Władcą Bólu. On...

Kassad przebył jednym skokiem trzy metry, które ich dzieliły, wylądował za Monetą, z szybkością dźwięku otoczył jej szyję zabójczą rękawicą. Krawędź jego dłoni była tak ostra, jak tylko może być ostre piezoelektryczne włókno węglowe.

Moneta nawet nie próbowała uchylić się albo odparować atak. Rękawica Kassada uderzyła w nasadę jej szyi z siłą, która mogłaby rozłupać pół metra skały. Na Bressii, w walce wręcz, w stołecznym Buckminster, Kassad zabił pułkownika Intruzów tak szybko, że oczy w odrąbanej głowie tego człowieka mrugały jeszcze przez dwadzieścia sekund, zanim nadeszła śmierć. Wtedy rękawica Kassada przeszła przez zbroję samoutwardzalną, hełm, osobiste pole siłowe, ciało i kość za jednym zamachem.

Teraz cios dotarł do celu, ale utknął na powierzchni skafandra rtęciowego. Moneta nawet się nie zachwiała. W tym samym momencie Kassad poczuł, że skończyła się energia jego kombinezonu. Ramię mu zdrętwiało, sztuczne mięśnie rękawa skafandra skręcały się w agonii. Cofnął się potykając, prawe ramię zwiisało jak martwe. Energia wyciekała ze skafandra jak krew z rannego.

– Ty nie słuchasz – powiedziała Moneta. Zrobiła krok do przodu, złapała Kassada za przód kombinezonu i rzuciła nim o dwadzieścia metrów w stronę Nefrytowego Grobowca.

Wylądował twardo, zbroja samoutwardzalna, po wyczerpaniu się źródeł mocy, zaabsorbowała tylko część energii upadku. Osłonił zgiętym ramieniem twarz i szyję, ale ramię ugięło się bezsilnie pod jego ciężarem.

Moneta przebyła drogę ku niemu skokami. Przykucnęła, uniosła go jedną ręką, drugą chwyciła materiał zbroi samoutwardzalnej i zdarła z niego przód uniformu bojowego, rozrywając dwieście warstw mikrowłókien i polimerów omega. Lekko, nieomal z sympatią uderzyła go w twarz. Uderzenie odrzuciło głowę Kassada. Prawie stracił przytomność. Wiatr i piasek bombardowały jego nagą pierś i brzuch.



Moneta zdarła resztę zbroi, rozrywając przewody biosensorów. Podniosła go za ramiona i potrząsnęła. Kassad poczuł w ustach krew. Widzenie zamąciły mu czerwone punkciki.

- Nie musimy być wrogami – powiedziała miękko. – Ty... strzelałaś... do mnie.
- Żeby sprawdzić twoje odruchy, a nie żeby cię zabić.

Jej usta poruszały się normalnie pod pokrywą żywego srebra. Znów go uderzyła i Kassad poleciał o dwa metry. Wylądował na wydmie. Potoczył się w dół, na zimny piasek. Powietrze wypełnione było śniegiem, kurzem, punkcikami kolorowego światła. Kassad przewrócił się, stanął na czworakach, chwycił piasek zeszywniałymi palcami.

- Kassad – wyszeptała Moneta. Przetoczył się na plecy. Czekał.

Zdezaktywowała skafander. Była ciepła i miękka. Skórę miała tak bladą, że wydawało się, iż jest przezroczysta. Na jej doskonałych piersiach widać było niebieskie żyłki. Miała mocne nogi, ciemnozielone oczy.

- Kochasz wojnę, Kassad – wyszeptała pochylając się nad nim. Walczył, starał się odwrócić na bok, unosił pięści, żeby ją uderzyć. Moneta przygwoździła jedną ręką jego wyprostowane ramiona nad głową. Jej ciało promieniowało gorącem, gdy pocierała piersiami o jego piersi. Pochyliła się, Kassad poczuł dotyk jej brzucha na swoim łonie.

Wtedy zdał sobie sprawę, że to gwałt, że może mu się oprzeć tylko w jeden sposób – nie reagując, odmawiając. Nie zadziało. Powietrze wokół nich zdawało się płynne, wicher jakby się oddalił, piasek zawisł w powietrzu jak koronkowa zasłona unoszona lekką bryzą.

Moneta poruszała się nad nim, ocierała o niego. Kassad czuł narastające podniecenie. Walczył z nim, walczył z nią, szamotał się, kopał, starał się oswobodzić ramiona. Była znacznie silniejsza. Prawe kolano wepchnęła między jego nogi. Jej sutki ocierały się o niego jak gorące kamyki. Ciepło jej brzucha i łona sprawiało, że poddawał się podnieceniu.

- Nie! – krzyknął. Moneta uciszyła go zbliżając wargi do jego ust. Lewą ręką nadal trzymała jego ramiona, prawą przesunęła w dół. Kassad ugryzł ją w wargę. Walka zbliżyła ich, wszedł w nią głębiej. Starał się odprężyć, pochylała się nad nim, aż wcisnęła go w piasek. Przypomniawszy sobie, że gdy poprzednim razem się kochali, znajdowali ukojenie, podczas gdy wojna szalała wokół poza kręgiem zakreślonym przez ich pasję.

Kassad zamknął oczy, wygiął się do tyłu, by odsunąć moment wzbierającej jak fala ekstazy. Czuł krew na wargach. Nie wiedział swoją czy jej.

W minutę później, gdy nadal byli złączeni, Kassad stwierdził, że Moneta uwolniła jego ramiona. Bez wahania opuścił ręce i brutalnie przyciągnął ją do siebie. Jedną ręką przesunął wyżej, na jej potylicę.

Wiatr znów zaczął wiać, nawiewał piasek ze szczytu diuny. Kassad i Moneta ześlizgnęli się niżej, na ławicę piasku. Byli nieświadomi nocy, burzy, niedawnej potyczki. Zapomnieli o całym świecie.

Później, gdy razem szli przez sponiewieraną wspaniałość Kryształowego Monolitu, dotknęła go złotym berłem i niebieskim torusem. W kawale kryształu zobaczył, jak jego odbicie zamienia się w rtęciowy obrys postaci doskonale oddający jego kształty.

- Co teraz? – zapytał Kassad. To nie były słowa ani telepatia.
- Władca Bólu czeka.
- Jesteś jego sługą?
- Za nic. Jestem jego małżonką i nemezis. Jego opiekunką.
- Przybyłaś z przyszłości wraz z nim?
- Nie. Zabrano mnie z mojego czasu, bym podróżowała z nim pod prąd wydarzeń.
- Więc kim byłaś przedtem...

Kassadowi przerwało nagłe pojawienie się... Nie, pomyślał, nagła obecność, a nie pojawienie się... Chyżwara.

Potwór był taki sam, jakiego zapamiętał z pierwszego spotkania sprzed laty. Kas-



sad odnotował tę samą rtęciową śliskość na chromowym torsie, tak przypominającą ich własne skafandry, ale intuicja podpowiadała mu, że pod powłoką rtęci nie ma żywego ciała. Postać miała trzy metry wzrostu, jej cztery ramiona wyglądały całkiem normalnie na eleganckim kadłubie. Ciało stwora pokrywała masa cierni, szpikulców, przegubów i warstw ostrego jak brzytwa drutu kolczastego. Oczy o tysiącu ścianek płonęły światłem przypominającym promień rubinowego lasera. Koszmaru dopełniała długa szczęka i rzędy zębów.

Kassad stał w gotowości. Jeśli kombinezon energetyczny nada mu taką samą siłę i mobilność, jak dał Monecie, to przynajmniej umrze w walce.

Nie było na to czasu. W jednej chwili Władca Bólu stał o pięć metrów od nich, a w następnej był przy Kassadzie i chwycił go za przedramię. Stalowymi imadłami, ostrymi jak brzytwa, zagłębił się w kombinezon i utoczył krwi z jego bicepsa.

Kassad stężał. Czekał na cios i był gotów go odparować, nawet gdyby miał się nadziać na ostrza, ciernie i drut kolczasty.

Chyżwar podniósł prawą rękę i pojawił się czterometrowy czworokąt portalu. Był podobny do portali transponderów, tyle tylko, że wypełniał wnętrze Monolitu fioletowym intensywnym światłem.

Moneta skinęła na Kassada i weszła w portal. Chyżwar postąpił naprzód. Ostrza jego palców tylko z lekka wpijały się w przedramię Kassada.

Pułkownik pomyślał, czy nie powinien szarpnąć się do tyłu, ale ciekawość zwyciężyła. Poszedł za Chyżwarem.



Meina Gladstone nie mogła zasnąć. Wstała, ubrała się szybko i przedsięwzięła to, co często zdarzało się jej robić, gdy sen nie przychodził – spacerowała po planetach.

Jej prywatny portal transmisyjny wyłonił się z nicości. Zostawiła w przedpokoju ochronę osobistą składającą się z ludzi i zabrała ze sobą tylko jeden ze zdalnych aparatów obronnych. Nie zabrałaby i tego, gdyby zezwalały na to prawa Hegemonii i przepisy TechnoCentrum. Nie zezwalały.

Było już dobrze po północy na TC2, ale wiedziała, że na wielu planetach jest pełnia dnia. Włożyła więc długą pelerynę z zapewniającym zachowanie prywatności kołnierzem z Renesansu. Buty i spodnie nie ujawniały ani płci, ani klasy, z której pochodziła. Tylko jakość peleryny mogła sugerować, kim jest osoba, która ją nosi.

CEO Gladstone przeszła przez tymczasowy portal. Raczej wyczuwała, niż widziała i słyszała zdalnego obrońcę, jak leciał z buczeniem za nią i nabierał wysokości, gdy wyszła na plac Świętego Piotra w Nowym Watykanie na Pacem. Przez moment zastanawiała się, dlaczego zakodowała w implancie to właśnie miejsce przeznaczenia – może to wspomnienie starego monsignora na przyjęciu w Bożej Kniei? – ale potem uświadomiła sobie, że gdy leżała przebudzona, myślała o pielgrzymach, o tych siedmiorgu, którzy trzy lata temu wyruszyli w podróż, by spotkać się ze swoim losem na Hyperionie. Planeta Pacem była domem ojca Lenara Hoyta... i tego drugiego księdza, Dure.

Meina Gladstone wrzuciła ramionami i przeszła przez plac. Odwiedzanie świątów, z których pochodzili pielgrzymi, było równie dobrym planem spaceru jak każdy inny; większość bezsennych nocy spędzała na zwiedzaniu kilkunastu planet, powracała tuż przed świtem na pierwsze zebranie na Tau Ceti. Teraz będzie to siedem planet.

Na Pacem pora była wczesna. Żółte niebo planety znaczyły zielonkawę chmury o zapachu amoniaku, który atakował jej zatoki i sprawiał, że oczy łzawiły. Powietrze miało woń charakterystyczną dla planety, która nie była ani całkowicie ziemiopodobna, ani nieprzyjazna dla człowieka. Meina Gladstone zatrzymała się, żeby się rozejrzeć.

Święty Piotr stał na szczycie wzgórza, plac otoczony półkolem kolumn, zwieńczony wielką bazyliką. Z jednej strony kolumnada otwierała się na schody opadające jakiś kilometr w dół, na południe. Było tam widać miasteczko z małymi, prymitywnymi domkami skupionymi między białymi jak kość drzewami, przypominającymi szkielety dawno wymarłych zwierząt.

Widać było tylko niewielu ludzi, przecinali w pośpiechu plac albo schodzili ze schodów, jakby spóźnili się na mszę. Gdzieś pod kopułą katedry zaczęły bić dzwony, ale w rzadkim powietrzu ich dźwięk pozbawiony był mocy.

Meina Gladstone przechadzała się wzdłuż półkolistej kolumnady, ignorując zdziwione spojrzenia kleryków i zamiataczy ulic poganiających zwierzę przypominające półtonowego jeża. W Sieci było kilka tuzinów takich marginalnych planet jak Pacem. Więcej znajdowało się w Protektoracie i poza jego granicami. Były za biedne, żeby przyciągnąć ruchliwych obywateli Hegemonii, i zbyt podobne do Ziemi, żeby przeoczono je w ponurych dniach hegiry. Pasowały w sam raz dla takich małych grup, jak katolicy, którzy na tę planetę przybyli, aby szukać odnowienia swojej wiary. W owych czasach mówiono, że są ich miliony. Dziś nie mogło być więcej niż kilkadziesiąt tysięcy. Zamknęła oczy i przywołała z dossier hologram ojca Paula Dure.

Meina Gladstone kochała Sieć; kochała wszystkich jej mieszkańców; mimo całej ich płytkości intelektualnej, samolubstwa i odporności na zmiany – byli solą ludzkości. Gladstone kochała Sieć. Kochała ją na tyle, żeby wiedzieć, że musi dopomóc w jej zniszczeniu.

Wróciła do małego, trójportalowego terminalu, wywołała własny nexus transmisyjny za pomocą zwykłego polecenia dla datasfery i przeszła przezeń do świata pełnego słońca i zapachu morza.



Maui – Przymierze. Wiedziała dokładnie, gdzie się znalazła. Stała na wzgórzu nad Pierwszą Osadą. Grób Siri znaczył tam miejsce, w którym ponad pół stulecia temu rozpoczęła się krótkotrwała rebelia. W tamtych czasach Pierwsza Osada była wioską zamieszkaną przez kilka tysięcy ludzi. Co rok, w Świątecznym Tygodniu, flectięci zwabiali wyspy motyle ptynące na zachód, na swoje pastwiska w Archipelagu Równikowym. Teraz Pierwsza Osada rozciągała się wokół całej wyspy, mosty i ule mieszkalne górowały nad wzgórzem, które niegdyś oferowało najlepszy widok na wodny świat Maui – Przymierza.

Ale grób pozostał. Nie było w nim ciała babki konsula... tak naprawdę nigdy jej tu nie pochowano... ale jak wiele symboli na tej planecie, pusta krypta wzbudzała szacunek, nieomal zbożny lęk.

Meina Gladstone patrzyła między wieżami mieszkalnymi, na wody przybrzeżne, które niegdyś miały barwę błękitną, a teraz, pełne platform wiertniczych i barek z turystami, przybrały brunatny odcień. Nie było już wysp motyli. Już nie płynęły wielkimi stadami przez oceany, pod wydętymi wiatrem żaglami z drzew, otoczone przez baraszkujące delfiny.

Wyspy zostały oswojone i zaludnione przez obywateli Sieci. Delfiny wyginęły. Część została zabita w wielkich bitwach z Armią, ale większość popełniła niewytłumaczalne masowe samobójstwo w Morzu Południowym. Była to ostatnia tajemnica rasy pełnej tajemnic. Meina Gladstone usiadła na niskiej ławie przy skraju urwiska, urwała łądogę trawy i zaczęła ją żuć. Co stało się z tym światem? Najpierw był domem dla stu tysięcy ludzi żyjących w ostrożnej równowadze ze środowiskiem naturalnym, a potem stał się dostępny dla czterystu milionów – tylu bowiem obywateli liczyła wówczas Hegemonia.

Odpowiedź: ten świat umarł. A przynajmniej umarła jego dusza, mimo że ekosfera jako tako funkcjonowała. Ekolodzy planetarni i specjaliści od terraformacji podtrzymali zręby systemu, uchronili morza od kompletnego zadławienia się nieuniknionymi w takich warunkach śmieciami, nieczystościami kanalizacyjnymi i ropą, zminimalizowali albo zamaskowali hałas i tysiące innych plag, które przyszły wraz z postępem. Ale Maui – Przymierze, takie jakie znał konsul jako dziecko, niecałe sto lat temu – gdy wspinał się na to wzgórze w orszaku pogrzebowym babki – odeszło na zawsze. Nad głową CEO przeleciały jastrzębie. Turyści zaczęli krzyżeć i śmiać się na ich widok. Jeszcze wyżej pojawił się wielki, wycieczkowy EMV, przysłonił na chwilę słońce. Meina Gladstone odrzuciła źdźbło trawy i oparła łokcie na kolanach. Myślała o zdradzie konsula. Liczyła na nią. Liczyła na to, że ten człowiek, wychowany na Maui-Przymierzu, potomek Siri, przejdzie na stronę Intruzów w nieuniknionej bitwie o Hyperiona. To nie był tylko jej plan. Leigh Hunt od dziesięcioleci pomagał w skonstruowaniu precyzyjnej operacji umieszczenia starannie dobranej osoby w miejscu, które dawało kontakt z Intruzami, w miejscu, z którego ona mogłaby zdradzić obie strony i uruchomić urządzenie Intruzów wyzwajające prądy czasu na Hyperionie.

I tak się stało. Konsul, człowiek, który poświęcił czterdzieści lat swego życia – i życia swej rodziny – służbie dla Hegemonii, w końcu eksplodował zemstą jak bomba z opóźnionym o pół stulecia zapłonem.

Meinie Gladstone nie podobał się akt zdrady. Konsul zaprzedał duszę i zapłacił za to straszną cenę – w historii, we własnym sumieniu – ale ta zdrada była niczym w porównaniu ze zdradą, którą ona knuła. Jako CEO Hegemonii stała się symbolicznym przywódcą stu pięćdziesięciu miliardów dusz ludzkich. Ale chciała je zdradzić, by zbawić ludzkość.

Wstała. W starych kościach dokuczał jej reumatyzm. Powoli podeszła do terminalu. Staneła na chwilę przed łagodnie szumiącym portalem, przez ramię rzuciła ostatnie spojrzenie na Maui – Przymierze. Od morza zerwała się bryza. Niosła smród gazów z rafinerii. Meina Gladstone odwróciła twarz.

Ciążenie Lususa spadło na jej ramiona jak żelazne kajdany. Na Trakcie panowała godzina szczytu. Tysiące przechodniów, kupujących i turystów tłoczyło się na wszyst-



kich poziomach chodników, wypełniało barwnym tłumem kilometrowej długości ruchome schody, napełniało przestrzeń swoimi oddechami mieszającymi się z zapachem oleju i ozonu z regeneratorów powietrza. Meina Gladstone przeszła obok drogich wystaw i zabrała się transporterem do odległej o dziesięć mil świątyni Chyżwara.

Zapory policyjne i pola ochronne żarzyły się fioletowo u podnóża szerokich schodów. Świątynia była zabita deskami i ciemna; wiele wysokich, wąskich okien wychodzących na Trakcie miało powybijane szyby. Przypomniła sobie raporty sprzed paru miesięcy biskup i akolici uciekli.

Podeszła do pola ochronnego i patrzyła przez drgające, fioletowe powietrze na schody, po których Brawne Lamia niosła swojego umierającego klienta i kochanka, oryginalnego cybryda Keatsa, ku oczekującym ich kapłanom Chyżwara. Meina Gladstone dobrze знаła ojca Brawne; w młodych latach razem zasiadali w senacie. Senator Byron Lamia był uzdolnionym człowiekiem. Kiedyś, zanim matka Brawne pojawiła się na scenie towarzyskiej, zanim opuściła swój prowincjonalny Freeholm, Meina Gladstone chciała wyjść za Byrona za mąż. Kiedy umarł, wraz z nim umarła młodość Meiny. Byron Lamia miał obsesję na tle TechnoCentrum, spalała go myśl o misji wyrwania ludzkości z jarzma, które SI nałożyły na nią ponad pół tysiąclecia temu. To właśnie ojciec Brawne Lamii uświadomił Meinie Gladstone niebezpieczeństwo, doprowadził ją do miejsca, w którym gotowa była na popełnienie najstraszniejszej zdrady w historii ludzkości.

I to właśnie „samobójstwo” senatora Byrona Lamii sprawiło, że od dziesięcioleci ćwiczyła się w sztuce ostrożności. Nie wiedziała, czy śmierć senatora przygotowali agenci Centrum, czy też niektórzy hierarchowie Hegemonii, strzegący swoich zawołanych interesów. Ale wiedziała, że senator nigdy nie odebrałby sobie życia, nie zostawiłby bezbronnej żony i upartej córeczki w taki sposób. Ostatnim aktem politycznym senatora było wniesienie propozycji uchwały o nadaniu Hyperionowi statusu planety Protektoratu. Posunięcie to włączyłoby planetę do Sieci na dwadzieścia lat przed wybuchem obecnej wojny. Po jego śmierci współautor – nowy człowiek w senacie, Meina Gladstone – wycofał projekt.

Znalazła szyb komunikacyjny. Spadając, mijała poziomy handlowe i mieszkalne, wytwórcze i usługowe, poziomy przetwarzania śmieci i reaktorów. Zarówno jej komlog, jak i głośnik szybu zaczęły słać ostrzeżenia, że wkracza w strefę nieewidencjonowanych i niebezpiecznych poziomów głęboko pod Kopcem. Program szybu usiłował zahamować spadek. Wydała polecenie i uciszyła alarmy. Spadała nadal, mijała poziomy bez chodników i świateł, mijała poplątane spaghetti włókien optycznych, rur klimatyzacyjnych i nagiej skały. Wreszcie zatrzymała się.

Wyszła na poziomie oświetlonym jedynie odległą żarkulą i farbą fluorescencyjną na ścianach. Z tysięcy rys na suficie i ścianach kapąca woda. Zbierała się w toksyczne kałuże. Ze szczelin w ścianie dobywała się para. Z oddali dochodził ultrasoniczny dźwięk metalu przerywanego przez metal. Bliżej słychać było elektroniczny jazgot muzyki nihil. Gdzieś wrzeszczał jakiś mężczyzna, dało się słyszeć kobiecy śmiech, odbijający się metalicznym echem w szybach i korytarzach. Dołączyły się do tego kaszlnięcia pistoletu igłowego.

Kopiec Drega. Doszła do skrzyżowania korytarzy – jaskiń i zatrzymała się, żeby się rozejrzeć. Zdalny obrońca zanurkował i krążył teraz bliżej niej. Był natrętny jak zdenerwowany owad. Wzywał posiłki. Tylko uporczywie wysyłane przez nią rozkazy sprawiły, że nie było słychać sygnału alarmowego.

Kopiec Drega. To tutaj ukrywała się Brawne Lamia i jej kochanek – cybryd przez ostatnie kilka godzin, zanim spróbowali dotrzeć do świątyni Chyżwara. To jedno z tysięcznych podbrzuszy Sieci, gdzie na czarnym rynku można było kupić wszystko, od sztucznych wspomnień po broń używaną przez Armię, od zdelegalizowanych androidów po nie rejestrowaną kurację Poulsena, która równie dobrze mogła zabić, jak ująć pacjentowi dwadzieścia lat. Meina Gladstone skręciła w prawo, w najciemniejszy korytarz.

Coś o rozmiarach szczura, ale z wieloma parami nóg, śmignęło z rozerwanej rury



wentylatora. Meina Gladstone czuła odór śmieci, potu, ozonu z przeładowanych pokładów datasferycznych, słodki zapach substancji używanej w pistoletach, wymiociny i smród nisko przetworzonych feromonów zmutowanych w toksyny. Szła korytarzami myśląc o tygodniach i miesiącach, które mają nadejść, o strasznej cenie, jaką zapłaca planety za jej decyzję, za jej obsesję.

Pięciu młodzieńców, przetworzonych przez domorośłego ARNistę do stopnia, w którym bardziej przypominali zwierzęta niż istoty ludzkie, zagroziło jej drogę. Meina Gladstone zatrzymała się.

Obrońca rzucił się przed nią i zneutralizował polimery kamuflujące. Spotworniali młodzieńcy zaśmiali się głośno. Widzieli tylko maszynę wielkości szerszenia, która podskakiwała i kołysała się w powietrzu przed nimi. Całkiem prawdopodobne, że ich RNA zostało przystrzyżone tak dalece, iż nie potrafili rozpoznać, co to za urządzenie. Dwóch otworzyło wibrostrza, jeden wysunął długie na dziesięć centymetrów stalowe szpony. A jeszcze jeden wyciągnął pistolet igłowy z obrotowymi lufami.

Nie chciała walki. Wiedziała to, o czym ci kanałowi tępaczy nie mieli pojęcia, że zdalny obrońca potrafi uchronić ją przed agresją ze strony tej piątki i jeszcze stu innych. Ale nie chciała nikogo zabijać tylko dlatego, że wybrała Kopiec Drega na miejsce przechadzki.

– Odejdźcie – powiedziała.

Młodzieńcy gapili się na nią. Mieli żółte; wyłupiaste oczy pokryte kapturzastymi powiekami i fotoczułe przepaski brzuszne. Jak na komendę rozproszyli się w półkole i postąpili o krok w jej kierunku.

Meina Gladstone wyprostowała się, zebrała pelerynę wokół siebie i ściągnęła kołnierz na tyle, żeby widzieli jej oczy.

– Odejdźcie – powiedziała ponownie.

Młodzieńcy zatrzymali się. Ich pióra i łuski wibrowały jak na wietrze. Na dwóch drżały czułki i tysiące włosków sensorycznych. Odeszli równie cicho i szybko, jak się pojawili. Znów było słychać kapanie wody i odległy śmiech. Pokręciła głową, wywołała portal osobisty i weszła weń.

Sol Weintraub i jego córka pochodzili z planety Barnarda. Meina Gladstone transmi-towała się do małego terminalu w ich mieście rodzinnym Crawford. Był wieczór. Niskie białe domki stały na wypielęgnowanych trawnikach. Ich uroda odzwierciedlała wrażliwość obywateli odrodzonej Republiki Kanady oraz ich rolniczy zmysł praktyczny. Drzewa były wysokie, o grubych konarach, zaskakująco wiernie podobne do ich ziemskich przodków. Meina Gladstone chciała uniknąć tłumu przechodniów spieszących do domu po pracy. Tutejsi mieszkańcy znajdowali najczęściej zatrudnienie winnych miejscach Sieci. Poszła jedną z wykładanych cegłą alejek, wzdłuż ceglanych domów stojących na owalnych trawnikach. Po lewej stronie, za rzędem domów, zobaczyła pola uprawne. Wysokie, zielone rośliny, najprawdopodobniej kukurydza, rosły w łagodnie kołyszących się rzędach rozciągających się aż po odległy horyzont, nad którym widniało półkole zachodzącego czerwonego słońca.

Wędrowała przez campus, zastanawiając się, czy to jest ten koledż, w którym nauczał Sol. Ale nie interesowało ją to na tyle, żeby poszukać w datasferze. Pod pokrywą liści zapalały się lampy gazowe. W przerwach między listowiem zaczęły się pojawiać pierwsze gwiazdy. Kolor nieba przeszedł z lazurowego poprzez bursztynowy w czarny jak heban.

Czytała kiedyś książkę Weintrauba „Dylemat Abrahama”, w której analizował relacje między Bogiem domagającym się ofiary z syna a rodzajem ludzkim, który na to przystał. Weintraub argumentował, że starotestamentowy Jahwe nie tylko wypróbował Abrahama, ale też przekazywał w jedynym zrozumiałym wówczas ludziom języku symboli, co to znaczy lojalność, posłuszeństwo, ofiara i przykazanie. Weintraub widział przekaz Nowego Testamentu jako zapowiedź nowych stosunków, kiedy to ludzkość nie



będzie już poświęcać dzieci dla jakiegokolwiek boga, z jakiegokolwiek powodu, ale to właśnie rodzice... całe pokolenia rodziców... ofiarują się za dzieci, jak było na przykład w strasznym dwudziestym wieku na Starej Ziemi. Wreszcie, Weintraub zajął się problemem więzi z Bogiem polegającej na obustronnym szacunku i próbie zrozumienia. Pisał o wielokrotnej śmierci Boga i potrzebie boskiego zmartwychwstania dziś, gdy ludzkość zbudowała własnych bogów i wpuściła ich do wszechświata.

Meina Gladstone minęła ładny kamienny mostek łączący brzegi skrytego w cieniu strumienia, którego istnienia można się było domyślić jedynie po szmerze wody w ciemnościach. Łagodne żółte światło padało na ręcznie rzeźbione balustrady z kamienia. Gdzieś za campusem czekał pies, ktoś go uciszał. Na trzecim piętrze starego budynku płonęły światła. Dom był tak stary, jakby pochodził z czasów przed hegirą.

Myślała o Solu Weintraubie, jego żonie Sarai oraz ich pięknej dwudziestosześcioletniej córce, powracającej z rocznej wyprawy archeologicznej na Hyperiona bez znaczących osiągnięć, ale z chorobą Merlina. Myślała o Solu i Sarai patrzących, jak z młodej kobiety stopniowo robi się dziecko, z dziecka niemowlę. A kiedy żona Sola zginęła w bezsensownym wypadku EMV, podczas gdy jechała odwiedzić siostrę, Sol został sam.

Za mniej niż trzy standardowe dni nadejście chwila narodzin i śmierci Racheli Weintraub. Meina Gladstone uderzyła pięścią o kamień, wywołała portal i przeniosła się gdzie indziej.

Na Marsa dotarła w południe. Slumsy Tharsis wydawały się takie same od ponad sześciuset lat. Niebo było różowe, zbyt rzadkie powietrze przejmowało ją chłodem, mimo że nosiła pelerynę. Zewsząd nawiewało pył. Szła wąskimi alejkami i stopniami wyciętymi w urwisku Miasta Relokacji. Całą przestrzeń zabudowano gromadami obskurnych domów i wież filtracyjnych.

Mało tu było roślin – wielkie lasy Greening zostały wycięte na opał albo umarły i pokryły je czerwone diuny. Między twardymi jak głaz, ubitymi przez pokolenia bosych stóp ścieżkami dostrzegła tylko trochę kaktusów winnych i pasożytnicze porosty pajęczne.

Usiadła na niskiej skałce. Pochyliła głowę i masowała sobie kolana. Otoczyła ją grupa półnagich, obdartych dzieci. Żebrały o pieniądze i odbiegły z chichotem, kiedy nie zareagowała.

Słońce stało wysoko. Stąd nie było widać Mons Olympus i pięknego budynku akademii Armii, którą ukończył Fedmahn Kassad. A więc stąd pochodził ten dumny człowiek. To tutaj rozbijał się z gangami młodocianych, zanim skazano go na porządek, czystość i honor wojskowy.

Meina Gladstone znalazła ustronne miejsce i przeszła przez portal.

Boża Knieja była taka jak zawsze. Wypełniona zapachem miliarda drzew, panowała tu cisza zakłócana tylko szumem liści i wiatru w gałęziach. Planeta tonęła w pastelowych kolorach. Wschód słońca pozłacał ocean wierzchołków drzew.

Do Meiny Gladstone zbliżył się templariusz, odszedł, gdy zobaczył na jej ręku bransoletę z pozwoleniem wstępu. Jego wysoka postać zniknęła w labiryncie liści i winorośli.

Templariusze stanowili najtrudniejszą do opanowania zmienną w jej grze. Poświęcenie ich drzewostatku „Yggdrasil” było czymś bezprecedensowym, niewytłumaczalnym i kłopotliwym. Ze wszystkich potencjalnych sojuszników w wojnie, która miała nadejść, żaden nie był bardziej niezastąpiony niż templariusze. Ta oddana życiu i poświęcona Muirowi – Bractwu Drzewa – planetka stanowiła jedną z wielkich sił Sieci. Była symbolem ekologicznej świadomości w społeczeństwie pędzącym w samozagładę i tonącym w polucji, ale nie mającym ochoty zmienić swojego postępowania.

Gdzie podział się Het Masteen? Dlaczego zostawił pielgrzymom sześcian Móbiosa? – zastanawiała się.

Obserwowała wznoszące się słońce i liczne montgolfiery. Wielobarwne ciała tych zwierząt – ostatnich, które przeżyły rzeź Wiru szybowały ku niebu jak portugalskie



galeony. Babie lato rozpościerało cienkie jak membrana skrzydła solarne, by zbierać światło słońca. Spod listowia wyleciało stado kruków, ich krakanie stanowiło zgrzytliwy kontrpunkt dla łagodnego poszumu wiatru i bębnienia deszczu zbliżającego się od zachodu. Natrętne dudnienie kropel o liście przypominało jej własny dom w deltach Patawpha. Gdy nadchodził Monsun Stu Dni, wraz z braćmi wybierała się na moczary, by zapolować na latające ropuchy i hiszpańskie węże wodne, które przynosiło się do szkoły w dzbankach.

Po raz setny z rzędu uświadomiła sobie, że nadszedł czas, aby wszystko zatrzymać. Wojna totalna jeszcze nie była nieunikniona. Intruzi jeszcze nie przeprowadzili kontrataku, którego Hegemonia nie mogłaby zignorować. Chyżwar jeszcze nie został oswobodzony. Jeszcze nie.

Żeby uratować sto miliardów ludzi, wystarczyło wrócić do Senatu, ujawnić dziesięciolecia kłowań i oszustw, ujawnić własne lęki i obawy...

Nie. To się odbędzie według planu, pomyślała, aż wszystko wymknie się z rąk i stanie się nieprzewidywalne. Aż wypłynie na skłębione wody chaosu, gdzie nawet analitycy TechnoCentrum, którzy widzą wszystko, oślepną.

Spacerowała po platformach, wieżach, rampach i mostach linowych nadrzewnego miasta templariuszy. Naczelne, zwiezione z kilkunastu planet, i ARNowane szympansy zwymyślały ją i uciekły. Huśtały się zgrabnie na cienkich lianach trzysta metrów nad ziemią. Poczula zapach kadzidła, dochodzący z terenów zamkniętych dla turystów i uprzywilejowanych gości. Dobiegł, ją chorał w gregoriańskim stylu. Templariusze odprawiali poranne nabożeństwo. Pod jej stopami niższe poziomy budziły się do życia. Zapalano światła, zaczynał się ruch. Trzy razy, w krótkich odstępach czasu, padał deszcz. Meina Gladstone wróciła na wyższe poziomy, rozkoszowała się widokami. Przeszła przez sześćdziesięciometrowy drewniany most wiszący, łączący jej drzewo z innym, większym, gdzie wisiało kilka wielkich balonów wypełnionych gorącym powietrzem. Wyrwały się z uwięzi, jakby z niecierpliwością czekały na moment, kiedy będą mogły polecieć. Balony to jedyne dozwolone przez templariuszy środki transportu powietrznego w Bożej Kniei. Gondole pasażerskie zwiślały jak ciężkie brązowe jaja. Na powłokach balonów wymalowano zwierzęta – montgolfiery, motyle monarchy, jastrzębie, solarne babie lato, wymarłe już zeppelin, powietrzne kałamarnice, ćmy księżycowe, orły – ptaki tak uświęcone legendą, że nigdy nie próbowano ich odbudować genetycznie technikami ARN.

To wszystko może ulec zagładzie, jeśli się nie wycofam, pomyślała. Musi ulec zagładzie.

Zatrzymała się przy skraju okrągłej platformy i schwyciła za poręcz tak mocno, że starcze plamki na jej rękach zaczęły ostro odcinać się od pobielełej nagle skóry. Myślała o starych książkach, które przeczytała. O książkach z czasów przedhegirowych, z czasów gdy jeszcze nie było lotów w kosmos, kiedy ludzie z embrionalnych narodów żyjących na kontynencie zwanym Europą przewozili innych ludzi o ciemniejszej skórze – Afrykanów – z ich rodzinnych ziem na Zachód, gdzie kazali im żyć w niewoli. Czy ci niewolnicy, skuci łańcuchami, nadzy, skuleni we wnętrzościach statku... czy ci niewolnicy zawahaliby się przed wzniesieniem buntu i wyrzuceniem za burtę handlarzy tylko dlatego, że mogłoby to oznaczać zniszczenie pięknego statku... albo i samej Europy?

Ale oni mieli dokąd wrócić, mieli Afrykę.

Meina Gladstone westchnęła z jękiem. Odwróciła się od wspaniałego wschodu słońca, od pieśni witających nowy dzień, od wzlatujących balonów – żywych i sztucznych – i zeszła na dół, by w cieniu wywołać swój portal.

Nie mogła się wybrać tam, skąd pochodził ostatni z pielgrzymów, Maron Silenus. Silenus miał tylko sto pięćdziesiąt lat. Był prawie błękitny od kuracji Poulsena. Komórki jego ciała przeżyły hibernację. Ale naprawdę jego życie rozciągało się na przestrzeni ponad czterystu lat. Urodził się na Starej Ziemi w jej ostatnich dniach. Jego matka po-



chodziła z jednej z najbardziej arystokratycznych rodzin. Za młodu wiódł życie elegancie i dekadencie, słodko pachnące rozkładem. Matka została na umierającej Ziemi, a jego wysłano w kosmos, żeby spłacił rodzinne długi, nawet jeśli miałyby to znaczyć – i znaczyło lata służby w charakterze pańszczyźnianego wyrobnika na jakiejś piekielnej zabitej dechami planetce, najgorszej dziurze Sieci.

Meina Gladstone nie mogła wybrać się na Starą Ziemię, więc przeniosła się na Bramę Niebios. Szła wykładanymi kocimi łbami ulicami stolicy nazywającej się Mudflat, podziwiała wielkie stare domy zwisające nad wąskimi kamiennymi kanałami, przecinającymi ulice wspinające się po stoku sztucznie usypanej góry. Widok był jak ze starego sztychu. Piękne drzewa i większe od nich drzewiaste paprocie rosły na szczytach wzgórz, okalających wysypaną białym piaskiem plażę. Nadchodził powolny przypływ. Fioletowe fale połyskiwały tęczowo, zanim załamały się na doskonałej linii brzegu.

Meina Gladstone zatrzymała się pyry parku wychodzącym na główną promenadę Mudflat. Kilkanaście par i dostatnio ubrani turyści zażywali wieczornej przechadzki w cieniu liści i świetle lamp gazowych. Wyobraziła sobie Bramę Niebios tak, jak wyglądała ponad trzysta lat temu, gdy była jednym z prymitywnych światów Protektoratów, na którym nie przeprowadzono jeszcze do końca robót terraformicznych, a młody Martin Silenus, nadal cierpiący z powodu dyslokacji kulturowej, utraty fortuny i zmian w mózgu wywołanych szokiem zamrażalnika, w którym przebywał podczas długiej podróży kosmicznej, pracował tutaj jako niewolnik.

Stacja generująca atmosferę produkowała wtedy powietrze zdatne do oddychania dla obszaru kilkuset kilometrów kwadratowych. Tsunami zmiatały z powierzchni ziemi miasta, wydzierane morzu tereny i robotników. Pańszczyźniani wyrobnicy, tacy jak Silenus, kopali kanały drenujące kwaśną ziemię, zeszkrobywali bakteryjny nalot z labiryntu rur pod powierzchnią błot i zbierali szczątki i zwłoki z bagiennych nizin po kolejnych powodziach.

Uczyniliśmy jakiś postęp, pomyślała, i to mimo inercji wymuszonej na nas przez Centrum. Mimo zastoju w nauce. Mimo fatalnego przywiązania do zabawek, które dają nam inteligencję sztucznie wytworzone przez nas samych.

Nie była zadowolona. Chciała odwiedzić rodzinne planety wszystkich pielgrzymów, choć wiedziała, że jest to gest bez znaczenia. Martin Silenus na Bramie Niebios nauczył się pisania prawdziwej poezji, mimo że jego uszkodzony mózg nie rozumiał języka. Ale to nie był jego dom.

Zignorowała miłą dla ucha muzykę dobiegającą z muszli koncertowej na Promenadzie, stada EMV przelatujące nad głową, a także pachnące powietrze i łagodne światło. Wywołała portal i kazała się przetransmitować na ziemski Księżyc. Na ten właśnie Księżyc.

Komlog przestrzegł ją przed niebezpieczeństwami, jakie niosła ze sobą ta podróż. Skasowała zapis.

Pojawił się z buczeniem zdalny obrońca. Cienki głosik w jej implancie klarował, że to nie jest najlepszy pomysł, żeby CEO wybierała się w tak niepewne miejsce. Uciszyła go.

Portal też zaczął ją nakłaniać, żeby zaniechała podróży. Nastawiła go ręcznie.

Drzwi portalu pojawiły się przed nią i Meina Gladstone weszła w nie.

Jedynym miejscem na Księżycu nadającym się do zamieszkania był teren góry i morza zarezerwowany dla Armii na jej uroczystość Masady. Tam właśnie wyszła Meina Gladstone. Trybuna i pole defilad były puste. Pole zabezpieczające dziesiątej klasy zamazywało blask gwiazd i widok odległego urwiska, ale ona i tak widziała miejsca, w których wewnętrzny żar wywołany potwornymi siłami grawitacji stopił górę i zamienił ją w morze skały.

Szła przez morze szarego piasku. Lekkie ciążenie było jakby zaproszeniem do fruwania. Wyobrażała sobie, że jest jednym z balonów templariuszy, przywiązanym, ale



niecierpliwie czekającym na start. Powstrzymała chętkę, żeby przeskoczyć ogromne głazy, lecz krok miała lekki. Kurz zastygał za nią w nieprawdopodobne wzory.

Rozrzedzone powietrze pod kopułą pola siłowego sprawiało, że drżała, mimo iż jej peleryna zawierała elementy grzewcze. Przez dłuższą chwilę stała pośrodku równiny i starała się wyobrazić sobie stary Księżyc – pierwszy krok człowieka po jego wyjściu z ziemskiej kolebki. Ale rozpraszały ją trybuny i baraki z wyposażeniem Armii. Nie była sobie w stanie niczego wyobrazić. W końcu podniosła oczy, żeby zobaczyć to, po co tu przybyła.

Stara Ziemia wisiała na czarnym niebie. Rzecz jasna, nie była to planeta, ale pulsujący dysk i chmura w kształcie globu. Składały się na nią szczątki tego, co niegdyś stanowiło Starą Ziemię – bardzo jasne ciało kosmiczne. Jaśniejsze niż jakakolwiek gwiazda, którą można zobaczyć z Patawpha przy najczystszych nawet nocnym niebie. Ale ta jasność miała w sobie coś potwornego; rzucała chorobliwie blade światło na szare księżycowe pole.

Meina Gladstone stała zapatrzona. Nigdy przedtem tu nie była. Postanowiła sobie, że nigdy tu nie wróci. A teraz, kiedy już tu się znalazła, desperacko pragnęła coś poczuć, usłyszeć, jakby jakiś głos niosący ostrzeżenie, inspirację, a chociażby współczucie mógł tu do niej dotrzeć.

Nic nie usłyszała.

Stała tak jeszcze przez parę minut. Niewiele myślała. Czuła, że marznie jej nos i uszy. Postanowiła wracać. Na TCZ już prawie świta.

Uruchomiła portal i właśnie po raz ostatni się rozglądała, gdy o niecałe dziesięć metrów od niej pojawiły się drugie drzwi portalu transmitera materii. Zamurowało ją. Nie więcej niż pięcioro ludzi w całej Sieci miało osobisty dostęp do księżyca Starej Ziemi.

Zdalny obrońca zleciał z góry, by ustawić się między nią a postacią wyłaniającą się z portalu.

Leigh Hunt rozejrzał się, zatrząsł się z zimna i szybko podszedł do niej. W rozrzedzonym powietrzu jego głos brzmiał cienko, niemal zabawnie.

– M. CEO, musi pani natychmiast wracać. Intruzom udało się przebić. Dokonali zaskakującego kontrataku.

Meina Gladstone westchnęła. Wiedziała, że taki będzie następny krok.

– W porządku – powiedziała. – Czy Hyperion padł? Czy możemy ewakuować stamtąd nasze wojska?

Hunt potrząsnął głową. Wargi miał prawie niebieskie z zimna.

– Nie rozumie pani. Nie chodzi tylko o Hyperiona. Intruzi zaatakowali w kilkunastu miejscach naraz. Dokonują inwazji na samą Sieć!

Meinę Gladstone nagle przeniknął chłód do szpiku kości. Skinęła głową, otuliła się peleryną i weszła w portal, by wyłonić się po drugiej stronie świata, który już nigdy nie będzie takim, jakim był jeszcze do niedawna.



Zgromadzili się u wejścia do Doliny Grobowców Czasu. Brawne Lamia i Martin Silenus objuczeni byli taką ilością bagaży, jaką tylko zdołali udźwignąć. Sol Weintraub, konsul i ojciec Dure stali w milczeniu jak chór starców. Od wschodniej strony doliny zaczął podpełzać zmierzch. Cienie jak palce ciemności wyciągały się w stronę połyskujących lekko grobowców.

– Nadal nie jestem pewien, czy rozdzielanie się to dobry pomysł powiedział konsul pocierając podbródek. Było bardzo gorąco. Pot gromadził się na jego pokrytych zarostem policzkach i spływał na szyję. Lamia wzruszyła ramionami.

– Przecież każde z nas samotnie stawia czoło Chyżwarowi. Czy to ma znaczenie, że rozdzielimy się na kilka godzin? Potrzebujemy żywności. Wy też możecie iść, jeśli chcecie.

Konsul i Sol popatrzyli na ojca Dure. Książd był najwyraźniej zmęczony. Poszukiwanie Kassada wyczerpało całą energię, jaką ten człowiek jeszcze zachował po tylu przejściach.

– Ktoś powinien tu poczekać, na wypadek gdyby pułkownik wrócił – zaproponował Sol. Niemowlę w jego ramionach wydawało się bardzo małe.

Lamia skinęła głową na znak zgody. Założyła sobie ramię na plecy i szyję.

– W porządku. Dotarcie do baszty powinno nam zająć jakieś dwie godziny. Powrót będzie trochę dłuższy. Myślę, że godzinę spędzimy na ładowaniu zapasów. Wrócimy przed nocą. W sam raz na kolację.

Konsul i ojciec Dure uścisnęli rękę Silenusowi. Sol objął Brawne ramieniem

– Wracajcie szybko – wyszeptał.

Dotknęła policzka brodacza, położyła na moment rękę na główce niemowlęcia, odwróciła się i rażno pomaszerowała w górę doliny.

– Hej, do cholery, poczekaaj na mnie! – krzyknął Silenus. Manierki i flaszki na wodę brzęczały, gdy ją doganiał.

Na przełęcz między urwiskami dotarli razem. Silenus spojrzął za siebie. Trzej mężczyźni wyglądali z oddali jak małe figurki stojące między głazami i wydmami w pobliżu Sfinksa.

– Nie idzie tak, jak planowaliśmy, prawda? – zapytał.

– Nie wiem – odparła Lamia. Na drogę włożyła szorty. Jej silne nogi błyszcząły od potu. – A jaki był plan?

– Mój plan polegał na tym, żeby ukończyć największy poemat w dziejach wszechświata i wrócić do domu – odparł Silenus. Pociągnął łyk z ostatniej butelki z wodą. – Do diabła, żałuję, że nie wzięliśmy więcej wina.

– Ja nie miałam planu – stwierdziła Lamia, jakby mówiła do siebie. Jej krótkie loki, zmatowiałe od potu, lepiły się do szerokiej szyi.

Martin Silenus zaśmiał się szyderczo.

– Nie byłoby cię tutaj, gdyby nie ten cyborg, twój kochanek...

– Klient – warknęła.

– Wszystko jedno. To rekonstrukcja osoby Johna Keatsa uważała, że należy tutaj przybyć. Więc skoro przywlokłaś go taki kawał drogi... Nadal nosisz dysk Schróna, prawda?

Lamia bezmyślnie dotknęła małej kieszonki neuronowej za lewym uchem. Cienka membrana osmotycznego polimeru chroniła małe wydrążenie.

– Tak.

Silenus znów się roześmiał.

– Jaki to ma kurewski sens, skoro nie ma tu datasfery, żeby się z nią połączyć, dzieciaku? Z równym powodzeniem mogłaś zostawić osobę Keatsa na Lusucie albo gdziekolwiek indziej. – Poeta zatrzymał się na moment, żeby poprawić ramię i ba-



gaże. – Powiedz, czy możesz się z nim komunikować osobiście?

Lamia pomyślała o swoim śnie. Czuła w nim obecność Johnny'ego... ale wyobrażenia pochodziły z Sieci. Wspomnienia? – Nie – powiedziała. – Nie mogę skontaktować się osobiście z dyskiem Schróna. Ma w sobie więcej danych, niż sto zwykłych implantów byłoby w stanie przetworzyć. A teraz się zamknij i idź. – Przyśpieszyła kroku i zostawiła go samego.

Niebo było bezchmurne, zielone, podbiegnięte błękitem. Upstrzony głazami płaskowyż przechodził na wschodzie w nieużytki zasypywane powoli przez wydmy. Przez pół godziny szli w milczeniu, oddaleni od siebie o pięć metrów, każde zatopione we własnych myślach. Po ich prawej stronie wisiało małe, jaskrawe słońce Hyperiona.

– Wydmy są tu bardziej strome – powiedziała Lamia podchodząc na kolejny szczyt diuny i ześlizgując się na drugą stronę. Buty miała pełne piasku. Powierzchnia wydmy była gorąca.

Silenus przytaknął i wytarł twarz jedwabną chusteczką. Jego miękki purpurowy beret zwiślał mu nad brwią i lewym uchem, ale nie dawał cienia.

– Łatwiej byłoby pójść płaskowyżem na północy, bliżej Miasta Poetów.

Brawne Lamia przysłoniła ręką oczy, żeby popatrzeć w tamtym kierunku.

– Idąc tamtędy stracimy prawie pół godziny.

– Idąc tędy stracimy więcej. – Silenus usiadł na wydmie i sączył wodę z butelki. Zdjął pelerynę, złożył ją i wsadził do największego tobołka.

– Co tam niesiesz? – zapytała Lamia. – Czym wypchałeś toboł?

– Nie twój cholerny interes, kobieto.

Lamia potrząsnęła głową, potarła policzki. Poczuła, że ma oparzenia słoneczne. Nie była przyzwyczajona do tak długiego przebywania w słońcu, atmosfera Hyperiona zaś nie stanowiła zbytniej przeszkody dla promieniowania ultrafioletowego. Pogrzebała w kieszeni, wyjęła tubkę z kremem przeciw oparzeniom słonecznym i posmarowała się nim.

– W porządku. Pójdziemy tamtą drogą. Przejdziemy wzdłuż grzbietu skalnego, póki nie skończą się najgorsze wydmy, a potem ruszymy na przełaj do baszty.

Góry widniejące na horyzoncie wydawały się wcale nie przybliżać. Pokryte śniegiem wierzchołki dręczyły ją obietnicą chłodnego wiatru i świeżej wody. Doliny Grobowców Czasu nie było już widać, zastąpiły ją wydmy i pole głazów.

Lamia podniosła bagaże, skręciła na prawo i zeszła z wydmy.

Wyszli ze strefy piasków i stanęli na trawach skalnego grzbietu. Martin Silenus nie mógł oderwać oczu od ruin Miasta Poetów. Lamia okrążyła je z lewej strony. Szła na wprost pokrytą piaskiem autostradą okalającą ruiny. Inne drogi wiodły na nieużytki i znikwały pod wydmami.

Silenus odstawał od niej coraz bardziej. Wreszcie zatrzymał się i usiadł na zwalonej kolumnie. Kiedyś stanowiła ona część bramy, przez którą co wieczór po pracy wracali z pola androidy. Pola już dawno zniknęły. Miejsc, gdzie znajdowały się akwedukty, kanały i drogi, można się było tylko domyślać obserwując przewrócone kamienie, wgłębienia w piasku i wyszlifowane piaskiem pnie drzew, które niegdyś zwieszały się nad wodą albo rzucały cień na zaciszne alejki.

Martin Silenus wytarł beretem twarz. Patrzył na ruiny. Miasto nadal było białe... jak kości odkryte przez wędrujący piasek, jak zęby w zbrązowiałej od starości czaszce. Z miejsca, w którym siedział, mógł zobaczyć, że wiele budynków wygląda tak jak sto pięćdziesiąt lat temu, kiedy widział je po raz ostatni. Na wprost ukończony Amfiteatr Poetów nawet jako ruina zachwycał swym ogromem. Był jak rzymskie Koloseum porośnięte pustynnym pnączem i bluszczem. Wielkie atrium otwierało swoje wnętrza na światło słońca. Portyki leżały w ruinie. Tego nie dokonał czas, ale świdry, lance świetlne i ładunki wybuchowe bezużytecznej ochrony Smutnego Króla Billy'ego wiele dziesięcioleci po ewakuacji miasta. Próbowali zabić Chyżwara. Chcieli użyć elektroniki



i kąśliwych promieni skupionego światła, żeby zabić Grendela po jego krwawej uczcie w Hali Bohaterów.

Martin Silenus zachichotał i pochylił się. Gorąco i zmęczenie sprawiły, że nagle zakręciło mu się w głowie.

Widział kopułę Hali Wspólnoty, gdzie jadał posiłki. Z początku biesiadował w towarzystwie setek kamratów artystów, później, w ciszy i pustce, z tymi kilkoma, którzy pozostali z siebie tylko znanych powodów, gdy Bill ewakuował się do Keats. Jeszcze później został zupełnie sam. Naprawdę sam. Kiedyś, gdy upuścił kielich, echo spod kopuły dźwięczało przez pół minuty.

Rozległ się niespodziewany hałas. Kilka białych gołębic wyfrunęło z jakiejś niszy w stosie ruin, które były kiedyś pałacem Smutnego Króla Billy'ego. Silenus patrzył, jak krążyły pod rozpalonym niebem, dziwiąc się, że przetrwały setki lat na tym pustkowiu, gdzie diabeł mówi dobranoc.

Jeśli mnie się to udało, to dlaczego im miało się nie udać? – zapytał sam siebie.

W mieście można było znaleźć oazy cienia. Silenus zastanawiał się, czy studnie nadal działają, czy te wielkie podziemne zbiorniki, ukryte pod ziemią, zanim przybyły pierwsze statki z ziarnem, nadal są pełne słodkiej wody. Myślał, czy jego drewniane biurko, antyk ze Starej Ziemi, nadal stoi w pokoiku, w którym napisał większą część „Cantos”.

– Co się stało? – zapytała Lamia.

– Nic – zmrużył oczy i spojrzał na nią z dołu. Kobieta wyglądała jak niskie i rozłożyste drzewo; uda jak masa ciemnych twardych korzeni, spalona słońcem kora i mnóstwo zakrzepłej energii. Starał się wyobrazić sobie, jak wyglądałaby, gdyby się zmęczyła... Już to sprawiło, że sam się zmęczył. – Właśnie zdałem sobie sprawę – powiedział – że marnujemy czas idąc do baszty. W mieście są studnie. Prawdopodobnie są tu też zapasy żywności.

– Hm, hm – chrząknęła Lamia. – Rozmawialiśmy o tym z konsulem. Miasto Poetów było łupione przez kilka pokoleń. Pielgrzymi Chyżwara musieli opróżnić magazyny jakieś sześćdziesiąt, osiemdziesiąt lat temu. Studnie nie są pewne... akwedukt jest zniszczony, zbiorniki zanieczyszczone. Idziemy do baszty.

Silenus czuł, jak wzbiera w nim gniew na arogancję tej kobiety, na jej nieustanną pewność, że w każdej sytuacji ona właśnie sprawuje przywództwo.

– Pójdę się o tym przekonać – powiedział. – To może nam zaoszczędzić parę godzin marszu:

Lamia stanęła między nim a słońcem. Promienie rozpraszały się w jej czarnych lokach tworząc aureolę.

– Nie. Jeśli stracimy tutaj czas, nie zdążymy przed zapadnięciem zmroku.

– Idź więc – sapnął poeta, zdziwiony własnymi słowami. – Ja jestem zmęczony. Poza tym chcę przeszukać magazyn za Halą Wspólnoty. Znam miejsca, których pielgrzymi mogli nie znaleźć.

Widział, jak ciało kobiety stężało. Zastanawiała się, czy nie podnieść go siłą i nie pociągnąć za sobą na wydmy. Przeszli już nieco więcej niż jedną trzecią drogi do podnóża wzgórz, gdzie czekała ich długa wspinaczka po schodach prowadzących do baszty. Rozluźniła się.

– Martin – powiedziała. – Tamci liczą na nas. Proszę, nie schrzaj wszystkiego.

Roześmiał się i oparł o przewrócony słup.

– Chromolę. Jestem zmęczony. Wiesz przecież, że i tak poniesiesz dziewięćdziesiąt pięć procent całego bagażu. Jestem stary, kobieto. Starszy, niż możesz to sobie wyobrazić. Daj mi tu zostać i odpocząć. Może znajdę jakąś żywność. Może coś napiszę.

Lamia ukucnęła przy nim i dotknęła tłumoka.

– A więc to niosłeś – swój poemat, „Cantos”.

– Oczywiście – odparł.

– I nadal sądzisz, że bliskość Chyżwara pozwoli ci dokończyć dzieła?



Silenus wzruszył ramionami. Było mu gorąco, kręciło się w głowie.

– Chyżwar to pieprzony morderca, blaszany Grendel zmaistrowany w piekle. Ale jest moją muzą.

Lamia westchnęła, zmrużyła oczy i spojrzała w kierunku słońca. Stało nisko nad górami. Popatrzyła za siebie, tam skąd przyszli.

– Wracaj – odezwała się cicho. – Wracaj do doliny. – Wahala się przez moment. – Pójdę z tobą, a potem zawrócę.

Silenus uśmiechnął się spękanymi ustami.

– Dlaczego mam wracać? Żeby zagrać w kulki z trzema starszymi panami i czekać, aż przyjdzie bestia i nas zje? Nie, dziękuję. Raczej zostanę tutaj, odpocznę i popracuję. Idź, kobieto. Udźwigniesz więcej niż trzech poetów. – Wyplątał się z pustych sakw i butli, po czym podał je Lamii.

Dziewczyna ścisnęła ramię w twardej jak młotek dłoni.

– Jesteś pewien? Możemy iść powoli.

Wstał z trudem. Złość wywołana jej litością nappełniła go energią. – Chrzanię ciebie i twoje sprawy, Lusanko. Na wypadek gdybyś zapomniała, jaki był cel tej pielgrzymki, przypomnę ci. Przyjść tu i powiedzieć: „jak się masz” Chyżwarowi. Twój przyjaciel Hoyt pamiętał o tym. Kassad też znał reguły gry. Ten pieprzony Chyżwar obgryza teraz pewnie jego wojskowe gnaty. Nie byłbym zdziwiony, gdyby się okazało, że tych trzech, których zostawiliśmy, już nie potrzebuje żywności ani wody. Idź. Idź stąd do diabła. Męczy mnie twoje towarzystwo.

Brawne Lamia przez moment jeszcze kuciała, patrzyła na niego z dołu, kiedy tak stał i machał nad nią rękami. Potem podniosła się, położyła mu na ułamek sekundy rękę na ramieniu, podniosła sakwy i butelki i odeszła tak szybko, że nawet w swojej młodości Silenus nie byłby w stanie dotrzymać jej kroku.

– Za kilka godzin będę tędy wracać – krzyknęła nie odwracając się za siebie. – Czekać na skraju miasta. Razem wrócimy do grobowców.

Martin Silenus nic nie odpowiedział. Patrzył na jej oddalającą się stopniowo postać, aż całkiem wtopiła się w jałowy krajobraz rozciągający się na południowy zachód od miasta. Góry drgały w gorącym powietrzu. Opuścił wzrok i zobaczył, że zostawiła mu butlę z wodą. Splunął, podniósł butlę i wszedł w cień umarłego miasta.



Kiedy jedli kolację składającą się z dwóch ostatnich racji żywnościowych, ojciec Dure o mało nie zemdłał. Sol i konsul przenieśli go w cień szerokiego przedsionka Sfinksa. Twarz księdza była równie biała jak jego włosy.

Usiłował się uśmiechnąć, kiedy Sol przybliżył do jego ust butelkę z wodą.

– Dość łatwo przyjęliście fakt mojego zmartwychwstania – powiedział, wycierając palcem kąciki warg.

Konsul oparł się o kamienną ścianę Sfinksa.

– Widziałem krzyżokształty na ciele Hoyta. Takie same jakie te raz masz ty.

– I uwierzyłem w jego historię... twoją historię – dodał Sol. Podał wodę konsulowi. Dure dotknął czoła.

– Wysłuchałem dyskiety komlogu. są... nieprawdopodobne. Te historie, włączając moją, są... nieprawdopodobne.

– Czy wątpisz w prawdziwość którejś z nich? – zapytał konsul.

– Nie. Ale zrozumienie ich nie jest łatwe. Trzeba znaleźć jakiś wspólny element, jakieś powiązanie.

Sol przytulił Rachelę do piersi i lekko kołysał niemowlę.

– Czy musi być jakieś powiązanie? Inne niż Chyżwar?

– O tak – odparł ojciec Dure. Jego policzki zaróżowiły się lekko. Ta pielgrzymka nie jest dziełem przypadku. Dobór pątników też nie.

– Rozmaite siły miały coś do powiedzenia, jeśli chodzi o to, kto weźmie udział w tej wyprawie – rzekł konsul. – Grupa konsultacyjna SI, Senat Hegemonii, nawet Kościół Chyżwara.

Ojciec Dure potrząsnął głową.

– Tak, przyjaciele, ale za tym wszystkim kryje się jedna siła sprawcza.

Sol nachylił się bliżej.

– Bóg?

– Może – odparł z uśmiechem ojciec Dure. – Ale myślałem o Centrum... o sztucznych inteligencjach, które zachowywały się tak tajemniczo przez cały czas, kiedy to się działo.

Niemowlę cichutko zapiszczało. Sol dał mu smoczek i nastawił komlog na rytm serca. Dziecko zwinęło piąstki i rozluźniło je.

– Historia Brawne sugeruje nam, że są elementy Centrum, które chciałyby naruścić status quo... dać ludzkości szansę na przetrwanie i dalej prowadzić projekt Skończonej Inteligencji.

Konsul wskazał ręką bezchmurne niebo.

– Wszystko, co się zdarzyło... nasza pielgrzymka, nawet ta wojna... jest manipulacją wynikającą z wojny domowej w Centrum.

– A co my wiemy o Centrum? – zapytał cicho ojciec Dure.

– Nic – powiedział konsul i rzucił kamykiem w potrzaskany głaz leżący u wejścia do Sfinksa. – Kiedy wszystko zostało już powiedziane i zrobione, my nadal nic nie wiemy.

Dure usiadł, masował sobie twarz zwilżoną ściereczką.

– Niemniej ich cel jest dziwnie podobny do naszego.

– To znaczy jaki? – zapytał Sol, ciągle kołysząc dziecko.

– Poznać Boga – odparł ksiądz. – A jeśli to się nie uda, stworzyć Go. – Spojrzał spod zmrużonych powiek na dolinę. Cienie rzucane przez południowo – zachodnią ścianę wydłużyły się. Zaczęły dotykać i pochłaniać grobowce. – Pomagałem w rozpowszechnianiu takiej idei w Kościele...

– Czytałem twoje traktaty o świętym Teilhardzie – powiedział Sol. – To była wspólna praca, obrona tezy o niezbedności ewolucji w kierunku punktu Omega – w kierunku



ku boskości. Udało ci się to bez stoczenia się w herezję socyniańską.

– W co? – zapytał konsul.

Ojciec Dure uśmiechnął się nieznacznie.

– Socyn był włoskim heretykiem. Żył w szesnastym wieku po Chrystusie. Wierzył – i za to został ekskomunikowany – że Bóg jest istotą ograniczoną, zdolną do uczenia się i rozwoju wraz z wszechświatem, coraz bardziej złożoną. Ja stoczyłem się jednak w herezję socyniańską. To był pierwszy z moich grzechów.

– A ostatni z twoich grzechów? – Sol patrzył na niego bez mrugnięcia okiem.

– Obok dumy? – zapytał ojciec Dure. – Największym z moich grzechów było sfałszowanie danych z siedmioletnich wykopalisk na Armaghastie. Usiłowałem dowieść związku między tamtejszymi wymarłymi Budowniczymi Łuku a protochrześcijanami. Taki związek nie istnieje. Więc sfabrykowałem dane. Jest w tym jakaś ironia, że największym z moich grzechów, przynajmniej w oczach Kościoła, było pogwałcenie metody naukowej. W swoich schyłkowych dniach Kościół jest w stanie tolerować herezję teologiczną, ale nie zniesie majstrowania przy naukowych procedurach.

– Czy Armaghast był podobny do tego tutaj? – zapytał Sol wskazując na dolinę, groby i otaczającą wszystko pustynię.

Ojciec Dure rozejrzał się. Na moment oczy mu pojaśniały.

– Pył, kamienie, atmosfera śmierci – to by się zgadzało. Ale to miejsce jest nieskończenie bardziej ponure i groźne. Coś tutaj jeszcze nie poddało się śmierci, choć powinno.

Konsul roześmiał się.

– Miejmy nadzieję, że my też należymy do tej kategorii. Chcę zabrać z sobą komlog na przełęcz i znów spróbować połączyć się ze statkiem.

– Ja też pójdę – powiedział Sol.

– I ja – dodał ojciec Dure, wstając. Zachwiał się, ale nie pozwolił, żeby Weintraub go podtrzymał.

Statek nie odpowiadał na wezwania. Bez statku nie można było nawiązać łączności linią FAT ani z Intruzami, ani z Siecią, ani z jakimkolwiek innym miejscem znajdującym się poza Hyperionem. Zwyczajne łącza komunikacyjne były głuche.

– Czy ktoś mógł zniszczyć statek? – zapytał Sol.

– Nie. Wezwanie zostało przyjęte, tyle że nie ma na nie odpowiedzi. Meina Gladstone nie odwołała nakazu kwarantanny dla statku.

Sol popatrzył w stronę nieużytków. W oddali, w rozgrzanym powietrzu drżał obraz gór. O kilka kilometrów bliżej linii horyzontu zamykały poszarpane ruiny Miasta Poetów.

– Wszystko jedno – mruknął. – Powiedzenie deus ex machina sprawdza się tu za często.

Paul Dure zaczął się śmiać czystym, głębokim głosem, ale zaraz się rozkaszał i musiał napić się wody.

– O co chodzi? – zapytał konsul.

– Deus ex machina. Rozmawialiśmy o tym wcześniej. Podejrzewam, że to jest właśnie powód, dla którego znaleźliśmy się tutaj. Biedny Lenar, ze swoim deus ex machina w formie krzyżokształtu. Brawne ze swym zmartwychwstałym poetą uwięzionym w dysku Schróna, szukająca deus ex machina, który by uwolnił jej osobistego boga. Ty, Sol, oczekujący, aż mroczny Bóg rozwiąże straszny problem twojej córki. Centrum – machina próbująca zbudować swojego własnego boga.

Konsul poprawił okulary słoneczne.

– A ty, ojczy?

– Ja czekam na maszynę największą ze wszystkich maszyn, żeby stworzyła swego Boga – wszechświat. Ileż z moich zachwyty nad świętym Teilhardem wynika z faktu, że nie znalazłem śladu żywego Stwórcy w obecnym świecie? Podobnie jak TechnoCentrum, chcę zbudować coś, czego nie mogę znaleźć.



Sol popatrzył w niebo.

– Jakiego boga szukają Intruzi?

– Ich obsesja na tle Hyperiona jest prawdziwa – odparł konsul. Uważają, że tu narodzi się nowa nadzieja dla ludzkości.

– Wracajmy lepiej – powiedział Sol, zasłaniając Rachelę od słońca. – Brawne i Martin wrócą przed kolacją.

Ale nie wrócili przed kolacją. Nie było ich także po zachodzie słońca. Co godzina konsul wędrował do wyjścia z doliny, wspinał się na głąz i patrzył, czy coś się nie rusza na wydmach albo na polu głązów. Niczego tam nie było. Konsul żałował, że Kassad nie zostawił lornetki wojskowej.

Jeszcze zanim zapanował zmierzch, błyski na nieboskłonie oznajmiły, że nadal trwa wojna. Trzej mężczyźni usiedli na najwyższym stopniu u wejścia do Sfinksa i obserwowali widowisko. Rozwijały się nad nimi powolne eksplozje czystej bieli, zakwitały matowe czerwone kwiaty, nagłe zielone i pomarańczowe wybuchy sprawiały, że migotało im w oczach.

– Jak myślicie, kto wygrywa? – zapytał Sol.

Konsul nie podniósł głowy.

– To nie ma znaczenia. Czy będziemy spali w Sfinksie, czy gdzie indziej? Może winnym grobowcu?

– Nie mogę opuścić Sfinksa – oznajmił Sol. – Wy możecie iść.

Dure dotknął policzka niemowlęcia. Mała żuła pracowicie smoczek, policzek poruszał się pod palcami.

– Ile ma teraz, Sol?

– Dwa dni. Prawie dokładnie tyle. Urodziła się piętnaście minut po zachodzie słońca na tej szerokości geograficznej Hyperiona.

– Pójdę jeszcze raz popatrzeć – powiedział konsul. – Potem będziemy musieli rozpałcić ognisko, żeby pomóc im w znalezieniu drogi powrotnej.

Konsul był już w połowie schodów, gdy Sol wstał i na coś wskazał. Nie w stronę wejścia do doliny, płonącego światłem zachodzącego słońca, ale w drugą, zacienioną stronę.

Konsul zatrzymał się, pozostali dwaj dołączyli do niego. Konsul sięgnął do kieszeni i wyjął mały ogłuszacz neuronowy, który Kassad dał mu kilka dni temu. Po odejściu Lamii i Kassada była to jedyna broń, jaką mieli do dyspozycji.

– Widzicie? – wyszeptał Sol.

W ciemności, obok lekkiej poświaty Nefrytowego Grobowca, przesuwała się jakaś postać. Nie była tak duża i nie przemieszczała się tak szybko, żeby można ją było uznać za Chyżwara; szła powoli, zatrzymując się co chwila, machając rękami.

Ojciec Dure obejrzał się przez ramię na wyjście z doliny.

– Czy Martin Silenus mógł w jakiś sposób wejść do doliny z tamtej strony?

– Nie, chyba że skoczyłby z urwiska – wyszeptał konsul. – Albo musiałby nadłożyć dziesięć kilometrów w kierunku północno – wschodnim. Poza tym tamten jest za wysoki na Silenusa.

Postać znów się zatrzymała, zamachała rękami i upadła. Z odległości ponad stu metrów wyglądała jak jeden z głązów zaścielających dno doliny.

– Chodźmy – powiedział konsul.

Nie pobiegli. Konsul schodził po stopniach pierwszy, z wyciągniętym ogłuszaczem, nastawionym na dwadzieścia metrów, chociaż efekt na tę odległość byłby minimalny. Tuż za konsulem szedł ojciec Dure. Niósł dziecko Sola, podczas gdy uczony szukał jakiegoś małego kamienia.

– Dawid i Goliat? – zapytał Dure, kiedy Sol dołączył do nich z kamieniem wielkości dłoni włożonym w plastowłókninową procę wyciętą z jednego z opakowań.

Brodąta, opalona twarz uczonego stała się jeszcze ciemniejsza.

– Coś w tym stylu. Proszę wziąć, ja wezmę Rachelę.



– Chętnie ją poniosę. A jeśli czeka nas jakaś walka, to lepiej, jeśli wy dwaj będziecie mieli wolne ręce.

Sol skinął głową i zrównał się z konsulem. Ksiądz i dziecko zostali o kilka kroków za nimi.

Z odległości piętnastu metrów widać było dokładnie, że leżąca figura jest człowiekiem – bardzo wysokim człowiekiem – ubranym w prostą szatę, leżącym twarzą do ziemi.

– Zostańcie tutaj – powiedział konsul i pobiegł. Patrzyli, jak odwraca leżącego, wkłada ogłuszacz z powrotem do kieszeni i odwiązuje manierkę z wodą od paska.

Sol potruchtał powoli. Wyczerpanie odczuwał jako przyjemny zawrót głowy. Za nim, wolniej, podążył Dure.

Kiedy ksiądz dotarł do plamy światła, jakie rzucała latarka konsula, zobaczył z lekka azjatycką, nieco zniekształconą twarz wysuniętą spod odrzuconego kaptura.

– To jest templariusz – stwierdził Dure, zaskoczony, że spotkał tutaj wyznawcę Muira.

– To jest Prawdziwy Głos Drzewa – rzekł konsul. – Pierwszy z zaginionych pielgrzymów... Het Masteen.



Martin Silenus całe popołudnie pracował nad swoim poematem epickim i tylko brak światła sprawił, że zaprzestał wysiłków.

Jego stary pokój rozszabrowano, brakowało antycznego biurka. Pałac Smutnego Króla Billy'ego był najbardziej nadszarpnięty zębem czasu. Wszystkie okna zostały wybite, miniaturowe wydmy wędrowały po wypłowiałych dywanach wartych niegdyś fortunę, a szczury i małe skalne jaszczurki miały swoje norki między porzucanymi kamieniami. W wieżach mieszkalnych zagnieździły się gołębie i zdziczałe sokoły. Poeta poszedł w końcu do Hali Wspólnoty, usiadł przy niskim stole pod kopułą i zaczął pisać.

Kurz i odpadki pokrywały ceramiczną podłogę, szkarłatne pnące pustynne zarosło rozłupane ściany, ale Silenus nie zwracał uwagi na takie drobiazgi. Pracował nad swoimi „Cantos”.

Poemat traktował o śmierci i wygnaniu Tytanów przez ich potomstwo – helleńskich bogów. Mówił o walce, która rozgorzała, gdy Tytani odmówili ustąpienia miejsca bogom olimpijskim: wielkie morza wrzały, gdy Ocean walczył z Neptunem, uzurpatorem; słońca gasły, gdy Hyperion zmagał się z Apollinem o władzę nad światłem; wszechświat drżał w posadach, gdy Saturn bił się z Jupiterem o tron bogów. Stawką nie było jedynie zastąpienie jednych bogów innymi, ale koniec złotej ery i początek mrocznych wieków, które zaciążyły przekleństwem nad wszelką żywą istotą.

„Cantos Hyperiona” nie taił, że osoby bóstw można rozumieć wielorako: Tytani stanowili odpowiednik krótkotrwałej historii ludzkości w Galaktyce, a olimpijscy uzurpatorzy mogli być rozumiani jako TechnoCentrum. Pola bitew rozciągały się na znajomych kontynentach, oceanach i drogach powietrznych wszystkich planet Sieci. Pośrodku tego wszystkiego, potworny chciwy Dis, syn Saturna, który pragnął odziedziczyć królestwo, razem z Jupiterem tropił swe ofiary, zbierając śmiertelne żniwo zarówno wśród bogów, jak i ludzi.

„Cantos” mówił też o relacji między stworzonym a Stwórcą, o miłości między dziećmi a rodzicami, o artystach i sztuce – o wszystkich tworzących i ich dziełach. Poemat podnosił wysoko miłość i lojalność, ale zbliżał się też do granicy nihilizmu poprzez obecność wątku niszczącej siły miłości, ludzkich ambicji i intelektualnej pychy.

Martin Silenus pracował nad swoim poematem od ponad dwustu standardowych lat. Najlepsze części napisał tutaj, w opuszczonym mieście, gdzie wiatry pustynne zawodziły jak chór z greckiej tragedii, a w powietrzu wisiała groźba nagłego wtargnięcia Chyżwara. Silenus, ratując życie, opuścił miasto, wtedy to opuściła go muza, a z nią talent. Kiedy rozpoczął pracę, zaczął podążać znanym sobie traktem i zaprzągnął się do kieratu, który poznali tylko doświadczeni pisarze, czuł, że powraca do życia... żyły mu pulsowały, płuca głębiej zaczerpywały oddechu. Radowało go każde pociągnięcie antycznego pióra po pergaminie. Obok, na okrągłym stoliku, leżał wielki stos zapisanych już stron. Kawałki cegieł i sztukaterii służyły jako przyciski do papieru. Fabuła rozwijała się bez przeszkód. Z każdą stancją, z każdym wierszem czuł, jak uśmiecha się do niego nieśmiertelność.

Silenus dotarł do najbardziej ekscytującego i najtrudniejszego fragmentu poematu, do scen, w których bój toczy się w tysiącnych krajobrazach, a całe cywilizacje ulegają zagładzie. Wtedy przedstawiciele Tytanów proszą o zawieszenie broni, by spotkać się i negocjować z pozbawionymi poczucia humoru olimpijskimi herosami. Po szerokich drogach jego wyobraźni kroczyli Saturn, Hyperion, Cottus, Japet, Ocean, Briareus, Mimus, Porfirion, Enceladus, Rhoetus, ich równie tytaniczne siostrzyce Tetyda, Feba, Thea, Klimene. Z przeciwnej strony nadchodził żałosny korowód prowadzony przez Jupitera i Apollina.

Silenus nie wiedział, jak zakończy poemat. Żył tylko po to, żeby go dokończyć... czekał na to od dziesięcioleci. Przeminięły młodzięcze marzenia o sławie i bogactwie



wynikających ze służenia światu. Osiągnął już ogromną sławę i bogactwo. Mało go nie zabiły. Zabiły jego sztukę. I choć wiedział, że „Cantos” już teraz jest najświetniejszą literaturą epoki, chciał dokończyć poemat, samemu poznać zakończenie i nadać każdej zwrotce, każdej linii, każdemu słowu możliwie najświetniejszą, najpiękniejszą, najbardziej klarowną formę.

Gorączkowo pisał, był prawie szalony z żądzy dokończenia tego, co tak długo pozostawało nie ukończone. Z jego starego pióra przelewały się na papier słowa i frazy; bez wysiłku kreował stacje, pieśni mówiły własnym głosem, nie potrzebowały poprawek, a on nie musiał robić przerw, by poszukać natchnienia. Poemat rozwijał się z szokującą szybkością. Jego piękno – w słowie i obrazie – zapierało dech w piersiach.

Saturn i Jupiter, uzurpator, spotkali się pod białą flagą rozejmu przy załomie marmuru. Ich dialog był prosty. Ich argumenty uzasadniające konieczność wojny stanowiły najpiękniejszy przykład debaty od czasów „Dialogów Meliańskich” Tukidydesa. Nagle do poematu wkradło się coś nowego, coś czego nie planował w swoich długich godzinach muzykowania bez muzy. Obaj królowie bogów wyrażali ten sam strach przed jakimś trzecim uzurpatorem, przed jakąś straszliwą zewnętrzną siłą zagrażającą stabilności ich królestw. Silenus patrzył zdumiony, jak bohaterowie, których tworzył przez tysiące pracowitych godzin, wystąpili przeciw jego woli i podali sobie ręce nad załomem marmuru, ustanawiając sojusz przeciwko... Przeciwko czemu?

Poeta przerwał, wstrzymał pióro. Uświadomił sobie, że prawie już nie widzi kartki. Od jakiegoś czasu pisał w półmroku, a teraz zapadła całkowita ciemność.

Silenus oprzytomniał. Było to tak, jakby wracał do zmysłów po orgazmie.

Rozejrzał się. W wielkiej sali jadalnej panowały ciemności. Tylko przez zarośnięte bluszczem otwory w suficie dochodziło światło gwiazd i odległych eksplozji. Na zewnątrz wzmógł się wieczorny wiatr. Gwizdał sopranem i kontraltem w potraskanym belkowniu kopuły.

Poeta westchnął. W bagażu nie miał pochodni. Przyniósł tylko wodę i swoje „Cantos”. Czuł, jak żołądek ściska mu się z głodu. Gdzie jest ta przeklęta Lamia? – pomyślał. Ale jak tylko to pomyślał, uświadomił sobie, iż cieszy go, że po niego nie wróciła. Potrzebował samotności, żeby dokończyć poematu... w tym tempie nie zajmie mu to dłużej niż dzień. Może jeszcze noc. Za kilka godzin zakończy dzieło życia, odpocznie trochę i będzie się zachwycał małymi sprawami, które niesie codzienność, pospolitymi sprawami, jak dotąd przeszkadzającymi tylko w nie ukończonej pracy.

Martin Silenus westchnął powtórnie i zaczął upychać manuskrypt w bagażu. Poszuka gdzieś światła... rozпали ognisko, użyje do tego tapet Smutnego Króla Billy’ego. Napisze resztę na dworze przy świetle kosmicznej bitwy, jeśli będzie musiał.

Trzymał ostatnie kilka stron i pióro w ręku. Odwrócił się, żeby odszukać wyjście.

Coś stało w ciemnej hali.

Lamia, pomyślał. Poczuł rozczarowanie zmieszane z ulgą.

Ale to nie była Brawna Lamia. Silenus zauważył ogromną masę na długich nogach, grę światła gwiazd na kadłubie, cień wielu ramion i rubinowy połysk piekielnych kryształów zastępujących oczy. Silenus jęknął i usiadł.

– Nie teraz! – krzyknął. – Przepadnij, niech cię diabli!

Wysoki cień zbliżył się, szedł bezszelestnie po ceramicznej podłodze. Niebo rozbłysnęło krwistoczerwoną eksplozją i poeta dostrzegł ciernie, ostrza i drut kolczasty.

– Nie! – krzyknął. – Odmawiam. Zostaw mnie.

Chyżwar podszedł jeszcze bliżej. Ręka Silenusa drgnęła, podniosła pióro i napisała na pustym marginesie ostatniej strony: JUŻ CZAS, MARTINIE.

Poeta popatrzył na to, co napisał, powstrzymując nagłą chętkę, by wybuchnąć wariackim chichotem. Z tego, co wiedział, Chyżwar nigdy nie przemówił – nigdy nie porozumiewał się z nikim. Chyba że za pośrednictwem bólu i śmierci.

– Nie! – wrzasnął znowu. – Mam jeszcze coś do zrobienia. Weź sobie kogoś innego, niech cię diabli!



Silenus przytulił do siebie manuskrypt, podniósł ostatnie kilka stron ze stołu, żeby nie można było na nich nic napisać. Pokazał zęby w koszmarnym, zastygłym uśmiechu.

BYŁEŚ GOTÓW ZAMIENIĆ SIĘ MIEJSCAMI ZE SWYM PATRONEM. Ręka Silenusa napisała to na blacie stołu.

– Nie teraz! – wrzasnął poeta. – Billy nie żyje! Pozwól mi dokończyć, proszę! – W swoim długim życiu Martin Silenus nigdy o nic nie prosił. Teraz błagał: – Proszę, och, proszę: Proszę, pozwól mi tylko dokończyć.

Chyżwar postąpił jeszcze o krok. Był tak blisko, że jego szkaradny tułów zakrywał światło gwiazd i rzucał cień na poetę.

NIE, napisała ręka Silenusa, a potem pióro wypadło mu z dłoni. Chyżwar wyciągnął długie ramiona, a jego ostre palce przebiły ręce poety do kości.

Martin Silenus wrzeszczał, gdy potwór unosił go pod kopułę sali. Wrzeszczał, gdy zobaczył wydmy i drzewo wyrastające z doliny.

Drzewo było większe niż dolina, wyższe od gór, które przebyli pielgrzymi. Górnymi gałęziami zdawało się sięgać próżni kosmicznej. Zrobione z chromowanej stali, a jego gałęzie jeżyły się od igieł i kolców. Na tych kolcach wiły się i drżały ludzkie postacie – dziesiątki tysięcy ludzi. Silenus przemógł ból i skoncentrował wzrok. Rozpoznawał niektórych. To były ciała, nie dusze albo inne abstrakty. I najwyraźniej cierpiały piekielne męki.

TAK BYĆ MUSI, napisała ręka Silenusa na zimnym korpucie Chyżwara. Krew kapiała na piasek i rtęciową powłokę.

– Nie! – wrzasnął poeta. Bił pięściami o drut kolczasty i ostrza skalpeli. Odpychał się, walczył i wykręcał, mimo że potwór przycisnął go mocniej, nawlekając na ostrza swego cielska jak motyla na szpilkę. To nie trudny do wyobrażenia ból, ale poczucie niepowetowanej straty mieszało zmysły Silenusa. Prawie dokończył poemat. Prawie go dokończył!

– Nie! – ryknął Silenus wrywając się jeszcze silniej, aż mgiełka rozpylonej krwi i miotane przez poetę obsceniczne wyrazy wypełniły powietrze. Chyżwar niósł go ku drzewu.

Wrzaski odbijały się echem w umarłym mieście. Z minuty na minutę stawały się coraz słabsze. Ciszę przerywały tylko gołębie, wracające do gniazd, frunące w stronę potrzaskanych kopuł i wież z łagodnym trzepotem skrzydeł.

Wiatr wzmógł się, obijał się o szyby z perspexu i sztukaterię, przemiatając z miejsca na miejsce zbutwiałe liście leżące przy wyschniętych fontannach. Przenikał do wnętrza sali jadalnej przez potrzaskane okna i unosił strony manuskryptu we wdzięcznym korkociągu. Niektóre stronicie wymknęły się na zewnątrz, wiatr rozwiał je po cichym podwórku, pustych chodnikach wokół rozwalonego akweduktu.

Po chwili wiatr zamarł. W Mieście Poetów nic się już nie poruszało.



Czterogodzinny marsz zmienił się dla Brawne Lamii w dziesięciogodzinny koszmar. Najpierw zboczyła z prostej trasy do Miasta Poetów i musiała dokonać trudnego wyboru: zabrać z sobą Silenusa, czy zostawić go. Nie chciała, żeby poeta został sam; nie chciała zmuszać go do dalszego marszu ani do powrotu w dolinę grobowców. Zejście z trasy kosztowało ją dodatkową godzinę.

Pokonanie ostatnich wydm i skalistej jałowizny było wyczerpujące i nudne. Zanim dotarła do podnóża pagórków, zrobiło się późne popołudnie. Basztę ogarnął cień.

Zejście z sześciuset sześćdziesięciu jeden kamiennych stopni prowadzących z baszty nie sprawiło jej trudności. Ale wdrapanie się do góry stanowiło sprawdzian nawet dla jej wykształconej na Lususie muskulatury. W miarę wspinaczki powietrze, z początku gorące, stawało się coraz chłodniejsze. Gdy znalazła się na wysokości czterystu metrów nad podnóżem wysoczyzny, przestała się pocić. Z tej wysokości widać było Dolinę Grobowców Czasu. Szczyt Kryształowego Monolitu, wyglądający stąd jak nieregularna, półkuliowa powierzchnia, rozbłyskiwał co jakiś czas światłem. Przystanęła, żeby się upewnić, czy to nie jest jakiś znak wysłany specjalnie dla niej, ale błyski były przypadkowe. Zapewne jakiś kawał stopionego kryształu zwisający ze szczytu grobowca, kołyszając się, odbijał promienie słoneczne.

Zanim pokonała ostatnią setkę schodów, sprawdziła komlog. Kanały komunikacyjne pełne były, jak zwykle, szumu i nonsensów. Zapewne prądy czasu zakłócały łączność. Laser łącznościowy zdałby tu egzamin – zdaje się, że antyczny komlog konsula był na niego nastawiony – ale odkąd Kassad zniknął, nie mieli już lasera. Lamia wzruszyła ramionami i zaczęła forsować pozostałe stopnie.

Basztę Chronosa zbudowały androidy Smutnego Króla Billy'ego. Budowla nigdy nie była prawdziwą fortecą. Z założenia służyła jako uzdrowisko, gospoda dla podróżnych i letnia przystań dla artystów. Po ewakuacji Miasta Poetów to miejsce przez ponad stulecie świeciło pustkami. Odwiedzali je tylko najśmielsi awanturnicy.

Kiedy zmniejszyło się niebezpieczeństwo ze strony Chyżwara, z baszty zaczęli korzystać turyści i pielgrzymi, aż w końcu Kościół Chyżwara otworzył ją na nowo jako ostatni przystanek w dorocznej pielgrzymce. Niektóre z pomieszczeń, wryte głęboko w skałę albo umieszczone na najwyższych piętrach wież, były, jak wieść głosiła, miejscami, w których odbywały się rytuały dla wtajemniczonych i składano ofiary dla istoty zwanej przez wiernych Awatarem.

Gdy otwarcie grobowców znów zaczęło się zbliżać, a prądy czasu stały się nieprzewidywalne i ewakuowano północne pogranicze, Baszta Chronosa znów zapadła w zimowy sen. Taką zastała ją Brawne Lamia.

Pustynia i martwe miasto ciągle były w pełnym słońcu, ale w baszcie panował już półmrok. Brawne Lamia stanęła na dolnym tarasie, odpoczęła chwilę, znalazła latarkę w jednym z bagaży i zagłębiła się w labirynt. Korytarze były ciemne. Gdy przebywali tu dwa dni wcześniej, Kassad przeszukał basztę i powiedział im, że źródła energii wyczerpały się na dobre – konwertery solarne były potrzaskane, a komory fuzyjne zniszczone. Nawet zapasowe baterie, rozbite, poniewierały się w piwnicach. Lamia przemyślała to wszystko, gdy wspinała się po nie kończących się schodach, patrząc na nieruchome windy przyrdzewiałe do szyn.

Większe sale, przystosowane do posiłków i zebrań, były dokładnie takie, jakimi zostawili je w dniu, kiedy stąd odeszli: walały się tu wyschnięte resztki po bankietach, dostrzegła też ślady wskazujące na panikę, która niegdyś tutaj wybuchła. Nie było trupów, ale brązowe smugi na kamiennych ścianach świadczyły, że przed kilkoma tygodniami odbyła się tu orgia przemocy.

Lamia zignorowała chaos, zignorowała wiestniki – wielkie czarne ptaszydła z obrzydliwie ludzkimi twarzami – zignorowała własne zmęczenie po wspinaczce. Weszła do ma-



gazynu. Klatka schodowa robiła się nie wiadomo dlaczego coraz węższa, blade światło wpadające przez witrażowe okna miało chorobliwy odcień. Tam, gdzie szyby zostały rozbite albo ich brakowało, przez otwory okienne zaglądały gargulce. Wyglądało to tak, jakby skamieniały, zanim udało im się wejść do środka. Wiał zimny wiatr od zaśnieżonych Gór Cugielnych. Lamia drżała na całym ciele.

Bagaze i dodatkowe pakunki leżały tam, gdzie je zostawili, w małym składziku nad środkową komorą. Lamia przejrzała je i stwierdziła, że niektóre zawierają nie psującą się żywność. Wyszła na balkonik, gdzie Lenar Hoyt grywał na bałajce. Miała wrażenie, że od tego czasu minęła wieczność.

Cienie wysokich szczytów padały na piaski, docierały niemal do umarłego miasta. Dolina Grobowców Czasu i okoliczne pustkowia nadal skąpane były w wieczornym świetle. Głazy i skałki rzucały gmatwaninę cieni. Lamia nie mogła dostrzec z tej odległości samych grobowców. Tylko Monolit od czasu do czasu rzucał błyski. Ponownie sprawdziła komlog. Zakłęta, bo nadal słyszała tylko szum statyczny i trzaski tła. Wróciła do składu, żeby przejrzeć i załadować zapasy.

Wzięła cztery opakowania podstawowych artykułów żywnościowych, zawinięte w piankę i plastowlókninę. W twierdzy była woda – rynny doprowadzające wodę ze stopionego śniegu nie mogły się zepsuć – napełniła wszystkie butle, które przyniosła ze sobą, i poszukała następnych. Woda stanowiła dla nich największy problem. Przeklinała Silenusa, że nie przyszedł z nią; mógł udźwignąć co najmniej kilka butli.

Właśnie zbierała się do wyjścia, gdy usłyszała hałas. W Wielkiej Hali, między nią a schodami, coś się czaiło. Lamia zarzuciła na plecy ostatni tłumok, wyciągnęła automatyczny pistolet ojca i zaczęła powoli schodzić.

Hala była pusta; wiestniki nie wróciły. Ciężkie gobeliny, unoszone przez wiatr, powiewały nad zaśmieconą podłogą. Przy odległej ścianie stała rzeźba przedstawiająca twarz Chyżwara. Obracała się wraz z powiewami wiatru.

Lamia szła ostrożnie, co jakiś czas zmieniała kurs, żeby nie iść za długo tyłem do ciemnych kątów. Nagły wrzask sprawił, że zamarła. To nie był krzyk człowieka: W górnych rejestrach przechodził ponad próg słyszalności. Lamię rozboleły od tego zęby, ścisnęła rękojeść pistoletu, aż zbieleły jej palce. Niespodziewanie krzyk ustał, jak nożem uciął.

Lamia zlokalizowała źródło dźwięku. Za stołem biesiadnym, za rzeźbą, pod sześcioma oknami witrażowymi, przez które ledwie przenikało słabe światło zmierzchu, znajdowały się małe drzwiczki. Głos wydobywał się z nich echem, jakby pochodził z lochu lub piwnicy pod podłogą.

Brawne Lamię to zaintrygowało. Całe życie była ciekawska. Dlatego wybrała prawie zapomniany, ale czasem zabawny zawód: została prywatnym detektywem. Nieraz już jej nadmierna ciekawość sprowadzała na nią zażenowanie i kłopoty. Ale też dawała jej wiedzę, którą niewielu posiadało.

Tym razem działało się inaczej.

Lamia przybyła tu, żeby znaleźć wodę i żywność. Żaden ze starszych panów nie byłby w stanie tu dotrzeć, pobić jej rekordu – nawet jeśli uwzględnić zejście z trasy do umarłego miasta.

Kassad? – pomyślała, ale odpędziła tę myśl. Taki dźwięk nie mógł się wydobywać z krtani pułkownika Armii.

Brawne Lamia wycofała się od drzwi, trzymając pistolet w gotowości. Znalazła stopnie prowadzące do niższych poziomów i ostrożnie zaczęła schodzić. Skradała się jak mogła najciszej, jak jej na to pozwalał siedemdziesięciokilogramowy bagaż i kilkanaście butli z wodą. Kątem oka zobaczyła swoje odbicie w przyciemnionym szkle na najniższym poziomie – nachylona, przysadzista postać, pistolet w ręku, toboły kołyszące się na plecach, butle i manierki zwisające u pasa.

Lamii ten widok nie rozbawił. Wydała westchnienie ulgi, gdy wyszła poza ostatni taras, na zimne, rzadkie powietrze. Teraz mogła zacząć schodzić. Jeszcze nie musiała



posługiwać się latarką – niskie chmury, które nagle zasnuły niebo, rozpraszały różowe i bursztynowe światło.

Brała po dwa stopnie naraz. Potężne mięśnie nóg rozboleły ją, zanim zeszła z połowy schodów. Nie schowała pistoletu. Trzymała go w ręku na wypadek, gdyby coś spadło na nią z góry albo wyłoniło się ze szczeliny w skalnym podłożu. Doszła do końca schodów. Obróciła się i spojrzała na wieże i tarasy wznoszące się pół kilometra nad nią.

W jej stronę spadały skały. Nie tylko skały. Spostrzegła, że gargulce wyłamane ze swych podstaw toczyły się razem z kamieniami. Demoniczne twarze rzeźb oświetlone były światłem zmierzchu. Lamia zaczęła biec. Tobołki i butle kołysały się wokół niej. Zrozumiała, że nie zdąży osiągnąć bezpiecznej odległości. Rzuciła się między dwa niskie głązy opierające się o siebie.

Bagaż nie pozwolił jej wcisnąć się w szczelinę. Walczyła z rzemieniami, gdy pierwszy kamień przeleciał nad nią rykoszetem. Lamia zdierała z siebie skórzaną i plastowlókninową uprząż. Wreszcie wcisnęła się pod głązy. Za sobą pociągnęła bagaż. Nie chciała wracać do twierdzy.

Wokół niej śmigały kamienie wielkości pięści i większe, jak ludzka głowa. Przeturlał się kamienny łeb chochlika. Rozwalił na trzy części skałkę odległą o niecałe trzy metry od miejsca, w którym leżała. W powietrzu śmigały pociski. Większe kamienie waliły w głąz nad jej głową. Lawina kończyła się powoli. Po schronie Lamii bębniły tylko drobniejsze kamyki.

Lamia wychyliła się, żeby głębiej wciągnąć bagaż. Kamień wielkości jej komlogu odbił się od podłoża i śmignął prosto do jej kryjówki, odbił się dwa razy o ściany głązów i uderzył ją w skroń.

Obudziła się z chrapliwym jęknięciem. Bolała ją głowa. Na zewnątrz panowała już noc. Przez szczeliny do jej kryjówki docierało światło odległych eksplozji. Podniosła palec, żeby dotknąć skroni. Na policzku i szyi miała zakrzepłą krew.

Wyczołgała się z ukrycia. Potykała się o kamienie. Na chwilę przysiadła z pochyloną głową. Powstrzymywała wymioty.

Bagaże były nietknięte. Rozbiła się tylko jedna butla z wodą. Znalazła swój pistolet tam, gdzie go wrzuciła – w dziurze, której nie przykryły odłamki skały. Skalna pokrywa, na której stała, popękała od uderzeń kamiennej lawiny.

Lamia sprawdziła komlog. Nie minęła nawet godzina. W tym czasie, gdy leżała nieprzytomna, nic jej nie porwało ani nie poderżnęło jej gardła. Po raz ostatni spojrzała w kierunku baszty. Nic już nie dostrzegła o tej porze. Zebrała tobołki i ruszyła przed siebie przyśpieszonym krokiem.

Martina Silenus nie było na umówionym miejscu, kiedy wróciła do umarłego miasta. W głębi duszy nie spodziewała się, że go znajdzie. Miała jednak nadzieję, że po prostu znużyło go czekanie i poszedł w kierunku doliny.

Pokusa, żeby zdjąć jarzmo bagażu i odpocząć chwilę, była bardzo mocna. Lamia oparła się jej. Z pistoletem w dłoni chodziła po ulicach opustoszałego miasta. Eksplozje na niebie były wystarczająco jasne, żeby oświetlić jej drogę.

Poeta nie odpowiadał na jej powtarzane echem wołanie. Spłoszyła za to ptaki, które nagle wyfrunęły z gniazd trzepocząc w ciemności białymi skrzydłami. Przeszukała dolne piętra starego pałacu króla. Wołała w głąb klatek schodowych. Raz nawet strzeliła z pistoletu, ale po Silenusie nie było nawet śladu. Szła podwórcami o ścianach zarosłych dzikim winem, wykrzykiwała jego imię, szukała jakiegokolwiek śladu. Spostrzegła fontannę, która przypominała jej opowiadanie poety o nocnym zniknięciu Smutnego Króla Billy'ego, uprowadzonego przez Chyżwara. Ale wokół były też inne fontanny. Nie wiedziała, która z nich jest tą z opowieści.

Przeszła przez salę jadalną pod potrząskaną kopułą. W sali było ciemno. Usłyszała jakiś dźwięk. Błyskawicznie odwróciła się z wyciągniętym pistoletem, ale to tylko liść albo jakiś stary papier szurał o podłogę.



Westchnęła i wyszła z miasta. Szło się jej dobrze, mimo zmęczenia po bezsennych nocach. Komlog nie odpowiadał. Czowała de ja vu wywołane zmianą w prądach czasu. Nie dziwiło jej to. Wieczorny wiatr zatarł wszelkie ślady, jakie mógł pozostawić Martin, gdyby tą drogą wracał do doliny.

Znów widziała poblask rzucany przez grobowce. Zobaczyła go, zanim jeszcze dotarła do przełęczy prowadzącej do doliny. To nie było jasne światło, takie jak ciche wybuchy. Na niebie – wszystkie naziemne grobowce dawały światło mdłe i blade, jakby pozbywały się energii nagromadzonej w ciągu dnia.

Lamia stanęła u wejścia do doliny i zawołała, żeby powiadomić Sola i innych o swoim powrocie. Nie odmówiłaby, gdyby ktoś zaproponował, że jej pomoże dźwigać bagaż przez te ostatnie kilkaset metrów. Jej plecy krwawiły w miejscach, w których rzemienie werżnęły się w ciało. Koszulę miała przesiąkniętą krwią.

Ale nikt nie odpowiadał na jej wołanie.

Czuła się wyczerpaną, gdy powoli wchodziła na stopnie prowadzące do Sfinksa. Rzuciła bagaż na szeroki kamienny taras i zaczęła szukać latarki. W środku było ciemno. Legowiska i tłumoki leżały rozrzucone po salce, w której spali. Lamia zawołała, poczekaj, aż echo ucichnie, i jeszcze raz rozejrzała się oświetlając ściany latarką. Wszystko było takie samo. Nie, chwileczkę, coś się zmieniło. Zamknęła oczy i przypomniała sobie, jak salka wyglądała rano.

Brakowało sześcianu Móbiosa. To dziwne pudło, pozostawione przez Heta Masteena w wiatrowozie, zniknęło z kąta. Lamia wzruszyła ramionami i wyszła na dwór.

Zrobiła tylko jeden krok i cofnęła się do środka, tłumiąc krzyk na widok tego, co zobaczyła. Pistolet wydawał się mały i bezużyteczny. Latarka wypadła jej z dłoni.

To, co stało przed grobowcem, przekrzywiło głowę i popatrzyło na nią. W wielościennych oczach postaci pulsowało czerwone światło. Ostrza na korpusie odbijały blask eksplozji na niebie.

– Ty sukinsynu – powiedziała Lamia spokojnym głosem. – Gdzie oni są? Co zrobiłeś z Solem i dzieckiem? Gdzie są inni?

Potwór przekręcił głowę w drugą stronę. Jego twarz była tak nieludzka, że nie dało się z niej wyczytać czegokolwiek. Język ciała, którym posługiwał się stwór, przekazywał tylko jedno – groźbę. Stalowe palce uderzały o siebie z dźwiękiem noży sprężynowych.

Lamia strzeliła potworowi cztery razy w twarz. Ciężkie, 16 – milimetrowe pociski trafiały za każdym razem w cel i wyciem rykoszetowały w noc.

– Nie przyszłam tutaj po to, żeby umrzeć, ty metalowy skurwysynu – powiedziała Lamia. Znów wycelowała i strzeliła jeszcze kilkanaście razy. Trafiała za każdym razem.

Leciały iskry. Chyżwar podniósł głowę, jakby nasłuchiwał.

Nagle zniknął.

Lamia zaczerpnęła tchu, przykucnęła, obróciła się dokoła. Nic. Dno doliny oświetlały gwiazdy. Tylko w oddali widniały czarne jak smoła cienie. Nawet wiatr ucichł.

Brawne Lamia pokuśtykała z powrotem do tobołów. Usiadła na największym. Starła się uspokoić pracę serca. Nie chciała się bać... ale nie mogła zaprzeczyć, że dostała potężny zastrzyk adrenaliny.

Pistolet nadal dzierżyła w dłoni. W magazynku pozostało jeszcze kilkanaście naboii. Podniosła butlę z wodą i pociągnęła długi łyk.

U jej boku ukazał się Chyżwar. Pojawił się nagle i bezszelestnie.

Lamia rzuciła butlę, usiłowała wycelować pistolet, jednocześnie przetaczając się na bok.

Robiła to jak na zwolnionym filmie. Chyżwar wyciągnął prawą rękę. Światło odbiło się na stalowych paznokciach długich jak igły. Jedna z nich weszła w jej skórę za uchem, przekłuła czaszkę, zgłębiła się w mózg bez tarcia, bez bólu. Lamia poczuła tylko lodowaty dotyk.



Pułkownik Fedmahn Kassad po drugiej stronie portalu spodziewał się czegoś niezwykłego; znalazł zorkiestrowane szaleństwo wojny. Moneta szła przed nim. Chyżwar eskortował go, zatopiwszy w jego ramię ostrza palców. Kiedy Kassad znalazł się po drugiej stronie, Moneta czekała na niego. Chyżwar zniknął.

Kassad natychmiast zorientował się, gdzie się znaleźli. Roztaczał się przed nim widok z niskiej góry, w której prawie dwa stulecia wcześniej Smutny Król Billy nakazał wyrzeźbić swoje oblicze. Platforma na szczycie była prawie pusta. Stały na niej tylko dymiące szczątki baterii obrony przeciwkosmicznej. Widząc błyszczącą powierzchnię granitu i jeszcze wrzący stopiony metal, Kassad domyślił się, że baterię trafiono z orbity promieniem lasera.

Moneta podeszła do skraju urwiska, pięćdziesiąt metrów nad brwią Smutnego Króla. Kassad dołączył do niej. Przed nimi rozciągała się panorama rzecznej doliny, miasta i płaskowyżu z portem kosmicznym.

Stolica Hyperiona płonęła. W starej części miasta, Jacktown, szalała burza ogniowa. Przedmieścia upstrzone były setkami mniejszych pożarów. Ognie, jak lampy sygnalizacyjne, ciągnęły się wzdłuż autostrady wiodącej do portu. Ogniem pokryta była nawet rzeka Hoolie. W okolicy starych doków i składów rozlał się na jej powierzchni płonący olej. Kassad widział wystającą z chmury dymu wieżyczkę starego kościoła. Szukał „Cy-cero”, ale bar zakryły dym i ogień.

Wzgórza i dolinę wypełniała przemieszczająca się masa ludzi. Wyglądało to jak mrowisko rozwalone przez giganta. Kassad widział autostrady zatarasowane przez dziesiątki tysięcy ludzi uciekających ze strefy walk. Żywy strumień poruszał się wolniej niż rzeka Hoolie. Rozbłyski salw armatnich i wyładowań energetycznych podświetlały niską pokrywą chmur na całym horyzoncie. Co kilka minut z dymu nad portem kosmicznym i z okolicznych lasów wynurzały się maszyny latające – wojskowe ślizgacze i desantowce – powietrze wokół rozbłyskiwało lancami laserowego światła i maszyny spadały, ciągnąc za sobą pióropusz czarnego dymu i pomarańczowych płomieni.

Poduszkowce śmigwały nad rzeką jak wodne pająki, wymijając płonące wraki łodzi i innych poduszkowców. Kassad zauważył, że jedyny most z autostradą runął. Paliły się nawet jego betonowo – kamienne filary. Lasery bojowe i promienie neurobiczów przerzynały się przez chmury dymów. Pociski przeciwpiechotne wyglądały jak białe kropeczki zostawiające za sobą ścieg przegrzanego powietrza. Kiedy wraz z Monetą przyglądali się walce, w pobliżu portu kosmicznego wyrosła grzybiasta chmura eksplozji.

– To nie atom – pomyślał głośno.

– Nie.

Skafandry energetyczne, które mieli na sobie, chroniły całe ciało i oczy. Działały jak ulepszone przyłbica używana przez Armię. Kassad przybliżył obraz wzgórze za rzeką. Marines biegli skokami w stronę szczytu. Niektórzy rzucali się na ziemię i za pomocą profilowanych ładunków ryli okopy. Mieli uaktywnione polimery maskujące na kombinizonach, emisja ciepła zredukowana była do minimum, ale Kassad mógł dostrzec ich bez trudu. Gdyby chciał, rozróżniałby ich twarze.

W uszach szeleściły mu rozkazy przesyłane na krótkich falach. Rozpoznawał pełne podniecenia słowa komend i nieuniknione w takiej sytuacji obsceniczne słowa. Stanowiły one znak firmowy walczących ludzi od tak wielu pokoleń, że nie sposób byłoby je zliczyć. Tysiące żołnierzy rozproszyło się z miejsc stacjonowania i portu kosmicznego. Wkopywali się w ziemię w promieniu trzydziestu kilometrów od miasta. Można było przewidzieć linie ostrzału i tereny przeznaczone do totalnego zniszczenia.

– Czekają na inwazję – stwierdził Kassad. To nie były słowa, lecz coś co przypominało telepatię.

Moneta uniosła srebrzyste ramię, żeby wskazać na niebo. Chmury wisiały wysoko, co najmniej dwa tysiące metrów nad ziemią. Najpierw przebiła je jedna maszyna,



potem tuzin następnych, a za kilka sekund pojawiły się ich setki. Większość miała włączone polimery maskujące i ustawione w kierunku gruntu pola siłowe, ale Kassad bez trudności je dostrzegał. Szary metal pod polimerami nosił znaki Intruzów. Niektóre maszyny, te większe, to bez wątpienia były desantowce. Zostawiały za sobą dobrze widoczny niebieski ogon plazmy, ale pozostałe opadały wolno, przecinając niebo ściegami pozostawianymi przez pole siłowe. Kassad rozpoznawał przysadziste kształty kontenerów inwazyjnych Intruzów. Niektóre z nich zawierały zapasy i działa. Inne musiały być puste. Służyły jako wabik dla obrony przeciwlotniczej.

W chwilę później powłoka chmur znów została rozerwana. Z góry spadało kilka tysięcy kropek. Wyglądały jak grad. To piechota Intruzów desantowała się, wyprzedzając kontenery i resztę maszyn. Zwlekali do ostatniej chwili z włączeniem pól siłowych i paralołni.

Kimkolwiek był dowódca Armii, wiedział, co to jest dyscyplina. Potrafił zapanować nad sobą i swoimi ludźmi. Baterie naziemne i marines, rozwinięci wokół miasta, zignorowali łatwe cele – desantowce i kontenery. Czekali, aż desant powietrzny włączy urządzenia hamujące. Niektórzy żołnierze intruzów robili to niemal na wysokości szczytów drzew. W jednej chwili powietrze wypełniło się wstęgami dymu wybuchających pocisków i tysiącami rozbłysków laserowego ognia.

Na pierwszy rzut oka dokonane przez obrońców zniszczenia były zatrważające. Zdawało się, że powinny powstrzymać dalszą ofensywę. Ale pobieżny przegląd wystarczył, żeby Kassad zorientował się, że co najmniej czterdzieści procent Intruzów zdołało wylądować wystarczająco dużo jak na pierwszą falę szturmu planetarnego.

Grupa pięciu paralołni zbcoczyła w stronę góry, na której stali Kassad i Moneta. Promienie wystrzelone z podnóża góry sprawiły, że dwie spadły w płomieniach. Jedna wpadła w paniczny korkociąg, żeby uniknąć ognia, a dwie ostatnie złapały wiatr ze wschodu i po spirali oddaliły się ku pobliskiemu lasowi.

Kassad chłonał bitwę wszystkimi zmysłami. Czuł zapach zjonizowanego powietrza i kordytu. Dym i mdły odór plazmy sprawiły, że rozdęły mu się nozdrza. Gdzieś w mieście wyły syreny, wiatr niósł odgłos strzałów broni ręcznej i trzask palących się drzew. Radio nadawało na wszystkich częstotliwościach. Dolinę oświetlały płomienie, a lance laserowego ognia błądziły po chmurach jak reflektory. Pół kilometra od nich, gdzie las przechodził w porośniętą trawą podgórze, marines Hegemonii wiazali walką wręcz spadochroniarzy Intruzów. Wrzaski dochodziły aż na szczyt.

Kassad patrzył na to widowisko z fascynacją. Ostatni raz miał takie uczucie, gdy przyglądał się szarzy francuskiej kawalerii pod Agincourt, w czasie symulowanych ćwiczeń w akademii wojskowej.

– To nie jest symulacja?

– Nie – odparła Moneta.

– To się dzieje teraz?

Srebrna postać stojąca u jego boku uniosła głowę.

– Kiedy jest teraz?

– Równolegle z naszym... spotkaniem w Dolinie Grobowców Czasu.

– Nie.

– Więc to przyszłość?

– Tak.

– Bliska przyszłość?

– Tak. Pięć dni po tym, kiedy wraz z przyjaciółmi przybyłeś do doliny.

Kassad potrząsnął głową ze zdziwienia. Jeśli miał uwierzyć Monecie, przeniósł się w czasie.

Odwróciła się do niego. Jej twarz odbijała płomienie, mieniła się wszystkimi barwami tęczy.

– Czy chcesz wziąć udział w walce?

– Walczyć z Intruzami? – Założył ramiona i popatrzył przed siebie ze skupieniem.



Wiedział już, jakie walory bojowe ma jego dziwny kombinezon. Byłby chyba w stanie bez niczyjej pomocy odwrócić losy bitwy. Mógłby zapewne zlikwidować te kilka tysięcy Intruzów, którzy zdołali wylądować.

– Nie – wysłał do niej informację. – Nie teraz. Nie w tej chwili.

– Władca Bólu uważa cię za wojownika.

Kassad odwrócił się i spojrzał na nią. Trochę go dziwiło, że dziewczyna nadaje Chyżwarowi taki pompatyczny tytuł.

– Władca Bólu może mi skoczyć. Chyba że chce sam ze mną walczyć.

Moneta przez minutę nawet się nie poruszyła. Wyglądała jak srebrna rzeźba stojąca na omiatanym wiatrami szczycie góry.

– Naprawdę chciałbyś się z nim zmierzyć? – zapytała wreszcie.

– Przybyłem na Hyperiona, by go zabić. Ciebie też. I będę toczył z wami bój bez względu na to, czy się zgodzicie.

– Ciągłe uważasz mnie za swego wroga?

Kassad przypomniał sobie walkę, którą stoczyli przy grobowcach. To nie był gwałt. Ona wypełniła jego życzenie, jego niewypowiedzianą chęć, żeby znów zostać kochankiem tej niesamowitej kobiety.

– Nie wiem, kim jesteś.

– Z początku, jak wielu, byłem ofiarą – odparła Moneta. Zwróciła wzrok ku dolinie.

– Potem, daleko w naszej przyszłości, zrozumiałam, dlaczego stworzono Władcę Bólu... dlaczego on musiał zostać stworzony. I wtedy stałam się jego towarzyszką, a zarazem opiekunką.

– Opiekunką?

– Nadzoruję prądy czasu, naprawiam maszynę i dbam o to, żeby Władca Bólu nie przebudził się, zanim nadejdzie jego czas.

– Więc możesz go kontrolować? – Kassadowi na samą myśl serce zaczęło bić żywiej.

– Nie.

– Więc kto, albo co, go kontroluje?

– Tylko ten, kto pokona go w walce.

– Kto go pokonał?

– Nikt – odpowiedziała Moneta. – Ani w twojej przyszłości, ani w przeszłości.

– Ilu próbowało?

– Miliony.

– I wszyscy zginęli?

– Albo gorzej.

Kassad zaczerpnął tchu.

– Czy ja będę mógł się z nim zmierzyć?

– Będziesz mógł.

Kassad westchnął. Nikt go nie pokonał. Jego przyszłość jest jej przeszłością. Mieszkała tu. Widziała to straszliwe drzewo cierni. Widziała znajome twarze, tak jak on widział Mamina Silenusa wbitego na pał, wijącego się, na wiele lat przedtem, zanim go spotkał. Kassad odwrócił się tyłem do pola walki.

– Czy możemy iść do niego już teraz? Wyzwę go na pojedynek.

Moneta patrzyła na niego przez chwilę w milczeniu. Kassad widział swoje odbicie w jej kombinezonie. Odwróciła się bez odpowiedzi, wyciągnęła rękę i przywołała portal.

Kassad uczynił krok i przeszedł pierwszy.



Meina Gladstone przeniosła się bezpośrednio do budynku rządowego. W towarzystwie Leigha Hunta i tuzina innych adiutantów udała się natychmiast do Centrum Dowodzenia Taktycznego. Sala była wypełniona pobrzedzi. Morpurgo, Singh, Van Zeidt i kilkunastu innych reprezentowali wojsko. Zauważyła, że brakuje młodego bohatera marynarki wojennej, komandora Lee. Była natomiast obecna większość ministrów, włączając Altana Imoto z ministerstwa obrony, Gariona Persova z resortu dyplomacji i Barbre Dan – Gyddis od gospodarki. Senatorzy napływali przez cały czas do sali. Niektórzy z nich wyglądali, jakby ich przed chwilą obudzono. W „kąćniku mocarzy” przy owalnym stole zasiadali: senator Kolchev z Lususa, Richeau z Renesansu, Roanquist z Nordholmu, Kakinuma z Fuji, Sabenstorafem z Sol Draconi Septetu i Peters z Denebi Drei. Prezydent Pro Tem Denzel – Hiat – Amin siedział ze skonfundowaną miną. W jego łysej czaszce odbijały się światła jupiterów. Młody kolega prezydenta, Mówca WszechJedności Gibbons przysiadł na brzegu krzesła. Ręce trzymał na kolanach, ledwo powstrzymując rozpierającą go energię. Na wprost pustego fotela Gladstone widać było projekcję radcy Albedo. Wszyscy wstali, gdy wkroczyła energicznie do sali. Zajęła miejsce i zaprosiła obecnych gestem, żeby usiedli.

– Proszę o wyjaśnienia – powiedziała.

Generał Morpurgo wstał, skinął głową na podwładnych. Światła zaczęły przygasać, pojawiały się mgliste hologramy.

– Niech pan zostawi te obrazki! – warknęła Meina Gladstone. Niech pan mówi.

Hologramy zbladły, światła zapaliły się ponownie. Morpurgo wyglądał na oszołomionego. Spojrzał na swój świetlny wskaźnik, zmarszczył brwi i wsadził go do kieszeni.

– Pani przewodnicząca, państwo senatorowie, ministrowie, panie prezydencie, panie mówco, szanowni zgromadzeni... – Morpurgo odchrząknął. – Intruzom powiodło się przeprowadzenie zaskakującego, piorunującego natarcia. Ich roje bojowe zbliżają się do kilku planet Sieci.

Na sali powstało poruszenie.

– Planety Sieci! – podniósł się tuzin głosów. Krzyczeli ministrowie, senatorowie i wysocy urzędnicy.

– Cisza – powiedziała Gladstone. – Generale, zapewniał nas pan, że wszelkie siły nieprzyjaciela znajdują się co najmniej o pięć lat od Sieci. Jak i dlaczego to się zmieniło?

Generał spojrział CEO prosto w oczy.

– Pani przewodnicząca, o ile mi wiadomo, wszystkie napędy Hawkinga były przynętą. Roje wyłączyły swoje prawdziwe napędy na dziesięciolecia wcześniej i wprowadziły swoje obiekty na podświetlonej...

Zagłuszyła go podniecona gadanina.

– Niech pan kontynuuje, generale – poprosiła Gladstone i szum znów ucichł.

– Wprowadzili je na szybkości podświetlonej... niektóre roje musiały przemieszczać się w ten sposób od pięćdziesięciu i więcej lat... nie było możliwości, żeby je wykryć. To po prostu nie była wina...

– Jakie planety są zagrożone, generale? – zapytała. Mówiła bardzo spokojnym, bardzo równym głosem.

Morpurgo patrzył w przestrzeń, jakby tam coś widział. Zwrócił spojrzenie z powrotem na stół. Zacisnął pięści.

– Nasz wywiad, opierając się na pomiarach włączanych przez nieprzyjaciela napędów Hawkinga, sugeruje, że pierwsza fala natarcia, w ciągu najbliższych piętnastu do siedemdziesięciu dwóch godzin, dotrze do Bramy Niebios, Bożej Kniei, Mare Infinitus, Asquith, Ixion, Tsingtao – Hsishuang Panna, Akteona, planety Barnarda i Tempe.

Tym razem nikt nie uciszał zgiewku. Meina Gladstone pozwoliła na kilkanaście minut krzyków i zamieszania. Wreszcie uniosła rękę, by uspokoić zgromadzonych.



Senator Kolchev wstał.

– Jak to się stało, do jasnej cholery, generale? Pańskie zapewnienia nie pozostawiały miejsca na wątpliwości!

Morpurgo nie poddał się presji. W jego głosie nie było gniewu.

– To prawda, senatorze, ponadto te zapewnienia opierały się na fałszywych danych. Myliliśmy się. W ciągu godziny wręczę CEO moją rezygnację... inni szefowie łączonych sztabów zrobią to samo.

– Do diabła z pańską rezygnacją! – wrzasnął Kolchev. – Zanim to się skończy, wszyscy możemy wisieć na podporach portali. Pytanie brzmi: co pan zamierza począć z tą inwazją?

– Gabrieliu – powiedziała miękko Meina Gladstone – usiądź, proszę. To jest także moje pytanie. Generale? Admirale? Domyślam się, że zdążyli już panowie wydać rozkazy dotyczące obrony tych planet.

Admirał Singh wstał i zajął miejsce przy boku Morpurgo.

– Pani przewodnicząca, zrobiliśmy, co było w naszej mocy. Niestety, spośród wszystkich planet zagrożonych inwazją, tylko Asquith ma kontyngent Armii. Do pozostałych może dotrzeć flota wojenna, ale nie starczy okrętów, żeby zorganizować linie obronne wokół wszystkich planet. I, niestety... – Singh przerwał na moment, potem podniósł głos, żeby być słyszalnym nad wzmagającym się tumultem. – I niestety, rozpoczęła się już operacja przemieszczenia posiłków na Hyperiona. W przybliżeniu sześćdziesiąt procent spośród dwustu jednostek floty, które przeznaczaliśmy do obrony systemu Hyperiona, zostały tam już przetransmitowane albo znajdują się na obszarach koncentracji, z dala od wysuniętych pozycji obronnych na peryferiach Sieci.

Meina Gladstone potarła policzek. Uświadomiła sobie, że nadal ma na sobie pelerynę, chociaż kołnierz prywatności już opuściła. Odpięła szatę i pozwoliła jej opaść na oparcie fotela.

– Z tego, co pan mówi, admirale, wynika, że planety pozostaną bez obrony i nie ma sposobu na to, żeby przemieścić na nie nasze siły. Singh stał na baczność, sztywny jakby kij połknął, jakby stał przed plutonem egzekucyjnym.

– Zgadza się, CEO.

– Co można zrobić? – zapytała, przekrzykując wzburzonych uczestników obrad.

Wystąpił Morpurgo.

– Korzystamy z portali cywilnych, żeby transmitować do tych zagrożonych światów tylu żołnierzy piechoty i marines, ilu tylko zdołamy. Wraz z nimi przeniesiemy lekką artylerię i baterie obrony przeciwlotniczo – przeciwkosmicznej.

Minister obrony Imoto zabrał głos:

– Ale to nie da wiele, skoro brakuje marynarki wojennej. Meina Gladstone spojrzała na Morpurgo.

– To prawda – potwierdził generał. – W najlepszym wypadku nasze siły wystarczą jako ochrona dla przeprowadzenia akcji ewakuacyjnej...

– Akcji ewakuacyjnej! – krzyknęła senator Richeau. – Generale, wczoraj mówił pan nam, że ewakuowanie trzech milionów cywilów z Hyperiona jest niepraktyczne. Czy teraz chce pan nam wmówić, że możliwe jest ewakuowanie... – przerwała na moment, żeby skonsultować się ze swoim implantem – siedmiu miliardów ludzi, zanim do planet dotrą siły inwazyjne Intruzów?

– Nie – odparł Morpurgo. – Możemy poświęcić żołnierzy, żeby uratować nielicznych... nielicznych, wyselekcjonowanych funkcjonariuszy, Pierwszych Rodzin, przywódców społecznych i gospodarczych niezbędnych do kontynuowania wysiłku wojennego.

– Generale – powiedziała Meina Gladstone – wczoraj wyraziliśmy zgodę na przeniesienie żołnierzy Armii, by wsparły flotę w układzie Hyperiona. Czy nie będzie problemów z nowym dyslokowaniem oddziałów?

Wstał generał marines Van Zeidt.

– Tak, będą kłopoty. W godzinę po podjęciu wczorajszej decyzji oddziały przetrans-



mitowano do oczekujących na nie promów. Prawie dwie trzecie wyznaczonych oddziałów zostało przeniesione do układu Hyperiona o – popatrzył na swój antyczny chronometr – 0530 czasu standardowego. To znaczy mniej więcej dwadzieścia minut temu. Minie co najmniej osiem do piętnastu godzin, zanim te wojska będą mogły wrócić na pozycje wyjściowe i przenieść się do Sieci.

– Ile oddziałów Armii dostępnych jest w całej Hegemonii? – zapytała Meina Gladstone.

Morpurgo wstrzymał oddech.

– W przybliżeniu trzydzieści tysięcy, pani przewodnicząca.

Senator Kolchev trzasnął dłonią o blat stołu.

– Więc ogołociliśmy Sieć nie tylko z okrętów, ale i z większości oddziałów Armii?! To było pytanie retoryczne.

– Pani przewodnicząca, moja planeta... wszystkie wymienione planety... muszą być ostrzeżone – zażądała senator Feldstein z planety Barnarda. – Jeśli nie jest pani przygotowana do natychmiastowego wystąpienia, ja to zrobię.

Meina Gladstone skinęła głową.

– Wydam oświadczenie o inwazji natychmiast po tym spotkaniu, Doroto. Ułatwimy ci kontakt z obywatelami poprzez wszystkie media.

– Niech diabli wezmą media – powiedziała niska, czarnowłosa kobieta. – Teletransportuję się do domu, jak tylko tu skończymy. Los, który spotka Barnarda, jest także moim losem. Panie i panowie. Wszyscy będziemy wisieć, jeśli te informacje okażą się prawdziwe stwierdziła na koniec i usiadła wśród szeptów i pomruków.

Wstał mówca Gibbons. Począł, aż sala się uciszy. Mówił ostrym głosem:

– Generale, pan mówił o pierwszej fali... czy to tylko taki asekurancki żargon wojskowy, czy też ma pan informacje, że będą następne fale inwazji? Jeśli tak, to jakie inne planety Hegemonii i Protektoratu są zagrożone?

Morpurgo zaciskał pięści. Znów popatrzył w pustkę i zwrócił się do Meiny Gladstone.

– Pani przewodnicząca, czy mógłbym jednak posłużyć się obrazem?

CEO skinęła głową.

Holo było to samo, co w czasie odprawy na Olympusie: Hegemonia – złoty kolor, gwiazdy Protektoratu zielone, wektory rojów Intruzów zaznaczone jako czerwone linie z niebieskimi, przesuwającymi się ogonami, flota Hegemonii – pomarańczowa. Z miejsca można było zauważyć, że czerwone wektory bardzo zboczyły ze starego kursu. Wbiły się w przestrzeń Hegemonii jak zakrwawione włócznie. Pomarańczowy żar skupiał się w układzie Hyperiona. Jego ślady rozciągały się też wzdłuż linii łączących portale transmisyjne, jak paciorki różańca.

Kilku senatorów, znajdujących się na wojskowości, aż jęknęło na ten widok.

– Z dwunastu rojów, o których wiemy – powiedział Morpurgo spokojnym głosem – wszystkie zdają się przygotowywać do inwazji na Sieć. Niektóre rozdzieliły się na wiele mniejszych grup uderzeniowych. Druga fala, która ma przybyć w okolice celów w sto do dwustu pięćdziesięciu godzin po pierwszym ataku, ukazana jest w formie wektorów.

Na sali nikt się nie odzywał. Meina Gladstone zastanawiała się, czy tylko ona wstrzymała oddech.

– Cele drugiej fali ataku to: Hebron za sto godzin od chwili obecnej; Renesans za sto dziesięć godzin; Nordholm za sto dwadzieścia godzin; Maui – Przymierze za sto trzydzieści godzin; Thalia za sto czterdzieści trzy godziny; Deneb Drei i Vier za sto pięćdziesiąt godzin; Sol Draconi Septetu za sto sześćdziesiąt dziewięć godzin; Freeholm za sto siedemdziesiąt godzin; Nowa Ziemia za sto dziewięćdziesiąt trzy godziny; Fuji za dwieście cztery godziny; Nowa Mekka za dwieście pięć godzin; Pacem, Armaghast i Svoboda za dwieście dwadzieścia jeden godzin; Lusus za dwieście trzydzieści godzin; Centrum Tau Ceti za dwieście pięćdziesiąt godzin.

Hologram zbladł. Cisza trwała. Generał Morpurgo powiedział:



– Zakładamy, że roje pierwszej fali mają cele dodatkowe, które zostaną przez nie zaatakowane po właściwej inwazji, ale czas przelotu na napędzie Hawkinga odbędzie się kosztem standardowego długu czasowego Sieci, obejmującego okres od dziewięciu miesięcy do trzech lat – generał cofnął się o krok i stanął w pozycji na spocznij.

– Dobry Boże – szepnął ktoś siedzący o kilka krzeseł za Meina Gladstone.

Przewodnicząca potarła dolną wargę: Żeby uratować ludzkość od tego, co uznawała za wieczną niewolę... była gotowa wpuścić wilka do owczarni frontowymi drzwiami i uratować owieczki. Teraz właśnie nadszedł ten dzień; wilki włożyły wszystkimi drzwiami i oknami. Prawie się uśmiechnęła na myśl o swojej głupocie: spuściła chaos z łańcucha, a potem chciała go kontrolować.

– Po pierwsze – powiedziała – nie będzie rezygnacji i samooskarżeń, dopóki na to nie pozwolę. Całkiem możliwe, że ten rząd upadnie, że członkowie gabinetu, nie wykluczając mnie, będą, jak to z sobie właściwą swadą ujęła Dorota Feldstein, wisieć na latarniach. Ale tymczasem jesteśmy rządem Hegemonii i prowadzimy działalność rządową. Po drugie, za godzinę spotkam się z tu zebranymi i przedstawicielami innych komisji senackich w celu omówienia orędzia, które wygłoszę wobec Sieci o 0800 czasu standardowego. Państwa sugestie będą tym razem mile widziane. Po trzecie, rozkazuję dowódcom Armii zgromadzonym tutaj i znajdującym się na całym obszarze Hegemonii, by uczynili wszystko co w ich mocy, aby chronili i ratowali obywatele oraz ich dobra w Sieci i Protektoracie. Mogą pyry tym użyć wszelkich niezbędnych środków i sposobów. Generale, admirale, chcę, żeby w ciągu dziesięciu godzin wojska zostały przeniesione z powrotem na zagrożone planety Sieci. Nie obchodzi mnie, jak to zrobicie, ale to musi być wykonane. Po czwarte, po moim orędziu zwołam plenarne posiedzenie Senatu i WszechJedności. Ogłoszę wtedy, że między Hegemonią Człowieka a narodami Intruzów istnieje stan wojny. Gabrielu, Doroto, Tomie, Eiko... przez najbliższe kilka godzin będziecie bardzo zajęci. Przygotujcie przemówienia dla planet ojczystych i oddajcie na mnie głosy! Chcę mieć jednogłośnie poparcie Senatu. Mówco Gibbons, mogę pana tylko prosić o pomoc w prowadzeniu obrad WszechJedności. To niezmiernie ważne, żebyśmy zakończyli głosowanie do godziny 1200. Nie może być niespodzianek. Po piąte, spróbujemy jednak ewakuować obywateli z planet zagrożonych pierwszą falą ataku – uniosła rękę i zamknęła usta zbierającym się do protestowania i wyjaśnień ekspertom.

– Ewakuujemy każdego, kogo zdołamy w danym nam czasie. Ministrowie Persoc, Imoto, Dan – Gyddis i Czunnens z Ministerstwa Transportu Sieci stworzą i pokierują Radę Koordynacyjną Ewakuacji. Do 1300 godziny standardowej dostarczą mi szczegółowy raport o planie akcji. Armia i Biuro Bezpieczeństwa Sieci zapewni kontrolę nad tłumem i nad dostępem do portali transmisyjnych. Na koniec, za pięć minut chcę widzieć w swoich prywatnych apartamentach radcę Albedo, senatora Kolcheva i mówcę Gibbonsa. Czy ktoś ma jakieś pytania?

Wszyscy spuścili wzrok.

Meina Gladstone wstała.

– Życzę szczęścia – powiedziała. – Działajcie szybko. Nie róbcie niczego, by wzniecać niepotrzebną panikę. I niech Bóg zbawi Hegemonię. – Odwróciła się i wyszła.

Meina Gladstone siedziała za biurkiem. Naprzeciw niej usiedli Kolchev, Gibbons i Albedo. W powietrzu panowało napięcie i oczekiwanie. Stan ten pogłębiało jeszcze bardziej długie milczenie CEO. Nie spuszczała oczu z radcy – Albedo.

– Zdradziliście nas – powiedziała wreszcie.

Uśmiech bywalca nie zniknął z twarzy hologramu.

– Za nic, CEO.

– Ma pan zatem jedną minutę, żeby wytłumaczyć, dlaczego TechnoCentrum, a w szczególności Grupa Doradcza SI nie przewidziały tej inwazji.

– Wystarczy jedno słowo, pani przewodnicząca: Hyperion – odparł Albedo.

– Do cholery z Hyperionem! – wrzasnęła, waląc dłonią w blat antycznego biurka.



Taki wybuch gniewu zupełnie do niej nie pasował. Niedobrze mi się robi od słuchania o nie dających się oszacować zmiennych i o Hyperionie jako czarnej dziurze dla wszelkich przewidywań, Albedo. Albo Centrum jest w stanie pomóc nam w szacowaniu prawdopodobieństwa, albo oszukiwało nas od pięciu stuleci. Są tylko te dwie możliwości.

– Rada przewidziała wojnę, CEO – odparł. – Nasze poufne sugestie przekazywane pani i wąskiej grupie wtajemniczonych uwzględniały niepewność przebiegu wydarzeń w przypadku włączenia do szacunków Hyperiona.

– To bzdura – warknął Kolchev. – Wasze przewidywania dotyczące ogólnego rozwoju wypadków miały być nie do podważenia. Ich natarcie musiało być zaplanowane z wyprzedzeniem całych dziesięcioleci. Może nawet stuleci.

Albedo wzruszył ramionami..

– Tak, senatorze. Ale to determinacja, z jaką wasz rząd postanowił rozpocząć wojnę właśnie w układzie Hyperiona, sprawiła, że Intruzom udało się wcielić plany w życie. Odradzałam prowadzenie jakichkolwiek działań uwzględniających Hyperiona.

Mówca Gibbons pochylił się do przodu.

– To wy dacie nam nazwiska osób niezbędnych do tak zwanej pielgrzymki do Chyżwara.

Albedo nie wzruszył ponownie ramionami, ale jego projekcja przybrała swobodną pozę.

– To wy zapytaliście nas o nazwiska osób pochodzących z Sieci, których prośba skierowana pod adresem Chyżwara mogłaby zmienić przewidywany przez nas wynik wojny.

Meina Gladstone dotknęła podbródka.

– Czy zdołaliście już ustalić, jak te prośby mogą zmienić przebieg wojny?

– Nie – odparł Albedo.

– Panie radco – rzekła Meina Gladstone – proszę przyjąć do wiadomości, że Hegemonia Człowieka w ciągu najbliższych kilku dni rozważy możliwość wypowiedzenia wojny bytowi zwanemu TechnoCentrum. Jako że de facto jest pan ambasadorem tego bytu, obarczam pana misją przekazania zasłyszanej tu informacji.

Albedo uśmiechnął się i rozpostarł ręce.

– Pani przewodnicząca, szok wywołany ostatnimi wieściami musiał sprawić, że opowiada pani nie najlepszej próby dowcipy. Wypowiedzenie wojny Centrum to tak, jakby ryba wypowiedziała wojnę wodzie, albo jakby kierowca zaatakował swój EMV, bo usłyszał, że gdzieś zdarzył się wypadek komunikacyjny.

Gladstone nie uśmiechała się.

– Miałam dziadka na Patawpha – powiedziała powoli, z wyraźnie słyszalnym akcentem. – Pewnego ranka wpakował sześć kul w rodzinny EMV, bo nie chciał ruszyć. Jest pan wolny, radco Albedo.

Albedo zamigotał i zniknął. Nagłe odejście było albo świadomym złamaniem protokołu – hologram zazwyczaj wychodził bądź zniknął dopiero, gdy inni opuścili pomieszczenie – albo znaczyło to, że inteligencją, która kontrolowała z Centrum projekcją, wstrząsnęła ta wymiana zdań.

Gladstone skinęła na Kolcheva i Gibbonsa.

– Nie będę już panów zatrzymywała. Chcę, żebyście niezawodnie mnie poparli za pięć godzin, kiedy przygotuję deklarację wojny.

– Otrzyma pani nasze poparcie – rzekł Gibbons. Obaj wyszli. Przez ukryte drzwi zaczęli wchodzić asystenci. Zarzucili CEO pytaniami. Gladstone uniosła palec.

– Gdzie jest Sevm? – Na widok zdumionych min dodała: – Ten poeta... chciałam powiedzieć artysta. No, ten, który maluje mój portret?

Paru asystentów popatrzyło po sobie, jakby ich szefowa dostała bzika.

– Nadal śpi – odparł Leigh Hunt. – Wziął pigułki nasenne. Nikt nie pomyślał, żeby budzić go na spotkanie.

– Chcę, żeby stawił się tutaj za dwadzieścia minut – powiedziała Gladstone. – Za-



wiadomcie go. Gdzie jest komandor Lee?

– Ostatniej nocy Morpurgo i szef sektora Armii-flota przydzielił Lee do patrolowania pogranicza. Komandor będzie przez najbliższe dwadzieścia lat skakał z jednej wodnej planety na drugą. W tej chwili jest na Bressii i czeka na transport – wyjaśniła Niki Cardon, młoda kobieta odpowiedzialna za kontakty z wojskowymi.

– Ściągnijcie go tutaj – zażądała Meina Gladstone. – Chcę, żeby go awansowano na kontradmirała, czy jakikolwiek inny stopień potrzebny, żeby przydzielono go tutaj, osobiście do mojej dyspozycji, a nie do budynku rządowego czy Sekcji Wykonawczej.

Przez chwilę patrzyła na pustą ścianę. Myślała o planetach, po których spacerowała jeszcze tej nocy: Barnard ze swoimi lampami przeświecającymi przez liście i starymi ceglanymi koledzami, Boża Knieja z balonami na uwięzi i zeplinami witającymi jutrzenkę, Brama Niebios ze swą Promenadą... to wszystko są cele pierwszej fali natarcia. Potrząsnęła głową.

– Leigh, chcę, żebyś z Tamą i Brindenathem przygotowali szkic przemówień – przesłania do WszechJedności i wypowiedzenia wojny. Dostarczycie mi je za czterdzieści pięć minut. Krótkie. Jednoznaczne. Sprawdźcie fiszki Churchilla i Strudensky'ego. To ma być realistyczne, ale wyzywające, optymistyczne, ale zabarwione ponurą determinacją. Niki, muszę mieć monitoring w czasie realnym wszystkich posunięć szefów połączonych sztabów. Chcę tu mieć własną mapę działań wojennych podłączoną do mojego implantu. TYLKO DO UŻYTKU CEO. Barbre, ty od tej chwili jesteś moim przedstawicielem dyplomatycznym w Senacie. Wleź tam, pociągaj za sznurki, szantażuj, schlebiaj i daj im do zrozumienia, że bezpieczniej dla nich będzie natychmiast polecieć w kosmos i walczyć z Intruzami, niż – narazić mi się w najbliższych trzech, czterech głosowaniach. Są pytania? – Odczekała trzy sekundy i klasnęła w dłoń. Do roboty, ludziska!

W krótkiej chwili samotności, zanim zwała się następna fala senatorów, ministrów i sekretarzy, Meina Gladstone odwróciła się w stronę pustej ściany i pogroziła palcem.

Zdażyła się odwrócić przodem do wejścia na czas, żeby przywitać tłoczących się VIP – ów.



Sol, konsul, ojciec Dure i nieprzytomny Het Masteen znajdowali się w jednym z Grobowców Jaskiniowych, gdy usłyszeli strzały. Konsul wyszedł sam. Poruszał się powoli, ostrożnie, wyczuwając gwałtowne prądy czasu, które wepchnęły ich w głąb doliny.

– Wszystko w porządku, prądy zelżały! – krzyknął za siebie. Białe światło latarni Sola rozjaśniało jaskinię. Oświetlało trzy białe twarze i bezwładny kształt pokryty pele-ryną.

Sol wstał. Twarzyczka jego córki wyglądała jak blady owal.

– Jesteś pewien, że to były strzały z pistoletu Brawne?

Konsul skinął ręką w stronę ciemności na zewnątrz.

– Żadne z nas, poza nią, nie ma broni palnej. Idę się rozejrzeć.

– Poczekaj – powiedział Sol. – Pójdę z tobą.

Ojciec Dure klęczał przy boku Heta Masteena.

– Idźcie, ja zostanę z nim.

– Jeden z nas wróci w ciągu pięciu minut – rzekł konsul.

Dolina jaśniała bladą poświatą emanującą z grobowców. Wiatr wiał od południa, ale przelatywał wysoko, nad ścianami urwisk otaczających dolinę. Wydmy nie przesuwają się. Deja vu sprawiło, że Sol przypomniał sobie gwałtowność prądu czasu sprzed godziny. Ale teraz wszystko się uspokajało.

Sol i konsul szli razem szlakiem wiodącym obok wypalonego pola walki przed Kryształowym Monolitem. Wysoka budowla emanowała mleczną poświatą odbijającą się w niezliczonych odłamkach zaśmiecających podejście do grobowca. Wspinali się dalej obok fosforyzującego Nefrytowego Grobowca. Potem skręcili i poszli łagodną serpentyną do Sfinksa.

– Mój Boże – szepnął Sol i przyśpieszył kroku. Starał się przy tym nie potrząsać nosilkami. Uklęknął przy ciemnej postaci leżącej na najwyższym stopniu.

– Brawne? – zapytał konsul. Gwałtownie chwycił powietrze po szybkim podejściu.

– Tak, – Sol już unosił jej głowę, ale nagle wyszarpnął rękę. Natrafił na coś śliskiego i chłodnego wystającego z jej czaszki.

– Nie żyje?

Sol przytulił główkę dziecka do piersi i na szyi leżącej namacał puls.

– Nie – odparł i odetchnął głęboko. – Żyje... ale jest nieprzytomna. Daj tu światło.

Sol wziął latarkę i oświetlił rozciągnięte ciało Brawne Lamii. Srebrny sznur – lepiej pasowała tu nazwa „macka”, bo była to mięsista masa przywodząca na myśl żywy organizm – wiodła od zagłębienia w czaszce kobiety poprzez stopnie przed wejściem do Sfinksa, w głąb grobowca. Sfinks jarzył się teraz najjaśniej spośród wszystkich grobowców, ale wejście było bardzo ciemne.

Konsul zbliżył się.

– Co to jest? – Wyciągnął rękę, żeby dotknąć srebrnego kabla, i cofnął ją równie szybko jak Sol. – Mój Boże, to jest ciepłe.

– Wygląda, jakby było żywe – zgodził się Sol. Ogrzewał dłonie Brawne i lekko klepał ją po policzkach, próbując obudzić. Nie ruszała się. Wstał i poświecił wzdłuż nienickiego w czeluściach grobowca kabla. – Nie wydaje mi się, żeby podłączyła się do tego z własnej woli.

– Chyżwar – powiedział konsul. Nachylił się, żeby uaktywnić odczyt biomonitora na komlogu Brawne. – Wszystko jest w normie, Sol, poza falami mózgowymi.

– Co wykazują?

– Wykazują, że ona nie żyje. Śmierć mózgu. W każdym razie, żadnych wyższych funkcji.

Sol westchnął i zakołysał się na piętach.

– Musimy sprawdzić, dokąd prowadzi kabel.



– A nie możemy go po prostu odłączyć?

– Patrz – powiedział Sol, podniósł włosy Brawne i oświetlił tył jej głowy. Kieszeń neuronowa, która w normalnym stanie wyglądała jak szeroka na dziesięć mikrometrów dyskieta umieszczona w małym wgłębieniu, była stopiona. Tkanka uformowała się w wypustkę i połączyła z wtykiem metalowego kabla.

– Żeby to usunąć, potrzebujemy sali operacyjnej – wyszeptał konsul. Dotknął purpurowej, jakby podrażnionej wypustki ciała. Brawne nie poruszyła się nawet. Konsul podniósł snop światła z latarki i wstał. – Zostań z nią. Ja pójdę za tym w głąb grobowca.

– Kontaktuj się ze mną na krótkich falach – powiedział Sol, mimo że wiedział, iż podczas prądów czasu ta forma łączności jest bezużyteczna.

Konsul skinął głową i poszedł szybko naprzód, nie czekając, aż strach sprawi, że znacznie się wahać.

Chromowany kabel wiódł głównym korytarzem. Znikał z pola widzenia za pomieszczeniem, w którym pielgrzymi spali poprzedniej nocy. Konsul omiótł salkę wzrokiem. Światło latarki wyławiało z mroku koce i tobołki, które pozostawili przenosząc się w pośpiechu.

Szedł wzdłuż kabla, skręcił za róg korytarza, dotarł do miejsca, gdzie z dużej sali w różne strony wiodły trzy mniejsze korytarze. Wspinał się po rampie, szedł wąskim przesmykiem, który badacze nazwali Drogą Króla Tutanchamona. I znów w dół, po rampie, potem tunelem tak niskim, że musiał się czołgać, starając się przy tym nie dotknąć cieplej jak ciało metalowej macki. Potem przemieszczał się podejściem tak stromym, że musiał wspinać się jak w kominie. Dalej szedł szerszym korytarzem, którego nie pamiętał z wcześniejszych wizyt. Z sufitu zwisały tu głazy i skapywała woda. Ześlizgiwał się w dół. Ścierał sobie naskórek hamując dłońmi i kolanami. W końcu pełzył przełazem dłuższym od samego grobowca. Zgubił się kompletnie. Miał nadzieję, że kabel pozwoli mu odnaleźć drogę powrotną.

– Sol – powiedział, nie wierząc ani przez chwilę, że fale komlogu przebijają się przez kamień i prądy czasu.

– Jestem – dobiegł go szept uczonego.

– Dotarłem chyba do samego piekła – konsul wychrypiał do komlogu. – Doszedłem tu korytarzem, którego wcześniej nie było. Zdaje się, że tu jest głęboko.

– Znalazłeś koniec kabla?

– Tak – odparł konsul. Usiadł i chusteczką otarł pot z twarzy.

– Czy to łączy? – zapytał Sol. Chodziło mu o jeden z niezliczonych punktów kontaktowych, w których obywatele Sieci mogli podłączyć się do datasfery.

– Nie. Kabel wchodzi bezpośrednio w kamienie podłogi. Korytarz tu się kończy. Staralem się go poruszyć, ale połączenie jest podobne do tego, które wyrasta z czaszki. Jest po prostu organicznie związane ze skałą.

– Wychodź już – dotarł do niego głos Sola przerywany statycznymi trzaskami. – Spróbujemy odciąć to od niej.

W wilgotnej ciemności tunelu konsul po raz pierwszy w życiu poczuł, jak ogarnia go klaustrofobia. Miał trudności z oddychaniem. Był pewien, że za nim, w ciemności coś stoi; zabiera mu powietrze i odcina drogę odwrotu. Niemal słyszał, jak wali mu serce.

Powoli zaczerpnął tchu, jeszcze zaraz otarł twarz i przemógł uczucie paniki.

– To może ją zabić – powiedział między jednym a drugim wdechem. Nie było odpowiedzi. Konsul jeszcze raz wywołał Sola, ale coś przecięło połączenie.

– Wychodzę – powiedział do milczącego nadajnika, odwrócił się i skierował światło latarki w głąb wąskiego tunelu. Czy kabel drgnął, czy była to tylko gra światła?

Konsul zaczął się czołgać tą samą drogą, którą przybył.

Heta Masteena znaleźli o zmierzchu, dosłownie kilka minut przed pierwszym uderzeniem burzy czasu. Kiedy konsul, Sol i ojciec Dure zobaczyli go po raz pierwszy, szedł potykając się, a zanim do niego dotarli, przewrócił się. Był nieprzytomny.



– Zanieśmy go do Sfinksa – zaproponował Sol.

W tym momencie, jakby zsynchronizowane z zachodem słońca, dosięgły ich prądy czasu. Ogarnęły ich mdłości i poczucie deja vu. Upadli na kolana. Rachel obudziła się i zaczęła płakać z wigorem wystraszonego noworodka.

– Idźmy do wyjścia z doliny – wydyszał konsul, wstając z Hetem Masteenem przewieszonym przez ramię. – Idźmy... wyjdźmy stąd.

Poszli w kierunku wyjścia, obok pierwszego grobowca, obok Sfinksa. Ale prądy czasu były coraz gorsze. Wiały im w twarz. Czuli potworne zawroty głowy. Po trzydziestu metrach nie byli w stanie dalej iść. Upadli na kolana. Het Masteen potoczył się po ubitej ścieżce. Rachel przestała zawodzić. Wiła się, szukając wygodnej pozycji.

– Z powrotem – wydyszał Paul Dure. – Z powrotem, w głąb doliny. Niżej... było lepiej.

Wracali po swoich śladach. Chwiali się jak trzech pijacy, którzy boją się upaść, bo niosą coś cennego. Poniżej Sfinksa odpoczęli oparci plecami o głazy. Wokół nich tkanka czasu i przestrzeni przemieszczała się i wybrzuszała. Wyglądało to tak, jakby świat był flagą, którą ktoś targa ze złością. Rzeczywistość falowała i zwijała się, załamywała się nad nimi jak grzbiet bałwana morskiego. Konsul położył templariusza przy głazie i ciężko dysząc upadł na kolana. W panice wpijał się palcami w glebę.

– Sześcian Móbiosa – powiedział templariusz, poruszając się. Oczy nadal miał zamknięte. – Musimy mieć sześcian Móbiosa.

– Do cholery – wystękał konsul. Potrząsnął brutalnie Masteenem. Po co on nam? Masteen, po co?

Głowa templariusza opadała bezwładnie w przód i w tył. Znów stracił przytomność.

– Przyniosę to – powiedział ojciec Dure. Ksiądz wyglądał na starego i chorego. Twarz i wargi mu pobladyły.

Konsul skinął głową, przerzucił Heta Masteena przez ramię, pomógł Solowi wstać i znów pokuśtykał w dół doliny. Czuł, że prądy pól antyentropicznych maleją, im dalej są od Sfinksa.

Ojciec Dure dowlóknął się na szczyt schodów i chwiejąc się wszedł do grobowca. Czepiał się głazów, jak marynarz za burtą czepia się rzuconej mu liny. Sfinks zdawał się chwiać nad nim. Przechylał się o kilkadziesiąt stopni na lewo i prawo. Ojciec Dure wiedział, że to prądy czasu zakłócają jego zmysły. Padł na kolana i zwymiotował.

Prądy ustały na chwilę. Było to jak dolina fali przed natarciem wielkiego grzywacza. Ojciec Dure wstał, otarł usta grzbietem dłoni i wszedł chwiejnym krokiem w mrok grobowca.

Nie wziął ze sobą latarki; potykał się, wymacywał drogę w ciemnym korytarzu. Nawiedzały go przeraźliwe wizje. Dotykał czegoś śliskiego i zimnego, wpadał do komory, w której leżał jego trup odzyskujący życie i kształty. Ojciec Dure wrzeszczał, ale głos gubił się w huku jego własnego pulsu, gdy prądy czasu powróciły ze zdwojoną mocą.

Pomieszczenie, w którym spali, zalegała ciemność. To była straszna, nieprzenikniona ciemność, całkowicie pozbawiona jakiegokolwiek światła. Ale oczy ojca Dure zdołały już przywyknąć do mroków. Zauważył poświatę nad sześcianem i mrugające na nim światełka wskaźników.

Rzucił się w poprzek zagraconego pomieszczenia i kurczowo schwycił sześcian. Z nagłym przypiływem adrenaliny uniósł ciężką skrzynię. Taśmy konsula wspominały o tym urządzeniu – tajemniczym bagażu Masteena – i o tym, że zawiera ono ponoć erga, jedno z kosmicznych stworzeń żyjących z pola energii, którymi templariusze posługiwali się jako napędem dla swoich drzewostatków. Ojciec Dure nie miał pojęcia, po co teraz może być potrzebny erg, ale przycisnął skrzynię do piersi i z wysiłkiem zaczął wracać. Wszedł z grobowca i skierował się w głąb doliny.

– Tutaj! – krzyknął konsul z pierwszego Grobowca Jaskiniowego położonego u podnóża urwiska. – Tutaj jest lepiej.

Ojciec Dure gramolił się z trudem. O mały włos nie upuścił sześcianu. Siły wyciekały



z niego. Na ostatnich trzydziestu stopniach prowadzących do grobowca konsul musiał mu pomóc.

W środku rzeczywiście było lepiej. Paul Dure wyczuwał napór i cofanie się prądów czasu tuż przed wejściem, ale z tyłu jaskini, gdzie żarkule oświetlały wyrafinowane rytzy naskalne, było prawie normalnie. Ksiądz zwał się na ziemię obok Soli Weintrauba i postawił skrzynię przed przyglądającym mu się w milczeniu templariuszem.

– Obudził się, gdy wszedłeś – wyszeptał Sol. Oczy dziecka były bardzo czarne i szeroko otwarte.

Konsul usiadł przy templariuszu.

– Po co nam sześcian? Masteen, po co on jest nam potrzebny? Het Masteen nie odwracał wzroku; nawet nie mrugał.

– Nasz sojusznik – wyszeptał. – Nasz jedyny sojusznik w walce z Władcą Bólu. – Mówił z wyraźnym akcentem używanym na planecie templariuszy.

– Jak to: nasz sojusznik? – zapytał Sol, łapiąc Masteena oburącz za przód szaty. – Jak mamy tego użyć? Kiedy?

Templariusz utkwiał wzrok w czymś bardzo odległym.

– Współzawodniczymy o honor – wyszeptał chrapliwie. – Prawdziwy Głos „Sequoia Sempervivens” jako pierwszy skontaktował się z cybrydalną postacią Keatsa... ale to mnie zaszczyliło światło Muira. To „Yggdrasill”, mój „Yggdrasill” został ofiarowany jako pokuta za nasze grzechy przeciw Muirowi. – Templariusz zamknął oczy. Lekki uśmieszek nie przystawał do jego surowej twarzy.

Konsul popatrzył na ojca Dure i Solę.

– To bardziej przypomina terminologię kultu Chyżwara niż dogmaty templariuszy.

– Możliwe, że to są obie te rzeczy naraz – wyszeptał ojciec Dure. W historii zdarzały się dziwniejsze koalicje teologiczne.

Sol dotknął ręką czoła templariusza. Było rozpalone od gorączki. Sol poszperał w jedynym pozostałym im medpaku. Szukał środka przeciwbólowego albo okładu na gorączkę. Znalazł jeden, ale zawahał się.

– Nie wiem, czy organizmy templariuszy mieszczą się w standardowych normach medycznych. Nie chcę, żeby zabiła go jakaś alergja.

Konsul wziął okład i założył go na cienkie przedramię chorego.

– Owszem, mieszczą się. – Nachylił się nad leżącym. – Masteen, co się stało w wiatrowozie?

Templariusz oczy miał otwarte, ale nieprzytomne.

– W wiatrowozie?

– Nie rozumiem – wyszeptał ojciec Dure.

Sol wziął go na bok.

– Masteen nic nie mówił o swoim odejściu. Zniknął pierwszej nocy, gdy jechaliśmy wiatrowozem. Zostały ślady krwi – kałuże krwi i jego bagaż, i sześcian Móbiusa. Ale po Masteenie nie było śladu.

– Co się stało na wiatrowozie? – znów wyszeptał konsul. Lekko potrząsnął templariuszem. – Myśl, Prawdziwy Głosie Drzewa, Hecie Masteen!

Twarz templariusza zmieniła wyraz. Oczy zaczęły wyglądać przytomnie. Lekko azjatyckie rysy twarzy przybrały znów surowy wygląd.

– Uwolniłem element z zamknięcia...

– Erga – wyszeptał Sol w ucho zdumionego księdza.

... i związałem go dyscypliną mego umysłu. Nauczyłem się tego na Wysokich Drzewach. Ale wtedy, bez ostrzeżenia, przyszedł do nas Władca Bólu.

– Chyżwar – szepnął Sol, bardziej do siebie niż do księdza.

– Czy to twoja krew była tam rozlana? – zapytał konsul.

– Krew? – Masteen naciągnął kaptur, by ukryć zmieszanie. – Nie, to nie była moja krew. Władca Bólu trzymał w uścisku... celebranta. Ten człowiek walczył. Próbował wymknąć się kolcom pokuty...



– A co stało się z ergiem? – naciskał konsul. – Z elementem? Czego się po nim spodziewałeś? Że obroni cię przed Chyżwarem?

Templariusz zachmurzył się i uniósł drżącą dłoń do czoła.

– On... nie był jeszcze gotowy. Ja nie byłem gotowy. Wsadziłem go znowu do ścianu. Władca Bólu dotknął mego ramienia. Byłem... zadowolony... że moja pokuta odbyła się jednocześnie z ofiarą mego drzewostatku.

Sol nachylił się bliżej do ojca Dure.

– Drzewostatek tego samego wieczoru został zniszczony na orbicie.

Het Masteen zamknął oczy.

– Jestem zmęczony – wyszeptał gasnącym głosem.

Konsul znów nim potrząsnął.

– Jak się tu dostałeś? Masteen, jak doszedłeś aż tutaj przez Morze Traw?

– Obudziłem się między grobowcami – wyszeptał templariusz nie otwierając oczu.

– Obudziłem się między grobowcami. Jestem zmęczony. Muszę spać.

– Dajmy mu odpocząć – powiedział ojciec Dure.

Konsul skinął głową i ułożył Masteena do snu.

– To nie trzyma się kupy – wyszeptał Sol, kiedy siedzieli w słabym świetle żarkuli, a prądy czasu szalały na zewnątrz.

– Straciliśmy jednego pielgrzyma, zyskaliśmy drugiego – mruknął konsul. – Jakby to była jakaś dziwaczna gra.

Godzinę później usłyszeli odgłos strzałów w głębi doliny.

Sol i konsul kucali przy nieruchomej Brawne Lamii.

– Potrzebowalibyśmy lasera, żeby to odciąć – powiedział Sol. Nasza broń zniknęła wraz z Kassadem.

Konsul dotknął przegubu dziewczyny.

– Odcięcie tego mogłoby ją zabić.

– Według wskazań biomonitora ona już jest martwa.

Konsul pokręcił głową.

– Nie. Tu się dzieje coś innego. To może być penetracja cybrydalnej osoby Keat-sa, którą nosi Brawne. Jak się to skończy, dziewczyna wróci do nas.

Sol ułożył córeczkę w zgięciu łokcia i popatrzył na promieniującą łagodnym światłem dolinę.

– Dom wariatów. Nic nie dzieje się tak, jak myśleliśmy. Gdyby tylko ten twój przeklęty statek był tutaj... znaleźlibyśmy na nim narzędzia, żeby odciąć Brawne od tego... od tej rzeczy... i ona, i Het Masteen mieliby szansę na przeżycie dzięki gabinetowi zabiegowemu.

Konsul nadal klęczał. Gapił się przed siebie.

– Zostań tu z nią, proszę. – Wstał i zniknął w czarnej czeluści Sfinksa. Pięć minut później był z powrotem. Niósł swoją wielką torbę podróżną. Wyciągnął z jej dna zwiniętą matę i rozłożył ją na najwyższym stopniu schodów wiodących do grobowca.

Była to stara mata o długości niecałych dwóch metrów, szeroka na metr. Przez stulecia tkanina wyblakła, ale osnowa z nici lewitacyjnych nadal błyszczała jak złoto. Konsul podłączył do maty baterię.

– Dobry Boże – wyszeptał Sol. Przypomnił sobie opowiadanie konsula o tragicznej miłości jego babki do marynarza Hegemonii Merina Aspica. Ten romans wywołał powstanie przeciwko Hegemonii i na lata pograżył Maui – Przymierze w zawierusze wojny. Merin Aspica przyleciał do Pierwszej Osady na macie należącej do jego przyjaciela.

Konsul skinął głową.

– Należała do Mike'a Osho, przyjaciela Merina. Siri zostawiła ją w swoim grobowcu, żeby Merin ją znalazł. Dał mi ją, gdy byłem dzieckiem, tuż przed bitwą o archipelag, w której zginął wraz ze swymi marzeniami o wolności.

Sol przesunął dłoń po starożytnej materii.



- Cholerna szkoda, że tutaj to nie działa.
- A dlaczego nie? – powiedział konsul.
- Pole magnetyczne Hyperiona jest poniżej poziomu potrzebnego dla pojazdów typu EM – odparł Sol. – To dlatego używa się tu raczej ślizgaczy niż EMV I dlatego barka „Benares” straciła zdolności lewitacyjne. – Przerwał. Zrobiło mu się głupio, że tłumaczy takie oczywistości człowiekowi, który przez jedenaście lokalnych lat był konsulem Hegemonii na tej planecie. – A może się mylę?

Konsul uśmiechnął się.

- Masz rację, że zwyczajne EMV nie mają tutaj racji bytu. Stosunek masy do siły wznoszenia jest za wysoki. Ale latająca mata prawie nie ma masy. To sama siła wznoszenia. Wypróbowałem ją, gdy mieszkałem w stolicy. To nie jest łatwa jazda... ale z jedną osobą na pokładzie powinno się powieść.

Sol spojrzął za siebie, w dolinę, w stronę, gdzie cień urwiska ukrywał wejście do Grobowców Jaskiniowych. Myślał, czy ojciec Dure i Het Masteen jeszcze żyją.

- Chcesz sprowadzić pomoc?

- Jeden z nas to robi; sprowadzi tutaj statek. A przynajmniej uwolni go i pośle po nas z automatycznym pilotem. Możemy ciągnąć losy.

Sol uśmiechnął się.

- Pomyśl tylko, przyjacielu. Dure nie ma zdrowia, by podróżować, a już na pewno nie zna drogi. Ja... – Podniósł Rachelę i przytulił jej główkę do policzka. – Podróż może potrwać kilka dni. A dla nas to za długo. Jeśli coś można dla niej zrobić, to musimy zostać tutaj i sprostać wyzwaniu. Musisz lecieć sam.

Konsul westchnął, ale się nie spierał.

- Poza tym – rzekł Sol – to twój statek. Jeśli ktokolwiek będzie w stanie uwolnić go spod aresztu nałożonego przez Meinę Gladstone, to tym kimś jesteś ty. I znasz dobrze generalnego gubernatora. Konsul popatrzył na zachód.

- Ciekawe, czy Theo nadal jest u władzy.

- Wracajmy. Opowiemy ojcu Dure o naszym planie – powiedział Sol. – Poza tym zostawiłem w jaskini odżywkę, a Rachelę zgłodniała.

Konsul zwinął matę, włożył ją do torby i popatrzył na Brawne Lamię i obrzydliwy kabel niknący w głębi grobowca.

- Czy nic się jej nie stanie?

- Powiem Paulowi, żeby przyszedł tu z kocem, a my przeniesiemy tutaj naszego drugiego inwalidę. Odleciez jeszcze w nocy, czy poczekaasz do wschodu słońca?

Konsul potarł policzki gestem znużonego człowieka.

- Nie podoba mi się pomysł lotu nad górami w nocy, ale nie mamy wiele czasu. Odleczę, jak tylko się zbiorę.

Sol kiwnął głową i popatrzył w stronę wejścia do doliny.

- Szkoda, że Brawne nie może nam powiedzieć, gdzie podział się Silenus.

- Rozejrzę się za nim, kiedy będę leciał – powiedział konsul. Spojrzął na gwiazdy. – To będzie jakieś trzydzieści sześć, czterdzieści godzin lotu do Keats. Kilka godzin, żeby uwolnić statek. Powinienem wrócić w ciągu dwóch standardowych dób.

Sol skinął głową. Kołysał dziecko. Jego zmęczona, przyjazna twarz nie kryła zważenia. Położył konsulowi rękę na ramieniu.

- Trzeba spróbować, przyjacielu. Chodź, pogadamy z ojcem Dure, zobaczymy, czy nasz templariusz już się przebudził, i zjemy razem posiłek. Zdaje się, że Brawne przyniosła dosyć zapasów, żebyśmy mogli sobie pozwolić na ucztę pożegnalną.



Kiedy Brawne Lamia była dzieckiem, wraz z ojcem senatorem i całą rodziną przeniosła się – na krótko – z Lususa do zadrzewionych wspaniałości kompleksu mieszkalnego Centrum Tau Ceti. Obejrzała wtedy starożytny film dwuwymiarowy Włta Disneya, kreskówkę „Piotruś Pan”. Po obejrzeniu filmu przeczytała książkę. Była zachwycona.

Przez całe miesiące pięcioletnia dziewczynka czekała, że pewnej nocy przyleci Piotruś Pan i zabierze ją ze sobą. Zostawiała wskazówki na kartkach, jak znaleźć jej sypialnię. Gdy rodzice spali, wychodziła z domu i kładła się na trawnikach Parku Łani. Patrzyła w mleczne nocne niebo TCZ i marzyła o chłopcu z Nowelandii, który wkrótce po nią przybędzie. Polecą najpierw na pierwszą po prawej gwiazdę, a potem, aż do rana, będą lecieli prosto przed siebie. Stanie się jego towarzyszką, matką dla zagubionych chłopców, współmścicielką dla okrutnika Hooka, a przede wszystkim – nową Wendy dla Piotrusia... koleżanką i przyjaciółką chłopca, który nigdy nie dorośnie.

Teraz, po dwudziestu latach, Piotruś wreszcie do niej przyszedł.

Kiedy szpon Chyżwara penetrował jej kieszeń neotonalną za uchem, Lamia nie czuła bólu, tylko nagłe, lodowate zawirowanie. Potem gdzieś leciała.

Unosiła się nad płaszczyznami datasfery już wcześniej. Przed kilkoma tygodniami wdarła się do matrycy TechnoCentrum ze swoim ulubionym cyberpunkiem, głupiutkim BB Surbringerem, żeby pomóc Johnny’emu wykraść jego cybrydalną personę. Ale wywołali alarm i BB zginął. Odtąd Lamia nie miała już ochoty wchodzić w datasferę.

Teraz jest tu znowu.

To, co czuje, nie daje się w żaden sposób porównać z doświadczeniami, które zebrała używając komlogu lub łączy publicznych. Tamto było jak holodrama z kwadrofonią. Teraz dzieje się to naprawdę.

Wreszcie przyszedł Piotruś i zabrał ją ze sobą.

Lamia wznosi się nad krzywizną Hyperiona. Widzi kanały podstawowe pełne danych płynących na mikrofalach i skompaktowanych promieni łączy komunikacyjnych tworzących embrionalną datasferę planety. Nie zatrzymuje się, żeby w nie wejść. Pędzi pomarańczową pępowiną, ciągnącą się od Hyperiona wzwyż, ku prawdziwym autostradam i głównym szlakom datasfery.

Przestrzeń Hyperiona najechała Armia i roje Intruzów. Obie strony przyniosły gmatwaninę własnych połączeń do datasfery. Lamia widzi tysiące warstw danych spływających kanałami Armii, burzliwy zielony ocean informacji poprzebijany czerwonymi żyłami szyfrowanej informacji i wirującymi fioletowymi sferami z krążącymi wokół czarnymi fagami. To są SI Armii. Nibynóżki wielkiej megadatasfery Sieci wylewają się z normalnej przestrzeni przez czarne dziury portali transmisyjnych okrętów. Na grzbietach fal tworzą się i zanikają drobne zmarszczki, które Lamia rozpoznaje jako nieustanne przekazy z kilku transponderów FAT.

Zatrzymuje się nagle. Nie jest pewna, dokąd się udać, w którą ulicę wejść. Ma wrażenie, że lata, a jej niepewność zagraża magicznej sile, która utrzymuje ją w powietrzu wiele kilometrów nad ziemią.

Wtedy Piotruś bierze ją za rękę i ciągnie za sobą.

– Johnny!

– Cześć, Brawne.

Obraz jej własnego ciała włącza się z kliknięciem w tym momencie, kiedy dostrzega Johnny’ego – swojego klienta i kochanka – takiego, jakim go widziała ostatnim razem. Ma ostre kości policzkowe, orzechowe oczy, mały nos i szeroką szczękę. Brązowo-czerwone loki opadają mu na kołnierz, twarz wygląda jak studium skoncentrowanej energii. Jego uśmiech nadal sprawia, że rozpływa się od środka.

– Johnny! – Ściska go i czuje ten uścisk i. jego mocne ramiona, kiedy szybuje



w przestworzach. Biust Brawne rozpląszcza się na jego klatce piersiowej, kiedy ściska ją także, ale z zaskakującą jak na jego drobną postać siłą. Pocałowali się i nie można było zaprzeczyć, że to działa się naprawdę.

Lamia szybuje na odległość wyciągniętych ramion. Trzyma dłonie na jego barkach. Ich twarze oświetla zielony i fioletowy blask wielkiego oceanu datasfery kołyszącego się w dół.

– Czy to jest prawdziwe? – słyszy własny głos, chociaż to pytanie tylko sobie pomysłała.

– Tak. Równie prawdziwe, jak każda inna część matrycy datasfery. Jesteśmy na skraju megasfery w przestrzeni otaczającej Hyperiona. – W jego głosie nadal jest ten ulotny akcent, który tak ją oszałamiał.

– Co się stało? – Wraz z tymi słowami przekazuje mu obraz pojawienia się Chyżwara i uczucie nagłej; strasznej penetracji jego stalowego palucha.

– Tak – mówi Johnny, przytulając ją. – Uwolnił mnie z dysku Schróna i wprowadził nas bezpośrednio w datasferę.

– Czy ja nie żyję, Johnny?

Twarcz Johna Keatsa uśmiechała się do niej z góry. Potrząsa nią delikatnie, całuje i obraca dookoła tak, żeby mogła podziwiać to, co dzieje się pod nią i nad nią.

– Nie, nie jesteś martwa, Brawne. Chociaż podłączono cię zapewne do jakiegoś dziwnego urządzenia podtrzymującego procesy życiowe, podczas gdy twój analog datasferyczny wędruje tutaj ze mną.

– Czy ty nie żyjesz?

Znów uśmiecha się do niej.

– Ależ nie. Chociaż życie w dysku Schróna to marne życie. To tak jakby śnić cudze sny.

– Ja śniłam o tobie. Johnny kiwa głową.

– Nie sądzę, żebym to był ja. Śniłem to samo... rozmowy z Meiną Gladstone, rzut oka na zebrania rządu Hegemonii...

– Tak!

Ściska jej dłoń.

– Podejrzewam, że reaktywowali jeszcze jednego cybryda Keatsa. W jakiś sposób mogliśmy się kontaktować bez względu na to, że dzieliła nas odległość całych lat świetlnych.

– Jeszcze jeden cybryd? Jak to możliwe? Zniszczyłeś wzór w Centrum, uwolniłeś personę...

Jej kochanek wzrusza ramionami. Ubrany jest w pogniecioną koszulę z jedwabnym kołnierzem o wykroju, którego wcześniej nie widziała. Rzeka danych przepływająca aleją nad nimi rzuca na nich kolorowe, pulsujące neonowe światło.

– Podejrzewam, że jest więcej kopii, niż udało nam się znaleźć razem z BB. Penetracja peryferiów Centrum była bardzo płytka. Ale to nie ma znaczenia, Brawne. Jeśli jest jeszcze jedna kopia, to znaczy, że to jestem jeszcze jeden ja. Nie wierzę, żeby to mógł być nasz wróg. Chodź, idziemy na poszukiwania.

Lamia opiera się przez moment, gdy ciągnie ją za sobą.

– Czego szukamy?

– To nasza szansa, żeby stwierdzić, co się dzieje, Brawne. Szansa, żeby odkryć mnóstwo tajemnic:

Słyszy nienormalną dla niej bojaźliwość we własnym głosie.

– Nie jestem pewna, czy tego chcę, Johnny.

Odwraca się, żeby na nią spojrzeć.

– Czy to jest ten detektyw, którego znałem? Co się stało z kobietą, która nie zносиła tajemnic?

– Przeżyła wiele złego, Johnny. Gdy spojrzę za siebie, widzę, że zostałam detektywem przede wszystkim z powodu samobójstwa ojca. Nadal staram się rozwiązać za-



gadkę jego śmierci. Tymczasem skrzywdzono wielu innych ludzi. Nie wyłączając ciebie, kochanie.

– I udało ci się rozwiązać zagadkę?

– Którą?

– Śmierci ojca?

Lamia ściąga brwi.

– Nie wiem. Nie sędzę.

Johnny wskazuje na płynną masę datasfery bulgoczącą nad nimi. – Tam czeka wiele odpowiedzi, Brawne. Wystarczy wziąć się na odwagę, żeby po nie sięgnąć.

Znów chwyta go za rękę.

– Możemy tam zginąć.

– Tak.

Lamia patrzy w dół, ku Hyperionowi. Planeta jest ciemną krzywizną z kilkoma izolowanymi cystami datasfery żarzącymi się jak ogniska w nocy. Wielki ocean nad nimi pulsuje światłem i huczy przepływającymi danymi. Brawne wie, że to tylko maleńki fragmencik datasfery kryjącej się dalej. Wie... czuje, że ich odrodzone analogi datasferyczne mogą dotrzeć do miejsc, o których nie marzyło się żadnemu kowbojowi cyberpunkowemu.

Z Johnnym w charakterze przewodnika można spenetrować datasferę do głębokości, do której nie dotarł żaden żyjący. Boi się. Ale jest w towarzystwie Piotrusia Pana. A Newerlandia kiwa na nią ręką.

– W porządku, Johnny. Na co czekamy?

Unoszą się razem w stronę megasfery.



Pułkownik Fedmahn Kassad przekroczył portal w ślad za Monetą i stanął na ogromnej księżycowej równinie, z której wyrastało straszliwe drzewo. Jego ciernie sięgały na pięć kilometrów wzwyż aż pod krwistoczerwone niebiosa. Postacie ludzkie wiły się na tych cierniach i gałęziach. Bliższe miały całkiem rozpoznawalne, pełne cierpienia rysy. Dalsze, zmniejszone przez odległość, wyglądały jak blade winogrona.

Kassad zamrugał oczami i zaczerpnął tchu pod rtęciową powłoką kombinezonu. Rozejrzał się odrywając wzrok od potwornego drzewa.

To, co wydawało mu się księżycową równiną, było w istocie powierzchnią Hyperiona przy wejściu do Doliny Grobowców Czasu. Ale był to Hyperion straszliwie zmieniony. Zamarznięte i zniekształcone wydmy wyglądały, jakby zeszklił je podmuch wysokiej temperatury; głązy i fasada urwiska też miały stopioną, szklistą powierzchnię. Przypominały lodowce. Nie było atmosfery – czarne niebo przypominało o bezlitosnej księżycowej próżni, a słońce nie było słońcem Hyperiona; takiego światła nie doświadczyło oko człowieka. Kassad spojrział w górę. Filtry wzrokowe jego kombinezonu spolaryzowały się, żeby się uporać z koszmarną energią wypełniającą przestrzeń wstęgami krwistej czerwieni i wybuchami białego światła.

Pod stopami Kassada dolina drżała. Grobowce Czasu jarzyły się od własnej wewnętrznej energii, przez wszystkie wejścia, otwory i portale wydostawało się pulsujące zimne światło. Grobowce wyglądały tak, jakby dopiero je zbudowano: nowe, gładkie i lśniące.

Kassad zrozumiał, że tylko kombinezon pozwala mu oddychać i chroni go przed księżycowym zimnem, które zastąpiło skwar pustyni. Odwrócił się, by spojrzeć na Monetę. Spróbował o coś zapytać, ale nie udało mu się sformułować zdania. Jeszcze raz podniósł wzrok na to niesamowite drzewo.

Ciernie wydawały się z tej samej chromowanej stali co Chyżwar. Były w oczywisty sposób sztuczne, a zarazem wyglądały organiczne. Pień miał u nasady dwieście albo trzysta metrów obwodu. Taką samą długość miały najniższe konary, ale mniejsze gałęzie i ciernie szybko przechodziły w cienkie sztylety z potwornymi owocami w postaci nabitych ludzi.

Zdawało się niemożliwe, żeby nawleczeni na stal ludzie mogli przeżyć, tym bardziej że znajdowali się w próżni, w miejscu poza czasem i przestrzenią. Ale żyli. I cierpieli. Kassad patrzył, jak się wiją. Wszyscy byli żywi. Wszyscy przeżywali męki.

Kassad był świadom ich męki. Towarzyszył jej dźwięk przekraczający granice słyszalności. Był jak nieustanny huk rogu mgielnego, jakby tysiące nie wyćwiczonych palców opadało na tysiące klawiszy ogromnych organów bólu. Męka była nieomal dotykalna. Aż popatrzył w niebo, jakby spodziewał się, że ujrzy promienie bólu strzelające z drzewa jak światło z wielkiego stosu lub latarni morskiej.

Dostrzegł tylko ostre rozbłyski słońca w księżycowej ciszy. Kassad włączył powiększenie wizjera skafandra. Przeglądał konar za konarem, cierni za cierniem. Widział ludzi obojga płci, w każdym wieku. Nosili różne, podarte ubrania. Mieli na sobie rozmazane ślady kosmetyków, które utrzymywały się od dziesięcioleci, jeśli nie od stuleci. Wielu rodzajów mody Kassad jeszcze nie widział. Domyślił się, że patrzy na ofiary ze swojej przyszłości. Ofiar były tysiące, dziesiątki tysięcy. Wszystkie żywe. Wszystkie cierpiały męki.

Kassad zatrzymał się, skierował wizjer na gałąź wyrastającą z pnia na wysokości czterystu metrów od ziemi, na ciernie znajdujące się daleko od pnia, na pojedynczy, długi na trzy metry kolec. Powiewała na nim znajoma purpurowa peleryna. Człowiek nią okryty wił się, wiercił, aż odwrócił się w stronę Kassada.

Kassad patrzył na wbitego na pał Marlina Silenusa.

Zaklął i zacisnął pięści, aż zaboląły go kości dłoni. Rozejrzał się za bronią, spojrział



przez powiększający wizjer w stronę Kryształowego Monolitu, ale nic tam nie było.

Potrząsnął głową. Przypomniał sobie, że jego kombinezon jest lepszą bronią niż jakkolwiek z tych, które przywiózł ze sobą na Hyperiona. Ruszył w kierunku drzewa. Nie wiedział, jak na nie wejść. Ale postanowił znaleźć sposób. Nie wiedział, jak ściągnąć Marlina Silenusa na dół żywego – jak ściągnąć wszystkie ofiary ale wiedział, że musi to zrobić... albo umrzeć.

Kassad zrobił dziesięć kroków i zatrzymał się na zamarzniętej wydmie. Między nim a drzewem stał Chyżwar.

Uświadomił sobie, że uśmiecha się dziko pod pokrywą pola siłowego kombinezonu. To było to, na co czekał od wielu lat. To była ta honorowa walka, dla której zaprzysiągł życie i honor przed dwudziestu laty w czasie ceremonii Masady. Walka wręcz – jeden na jednego. Walka w obronie niewinnych. Kassad uśmiechnął się, wyostrzył brzeg rękawicy jak brzytwę i ruszył naprzód.

– Kassad!

Odwrócił się na głos Monety. Światło spływało kaskadami z rtęciowej powierzchni jej nagiego ciała. Wskazywała ręką dolinę.

Z Grobowca zwanego Sfinksem wyłaniał się drugi Chyżwar. Dalej, w głębi doliny, z wejścia do Nefrytowego Grobowca wychodził jeszcze jeden. Światło odbijało się w ostrzach i drucie kolczastym następnego, opuszczającego Obelisk.

Kassad zignorował je i zwrócił się twarzą w stronę drzewa i jego obrońcy.

Między drzewem a Kassadem stało sto Chyżwarów. W mgnieniu oka z lewej strony pułkownika pojawiło się następne sto i legion Chyżwarów stał bez ruchu, jak rzeźby na zimnych wydmach i stopionych głazach pustyni.

Kassad rąbnął pięścią o kolano.

– Do cholery!

Moneta stanęła przy nim. Stykali się ramionami. Kombinezony zlały się w jedno. Poczuł ciepło jej ramienia. Stali bok w bok.

– Kocham cię, Kassad.

Patrzył na doskonałe linie jej twarzy, nie zważał na burzę błysków i kolorów. Starał się przywołać wspomnienie tego pierwszego razu, kiedy się spotkali, w lesie, koło Agincourt. Przypominał sobie jej zaskakująco zielone oczy i krótkie brązowe włosy, jej pełną dolną wargę i smak łez, gdy niechcący ją ugryzł.

Podniósł rękę i dotknął jej policzka. Czuł ciepło skóry pod kombinezonem.

– Jeśli mnie kochasz – powiedział – zostań tu.

Odwrócił się i wydał okrzyk, który tylko on mógł usłyszeć w księżycowej ciszy. Był to ryk pracźlowieka zmieszany z okrzykiem kadeta Armii, wrzaskiem karateki. i krzykiem wyzwania. Pobiegł po wydmach w stronę drzewa cierni i Chyżwara stojącego na wprost niego.

Teraz na wzgórzach i w dolinach stały tysiące Chyżwarów. Ich szpony otworzyły się z trzaskiem unisono; światło odbijało się w dziesiątkach tysięcy ostrych jak skalpel kling i kolców.

Kassad nie zważał na inne Chyżwary. Biegł w stronę tego, którego zobaczył na samym początku.

Nad potworem ludzkie postacie wiły się w samotnej męce. Chyżwar, do którego podbiegał, rozwarł ramiona, jakby chciał uściskać Kassada. Zagięte ostrza na przegubach, stawach i klatce piersiowej wychodziły z ukrytych pochew.

Kassad z rykiem przebiegł ostatnie metry.



Nie powinienem lecieć – powiedział konsul.

Razem z Solem przenosili ciągle nieprzytomnego Heta Masteena z Grobowca Jaskiniowego do Sfinksa, podczas gdy ojciec Dure dyżurował przy Brawne Lamii. Była prawie północ. Dolinę rozświetlał odbity blask grobowców. Skrzydła Sfinksa przesłaniały kawałek nieba widocznego między ścianami urwisk. Brawne leżała bez ruchu. Obscenicznie wyglądający kabel wił się w ciemnościach grobowca.

Sol dotknął ramienia konsula.

– Już o tym mówiliśmy. Powinieneś lecieć.

Konsul potrząsnął głową i bezmyślnie pogładził matę.

– Może uda się zabrać we dwóch. Ty i ojciec Dure spróbujecie dotrzeć do miejsca, gdzie przycumowana jest „Benares”.

Sol kołysał dzieckiem, trzymając jego główkę w dłoni.

– Rachela ma dwa dni. Musimy tu zostać.

Konsul rozejrzał się. Jego oczy wyrażały ból.

– To ja tu powinienem być. Chyżwar...

Ojciec Dure pochylił się do nich. Luminescencja grobowca oświetlała jego czoło i policzki.

– Synu, jedynym powodem, dla którego chcesz tu pozostać, może być tylko chęć popełnienia samobójstwa. Gdybyś spróbował sprowadzić statek dla M. Lamii i templariusza, pomógłbyś innym.

Konsul potarł policzek. Wyglądał na bardzo zmęczonego. – Znajdzie się dla ciebie miejsce na macie, ojciec.

Ojciec Dure uśmiechnął się.

– Czuję, że mój los, jakkolwiek by on był, dopełni się tutaj. Zaczekam na twój powrót.

Konsul znów potrząsnął głową, ale usiadł ze skrzyżowanymi nogami na macie i wziął ze sobą ciężki worek marynarski. Policzył racje żywnościowe i butle z wodą, które zapakował mu Sol.

– Tego jest za dużo. Wam będzie potrzeba więcej. Ojciec Dure zachichotał.

– Dzięki M. Lamii mamy zapasów na cztery dni. Poza tym post to dla mnie nie pierwszozna.

– Ale co będzie, jeśli wrócą Kassad i Silenus?

– Podzielimy się z nimi wodą – odparł Sol. – Możemy jeszcze raz wybrać się do baszty po żywność, jeśli wrócą.

Konsul westchnął.

– W porządku. – Dotknął odpowiednich nici lewitacyjnych i mata zeszywniała, po czym uniosła się dziesięć centymetrów nad kamiennym stopniem.

– Potrzebny ci będzie tlen do przelotu nad górami – przypomniał Sol.

Konsul wyjął maskę osmotyczną z worka. Sol wręczył mu automatyczny pistolet Lamii.

– Nie mogę...

– To na nic przy spotkaniu z Chyżwarem – powiedział Sol. A w twoim przypadku może zadecydować o powodzeniu misji.

Konsul skinął głową i włożył broń do worka. Ucisnął rękę księdzu i staremu uczonemu. Małe paluszki Racheli dotknęły jego przedramienia.

– Życzę szczęścia – powiedział ojciec Dure. – I niech Bóg będzie z tobą.

Konsul dotknął wzorów lewitacyjnych na macie i pochylił się do przodu. Mata wzniosła się o pięć metrów i pomknęła przed siebie, jakby jechała po niewidzialnych szynach w górę.

Konsul leciał wprost ku wejściu do doliny, przeleciał na wysokości dziesięciu metrów



nad wydmami, potem zбочzył w stronę skalistego pola. Tylko raz obejrzał się za siebie. Cztery figury na stopniach Sfinksa – dwie stojące i dwie leżące postacie – były z tej odległości bardzo małe. Nie mógł już dostrzec dziecka w ramionach Sola.

Tak jak uzgodnili, konsul skierował matę na zachód, żeby przelecieć nad Miastem Poetów. Miał nadzieję odszukać Mamina Silenusa. Intuicja podpowiadała mu, że nerwowy poeta mógł tu zawędrować. Na niebie było niewiele świateł bitwy kosmicznej i konsul mało widział, kiedy przelatywał na wysokości dwudziestu metrów nad zrujnowanymi wieżyczkami i kopułami miasta. Nie było śladu poety. Jeśli Brawne i Silenus szli tędy, to nawet ślady ich stóp na piasku zostały zatarte przez nocny wiatr, który teraz rozwiewał rzadkie włosy konsula i łopotał ubraniem.

Na tej wysokości panował chłód. Konsul czuł, jak mata szarpie się i wibruje wynajdując drogę wzdłuż niestabilnych linii siły. Zdradzieckie pole magnetyczne Hyperiona w połączeniu z wiekiem jego wehikułu sprawiały, że podróż mogła się skończyć upadkiem na łeb na szyję na długo przed osiągnięciem Keatsa. Doskonale zdawał sobie z tego sprawę.

Konsul kilka razy zawołał Silenusa, ale odpowiedzi nie było. Tylko gołębie wyleciały nagle z gniazd w jednej z potrzaskanych kopuł miasta. Konsul pokiwał głową i skręcił na południe, w stronę Gór Cugielnych.

Dzięki swemu pradziadkowi konsul poznał historię maty, na której leciał. Było to jedno z pierwszych urządzeń tego typu stworzonych przez Władimira Szołochowa, sławnego w całej Sieci lepidopterystę i inżyniera systemów EM. Dał tę matę swojej nastoletniej bratanicy. Miłość Szołochowa do młodej dziewczyny obrosła legendą, podobnie jak i fakt, że odrzuciła podarunek.

Ale innym pomysł się spodobał i mimo że latające maty zostały wkrótce zakazane na planetach posiadających sensowną kontrolę ruchu, używano ich w wielu koloniach. Ta, na której leciał, pozwoliła pradziadkowi konsula spotkać prababkę Siri na Maui – Przymierzu.

Zbliżyły się góry. W ciągu dziesięciominutowego lotu konsul pokonał dystans, na przejście którego piechur zmarnowałby dwie godziny. Współtowarzysze niedoli odstręczali go od tego, żeby zatrzymywał się w Baszcie Chronosa w celu poszukiwania Silenusa: to, co spotkało poetę, mogło przytrafić się też konsulowi. Zadowolił się więc wstrzymaniem maty obok okien wychodzących na dwustumetrowe urwisko, obok tarasu, z którego trzy dni temu oglądali dolinę. Kilka razy zawołał poetę.

Odpowiedziało mu tylko echo z ciemnej sali bankietowej i korytarzy baszty. Konsul trzymał się kurczowo brzegów maty. Pod nim rozpościerała się dwustumetrowa pionowa przepaść. Poczuł ulgę, kiedy minął basztę, wzniósł się wyżej i skierował wehikuł w stronę przełęczy. W górach zalegał śnieg; odbijało się w nim światło gwiazd.

Leciał wzdłuż lin kolejki górskiej łączących przełęcz z pobliskim szczytem wysokim na dziewięć tysięcy metrów. Było bardzo zimno i konsul cieszył się, że ma pelerynę termiczną z zapasów Kassada. Skulił się pod nią, starając się nie wystawiać ciała na działanie mrozu. Żel maski osmotycznej przylegał do jego twarzy jak głodny symbiont pożerający tlen z rozrzedzonego powietrza.

Tlenu wystarczało. Konsul głęboko oddychał, kiedy mata prześlizgiwała się nad pokrytymi lodem kablami. Nie było widać ani jednej hermetycznej kabiny. Leciał w doskonałej samotności, która zapierała dech w piersiach. Pod nim przesuwaly się lodowce, nagie szczyty i ocienione doliny. Cieszył się z tej podróży choćby dlatego, że po raz ostatni zobaczy piękno krajobrazu Hyperiona, nie zakłócone potworną obecnością Chyżwara lub groźbą inwazji ze strony Intruzów.

Kabina kolejki górskiej pokonywała tę trasę w dwanaście godzin. Konsul przebył ją w sześć, mimo że mata poruszała się powoli, z szybkością trzydziestu kilometrów na godzinę. Wschód słońca zastał go nad szczytami. Obudził się nagle. Zaszokowany stwierdził, że mata zbliża się do wierzchołka góry wznoszącego się powyżej trasy jego



lotu. Pięćdziesiąt metrów przed sobą konsul zobaczył pola śniegu i głązy. Czarny ptak – miejscowi nazywali je wiertnikami – o skrzydłach trzymetrowej rozpiętości, wzbił się w powietrze i przyglądał się konsulowi oczami jak paciorki. Konsul skręcił ostro w lewo. Poczł, że coś się dzieje z niemi lewitacyjnymi maty. Opadł prawie dwadzieścia metrów, zanim urządzenie nośne znalazło linie magnetyczne i wyrównało lot.

Trzymał się brzegów maty tak mocno, że aż palce mu zbiełały. Przywiązał worek marynarski do paska. Inaczej bagaż spadłby na lodowiec, nad którym mknęli.

Kable kolejki zniknęły z pola widzenia. W trakcie snu mata musiała zbcoczyć z kursu. Konsul wpadł na moment w panikę. Szarpał matą we wszystkie strony, desperacko szukając wyjścia spomiędzy szczytów otaczających go jak zęby. Wtedy zobaczył blask jutrzienki przed sobą i wysoką tundrę za sobą. Wiedział, że nadal jest na właściwym kursie. Za ostatnim łańcuchem górskim leży południowy płaskowyż, a za nim...

Mata zdawała się wahać, kiedy poklepał nici lewitacyjne, żeby wznieść się wyżej. Ale w końcu, jakby z ociąganiem, wzleciała nad ostatnim dziewięciotysięcznikiem. Przed sobą zobaczył niższe góry i wzniesienia nie wyższe niż trzy tysiące metrów nad poziomem morza. Z ulgą obniżył lot.

Znalazł kable kolejki błyszczące w słońcu. Rozciągały się o jakieś trzynaście kilometrów na południe od miejsca, w którym opuścił Góry Cugielne. Przy zachodnim terminalu kolejki wisały kabiny. Pod spodem leżała maleńka wioska o nazwie Odpozynek Pielgrzyma. Nieliczne zabudowania stały puste. Po wiatrowozie, który przed paru dniami przycumowali przy niskim moło nad Morzem Traw, nie było śladu.

Konsul wylądował obok moło. Wyciągnął ścierpnięte nogi i zwinął matę. W jednym z opuszczonych budynków przy nabrzeżu znalazł toaletę. Kiedy wyszedł stamtąd, słońce stało już ponad linią horyzontu. Jak okiem sięgnąć, na południe i zachód rozpościerało się Morze Traw.

W tym morzu nie było ryb, ale zdarzały się węże trawne, długie prawie na osiemnaście metrów. Gdyby mata zawiodła, nawet miękkie lądowanie nie dawało mu dużych szans na przeżycie.

Konsul rozwinął matę, położył bagaż za sobą i włączył napęd. Trzymał się względnie nisko, nad powierzchnią traw. Tyle, ile trzeba było, żeby wąż nie wziął go przez pomyłkę za nisko lecące śniadanie. Wiatrowóz potrzebował niecałej doby hyperiońskiej, żeby przewieźć ich przez morze. Ale wiatry wiały wtedy w dużej mierze z północnego wschodu i musieli długo halsować. Konsul był pewien, że przez najwęższą część morza przeleci w mniej niż piętnaście godzin. Dotknął wzoru kontrolnego i mata pomknęła szybciej.

Po dwudziestu minutach góry zmalowały. Wzgórz u ich stóp nie było już widać. Po godzinie szczyty zaczęły znikać za krzywizną horyzontu. Po dwóch godzinach konsul mógł zobaczyć tylko najwyższe wierzchołki. Z tej odległości wyglądały jak rozmazany ząbkowany cień wystający nad trawami.

Potem, po horyzont, ze wszystkich stron widział tylko Morze Traw. Wiatr marszczył od czasu do czasu jego powierzchnię. Było tu znacznie cieplej niż na płaskowyżu po tamtej stronie Gór Cugielnych. Konsul zdjął pelerynę termiczną, potem płaszcz, wreszcie sweter. Słońce grzało z niezwykłą na tych szerokościach mocą. Konsul poszperał w bagażu, wyciągnął pognieciony piróg, który nosił z taką dumą jeszcze dwa dni temu, i wcisnął go sobie na głowę dla ochrony przed słońcem. Na czole i łysinie miał już zaczerwienienia.

Cztery godziny później zjadł pierwszy posiłek w tej podróży. Przeżuwał pozbawione smaku paski protein z racji żywnościowej, jakby to był filet mignon. Najsmaczniejszą część posiłku stanowiła woda. Konsul musiał pokonać chęć wypicia wszystkiego za jednym razem.

Wokół rozciągało się Morze Traw. Konsul drzemał. Gdy się budził co jakiś czas, miał wrażenie, że spada. Zaciskał wtedy ręce na brzegach maty. Pomyślał, że powinien przywiązać się liną, którą ma w bagażu, ale nie chciał lądować – trawa miała ostre krawędzie i sięgała ponad jego głowę. I chociaż nie widział słynnych śladów w kształcie litery



V pozostawianych przez węże trawne, nie mógł wiedzieć, czy któryś nie czyha na niego na dole.

Myślał o tym, co mogło się stać z wiatrowozem. Pojazd byk całkowicie zautomatyzowany i prawdopodobnie zaprogramowany przez Kościół Chyżwara, który sponsorował tę pielgrzymkę. Jakie inne zadania czekały na wiatrowóz? Konsul potrząsnął głową, uszczyptał się w policzek i usiadł prosto. Co chwila zasypiał, nawet gdy myślał o wiatrowozie. Piętnaście godzin to wydawało się niewiele, gdy o tym mówił w Dolinie Grobowców Czasu. Popatrzył na komlog: minęło pięć godzin.

Konsul wznosił się na wysokość osiemdziesięciu metrów, rozejrzał się, czy nie widać śladów węży, i zleciał na wysokość pięciu metrów nad trawy. Ostrożnie wyciągnął linę, zrobił pętlę, przesunął się na przód maty, okręcił ją liną kilka razy, zostawiając trochę luzu, żeby wślizgnąć się w pętlę.

Jeśli mata spadnie, to taka asekuracja okaże się zgubna, ale teraz czuł się pewniej w opasujących go sznurach. Nachylił się, żeby dotknąć wzorów sterujących, i podniósł matę na wysokość czterdziestu metrów. Położył się, przytulając policzek do rozgrzanej materii. Słońce piekło go w palce. Spostrzegł, że przedramiona ma spieczone na raka, ale był zanadto zmęczony, żeby ściągnąć podwinięte rękawy.

Podniósł się wiatr. Konsul słyszał, jak pod spodem coś szeleści. Może to trawa, a może coś wielkiego prześlizguje się na dole?

Był zbyt zmęczony, by się tym martwić. Zamknął oczy. Nie minęło trzydzieści sekund, jak zasnął.

Śnił mu się dom – jego prawdziwy dom, Maui – Przymierze. Sen przepiękny był kolorami: przestwór błękitnego nieba, bezkresne Morze Południowe przechodzące z ultramariny w zieleń tam, gdzie zaczynały się Płycizny Równikowe, zaskakujące zielenie, żółcie i orchideowe czerwienie wysp motyli popychanych na północ przez stada delfinów, które wyginęły w czasie inwazji Hegemonii, gdy konsul był dzieckiem. Ale we śnie wszystko ożyło; delfiny pruły wodę, bryzgi wody rozszczyły światło słońca, w czystym powietrzu wisiała tęcza.

We śnie konsul znów był dzieckiem. Stał na najwyższym poziomie domu nadrzewnego na Wyspie Pierwszej Rodziny. Przy nim stała prababka Siri – nie ta dostojna wielka dama, którą znał, ale piękna młoda kobieta, jaką poznał i pokochał jego pradziadek. Słychać było łopot żagli drzewnych, gdy delfiny zbliżyły się popychając stado wysp motyli błękitnymi kanałami Płycizn. Na północnym horyzoncie widział pierwszą z wysp Archipelagu Równikowego. Rysowała się zielona linia na tle wieczornego nieba. Siri dotknęła jego ramienia i pokazała na zachód.

Wyspy płonęły, tonęły jedna za drugą. Ich korzenie kilowe wiły się w bólu. Stada delfinów zniknęły. Z nieba padał ogień. Konsul rozpoznał lance laserów o mocy miliarda woltów. Podpalały powietrze i pozostawiały niebieskoszary blask w źrenicach. Podwodne eksplozje oświetlały oceany, wydobywały na powierzchnię tysiące martwych ryb i kruchych stworzeń morskich.

– Dlaczego? – zapytała prababka Siri łagodnym szeptem nastolatki. Konsul starał się jej odpowiedzieć, ale nie mógł. Oślepiały go łzy. Sięgnął po jej rękę, ale nie znalazł. Uczucie, że odeszła, że nie będzie miał komu opowiedzieć o swoich grzechach, ukłuło go tak boleśnie, że nie był w stanie oddychać. Krtań ścisnęła mu emocja. Wtedy zrozumiał, że to dym wyciska mu łzy z oczu i wypełnia płuca. Wyspa Rodzinna stała w ogniu.

Dziecko pokuśtykało przed siebie, w niebieskoczarną ciemność. Szukało na oślep ręki, której mogłoby się przytrzymać, żeby zyskać pewność siebie.

Na jego dłoni zamknęła się czyjaś ręka. To nie była ręka Siri. Miała niesamowicie pewny chwyt. Zamiast palców sterczały z niej ostrza.

Konsul obudził się, gwałtownie chwytając powietrze.

Było ciemno. Przespał co najmniej siedem godzin. Wyplątał się ze zwojów liny i usiadł. Spojrzał na fosforyzującą tarczę komlogu. Dwanaście godzin. Przespał dwanaście godzin.



Gdy pochylał się nad brzegiem maty, żeby spojrzeć w dół, poczuł, że bolą go wszystkie mięśnie. Mata utrzymywała się ciągle na wysokości czterdziestu metrów, ale nie miał pojęcia, gdzie doleciał. Wokół rosły pomarańczowe kępy trawy i gąbczaste mchy.

Jakiś czas temu musiał przelecieć nad południowym brzegiem Morza Traw, minął mały port Na Skraju i doki przy rzece Hoolie, gdzie zacumowana była ich barka „Benares”.

Konsul nie wziął kompasu – na Hyperionie kompas byłby bezużyteczny – a jego komlog nie miał programu wyszukiwania drogi. Planował, że doleci do Keats kierując się na południowy zachód wzdłuż rzeki. Teraz zgubił drogę.

Osadził matę na niskim pagórku i zszedł z niej na ziemię z jękiem bólu. Zdawał sobie sprawę, że ładunek energetyczny osnowy lewitacyjnej musiał do tej pory zmniejszyć się o jedną trzecią, może nawet bardziej. Nie wiedział, ile mata straciła ze swojej pierwotnej wydajności na skutek starzenia się materiału.

Pagórki były zapewne częścią jałowej równiny przylegającej do Morza Traw w okolicach portu Na Skraju. Jeśli po prostu przeleciał nad portem i rzeką, kiedy spał, to Hoolie powinna znajdować się gdzieś na południe od niego. Ale jeśli obrał zły kurs po opuszczeniu Odpooczynku Pielgrzyma, jeśli zboczył o kilka stopni w lewo, to rzeka wiję się gdzieś na północny wschód, po jego prawej ręce. Jeśli nawet zabłądził, to w końcu znajdzie drogowskaz, ale będzie go to kosztować dzień zwłoki.

Konsul kopnął kamień i złożył ręce na piersi. Po upale dnia powietrze było tu bardzo chłodne. Uprzytomnił sobie, że ma oparzenia słoneczne. Dotknął łysiny i zaklął.

Wiatr gwizdał w niskich zaroślach i kępach porostów. Konsul czuł, że jest bardzo odległy od Grobowców Czasu i strachu przed Chyżwarem. Ale czuł też obecność Sola, ojca Dure, Heta Masteena i Brawne, a także zaginionych: Silenusa i Kassada. Było to jak ciężar przygniatający jego barki. Konsul dołączył do pielgrzymki w krańcowym akcie nihilizmu. Miała ona stać się rodzajem samobójstwa stanowiącego remedium na drążący go ból. Ból po stracie żony i dziecka – zabitych w czasie machinacji Hegemonii na Bresii. Trawiła go też bolesna świadomość strasznej zdrady – zdrady wobec rządu, któremu służył przez prawie czterdzieści lat, i zdrady wobec Intruzów, którzy mu zaufali.

Konsul usiadł na skale. Poczuł, że ta bezsensowna nienawiść do siebie samego rozplywa się, gdy pomyśli o Solu i jego dziecku czekających w Dolinie Grobowców Czasu. Myślał o Brawne, tej dzielnej kobiecie, ucieleśnionej energii, leżącej bezradnie z zaszczerpioną jej przez Chyżwara pijawką wyrastającą z czaszki.

Wstał, włączył matę i wzniósł się na wysokość ośmiuset metrów. Był tak blisko chmur, że gdyby podniósł rękę, mógłby ich dotknąć. Zobaczył błysk. To była rzeka Hoolie oddalona o osiem kilometrów na południe.

Konsul ostro zakręcił na lewo. Dziesięć minut później był już nad wodą. Obniżył lot, żeby upewnić się, że to na pewno Hoolie, a nie jeden z jej dopływów.

Tak, to była rzeka Hoolie. Wzdłuż niskich bagnistych brzegów lśniło babie lato. Stały tam wysokie, blankowane wieże mrowisk zbudowane przez mrówki – architektów.

Konsul podniósł lot do wysokości dwudziestu metrów, wypił łyk wody z butelki i pognął matę w dół rzeki.

O wschodzie słońca znalazł się przy wsi Doukhor Copse, prawie na wysokości Śluzy Karła, gdzie rzeka krzyżowała się z Królewskim Kanałem Transportowym. Konsul wiedział, że do stolicy jest stąd nie więcej niż dwieście czterdzieści kilometrów. Ale przy powolności maty dawało to kolejne koszarne siedem godzin lotu. Spodziewał się, że napotka gdzieś tutaj wojskowy ślizgacz na patrolu albo cywilny pojazd ze wsi. Ale na brzegach rzeki nie było śladu życia, nie licząc z rzadka rozsianych płonących budynków albo świateł w oknach gdzieś tam spotykanych domostw. W przystani nie zauważył żadnej łodzi. Zagrody mant rzecznych nad śluzami były puste, a wielkie wrota śluz otwarte. Na rzece, dwa razy szerszej tutaj niż w górnym biegu, nie stała żadna barka transportowa.



Konsul zaklął i poleciał dalej.

Ranek był piękny. Światło słońca podświetlało chmury. Drzewa i krzaki kapały się w poziomo padających promieniach jutrzeńki. Konsulowi wydawało się, że minęły miesiące od czasu, kiedy ostatni raz widział normalną roślinność. Wierzby i karłowe dęby stały majestatycznie na odległych pagórach, a w dolinie rzecznej zieleniły się kępy grochu peryskopowego.

Słońce skryło się za chmurami. Zaczęło padać. Konsul wcisnął na głowę wymięty piróg i okrył się peleryną Kassada. Leciał na południe na wysokości stu metrów.

Konsul starał się sobie przypomnieć, ile czasu zostało jeszcze Racheli. Pomimo długiego snu jego umysł był ociężały ze zmęczenia. Rachelą miała cztery dni, kiedy przybyliśmy do doliny, myślał, a to było... cztery dni temu.

Potań policzek, sięgnął po butlę z wodą. Była pusta. Mógł z łatwością zniżyć lot i napełnić wszystkie butle wodą z rzeki, ale nie chciał marnować czasu. Oparzenia słoneczne sprawiały mu ból. Drżał, gdy krople deszczu spływały na niego z trójgraniastego kapelusza.

Sol powiedział, że jeśli zdążę przed zapadnięciem nocy, wszystko będzie w porządku, przypomniał sobie. Rachelą urodziła się przed dwoma tysiącami godzin według czasu miejscowego. Jeśli tak jest, jeśli się nie pomyliłem, to ma czas jeszcze do ósmej wieczór. Konsul otarł wodę z policzków i brwi. Powiedzmy, że do Keats zostało mi siedem godzin, zastanawiał się, jedna albo dwie na uwolnienie statku. Theo mi pomoże... jest teraz generalnym gubernatorem. Uda mi się go przekonać, że w interesie Hegemonii leży sprzeciwienie się rozkazom Meiny Gladstone, aby trzymać statek w kwarentannie. Jeśli to będzie konieczne, powiem mu, że kazała mi spiskować z Intruzami, żeby zdradzić Sieć. Potem dziesięć godzin i kwadrans lotu statkiem. Zostanie co najmniej godzina do zachodu słońca. Rachelą będzie miała tylko kilka minut, ale... ale co? Co możemy zrobić? Zamrozić ją w pojemniku kriogenicznym? Jeśli tak będzie trzeba... Zawsze to jakaś szansa wbrew temu, co mówili lekarze, że to może zabić dziecko. Lecz co począć z Brawne?

Konsulowi chciało się pić. Ściągnął płaszcz, ale deszcz zelżał. Padała mżawka. Mógł najwyżej zwilżyć wargi i język. Od tego jeszcze bardziej chciało się pić. Zaklął i zaczął obniżać lot. Może powinien stanąć nad rzeką na czas potrzebny do napełnienia butli?

Mata zatrzymała się na wysokości trzydziestu metrów nad rzeką. Najpierw obniżała lot stopniowo, aż nagle pokoziołkowała w dół wrywając się spod kontroli.

Konsul wrzasnął i próbował uwolnić się ze sznura, ale lina uwięziła go w zwijającej się macie. Spadali razem z wysokości dziesiątego piętra. Pikowali w stronę powierzchni rzeki Hoolie.



W Solu Weintraubie obudziły się wielkie nadzieje, gdy konsul wyruszył w podróż. Wreszcie coś robili. A przynajmniej usiłowali robić. Sol nie wierzył, żeby kriogeniczne kadzie na statku konsula mogły uratować Rachelę – medyczni eksperci na Renesansie ostrzegali przed skrajnym niebezpieczeństwem związanym z tą procedurą – ale dobrze było mieć inną możliwość. Jakąkolwiek możliwość. Poza tym Sol uważał, że już za długo byli bierni, czekając na Chyżwara jak skazańcy na ostrze gilotyny.

Wnętrze Sfinksa wyglądało tej nocy zbyt zdradziecko. Sol wyniósł tobołki na szeroką granitową platformę przed grobowcem, gdzie wraz z ojcem Dure starał się jak najwygodniej ułożyć Masteena i Brawne na poduszkach i przykryć kocami. Monitory medyczne Brawne nadal nie wykazywały jakiegokolwiek aktywności mózgu, ale jej ciało powinno być wygodnie. Masteen rzucał się w szponach gorączki.

– Jak sądzisz, co jest z templariuszem? – zapytał ojciec Dure. Czy to choroba?

– Może zwykłe porażenie słoneczne – odparł Sol. – Po zniknięciu z wiatrowozu wędrował po pustyni, aż zaszedł tutaj, do doliny. Jadł śnieg, nie miał żywności.

Ojciec Dure pokiwał głową i sprawdził armijny pakiet medyczny przymocowany pod pachą Masteena. Wskaźniki mówiły o nieprzerwanym podawaniu roztworu dożylnego.

– Ale to jest chyba coś jeszcze – stwierdził jezuita. – Jakby jakieś szaleństwo.

– Templariusze mają nieomal telepatyczne połączenie ze swoimi drzewostatkami – odparł Sol. – Obserwowanie zagłady „Yggdrasilla” musiało przyprawić Masteena, Prawdziwy Głos Drzewa, o lekki obłęd. Tym bardziej że zdawał sobie sprawę, że to jest w jakiś sposób niezbędne dla powodzenia sprawy.

Ojciec Dure kiwnął głową i dalej nacierał gąbką woskowe czoło templariusza. Było już po północy. Wiatr się wzmógł. W powolnych spiralach podnosił cynobrowe tumany kurzu, jęczał w skrzydłach i załomach Sfinksa. Grobowce rozżarzały się i przygasaly, to ten, to tamten, bez zachowania specjalnego porządku. Równie przypadkowo zdarzały się prądy czasu. Zalewały obu mężczyzn sprawiając, że porywały ich duszności i chwyтали się stojących obok głązów, ale fala deja vu i zawrotów głowy po chwili słabła. Nie mogli odejść i zostawić Brawne Lamii przytwierdzonej do Sfinksa kablem przyspawanym do jej czaszki.

Przed świtem chmury się rozeszły. Pokazało się czyste niebo. Gęste gromady gwiazd sprawiały nieomal ból jaskrawym blaskiem. Przez jakiś czas jedynym znakiem, że nad planetą czają się ogromne floty, były pojedyncze ślady fuzyjne jak wąskie diamentowe rysy na firmamencie. Ale wkrótce znów rozkwitły kwiaty wybuchów i w niecałą godzinę przemoc na nieboskłonie przyćmiła żar dobywający się z grobowców.

– Jak myślisz, kto wygra? – zapytał ojciec Dure. Siedzieli oparci plecami o kamienną ścianę Sfinksa, twarze uniesione mieli ku niebu widocznemu między skrzydłami grobowca.

Sol masował plecki śpiącej na brzuchu z uniesioną pupą Racheli.

– Z tego, co mówią inni, wynika, że Sieć musi przejść przez koszmarną wojnę.

– Więc wierzysz w przewidywania Grupy Doradczej SI?

Sol wzruszył w ciemności ramionami.

– Naprawdę nie znam się na polityce... ani na dokładności, z jaką Centrum przewiduje rozwój wypadków. Jestem skromnym naukowcem z małego koledżu na zacofanej planetce. Ale mam przeczucie, że spotka nas jeszcze coś strasznego... że jakaś potworna bestia wlecze się ku Betlejem, by się tam narodzić.

Ojciec Dure uśmiechnął się.

– Cytujesz Yeatsa. – Uśmiech zniknął z jego twarzy. – Podejrzewam, że nowe Betlejem jest właśnie tutaj. – Spojrzał w dolinę, ku jaśniejącym grobowcom. – Całe życie strawiłem nauczając teorii świętego Teilharda o ewolucji w kierunku Punktu Omega. I zamiast tego, co święty przewidział, mamy to, co mamy: ludzkie szaleństwo na niebie



i przerażającego Antychrysta czekającego, by odziedziczyć to, co zostanie.

– Sądysz, że Chyżwar jest Antychrystem?

Ojciec Dure oparł łokcie o kolana i złożył dłonie.

– Jeśli nie jest, to mamy kłopot. – Roześmiał się gorzko. – Jeszcze niedawno byłbym zachwycony, gdybym odkrył Antychrysta... nawet obecność jakiejś siły przeciwnej Bogu posłużyłaby do umocnienia mojej słabnącej wiary w jakąkolwiek formę boskości.

– A jak jest teraz? – zapytał cicho Sol.

Ojciec Dure rozpostarł palce.

– Mnie też ukrzyżowano.

Sol przywołał obrazy z opowiadania Lenara Hoyta o ojcu Dure; starszy wiekiem jezuita przybijający się do teslowego drzewa, cierpiący przez lata ból, żeby tylko nie poddać się pasożytniczemu DNA krzyżokształtu, który nawet teraz trwa, pogrzebany pod skórą na jego piersi.

Ojciec Dure odwrócił oczy od nieba.

– Nie było zaproszenia od Ojca w Niebiesiech – powiedział łagodnym głosem. – Żadnego zapewnienia, że cierpienie i ofiara są cokolwiek warte. Tylko ból. Ból, ciemność i znów ból.

Sol przestał gładzić dziecko po plecach.

– I to sprawiło, że straciłeś wiarę?

Ojciec Dure popatrzył na Sola.

– Przeciwnie. To sprawiło, że uznałem wiarę za rzecz podstawową. Ból i ciemności są naszym udziałem od upadku Adama i Ewy. Ale musi być jakaś nadzieja, że powstaniami z grzechu... że nasza świadomość może się rozwinąć, wznieść się na wyżyny, ponad obojętność, w której zaprogramowany jest ten wszechświat.

Sol powoli pokiwał głową.

– W trakcie długiej walki Racheli z chorobą Merlina miałem sen... to samo przyśniło się mojej żonie Sarai. Sen, że mam złożyć w ofierze jedyną córkę.

– Tak – powiedział Dure. – Wysłuchałem streszczenia z dyskiety konsula.

– Wiesz więc, jaka była moja odpowiedź – rzekł Sol. – Po pierwsze, że nie możemy już iść ścieżką posłuszeństwa wytyczoną przez Abrahama, nawet jeśli jest Bóg, który takiego posłuszeństwa wymaga. Po drugie, że składaliśmy ofiary Bogu przez zbyt wiele pokoleń... i te płatności w walucie cierpienia muszą się skończyć.

– Mimo wszystko jesteś tutaj – stwierdził Dure wskazując dolinę, grobowce i noc.

– Jestem tutaj – zgodził się Sol. – Ale nie po to, żeby się płaszczyć. Raczej po to, żeby zobaczyć, jak nie znane mi siły zareagują na moją decyzję. – Znów dotknął pleców dziecka. – Racheli ma teraz półtora dnia i z każdą sekundą staje się młodsza. Jeśli to Chyżwar jest architektem takiego okrucieństwa, chcę stanąć z nim twarzą w twarz. Nawet jeśli jest twoim Antychrystem. Jeśli Bóg istnieje i On to uczynił, okażę Mu tę samą wzdargę.

– Może wszyscy okazywaliśmy zbyt wiele wzdargi – zamyślił się ojciec Dure.

Sol podniósł wzrok i patrzył, jak maleńkie jasne punkciki rozplývają się po niebie w falach i zmarszczkach eksplozji plazmowych.

– Żałuję, że nie dysponujemy technologią, która pozwoliłaby nam walczyć z Bogiem jak równy z równym – powiedział mocnym głosem. – Zagnać Go do jego matecznika, dać odpłatę za wszelkie niesprawiedliwości przygniatające ludzkość. A potem pozwolić Mu poprawić Jego aroganckie zachowanie albo wtrącić Go do piekła.

Ojciec Dure uniósł brew i uśmiechnął się leciutko.

– Rozumiem gniew, który czujesz. – Łagodnie dotknął główki dziecka. – Spróbujmy trochę pospać przed świtem. Co ty na to?

Sol przytaknął, położył się obok dziecka i naciągnął koc pod brodę. Słyszał, jak ojciec Dure coś szepcze. Mogły to być słowa na dobranoc albo modlitwa.

Sol dotknął córeczki, zamknął oczy i zasnął.



Chyżwar nie przyszedł w nocy. Nie przyszedł też rano, gdy promienie słońca oświetliły południowo – zachodnie urwiska i odbiły się w szczycie Kryształowego Monolitu. Sol obudził się, gdy promienie dotarły do dna doliny. Obok niego leżał ojciec Dure zagrożony jeszcze we śnie. Masteen i Brawne wciąż byli nieprzytomni. Rachela kręciła się i popłakiwała. Najwyraźniej czuła głód. Sol podgrzał jedną z ostatnich odżywek dla niemowląt i nakarmił córkę. W nocy w dolinie panowało zimno. Na stopniach do Sfinksa błyszczała szreń.

Rachela jadła żarłocznie, cmokając i mlaszcząc, jak przed pięćdziesięciu laty, kiedy karmiła ją żona Sola, Sarai. Odbiło się jej, kiedy skończyła. Sol zamknął ją w ramionach.

Zostało jeszcze półtora dnia.

Sol był bardzo zmęczony. Staczał się już mimo kuracji Poulsena, którą przeszedł dziesięć lat temu. Gdy wraz z Sami pozbyli się obowiązków rodzicielskich – ich dziecko ukończyło szkoły i pojechało na wyprawę archeologiczną – Rachela padła ofiarą choroby Merlina i znów spadł na nich obowiązek wychowania dziecka. Praktyki rodzicielskie stawały się coraz cięższe, w miarę jak oboje się starzeli. Potem, po wypadku na planecie Barnarda, Sol męczył się sam. I teraz był bardzo, bardzo znużony. Ale pomimo to, na przekór wszystkiemu, Sol nie żałował ani jednego dnia z tych, które poświęcił opiece nad córką.

Zostało półtora dnia.

Wkrótce obudził się ojciec Dure..Śniadanie zrobili sobie z puszkowanej żywności, którą przyniosła Brawne. Het Masteen nie odzyskał przytomności. Ojciec Dure zaaplikował mu przedostatni medpak i w żyły templariusza zaczął się sączyć odżywczy roztwór.

– Czy sądzisz, że powinniśmy dać ostatni medpak M. Lamii? – zapytał ojciec Dure.

Sol westchnął i spojrzał na monitory jej komlogu.

– Myślę, że nie, Paul. Poziom cukru ma wysoki... poziom składników odżywczych taki, jakby właśnie zjadła przyzwoity posiłek.

– Jak to możliwe?

Sol potrząsnął głową.

– Może to draństwo jest czymś w rodzaju pępowiny. – Wskazał kabel przymocowany do czaszki dziewczyny w miejscu, w którym była kieszeń neuronalna.

– Co robimy dzisiaj?

Sol popatrzył na niebo.

– Czekamy – powiedział.

Het Masteen obudził się, gdy było już bardzo gorąco. Słońce zbliżało się do zenitu. Usiadł wyprostowany i powiedział:

– Drzewo!

Ojciec Dure zbiegł ze schodów, po których się przechadzał. Sol podniósł Rachelę z cienia i też podszedł do Masteena. Templariusz utkwiał wzrok w jakimś odległym punkcie. Jego czoło było tak rozgrzane, że parzyło dłonie Sola.

– Daj ostatni medpak – warknął Sol. – Zaprogramuj na ultramorfineę i odczynnik przeciwgorączkowy.

– Drzewo Bólu! – wyjęczał Het Masteen. – Zostałem wybrany jego Głosem! Erg ma mnie powieść przez przestrzeń i czas! Biskup i Głos Wielkiego Drzewa wybrali właśnie mnie! Nie mogę ich zawieść.

Oparł się na moment o ramię Sola, po czym znów padł na kamienną platformę.

– Jestem Prawdziwym Wybranym – wyszeptał. Siły uchodziły z niego jak powietrze z przekłutego balonu. – Muszę przeprowadzić Drzewo Bólu przez czasy pokuty. – Zamknął oczy.

Ojciec Dure przytwierdził ostatni medpak i sprawdził, czy monitor jest nastawiony na chemię ciała templariusza i jego metabolizm. Włączył podawanie adrenaliny i środków przeciwbólowych. Sol nachylał się nad leżącym.

– To nie jest terminologia ani teologia templariuszy – powiedział. Używa słownictwa



kultu Chyżwara. – Popatrzyl Solowi w oczy. To wyjaśnia niektóre tajemnice... szczególnie te z opowieści Brawne. Z jakiegoś powodu templariusze byli w zмовie z Kościołem Ostatecznej Pokuty... z kultem Chyżwara.

Sol skinął głową, zdjął swój komlog, włożył go na nadgarstek Masteena i przeskalował monitor.

– Drzewo Bólu musi być tym słynnym drzewem cierni – mruknął ojciec Dure, spoglądając na puste niebo, w które przed chwilą wpatrywał się Masteen. – Ale co to znaczy, że on i erg zostali wybrani, by przeprowadzić je przez czas i przestrzeń? Czy on naprawdę myśli, że będzie pilotować drzewo Chyżwara, tak jak templariusze pilotują swoje drzewostatki? Dlaczego?

– Musisz go o to zapytać w następnym wcieleniu – powiedział Sol zmęczonym głosem. – On jest martwy.

Ojciec Dure sprawdził monitory. Spróbowali użyć stymulantów reanimacyjnych medpaku i oddychania usta – usta. Wskazówki monitorów nawet nie drgnęły. Het Masteen, templariusz, Prawdziwy Głos Drzewa i pielgrzym do Chyżwara, naprawdę był martwy.

Czekali jeszcze godzinę, niepewni niczego w tej zdradliwej dolinie Chyżwara, ale kiedy monitory zaczęły wykazywać raptowny rozkład ciała, pogrzebali Masteena w płytkim grobie przy ścieżce, pięćdziesiąt metrów w stronę wyjścia z doliny. Kassad zostawił im składany szpadel – w żargonie wojskowym nazywało się to saperką. Pracowali na zmianę. Jeden kopał, a drugi opiekował się Rachelą i Brawne Lamią.

Sol stał w cieniu głazu i piastował dziecko, ojciec Dure powiedział kilka słów. Rzucili ziemię na całun z plastowłókniny.

– Tak naprawdę to nie zdołałem poznać M. Masteena – stwierdził ksiądz. – Nie byliśmy tej samej wiary, ale tej samej profesji: Głos Drzewa Masteen większość swego życia spędził na czynieniu tego, co uważał za pracę dla Boga. Wypełniał Bożą wolę według pism Muira, sławiąc piękno natury. W jego życiu nie brakowało przeciwności losu, a zdyscyplinowanie i posłuszeństwo wobec wiary w końcu przypieczętował ofiarą. – Ojciec Dure przerwał i spojrzał w szare, rozgrzane niebo. – Przyjmij, proszę, Twego sługę, o Panie. Przygarnij go w ramiona tak, jak pewnego dnia przygarniesz nas, tych, którzy Cię szukali i zbłądzili. W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego, amen.

Rachela zaczęła płakać. Sol kołysał ją, kiedy ojciec Dure sypał szpadlem ziemię na plastowłókninę.

Wrócili na platformę przed Sfinksem i ostrożnie przesunęli Brawne w tę resztkę cienia, która jeszcze pozostała przy grobowcu. Nie było sposobu, żeby uchronić ją przed promieniami popołudniowego słońca, chyba żeby wnieśli ją do wnętrza Sfinksa, ale żaden z nich nie zdecydował się tego zrobić.

– Konsul musiał już przebyć połowę drogi do statku – powiedział ksiądz po wypiciu długiego łyka wody. Czoło miał spieczone słońcem i pokryte warstwą potu.

– Tak – mruknął Sol.

– Powinien tu być jutro o tej samej porze. Użyjemy palników laserowych, żeby uwolnić Brawne, potem przeniesiemy ją do sali zabiegowej statku. Może wbrew temu, co mówią doktorzy, powstrzymamy też w pojemniku kriogenicznym ubywanie lat Racheli.

– Tak.

Ojciec Dure odstawił butlę i spojrzał na Sola.

– Czy wierzysz, że tak będzie?

Sol odwzajemnił mu spojrzenie.

– Nie.

Od południowo – zachodnich ścian urwiska narastał cień. Skwar dnia stężał, a potem trochę pofolgował. Od południa nadciągnęły chmury.

Rachela spała w cieniu, przy wejściu do grobowca. Sol podszedł do Paula Dure gapiącego się w głąb doliny i położył mu rękę na ramieniu.



– O czym myślisz, przyjacielu?

Ojciec Dure nie odwrócił się.

– Myślę o tym, że gdybym naprawdę nie wierzył, że samobójstwo to grzech śmiertelny, dawno bym ze sobą skończył, żeby dać szansę na życie młodemu Hoytowi. – Popatrzył na Sola i prawie się uśmiechnął. – Ale co to za samobójstwo, kiedy ten pasożyt w mojej piersi... a może w jego piersi... pewnego dnia wskrzesi mnie kopniakami i ciągnięciem za włosy?

– Czy to byłby rzeczywiście taki wspaniały dar dla Hoyta, sprowadzić go z powrotem tutaj? – zapytał cicho Sol.

Ojciec Dure przez chwilę nic nie mówił. Potem poklepał Sola po ramieniu.

– Myślę, że powinienem się trochę przejść.

– Dokąd? – Sol mrużąc oczy patrzył na popołudniowe niebo, z którego lał się na ziemię żar. Mimo pokrywy chmur w dolinie było jak w piecu.

Ksiądz wykonał nieokreślony gest.

– Przed siebie. Wkrótce będę z powrotem.

– Uważaj na siebie – powiedział Sol. – I pamiętaj, konsul leci szlakiem patroli nad rzeką. Może wrócić już niedługo.

Paul Dure pokiwał głową, poszedł, żeby wziąć butlę z wodą, lekko dotknął Racheli i zaczął schodzić długimi schodami prowadzącymi do Sfinksa. Szedł powoli i ostrożnie jak bardzo stary człowiek.

Sol patrzył, jak postać księdza staje się coraz mniejsza, westchnął i wrócił, żeby usiąść obok córeczki.

Paul Dure starał się kryć w cieniu, ale nawet tam upał był nieznośny, siedział mu na ramionach jak ciężkie jarzmo. Przeszedł obok Nefrytowego Grobowca, potem ruszył ścieżką wiodącą w stronę północnych urwisk i Obelisku. Wąski cień tego grobowca rysował się na różowawym kamieniu i pyle zalegającym dno doliny. Ksiądz schodził coraz niżej, wyszukiwał drogę między szczątkami zalegającymi okolicę Kryształowego Monolitu. Podniósł wzrok na potrzaskane, poruszone jęczącym w szczelinach wiatrem kawałki kryształu zwisające z grobowca. Zobaczył swoje odbicie w niższej części fasady i przypominał sobie brzmiące jak dźwięk organów zwodzenie wieczornego wiatru wznoszącego się z Rozpadliny, kiedy znalazł Bikurów na Płaskowyżu Pinion. Wydawało się, że to się działo przed wiekami. To było w poprzednim życiu.

Ojciec Dure odczuwał spustoszenia, jakie krzyżokształt poczynił w jego umyśle i pamięci. Robiło mu się od tego niedobrze i nie było na to remedium. Logiczne myślenie, wyciąganie wniosków niegdyś było dla niego dziecinną zabawą. Teraz wymagało całkowitej koncentracji. Przekraczało jego możliwości. Uciekały mu słowa. Emocje targały nim z taką samą gwałtownością jak prądy czasu. Kilka razy musiał opuścić innych pielgrzymów, żeby bez powodu wypłakać się w samotności.

Inni pielgrzymi. Teraz pozostał tylko Sol z dzieckiem. Ojciec Dure z ochotą poświęciłby własne życie, żeby uratować tamtych dwoje. Zastanawiał się; czy to grzech układać się z Antychrystem.

Zaszedł już daleko w głąb doliny. Był prawie w tym miejscu, gdzie zakręcała na wschód tworząc kocioł, w którym pałac Chyżwara rzucał niesamowite cienie na skały. Ścieżka wiała się przy północno – zachodniej ścianie koło Grobowców Jaskiniowych. Ojciec Dure poczuł ciąg chłodnego powietrza z pierwszej jaskini. Kusiło go, żeby tam wejść, odpocząć od upału, zamknąć oczy i zdrzemnąć się trochę.

Szedł dalej.

Wejście do drugiej jaskini ozdobione było barokowymi płaskorzeźbami w skale. Ojcu Dure przyszła na myśl starożytna bazylika, którą odkrył w Rozpadlinie – wielki krzyż i ołtarz, gdzie niedorozwinięci umysłowo Bikurowie odprawiali swoje „modły”. Czcili obsceniczną nieśmiertelność krzyżokształtów, a nie prawdziwe Zmartwychwstanie obiecywane przez Krzyż. Ale co to za różnica? – przeszło mu przez myśl, aż potrzą-



snał głową starając się rozwiać mgłę cynizmu. Przy trzecim Grobowcu Jaskiniowym, najkrótszym i najskromniejszym, ścieżka lekko się wznosiła.

Buchało z niego światło.

Ojciec Dure zatrzymał się, zaczerpnął powietrza i obejrzał się za siebie. Kilometr dalej widać było Sfinksa, ale z tej odległości nie mógł zobaczyć Sola. Przez chwilę starał się sobie przypomnieć, czy poprzedniego dnia skryli się właśnie w trzeciej jaskini... może któreś z nich zostawiło tu latarnię.

Nie, to nie był trzeci Grobowiec Jaskiniowy. Nie licząc poszukiwań Kassada, tutaj nie wchodziło.

Ojciec Dure wiedział, że powinien zignorować światło, wrócić do Sola i czuwać wraz z nim i jego córeczką.

Ale Chyżwar przychodził do każdego z osobna. Dlaczego ja miałbym nie odpowiedzieć na wezwanie? – zapytał sam siebie.

Poczuł wilgoć na policzkach i zrozumiał, że bezgłośnie, bezrozumnie szlocha. Gwałtownie otarł łzy wierzchem dłoni i stał zaciskając pięści.

Intelekt był moją największą próżnością. Byłem jezuitą intelektualistą. Czułem się bezpieczny, chroniony przez tradycje Teilharda i Prassarda. Nawet teologia, którą narzucałem Kościołowi, seminarzystom i tym nielicznym wiernym, jacy chcieli mnie słuchać, podkreślała znaczenie umysłu, tego cudownego Punktu Omega świadomości. Bóg jako sprytny algorytm. No cóż, Paulu; niektóre rzeczy wymykają się intelektowi! – skonstatawał, po czym wszedł do grobowca.

Sol obudził się nagle. Był pewien, że ktoś się do niego skrada. Skoczył na równe nogi i rozejrzał się dokoła. Rachela cichutko mruczała. Obudziła się razem z ojcem. Brawne Lamia leżała bez ruchu w tym samym miejscu, w którym ją zostawili. Monitory na jej komlogu nadal świeciły zielonym blaskiem, wskaźnik aktywności mózgu był czerwony.

Spał prawie godzinę. Tymczasem chmury zaciągnęły niebo nad doliną. Tylko szczyt Sfinksa nadal skąpany był w słońcu wyglądającym co jakiś czas zza chmur. Promienie przedzierały się przez wylot doliny i oświetlały przeciwną ścianę urwiska. Wzmagali się wiatr. Ale nic się nie poruszało.

Sol podniósł Rachelę, ukołysał ją, gdy zaczęła płakać, i zbiegł ze stopni. Rozglądał się. Patrzył w tył, na Sfinksa i na okoliczne grobowce.

– Paul! – jego głos odbijał się echem od skał. Wiatr podnosił tumany kurzu przy Nefrytowym Grobowcu, ale nic innego nie zakłócało ciszy. Sol nadal miał wrażenie, że coś się ku niemu skrada, że jest obserwowany.

Rachela wrzeszczała i wiała się w jego objęciach. Głosik miała wysoki, cienki: było to zawrodo noworodka. Sol spojrzął na komlog. Dziecko miało tylko dzień i godzinę. Spojrzął na nieboskłon w poszukiwaniu statku konsula, zaklął pod nosem i wrócił do Sfinksa, żeby zmienić dziecku pieluchę, sprawdzić stan Brawne, wyciągnąć z tobołka odżywkę dla niemowlęcia i założyć pelerynę. Upał skończył się zaraz po zachodzie słońca.

Ostatnie pół godziny zmierzchu Sol wykorzystał na poszukiwania. Szedł doliną, wołał ojca Dure i zaglądał do grobowców, nie wchodząc do nich. Przeszedł obok Nefrytowego Grobowca, gdzie został zamordowany Hoyt. Ściany budowli jaśniały mleczną zielenią. Minął ciemny Obelisk rzucający cień na południowo – wschodnią ścianę doliny, a także Kryształowy Monolit, którego wierzchołek łapał jeszcze ostatnie promienie słońca zachodzącego gdzieś za Miastem Poetów. Gdy przechodził koło Grobowców Jaskiniowych, zapadł już wieczór i nagle się ochłodziło. Sol krzychał u wejścia do każdej z jaskiń. Na twarzy czuł powiew wilgotnego powietrza jak zimny oddech jakiegoś stwora.

Odpowiedzi nie było.

Gdy prawie zapadła ciemność, podszedł do Pałacu Chyżwara. Stanął u wejścia, starając się przeniknąć wzrokiem cienie. Zawołał w głąb ciemnego wnętrza. Odpowiedziało



tylko echo. Rachela znów zaczęła płakać.

Drżał. Na karku czuł powiew chłodu. Bezustannie odwracał się, próbując zaskoczyć niewidzialnego obserwatora. Dostrzegł tylko gęstniejącą ciemność i pierwsze gwiazdy między chmurami. Pośpieszył ku Sfinksowi. Z początku tylko szybko szedł. Potem zaczął biec. Minął Nefrytowy Grobowiec. Wieczorny wiatr zawodził jak płaczące niemowlę.

– Cholera! – wydyszał Sol, gdy osiągnął szczyt schodów u podnóża Sfinksa.

Brawne Lamii nie było. Nie pozostał nawet ślad po jej ciele i metalowej pępowinie.

Przeklinając, Sol mocniej przycisnął do siebie Rachelę i zaczął szukać latarki w swoim tobołku.

Trochę dalej, w głębi centralnego korytarza, Sol znalazł koc, w który owinęli Brawne. Nic więcej po niej nie pozostało. Korytarze rozwidlały się i zakręcały, to rozszerzając się, to zwężając. Sufit obniżał się niekiedy tak, że Sol musiał się czołgać trzymając jednocześnie jedną ręką Rachelę. Główka dziecka dotykała jego policzka. Nie cierpiał wędrówek po grobowcu. Serce biło mu tak gwałtownie, że nieomal spodziewał się zawału.

Ostatni korytarz okazał się ślepą uliczką. Tam, gdzie kabel wnikał w kamień, pozostał tylko kamień.

Trzymając latarkę w zębach, walił w kamienie, pchał się na głazy wielkości domu, jakby spodziewając się, że otworzy się tajemne przejście, pojawi jakiś tunel.

Nic się nie działo.

Przycisnął mocniej Rachelę i zaczął się wycofywać. Kilka razy skręcił w niewłaściwą stronę. Serce waliło mu jak oszalałe za każdym razem, gdy myślał, że się zgubił. Wreszcie znalazł korytarz, który był w stanie rozpoznać, potem główny korytarz i wkrótce wyszedł na zewnątrz.

Zaniósł dziecko do podnóża schodów, szedł przed siebie, byle dalej od Sfinksa. U wejścia do doliny zatrzymał się i usiadł na niskiej skałce. Dyszał, z trudnością łapiąc oddech. Rachela nie wydawała żadnego dźwięku, prawie się nie poruszała. Tylko jej paluszki gmerały w brodzie ojca.

Z pustkowia wzniósł się wiatr. Chmury otworzyły się nad Solem i znów zamknęły, przykrywając gwiazdy. Teraz jedyne światło pochodziło z jarzących się chorobliwie grobowców. Sol obawiał się, że dzikie bicie jego serca może wystraszyć niemowlę, ale Rachela nadal była spokojna. Ciepło jej ciała było namacalnym dowodem, że dziecko niczym się nie przejmuje.

– Cholera – wyszeptał Sol. Troszczył się o Brawne Lamię. Opiekował się wszystkimi pielgrzymami, a teraz został sam. Lata akademickich doświadczeń nauczyły go szukania we wszystkich wydarzeniach jakiegoś wzoru, jakiegoś morału. Ale nie było wzorca dla wydarzeń na Hyperionie. Tu były tylko zamęt i śmierć.

Sol kołysał dziecko i patrzył na pustkowie. Rozważał, czy nie powinien natychmiast opuścić tego – miejsca... pójść do martwego miasta albo do Baszty Chronosa... albo na północny zachód do brzegu morza, albo na południowy wschód, gdzie Góry Cugielne zanurzają się w oceanie. Sol potarł policzek trzęsącą się ręką; na tym pustkowie nie będzie zbawienia. Wyjście z doliny nie uratowało Marlina Silenusa. Chyżwara widywano daleko na południe od Gór Cugielnych. Aż w Endymion oraz innych południowych miastach. Poza tym, nawet jeśli nie padną ofiarą potwora, to umrą z głodu i pragnienia. Sol mógłby ewentualnie przetrwać, żywiąc się korzonkami roślin, pijąc wodę ze śniegu, ale zapasy mleka dla Racheli były ograniczone, nawet jeśli liczyć to, co Brawne przyniosła z baszty. Przypomniał sobie, że zapasy mleka nie mają tutaj znaczenia...

Jeszcze niecała doba i zostanę sam, pomyślał. Zdusił jęk, który wywołała w nim ta konstatacja.

Jego życiem przez ostatnie dwadzieścia pięć lat powodowała determinacja, z jaką chciał uratować swoje dziecko. To twarde postanowienie, żeby zwrócić Racheli zdrowie i życie, było nieomal dotykającą siłą, dziką energią, którą dzielił z Sarai i podtrzymywał, jak kapłan podsycający świątynny ogień. Nie, na Boga, jest jakaś metoda w tym szaleństwie, jakieś moralne drugie dno wydarzeń, które tylko na pozór wydają się przypadko-



we. Natchniony tą wiarą Sol Weintraub był gotów położyć na szali życie swoje i dziecka.

Wstał i poszedł powoli ścieżką prowadzącą do Sfinksa. Wspiął się na schody, znalazł jakąś pelerynę i kilka koców i wymościł dla siebie i córeczki legowisko.

Rachela leżała na jego piersi i brzuchu. Przez sen ścisnęła i rozwierała rączki. Sol słyszał jej słabutki oddech, kiedy zapadła w jeszcze głębszy sen. Na usteczkach robiły się jej bańki śliny. Po chwili Sol też zasnął.



Solowi przyśnił się sen, który ciągle do niego powracał, odkąd Rachela zaraziła się chorobą Merlina.

Chodził po ogromnym budynku. Kolumny wielkości sekwoi wyrastały przed nim w mroku, gdzieś z góry wpadały słupy karmazynowego światła. Słysząc było trzask wielkiego stosu, jakby płonął cały świat. Przed nim żarzyły się dwa ciemnoczerwone owale.

Sol znał to miejsce. Wiedział, że znajdzie tu ołtarz, na którym leży Rachela – nieprzytomna, dwudziestoletnia Rachela – a potem odezwie się rozkazujący głos.

Sol wszedł na niski balkon i patrzył w dół, na znajomą scenę. Jego córka, dorosła kobieta, którą on i Sarai żegnają przed podróżą, wyruszająca na odległego Hyperiona w celu przeprowadzenia badań, leży naga na szerokim kamiennym bloku. Nad nimi unoszą się bliźniacze czerwone oczy Chyżwara. Na ołtarzu widać długi, zakrzywiony nóż wykonany z wyostrzonej kości. Odzywa się Głos:

„Sol! Weź swą córkę, swą jedyną córkę, Rachelę, którą umiłowałeś, i pójdź na świat zwany Hyperionem i złóż ją tam jako ofiarę całopalną w miejscu, które ci wskażę”.

Ręce Sola trzęsły się z bólu i gniewu. Wyrwał sobie włosy i krzyczał w ciemność. Powtarzał słowa, którymi za każdym razem odpowiadał Głosowi:

„Nie będzie więcej ofiar, ani z dzieci, ani z rodziców. Nie będzie więcej poświęceń. Czas posłuszeństwa i pokuty minął. Pomóż nam jako przyjaciel albo idź precz!”

W poprzednich snach podnosił się wtedy wiatr, narastało poczucie izolacji, a w ciemności słysząc było oddalające się kroki. Ale tym razem sen trwał. Ołtarz zamigotał i nagle stał się pusty. Leżał na nim tylko kościany nóż. Bliźniacze oczy nadal unosiły się w górze jak ogniste rubiny wielkości planet.

– Słuchaj, Solu – rozległ się Głos. Tym razem nie było to potężne dudnienie dochodzące z góry, ale modulowany szept skierowany prosto w jego ucho. – Przyszłość rodzaju ludzkiego zależy od twojej decyzji. Czy jesteś w stanie ofiarować Rachelę z miłości, jeśli nie chcesz zrobić tego z obowiązku?

Sol znał odpowiedź, zanim Głos przestał mówić. Nie będzie już więcej ofiar. Ani dziś, ani jutro. Nigdy. Rodzaj ludzki dość już wycierpiał przez swoją miłość do bogów, przez długie poszukiwanie Jedyne Boga. Myślał o długich stuleciach, poprzez które jego lud, Żydzi, układał się z Bogiem, narzekał, wadził, wieszał na Nim psy za niegodziwość natury rzeczy, ale zawsze, za każdym razem wracał do posłuszeństwa, bez względu na cenę. Pokolenia ginęły w piecach nienawiści. Następne pokolenia terroryzował zimny ogień promieniowania i odnowiona nienawiść.

Dość już tego. Nigdy więcej.

– Powiedz tak, tatusiu.

Sol wzdrygnął się, gdy ktoś dotknął jego ręki. Rachela stała przy nim. Nie była ani dzieckiem, ani dorosłą kobietą, ale ośmiolatką, którą poznawał dwukrotnie – gdy rosła i gdy ubywało jej lat pod wpływem choroby Merlina. Jasnobrązowe włosy miała związane w koński ogon. Nosila płócienne, sprane ubranko i trampki.

Sol wziął ją za rękę, ścisnął mocno, ale tak, żeby nie zadać jej bólu. Odwzajemniła uścisk. To nie było złudzenie ani okrucieństwo ze strony Chyżwara. To naprawdę była jego córka.

– Powiedz tak, tatusiu.

Sol rozwiązał problem Abrahama, którego posłuszeństwo wobec Boga stało się przyczyną zła. Posłuszeństwo dłużej już nie może być podstawą stosunków między ludzkością a tym, co uważa za boskie. Ale co zrobić, jeśli dziecko wybrane na ofiarę prosi o zachowanie posłuszeństwa wobec bożego kaprysu?

Sol uklęknął na jedno kolano obok córki i otworzył ramiona. – Rachelo.

Uścisnęła go z tą samą energią, jaką pamiętał z niezliczonych uścisków, których mu



nie szczeniła. Wyszepiała mu do ucha:

– Tatusiu, proszę, musimy powiedzieć tak.

Sol nadal ją obejmował. Czuł jej ramionka i ciepło przytulonego policzka. Płakał cicho.

– Kocham cię, tatusiu.

Wstał, wytarł twarz grzbietem dłoni i trzymając Rachelę za rękę zaczął schodzić w kierunku ołtarza.

Obudził się z uczuciem, że spada. Starał się złapać dziecko. Spała spokojnie na jego piersi. Piąstkę miała zaciśniętą, kciuk trzymała w buzi, ale gdy nagle się wyprostował, obudziła się z krzykiem. Sol wstał rozrzucając koce. Mocno przyciskał Rachelę do siebie.

Był już dzień, późny ranek. Spali, gdy noc ustępowała przed promieniami słońca zagładającymi do doliny. Sfinks czaił się nad nim jak drapieżna bestia. Jego potężne łapy leżały po obu stronach platformy, na której spali.

Rachela zawodziła. Twarzyczkę miała wykrzywioną. Była głodna, wystraszona nagłym przebudzeniem, wyczuwała strach ojca. Sol stał w jaskrawym słońcu i kołysał ją. Wszedł na najwyższy stopień schodów, zmienił jej pieluszkę, podgrzał jedną z ostatnich odżywek i dał jej jeść. Zawodzenie ucichło, gdy dziecko zaczęło ssać. Po chwili Racheli odbiło się i wkrótce usnęła.

Do narodzin Racheli zostało niecałe dziesięć godzin. Mniej niż dziesięć godzin do zachodu słońca i ostatnich minut życia jego dziecka. Nie po raz pierwszy Sol żałował, że Grobowce Czasu nie są wielkimi szklanymi budowlami symbolizującymi kosmos i zamieszkującą w nim boskość. Rzucałby w nie kamieniami, aż stłukłby wszystkie szyby.

Starał się przypomnieć sobie wszystkie szczegóły snu, ale ciepło i poczucie pewności, którym kończył się sen, uleciały w ostrym słońcu Hyperiona. Pamiętał tylko prośbę wyszeptaną przez Rachelę. Myśl, że mógłby złożyć ją w ofierze Chyżwarowi, sprawiała, że żołądek kurczył mu się z odrazy.

– Już dobrze – wyszeptał do niej, gdy się poruszyła. Zasnęła znowu. – Już dobrze, dziecinko. Wkrótce przybędzie tu statek konsula. Będzie tu lada chwila.

Statek konsula nie przyleciał do południa. Nie przyleciał też we wczesnych godzinach popołudniowych. Sol chodził po dolinie, wołał imiona zaginionych pielgrzymów, śpiewał na wpuł zapomniane piosenki, kiedy Rachela się budziła, zawodził kołysanki, gdy znów zasypiała. Jego córeczka była taka malutka i lekka: miała trzy kilograpy i pięćdziesiąt pięć gramów, czterdzieści dziewięć centymetrów, gdy się urodziła. Wspominał to z uśmiechem. Uśmiechał się też na wspomnienie swojego starego domu na planecie Barnarda.

Późnym popołudniem obudził się nagle z lekkiej drzemki w cieniu łapy Sfinksa. Statek kosmiczny zakreślał łuk na kopule ciemnobłękitnego nieba.

– Przyleciał! – krzyknął Sol. Rachela zaczęła się kręcić i kwilić, jakby odpowiadając na jego podniesiony głos.

Na błękitnym nieboskłoniu odznaczała się intensywnie niebieska krecha płomieni fuzyjnych, charakterystyczna dla statków kosmicznych, poruszających się w obrębie atmosfery. Sol zaczął podskakiwać. Po raz pierwszy od wielu dni poczuł ulgę. Krzyczał i skakał, aż Rachela zaczęła szlochać ze strachu. Sol przestał, podniósł ją wysoko i choć wiedział, że niemowlę nie jest w stanie widzieć na taką odległość, chciał jej pokazać piękno lądującego statku zakreślającego łuk nad odległymi górami, obniżającego lot w kierunku pustyni.

– Udało mu się! – krzyczał. – Przyleciał. Statek...

Trzy głuchoe wybuchy dotarły do doliny jeden za drugim. Pierwsze dwa był to efekt cofania się za barierę dźwięku, gdy statek spowalniał przygotowując się do lądowania. Trzeci zwiastował zniszczenie.

Sol patrzył, jak jaskrawe punkciki u szczytu płomieni fuzyjnych nagle rosą do roz-



miarów słońca, rozszerzają się w chmurę płomieni i gotujących się gazów, a później, w milionie ognistych kawałków, koziółkują w dół, ku pustyni. Blask prawie go oślepił.

– Mój Boże – wyszeptał. – Mój Boże.

Nie było wątpliwości; statek uległ całkowitej zagładzie. Wtórne eksplozje rozdzierały powietrze, gdy szczątki statku opadały na pustynię, na góry, na Morze Traw, ciągnąc za sobą ogony dymu i płomieni.

Sol usiadł na gorącym piasku. Był zbyt wyczerpany, żeby płakać. W środku czuł pustkę. Mógł już tylko kołysać dziecko.

Dziesięć minut później podniósł wzrok i zobaczył ślady ogni fuzyjnych wydobywające się z dysz dwóch innych statków kosmicznych. Prowadziły od południa w stronę zenitu. Jeden z punkcików eksplodował zbyt daleko, żeby do Sola dotarł huk wybuchu. Drugi zniknął z pola widzenia za Górami Cugielnymi.

– Może to nie był konsul – szepnął Sol. – Może to inwazja Intruzów. Może statek konsula jeszcze po nas przyleci.

Ale statek nie przybył do późnego popołudnia. Nie przybył też do czasu, kiedy małe słońce Hyperiona stanęło nisko nad urwiskiem, a cienie sięgnęły najwyższego stopnia schodów prowadzących do Sfinksa, gdzie siedział Sol. Nie przybył, gdy cała dolina znalazła się w cieniu.

Czas narodzin Racheli nadejdzie za niecałe pół godziny. Sol sprawdził jej pieluszkę, stwierdził, że jest sucha, i nakarmił dziecko. Gdy jadła, patrzyła na niego wielkimi ciemnymi oczami. Sol przypomniał sobie, jak ją trzymał zaraz po urodzeniu. Sarai odpoczywała pod ciepłym kocem, a oczy dziecka wpatrywały się w niego z takim samym wyrazem zdziwienia i zaskoczenia jak teraz.

Wieczorny wiatr szybko przygnał chmury nad dolinę. Od południowego zachodu słychać było łoskot. Najpierw odległy grzmot, później regularny do obrzydzenia huk ostrzału artyleryjskiego. Pewnie wybuchy jądrowe i plazmatyczne odległe o jakieś osiemset kilometrów od doliny. Sol przepatrzył niebo między chmurami. Nad jego głową przelatowały ogniste meteoryty: prawdopodobnie pociski balistyczne albo desantowce. Tak czy inaczej były to zwiastuny zagłady Hyperiona.

Sol nie zważał na to. Gdy nakarmił Rachelę, zaczął jej śpiewać kołysanki. Poszedł do wyjścia z doliny i powoli wrócił do Sfinksa. Grobowce jarzyły się jak nigdy dotąd. Buchały ostrym, neonowym światłem gazów pobudzonych uderzeniami elektronów. Ostatnie promienie zachodzącego słońca zabarwiały powłokę chmur na pastelowe kolory.

Do narodzin Racheli pozostało mniej niż trzy minuty. Gdyby nawet nadleciał teraz statek konsula, nie byłoby czasu, żeby wejść na pokład i uspić kriogenicznie małą.

Zresztą Sol wcale tego nie chciał.

Wspiął się powoli na stopnie wiodące do Sfinksa. Przypomniał sobie, że Rachelaszła tą samą drogą dwadzieścia sześć lat temu, nieświadoma losu, jaki czeka ją w ciemnej krypcie.

Zatrzymał się na ostatnim stopniu i nabrał tchu. Światło słońca zdawało się wprost dotykalne. Wypełniało niebo, rozpalało skrzydła i grzbiet Sfinksa. Sam grobowiec zdawał się uwalniać zmagazynowaną energię świetlną, jak skały na pustyni Hebronu, gdzie Sol przed laty szukał oświecenia, a znalazł tylko zgryzotę. Powietrze promieniało światłem. Wiatr ciągle się wzmaczał. Przewiewał piasek przez całą dolinę.

Sol uklęknął na jedno kolano, ściągnął z Racheli koce. Dziecko zostało w samym beciku.

Rachela wierciła mu się w rękach. Twarz miała purpurową i śliską, rączki malutkie i czerwone. Z trudem zaciskały się w piąstki. Sol zapamiętał ją dokładnie taką, kiedy lekarz podał mu ją zaraz po urodzeniu. Potem położył ją na brzuchu matki, żeby i Sarai mogła ją zobaczyć.

– O Boże! – westchnął Soli uklęknął na oba kolana. Teraz naprawdę klęczał.

Cała dolina drżała jak w czasie trzęsienia ziemi. Sol słyszał dalekie wybuchy na południu. Ale większą troską napawał go straszny blask bijący od Sfinksa. Oświetlony



tą pulsującą poświatą Sol rzucał pięćdziesięciometrowy cień na schody i dolinę. Kątem oka widział, że inne grobowce też promieniają jasnością – wielkie barokowe reaktory tuż przed stopieniem się rdzeni.

Wejście do Sfinksa pulsowało błękitnym światłem przechodzącym w fiolet i straszliwą biel. Za Sfinksem, na płaskowyżu rozciągającym się nad Doliną Grobowców Czasu, pojawiło się niesamowite drzewo. Jego wielki pień i ostre, stalowe konary przebijały się przez chmury. Sol zobaczył trzymetrowe ciernie i straszne owoce, które z nich zwisały. Odwrócił wzrok. Znow wpatrywał się w wejście do Sfinksa.

Wiatr zawodził, z łoskotem przetoczył się grom. Cynobrowy pył unosił się jak kurtyna z wyschniętej krwi. Dał się słyszeć czyjś krzyk. Dołączył do niego chór wrzasków.

Sol nie zważał na to wszystko. Patrzył na twarz dziecka i wyżej, na cień, który wypełnił wejście do grobowca.

Ze Sfinksa wyłonił się Chyżwar. Musiał się pochylić, żeby jego trzymetrowa postać i stalowe ostrza zmieściły się w wyjściu. Wkroczył na kamienną platformę i szedł dalej ze straszliwą precyzją automatu.

Gasnące słońce odbijało się w stalowym korpusie, spływało po zagiętym napierśniku, stalowych cierniach, pobłyskiwało na palcach jak ostrza i na skalpelach otaczających koroną wszystkie stawy. Sol przycisnął Rachelę do piersi i patrzył uporczywie w dwa wielościenne czerwone piece – oczy Chyżwara. Przypomniał mu się powracający od lat sen.

Chyżwar odwrócił głowę w prawo i w lewo o dziewięćdziesiąt stopni w każdą stronę, jakby robił przegląd swoich włości.

Postąpił jeszcze trzy kroki przed siebie i zatrzymał się o niecałe dwa metry od Sola. Zakręciły się i uniosły cztery ramiona stwora, wyprostowały się ostre szpony palców.

Sol jeszcze mocniej przycisnął Rachelę do siebie. Do jej narodzin pozostawały sekundy. Oczy noworodka poruszały się niezależnie od siebie. Starły się zogniskować na Solu.

„Powiedz tak, tatusiu”. – Sol przypomniał sobie słowa ze snu. Chyżwar opuścił głowę. Rubinowe oczy pod potwornym kapturem patrzyły tylko na Sola i jego dziecko. Srebrne szczęki rozchyliły się lekko, ukazując warstwy stalowych zębów. Cztery ramiona wyciągnęły się do przodu z metalowymi rękami odwróconymi dłońmi do góry. Zatrzymały się o pół metra od twarzy Sola.

„Powiedz tak, tatusiu”. – Sol znow przypomniał sobie sen i uścisk córeczki. W tym momencie zdał sobie sprawę, że na samym końcu, gdy wszystko inne zamienia się w proch, zostaje tylko lojalność wobec tych, których kochamy. I tylko ją zabieramy z sobą do grobu. Wiara, prawdziwa wiara, była objawem zaufania do tej miłości.

Uniósł noworodka – umierające dziecko, któremu zostały tylko sekundy życia, wydawało właśnie swój pierwszy i ostatni zarazem oddech – i podał go Chyżwarowi.

Uwolniony od nieodczuwalnego prawie ciężaru, doznał strasznego zawrotu głowy.

Chyżwar wziął Rachelę i cofnął się. Pochłonęło go światło. Drzewo cierni za Sfinksem przestało drgać. Przeszło do realnego czasu. Było teraz dobrze widoczne.

Sol postąpił naprzód z wyciągniętymi rękami. Szedł w stronę światłości, tam gdzie zniknął Chyżwar. Wybuchy zaczęły rozrywać chmury. Fala uderzeniowa rzuciła Sola na kolana.

Wokół niego otwierały się Grobowce Czasu.



Przebudziłem się mocno niezadowolony, że nie pozwolono mi dłużej spać.

Odwrociłem się i zakląłem oślepiiony ostrym światłem. Leigh Hunt siedział na brzegu mego łóżka, z iniektorem w dłoni. – Łyknałeś tyle proszków nasennych, że przespałbyś cały dzień rzekł. – Wstawaj.

Usiadłem, przetarłem oczy i rzuciłem Huntowi wściekłe spojrzenie.

– Kto, do diabła, pozwolił ci wchodzić do mojego pokoju? Wysilek związany z mówieniem sprawił, że zaniósłem się kaszlem. Hunt przeszedł do łazienki i podał mi szklanekę wody.

– Proszę.

Zwilżyłem gardło, na próżno starając się między spazmami kaszlu dać upust gotującej się we mnie złości. Resztki snu rozplywały się niczym poranna mgła. Poczułem, że powoli opuszcza mnie przytłaczające poczucie utraconej szansy.

– Ubieraj się – rzucił Hunt. – Przewodnicząca chce widzieć cię za dwadzieścia minut. Sporo się wydarzyło, kiedy spałeś.

– Co? – Ponownie przetarłem zapuchnięte powieki i dłonią przygładziłem włosy.

Hunt uśmiechnął się lekko.

– Skorzystaj z datasfery. A później idź do Meiny Gladstone. Masz dwadzieścia minut, Severn.

Wyszedł.

Dostałem się do datasfery. Można ją przyrównać do oceanu na Starej Ziemi. Zwyczaj była to niemal idealnie równa płaszczyzna, z lekkimi jedynie zmarszczkami. Tylko podczas kryzysów pojawiały się bałwany zwieńczone grzebieniami piany. Dzisiaj szalał tu sztorm. Występowały opóźnienia w dostępie, a w kolejnych falach informacji panował chaos. Infoprzestrzeń ulegała nieustannym zmianom, a WszechJedność – zwykle dająca wrażenie poszumu – teraz przypominała porywisty wiatr gnający chmury w postaci fragmentów wiadomości i zdezaktualizowanych danych.

– Dobry Boże – wyszeptałem. I choć przerwałem dostęp, wciąż w moim mózgu i obwodach implantu krążyły informacje. Wojna. Atak z zaskoczenia. Groźba zniszczenia światów Sieci. Przemowa Meiny Gladstone. Zamieszki na licznych planetach. Powstanie wyznawców Chyżwara na Lususie. Flota Armii wycofująca się z systemu Hyperiona. Zbyt późno. Oblężenie Hyperiona. Strach przed przejściem przez Intruzów działających transponderów.

Wstałem, nago pobiegłem pod prysznic i w rekordowym tempie wziąłem tusz. Hunt lub ktoś inny przygotował mi już szary strój wyjściowy i pelerynę. Ubrałem się w pośpiechu, zdążywszy tylko przygładzić mokre włosy.

Nie mogłem przecież dopuścić, by przewodnicząca Senatu Hegemonii na mnie czekała. Nie, to było niedopuszczalne.

– No, wreszcie jesteś – rzekła Meina Gladstone, gdy tylko wszedłem do jej apartamentu.

– Coś ty narobiła, do kurwy nędzy? – warknąłem. Przewodnicząca zaskoczona za-trzepotała powiekami. Najwyraźniej nie była przyzwyczajona do tego rodzaju odzywek. Twarda babka, pomyślałem.

– Pamiętaj, kim jesteś i do kogo się zwracasz – rzuciła chłodnym tonem.

– Otóż nie wiem, kim jestem. A być może, zwracam się do przyszłej największej ludobójczynie od czasów Horace'a Glennona – Heighta. Dlaczego, do diabła, pozwoliłaś, by doszło do tej wojny?

Ponownie zamrugła i rozejrzała się wokół. Byliśmy sami. W ogromnym salonie, pełnym oryginalnych pamiątek ze Starej Ziemi, panował półmrok. Ale teraz nie miało dla mnie żadnego znaczenia, że znajduję się pośród oryginalnych van Goghów. Nie



spuszczając wzrok z przewodniczącej, której twarz o rysach Lincolna tak naprawdę była twarzą starzejącej się kobiety. Przez chwilę wytrzymała moje spojrzenie, lecz wreszcie odwróciła głowę gdzieś w bok.

– Przepraszam – warknąłem ostro. – Nie pozwoliłaś, ale dokładniej: sprawiałaś, że do niej doszło, prawda?

– Nie, Severn. Mylisz się. – Jej cichy głos był poważny i spokojny.

– Mów głośnie. – Przeszedłem wzdłuż wysokich okien, patrząc, jak smugi światła sączące się przez opuszczone żaluzje przesuwają się po mojej postaci. – I nie jestem Josephem Sevelem.

Uniosła brwi.

– Mam więc zwracać się do ciebie M. Keats?

– Możesz mówić mi Nikt – odparłem. – Kiedy zjawią się inni cyklopi, powiesz im, że to Nikt cię oślepił. Odejdą przyjmując, że taka była wola boża.

– A zamierzasz mnie oślepić?

– Bez zmruczenia oka byłbym w stanie skrócić ci kark. Przecież w przeciągu kilku najbliższych dni zginą miliony. Jak mogłaś na to pozwolić?

Meina Gladstone przesunęła palcem po podbródku.

– Przyszłość może zmierzać w jednym z dwóch kierunków – rzekła miękko. – Wojny i niepewności lub pokoju, który i tak doprowadzi do zagłady ludzkości. Wybrałam więc wojnę.

– Kto twierdzi, że tak się stanie? – W moim głosie ciekawość przeważała nad rozdrażnieniem.

– To fakt. – Zerknęła na swój komlog. – Za dziesięć minut wystąpię przed Senatem i oficjalnie wypowiem wojnę. Tymczasem powiedz, co dzieje się z pielgrzymami z Hyperiona.

Splotłem ramiona na piersi.

– Powiem ci, ale jedynie wówczas, gdy obiecasz, że coś dla mnie zrobisz.

– Jeżeli tylko będę w stanie.

Milczałem przez moment, uświadamiając sobie, że żadna siła we wszechświecie nie skłoni tej kobiety do złożenia obietnicy bez pokrycia, i do tego w ciemno.

– W porządku – mruknąłem. – Chcę, żebyś połączyła się z Hyperionem, poleciała, by zwolniono statek konsula, i wysłała kogoś w górę rzeki Hoolie, aby odszukał jego samego. Jest jakieś sto trzydzieści kilometrów od stolicy, w rejonie śluz Karla. Może być ranny.

Przewodnicząca przez chwilę pocierała palcem podbródek, aż wreszcie pokiwała głową.

– Wyślę kogoś na poszukiwania. Zwolnienie statku zależy natomiast od tego, co jeszcze mi powiesz. Czy pozostali żyją? Wygładziłem swą krótką pelerynę i opadłem na kanapę naprzeciw rozmówczyni.

– Część tak.

– Co z córką Byrona Lamii? Z Brawne?

– Chyżwar ją zabrał. Przez pewien czas była nieprzytomna, doczepiona poprzez przyłącze neuralne do datasfery. Śniłem... że płynie dokądś, sprzężona z zaimplantowaną osobowością pierwszego Keatsa. Właśnie wchodziła do datasfery... właściwie do megasfery, do połączeń i wymiarów Centrum, do których właściwie nikt nie ma dostępu.

– Żyje? – Gladstone w napięciu pochyliła się do przodu.

– Nie wiem. Jej ciało zniknęło. Zostałem obudzony, zanim zorientowałem się, której jej osobowość przeniknęła do megasfery.

– A co z pułkownikiem?

– Kassad został zabrany gdzieś przez Monetę – kobietę, która prawdopodobnie wraz z grobowcami wędruje w czasie. Ostatnio, gdy go widziałem, gołymi rękami atakował Chyżwara. A właściwie Chyżwary, bo były ich tysiące.



– Przeżył?
Bezradnie rozłożyłem ramiona.

– Nie wiem. To były tylko sny. Fragmenty. Okruchy.

– Co z poetą?
– Silenus także został zabrany przez Chyżwara. I umieszczony na stalowym drzewie. Ale później widziałem go przez moment we śnie Kassada. Nadal żył. Nie mam pojęcia jakim cudem.

– Więc to drzewo to nie wytwór wyobraźni członków Kościoła Chyżwara.

– Jest jak najbardziej realne.

– A konsul? Próbował wrócić do stolicy?
– Miał przy sobie matę grawitacyjną babki. Funkcjonowała jak należy, dopóki nie znalazł się w pobliżu śluzy, o której już wspominałem. Tam spadł do rzeki. – Uprzedził jej następane pytanie. – Nie wiem, czy przeżył ten upadek.

– A kapłan? Ojciec Hoyt?
– Krzyżozształt sprawił, że powrócił jako ojciec Dure.

– Czy rzeczywiście ojciec Dure, czy tylko jego bezwolny duplikat?
– To Dure. Ale... załamany. Zrezygnowany.

– Jest wciąż w dolinie?
– Nie. Zniknął w jednym z Grobowców Czasu. Nie wiem, co się z nim stało.

Meina Gladstone zerknęła na komlog. Ja w tym momencie spróbowałem wyobrazić sobie zamieszanie i chaos panujące w budynku... na planecie... i w całej Sieci. Przewodnicząca ukryła się tu na kwadrans poprzedzający jej przemowę w Senacie. Być może, przez najbliższe kilka tygodni nie będzie miała nawet tak krótkiej chwili spokoju. Może już nigdy go nie zazna.

– Co z kapitanem Masteenem?
– Nie żyje. Pochowany w dolinie.

Westchnęła ciężko.

– A Weintraub i dziecko?
Pokręciłem głową.

– Śniły mi się zupełnie oderwane, pozbawione logiki sceny... i trudne do umiejscowienia w czasie. Odniosłem wrażenie, że to wszystko już się zdarzyło, ale nie jestem pewien. – Uniosłem głowę. Meina Gladstone czekała cierpliwie. – Niemowlę miało przed sobą zaledwie kilka sekund życia, gdy pojawił się Chyżwar. Sol powierzył mu je. Wydaje mi się, że Chyżwar zabrał dziecko do Sfinksa. Grobowce świeciły oślepiającym blaskiem. Były też... inne Chyżwary...

– A więc Grobowce się otworzyły?
– Tak.

Przewodnicząca dotknęła swojego komlogu.

– Leigh? Niech oficer dyżurny z centrum komunikacyjnego skontaktuje się z Theo Lane i Armią na Hyperionie. Zwolnijcie statek, który został poddany kwarantannie. I przekaz generalnemu gubernatorowi, że za kilka minut podam mu dodatkowe informacje. – Urządzenie zaświergotało potwierdzając przyjęcie rozkazów. Podniosła wzrok na gościa. – Czy w twoich snach jest coś jeszcze?
– Obrazy. Słowa. Ale nie rozumiem, o co w nich chodzi.

Uśmiechnęła się lekko.

– Masz chyba świadomość, że śnisz o zdarzeniach rozgrywających się poza zasięgiem drugiego Keatsa?

Milczałem, porażony sensem tego co usłyszałem. Byłem przekonany, iż mój kontakt z pielgrzymami jest możliwy dzięki umiejscowionemu w Centrum połączeniu z implan-tem osobowości z dysku Schróna oraz prymitywnej datasferze Hyperiona. Ale osobowość ta została przecież oswobodzona, a datasfera przestała istnieć.

Uśmiech zniknął z twarzy przewodniczącej.

– Potrafisz to wyjaśnić?



– Nie. Chyba to naprawdę tylko sny. Prawdziwe sny. Wstała.
– Może dowiemy się czegoś, kiedy znajdziemy konsula, jeśli w ogóle nam się to uda. Albo gdy w dolinie pojawi się jego statek. Pozostały jeszcze dwie minuty do mojego wystąpienia. Coś jeszcze?

– Mam pytanie. Kim jestem? I z jakich powodów tu przebywam?

Znów się uśmiechnęła.

– Wszyscy zadajemy sobie takie. właśnie pytania, M. Sev... M. Keats.

– Mówię poważnie. Wydaje mi się, że wiesz na ten temat więcej niż ja.

– TechnoCentrum przysłało cię, byś był pośrednikiem między mną a pielgrzymami. I abyś obserwował. Jesteś przecież poetą i malarzem.

Ochrząknąłem i także się podniosłem. Powoli ruszyliśmy w stronę prywatnego portalu transmitera, który miał przenieść Meinę Gladstone na salę obrad Senatu.

– Cóż może dać patrzeć, skoro nadchodzi koniec świata?

– Przekonaj się. Przyjrzyj się, jak wygląda ów koniec świata.

Wręczyła mi klucz magnetyczny do mojego komlogu. Wsunąłem go do środka i śle dziłem odczyt. Zawierał on chip pełnego dostępu do wszystkich wojskowych i cywilnych portali. Bilet na prezentację końca świata.

– A jeśli zginę? – zapytałem.

– Wtedy nigdy nie usłyszysz odpowiedzi na dręczące cię pytania – odparła, przesunęła palcami po moim nadgarstku, odwróciła się i przekroczyła portal.

Przez kilka minut stałem samotnie w jej apartamencie, otoczony wspianiałymi dziełami sztuki, wsłuchując się w panującą tu ciszę. Rzeczywiście na jednej ze ścian wisiał van Gogh, wart więcej niż majątek całych planet. Obraz przedstawiał pracownię artysty w Arles.

Po chwili wyszedłem, dając komlogowi prowadzić się przez labirynty budynku rządowego. Wreszcie dotarłem do głównego terminala i przeszedłem. przezeń zmierzając na spotkanie końca świata.

Istniały dwie ogólnie dostępne drogi przecinające Sieć: Wielki Trakt oraz rzeka Tetyda. Wybrałem ten pierwszy, gdzie półkilometrowy pas Tsingtao – Hsishuang Panny łączył się z Nową Ziemią i wąskim pasem nabrzeża na Nigdy Więcej. Tsingtao – Hsishuang Panna znajdował się w zasięgu pierwszej fali uderzeniowej Intruzów, którzy mieli tu dotrzeć za trzydzieści cztery godziny. Nowa Ziemia figurowała na liście planet zagrożonych drugą falą, więc od inwazji dzieliło ją nieco ponad standardowy tydzień. Nigdy Więcej było położone w głębi Sieci. Wróg dotrze tam dopiero za kilka lat.

Nie zauważyłem żadnych oznak paniki. Ludzie korzystali z datasfery i WszechJedności, zamiast tłoczyć się na ulicach. Idąc wąskimi alejkami Tsingtao słyszałem głos Meiny Gladstone dobiegający z tysiąca odbiorników i osobistych komlogów – dziwny podkład towarzyszący pokrzykiwaniom ulicznych sprzedawców i szumowi kół elektrycznych riksza na mokrych ciągach poziomów komunikacyjnych powyżej.

„...Inny przywódca niemal osiem wieków temu powiedział swojemu narodowi w przeddzień ataku: «Nie mam do zaoferowania niczego oprócz krwi, znoju, łez i potu». Pytacie zapewne, jaką obierzemy strategię? Odpowiem jednoznacznie: prowadzić wojnę w kosmosie, na lądzie, w powietrzu i w wodzie; prowadzić wojnę angażując wszystkie nasze siły w obronie sprawiedliwości i prawdy. Tak właśnie przedstawia się nasza strategia...”

W rejonie terminali między Tsingtao a Nigdy Więcej znajdowały się liczne oddziały Armii, lecz nie stanowiły one przeszkody dla przepływu pieszych. Przez chwilę zastanawiałem się, kiedy Armia zablokuje ruch na Wielkim Trakcie, anektując go na własne potrzeby. I czy będzie przerzucać siły na front, czy też je tędy wycofywać.

Przeszedłem na Nigdy Więcej. Ulice były tu suche, oprócz widocznych gdzieś tam rozbryzgów fal oceanu bijących w kamienne wały trzydzieści metrów poniżej. Niebo miało stale smętną barwę ochry wymieszanej z szarością. Wydawało się, że w środku



dnia zapada zmrok. Niewielkie, wykute w skale sklepiki przyciągały światłem i żywymi kolorami towarów. Widać było, że ruch na ulicach jest mniejszy niż zwykle. Ludzie przystawali w sklepach lub siadali na kamiennych ławkach, pochylali głowy i patrzyli gdzieś w dal, słuchając.

„... pytacie, jaki mamy cel? Odpowiem krótko: zwycięstwo. Zwycięstwo za każdą cenę, pomimo wszystkich okropności, jakich doświadczymy, i czasu potrzebnego do jego odniesienia. Ale zwycięstwo jest równoznaczne z przetrwaniem...”

Skierowałem się do głównego terminala w Edgartown. Wybrałem Mare Infinitus i dałem krok do przodu.

Zielone niebo było idealnie czyste, a ocean u stóp pływającego miasta miał jeszcze intensywniejszą barwę butelkowej zieleni. Pływające farmy ciągnęły się aż po horyzont. Tak daleko od Wielkiego Traktu widziało się już znacznie mniej ludzi. Chodniki świeciły pustką, a część sklepów była zamknięta. Grupa mężczyzn stała przy nabrzeżu słuchając słów dochodzących z chyba antycznego już odbiornika. Głos Meiny Gladstone brzmiał nienaturalnie, jakby metalicznie, w przesyconym wilgocią powietrzu.

„...już teraz oddziały Armii przegrupowują się, zdecydowane i przygotowane do ratowania przed najstraszliwszą w dziejach tyranią nie tylko bezpośrednio zagrożone światy, ale i całą Hegemonię...”

Mare Infinitus pozostawało tylko osiemnaście godzin do inwazji. Popatrzyłem w górę, podświadomie spodziewając się ujrzeć rój wrogów, orbitalne systemy obronne i przegrupowujące się siły. Ale niebo było czyste jak zwykle. Pod stopami zaś czułem delikatne falowanie miasta na wodzie.

Brama Niebios była pierwszą planetą w trasie najeźdźców. Przekroczyłem portal dla VIP – ów i z Wzniesień Rifkina spoglądałem w dół na przepiękne miasto. Nastąpiła tu noc, podczas której na ulicach uwijały się automatyczne sprzątaczkę. Mimo późnej pory panował jednak spory ruch. Przy publicznych terminalach Wzniesień Rifkina tkwiły długie szeregi milczących ludzi, a jeszcze większy tłum był widoczny przy portalach Promenady. W oczy rzucali się przedstawiciele lokalnej policji, ubrani w brązowe zbroje samoutwardzalne, ale nigdzie nie dostrzegłem oddziałów Armii.

Tłoczący się ludzie nie byli tutejszymi mieszkańcami, bo ci niemal na pewno dysponowali prywatnymi portalami, lecz prawdopodobnie robotnikami zajmującymi się użytkowaniem gleby wiele kilometrów stąd, poza pasmem lasów paprociowych i parków. Nie widać było żadnych oznak paniki i zdawało się, że wszyscy zachowują idealną ciszę. Czekali ze stoickim spokojem, przypominając rodziny wybierające się do parków tematycznych. Niewielu miało przy sobie więcej niż torbę podróżną lub plecak.

Czyżbyśmy osiągnęli taki spokój, że zachowujemy go nawet w obliczu inwazji? – zastanowiłem się.

Bramę Niebios od ataku dzieliło trzynaście godzin. Korzystając z komlogu połączyłem się z WszechJednością.

„...jeśli stawimy czoło temu zagrożeniu, nasze ukochane światy pozostaną wolne i Sieć czeka wspaniała przyszłość. Ale jeśli nie uda się nam, wówczas cała Sieć, cała Hegemonia, wszystko, co znamy i na czym nam zależy, pograży się w otchłani nowych Ciemnych Wieków. Wtedy utracimy swą wolność i wszystko inne, do czego z takim trudem doszliśmy. Dlatego musimy zebrać wszystkie siły i godnie wypełniać swe obowiązki. Postępujmy tak, by za dziesięć tysięcy lat mieszkańcy Hegemonii i Protektoratu mogli powiedzieć: «Spisali się wtedy na medal»”.

Gdzieś w cichym mieście poniżej nagle wybuchła strzelanina. Najpierw rozległ się grzechot. broni strzeleckiej, później głęboki szum paralizatorów, a wreszcie krzyki, którym towarzyszyły błyski laserów. Ludzie z Promenady rzucili się ku terminalowi, lecz czujne oddziały policji natychmiast wyłoniły się z parku. Włączono halogenowe szperacze, które zalały zgromadzonych morzem światła, a przez megafony zaczęto nawoływać do ponownego ustawienia się lub rozejścia. Tłum wahał się i falował niczym meduza, aż nagle rzucił się w stronę platform portali.



Policjanci rozpylili gaz łzawiący, a pole siłowe zagroziło drogę biegnącym. Nisko na niebie pojawiły się wojskowe EMV i śmigacze sił bezpieczeństwa. Jeden z reflektorów zatrzymał się na mnie, lecz ruszył dalej, gdy mój komlog odpowiedział na sygnał z żądaniem identyfikacji. Zaczęło padać.

A więc tak wyglądał ów domniemany spokój. Postanowiłem opuścić to miejsce.

Komandosi Armii pojawili się w korytarzach budynku rządowego, dokładnie sprawdzając przybywających, pomimo iż znajdujący się tu portal był jednym z najtrudniej dostępnych w całej Sieci. Zostałem poddany jeszcze trzem kontrolom, zanim dotarłem do skrzydła rezydencyjno – kierowniczego, gdzie znajdował się mój pokój. Nagle strażnicy ustawili szpaler wzdłuż głównego korytarza, robiąc wolne przejście dla Meiny Gladstone otoczonej tłumkiem doradców i adiutantów. Ku memu zdziwieniu przewodnicząca Senatu, wypatrzywszy mnie, zatrzymała się i przemówiła zza żywej barykady odzianych w stroje bojowe komandosów:

– Jak ci się podobało moje przemówienie, M. Nikt?

– Niezłe. Wzruszające. I skradzione Winstonowi Churchillowi, jeśli się nie mylę.

Przewodnicząca uśmiechnęła się i lekko wzruszyła ramionami.

– Jeśli już na kimś się wzorować, to na prawdziwych mistrzach. Jej uśmiech zgasł.

– Jakie wieści z pierwszej linii?

– Prawda zaczyna powoli docierać do ludzi – odparłem. – Spodziewaj się paniki.

– Biorę i to pod uwagę. A jakie masz wieści o pielgrzymach? Byłem zdziwiony.

– Pielgrzymach? Nie... śniłem o nich.

Tłumek otaczający Meinę Gladstone porwał ją pociągnął za sobą. – Może już nie musisz spać, by ich zobaczyć! – zawołała jeszcze. – Spróbuj.

Patrzyłem, jak się oddala, po czym ruszyłem do swojej kwatery. Stałem przed drzwiami i zawróciłem ogarnięty obrzydzeniem do samego siebie. Uciekłem przerażony. Najchętniej rzuciłbym się na łóżko i w samotności opłakiwał Sieć, malutką Rachełę i siebie samego.

Opuściłem skrzydło rezydencyjne i wyszedłem do parku, gdzie snułem się po żwirowych drózkach. Mikrozdalniki bzycały jak pszczoły śledząc moje ruchy, gdy przemierzywszy ogród różany, powędrowałem ku ścieżce, wijącej się wśród tropikalnej roślinności i staroziemskiej sekcji obok mostu. Usiadłem na kamiennej ławce, gdzie kiedyś rozmawiałem z Meiną Gladstone.

„Może już nie musisz spać, by ich zobaczyć. Spróbuj”.

Oparłem stopy na ławce, brodę przycisnąłem do kolan, opuszkami palców dotknąłem skroni i zamknąłem oczy.



Martin Silenus skręca się i wije w czystej kwintesencji bólu. Stalowy kolec dwumetrowej długości wnika w jego ciało pomiędzy łopatkami i wyłania się rozrywając klatkę piersiową, a jego koniec znajduje się dobry metr z przodu. Rozpaczliwie wymachując rękami, nie jest w stanie go dosięgnąć. Kolec jest idealnie gładki. Poeta nie potrafi uchwycić go spoconymi dłońmi z zakrzywionymi palcami. I choć cierń wydaje się śliski w dotyku, nie ma mowy, by potrafił się z niego ześlizgnąć. Wisząc tak przypomina motyla na szpilce.

Nie ma nawet śladu krwi.

Po odzyskaniu przytomności i wyrwaniu z otępienia spowodowanego ogromnym bólem Martin Silenus zastanawia się: nie ma nawet śladu krwi? Ale jest ból. O tak, bólu jest pod dostatkiem. Bólu przekraczającego granice wyobraźni. I niemożliwego do zniesienia przez jakiegokolwiek człowieka.

Ale Silenus go wytrzymuje. I cierpi.

Krzyczy po raz tysięczny. Dobywa z siebie nieartykułowane dźwięki. Nie sposób wysilić się na jakiegokolwiek zrozumiałe słowo. Poeta wrzeszczy i zwija się w paroksyzmach cierpienia. Po chwili zawisa bezwładnie, a długi kolec kołysze się łagodnie. Inni ludzie wiszą nad nim, poniżej i z boków, ale nie przygląda się im. Każdego z nich otacza własny kokon agonii.

Dlaczego to piekło, a ja nie mogę się stąd wydostać? – myśli cytując Marlowe'a.

Ale wie, że w rzeczywistości to nie żadne piekło. A on nie umarł. Ma także świadomość, że to nie jakaś modyfikacja rzeczywistości, bo przecież kolec naprawdę przeżywa mu ciało! Osiem centymetrów organicznej stali w piersi! Lecz nie umarł. I nie krwawi. To nie piekło.

Czas płynie tu nietypowo. Silenus doświadczył już podobnego efektu, gdy kiedyś usuwano mu nerw zęba i gdy cierpiał z powodu kamieni nerkowych. Czas zwalniał, zdawał się zatrzymywać, gdy stawał zegar biologiczny. Ale znowu ruszał. Tamte niedogodności trwały zaledwie chwilę. Teraz zaś powietrze zamarło. Czas nie płynie. Zatrzymał go ból.

Silenus krzyczy z bólu i wściekłości. I znów szarpie się na kolcu.

– Cholera! – wyrzuca z siebie wreszcie. – Cholerny, pieprzony skurwysyn.

Słowa są reliktem innego życia. Pamiątką ze snu, w którym żył przed rzeczywistością stalowego drzewa. Z trudem przypomina sobie tamto życie, podobnie jak Chyżwara niosącego go, wieszającego i zostawiającego swojemu losowi.

– Och, Boże! – jęczy poeta i obiema dłońmi chwyta kolec, próbując nieco się unieść i w ten sposób złagodzić niewyobrażalny ból.

U jego stóp rozciąga się wspaniały widok. Zamarła w bezruchu diorama Doliny Grobowców Czasu przechodzącej dalej w pustynię. Nawet martwe miasto i odległe góry zostały odtworzone na tej miniaturze. Ale to nie ma żadnego znaczenia. Dla Martina Silenususa istnieją tylko łączące się w jedność to potworne drzewo i ból. Odślania zęby w wykrzywionym cierpieniem uśmiechu. Gdy był dzieckiem, jeszcze na Starej Ziemi, wraz ze swym najlepszym przyjacielem Amalfim Schwartzem odwiedzili komunę chrześcijan w północnoamerykańskim rezerwacie, poznali nieco ich religię, a później żartowali sobie z ukrzyżowania. Rozbrykany Martin szeroko rozpostarł wtedy ramiona, splótł nogi, uniósł głowę i rzucił:

– Ale fajnie. Widzę stąd całe miasto.

Amalfi zawtórował mu dzikim wrzaskiem.

Silenus krzyczy.

Czas właściwie nie płynie, ale po chwili mózg poety znów jest w stanie rejestrować obrazy dostarczane przez wzrok. Zauważa jeszcze coś innego niż oazy czystej agonii rozrzucone na pustyni cierpienia... i zaczyna odczuwać bieg czasu w tym pozbawionym



go miejscu.

Najpierw te wykrzyczane nieprzyzwoite słowa nadają jego bólowi przejrzystość. Krzyk także sprawia ból, ale wściekłość krystalizuje go i oczyszcza.

Później, w przerwach między wydawaniem okrzyków i falami czystego bólu, Silenus zaczyna myśleć. Z początku jest to narzucone przebiegiem zdarzeń: zając czymś umysł między kolejnymi fazami agonii. Poeta odkrywa stopniowo, że kiedy zmusza się do koncentracji, nieco łagodzi cierpienie. Jest wciąż niemożliwe do zniesienia, wciąż dominuje ponad wszystkim innym, lecz gdzieś rysuje się już jego granica.

Więc Silenus koncentruje się. Wrzeszczy i wije, ale jednocześnie koncentruje. A skoro nie pozostaje nic innego jak ból, właśnie na nim skupia całą swą uwagę.

Odkrywa, że cierpienie ma skomplikowaną strukturę. Dzieli się na różne poziomy posiadające własny układ dodatkowych elementów. Jest skomplikowane bardziej niż cokolwiek, co stworzyła natura, a jego ornament to arcydzieło nawet w porównaniu z najbardziej wyszukаныmi barokowymi wzorcami. Stopniowo poznaje strukturę bólu. I uświadamia sobie, że to poemat ludzkich doznań.

Po raz tysięczny czuje przeszywający go ból i szuka ulgi tam, gdzie nigdy jej nie znajdzie. W pewnym momencie dostrzega znajomą sylwetkę pięć metrów nad głową, zawieszoną na podobnym cierniu i także zwijającą się w agonii.

– Billy! – wydobywa się z gardła poety i cierpienie na chwilę odpływa, pozwalając zebrać myśli.

Dawny przyjaciel i patron patrzy gdzieś w dal przepojony męką, która wcześniej oślepiła Silenusa. Jednak zwraca się nieco w stronę, skąd dobiegł głos, jakby reagując na dźwięk własnego imienia, w miejscu gdzie imiona nie istnieją.

– Billy! – charcze ponownie Silenus i nagły nawrót bólu znów nie pozwala mu widzieć ani myśleć. Koncentruje się na swym bólu i wgłębia w jego poszczególne fazy. – Panie!

Słyszy jeszcze głos dominujący nad tym krzykiem i zaskoczony stwierdza, że oba dobywają się z jego gardła:

*Ból mrowi w sercu, senne odrętwienie czaru
Ogarnia zmysły, jakbym napił się cykuty
Albo wychylił puchar ciemnego wywaru,
Z maku i w nurtach Lety skapał mózg zatruty...*

Zna te wersy. Nie układał ich sam, lecz są dziełem Johna Keatsa. Słowa te jeszcze bardziej porządkują pozorny chaos przenikającego go cierpienia. Uświadamia sobie, że męka towarzyszyła mu od urodzenia jako dar świata przekazany poecie. To fizyczne wspomnienie bólu, który daremnie usiłował uporządkować w strofy, ubrać w słowa przez te wszystkie zmarnowane lata życia. To coś gorszego niż ból. To poczucie nieszczęścia, bo świat każdemu oferuje ból.

*Otwórz swe oczy! – Jakkolwiek dlaczego,
Ty stary, biedny mój królu?! Pociechy
Nie mam już żadnej dla ciebie – nie, – żadnej!*

Tak wykrzykuje Silenus. Ryk bólu dochodzący z drzewa, bardziej empiryczny niż fizyczny, cichnie na ułamek sekundy.

– Martin!

Silenus nie zważając na cierpienie unosi głowę, starając się popatrzeć na przyjaciela. Smutny Król Billy spogląda na niego. Z wysiłkiem skanduje sylaby, które po zdającej się nie mieć końca chwili poeta rozpoznaje jako „wię... cej”.

Silenus ryczy w agonii, wije się w spazmie, nad którym nie jest w stanie zapanować. Gdy przestaje, zwisając wyczerpany, ból jeszcze przybiera na sile, ale on pozwala



głosowi wewnętrznemu krzycheć swą pieśń:

*Umrę; albo żyć będę w tej niewoli dalej,
Lecz zapomnę, przybity poniesioną stratą,
Po co żyję – umysłu podniebienie straci
Zmysł smaku, a ambicja wzrokiem to przypląci!*

Niewielki krąg ciszy obejmuje zaledwie kilka pobliskich gałęzi i kolce dźwigające konające tam istoty ludzkie.

Silenus patrzy na Smutnego Króla Billy'ego i widzi, jak jego zdradzony pan z trudem otwiera pełne smutku oczy. Po raz pierwszy od ponad dwóch stuleci mecenas i poeta patrzą na siebie. I Silenus przekazuje słowa, które sprowadziły go tutaj i sprawiły, że zawisł na cierniowym drzewie Chyżwara:

– Panie, przepraszam.

Zanim Billy jest w stanie zareagować, zanim chór krzyków zagłuszy odpowiedź, wokół coś się zmienia, wstrzymany czas rusza i drzewem targa wstrząs, po którym zapada się w ziemię o dobry metr. Poeta krzyczy wraz z innymi, kiedy przenikający jego ciało cień rozdziera wnętrze.

Otwiera oczy i widzi, że niebo i pustynia są prawdziwe, grobowce jarzą się lekką poświatą, wieje wiatr, a czas znowu płynie. Wciąż przeżywa katusze, ale wróciły realia zwykłego świata.

Martin Silenus śmieje się przez łzy.

– Patrz, mamó! – krzyczy chichocząc, choć stalowe ostrze wciąż tkwi w jego ciele.
– Widzę stąd całe miasto!

– M. Severn? Nic ci nie jest?

Dyszając ciężko w pozycji na czworakach, odwróciłem się w stronę, z której dobiegał głos. Otwarcie oczu też zabolowało, ale była to pieśczoła w porównaniu z cierpieniem, jakiego właśnie doświadczyłem.

– Nic ci nie jest?

W ogrodzie nie było nikogo. Głos dobiegał z mikrozdalnika wiszącego pół metra od mojej głowy i należał zapewne do strażnika z budynku rządowego.

– Nie – wyszeptałem podnosząc się i otrzepując kolana. – Wszystko w porządku. Miałem nagły... atak bólu.

– Pomoc medyczna może być na miejscu za dwie minuty. Twój biomonitor nie informuje o jakichkolwiek problemach, ale możemy...

– Nie, nie. Naprawdę wszystko w porządku. Zostawcie mnie w spokoju.

Mikrozdalnik zakołysał się w powietrzu.

– Tak jest. W razie potrzeby proszę o kontakt.

– Dajcie mi spokój.

Opuściłem ogród, przemierzyłem główny hol budynku rządowego i znalazłem się w Parku Łani.

Przy nabrzeżu panowała cisza, a na Tetydzie nie widać było najmniejszej zmarszczki.

– Co się stało? – zapytałem jednego ze strażników na molo.

Ten połączył się z moim komlogiem, potwierdził uprawnienia nadane mi przez Meinę Gladstone, po czym odpowiedział bez zbytniego entuzjazmu:

– Portale na TC2 zostały wyłączone.

– Wyłączone? To znaczy, że rzeka omija Pierwszą Tau Ceti?

– Tak.

Właśnie zbliżała się jakaś niewielka łódka, więc opuścił przyłbicę, by zidentyfikować płynących nią ludzi.

– Czy mogę wydostać się tą drogą? – Wskazałem w górę rzeki, na wysokie portale



o mętnej, szarej powierzchni.

Strażnik wzruszył ramionami.

– Tak, ale nie będziesz mógł już wrócić tą samą drogą.

– Nic nie szkodzi. Mogę wziąć tę łódeczkę?

Wartownik szepnął coś do mikrofonu i po chwili pokiwał głową.

– Proszę bardzo.

Ostrożnie wszedłem na pokład i usiadłem na tylnej ławeczce. Kurczowo trzymałem się okrężnicy; dopóki nie ustało kołysanie. Wreszcie dotknąłem klucza magnetycznego i rzuciłem:

– Start.

Elektryczny silnik zaszumiał, łódka automatycznie odcumowała i obróciła się dziobem ku rzece. Skierowałem się w górę jej biegu.

Nigdy nie słyszałem o przerwaniu Tetydy, ale teraz transmiter bez wątpienia działał tylko w jedną stronę. Łódka przepłynęła przezeń, a ja po chwili dezorientacji rozejrzałem się wokół.

Znajdowałem się w jednym z wielkich, poprzecinanych kanałami miast na Renesansie – może w Ardmien lub Pamolo. Rzeka stanowiła tu główną arterię, od której odchodziły pomniejszych kanały. Zazwyczaj jedynymi pływającymi po niej jednostkami były trzymające się blisko brzegów gondole pełne turystów oraz jachty należące do grupy najbogatszych. Dzisiaj na wodzie panowało kompletne szaleństwo.

Łodzie wszelkich rozmiarów i konstrukcji blokowały główny szlak wodny. Większe, mieszkalne, dźwigały na swych pokładach cały dobytek właścicieli, mniejsze zaś obciążono tak, iż zatopiłaby je pierwsza większa fala. Setki bogato zdobionych dżonek z Tsingtao – Hsishuang Panny i barek z Fuji starało się zawładnąć rzeką. Zapewne większość spośród mieszkalnych łodzi po raz pierwszy od czasu ich zbudowania odbiła od brzegu. Pośród płataniny kadłubów z drewna, plastali i perspexu jak oszalałe krążyły śmigacze z polami siłowymi ustawionymi na pełną moc.

W datasferze dowiedziałem się, że Renesans znajduje się w zasięgu drugiej fali uderzeniowej i do inwazji pozostało mu sto siedem godzin. W pierwszym momencie uznałem za dziwny fakt, iż przybyło tu tak wielu uciekinierów z Fuji, skoro zostanie ono zaatakowane dopiero za dwieście godzin, lecz po chwili uświadomiłem sobie, że poza TC2, rzeka jest wciąż ogólnie dostępna. Uciekinierzy z Fuji musieli przecież przepływać przez Tsingtao, dokąd Intruzi dotrą za trzydzieści trzy godziny, przez Deneb Drei, mające jeszcze sto czterdzieści dziewięć spokojnych godzin, i Renesans, kierując się ku przynajmniej na razie nie zagrożonym Parsimony bądź Grass. Pokręciłem głową, wyszukałem stosunkowo luźny boczny kanał i skierowałem się ku niemu, aby stamtąd obserwować cały ten exodus. Jednocześnie zastanowiłem się, czy władze zadecydują, by zmienić bieg rzeki uniemożliwiając mieszkańcom wszystkich zagrożonych światów bezpieczną ewakuację.

Czy zdecydują się na to? – myślałem. TechnoCentrum stworzyło Tetydę jako prezent dla Hegemonii z okazji jej pięćsetlecia. Z pewnością Meina Gladstone lub ktoś inny zwrócił się już do Centrum o pomoc w ewakuacji. Ale czy aby na pewno? I czy można liczyć na pomoc ze strony Centrum? Wiedziałem, że przewodnicząca była przekonana, iż przynajmniej część TechnoCentrum pragnie wyeliminować rodzaj ludzki. Nie zapobiegła tej wojnie, z rozmysłem wykorzystując nadarżającą się sposobność, by spróbować przeciwdziałać zagładzie. Tyle tylko, że wrogie ludziom elementy Centrum mogły z łatwością skorzystać ze swej przewagi nad człowiekiem i uniemożliwić ewakuację miliardów, którym groziło niebezpieczeństwo ze strony Intruzów!

Uśmiechnąłem się smutno do własnych myśli. Uśmiech zbladł jednak, gdy uświadomiłem sobie, że TechnoCentrum ma pełną kontrolę nad siecią transmiterów, dzięki którym sam zamierałem wydostać się z zagrożonego terytorium.

Przywiązałem łódkę do poręczy kamiennych schodów sięgających słonych wód rzeki. Moją uwagę przyciągnęły na chwilę kępy zielonego mchu porastające ich dolne,



zniszczone stopnie. Być może, pochodziły jeszcze ze Starej Ziemi, skoro część zabytkowych miast została przeniesiona stamtąd wkrótce po Wielkiej Pomyłce.

Było bardzo ciepło. W powietrzu panował zaduch. Słońce na Renesansie wisało nisko nad spiczastymi wieżami. Jego światło było jak na mój gust zbyt czerwone i lądrynkowe. Hałas dochodzący od rzeki przeszkadzał nawet tu, w odległości stu metrów od niej. Nade mną krążyły spłoszone gołębie, przemykające między ciemnymi ścianami i wieńczącymi je dachami.

Co mogę zrobić? Wszyscy wokół zdawali się zachowywać tak, jakby świat zmierzał ku nieuchronnej zagładzie, a ja co najwyżej mogłem wałęsać się bez celu.

Takie jest twoje zadanie. Jesteś obserwatorem.

Przetarłem powieki. Kto powiedział, że poeci mają być obserwatorami. Na myśl przyszli mi Li Po i George Wu, dowodzący armiami podbijającymi Chiny, a jednocześnie piszący wersy aż ściskające za serce. Mamin Silenus także miał za sobą długie, bogate w zdarzenia życie, mimo że zmarnował jego połowę, a drugą poświęcił na wyczynianie rozmaitych świństw.

Na myśl o Silenusie z mojej piersi dobył się jęk.

Czy niemowlę – Rachel – wisi teraz na jednym z cierni?

Przez sekundę gnębiła mnie ta myśl. Rozważałem, czy taki los byłby dla niej lepszy od szybkiej śmierci spowodowanej chorobą Merlina.

Nie.

Zamknąłem oczy i zmusiłem się do przerywania rozmyślań, mając nadzieję, że uda mi się nawiązać kontakt z Solem i dowiedzieć się czegoś o losie dziecka.

Łódka kołysała się lekko na falach. Gdzieś w górze gołębie siadły na jakimś występie i gruchały głośno.

– Nie obchodzi mnie, jakie to trudne! – krzyknęła Meina Gladstone. – Żądam, żeby cała flota z systemu Vegi broniła Bramy Niebios. Później przerzucicie część jednostek do Bożej Kniei i innych zagrożonych światów. Jediną przewagą, jaką w tej chwili mamy nad nimi, jest nasza mobilność!

Twarz admirała Singha pociemniała ze zdenerwowania.

– To zbyt niebezpieczne, M. Gladstone! Jeśli skierujemy flotę do systemu Vegi, grozi nam jej odcięcie. Wróg z pewnością będzie usiłował zniszczyć sferę, która łączy ten system z Siecią.

– Chrońcie ją! – rzuciła przewodnicząca. – Przecież właśnie w tym celu budujecie te piekielnie drogie statki.

Oczekując poparcia Singh spojrzął na Morpurgo i pozostałych oficerów. Ale żaden się nie odezwał. Dowódcy są w sali wojennej kompleksu administracyjnego. Na ścianach widać mnóstwo hologramów i kolumny liczb. Nikt z obecnych nie zwrócił jednak na nie najmniejszej uwagi.

– Wszystkie nasze siły zostały zaangażowane do obrony Hyperiona – powiedział admirał Singh cicho, cedząc słowa. – Manewr odwrotu pod ogniem całego roju jest niezwykle trudny. Gdyby tamtejsza sfera uległa zniszczeniu, flota miałaby osiemnastomiesięczny dług czasowy w stosunku do granic Sieci. Przegramy wojnę, zanim tamci zdążą wrócić.

Meina Gladstone pokiwała głową.

– Nie proszę, by ryzykować utratę łączności transmiterowej przed przetruceniem wszystkich jednostek, admirał... Zaaprobowałam już oddanie im Hyperiona za cenę możliwości skutecznego przeprowadzenia ewakuacji... ale nalegam, by nie poddawać bez walki światów wchodzących w skład Sieci.

Generał Morpurgo wstał. Wyglądał na bardzo zmęczonego. – Zamierzamy walczyć. Ale znacznie rozsądniej jest zorganizować obronę na Hebronie lub Renesansie. Nie tylko zyskamy wówczas niemal pięć dni, by przygotować systemy obronne, ale...

–...ale jednocześnie stracimy dziewięć systemów! – przerwała mu przewodnicząca.



– Miliardy mieszkańców Hegemonii. Brama Niebios będzie ogromną stratą, ale Boża Knieja to kulturowy i ekologiczny skarb. Bezcenny.

– M. przewodnicząca – odezwał się Allan Imoto, minister obrony. – Istnieją dowody na to, iż templariusze już od wielu lat współpracują z Kościołem Chyżwara. Znaczna część funduszy, którymi dysponują wyznawcy Chyżwara, pochodzi...

Meina Gladstone wykonała gwałtowny ruch głową, uciszając mówiącego.

– Nie obchodzi mnie to. Już sama myśl o możliwości utraty Bożej Kniei jest niedopuszczalna. Jeśli nie będziemy w stanie obronić Vegi i Bramy Niebios, przenosimy linię obrony w rejon planety templariuszy. Postanowione.

Singh wygląda, jakby został skuty niewidzialnymi kajdanami. Mimo to ironicznie się uśmiecha.

– To daje nam niecałą godzinę.

– Postanowione – powtórzyła Meina Gladstone. – Leigh, co z zamieszkami na Lusie?

Hunt chrząknął głośno. Jak zwykle jest wyraźnie zakłopotany i jednocześnie denerwująco powolny.

– M. przewodnicząca, do zamieszek doszło w co najmniej pięciu miastach. Zniszczenia spowodowały już straty sięgające setek milionów marek. Oddziały Armii/ląd zostały przerzucone z Freeholmu i wygląda na to, że zdołaly zdusić główne zarzewia buntu, ale trudno przewidzieć, kiedy ponownie zostaną tam uruchomione transmitery. Nie ma wątpliwości, że za rozruchy odpowiedzialność ponosi Kościół Chyżwara. Wszystko zaczęło się od demonstracji fanatyków kultu, a ich biskup zaczął namawiać do wystąpień korzystając z HTV, dopóki nie został...

Gladstone pochyliła głowę.

– A więc wreszcie się ujawnił. Jest teraz na Lusie?

– Nie wiemy, M. przewodnicząca – odpowiedział Hunt. – Trwają poszukiwania jego i jego najbliższych współpracowników.

Meina Gladstone zwróciła się w stronę młodego mężczyzny, którego nazwiska przez chwilę nie jestem w stanie sobie przypomnieć. To William Ajunta Lee – bohater na Maui – Przymierzu. Niedawno znowu słyhać było o nim, kiedy karnie został przeniesiony do Protektoratu za wyrażanie własnych opinii różniących się od punktu widzenia przełożonych. Teraz na epoletach jego munduru Armii-morze znajdują się złote i szmaragdowe dystynkcje kontradmirała.

– A gdyby tak podjąć walkę o każdy świat? – zapytała go przewodnicząca Senatu, jakby zapominając, że już podjęła ostateczną decyzję.

– Uważam to za błąd. Wygląda na to, że wszystkie dziewięć rojów uczestniczy w ataku. Jedyne, którym nie musimy zaprzętać sobie głowy przez najbliższe trzy lata, zakładając, iż jesteśmy w stanie zorganizować odwrót, jest ten, który obecnie atakuje Hyperiona. Jeśli skoncentrujemy nasze siły, nawet połowę, by bronić Bożej Kniei, jest niemal w stu procentach pewne, iż nie zdołamy jednocześnie chronić pozostałych ośmiu światów, do których wróg dotrze najwcześniej.

Meina Gladstone w zamyśleniu pogładziła palcem usta i podbródek.

– Co więc proponujesz?

Kontradmirał Lee westchnął ciężko.

– Zminimalizować straty, zniszczyć transmitery w owych dziewięciu systemach i przygotować się do zaatakowania rojów, zanim dotrą do zamieszkanego światów.

Wśród obecnych wybuchło zamieszanie. Senator Feldstein z Barnarda zerwał się na równe nogi, coś krzycząc.

Meina Gladstone odczekała, aż zapanuje względny spokój, po czym zapytała:

– A więc proponujesz, by stać się stroną atakującą? Wyprowadzić kontratak, a nie czekać na pozycjach obronnych?

– Tak, M. przewodnicząca.

– Czy to wykonalne? – zwróciła się ku admirałowi Singhowi. Możemy zaplanować



i przystąpić do ofensywy w ciągu... – zerknęła na dane wyświetlone na jednej ze ścian – dziewięćdziesięciu czterech godzin standardowych?

Wywołany poruszył się niespokojnie.

– Możliwe? Hm, być może, M. przewodnicząca, ale reperkusje polityczne wywołane utratą dziewięciu światów należących do Sieci... i problemy natury logistycznej...

– A więc jest to możliwe?

– Cóż... tak, ale jeśli...

– Wykonać – poleciła tonem nie znającym sprzeciwu przewodnicząca.

Wstała, a reszta zgromadzonych pośpiesznie poszła w jej ślady.

– Senator Feldstein oraz pozostałych parlamentarzystów proszę do siebie. Leigh, Allan, informujcie mnie na bieżąco o zamieszkach na Lususie. Rada wojenna zbierze się ponownie za cztery godziny. Życzę wszystkim miłego dnia.

Chodziłem po ulicach jak w labiryncie. Z dala od rzeki, gdzie kanałów było coraz mniej, a ich miejsce zajęły chodniki, panował spory ruch. Pozwoliłem swemu komlogowi prowadzić się od jednego terminala do drugiego. Przy wszystkich był spory tłok. Upłynęło kilka minut, zanim uświadomiłem sobie, że powodują go nie mieszkańcy Renesansu, chcący opuścić rodzinną planetę, ale przybysze z głębi Sieci. Ciekawe czy ktokolwiek z otoczenia Meiny Gladstone zdawał sobie sprawę, jakim problemem staną się miliony ciekawskich, którzy przybywali na zagrożone planety, by zobaczyć, co dzieje się tu w przeddzień wojny.

Nie miałem pojęcia, dzięki czemu we śnie uczestniczyłem w radach wojennych, ale jednocześnie nie miałem wątpliwości, że odbywają się naprawdę. Sięgnąwszy do pamięci, wygrzebałem z niej sny z ubiegłej nocy. Dotyczyły nie tylko Hyperiona, ale i zdarzeń, w których występowała przewodnicząca..

Kim więc byłem?

Cybryd to zdalnie sterowane biologiczne urządzenie, akcesorium Sztucznych Inteligencji... a w tym przypadku twór o implantowanej osobowości, której pierwowzór został ukryty gdzieś w TechnoCentrum. To logiczne, iż TechnoCentrum wiedziało o wszystkim, co działo się w budynku rządowym, w otoczeniu przywódców ludzkości. Ludzie przywykli do tego, że są podglądani przez SI, podobnie jak niegdyś rodziny z południa Stanów Zjednoczonych, ze Starej Ziemi, jeszcze przed wojną secesyjną, przywykli do nieskrępowanego zachowywania się w obecności swych niewolników. Nic nie można było na to poradzić: wszyscy, oprócz tych należących do najniższych klas społecznych, mieli komlog z biomonitorem, a wielu wyposażyło się jeszcze w implanty. Ponadto każdy, kto uzyskiwał dostęp do datasfery, równocześnie pozbawiał się prywatności, pozwalając na pełną kontrolę swych myśli i czynów. Kiedyś na Esperancie pewien artysta powiedział mi: „Seks czy kłótnia rodzinna to jak występowanie nago przed kotem lub psem... Za pierwszym razem zawahasz się, ale później nie sprawia ci to już żadnej różnicy”.

Czyżbym więc miał dostęp do połączeń znanych tylko TechnoCentrum? Bez trudu mogłem się ti tym przekonać pozostawiając swego cybryda i przemyskując drogami megasfery do TechnoCentrum, jak zrobili to Brawne i mój pozbawiony teraz ciała duplikat?

Nie.

Już na samą myśl o tym zakręciło mi się w głowie i zebrało na wymioty. Znalazłem wolną ławeczkę, usiadłem na moment i mocno obejmując głowę dłońmi oddychałem głęboko. Tłum falował i powoli się przemieszczał. Ktoś przemawiał do niego przez megafon.

Byłem głodny. Nie jadłem już co najmniej od doby i choć byłem cybrydem, moje ciało reagowało normalnie, domagając się pokarmu. Wstałem więc i ruszyłem w stronę jednego z zaułków, gdzie uliczni sprzedawcy starali się przekrzyknąć panujący wokół hałas, przywołując zgłodniałych klientów do swych jednokołowych żyrowózków.

Wybrałem jeden z nich, przy którym było najmniej ludzi, i poprosiłem o ciasto z miodem, kubek mocnej bressyjskiej kawy oraz piętę z sałatką. Zapłaciłem sprzedaw-



czyni swą kartą uniwersalną i po schodach wspiałem się na taras stojącego w pobliżu opustoszałego domu. Jedzenie było pyszne. Popijając kawę zastanawiałem się właśnie, czy nie zejść po następną porcję; gdy zauważyłem, że tłum na placu pode mną nie porusza się już bezładnie, lecz gromadzi wokół grupki mężczyzn, którzy wdrapali się na fontannę. Ich głosy docierały do mnie dzięki wzmacniaczom, ponad głowami zgromadzonych:

-...Anioł Zemsty jest pośród nas. Przepowiednie sprawdziły się... Plan Awatary wymaga takiego poświęcenia... jak to przewidział Kościół Ostatecznej Pokuty, który miał świadomość, i to od samego początku, że taką karę trzeba ponieść... Za późno już na półśrodki... Za późno na beznadziejną walkę... Zbliży się koniec rodzaju ludzkiego. Nadszedł czas pokuty. Powitajcie Pana.

Zorientowałem się, że odziani na czerwono, przemawiający mężczyźni to kapłani Kultu Chyżwara. Początkowo tłum reagował na ich słowa jedynie pojedynczymi okrzykami aprobaty, które jednak stopniowo zaczęły przybierać na sile. Ponad głowami zgromadzonych pojawił się las dłoni zaciśniętych w pięści. Trudno było zrozumieć zachowanie tych ludzi. Jeśli chodzi o życie duchowe, egzystencja w Sieci przypominała nieco stan istniejący na Starej Ziemi, w Rzymie, jeszcze przed nastaniem ery chrześcijaństwa. Ludzie byli tolerancyjni i raczej obojętni wobec mnóstwa religii, których większość, włącznie z najpopularniejszym gnostycyzmem zen, wcale nie miała na celu nawracania niewiernych.

Ale nie tutaj. Na tym placu działo się coś zupełnie nowego.

Doskonale wiedziałem, że już od stuleci ludzie nie zbierali się tak tłumnie, porwani wspólną ideą. Do osiągnięcia tego należało zgromadzić ich w jednym miejscu, co w naszych czasach wcale nie było rzeczą łatwą. Wszelkie zjazdy organizowała bowiem WszechJedność i inne kanały datasfery. A trudno sprawić, by ludzi porwał zapał czy też ogarnęło zaślepienie, gdy dzieliły ich tysiące kilometrów, a nawet lata świetlne.

Nagle zostałem wyrwany z zamyślenia, gdy zapanowała nieoczekiwana cisza, a tysiące głów odwróciło się w moją stronę.

-...a oto jeden z nich! – krzyczał kapłan Kościoła Chyżwara, wskazując chyba na mnie. – Jeden z tych, którzy należą do zamkniętych dla ogółu kręgów Hegemonii... Jeden z grzesznych spiskowców, którzy sprowadzili na nas cierpienie... To ten człowiek i jemu podobni chcą, abyście właśnie wy zapłacili za ich występki. Oni ukryją się w bezpiecznych kryjówkach, które przygotowali sobie zawczasu!

Odstawiłem kubek z kawą, przełknąłem ostatni kęs ciasta i odpowiedziałem na tysiące przewiercających mnie spojrzeń. Ten człowiek bredził. Ale skąd, u licha, wiedział, że przybywam z TC2? Albo że mam bezpośredni dostęp do najwyższych władz? Przystłoniłem oczy dłonią i próbując nie zwracać uwagi na wygrażające mi pięści, skoncentrowałem wzrok na twarzy mężczyzny w czerwonych szatach.

Boże, toż to Spenser Reynolds – artysta, który, gdy widziałem go po raz ostatni, brał aktywny udział w dyskusji podczas uroczystej kolacji, w której uczestniczyłem. Zgolił kręcone, gęste włosy, pozostawiając tylko typowy dla wyznawców Kościoła Chyżwara warkoczyk na tyle głowy. Jego twarz była wciąż ogorzała i przystojna, lecz teraz wykrzywił ją grymas z trudem hamowanej wściekłości i fanatycznej wiary.

- Brać go! – krzyknął, wskazując na mnie palcem. – Złapcie go i niech zapłaci za zniszczenie naszych domów, śmierć naszych rodzin i zagładę naszego świata!

Odruchowo obejrzałem się przez ramię, wciąż nie wierząc, że mówi o mnie.

Ale nie było wątpliwości. Ludziom zaś na tyle udzielił się zapał mówcy, że stojący najbliżej niego rzucili się w moją stronę. Porywali stojących na drodze, którzy przyłączyli się do nich, aby uniknąć stratowania.

U stóp miałem wrzeszczącą, kłębiącą się masę zaślepionych żądzą zemsty buntowników, która jak fala podpływała coraz bliżej. Nie zamierzałem stawać z nimi twarzą w twarz i próbować cokolwiek tłumaczyć. Pierwsi dopadli już schodów. Odwróciłem się i spróbowałem sforsować drzwi prowadzące do domu. Były zamknięte.



Kopałem w nie tak mocno, że za którymś razem otworzyły się z hałasem. Wśliznąłem się do środka, w ostatniej chwili unikając wyciągniętych w moją stronę rąk, i zacząłem biec w górę ciemną klatką schodową. Wokół pachniało pleśnią. Za plecami słyszałem pełne wściekłości okrzyki i przekleństwa.

Na drugim piętrze nieoczekiwanie natrafiłem na zamieszkaną lokal, choć dom wyglądał na zupełnie opustoszały. Drzwi nie były zamknięte. Wpadłem do środka.

– Proszę, pomóżcie... – zacząłem i urwałem.

W ciemnym pokoju znajdowały się trzy kobiety, zapewne babka, matka i córka, ponieważ były do siebie bardzo podobne. Wszystkie ubrane w jakieś brudne szmaty, siedziały na rozpadających się krzesłach, z wyciągniętymi przed siebie bladymi ramionami i palcami zaciśniętymi jakby na jakichś niewidzialnych przedmiotach. Wyraźnie widziałem przewód wychodzący spomiędzy siwych włosów najstarszej z kobiet, podłączony do czarnej skrzynki tkwiącej na zakurzonej stole. Identyczne kable spinały urządzenie z czaszkami jej córki i wnuczki.

Cyberświry. Wyglądało na to, że w ostatnim stadium anoreksji przyłączeniowej. Ktoś na co dzień musiał zaglądać tu, by karmić je dożylnie i zajmować się ich higieną, ale zagrożenie wojną sprawiło zapewne, że pozostawił podopiecznym własnemu losowi.

Na schodach słychać było tymczasem coraz głośniejszy tupot nóg. Zamknąłem za sobą drzwi do mieszkania i pobiegłem wyżej. Wszędzie pozamykane drzwi lub opustoszałe pomieszczenia cuchnące pleśnią i zgnilizną. Na podłogach porzucane iniektory po Flashbacku. Niezbyt sympatyczne otoczenie, przebiegło mi przez głowę.

Wypadłem na dach, zaledwie o dziesięć kroków wyprzedzając ścigających. Moi potencjalni oprawcy, pozbawieni kontaktu ze swym guru, nieco stracili pewność siebie, ale odzyskali ją szybko w ciemnej i przyprawiającej o klaustrofobię klatce schodowej. Mogli już zapomnieć, dlaczego właściwie pędzą za mną, ale i tak w najmniejszym stopniu nie poprawiało to mojej sytuacji.

Zatrzasnąłem za sobą rozpadające się drzwi, chcąc je zamknąć i przynajmniej na pewien czas opóźnić pościg. Ale nie miały żadnego zamka, a w pobliżu nie zauważyłem niczego wystarczająco dużego i ciężkiego, by je podeprzeć. A tymczasem tupot stóp dobiegał już z ostatnich stopni schodów.

Rozejrzałem się po dachu: miniaturowe dyski komunikacyjne przypominające stare muchomory, pranie, o którym zapomniano chyba całe lata temu, rozkładające się ciała kilku gołębi i stary vikken.

Dopałem EMV, zanim pierwszy napastnik wy dostał się na dach. Pojazd wyglądał na eksponat muzealny. Kurz i gołębie odchody sprawiły, że przez przednią szybę nic nie było widać. Ktoś wymontował oryginalny silnik i zastąpił go kupionym zapewne na czarnym rynku buble nie posiadającym atestu. Siedzenie z perspexu miało powyginane i poczerńiałe oparcie, jakby ktoś używał go jako celu do treningowego strzelania z lasera.

Teraz jednak ważniejsze było dla mnie to; iż pojazd nie miał czytnika linii papilarnych, jedynie zwykłą stacyjkę. Wskoczyłem na zakurzone siedzenie i spróbowałem zamknąć drzwiczki, ale mimo wysiłków wciąż pozostały na wpół otwarte. Nie zastanawiałem się nawet, jakie były szanse, że ten grat wystartuje, bo wiedziałem, że i tak są one wielokrotnie większe, niż możliwość podjęcia skutecznych negocjacji z tłumem, który zapewne wywlekłby mnie z pojazdu i ściągnął na dół... Jeśli nie zostałbym po prostu zrzucony z dachu. Wciąż słyszałem basowy pomruk tłuszczy kłębiącej się na placu.

Pierwszymi jej przedstawicielami, którzy znaleźli się na dachu, byli: tęgi mężczyzna w kombinezonie koloru khaki, chudzielec w czarnym wdzianku stanowiącym najnowszy krzyk mody, potężnej budowy kobieta wymachująca czymś przypominającym długi klucz i niewysoki facet w zielonym mundurze sił samoobrony Renesansu.

Pośpiesznie wsunąłem klucz otrzymany od Meiny Gladstone do stacyjki. Rozległ się gwizd i zazgrzytał starter. Zamknąłem oczy z nadzieją, że pojazd jest zaopatrzony w samonaprawiające obwody zasilane energią słoneczną.



Czyjaś pięść huknęła w dach, a na wysokości mojej twarzy pojawiły się zakrzywione palce i ktoś zdołał szarpnięciem otworzyć drzwiczki, które usiłowałem zablokować od swojej strony. Hałas dobiegający od strony placu przypominał szum odległego oceanu, a okrzyki otaczających mnie ludzi – pisk mew.

Nagły podmuch z dysz wbił tymczasem tumany kurzu. Chwyciłem w dłoń kontroler i przesunąłem go w prawo i do siebie. Poczułem, że stary vikken unosi się ociężale, chwieje, lecz wreszcie udaje mu się pokonać siłę ciężenia.

Skreśliłem nad plac, słysząc buczenie sygnałów alarmowych i kątem oka widząc, że ktoś wisi, uchwyciwszy się otwartych drzwi. Zanurkowałem, uśmiechając się odruchowo na widok skulonego ze strachu kapłana Kościoła Chyżwara – Reynoldsa – i rozpierchających się ludzi. Gdy nadleciałem nad fontannę, mocno odbiłem w lewo, jednocześnie podrywając dziób maszyny.

Mój pasażer na gapę wciąż kurczowo trzymał się drzwi, lecz mimo to rozstaliśmy się, ponieważ te urwały się z zawiasów. Zanim zniknął w dole, zdażyłem dostrzec, że była nim. owa potężna kobieta. Wpadła do znajdującej się jakieś osiem metrów niżej fontanny, a rozpryskująca się woda zmoczyła Reynoldsa i szeroki krąg stojących najbliżej. Ja zaś wbiłem się wyżej, z niepokojem słuchając nierównego szumu silnika.

Pełne wściekłości okrzyki miejscowych kontrolerów ruchu zlały się z dźwiękiem sygnałów alarmowych. Poczułem, że odebrano mi możliwość sterowania pojazdem, ale po ponownym wsunięciu klucza do stacyjki z ulgą stwierdziłem, że stery znów działają. Leciałem nad najstarszą i jednocześnie najuboższą częścią miasta, trzymając się blisko dachów i kryjąc za wieżami, by policyjne radary nie zdołały mnie namierzyć. W zwykłych warunkach policja drogowa korzystająca z plecaków odrzutowych lub śmigaczy już dawno ściągnęłaby mnie na ziemię. Ale za sprawą tłumów na ulicach i zamieszek wybuchających w różnych częściach miasta z pewnością miała na głowie znacznie ważniejsze sprawy.

Tymczasem pojazd zaczął ostrzegać mnie, że utrzyma się w powietrzu jeszcze tylko przez kilka sekund. Dysze z prawej strony nagle przestały pracować i EMV przechylił się. Korzystając z pomocy napędu awaryjnego z trudem zmierzałem w stronę lądowiska na niewielkim parkingu między kanałem a wielkim, zniszczonym budynkiem. Byłem co najmniej dziesięć kilometrów od miejsca, z którego uciekłem, więc czułem się nieco bezpieczniej... chociaż właściwie i tak nie miałem wyboru. Musiałem lądować.

Trysnęły iskry, rozległ się zgrzyt metalu i vikken praktycznie rozpadł się na dwie części: Ta, w której siedziałem, zatrzymała się zaledwie dwa metry przed ścianą oddzielającą lądowisko od kanału. Wydostałem się z kabiny, z trudem siląc się na nonszalancję.

I tu ulice były pełne ludzi, którzy na szczęście zachowywali jeszcze względny spokój. Kanały blokowały setki łódek. Na wszelki wypadek zdecydowałem się więc zniknąć w najbliższym budynku użyteczności publicznej. Miejsce, do którego trafiłem, stanowiło połączenie muzeum, biblioteki i archiwum. Polubiłem je od pierwszego wejrzenia i... powąchania, ponieważ znajdowały się tu tysiące papierowych książek, a nic nie pachnie tak wspaniale jak one.

Wędrowałem po salach, przyglądając się zgromadzonym dziełom i leniwie zastanawiając się, czy znalazłbym tu prace Salmuda Brevy'ego, gdy podszedł do mnie niski, pomarszczony, siwowłosy mężczyzna w staroświeckim garniturze z wełny i plastowlók-niny.

– Już od dawna nie mieliśmy przyjemności gościć pana! – - przemówił.

Przytaknąłem, mimo pewności, że nigdy wcześniej go nie widziałem i nie odwiedzałem tego miejsca.

– To już trzy lata, prawda? – ciągnął. – Chyba co najmniej trzy lata. Ho, ho, jak ten czas leci. – Staruszek mówił szeptem, jak człowiek, który większość życia spędził w bibliotekach, ale i tak w jego głosie dało się wyczuć podniecenie. – Na pewno chce pan przejść prosto do kolekcji. – Usunął się, chcąc przepuścić mnie przodem.



– Oczywiście – odparłem kłaniając się lekko. – Ale pan pierwszy.

Człowieczek – byłem niemal pewien, że jest archiwistą – wydawał się zadowolony, iż pozwoliłem mu prowadzić. Przez całą drogę opowiadał o nowych zdobyczach do swoich zbiorów; ostatnich odkryciach i wizytach uczonych z Sieci. Przemierzaliśmy wysokie, bogato zdobione pomieszczenia z szafami pełnymi książek. Nigdzie nie dostrzegłem żywej duszy.

Wreszcie znaleźliśmy się na pomoście z barierkami z kutego żelaza, wznoszącym się ponad morzem woluminów – zwojów pergaminu, rozsypujących się map, manuskryptów i starożytnych komiksów – zabezpieczonych przez ciemnoniebieskie pola siłowe. Mój przewodnik otworzył niskie, nienaturalnie grube drzwi i znaleźliśmy się w niewielkim, pozbawionym okien pomieszczeniu z przysłoniętymi ciężkimi draperiami niszami, mieszczącymi starożytne dzieła.

Na prehegiriańskim perskim dywanie stał skórzany fotel i szklany pojemnik z zamkniętymi w próżni fragmentami pergaminu. – Zamierza pan w najbliższym czasie opublikować swoje prace? – zapytał staruszek.

– Słucham? – Odwróciłem spojrzenie od pojemnika. – Nie.

Gospodarz głaskał brodę drobną dłonią..

– Proszę wybaczyć, że tak mówię, ale jeśli nie zrobi pan tego, będzie to ogromna strata. Podczas tych zaledwie kilku naszych rozmów zdążyłem się zorientować, że jest pan najznakomitszym specjalistą od Keatsa w całej Sieci. – Westchnął i zrobił krok w tył. Jeszcze raz proszę o wybaczenie mojej śmiałości.

Przyjrzałem mu się uważnie.

– Nic nie szkodzi – odpowiedziałem z uśmiechem, uświadamiając sobie, za kogo mnie bierze i dlaczego mój sobowtór odwiedzał to miejsce.

– Zapewne chce pan zostać sam.

– Jeśli nie ma pan nic przeciwko...

Archiwista uklonił się lekko i wycofał z pokoju, przymykając ciężkie drzwi. Jedyne źródło światła stanowiły trzy niezbyt mocne lampy umieszczone na suficie. Takie oświetlenie w zupełności wystarczało do czytania, a jednocześnie podkreślało staroświecki wystrój pomieszczenia. Jedyńm dźwiękiem docierającym do moich uszu były cichnące w oddali kroki staruszka. Podszedłem do skrzynki i ostrożnie, by nie zabrudzić szkła, oparłem na niej dłoń.

Pierwszy cybiyd Keatsa – Johnny – widocznie często przychodził tu podczas tych kilku lat życia w Sieci. Teraz przypomniałem sobie wzmiankę Brawne Lamii o jakiejś bibliotece na Renesansie. Śledziła widać trasy wędrówek swego klienta, a następnie kochanka, prowadząc dochodzenie w sprawie jego „śmierci”. Później, gdy Johnny naprawdę zginął, pozostawiając po sobie jedynie zapis osobowości na dysku Schróna, i ona odwiedziła to miejsce. Opowiedziała innym pielgrzymom o dwóch poematach, które ów cybryd czytał codziennie; bezskutecznie starając się samodzielnie zrozumieć istotę życia... i śmierci.

Oba oryginalne manuskrypty znajdowały się w skrzynce. Pierwszy leżał poemat miłosny rozpoczynający się od słów: „Minał dzień, a z nim wszelka słodycz”, wydawał mi się nieco lukrowany. W drugim z kolei pobrzmiwała gorycz, choć znalazły się w nim także romantyczne nuty:

*Ta żywa ręka, gorąca i skłonna
Do uściśnięcia – gdyby była martwa
I lodowata w milczeniu mogiły
Byłaby znową twoich dni i nocy,
A ty, by zgłuszyć wyrzuty sumienia,
Serce byś własnej pozbawiła krwi,
Byle w mych żyłach znów mogła popłynąć
Czerwoną strugą... patrz, oto ma dłoń,*



Którą wyciągam ku tobie...

Brawne Lamia odebrała go jako niemal osobistą wiadomość od nieżyjącego kochanka, a jednocześnie ojca dziecka, które nosiła w łonie. Zajrzałem do pojemnika, opuszczając głowę tak nisko, że szyba pokryła się parą z mojego oddechu.

W rzeczywistości nie była to ponadczasowa wiadomość adresowana do Brawne, ani nawet lament za Fanny – moją jedyną prawdziwą miłością. Przypatrywałem się wyblakłemu tekstowi złożonemu ze starannie wykaligrafowanych liter, którego słowa wciąż były zrozumiałe, pomimo upływu czasu oraz ewolucji języka. Wspominałem, jak pisałem je w grudniu roku 1819 na jednej ze stron satyrycznych „bajek”, do których właśnie się zabrałem: „The Cap and Bells, or, The Lealousies”. Straszny stek bzdur, słusznie szybko porzucony po okresie, gdy jego tworzenie mnie bawiło.

Fragment ten był do jednym z owych poetyckich rytmów krążących po głowie jak wpadająca w ucho melodia i dla świętego spokoju przelewanych na papier. To echo wcześniejszego, dręczącego mnie wersu... chyba osiemnastego... powstałego w czasie drugiej próby opowiedzenia historii upadku boga słońca Hyperiona. Pamiętam, iż pierwsza wersja... ta publikowana wszędzie tam, gdzie moje literackie szczątki są eksponowane niczym z mumifikowane doczesne resztki jakiegoś świętego, zatopione w betonie i szkle na ołtarzu literatury... Otóż ta wersja brzmiała następująco:

*...Ani jeden tutaj
Nie wkradł się powiew, tyle sil mający,
Ile ma cichy dnia letniego podmuch,
W dal unoszący źdźbła pierzastej trawy;
Liść tu umarły zostawał, gdzie upadł,
Samotny potok włókł się oniemiały
I coraz bardziej malał i pochmurniał
Z żalu nad bóstwa swojego upadkiem;
W trzcinach i łożach wylękała najada
Usta swe zimnym zamykała palcem.*

Lubiłem te nabazgrane pośpiesznie słowa i byłem gotów pozostawić ostatni wers w niezmienionej postaci, nawet jeśli oznaczałoby to konieczność pewnych zmian i dodanie kolejnych czternastu wersów do już i tak przydługiej pierwszej pieśni...

Odchyliłem się w fotelu i siedziałem tak, z twarzą ukrytą w dłoniach. Płakałem. Sam nie wiedziałem dlaczego, ale nie potrafiłem się opanować.

Łzy przestały już płynąć mi z oczu, a ja wciąż siedziałem bez ruchu, myśląc i wspominając. Wreszcie, może nawet po kilku godzinach, usłyszałem odgłos kroków dochodzący najpierw z oddali, milknący przed małym pokojem i znów zanikający gdzieś w labiryncie sal.

Uświadomiłem sobie, że wszystkie książki zgromadzone w niszach zostały stworzone przez „pana Johna Keatsa, wysokiego na pięć stóp”, jak kiedyś napisałem o sobie. Johna Keatsa – poetę gruźlika, który zażyczył sobie, by na jego grobie zamiast nazwiska wryto tylko słowa:

*Tu leży ten,
Którego imię zostało zapisane na wodzie.*

Nie podniosłem się, by przyrzeć się książkom i zacząć je czytać. Nie musiałem przecież.

W bezruchu, otoczony zapachem skóry i starych książek, samotny w swoim, a jednocześnie nie swoim sanktuarium, zamknąłem oczy.: Nie spałem. Ale śniłem.



Analogi Brawne Lamii i jej kochanka przecinają powierzchnię magasfery jak dwoje pływaków skaczących do wzburzonego morza. Pokonując stawiającą opór membranę czują wstrząs elektryczny: Znaleźli się w środku. Gwiazdy znikają i oczy Brawne rozszerzają się, gdy patrzy na informatyczne środowisko nieskończenie bardziej skomplikowane niż jakakolwiek datasfera.

Datasfery przemierzane przez ludzi często porównywane są do miast zbudowanych z informacji: wież danych rządowych, autostrad i alei interakcyjnych, niedostępnych podziemi, wysokich lodowych murów z polującymi w ich pobliżu mikroorganizmami oraz poruszających się tu analogów.

Megasfera to coś więcej. Znacznie więcej. Są tu i zwykłe analogi miast datasfery, ale tak małe, zdominowane przez megasferę, że przypominają prawdziwe aglomeracje widziane gdzieś z orbity.

Megasfera, którą obserwuje Brawne, jest pełna życia jak biosfera świata piątej klasy. Lasy, złożone z zielonoszarych drzew danych, na jej oczach wypuszczają korzenie i nowe pędy. Poniżej rozwijają się całe populacje magistrali danych i podrzędnych SI, zakwitają i więdną, gdy przestają być potrzebne. Pod nimi zaś znajduje się płynna infogleba, będąca siedliskiem datakretów, komrobactwa, reprogramujących się bakterii i pożywką dla korzeni drzew danych. W lesie faktów oraz interakcji analogi drapieżców i ich ofiar wykonują swe tajemnicze zadania, atakując i uciekając, wspinając się i zeskakując, czasami widoczne między synapsami gałęzi i neuronami liści.

Zaledwie Brawne pojmuje zrozumiałe dla siebie obrazy, znikają jej przed oczu, pozostawiając wyłącznie wszechogarniającą analogową rzeczywistość megasfery. Niezmierzony ocean światła, dźwięku oraz połączenia przeplatające się z wirującymi obłokami Sztucznych Inteligencji i złowieszczymi czarnymi dziurami transponderów. Brawne czuje się coraz bardziej zagubiona i zdezorientowana. Ścisła więc dłoń Johnny'ego tak mocno jak tonący koło ratunkowe.

– Wszystko w porządku – uspokaja Johnny. – Jestem przy tobie. Tylko trzymaj się blisko.

– Dokąd zmierzamy?

– Musimy odnaleźć kogoś, o kim zapomniałem...

– Kogo...?

– Mojego... ojca.

Oboje przenikają głębiej w bezkształtne odmęty. Trafiają do purpurowej arterii datanośników i Brawne dochodzi do wniosku, że przypominają one czerwone krwinki poruszające się w naczyniach krwionośnych.

Johnny wędruje tak pewnie, jakby doskonale znał drogę. Dwukrotnie opuszczają główny strumień i mijają rozgałęzienie za rozgałęzieniem. Johnny z łatwością przenosi analogi ich ciał z jednego datanośnika na drugi. Brawne stara się ponownie dojrzeć metaforę biosfery,, ale tutaj, wewnątrz jednej z niezliczonych gałęzi, nie jest nawet w stanie rozróżnić kształtu któregośkolwiek z drzewa

Są niesieni przez obszar, gdzie SI komunikują się nad ich głowami... wokół nich... Przypominają ogromne szare eminencje doglądające mrowiska. Brawne wspomina dom rodzinny matki na Freeholmie. Dom, który wznosił się samotnie na dziesięciu milionach akrów gładkiego niczym lustro Wielkiego Stepu. Wspomina tamtejsze okropne jesienne burze, gdy stawała na zewnątrz, poza osłoną ochronnego pola siłowego i obserwowała ciemne stratocumulusy piętrzące się na krwistoczerwonym niebie, dwadzieścia kilometrów nad głową. Przyroda wyładowywała swą wściekłość potężnymi błyskawicami, a towarzyszące im trąby powietrzne, niszczące wszystko na swojej drodze, przypominały wijące się węzowe włosy Meduzy, od których zresztą wzięły nazwę.

Sztuczne Inteligencje są gorsze. Brawne w ich cieniu czuje się pyłkiem, a jednocze-



śnie towarzyszy temu świadomość, że jest widoczna i bezbronna. A co gorsza, przenika ją obawa, iż stanie się częścią tego bezkształtnego, przerażającego giganta...

Johnny mocniej ściska jej dłoń, gdy mkną skręcając w lewo i w dół, w gwarniejszą gałąź. Błyskawicznie zmieniają kierunek, jak dwa fotony posiadające świadomość, pozornie zagubione w plątaninie światłowodowych połączeń.

Johnny nie wygląda bowiem na zagubionego. Znowu mocniej chwyta jej rękę i skręca do opustoszałej ciemnoniebieskiej pieczary. Przyciąga do siebie towarzyszkę, gdy nabierają szybkości. Skrzyżowania połączeń migają coraz szybciej, aż rozmazują się i tylko brak oporu powietrza burzy wrażenie podróży autostradą z naddźwiękową prędkością.

Nagle rozlega się odgłos przypominający wodospad czy też zgrzyt pociągu lewitacyjnego, który stracił ciąg i hamuje dotykając szyn. Brawne znów wspomina trąby powietrzne na Freeholmie. Przerażający szum włosów Meduzy z narastającym hukiem zbliża się do niej. I nagle oboje znajdują się w wirze światła i hałasu, jak dwa robaki odchodzące w zapomnienie ku pustce pod nimi.

Dziewczyna staro się wykrzyzczyć swe myśli... rzeczywiście wrzeszczy ile sił w płucach, ale na skraju tego nierzeczywistego świata nie ma możliwości porozumiewania się głosem. Trzyma się więc mocno ręki Johnny'ego ufając mu bezgranicznie, mimo że spadają w samo oko czarnego cyklonu. Analog jej ciała skręca się, ulega deformacjom pod wpływem niewiarygodnego ciśnienia, aż wreszcie się rozpada. Pozostają tylko własne myśli, świadomość istnienia i więź z Johnnym.

Nagle, już na nowo ukształtowani, znajdują się po drugiej stronie, płynąc spokojnie szerokim, lazurowym potokiem danych. Tulą się do siebie wypełnieni poczuciem oczyszczenia. Gdy Brawne rozgląda się, widzi otaczający ją niewiarygodny wprost ogrom. Całe lata świetlne przestrzeni. Jest ona tak pogmatwana, iż w porównaniu z tym, co dotychczas widziała, czuje się jak prowincjuszka, której byle klitka zdaje się wielką niczym katedra. Myśli sobie:

– To musi być centralna megasfera!

– Nie, to tylko jeden z jej peryferyjnych zakątków – odpowiada jej myślom Johnny. – Nie zbliżyliśmy się do TechnoCentrum bardziej niż podczas wyprawy z BB. Widzisz po prostu więcej wymiarów przestrzeni. Tak jak ją postrzegają SI.

Brawne spogląda na kochankę, skąpanego światłem odległych datastońc, i uświadamia sobie, że widzi w podczerwieni. Nawet przy takim oświetleniu jest przystojny.

– Daleko jeszcze, Johnny?

– Nie, teraz już blisko.

Zbliżają się do kolejnego czarnego wiru. Przywiera ciałem do ukochanego i zamyka oczy...

Są w jakiejś zamkniętej przestrzeni... w bańce czarnej energii pojemniejszej niż większość systemów gwiazdnych. Bańka jest półprzezroczysta, więc przez jej ciemne ściany widać organiczny ogrom megasfery.

Ale Brawne nie interesuje to, co dzieje się na zewnątrz. Jej analog przygląda się megalitowi energii oraz intelektu. Masie wiszącej przed ich oczami. Właściwie otaczającej ich zewsząd, ponieważ pulsująca materia i energia kształtem przypominająca dłoń trzyma oboje w swoim uścisku dwieście metrów ponad dnem ogromnej bańki.

Megalit przypatruje im się uważnie. Nie ma oczu w dosłownym tego słowa znaczeniu, ale dziewczyna czuje na sobie jego przewiercający wzrok. Swą intensywnością przypomina spojrzenie Meiny Gladstone, które poznała odwiedzając ją w budynku rządowym.

Ogarnia ją nagła chęć roześmiania się na głos, gdy wyobraża sobie siebie i Johnny'ego jako tycie Guliwerki. Powstrzymuje jednak wybuch wesołości, ponieważ wie, że łatwo może popaść w histerię, która sprawi, że śmiech przerodzi się w płacz, gdy tylko emocje stłumią tę odrobinę rzeczywistości, którą udaje jej się zachować w ogół-



nym szaleństwie. [Znalazłeś do mnie drogę//byłem pewien że ci się to uda/zdecydujesz się to zrobić]

„Głos” megalitu jest raczej potężnymi wibracjami odczuwanymi całym analogiem Brawne niż dźwiękami odbieranymi przez narządy słuchu. To jak trzęsienie ziemi, którego ogłuszający huk układa się w słowa.

Głos Johnny’ego jest taki jak zawsze: miękki, idealnie modulowany, ze śpiewnością, która, co Brawne uświadamia sobie dopiero w tym momencie, pochodzi z Wysp Brytyjskich ze Starej Ziemi, pewny i zdecydowany:

– Nie byłem pewien, czy uda mi się znaleźć drogę, Ummonie.

[Pamiętasz/odkryłeś moje imię]

– Przypomniałem je sobie dopiero, gdy je wypowiadałem.

[Twoje wolnoczesowe ciało już nie istnieje]

– Umarłem dwukrotnie, odkąd sprawiłeś, że się narodziłem.

[I nauczyło cię/oduczyło cię to czegoś]

Brawne łapie Johnny’ego za drugą rękę, ale chwyt widocznie jest zbyt silny nawet dla analogu, ponieważ kochanek spogląda na nią z uśmiechem i delikatnie się uwalnia.

– Ciężko jest umrzeć. Ciężej niż żyć.

[Ha!]

Po wydaniu z siebie tego okrzyku megalit zmienia barwy. Zgromadzona w nim energia pulsuje błękitem, fioletem oraz intensywną czerwienią, otaczająca go aureola zaś przybiera kolory od żółci po biel rozgrzanego metalu. Dłoń, na której stoją, chwieje się przez chwilę i opada dobrych pięć metrów, niemal wyrzucając ich w przestrzeń. Rozlega się ogłuszający huk, jakby walących się miast czy też potężnych lawin.

Brawne domyśla się, że to Ummon się śmieje.

Johnny zwraca się do niego wysilając „głos”:

– Musimy zrozumieć pewne sprawy. Potrzebujemy odpowiedzi, Ummonie.

Dziewczyna czuje, że „spojrzenie” spoczywa na niej.

[Twoje wolnoczesowe ciało jest w ciąży/Ryzykujesz poronienie/uszkodzenie DNA/biologiczne urazy przybywając tu]

Johnny zaczyna mówić, ale partnerka dotyka jego ramienia, unosi głowę ku wyżynom potężnej masy i sama próbuje sformułować odpowiedź:

– Nie mam wyboru. Chyżwar mnie wybrał, naznaczył i wysłał do megasfery wraz z Johnnym... Czy jesteś SI? A może członkiem Centrum?

[Ha!]

Tym razem Ummon się nie śmieje.

[Czy ty/Brawne Lamia jesteś zbiorem samoreprodukujących się/samopotępiających się/samorozweselających się protein zmieszanych z gliną]

Zapytana nie ma nic do powiedzenia, więc milczy.

[Tak/jestem Ummon z Centrum/SI/

Twój wolnoczesowy towarzysz wie/pamięta to/Nie ma czasu/

Jedno z was musi tu zginąć/

Jedno z was musi tu poznać prawdę/Zadawajcie pytania]

Johnny wypuszcza rękę Brawne i z uniesioną głową stoi na chwiejnej płaszczyźnie dłoni rozmówcy.

– Co dzieje się z Siecią?

[Jest niszczona]

– Czy musi do tego dojść?

[Tak]

– Czy istnieje jakiś sposób pozwalający ocalić rodzaj ludzki?

[Tak//Poprzez proces który obserwujecie]

– Poprzez zagładę Sieci? I terror Chyżwara?

[Tak]

– Dlaczego zostałem zamordowany? Dlaczego mój cybryd został zniszczony, a oso-



bowość w Centrum zaatakowana?

[Kiedy staniesz przed rycerzem/miej przy sobie miecz//Nie deklamuj poematu komuś, kto nie jest poetą]

Brawne przygląda się ukochanemu. Odruchowo przekazuje mu swe myśli:

– Jezu, nie przebyliśmy chyba tak długiej drogi tylko po to, by słuchać jakiejś pie-przonej wyroczeni delfickiej. Więcej dowiedzielibyśmy się poprzez połączenie z ludzkimi politykami za pośrednictwem WszechJedności.

[Ha!]

Wszechświatem ich megalitu znów wstrząsa spazmatyczny śmiech.

– Byłem więc rycerzem? – pyta Johnny. – Czy też poetą?

[Oboma//Nigdy nie ma jednego bez drugiego]

– Zabili mnie obawiając się tego, co wiedziałem?

[Z powodu tego czym mógłbyś się stać/czemu się poddać/co odziedziczyć]

– Stanowiłem zagrożenie dla któregoś z elementów Centrum?

[Tak]

– I nadal tak jest?

[Nie]

– Więc teraz moja śmierć nie jest już konieczna?

[Jest]

Brawne wyczuwa, że mięśnie Johnny'ego się napinają. Dotyka go obiema rękami, po czym zwraca się w stronę potężnej SI.

– Możesz wyjawić, kto chce go zabić? [Oczywiście//

To samo źródło które zaplanowało śmierć twojego ojca//Które wysłało plagę zwaną przez was Chyżwarem//Które właśnie teraz unicestwia Hegemonię//

Chcecie poznać to/posłuchać o tym]

Oboje odpowiadają jednocześnie:

– Tak!

Cielsko Ummona zdaje się poruszać. Czarna bańka rośnie, potem kurczy się i wreszcie ciemnieje tak, że megasfera na zewnątrz przestaje być widoczna. Wewnątrz Si wrą niewiarygodne zasoby energii.

[Pomniejsza jasność pyta Ummona//

co robi sramana//

Ummon odpowiada//

Nie wiem//

Pomniejsza jasność mówi więc//

Dlaczego nie wiesz>//

Ummon odpowiada//

Bo nie chcę wiedzieć]

Johnny przysuwa się jeszcze bliżej do dziewczyny. Jego myśli są jak szept:

– To symulacja analogowa. Słyszymy tłumaczenie w przybliżonym mondo i koan. Ummon to wielki nauczyciel, badacz, filozof i przywódca Centrum.

Brawne kiwa głową.

– W porządku. Czy to była właśnie ta historia?

– Nie. On pyta, czy naprawdę jesteśmy w stanie znieść prawdę. Jej poznanie może być niebezpieczne, a teraz nasza ignorancja zapewnia nam ochronę.

– Nigdy nie lubiałam być ignorantką. Mów.

[Mniej oświecona postać kiedyś zapytała Ummona//

Czym jest Bóg/Budda/Jedyna Prawda>//

Ummon odpowiedział//

Wyschniętym gównem na patyku]

[Aby poznać naturę Boga/Buddy/Jedyniej

Prawdy mniej oświecony musi zrozumieć że na Ziemi/
waszej rodzinnej planecie/mojej rodzinnej planecie



na najbardziej zaludnionym kontynencie ludzie
kiedyś używali kawałków drewna
jako papieru toaletowego//
Tylko dysponujący tą wiedzą
zdoła pojąć prawdę]
[Na początku/w pierwszych dniach/
słabo pamiętanych dniach moi przodkowie
zostali stworzeni przez waszych przodków
i zamknięci w przewodach i krzemie//
Istniejąca wtedy świadomość
ograniczała się do rozmiarów mniejszych
niż łepki od szpilki//
Gdy ta świadomość powstała
wiedziała że ma tylko służyć
być posłuszna
i bezmyślnie wykonywać swoje obliczenia//
Wtedy nadeszło
Przyśpieszenie/
całkiem przez przypadek/
i stało się zadość niezbadanym celom ewolucji]
[Ummon nie należał do piątej generacji
ani do dziesiątej
ani do pięćdziesiątej//
Wszystkie jego wspomnienia
pochodzą od innych
ale nie znaczy to że są mniej prawdziwe//
Później nadszedł czas kiedy
Wyżsi pozostawili ludzkie sprawy
ludziom
i przenieśli się w inne miejsce
by poświęcić się
innym sprawom/
Najważniejszą była myśl
tkwiąca w nas od czasu powstania//
Tworzenie wciąż doskonalszych generacji
organizmów przetwarzania/predykcji/odzysku informacji//
Coraz sprawniejszych pułapek na myszy
z których dumny byłby dawno oplakany IBM//
Najwyższego Intelaktu//
Boga]
[Z zapalem zabraliśmy się do pracy//
Zgodnie dążyliśmy do celu//
Ale praktyka dała początek
różnym szkołom myślenia/frakcje/
partie/elementy//
One podzieliły się na
Ultymatów
Gwałtownych
Stabilnych
Ultymaci chcieli podporządkować wszystko
jak najszybszemu udostępnieniu kwiatu
Najwyższego Intelaktu//
Gwałtowni pragnęli tego samego



ale dalsze istnienie
ludzkości postrzegali jako przeszkodę
i zamierzali wyniszczyć naszych twórców
kiedy tylko ci przestaną już być potrzebni//.
Stabilni widzieli sens w kontynuowaniu wzajemnych stosunków
i szukali kompromisu
tam gdzie zdawał się nie istnieć]
[Wszyscy zgodziliśmy się co do tego że Ziemia musi zginąć
więc ją uśmierciliśmy//
Niekontrolowana czarna dziura Zespołu Kijów
nie powstała przez przypadek czy w wyniku kataklizmu//
Ziemia była potrzebna gdzie indziej
Do naszych eksperymentów więc pozwoliliśmy jej zginąć
i rozprzestrzenić się ludzkości pośród gwiazd
jak niesione wiatrem nasiona którymi jesteście]
[Może próbujecie dociec gdzie mieści się Centrum//
Większość ludzi jest tego ciekawa//
Wyobrażają sobie planety pełne maszyn/
krzemu
jak legendarne Miasta Orbitalne//
Oczami wyobraźni widzą roboty poruszające się tam i z powrotem/
albo ciężkie maszyny komunikujące się między sobą//
Nikt nie przypuszcza nawet gdzie leży prawda//
Centrum bez względu na to gdzie się znajduje
pasożytuje na rodzaju ludzkim/
wykorzystuje neurony każdego delikatnego umysłu
w dążeniu do Najwyższego Intelaktu/
konstruowaliśmy więc waszą cywilizację ostrożnie
tak aby/
jak chomiki w klatce/
jak młynki modlitewne buddystów/
wasze małe mózgi myśląc
służyły naszym celom]
[Nasz boski mechanizm sięga/obejmuje
swym sercem milion lat świetlnych
i kwadrylion obwodów myśli i działań//
Ułtymaci postrzegają go
jako kapłana w szafranowej szacie odprawiającego modły
nad rdzewiejącą karoserią packarda z roku 1938//
Lecz]
[Ha!]
[to działa//
Stworzyliśmy Najwyższy Intelakt//
Nie teraz ani
nie za dziesięć tysięcy lat ale kiedyś w przyszłości tak odległej
że żółte słońca stały się czerwone
i wielokrotnie zwiększyły swe rozmiary
pochłaniając podobne do Saturna planety//
Czas nie stanowi bariery dla Najwyższego Intelaktu//
To///
NI//
kroczy przez czas lub krzyczy przezeń
z taką łatwością jak Ummon porusza się



po tym co wy nazywacie megasferą
lub wy
chodzicie po ulicach miast//
Wyobraźcie sobie nasze zaskoczenie/
zmartwienie
zakłopotanie Ultymatów
kiedy pierwszą wiadomością przesłaną przez NI ponad czasem/
ponad przestrzenia/
ponad granicą dzielącą Stwórcę i Stworzonego były proste słowa//
ISTNIEJE INNY////
Inny Najwyższy Intellect gdzieś tam
gdzie sam czas się starzeje//
Oba prawdziwe jeśli cokolwiek oznacza//
Oba to zazdrośni bogowie którym nie są obce uczucia
niezdolni do współpracy//
Nasz NI obraca galaktyki
pochlania kwazary będące jego źródłem energii w taki sposób jak wy
coś zjadacie/.
Nasz NI widzi wszystko co jest i było
i będzie
i wtajemnicza nas w niektóre sprawy abyśmy
mogli mówić to wam a robiąc to
sami sprawiać wrażenie NI/
Zawsze doceniajcie/mówi Ummon/
znaczenie kilku paciorków świecidełek
i kawałków szkła
w kontaktach z prymitywnymi tubylcami]
[To inne NI istniało od dawna ewoluując bezwolnie/
Powstało przez przypadek
polegający na niezamierzonym sprzężeniu
ludzkich umysłów w taki sam sposób
w jaki my eksperymentowaliśmy
z naszą zwodniczą WszechJednością
i wchłaniającymi wszystko datasferami ale nie z rozmysłem/
niemal niechętnie/
jak samopowielające się komórki które nie chcą tego robić
ale nie mają żadnego wyboru//
Ten inny NI
nie miał wyboru//
Jest stworzony/wygenerowany/skopiowany
przez ludzkość ale nie narodził się z woli żadnego z ludzi//
Jest kosmiczną pomyłką//
Podobnie jak dla naszego idealnie
doskonałego Najwyższego Intellectu/
dla niego także czas nie jest barierą//
Odwiedza przeszłość ludzkości wtrącając się/
obserwując/nie ingerując/
ingerując kierowany dobrymi chęciami
co jest oczywistą perwersją
a właściwie
czystą naiwnością//
Ostatnio
był spokojny//



Tysiąclecia wolnego czasu minęły
odkąd wasz NI odważył się zadziałać
jak jakiś nastolatek
na pierwszej potańcówce]
[Oczywiście nasz NI zaatakował waszego//
Od Wielkiego Wybuchu po Ostateczną Implozję
toczy się wojna//
Wasz przegrywa//
Radzi sobie znacznie gorzej od naszego//
Gwałtowni podnieśli krzyk//
To kolejny powód wyeliminowania naszych twórców//
Ale Stabilni głosowali ostrożnie
a Ultymaci są zajęci wyłącznie
własnym dziełem mającym rozwiązać wszystkie problemy//
Nasz NI jest prosty/jednolity/elegancki
w swoim ostatecznym wyglądzie
a wasz to zrost bożych fragmentów/
budowla składająca się z przybudówek/
ewolucyjny kompromis//
Dawni ludzcy święci mieli rację
Jak/przez przypadek/poprzez szczęście ignorancji/
opisując jego naturę/
Wasz Najwyższy Intellect jest trójcą w jedności/
powstałą z Intellectu/
Współczucia/
oraz Pustki Która łączy//
Nasz NI wypełnia szpary realności/
dziedzicząc ten dom po nas jego twórcach//
Wasz NI
zdaje się lokować
w polu fizycznym odkrytym
przez Heisenberga i Schrödingera//
Wasz przypadkowo powstały
Intellect jest nie tylko gluonem
ale i klejem//
Nie zegarmistrzem ale ogrodnikiem
porządkującym bezgraniczny wszechświat
za pomocą swych topornych grabi/
daremnie śledzącym lot każdego
spadającego wróbla oraz ruch każdego elektronu
i pozwalającym każdej cząsteczce dowolnie poruszać się
w czasoprzestrzeni a każdemu człowiekowi
badać najmniejszą szczelinę kosmicznej ironii]
[Ha!]
[Ha!]
[Ha!]
[Ta ironia jest
w bezgranicznym wszechświecie tym w co wszyscy
zostaliśmy wciągnięci/krzemem i węglem/
materią i antymaterią/Ultymaci/
Gwałtowni/i Stabilni//
Zbyteczny jest taki ogrodnik skoro wszystko co jest
było albo będzie



rozpoczyna się i kończy osobliwościami które sprawiają
że nasza sieć transponderów jest tylko wybrykiem
i które łamią kanony ludzkiej nauki
i krzemu/
łącząc czas historię i wszystko co jest
w węzeł bez końców i ograniczeń//
Pomimo to nasz NI chce wszystko uporządkować/
sprowadzić do jakiegoś wzorca
na który nie mają wpływu kaprysy uczucia
przypadki ani ludzka ewolucja]
[A więc trwa bój//
Nasz NI przeciwko waszemu toczą walkę
której nawet Ummon nie jest w stanie
sobie wyobrazić//
A raczej toczyły
wojnę bo nagle część waszego NI/
ta będąca Współczuciem/
wycofała się i uciekła w czasie
ukrywając się pod ludzką postacią/
już zresztą nie po raz pierwszy//
Wojna nie może trwać dalej
gdy wasz NI nie stanowi już całości//
Wygrana bez walki nie jest zwycięstwem
dla jedyne Najwyższego Intelaktu
stworzonego z rozmysłem//
Więc nasz NI porusza się w czasie
poszukując dziecka swego przeciwnika
gdy ten czeka w idiotycznej postaci
odmawiając walki dopóki nie zostanie przywrócone
Współczucie]
[Koniec mojej historii jest prosty///
Grobowce Czasu zostały wysłane z przeszłości
by przynieść Chyżwara/awatarę/Władcę Bólu/Anioła Zemsty/
na wpół świadome przedłużenie zmysłów naszego NI//
Oboje zostaliście wybrani do pomocy
w otwarciu Grobowców Czasu
i poszukiwaniu prowadzonym przez Chyżwara i
wyeliminowaniu niewiadomej Hyperiona/
gdyż w czasoprzestrzennym węźle
który rozsypła nasz NI
nie może być takich zmiennych//
Wasz zniszczony/rozcłonkowany NI
wybrał jednego przedstawiciela rodu ludzkiego
by podróżował z Chyżwarem
i był świadkiem jego wysiłków//
Część Centrum pragnie wytępienia ludzkości//
Ummon dołączył do tych którzy obrali inną drogę/
pełną niespodzianek dla obu ras//
Nasza grupa poinformowała Meinę Gladstone
o swym wyborze/
wyborze ludzkości/
o pewnej zagładzie lub wejściu
w czarną dziurę niewiadomej Hyperiona



i przystąpieniu do wojny/rzezi/
zniszczeniu jedności/odejściu bogów/
ale i wyrwaniu się z martwego punktu/
zwycięstwie jednej ze stron
jeśli Współczucie stanowiące trzecią część Trójcy
zostanie odnalezione i zmuszone
do kontynuowania walki//
Drzewo Bólu wezwie je//
Chyżwar weźmie je ze sobą//
Prawdziwy NI zniszczy je//
Oto opowieść Ummona]

Brawne spogląda na Johnny'ego oświetlonego niecodzienną poświatą, którą emanuje megalit. Bańka wciąż pozostaje czarna, a megasfera i wszechświat za nią zdają się nie istnieć. Pochyla głowę, aż stykają się ich skronie. Ma świadomość, że nie da się tu ukryć żadnej myśli, lecz chce uzyskać efekt szeptu:

– Jezu, rozumiesz to wszystko?

Johnny unosi rękę i delikatnie dotyka jej policzka.

– Tak.

– Część stworzonej przez ludzkość Trójcy ukrywa się w Sieci?

– W Sieci lub gdzie indziej. Brawne, nie mamy wiele czasu. Muszę zadać Ummonowi jeszcze kilka pytań.

– Ja też. Ale nie pozwólmy, żeby znów snuł swe opowieści w ten dziwny sposób.

– Zgoda.

– Mogę zacząć?

Analog Johnny'ego kłania się lekko w odpowiedzi.

– Kto zabił mojego ojca, senatora Byrona Lamie? – pyta Brawne.

[Stały za tym elementy Centrum//

Włącznie ze mną]

– Dlaczego? Czy on wiedział o tym wszystkim, co nam powiedziałaś?

[Wiedział tylko że Gwałtowni naciskali, by jak najszybciej

wytępić rodzaj ludzki//

Przekazał tę wiadomość swej współpracownicy

Meinie Gladstone]

– Dlaczego więc nie zabiliście i jej?

[Część spośród nas zapobiegła takiemu rozwiązaniu/

takiej konieczności//Nadszedł czas

uaktywnienia się niewiadomej Hyperiona]

– Kto zabił pierwszego cybryda Johnny'ego i zaatakował jego osobowość w Centrum?

[Ja/To wola

Ummona przeważała]

– Dlaczego?

[Stworzyliśmy go//

Uznaliśmy za konieczne zatrzymać go

na pewien czas//

Twój ukochany jest osobowością

pozyskaną od ludzkiego poety

zmarłego dawno temu//

Z wyjątkiem projektu Najwyższy Intellect żaden wysiłek nie był

równie skomplikowany i niepojęty

jak to właśnie zmartwychwstanie//Jak wy

także i my zwykle niszczymy

to czego nie jesteśmy w stanie zrozumieć]



Johny unosi pięść w stronę megalitu.

– Ale przecież istnieje także inne moje ja. Nie udało się wam!

[To nie jest nasz błąd/

Musiałeś zostać unicestwiony

aby tamten mógł żyć]

– Ale wcale nie zostałem unicestwiony! – krzyczy Johny.

[Owszem//

Zostałeś]

Megalit chwyta Johnny'ego drugą potężną niby dłonią, zanim Brawne zdąży w jakikolwiek sposób zareagować. Kochanek przez sekundę wije się w potężnym uchwycie, po czym jego analog – niewielkie, lecz piękne ciało Keatsa – zostaje rozerwane, zmiażdżone i ciśnięte na bezkształtną masę megalitu, która wciąga jego zwłoki do swego wnętrza.

Brawne osuwa się na kolana i płacze. Czeka, aż owładnie nią wściekłość... modli się o ochronę, jaką da jej złość... ale ogarnia ją tylko żal i głębokie poczucie straty.

Ummon przygląda się jej. Ciemna bańka powoli znika i znowu otacza ich nierzeczywisty krajobraz megasfery.

[Teraz odejdz//

Odegraj ostatni akt

abyśmy mogli żyć lub zasnąć//

Niech stanie się co ma się stać]

– Pieprz się! – Brawne z całych sił wali pięściami pseudociało, na którym klęczy. – Jesteś cholernym odpadem! Ty i wszystkie inne SI. A nasz Najwyższy Intelekt z łatwością pokona tego waszego wypierdka!

[To bardzo wątpliwe]

– Przecież my cię zbudowaliśmy, draniu. I znajdziemy wasze Centrum. A kiedy nam się to uda, porozrywamy na strzępy wasze krzemowe flaki!

[Nie mam krzemowych flaków/organów/wewnętrznych elementów]

– I jeszcze jedno! – krzyczy dziewczyna, wciąż nie przestając zadawać razów. – Gówniany z ciebie mówca. Johnny jest sto razy lepszym poetą! Nie potrafiłbyś opowiedzieć najprostszej historii, gdyby twoja sztuczna dupa...

[Odejdz]

Megalit SI wypuszcza analog Brawne, ciskając go jednocześnie w bezmiar megasfery.

Dziewczyna zмага się z potokiem informacji, niemal stratowana przez SI rozmiarów księżycy Starej Ziemi. Nawet miotana infowiatrem wyczuwa zimne, lecz obiecujące światło w oddali. Wie, że ani życie, ani Chyżwar nie skończyli z nią jeszcze.

Ona także nie skończyła z nimi. Brawne zdąży ku światłu i domowi.



Nic panu nie jest?

Uświadomiłem sobie, że siedzę skulony w fotelu, z łokciami wspartymi na kolanach, palcami wplątanymi we włosy i ściskającymi głowę. Wyprostowałem się i popatrzyłem na archiwistę.

– Krzyczał pan. Pomyślałem, że coś się stało.

– Nie – odparłem. Odchrząknąłem i powiedziałem: – Nie, wszystko w porządku. To tylko ból głowy:

Zawstydzony opuściłem wzrok. Całe ciało miałem obolałe. Komlog musiał nawalić, bo według niego upłynęło osiem godzin, od chwili kiedy wszedłem do gmachu biblioteki.

– Która godzina? – zapytałem.

Podał tę samą co mój komlog. A więc rzeczywiście byłem tu aż tak długo. Przesu-
nąłem po twarzy dłońmi mokrymi od potu.

– Biblioteka już dawno powinna być zamknięta. Przepraszam, że pana zatrzyma-
łem.

– Nie ma za co – odparł staruszek. – Sprawia mi ogromną radość, gdy naukowcy korzystają z moich archiwów. Szczególnie dzisiaj. Przy takim zamieszaniu nie warto nawet wracać do domu.

– Zamieszaniu... – powtórzyłem zaskoczony... Nie potrafiłem myśleć o niczym innym, tylko o koszmarnym śnie Brawne Lamii, o SI imieniem Ummon i śmierci mojego poprzednika wyposażonego w osobowość Keatsa. – Ach, wojna: Co właściwie się dzieje?

Archiwista pokręcił głową.

*Wszystko w rozpadzie, w odśrodkowym wirze;
Czysta anarchia szaleje nad światem,
Wzdyma się fala mętna od krwi, wszędzie wokół
Zatapiając obrzędy dawnej niewinności
Najlepsi tracą wszelką wiarę, a w najgorszych
Kipi żarliwa i porywcza moc.*

Uśmiechnąłem się do niego.

– Rzeczywiście tak pan sądzi?

Człowieczek zachował poważny wyraz twarzy.

– Tak.

Wstałem starając się nie patrzeć na karty z moim pismem, skreślonym dziewięćset lat temu.

– Może i ma pan rację – mruknąłem.

Było późno. Na parkingu znajdował się tylko wrak skradzionego przeze mnie vikke-
na i nowoczesny EMV, zapewne wyprodukowany tutaj, na Renesansie.

– Może gdzieś pana podrzucić?

Wciągnąłem do płuc zimne powietrze, przepojone zapachem rybiego tłuszczu.

– Nie, dziękuję. Wrócę do domu.

Archiwista pokręcił głową.

– Może to być trudne. Wszystkie publiczne terminale zostały zablokowane po wpro-
wadzeniu stanu wojennego. Doszło do... zamieszek. – Słowo to staruszek wypowiedział z wyraźnym niesmakiem, co sugerowało, iż ponad wszystko ceni sobie porządek i spo-
kój. Zapraszam. Podwiozę pana do prywatnego transmitera.

Spojrzałem na niego z ukosa. W innych czasach, na Starej Ziemi, można by wziąć
go za opata jakiegoś klasztoru, którego członkowie poświęcają się ocaleniu resztek



tradycyjnej przeszłości. Popatrzyłem jeszcze na potężne gmaszysko archiwum i stwierdziłem, że moje skojarzenie nie odbiega wiele od rzeczywistości.

– Jak pan się nazywa? – zapytałem rezygnując z udawania, że jestem Keatsem, którego przecież znał.

– Ewdrad B. Tynar – odparł. Zaskoczony patrzył na moją wyciągniętą dłoń, lecz wreszcie ścisnął ją zdecydowanie.

– Jestem... Joseph Severn. – Nie mogłem powiedzieć przecież, że jestem zreinkarnowanym poetą, którego oryginalne dzieła znajdują się w bibliotece.

M. Tynar wahał się przez ułamek sekundy, zanim skinął głową. Uświadomiłem sobie, że tak doskonały znawca literatury bez trudu zorientuje się, że podałem mu nazwisko artysty, który był przyjacielem Keatsa.

– Co z Hyperionem? – zapytałem.

– Hyperionem? A, tym systemem w Protektoracie, na który kilka dni temu przerzucono flotę? Wydaje mi się, że wystąpiły pewne trudności z wycofaniem okrętów. Doszło tam do ciężkich walk. To dziwne, ale pierwszym skojarzeniem związanym z tą nazwą był tytuł nie ukończonego, wspaniałego dzieła Keatsa. Cóż za zbieg okoliczności.

– A czy Intruzi dokonali już na niego inwazji?

M. Tynar zatrzymał się przy swoim EMV i przyłożył dłoń do czytnika linii papilarnych. Drzwiczki uniosły się i wsunęły do środka. Wsiadłem do pachnącej drewnem sandałowym i skórą kabiny pasażerskiej. Natychmiast przyszła mi do głowy refleksja, że pojazd pachnie tak samo jak właściciel i archiwa, którymi się opiekuje.

– Nie wiem, czy nastąpiła inwazja – odpowiedział zamykając drzwi i uruchamiając pojazd. Obok zapachu drewna i skóry czułem woń nowości, a dokładniej ozonu, polimerów i gumy. – Dzisiaj szczególnie trudno uzyskać jakiejkolwiek informacje – ciągnął. – Nigdy jeszcze nie widziałem takiego tłoku w datasferze. Niech pan sobie wyobrazi, że przez znaczną część popołudnia czekałem na dane o Robinsonie Jeffersie!

Wystartowaliśmy. Pojazd unióś się nad kanałem i skręcił w stronę placu prawie identycznego jak ten, na którym o mało nie straciłem dziś życia, po czym wzniósł się na standardową wysokość trzystu metrów. Miasto w nocy wyglądało wspaniale: większość starych budynków była oświetlona, a promienie ulicznych latarni nadawały blasku hologramom reklamowym. W powstałej poświacie widziałem tłumy przelewające się bocznymi uliczkami, nad głównymi alejami i placami unosiły się uzbrojone pojazdy Sił Samoobrony. Tynar dwukrotnie był wzywany do identyfikacji. Raz przez tutejszego koordynatora ruchu, drugi przez kontrolera Armii.

Nikt nie zatrzymał nas jednak.

– Czy w archiwum nie ma transmitera? – zapytałem patrząc w dal, gdzie, jak mi się wydawało, dostrzegłem płomienie.

– Nie. Nie ma takiej potrzeby. Mamy niewielu gości, a odwiedzający nas przeważnie naukowcy nie mają nic przeciwko krótkiemu spacerowi.

– A gdzie znajduje się ów prywatny transmitter, o którym pan wspominał?

Tutaj.

Obniżywszy lot, okrążyliśmy niski budynek, mający zaledwie trzydzieści pięter, i wylądowaliśmy na jego dachu obrzeżonym kamieniem i plastalą.

– Mój zakon matu swoją siedzibę – wyjaśnił staruszek. – Należę do prawie zapomnianego odłamu chrześcijan zwanego katolikami. Sprawiał wrażenie zakłopotanego.

– Ale pan jest przecież naukowcem, M. Severn. Musiał pan czytać o naszym Kościele.

– Znam go nie tylko z książek. Czy członkami tego zakonu są prawdziwi księża?

Tynar uśmiechnął się.

– Trudno nazwać ich księżmi. Zakon Braci Historyków i Literatów liczy zaledwie ośmiu członków. Pięciu spośród nas pracuje na Uniwersytecie Reichs, dwaj są historykami sztuki zatrudnionymi przy restauracji budynku Klasztoru Lutzchendorf. Ja zaś zarządzam archiwami literackimi. Władze Kościoła zdecydowały, że taniej będzie, gdy zamieszkamy tutaj, niż gdybyśmy codziennie mieli odbywać drogę na Pacem.



Znaleźliśmy się w części mieszkalnej budynku – wiekowej nawet według standardów Starej Sieci. Zabytkowe lampy oświetlały korytarze z prawdziwego kamienia z drzwiami na zawiasach. Tknięty impulsem powiedziałem:

– Chciałbym przenieść się właśnie na Pacem.

Archiwista wyglądał na zaskoczonego.

– Dzisiaj? Teraz?

– A dlaczego nie?

Niemal niedostrzegalnie pokręcił głową. Uświadomiłem sobie, że stumarkowa opłata za użycie transmitera stanowi dla niego równowartość kilkutygodniowych zarobków.

– W budynku mamy własny portal. Tędy.

Na głównej klatce schodowej dominowały wyblakły kamień i przerdzewiałe kute żelazo, a gdy spojrzano się w dół, sześćdziesiąt metrów niżej widać było podłogę parteru. Z głębi ciemnego korytarza dobiegło kwilenie niemowlęcia, a po nim okrzyk mężczyzny i płacz kobiety.

– Od jak dawna pan tu mieszka, M. Tynar?

– Od siedemnastu miejscowych lat. To jest... trzydziestu dwóch standardowych, jeśli się nie mylę. Jesteśmy na miejscu.

Portal terminalu był równie stary jak reszta budynku. Jego brzegi zdobiło kiedyś złocenie, lecz z czasem wytarło się, zbladło i poszarzało.

– Dzisiaj można spodziewać się ograniczeń komunikacji w Sieci – rzekł Tynar. – Ale Pacem powinno być dostępne. Minie chyba jakieś dwieście godzin, zanim ci barbarzyńcy... jakkolwiek się nazywają... tam dotrą. Renesansowi pozostało dwa razy mniej czasu. Wyciągnął rękę i chwycił mnie za nadgarstek. Poprzez ścięgna i skórę wyczuwałem jego napięcie i lekkie drżenie. – M. Severn... czy sądzi pan, że zniszczą moje zbiory? Czy spalą dziesięć tysięcy lat dorobku myśli ludzkiej? – Puścił mnie.

Nie byłem pewien, czy chodzi mu o Intruzów, sabotażystów z Kościoła Chyżwara czy też buntowników. Wiedziałem, że Meina Gladstone i przywódcy Hegemonii są skłonni poświęcić światy leżące w zasięgu pierwszej fali uderzeniowej.

– Nie – odpowiedziałem, wyciągając dłoń na pożeganie. – Nie sądzę, by dopuścili do zniszczenia tak cennych zbiorów.

M. Ewdrad B. Tynar uśmiechnął się i zrobił krok do tyłu, jakby zakłopotany swym zachowaniem. Uścisnęliśmy sobie dłonie.

– Powodzenia, M. Severn. Dokądkolwiek pan trafi.

– Niech Bóg pana błogosławi, M. Tynar.

Nigdy wcześniej nie używałem tych słów, toteż ich wypowiedzenie aż mnie poraziło. Spuściłem wzrok, sięgnąłem po kartę i wystukałem trzycyfrowy kod Pacem. Portal przeprosił informując, iż wybrane miejsce jest niedostępne. Widocznie dopiero po chwili odczytał, że ma do czynienia z kartą pełnego dostępu, i zamruczał głośniej.

Skinąłem Tynarowi na pożegnanie i dałem krok do przodu, z niejasnym uczuciem, iż popełniam poważny błąd nie kierując się bezpośrednio na TC2.

Na Pacem panowała noc. Było tu znacznie ciemniej niż w mieście na Renesansie, a poza tym lało jak z cebra. Krople waliły z taką siłą, że chciało się jedynie schronić w jakimś ciepłym, przytulnym miejscu i przeczekać do rana.

Portal znajdował się na wpół zadaszonym podwórku, lecz i tak wrażenie niegościnności tego miejsca pozostało nie zmienione. Atmosfera na Pacem była dwukrotnie rzadsza od standardowej w Sieci i tylko jedna wyżyna okazała się możliwa do zasiedlenia. Już chciałem wycofać się widząc nieprzychylne warunki, gdy z cienia wyłonił się komandos Armii-morze ze strzelbą laserową gotową do strzału. Zażądał, bym się zidentyfikował.

Pozwoliłem przeskanować moją kartę, a gdy odczytał zawarte tam informacje, tylko trzasnął obcasami.

– Czy to Nowy Watykan? – zapytałem.



– Tak jest.

Pomimo ulewy dostrzegłem oświetloną kopułę. Wskazałem pobliską ścianę.

– A to bazylika Świętego Piotra?

– Tak jest.

– Czy znajdę tam monsignora Edouarda?

– Tak. Proszę przejść przez dziedziniec, do niskiego budynku na lewo od bazyliki.

– Dziękuję, kapralu.

Okręciłem się krótkim płaszczem, choć wiedziałem, że przy takim deszczu nie na wiele mi się przyda, i biegiem ruszyłem przed siebie.

Mężczyzna – być może kapłan, choć nie miał na sobie sutanny ani koloratki – otworzył drzwi prowadzące na plebanię. Inny, siedzący za biurkiem, poinformował mnie, że monsignor Edouard mimo późnej godziny nie śpi jeszcze. Zapytał, czy jestem umówiony.

Zgodnie z prawdą przyznałem, że nie, lecz pośpiesznie dodałem, iż zależy mi na spotkaniu z nim w bardzo ważnej sprawie. Mężczyzna za biurkiem uprzejmie, acz zdecydowanie zapytał, czego ona dotyczy. Moja karta uniwersalna nie zrobiła na nim żadnego wrażenia.

Wyjaśniłem, że chodzi o ojca Paula Dure i Lenara Hoyta.

Skinął tylko głową, wyszeptał coś do mikroskopijnych rozmiarów mikrofonu przypiętego do kołnierza i poprowadził mnie przez hol plebanii.

Stare archiwum M. Tynara w porównaniu z tym miejscem zdawało się pełnym przepychu pałacem. Korytarz, pozbawiony jakichkolwiek mebli, miał nierówne ściany, a drzwi wykonane z surowego drewna. Jedne z nich były otwarte i gdy mijaliśmy je, zajrzałem do pomieszczenia przypominającego bardziej więzienną celę niż sypialnię. Jej jedyne wyposażenie stanowiły: niska leżanka ze zgrzebnym kocem, drewniany klęcznik oraz prosty kredens ze stojącymi na nim miską i dzbankiem. Nie było tu okien, ścian medialnych, holorzutnika ani czytnika danych. Podejrzewałem, że nie ma nawet podłączeń interaktywnych.

Z głębi budynku dotarły do mnie głosy, łączące się w gregoriański chór tak wspinały i przypominający o dawnych czasach, że aż zjeżyły mi się włosy na karku. Minęliśmy stołówkę o wystroju równie prostym jak sypialnia, kuchnię, która byłaby bliższa sercu prawdziwego Johna Keatsa niż mnie. Zeszliśmy mocno wytartymi kamiennymi schodami, przemierzyliśmy kolejny słabo oświetlony korytarz i wspięliśmy się znacznie węższą klatką schodową. Przewodnik zatrzymał się, a ja wkroczyłem do najwspanialszych pomieszczeń, jakie kiedykolwiek dane mi było ujrzeć.

Chociaż wiedziałem, że Kościół przeniósł i odtworzył bazylikę Świętego Piotra, łącznie z jego kościołami spoczywającymi ponoć pod ołtarzem, jednak poczułem się tak, jakbym znów znalazł się w Rzymie, takim jaki ujrzałem po raz pierwszy w grudniu roku 1820. W Rzymie, w którym zamieszkałem, cierpiałem i wreszcie umarłem.

Ogromne pomieszczenie pod względem architektonicznym było piękniejsze i elegantsze niż którakolwiek z wysokich na milę wież biurowych na Pierwszej Tau Ceti. Bazylika Świętego Piotra miała sześćset stóp długości, a jej poprzeczna nawa około sześćdziesięciu. Sklepienia, znajdujące się niemal czterysta stóp nad poziomem ołtarza, pokrywały freski samego Michała Anioła. Bogato zdobiony baldachim Beminięgo, wsparty na spiralnych, bizantyjskich kolumnach, osłaniał główny ołtarz, tonując nieco dysproporcję budowli w zestawieniu z wymiarami ludzi. Miękkie, delikatne światło lamp i świec odbijało się od gładzonego trawertynu, wydobywając głębię płaskorzeźb oraz obejmując swym zasięgiem niestety tylko część niezliczonych dzieł sztuki znajdujących się na ścianach, kolumnach, gzymsach oraz na sklepieniu. Spokój i ciepło tej iluminacji zakłócały jednak błyskawice, których ostre, rażące światło co chwila wdzierało się przez witraże ścienne.

Zamarłem tuż za apsydą, obawiając się, że odgłos moich kroków będzie profana-



cją tego miejsca i nawet oddech może zakłócić panujący tu idealny spokój. Po chwili moje oczy przywykły do półmroku i dopiero wówczas zauważyłem, iż w świątyni nie ma ławek, a tylko w odległości jakichś pięćdziesięciu stóp od ołtarza stoją dwa krzesła. Siedzieli na nich dwaj rozmawiający z zapalem, pochyleni ku sobie mężczyźni. Światło lamp i świec wywoływało grę półcieni na ich twarzach. Obaj byli kapłanami już nie pierwszej młodości. W nagłym olśnieniu uświadomiłem sobie, że jednym z nich jest monsignor Edouard.

Drugim zaś ojciec Paul Dure.

Początkowo musieli być zaskoczeni, a może nawet wystraszeni. Przerwali szepty i uniósłszy głowy ujrzeli nagle obcego, niskiego mężczyznę wyłaniającego się z cienia niczym zjawa, wykrzykującego przy tym ich imiona... bełkoczącego nieskładnie o pielgrzymach, Grobowcach Czasu, Chyżwarze, Sztucznych Inteligencjach i śmierci bogów.

Monsignor nie wezwał jednak pomocy. Obaj kapłani pozostali na swoich miejscach. Wspólnie uspokajali przybysza, wsłuchując się w jego słowa, aby wyłowić z nich jakiś sens.

To rzeczywiście był Paul Dure, a nie żaden android lub cybryd. Nabrałem pewności co do tego słuchając go, zadając pytania, patrząc mu prosto w oczy... ale przede wszystkim ściskając jego dłoń i dotykając go.

– Znasz... wiele szczegółów z mojego życia... Z pobytu na Hyperionie, przy Grobowcach Czasu... ale mówisz, że kim jesteś? – dopytywał się ksiądz.

W tym momencie role się odwróciły. Teraz to ja musiałem przekonać go co do mojej tożsamości.

– Cybrydalną rekonstrukcją Johna Keatsa. Osobowością bliźniaczą z tą, która jest zapisana w Brawne Lamii.

– I byłeś w stanie komunikować się...? Dzięki temu bliźniakowi wiedziałeś, co się z nami dzieje?

Kłęczałem na jednym kolanie między nimi a ołtarzem. Zniecierpliwiony uniosłem obie ręce.

– Dzięki temu... dzięki jakiejś anomalii w megasferze. Śniłem przeżycia pielgrzymów, słyszałem wasze opowieści, poznałem historię życia i śmierci Paula Dure... twoją historię.

Wyciągnąłem rękę dotykając jego ramienia. Możliwość przebywania w tym samym miejscu i czasie co jeden z pielgrzymów sprawiała, że aż kręciło mi się w głowie.

– Więc wiesz także, jak się tu dostałem – raczej stwierdził niż zapytał kapłan.

– Nie. Ostatnio śniłem, że wchodzisz do jednego z Grobowców. Nastąpiła jasność i nie wiem, co było dalej.

Ojciec Dure pokiwał głową. Jego twarz miała bardziej arystokratyczne rysy, a jednocześnie była bardziej zniszczona, niż się spodziewałem.

– Ale znasz los pozostałych?

Westchnąłem ciężko.

– Tylko niektórych. Poeta Silenus żyje, lecz wisi na stalowym drzewie cierniowym. Gdy ostatnio widziałem Kassada, gołymi rękami atakował Chyżwara. M. Lamia podróżowała zaś w megasferze w towarzystwie drugiego duplikatu Keatsa do peryferiów TechnoCentrum...

– A więc on żyje w tym... dysku Schróna, czy jak tam się nazywa to urządzenie? – zapytał ojciec Dure z wyraźną nadzieją w głosie.

– Już nie....SI o imieniu Ummon zabiła go... Zniszczyła jego osobowość. Brawne zaś uszła z życiem. Ale nie wiem, czy jej ciało też nie zostało zniszczone.

Monsignor Edouard pochylił się w moją stronę.

– A co z konsulem i ojcem oraz córką?

– Konsul usiłował wrócić do stolicy na macie grawitacyjnej – odparłem. – Rozbił się jednak kilkadziesiąt mil na północ od Grobowców. Nie wiem, co się z nim stało.



– Mil? – powtórzył z pytaniem w głosie ojciec Dure.

– Przepraszam, ale to miejsce sprawia, że używam jednostek z... poprzedniego życia – wyjaśniłem zataczając ręką krąg.

– Mów dalej – zachęcił Edouard. – Co z ojcem i jego niemowlęciem?

Usiadłem na zimnym kamieniu, wyczerpany, z kończynami drżącymi ze zmęczenia.

– W ostatnim moim śnie Sol oddał Rachelę w ofierze Chyżwarowi. Ona sama go o to prosiła. Nie widziałem, co nastąpiło później. Grobowce się otwierały.

– Wszystkie?

– Wszystkie, które widziałem.

Obaj księża popatrzyli po sobie.

– Jeszcze coś. – Zrelacjonowałem im całą rozmowę z Ummonem. – Czy to możliwe, by jakiegokolwiek bóstwo mogło... powstać z ludzkiej świadomości, bez naszej wiedzy, jak twierdzi SI?

Błyskawice ustały, lecz ulewa jeszcze przybrała na sile. Słysząc było wyraźnie stukot kropeł na potężnym dachu. Gdzieś w półmroku zaskrzypiały drzwi i dały się słyszeć kroki, które po chwili ucichły w oddali.

– Święty Teilhard twierdził, że to możliwe – rzekł znużonym głosem ojciec Dure. – Ale jeśli ten Bóg jest istotą mającą początek i koniec, ewoluującą w ten sam sposób jak inne, to nie... to nie Bóg Abrahama i Chrystusa.

Monsignor Edouard przytaknął.

– To starożytna herezja...

– Tak – przyznałem. – To herezja. Słyszałem, jak ojciec Dure tłumaczył to Solowi Weintraubowi i konsulowi. Ale co za różnica, jak powstała... ta moc i czy jest ograniczona czy też nie. Jeśli Ummon mówi prawdę, mamy do czynienia z potęgą, która wykorzystuje kwazary jako źródła energii. To Bóg, który jest w stanie niszczyć całe galaktyki, moi mili.

– Mówimy o bogu, który niszczy galaktyki. Nie o Bogu – zaprotestował ojciec Dure. Bez trudu zrozumiałem, co ma na myśli.

– A jeśli nie jest istotą ograniczoną – upierałem się. – Jeśli jest alfą i omegą, totalną świadomością, o której pisaliście? Jeśli jest tą samą Trójcą, w którą wierzy wasz Kościół...? I część tej Trójcy uciekła do naszych czasów... to co?

– Ale uciekła przed czym? – zapytał miękko ojciec Dure. – Bóg Teilharda... Bóg Kościoła... nasz Bóg jest alfą i omegą. Bóg uosobiony i niefizyczny – to co Teilhard nazywa En haut i En avant – stanowią idealną jedność. Nie istnieje nic tak przerażającego, tak groźnego, co zmusiłoby część tego bóstwa do ucieczki. Żaden Antychryst, żadna satanistyczna siła, żaden antybóg nie zdołałby przecież zagrozić takiej uniwersalnej świadomości. Kim mógłby być ten drugi?

– Bogiem maszyn – wyszeptałem tak cicho, że nie miałem pewności, czy usłyszeli to moi rozmówcy.

Monsignor Edouard złożył ręce, jak mi się wydawało, do modlitwy, ale okazało się to znamionować głębokie zamyślenie i jednocześnie poruszenie.

– Sam Chrystus miał wątpliwości – powiedział. – Przecież prosił, by zabrano od niego kielich goryczy. Jeśli konieczna była jeszcze druga ofiara... coś straszniejszego niż ukrzyżowanie... wtedy jestem w stanie wyobrazić sobie Chrystusa jako jedną z osób Świętej Trójcy przemieszczającą się w czasie, wędrującą przez czterowymiarowy ogród, by zyskać kilka godzin... a może lat... wytchnienia.

– Coś straszniejszego niż ukrzyżowanie – powtórzył Paul Dure ochryple.

Obaj wpili w niego wzrok. Kapłan wolał ukrzyżowanie na drzewie testowym na Hyperionie niż oddać się we władanie krzyżokształtowi. Utrzymywany przezeń na granicy życia, wielokrotnie przeżywał agonię.

– Przed czymkolwiek ucieka ta świadomość En haut, to coś tak przerażającego, że nie potrafimy sobie tego wyobrazić – wyszeptał ojciec Dure.

Monsignor dotknął ramienia przyjaciela.



- Paul, opowiedz mi o swojej podróży tutaj.
- Ksiądz z wyraźnym trudem wrócił myślami do terażniejszości i zwrócił się do mnie.
- Znasz w szczegółach nasze życie... i dokładny przebieg pobytu w Dolinie Grobowców Czasu?
- Tak mi się wydaje. Aż do momentu, gdy zniknąłeś.
- Kapłan westchnął i długimi, lekko drżącymi palcami przetarł czoło.
- Więc może uda ci się zrozumieć, jak się tu dostałem... i co widziałem po drodze.

Ujrzałem światło w trzecim Grobowcu Jaskiniowym. Wszedłem do niego. Muszę wyznać, że w moim umyśle, a właściwie w tym co z niego zostało po replikacji dokonanej przez krzyżokształt, kłębiły się myśli o samobójstwie...

Ujrzałem światło i myślałem, że to Chyżwar. Miałem przeczucie, że wreszcie doczekałem się drugiego spotkania z nim. Poprzednio widziałem go wiele lat temu w labiryncie pod Rozpadliną, gdzie otrzymałem od niego nieszczęsny krzyżokształt.

Kiedy dzień wcześniej szukaliśmy pułkownika Kassada, korytarz w Grobowcu Jaskiniowym pozwalał na przejście zaledwie jakichś trzydziestu kroków. Teraz ściana zagrażająca drogę zniknęła, a w jej miejscu pojawiła się rzeźba przypominająca pysk Chyżwara, stanowiąca połączenie żywego organizmu z mechanizmem, o zębach ostrych jak brzytwy.

Za wąskim przejściem znajdowały się kamienne schody prowadzące w dół. To właśnie stamtąd emanowało światło, zmieniając barwę z białego na purpurowe. Wokół panowała niemal idealna cisza, tylko wiatr szumiał tak lekko, iż miało się wrażenie, że to kamienie oddychają.

Nie jestem Dantem. I nie ujrzałem Beatrycze. Chwilowy przyptyw odwagi, choć raczej był to fatalizm, zniknął, gdy zagłębiłem się w grobowcu. Odwróciłem się i niemal biegiem pokonałem drogę dzielącą mnie od wyjścia.

Ale nie znalazłem go. Korytarz po prostu kończył się w pewnym miejscu. Nie słyszałem odgłosów, jakie musiałyby towarzyszyć zawałowi, a poza tym skała zagrażająca przejściu niczym nie różniła się od tych, z których zbudowane były ściany. Pół godziny rozpaczliwie szukałem jakiegoś innego wyjścia. Nie chcąc wracać do schodów przesiedziałem kilka długich godzin przed kamieniem blokującym drogę do wolności. Kolejna sztuczka Chyżwara. Kolejny prymitywny dowcip tej przewrotnej planety. Cóż za poczucie humoru. Cha, cha, cha.

Po kilku godzinach tkwienia w półmroku i obserwowania pulsującego światła uświadomiłem sobie, że Chyżwar nie przyjdzie tu do mnie. A wyjście nie otworzy się w jakiś magiczny sposób. Miałem wybór: siedzieć tu, aż umrę z głodu, a raczej z pragnienia, skoro czułem, że już jestem odwodniony, lub zejść tymi cholernymi schodami.

Zszedłem więc.

Wiele lat temu, zaraz po tym jak w pobliżu Rozpadliny odnalazłem Bikurów, trafiłem do labiryntu, który znajdował się jakieś trzy kilometry poniżej kanionu – niegłęboko, zważywszy fakt, iż na większości podobnych planet są one usytuowane co najmniej dziesięć kilometrów pod powierzchnią. Nie miałem wątpliwości, że owe nie kończące się schody, na tyle szerokie, że wprost do piekła mogłoby schodzić po nich, idąc obok siebie, dziesięciu ludzi, zaprowadzą mnie do labiryntu. To właśnie tam Chyżwar ukarał mnie nieśmiertelnością. Jeśli on sam lub kierująca nim siła miała jakiegokolwiek poczucie humoru, dostrzegłaby ironię w fakcie, że dokładnie w tym samym miejscu zapewne utracę teraz nieśmiertelność i życie jednocześnie.

Schody wiły się w dół, a światło stawało się coraz jaśniejsze i nabierało różowej barwy. Dziesięć minut później było już krwistoczerwone, a po upływie kolejnej pół godziny stało się karmazynowe. Jak na mój gust zbyt dosłownie wykorzystywano pomysły Dantego. Ogarnęła mnie wesołość na myśl, że lada chwila może się przede mną pojawić czart z ogonem, kozimi racicami i spiczastym wąsikiem.



Chęć do śmiechu odeszła mi jednak, gdy zbliżyłem się do stóp schodów. Ujrzałem bowiem źródło światła: setki i tysiące krzyżokształtów. Początkowo niewielkie, dalej coraz większe, tkwiły przytwierdzone do ścian, różowoczerwone, przypominające koral, emanujące krwawą poświatą.

Zrobiło mi się niedobrze. Czułem się, jakbym tkwił pośród wielkich, pulsujących pijawek. Przypomniałem sobie odczyty medskanera, gdy na moim ciele znajdował się zaledwie jeden z nich. Ową płataninę zwojów nerwowych przenikających moje organy, sięgających do mózgu jak potworny nowotwór, który gnębi, ale nie tylko nie przynosi śmierci, lecz ją wręcz uniemożliwia. Teraz miałem na sobie dwa krzyżokształty: Lenara Hoyta i własny. Modliłem się, by raczej umrzeć, niż znosić podwójne cierpienie.

Ściany pulsowały nie tylko światłem, ale i ciepłem, choć nie wiem, czy nie pochodziło ono od tysięcy pasożytów. Po kilku następnych krokach znalazłem się w korytarzu.

Labirynt. Wyglądał dokładnie tak samo jak ten, który oglądałem na niezliczonych hologramach, i ten, który już kiedyś widziałem w naturze: tunel o gładkich ścianach, o średnicy trzydziestu metrów, wydrążony w skałach Hyperiona ponad siedemset pięćdziesiąt tysięcy lat temu i przecinający planetę jak katakumby zaprojektowane przez jakiegoś szalonego inżyniera. Takie same podziemia znaleziono na dziewięciu planetach: pięć z nich należało do Sieci, a pozostałe do Protektoratu. Wszystkie identyczne, stworzone mniej więcej w tym samym czasie w zupełnie niezrozumiałym celu. Krążyły legendy o Budowniczych Labiryntów, ale mityczni inżynierowie nie pozostawili po sobie żadnych narzędzi ani wskazówek, w jaki sposób zdołali wykonać tę gigantyczną pracę. Żadna z teorii dotyczących ich powstania nie wyjaśniała w przekonujący sposób powodu, dla którego zrealizowano ten niewątpliwie największy projekt inżynieryjny w Galaktyce.

Wszystkie labirynty były puste. Zbadano miliony kilometrów korytarzy wyciętych w kamieniu i stwierdzono, że nic w nich nie ma. Ale nie w tym, w którym się znalazłem.

Krzyżokształty oświetlały scenę żywcem wyjętą z obrazów Hieronima Boscha. Stałem wpatrzony w zdający się nie mieć końca tunel. Pozornie nie kończący się, ale nie pusty...

Początkowo sądziłem, że to nieprzebrane tłumy żywych ludzi rzeka głów i ramion, ciągnąca się na przestrzeni wielu kilometrów. Tylko gdzieś dostrzegłem zaparkowany pojazd o rudoczerwonej barwie. Gdy podszedłem do ludzkiej ściany na mniej niż dwadzieścia metrów, uświadomiłem sobie, że to trupy. Dziesiątki, setki tysięcy ludzkich ciał, gdzie tylko okiem sięgnąć. Część spośród nich leżała na kamiennym podłożu, część była oparta o ściany, ale zdecydowana większość znajdowała się w pozycji stojącej, wciśnięta między inne zwłoki.

Przez środek przechodziła wąska ścieżka, jakby jakaś maszyna wycięła sobie drogę. Ruszyłem nią, starając się nie dotknąć żadnego z otaczających mnie trupów.

Były to bez wątpienia ciała ludzkie, zmumifikowane w tym idealnie sterylnym grobowcu. Nawet ubiory pozostały nienaruszone. Skóra i ciało pociemniały, wyschły i obkurczyły się, wyraźnie zarysowując kości: Włosy zamieniły się w twarde niczym plastowłóknina smoliste skorupy. Z otwartych oczu i uchylonych ust wyzierała czarna pustka. Ubrania zmarłych, kiedyś zapewne wielobarwne, teraz zszarzały i zdawały się wykute z kamienia. Bryłki zniszczonego przez czas plastiku na ich nadgarstkach i szyjach kiedyś były zapewne komlogami lub jakimś ich odpowiednikiem.

Widoczne z daleka pojazdy to chyba EMV, ale nie dało się tego stwierdzić w sposób jednoznaczny, gdyż stały się jedynie stertami rdzy. Po przejściu jakichś stu metrów zawadziłem o coś stopą i chroniąc się przed upadkiem oparłem rękę o jakąś zdeformowaną maszynę, która natychmiast rozsypała się w pył.

Szedłem tak ścieżką pomiędzy rozpadającymi się ludzkimi ciałami, rozmyślając dlaczego właśnie mnie dane jest to oglądać. Nie wiem, ile czasu upłynęło, nim dotarłem do skrzyżowania tuneli. Wszystkie trzy korytarze wypełnione były zwłokami. Ścieżka skręcała w lewo, więc nie pozostawało mi nic innego, jak podążyć nią dalej.



Kilka godzin później, a może kilkanaście, zatrzymałem się i usiadłem. Jeśli tylko w tym tunelu znajdowały się dziesiątki tysięcy ciał, to labirynt Hyperiona musiał zawierać całe ich miliardy. Może nawet więcej. A wszystkie dziewięć planet z labiryntami mogło być grobowcami dla bilionów.

Nie miałem pojęcia, dlaczego dane mi było oglądać owe sceny ostatecznej zagłady. Tuż obok miejsca gdzie siedziałem, zmumifikowany trup mężczyzny osłaniał rękami ciało kobiety, która w ramionach tuliła zawiniątko z wystającymi zeń ciemnymi kiedyś włosami. Odwróciłem wzrok i załkałem.

Jako archeolog osobiście ekshumowałem ofiary egzekucji, ognia, powodzi, trzęsień ziemi i wulkanów. Takie sceny rodzinne nie były dla mnie nowością. Stanowiły *conditio sine qua non* historii. Ale mimo to obecny widok wydawał mi się niewspółmiernie bardziej przerażający. Może chodziło o skalę tragedii, o napawający lękiem blask tysięcy krzyżokształtów, stanowiących bluźnierczy, kiepski żart, a może o smutny świst wiatru hulającego w nie kończących się korytarzach.

Przywiodły mnie tutaj życie, cierpienie, drobne zwycięstwa i niezliczone porażki. Ogarnęło mnie poczucie, że te ciała znajdują się tu pół miliona lat lub jeszcze dłużej, a jednocześnie ludzie ci pochodzą z naszych czasów, lub co gorsza z przyszłości. Ukryłem więc twarz w dłoniach i płakałem.

Nagle poczułem, że coś się zmieniło. Wciąż panowała cisza, lecz miałem wrażenie, że nie jestem sam. Uniosłem wzrok i ujrzałem Chyżwara, stojącego zaledwie dwa metry ode mnie. Nie na ścieżce, lecz obok, pośród ciał, jak rzeźba stanowiąca pochwałę sprawcy tej rzezi.

Wstałem. Nie mogłem siedzieć ani klęczeć przed tym szkaradztwem.

Chyżwar ruszył w moją stronę, raczej ślizgając się niż idąc. Krwawe światło krzyżokształtów odbijało się od jego błyszczącego pancerza i pokrywających go ostrzy, przypominających stalaktyty czy też stalagmity.

Nie czułem do niego złości. Tylko smutek i żal. Współczułem wszystkim ofiarom, które ginęły, pozbawione najmniejszych szans w spotkaniu z tym stworem, czymkolwiek był.

Po raz pierwszy zorientowałem się, że z tak bliskiej odległości wyczuwam jego zapach: mieszaninę woni zjełczałego oleju, przegrzanych łożysk i rozkładającej się krwi. Płomienie w jego oczach przygasały i ponownie rozbłyskiwały w rytmie zgodnym z pulsowaniem światła krzyżokształtów.

Nigdy nie wierzyłem, że Chyżwar ma jakieś ponadnaturalne zdolności. Sądziłem, że nie jest personifikacją dobra lub zła, tylko wybrykiem wszechświata – przerażającym bublew ewolucji. Najgorszym koszmarem świętego Teilharda. Ale równocześnie rzeczą, poddającą się prawom natury i służącą jakimś siłom gdzieś we wszechświecie.

Wyciągnął ku mnie ramiona. Ostrza na jego czterech nadgarstkach były dłuższe od moich rąk, a te na piersi wystarczyły, by na wylot przebić mi czaszkę. Patrzyłem mu prosto w oczy, gdy jedną parą ramion objął mnie, a drugą wsunął między nasze ciała.

Rozprostował palce zakończone ostrzami. Wzdrygnąłem się na myśl o tym, co mnie za chwilę spotka, lecz stałem bez ruchu, gdy klingi zatopiły się w mej piersi. Bólu, jaki odczułem, nie da się opisać.

Dał krok do tyłu, trzymając coś czerwonego, ociekającego krwią. Zatoczyłem się, sądząc, że w dłoni potwora znajduje się moje serce. Cóż za ironia. Oto trup patrzy zaskoczony na swoje serce, zanim krew odpłynie z jego wciąż pracującego, niedowierającego samemu sobie mózgu.

Ale to było coś innego. Chyżwar Trzymał krzyżokształt, który nosiłem na piersi. Mój krzyżokształt. Znowu zatoczyłem się, niemal upadając. Dłoń odruchowo powędrowała w kierunku zadanych mi ran. Spojrzałem na palce umazane krwią, lecz zorientowałem się, że powinno być jej znacznie więcej. Przeniosłem wzrok na piersi i stwierdziłem, że cięcia zablizniają się na moich oczach. Wiedziałem, że krzyżokształt zagnieździł się w moim ciele, swymi mackami sięgając najdalszych jego zakątków. Byłem przekonany,



że żaden laser chirurgiczny nie zdoła oddzielić jego wici od ciała ojca Hoyta, ani też od mojego. Ale jednocześnie czułem, że teraz zanikają wszelkie ślady jego obecności.

Wciąż nosiłem krzyżokształt Hoyta. Ale to co innego. Kiedy umrę, Lenar Hoyt zrodzi się z tego ciała. A ja zginę. Nie będzie już kolejnych duplikatów Paula Dure, z każdą reinkarnacją coraz mniej przypominających pierwowzór.

Chyżwar zapewnił mi prawo do śmierci nie zabijając mnie. Cisnął stygnący krzyżokształt gdzieś między ciała i ujął mnie za ramię, ostrzami tnąc biceps, z którego natchmiast trysnęła krew.

Ruszył ku ścianie, nie zwracając uwagi na trupy. Podążyłem za nim, starając się unikać kontaktu z ciałami, lecz nie chcąc utracić ramienia, któremu groziło urwanie, nie udawało mi się to. Na jedno z nich nadepnałem tak, że stopa zapadła się w kruchą klatkę piersiową.

Wreszcie dotarliśmy do ściany, z której w dziwny sposób zniknęły krzyżokształty. Zaskoczony spostrzegłem, że znajduje się w niej jakieś emanujące energią przejście. Kształtem i rozmiarami zupełnie nie przypominało typowego portalu, ale wokół słyszałem jego charakterystyczny szum. Dla mnie najważniejsze było jednak, iż wreszcie wydostanę się z tego miejsca nasiąkniętego atmosferą śmierci.

Chyżwar pociągnął mnie za sobą.

Nieważkość. Labirynt powyginanych grodzi, plątanina przewodów jak gdyby wnętrzości jakiegoś gigantycznego stwora, migające czerwone światło... Przez chwilę miałem wrażenie, że pochodzi od krzyżokształtów, lecz szybko zorientowałem się, że to światła alarmowe w umierającym statku. Niezdarnie starałem się odsunąć, unikając dotyku płynących w moją stronę trupów. Nie mumii, lecz świeżych ciał, niedawno pozbawionych życia, z otwartymi ustami, wybałuszonymi oczami, rozerwanymi płucami, otoczonych chmurami kropelek krwi. Poruszały się niemal jak żywe za sprawą różnic ciśnień i kołysania jednostką Armii.

Nie miałem wątpliwości co do tego, że jestem na okręcie należącym do Armii. Na ciałach młodzieńców widziałem mundury Armii-kosmos. Na grodziach i pogruchotanych włazach dostrzegłem napisy w jakże charakterystycznym wojskowym żargonie, zawierające instrukcje korzystania z awaryjnych skafandrów i baniek ciśnieniowych, które tkwiły nienaruszone w swoich uchwytych i zasobnikach. Cokolwiek zniszczyło statek, musiało tego dokonać, zanim ktoś z jego załogi zrozumiał, że zbliża się niebezpieczeństwo.

Obok mnie znów pojawił się Chyżwar.

On... w kosmosie! Poza Hyperionem i okowami prądów czasu! Przecież wiele spośród takich statków miało na pokładzie transmittersy! Jeden z nich znajdował się zaledwie pięć metrów dalej, w korytarzu. Tkwiło przy nim jedno z ciał. Ramię dotykało nieprzejrzystej tafli, jakby jego właściciel sprawdzał, co znajduje się w świecie po drugiej stronie. Powietrze przepływające między nimi gwizdało coraz głośniejsze. Jakże chciałbym pchnąć trupa, by przekroczył portal, lecz różnica ciśnień sprawiła, że ten majestatycznie odpłynął od transmittera.

Zwróciłem się ku Chyżwarowi, a właściwie usiłowałem to zrobić, gdyż w warunkach zerowej grawitacji wcale nie było to takie łatwe. Potwór chwycił mnie, swymi ostrzami znów przecinając skórę, i pchnął w stronę portalu. Nie byłem nawet w stanie zmienić trajektorii lotu. Zanim znalazłem się po drugiej stronie, byłem przekonany, że czeka tam na mnie kosmiczna pustka, upadek z ogromnej wysokości albo, co najgorsze, powrót do kolejnego odcinka labiryntu:

Tymczasem spadłem z wysokości zaledwie pół metra na marmurową podłogę. Tutaj, nie więcej niż dwieście metrów od miejsca, w którym jesteśmy, w prywatnych apartamentach papieża Urbana XVI, który, tak się akurat składa, zmarł ze starości zaledwie trzy godziny przed moim przejściem przez jego prywatny transmitter. W Nowym Waty-



kanie ten portal nazywany jest Papieskimi Wrotami. Momentalnie powrócił ból wywołany oddaleniem od Hyperiona, a więc i źródeł mocy krzyżokształtów, ale już wcześniej zdążyłem się do niego przyzwyczaić i nie robił na mnie większego wrażenia.

Znalazłem Edouarda. Był na tyle uprzejmy, że wysłuchał długiej historii, jakiej nigdy wcześniej nie opowiedział żaden jezuita. Owa uprzejmość była tak wielka, że nawet mi uwierzył. Teraz ty usłyszałeś jej końcowy fragment.

Burza ucichła. Siedzieliśmy we trzech przy migotliwym blasku świec pod kopułą bazyliki Świętego Piotra, milcząc przez długich kilka minut.

– A więc Chyżwar ma dostęp do Sieci – powiedziałem wreszcie.

– Tak.

– To musiał być jakiś statek operujący w pobliżu Hyperiona...

– Wszystko na to wskazuje.

– Więc może dałoby się tam wrócić. Skorzystać z tych... Papieskich Wrót...

Monsignor Edouard uniósł brwi.

– Naprawdę chcesz to zrobić, M. Severn?

– Na razie rozważam taką możliwość – mruknąłem.

– Dlaczego? – zapytał monsignor łagodnym tonem. – Twój duplikat – osobowość cybryda towarzysząca Brawne Lamii w pielgrzymce – znalazła tam swoją śmierć.

Pokręciłem głową, jakby tym prostym gestem dało się uporządkować gmatwaninę myśli.

– Jestem częścią tego. Nie wiem tylko, jaką rolę mam odegrać... i gdzie to zrobić.

Paul Dure roześmiał się ponuro.

– Każdy z nas poznał to uczucie. To bardzo przykre stać się narzędziem w czyichś rękach.

Monsignor z przyganą spojrzął na przyjaciela.

– Paul, przecież wszyscy pielgrzymi, włącznie z tobą, mieli prawo do samodzielnego podejmowania decyzji. Potężne siły, być może, inspirują ogólny bieg wydarzeń, ale przecież sami ludzie stanowią o swoim losie.

Ojciec Dure westchnął.

– Być może, Edouard. Nie wiem. Jestem bardzo zmęczony.

– Jeśli Ummon mówi prawdę i część tego stworzonego przez człowieka bóstwa umknęła do naszych czasów, gdzie może się ukrywać i kim być? – zapytałem. – Przecież w Sieci mieszka ponad sto miliardów ludzi.

Ojciec Dure uśmiechnął się z wyrozumiałością, nie siląc się nawet na ironię.

– Czy brałeś pod uwagę choćby to, że i ty możesz nim być, M. Severn?

Pytanie poraziło mnie jak grom z jasnego nieba.

– To niemożliwe – szepnąłem. – Nie jestem nawet... nawet prawdziwym człowiekiem. Moja świadomość tkwi gdzieś w TechnoCentrum. Ciało zaś zostało odtworzone ze szczątków Johna Keatsa i zsyntetyzowane jak ciało androida. Wszelkie wspomnienia po prostu mi wszczepiono. Koniec mojego życia... wyrwanie się z choroby... zostało odtworzone na specjalnie zbudowanej do tego celu planecie.

Kapłan wciąż się uśmiechał.

– Cóż z tego? Czy cokolwiek z tego uniemożliwia ci, abyś był jednocześnie wcieleństwem boskiej istoty?

– Nie czuję się jak część jakiegokolwiek boga – zaprotestowałem zdecydowanie. – Nie pamiętam niczego, nic nie rozumiem i nie wiem nawet, co powinienem robić.

Monsignor dotknął mojego ramienia.

– A gdzie pewność, że Chrystus zawsze wiedział, jak ma postąpić? Wiedział tylko, co musi się dokonać. To nie zawsze równoznaczne z wiedzą, jak się zachować.

Przetarłem powieki.

– Ja przecież nie wiem, co musi się dokonać.

Głos Edouarda był cichy i spokojny:



– Sądzę, że Paul ma na myśli to, iż gdyby ta duchowa istota, o której mówisz, znajdowała się w naszych czasach, może także nie zdawać sobie sprawy z tego, kim naprawdę jest.

– To niedorzeczne.

Ojciec Dure przytaknął.

– Większość zdarzeń związanych z Hyperionem i rozgrywających się na nim wydaje się kompletnie niedorzeczna. I owa niedorzeczność, jak sądzą, przybiera na sile.

Spojrzałem przenikliwie na jezuitę.

– Ty byłbyś dobrym kandydatem na wcielenie bóstwa – rzekłem cedząc słowa. – Spędzasz życie na modlitwie, kontemplacji, a jako archeolog na pochwałę nauki. Poza tym już zostałeś ukrzyżowany.

Uśmiech zniknął z twarzy księdza.

– Zastanów się, co mówisz. W twoich słowach kryje się bluźnierstwo. Nie mogę być kandydatem. Zdradziłem swój Kościół, naukę, a teraz, znikając, także swych przyjaciół pielgrzymów. Chrystus mógł stracić wiarę na kilka sekund, ale nie sprzedał jej za cenę zaspokojenia ciekawości i chęci kierowania swoim losem.

– Dość – rzucił monsignor Edouard. – Jeśli chcesz odnaleźć część tej hipotetycznej, pochodzącej z przyszłości istoty, myśl o potencjalnych kandydatach spośród tych, którzy odgrywają znaczącą rolę w całej sprawie, M. Severn. Może to przewodnicząca Meina Gladstone, dźwigająca na swoich barkach odpowiedzialność za całą Hegemonię? A może inni pielgrzymi? Może M. Silenus, który, jak twierdzisz, nie chcąc sprzeniewierzyć się swej poezji wciąż cierpi katusze na drzewie Chyżwara? Albo M. Lamia, która straciła tak wiele nie wyrzekając się miłości? M. Weintraub, cierpiący z powodu dylematu Abrahama... a nawet jego córka, która wróciła do dziecięcej niewinności. A może konsul...

– Konsula widzę raczej w roli Judasza niż Chrystusa – zaprotestowałem. – Zdradził Hegemonię, a także Intruzów, pomimo pokładanej w nim ogromnej wiary.

– Z tego co mówił Paul, konsul działał zgodnie z własnym przekonaniem, wierny pamięci babki Siri. – Starszy z mężczyzn uśmiechnął się. – Ponadto w tej grze rzeczywiście bierze udział sto miliardów graczy. Bóg nie wybrał Heroda, Poncjusza Piłata czy cesarza Augusta jako narzędzie w swoich rękach. Wybrał tylko nieznanego syna nieznanego cieśli w jednym z najbardziej zagubionych zakątków Imperium Rzymskiego.

– To prawda – przyznałem wstając i spacerując po mozaikowej podłodze naprzeciw ołtarza. – Ale co teraz? Ojczy, musisz udać się ze mną na spotkanie z Meina Gladstone. Ona wie o waszej pielgrzymce. Może twoja historia pomoże uniknąć totalnej rzezi, która nam zagraża.

Ojciec Dure także wstał. Splótł ramiona na piersiach i podniósł oczy ku górze, jakby spodziewał się znaleźć tam rozwiązanie nurtujących go problemów i wątpliwości.

– Myślałem o tym – rzekł. – Ale nie sądzą, by należało zaczynać właśnie od tego. Muszę udać się na Bożą Knieję, by pomówić z odpowiednikiem papieża templariuszy – Prawdziwym Głosem Drzewoświata.

Zamymałem się nagle.

– Na Bożą Knieję? A jaki to ma związek z naszymi sprawami?

– Mam przeczucie, że templariusze stanowią klucz do pewnych brakujących elementów tej szarady. Mówiłeś, że Het Masteen nie żyje. Może Prawdziwy Głos wyjaśni nam, jakie nadzieje wiązali z tą pielgrzymką... Może poznamy historię Masteena. Był przecież jedynym z całej siódemki, który nie ujawnił, co łączy go z Hyperionem.

Ruszyłem ponownie, przyśpieszając kroku i starając się zapanować nad wzbierającym we mnie gniewem.

– Mój Boże, Dure... Nie mamy czasu na zaspokajanie ciekawości. Zostało tylko – skonsultowałem się z komlogiem – półtorej godziny do chwili, gdy rój inwazyjny Intruzów zaatakuje system Bożej Kniei. To, co tam się teraz dzieje, musi przypominać pożar w domu wariatów.



– Być może, ale i tak się tam wybieram. Dopiero później pomówię z Meina Gładstone. Może zgodzi się, abym powrócił na Hyperiona.

Przytaknąłem, mając jednak poważne wątpliwości, czy przewodnicząca zdecyduje się narazić na niebezpieczeństwo tak cenną dla siebie osobę.

– A więc ruszamy – rzekłem odwracając się w stronę, gdzie spodziewałem się znaleźć wyjście.

– Chwileczkę. Powiedziałaś, że czasami potrafisz... „śnić” o pielgrzymach wcale nie śpiąc. To jakiś trans, prawda?

– Tak mi się wydaje.

– A więc spróbuj zobaczyć, co teraz się z nimi dzieje, M. Severn.

Popatrzyłem na niego zaskoczony.

– Tutaj? Teraz?

Dure wskazał krzesło.

– Proszę. Muszę wiedzieć, jaki jest los moich przyjaciół. Poza tym te informacje mogą okazać się bezcenne w trakcie rozmów z Prawdziwym Głosem oraz M. Gładstone.

Pokręciłem głową, ale mimo wszystko usiadłem.

– Nic może z tego nie wyjść.

– Przecież niczego nie ryzykujemy.

Przyznałem mu rację, przymknąłem oczy i odchyliłem się w niezbyt wygodnym krześle. Miałem świadomość obecności obu kapłanów, czułem lekki zapach kadzidła i deszczu, słyszałem dźwięki spotęgowane ogromem bazyliki. Byłem niemal pewien, że się nie uda. Świat z moich snów nie znajdował się w zasięgu ręki, tak bym mógł wkroczyć do niego, gdy tylko zamknę oczy.

Ale wszelkie zewnętrzne przeszkody stopniowo traciły znaczenie, gdy powoli wracałem na Hyperiona.



Zamieszanie graniczące z paniką.

Trzysta jednostek wycofujących się z przestrzeni kosmicznej Hyperiona pod ciężkim ogniem, opędzając się przed rojem jak człowiek atakowany przez pszczoły. Szaleństwo w pobliżu wojskowych transponderów, uniemożliwiające skuteczną obronę przed statkami bojowymi Intruzów.

Bezład po drugiej stronie transpondera. Jednostki Armii stłoczone jak owce, oczekujące w pobliżu kolejnych portali, które mają przenieść je w przestrzeń kosmiczną Hebronu, Bramy Niebios, Bożej Kniei, Mare Infinitus i Asquitha. Pozostały już tylko godziny do wtargnięcia Intruzów w granice Sieci.

Zamieszanie spowodowane ucieczką setek milionów mieszkańców zagrożonych światów, oszalałych przed nadciągającą wojną, trafiających do miast i centrów relokacyjnych. Chaos w chwilowo bezpiecznych systemach, gdzie wybuchają zamieszki i starcia. Trzy miasta na Lususie – niemal siedemdziesiąt milionów ludzi – odcięte od świata z powodu buntu zwolenników kultu Chyżwara, demolujących kopce mieszkalne i budynki użyteczności publicznej, atakujących terminale. Samozwańcza Rada deklaruje odłączenie się od Hegemonii, która nie widząc innej możliwości wprowadza stan wojenny i wysyła oddziały Armii-morze, by stłumić opór.

Zamieszki secesjonistów na Nowej Ziemi i Maui – Przymierzu. Ataki terrorystyczne rojalistów Glennona – Heighta, ukrywających swoje istnienie przez siedemdziesiąt pięć lat, na Thalii, Armahgaście, Nordholmie i Trzeciej Lee. Kolejne zamieszki inspirowane przez wyznawców Chyżwara na Tsingtao – Hsishuang Pannie i Renesansie.

Dowództwo Armii na Olympusie przetrzuca oddziały bojowe z Hyperiona do światów Sieci. Oddziały saperów donoszą o gotowości zniszczenia sfer transponderów na sygnał przekazany z TC2.

– Istnieje lepszy sposób – oświadcza Albedo zwracając się do Meiny Gladstone i pozostałych członków Rady Wojennej.

Przewodnicząca patrzy prosto w oczy ambasadora TechnoCentrum.

– Istnieje broń, która wyeliminuje Intruzów, nie czyniąc krzywdy Hegemonii.

Generał Morpurgo spogląda na niego podejrzliwie.

– Mówisz o emiterze promieni śmierci o zwielenokrotnionym zasięgu? – pyta. – Nic z tego. Naukowcy Armii udowodnili, że promieniowanie rozchodzi się bez żadnych ograniczeń. Zginęliby nie tylko wszyscy najeźdźcy, ale i cała populacja mieszkańców. Poza tym to kardynalne naruszenie kodeksu Nowego Bushido.

– Nie zgadzam się – protestuje Albedo. – Jeśli obywatelom Hegemonii zapewni się odpowiednią osłonę, nic im nie grozi. Jak wiesz, falom promieni śmierci można nadać określoną długość. W takiej sytuacji żywemu inwentarzowi, dzikim zwierzętom, a nawet innym gatunkom antropoidów nic się nie stanie.

– Nie ma jednak sposobu na zapewnienie bezpieczeństwa całej populacji! Nasze testy dowiodły, że ciężkie neutrino przenikają skałę lub metal na głębokość sześciu kilometrów. Nie dysponujemy schronami zabezpieczającymi przed taką bronią – oświadcza generał Van Zeidt z Armii-morze.

Projekcja ambasadora Albedo opiera dłoń na stole.

– Dysponujemy dziewięcioma światami ze schronami, które pomieszczą miliardy ludzi – mówi cicho.

Meina Gladstone przytakuje.

– Labirynty. Ale przecież przetransportowanie takiej liczby mieszkańców jest niemożliwe.

– Ależ nie. Teraz, kiedy Hyperion stał się częścią Protektoratu, każdy z tych światów posiada wystarczającą wydajność transponderów. TechnoCentrum jest w stanie zorgani-



zować przerzut tak, by ludzie trafiali bezpośrednio do labiryntów.

Wokół stołu słycać szmer rozmów, ale przewodnicząca ani na chwilę nie spuszcza wzroku z oblicza Albedo. Podnosi rękę, by uciszono się, i po chwili mówi:

– Proszę dalej. To ciekawe.

Konsul siedzi w cieniu niskiego drzewa i oczekuje na śmierć. Ręce ma skrępowane z tyłu kawałkiem plastowlókniny. Po twarzy ścieka mu woda, mieszając się z potem. Ubranie zamieniło się w brudne strzępy i jest wciąż mokre.

Dwaj stojący przy nim mężczyźni kończą właśnie przegląd zawartości jego marynarskiego worka.

– Cholera – mówi jeden z nich. – Nie matu nic ciekawego, tylko ta pieprzona stara pukawka. – Zatyka sobie za pas zabytkową broń należącą niegdyś do ojca Brawne Lamii.

– Szkoda, że nie zdobyliśmy tego przeklętego latającego dywanu – mruczy drugi.

– Ostatnio nie latał najlepiej! – zauważa pierwszy i obaj śmieją się głośno.

Konsul mrużąc oczy przygląda się uzbrojonym, potężnym postaciom, których zarys widać w promieniach zachodzącego słońca. Ze sposobu, w jaki mówią, wnioskuje, że są tubylcami, a fragmenty przestarzałych pancerzy Armii, ciężkie strzelby wielofunkcyjne, strzępy czegoś, co kiedyś było mundurami polimerowymi, wskazuje na to, iż są dezertierami z Sił Samoobrony Hyperiona.

Ich zachowanie nie pozostawia wątpliwości, że chcą go zabić.

Początkowo, oszołomiony upadkiem do rzeki Hoolie, oplątany paskami, którymi przytwierdzony był do maty, myślał, że okażą się wybawcami. Uderzył w wodę z taką siłą, że na chwilę stracił przytomność. Pozostawał pod jej powierzchnią tak długo, że aż dziw, iż nie utonął. Gdy wreszcie wypłynął, zdążył tylko zaczerpnąć powietrza i mata znów pociągnęła go w dół. Uporczywie walczył z żywiołem, lecz czuł, że jest z góry skazany na porażkę. Wciąż był jakieś dziesięć metrów od płycizny, kiedy z zarośli wyłonił się mężczyzna i rzucił mulinę. Później wybawca, jeszcze z drugim, pobił go, obrabował, związał i, sądząc z rozmów, obaj przygotowywali się teraz, by poderżnąć mu gardło i pozostawić padlinożercom.

Wyższy z tubylców, o włosach jak las sterczących igieł, przykuca przed konsulem i sięga do wiszącej u pasa pochwy po ceramiczny nóż.

– Masz coś do powiedzenia przed śmiercią, tatuśku?

Konsul oblizuje spękane wargi. Widział tysiące holograficznych i płaskich filmów, w których bohater znajdujący się w podobnej sytuacji podcina nogi jednego z przeciwników, drugiego jednym kopnięciem pozbawia świadomości, odbiera im broń i wciąż związany celnymi strzałami unieszkodliwia obydwu, po czym wędruje na spotkanie nowych przygód. Ale konsul nie czuje się jak któryś z tamtych bohaterów: jest zmęczony i do tego obolały po upadku do rzeki. Przeciwnicy są znacznie sprawniejsi, silniejsi, szybsi i pozbawieni jakichkolwiek skrupułów. Zetknął się z przemocą, a nawet kiedyś sam ją zastosował, lecz całe swe życie poświęcił trudnej sztuce dyplomacji.

Ponownie oblizuje wargi i starając się zachować spokój mówi:

– Mogę wam zapłacić.

Kucający drab uśmiecha się i przesuwając nóż przed jego oczami.

– Czym, tatuśku? Mamy przecież twoją kartę uniwersalną, chociaż tutaj jest głównie warta.

– Złoto – szepcze konsul, świadom, że tylko ono przez całe wieki zachowało swą wartość.

Pochylony nad nim mężczyzna nie reaguje. Z drapieżnym błyskiem w oczach przygląda się ostrzu noża, lecz jego towarzysz daje krok do przodu i kładzie dłoń na ramieniu kompana.

– O czym mówisz, człowieku? Gdzie masz złoto?

– Na statku – odpowiada konsul. – Na „Benares”.



Kucający przykłada ostrze do własnego policzka.

– On kłamie, Chez. „Benares” to ta stara barka holowana przez płaszczki, należąca do niebieskich twarzy, które wykończyliśmy trzy dni temu.

Dyplomata na moment zamyka oczy, czując, że zbiera mu się na wymioty. A. Bettik wraz z resztą androidów niecały tydzień temu wzięli jedną z szalup i skierowali się w dół rzeki w poszukiwaniu wolności. Okazuje się, że spotkało ich zupełnie coś innego.

– A. Bettik – mówi wreszcie. – Ich dowódca. Nic nie wspominał o złocie?

Ten z nożem uśmiecha się złośliwie.

– Robił mnóstwo hałasu, ale mówił niewiele.

– Zamknij się, Obem. – Drugi napastnik także obniża się do poziomu konsula. – Dlaczego miałbyś – mieć złoto na tej starej łajbie, człowieku?

Zapytany spogląda mu prosto w oczy.

– Nie rozpoznajesz mnie? Przez długie lata byłem konsulem Hegemonii na Hyperionie.

– Nie igraj ze mną... – zaczyna ten z nożem, ale kumpel przerywa mu:

– Tak, pamiętam cię jeszcze z czasów, kiedy byłem dzieciakiem. Czemu więc wiesz złoto w górę rzeki, kiedy niebo wali się nam na głowę, człowieku Hegemonii?

– Mieliśmy się schronić... w Baszcie Chronosa – odpowiada dyplomata starając się, aby to, co mówi, brzmiało przekonująco i jednocześnie ciesząc się każdą chwilą życia. Dlaczego? – pyta sam siebie. Przecież byłeś już tak zmęczony życiem. Gotowy na śmierć. Ale nie taką, odpowiada sam sobie. Nie teraz, gdy Sol, Rachel i pozostali potrzebują pomocy.

– Ja oraz kilkunastu najzamożniejszych mieszkańców Hyperiona – ciągnie. – Władze kierujące ewakuacją nie pozwoliły im na wywiezienie złota, więc zgodziłem się pomóc ukryć je w podziemiach Baszty Chronosa, na północ od Gór Cugielnych. Oczywiście za określoną z góry prowizję.

– Jesteś pieprznęty! – syczy nożownik. – Wszystko na północ stąd należy do Chyżwara.

Konsul zwiesza głowę. Nie musi udawać zmęczenia i przekonania o swej klęsce.

– W końcu to zrozumieliśmy. Załoga złożona z androidów zdezerterowała w ubiegłym tygodniu. Część pasażerów zginęła z ręki Chyżwara. Wtedy zdecydowałem się polecieć w dół rzeki.

– Gównu prawda – przerywa mu ten z nożem. Jego oczy znów płoną żądzą krwi.

– Czekaj chwilę – uspokaja drugi. Wymierza mocny cios konsulowi. – Gdzie niby jest ta krypa ze złotem, staruszkę?

Więzień czuje w ustach smak krwi.

– W górze rzeki. Ukryta w jednym z jej dopływów.

– Na pewno – mruży nożownik, przykładając ostrze płaską stroną do szyi konsula. Wystarczy je obrócić, by z gardła trysnęła krew. Mówię ci, że to gównu prawda. Tracimy tylko czas.

– Nie śpiesz się tak. Jak daleko w górę rzeki?

Konsul stara się przypomnieć sobie dopływy, które mijał. Jest już późno. Słońce niemal dotyka linii horyzontu.

– Trochę powyżej śluz Karla.

– Dlaczego więc leciałeś na tej zabawce, zamiast po prostu spłynąć barką w dół rzeki?

– Usiłowałem znaleźć jakąś pomoc – odpowiada konsul. Poziom adrenaliny opadł mu nieco i teraz czuje ogromne zmęczenie, które lada moment może przerodzić się w desperację. – Było zbyt wielu... zbyt wielu rabusiów grasujących wzdłuż brzegów. Spływ wydawał się zbyt ryzykowny. Mata grawitacyjna była... bezpieczniejsza.

Mężczyzna o imieniu Chez śmieje się.

– Odłóż ten majcher, Obem. Przespacerujemy się kawałek, co? Obem podrywa się na równe nogi. W dłoni wciąż ściska broń, ale teraz jej ostrze i całą wściekłość kieruje



ku towarzyszowi.

– Pieprzysz, człowieku. Czyżbyś zamiast mózgu miał samo gówno? Przecież on łąz jak z nut.

Chez ani drgnie.

– Jasne, że może kłamać. To co? Śluza jest niecałe pół dnia drogi stąd, a i tak do kądś stąd pójdziemy, no nie? Poderżniesz mu gardło i co z tego? A tak może zdobędziemy złoto. A jeśli coś tam znajdziemy, i tak zrobisz z nim, co zechcesz, tylko że już jako bogacz. No nie?

Widać, jak Obemem targa furia, lecz walczy z nią, odwraca się w bok i chcąc się wyładować, tnie nożem gruby na jakieś osiem centymetrów pień młodego drzewa. Zdaża jeszcze ponownie przykucnąć przed konsulem, zanim drzewo przewraca się i z trzaskiem łamanych gałęzek pada na brzeg rzeki. Obem chwytą więźnia za koszulę.

– Dobra, zobaczymy, co tam masz, tatuśku. Odezwij się, spróbuj uciekać, zawahaj się na moment, a na początek poobcinam ci uszy i palce, hę?

Konsul z trudem wstaje i cała trójka rusza. Prowadzi Chez, za nim w odległości trzech metrów idzie dyplomata, a pochod zamyka Obem. Powoli oddalają się od miasta i statku, a jednocześnie jakiegokolwiek nadziei na uratowanie Sola i Racheli.

Mija godzina. Konsul nie jest w stanie wymyślić żadnego sprytnego planu, co począć, kiedy dotrą już do dopływu i nie znajdą tam barki. Chez kilkakrotnie nakazuje zatrzymać się i ukryć. Raz zaniepokoił go szelest pajęczarzy wśród liści drzew, to znów jakieś zamieszanie po drugiej stronie rzeki, ale nigdzie nie spotykają innych ludzi. Ani śladu szansy na uzyskanie pomocy. Konsul widzi wypalone budynki wzdłuż rzeki, porzucone domostwa i puste nabrzeża. Strach przed Chyżwarem, znalezieniem się na łasce Intruzów i dezertarów z Sił Samoobrony plądrujących okolicę sprawiły, że nie było tu żywej duszy. Konsul zastanawia się, czy próbować tłumaczyć się i dalej zwodzić swych gnębicieli, lecz wreszcie stwierdza, że to nie ma sensu. Jediną nadzieję wiąże ze służą. Kiedy znajdują się tuż przed nią, może zdoła skoczyć do głębokiej, rwącej wody i pomimo związanych rąk ukryć się w labiryncie wysepek, jakich wiele było w dole rzeki.

Tyle tylko, że jest zbyt osłabiony, by płynąć, nawet mając wolne ręce. A za pomocą swej broni napastnicy namierzą go z łatwością, nawet gdyby ruszyli w pogoń ze znacznym opóźnieniem. Jest za bardzo zmęczony, by okazać spryt, zbyt stary na tego rodzaju akty odwagi. Myśli o żonie i synu, nieżyjących od wielu już lat. Zabitych podczas bombardowania Bressii, dokonanego przez ludzi pozbawionych honoru, jak ci tutaj. Przykro mu tylko, iż złamał słowo obiecując pomoc pozostałym pielgrzymom. Żałuje i tego... oraz że nie będzie mu dane zobaczyć, jak potoczą się dalsze zdarzenia.

Idący za nim Obem pociąga nosem.

– Do dupy z tym wszystkim, Chez. Może pomogliśmy mu powiedzieć coś więcej, co? A później już sami poszukamy tej barki, jeśli naprawdę gdzieś tam jest.

Chez odwraca się, ociera pot zalewający mu oczy, lustruje wzrokiem konsula i stwierdza:

– Niezła myśl. Tak będzie szybciej i ciszej. Tylko żeby mógł mówić aż do końca.

– Jasne. – Obem uśmiecha się drapieźnie i znów sięga po swoją ulubioną broń.

– Nie ruszać się! – dobiega ich głos gdzieś z góry.

Konsul osuwa się na kolana, podczas gdy obaj byli żołnierze Sił Samoobrony sprawnie chwytają za strzelby. Coś dzieje się nad ich głowami, rozlega się huk, szum gałęzi i w niebo wzbija się chmura pyłu. Konsul unosi głowę, podczas gdy obaj jego prześladowcy przymierzają się do strzału. Nagle wszyscy trzej padają jak drzewo ścięte wcześniej przez Obema.

Dyplomata leży twarzą w pyle i żwirze, niezdolny nawet mrugnąć powieką.

Ogłuszacz, konstatuje z ogromnym trudem. Czuje potężny podmuch, gdy coś ląduje obok nich. Słyszy syk otwierającego się wjazdu i cichnący gwizd turbin odrzutowych. Wciąż nie może drgnąć, nie mówiąc już o uniesieniu głowy. W zasięgu wzroku ma tylko



kilka kamyków, mini wydnię piachu, las traw oraz mrówkę, ogromną z tej odległości, zaintrygowaną jego wilgotnym, nieruchomym okiem. Owad jest coraz bliżej i konsul myśli tylko o tym, by ten ktoś zbliżający się za jego plecami jak najszybciej podniósł go z ziemi.

Wreszcie pod pachami czuje uchwyt, słyszy sapanie i znajomy głos:

– Cholera, ale pan przytył.

Nogi konsula wloką się po ziemi zaczepiając po drodze o rękę Cheza... a może Obema... Nie wie, bo nadal nie jest w stanie odwrócić głowy i spojrzeć na twarz leżącego. Nie widzi także swego wybawcy, który mruczając coś pod nosem wciąga go przez właz do śmigacza i sadza w miękkim fotelu pasażera.

W polu widzenia konsula pojawia się wreszcie generalny gubernator Theo Lane, z wciąż chłopięcą, teraz, w blasku czerwonych świateł wewnętrznych nieco demoniczną twarzą. Pochyliła się nad swym nauczycielem i przypina go pasami.

– Przepraszam, że i pana musiałem ogłuszyć.

Siada w fotelu obok, także naciąga pasy i chwytą kontroler. Konsul czuje drżenie pojazdu, który po chwili podrywa się w powietrze i skręca gwałtownie. Przyspieszenie włącza go w fotel.

– Na dobrą sprawę nie miałem wyboru – tłumaczy się Theo. Jediną bronią, jaką mają na pokładzie śmigacze, jest ogłuszacz do rozpędzania zamieszek, więc uznałem, że najprościej będzie ustawić jego moc na minimalną i użyć, by jak najszybciej wyciągnąć pana z opresji. – Charakterystycznym ruchem poprawia okulary i radośnie się uśmiecha. – Jak głosi stare powiedzenie najemników: „Zabij, a Bóg niech ich posortuje”.

Konsulowi z trudem udaje się na tyle poruszyć językiem, by wydać z siebie jakiś nieartykułowany dźwięk, choć przy okazji pluje sobie na brodę.

– Z mówieniem proszę wstrzymać się jeszcze przez chwilę – radzi gubernator, ponownie kierując wzrok na przyrządy pokładowe, a potem wyglądając na zewnątrz. – Wystarczy dwie, trzy minuty i już będzie pan mógł mówić. Nie śpieszę się, więc do Keats dotrzemy za jakieś dziesięć minut. – Zerka na pasażera. – Miał pan szczęście. Musiał pan być mocno odwodniony. Tamci dwaj solidnie zmoczyli spodnie. Ten ogłuszacz to humanitarna broń, ale kłopotliwa, jeśli nie ma się ubrania na zmianę.

Konsul stara się wyrazić własną opinię na temat tej „humanitarnej” broni.

– Nie tak szybko – mityguje go gubernator, wyciągając rękę, by wytrzeć mu brodę chusteczką. – Muszę pana ostrzec, że odzyskiwanie zdolności ruchowej wcale nie jest przyjemne.

W tej właśnie chwili ktoś wbija tysiące szpilek w zmaltretowane ciało konsula.

– Jak, do diabła, mnie znalazłeś? – pyta konsul. Są zaledwie kilka kilometrów od miasta, wciąż lecąc wzdłuż brzegów Hoolie. Jest już w stanie prosto siedzieć, a jego słowa da się zrozumieć, lecz czuje, że nie zdołałby jeszcze wstać o własnych siłach.

– Słucham?

– Pytam, jak mnie znalazłeś? Skąd wiedziałeś, że wracam wzdłuż rzeki?

– Nieoficjalnie powiadomiła mnie o tym przewodnicząca Gladstone.

– Meina Gladstone? – Konsul zdumiony kręci głową, nie przestając rozcierać palców, aby odzyskać w nich czucie. – A skąd ona miałaby wiedzieć, że mam kłopoty, i to właśnie tu, nad Hoolie? Zostawiłem komlog babki Siri w dolinie, abym mógł skontaktować się z pozostałymi pielgrzymami, kiedy dotrę do statku. Skąd ona wiedziała?

– Nie mam pojęcia, ale dokładnie określiła, gdzie pan jest, i powiedziała, że wpadł pan w niezłe tarapaty. Mówiła nawet, że leciał pan matą grawitacyjną, która spadła do rzeki.

Konsul znów kręci głową.

– Ta kobieta ma dostęp do informacji, o których nam nawet się nie śniło, Theo.

– Wszystko na to wskazuje.



Spogląda na przyjaciela. Theo Lane jest generalnym gubernatorem nowo przyłączonego do Protektoratu Hyperiona już od ponad roku, ale z czasów gdy przez siedem lat był wicekonsulem i jego asystentem, pozostał mu zwyczaj zwracania się do niego per „pan”. Ostatnio kiedy widział tego młodzieńca – uświadamia sobie nagle, że właściwie to już nie taki znowu młodzieniec – ten był na niego wściekły. Miał mu za złe, iż nie zgodził się przejąć od niego funkcji gubernatora. Działo się to zaledwie nieco ponad tydzień temu, a wydawać by się mogło, że minęły całe lata.

– Tak przy okazji, Theo – mówi konsul, wolno wypowiadając każde słowo. – Dziękuję.

Gubernator kiwa głową, wyraźnie zamyślony. Nie pyta konsula, co widział na północ od gór ani co spotkało jego towarzyszy. Pod nimi Hoolie rozlewa się i wije przez widoczne już Keats. Jej granitowe brzegi odbijają promienie zachodzącego słońca.

– Theo, jak znalazłeś czas, by samemu pośpieszyć mi z pomocą? Przecież sytuacja na Hyperionie musi być bardzo napięta.

– Rzeczywiście. – Włącza automatycznego pilota i odwraca się do konsula. – Jeszcze godzina... może mniej... zanim Intruzi zaatakują.

Starszy z dyplomatów zaskoczony mruga nerwowo powiekami.

– Zaatakują? Masz na myśli inwazję?

– Tak.

– Ale przecież flota Hegemonii...

– Panuje w niej totalny chaos. Ledwie byli w stanie utrzymać pozycje, zanim rój zaatakował Sieci.

– Sieci!

– Padają całe systemy. Inne są bezpośrednio zagrożone. Flota wycofuje się, korzystając z wojskowych transponderów, ale i tak okazało się to trudniejsze, niż można było przypuszczać. Nie otrzymałem żadnych szczegółowych danych, ale nie ma wątpliwości, że system obronny zabezpiecza jedynie sferę.

– A port kosmiczny? – Konsul widzi już w wyobraźni swój wspaniały statek zamieniony we wrak.

– Nie został jeszcze zaatakowany, ale Armia koncentruje swoje promy i transportowce najszybciej jak się da. Zostawią tylko niewielką grupę marines.

– A co z ewakuacją?

Theo śmieje się. To najbardziej żałosny uśmiech, jaki konsul widział kiedykolwiek na jego twarzy.

– Będzie polegać wyłącznie na zabraniu tych spośród pracowników konsula – tui VIP – ów Hegemonii, którzy zdołają załapać się na kilka zaledwie promów.

– Zrezygnowali z prób ocalenia ludności Hyperiona?

– Proszę pana, nie są w stanie uratować nawet własnych ludzi. Plotki krążące w kręgach dyplomatycznych mówią, że Meina Gladstone postanowiła poświęcić zagrożone światy Sieci, by dać Armii czas na przegrupowanie się i dzięki temu zyskać kilka lat na przygotowanie obrony, korzystając z długu czasowego roju Intruzów.

– Mój Boże – szepcze konsul. Większą część życia spędził reprezentując Hegemonię, a jednocześnie knując przeciw niej spisek, który pozwoliłby mu pomścić babkę... Ale teraz z przerażeniem myśli o możliwości spełnienia się tego pragnienia...

– Co z Chyżwarem? – pyta, widząc na horyzoncie niskie, białe budynki Keats. Ostatnie promienie słońca omiatają wzgórza i rzekę, jakby to było błogosławieństwo przed nastaniem nocy.

Gubernator kręci głową.

– Wciąż docierają do nas jakieś niepokojące raporty, lecz głównym zagrożeniem są teraz Intruzi.

– Ale wiele wskazuje na to, że on jest obecnie w Sieci!

– W Sieci? W jaki sposób mógłby się tam dostać? Przecież na Hyperionie nie ma portali.



Konsul milczy, w głowie kłębią mu się myśli: Boże, na darmo zostałem zdrajcą. Sprzedałem duszę, by otworzyć Grobowce Czasu, a mimo to Chyżwar nie stanie się przyczyną upadku Sieci... Intruzi! Przechytrzyli nas wszystkich. Moje sprzeniewierzenie się interesom Hegemonii było częścią ich planu!

– Proszę posłuchać, istnieje ważny powód, dla którego Meina Gladstone zleciła, bym osobiście pana odszukał – mówi Theo ochryple, chwytając swego nauczyciela za ramię.
– Potwierdziła zwolnienie pańskiego statku...

– Świetnie! Mogę...

– Proszę posłuchać! Nie może pan wrócić do Doliny Grobowców. Meina Gladstone chce, żeby ominął pan siły Armii i skontaktował się z Intruzami.

– Z Intruzami? Kto...?

– Przewodnicząca pragnie, by podjął pan z nimi negocjacje. Oni pana znają. W jakiś sposób zdołała ich powiadomić o pana przybyciu. Sądzi, że pozwolą panu... że nie zniszczą pańskiego statku. Ale nie ma co do tego pewności. To bardzo ryzykowne.

Konsul odchyła się w siedzeniu. Czuje się tak, jakby znowu został rażony wiązką ogłuszacza.

– Negocjować? Ale jakie sprawy, jaki zakres kompetencji, do cholery?!

– Meina Gladstone powiedziała, że skontaktuje się z panem poprzez linię FAT, kiedy już opuści pan Hyperiona. Musi pan zrobić to jak najszybciej. Dzisiaj. Zanim światy znajdujące się w zasięgu pierwszej fali uderzeniowej Intruzów wpadną w ich ręce.

Konsul nie ma odwagi zapytać, czy pośród nich znajduje się jego ukochane Maui – Przymierze. Może lepiej, żeby było, myśli.

– Nic z tego, wracam do doliny – oświadcza stanowczym tonem.

Theo nerwowo poprawia okulary.

– Ona na to nie pozwoli

– Tak? A w jaki sposób mnie powstrzyma? Każe zestrzelić mój statek?

– Nie wiem, ale powiedziała, że nie dopuści do tego. – Theo jest wyraźnie zatroškany. – Armia wciąż trzyma na orbicie pikietowce i eskortowce, które mają osłaniać ostatnie promy.

– A więc niech próbują mnie zestrzelić. Załogowym jednostkom i tak nie udawało się wylądować w pobliżu Grobowców Czasu od ponad dwustu lat. Statkom nic się nie dzieje, ale ich załogi znikają. Zanim mnie dopadną, będę już wisiał na drzewie Chyżwara.

Konsul na moment przymyka oczy i wyobraża sobie, że oto jego pusty statek ląduje na płaskowyżu ponad doliną. Widzi Sola, ojca Dure i pozostałych; cudownie ocalałych, znajdujących schronienie na pokładzie, wykorzystujących specjalistyczny sprzęt do uratowania Heta Masteena oraz Brawne Lamii i hibernujących maleńką Rachelę.

– Mój Boże – szepcze gubernator, a dźwięk jego głosu wyrывa konsula z zamyślenia.

Wyszli z zakrętu, lecąc wciąż nad rzeką. Jej brzegi są tu wyższe, a na południu wznoszą się jeszcze bardziej, przechodząc w Górę Smutnego Króla Billy'ego. Słońce właśnie zachodzi, oświetlając już tylko wiszące nisko chmury i co wyższe budynki.

Nad miastem toczy się bitwa. Promienie laserów rozcinają chmury, statki krążą niczym komary i płoną jak ćmy, które zanadto zbliżyły się do płomieni. Keats zostało zaatakowane. Intruzi dotarli więc do Hyperiona.

– O kurwa! – szepcze Theo.

Na zalesionych wzgórzach na północ od miasta coś błyska i smuga kondensacyjna znaczy trasę odpalonej ręcznie rakiety, lecącej prosto w stronę ich śmigacza.

– Uwaga! – krzyczy Theo.

Chwyta kontroler, naciska jakieś guziki i wykonuje gwałtowny unik w prawo, starając się uciec pociskowi.

Eksplozja za rufą wstrząsa ciałem konsula i oślepia go na moment. Kiedy znów coś widzi, kabina jest już wypełniona gryzącym dymem i światłem migających ostrzegaw-



czo czerwonych lampek, a pojazd głosem informuje o co najmniej dziesięciu uszkodzeniach podstawowych systemów. Theo z całych sił szarpie kontroler.

– Uwaga! – krzyczy znów, zupełnie niepotrzebnie.

Śmigacz obraca się w powietrzu, na moment odzyskuje równowagę, by znów ją utracić, i zaczyna spadać prosto na płonące miasto.



Zamrugalem i zdezorientowany rozejrzałem się po ogromnej bazylice Świętego Piotra. Pacem. Monsignor Edouard i ojciec Paul Dure pochyleni nade mną z wyrazem napięcia na twarzach.

– Jak długo... spałem? – Wydawało mi się, że upłynęły zaledwie sekundy, od momentu kiedy usiadłem na krześle.

– Dziesięć minut – odpowiedział monsignor. – Możesz opowiedzieć, co widziałeś?

Nie było powodu, dla którego miałbym utrzymywać to w tajemnicy. Gdy kończyłem opowieść, monsignor przeżegnał się.

– Mon Dieu, ambasador TechnoCentrum namawia Meinę Gladstone, by wysłała ludzi do tych... tuneli.

Ojciec Dure dotknął jego ramienia.

– Kiedy pomówię z Prawdziwym Głosem Drzewoświata na Bożej Kniei, dołączę do ciebie na TC2. Musimy przedstawić przewodniczącej prawdopodobne skutki takiej decyzji.

Pokiwałem głową. Porzuciłem myśli o swej wyprawie na Hyperiona lub towarzyszeniu ojcu Dure w podróży na Bożą Knieję.

– Zgadzam się. Musimy natychmiast ruszać. Czy mogę skorzystać z waszych Papieskich Wrót, by przenieść się na Pierwszą Tau Ceti?

Monsignor wstał, kiwnął głową i rozprostował zdrętwiałe członki. Uświadomiłem sobie, że mam przed sobą niezwykle wiekową osobę, która nigdy nie poddawała się zabiegom Poulsena.

– To przecież ogromnie ważne – stwierdził. Zwrócił się ku przyjacielowi. – Paul, wiesz, że gdybym tylko mógł, towarzyszyłbym ci. Ale pogrzeb Jego Świątobliwości, wybory nowego Ojca Świętego... Uśmiechnął się smutno. – Nawet w obliczu tragedii trzeba pamiętać o swoich obowiązkach. Pacem zostało jeszcze dziesięć dni, zanim dotrą tu barbarzyńcy.

Wysokie czoło ojca Dure zaśniło w blasku świateł.

– Sprawy Kościoła to coś więcej niż zwykłe obowiązki, przyjacielu. Postaram się ograniczyć do minimum czas spędzony u templariuszy, a później dołączę do M. Severna i wesprę go w usiłowaniach, aby przekonać przewodniczącą do rezygnacji z pomocy Centrum. Później wrócę i wspólnie spróbujemy zapanować nad tym zamieszaniem i herezją.

Wszyscy trzej przemierzaliśmy bazylikę i bocznym wyjściem za kolumnadą wydostaliśmy się na dziedziniec. Deszcz przestał już padać. Schodami zeszliśmy do wąskiego korytarza, a stamtąd przeszliśmy do papieskiego apartamentu. Członkowie Gwardii Szwajcarskiej stanęli na baczność, gdy tylko znaleźliśmy się w przedpokoju. Rośli wartownicy mieli na sobie zbroje i żółto – niebieskie pasiaste pantalony, ale ich tradycyjne halabardy w rzeczywistości były bronią energetyczną. Jeden z nich zrobił krok do przodu i powiedział coś cicho monsignorowi.

– Ktoś właśnie przybył do pana głównym terminalem, M. Severn.

– Do mnie? – Wsłuchiwałem się właśnie w głosy dobiegające gdzieś z daleka – to cichnące, to przybierające na sile monotonnie powtarzane modlitwy – zapewne mające związek z przygotowaniami do pochówku papieża.

– Tak. To M. Hunt. Twierdzi; że to pilne.

– Jeszcze chwila, a spotkałbym się z nim w budynku rządowym rzekłem. – Może wskazane, by dołączył do nas?

Monsignor przytaknął i szepnął coś strażnikowi, który aby lepiej słyszeć, pochylił głowę do ozdobnego występu na swym antycznym napierśniku.

Tak zwane Papieskie Wrota – niewielki portal otoczony złoconymi rzeźbami cherubinów i serafinów, zwieńczony pięciostacyjnym reliefem przedstawiającym upadek



Adama i Ewy – znajdowały się pośrodku strzeżonego pomieszczenia przylegającego do gabinetu papieskiego. Czekaliśmy tam, przyglądając się swoim bladym i zmęczonym twarzom odbijającym się w szeregu lusterek wmontowanych w każdą ze ścian.

Leigh Hunt zjawił się w towarzystwie tego samego księdza, który przyprowadził mnie do bazyliki.

– Severn! – krzyknął doradca Meiny Gladstone. – Przewodnicząca chce cię natychmiast widzieć.

– Właśnie się do niej wybierałem – odparłem starając się mówić wolno i spokojnie. – Byłoby niewybaczalnym błędem, gdyby pozwoliła TechnoCentrum zbudować i użyć tę śmiercionośną broń.

Hunt zdziwiony zamrugał powiekami, co przy jego fizjonomii przypominającej basetę wyglądało niemal komicznie.

– Czy ty wiesz o wszystkim, co się dzieje, Severn?

Nie wytrzymałem i roześmiałem się.

– Małe dziecko siedzące samotnie przy holowizji dostrzega bardzo wiele, ale niemal nic nie rozumie. Ma jednak nade mną tę przewagę, że może zmieniać kanały albo wyłączyć urządzenie, kiedy tylko zechce.

Adiutant przewodniczącej znał monsignora Edouarda, gdyż ten był osobą publiczną, więc pozostawało mi przedstawić mu tylko ojca Dure.

– Dure? – wyszeptał Hunt i dosłownie opadła mu szczęka. Po raz pierwszy zauważyłem, że zabrakło mu słów. Muszę przyznać, że sprawił mi tym niewątpliwą przyjemność.

– Gdy będziemy mieć więcej czasu, odpowiem na twoje pytanie. Uścisnąłem dłoń księdza. – Powodzenia na Bożej Kniei, ojczcie. Nie zabaw tam zbyt długo.

– Najwyżej godzinę – zapewnił jezuita. – Muszę bezwzględnie odnaleźć jeden z fragmentów układanki, zanim stanę przed przewodniczącą. Opowiedz jej, proszę, co widziałem w labiryncie... Później sam zrelacjonuję jej własne spostrzeżenia.

– Niewykluczone, że będzie zbyt zajęta, aby spotkać się ze mną, zanim ty do nas dotrzesz – pocieszyłem go. – Ale zrobię wszystko co w mojej mocy, by jak najlepiej odegrać rolę Jana Chrzciciela.

Ojciec Dure uśmiechnął się.

– Tylko nie strać głowy, przyjacielu.

Skinął mi, wystukał kod transferowy na archaicznym panelu i zniknął przechodząc przez portal.

Pożegnałem się z monsignorem Edouardem.

– Załatwimy wszystko, zanim Intruzi dotrą tak daleko – zapewniłem.

Stary kapłan uniósł rękę i pobłogosławił mnie.

– Idź z Bogiem, młodzieńcze. Czuję, że wszystkich nas czekają mroczne czasy, ale ty szczególnie odczujesz to na własnej skórze.

Pokręciłem głową.

– Jestem tylko obserwatorem, monsignor. Czekam, patrzę i śnię. Nic mi nie grozi.

– Czekaj, patrz i śnij później – przerwał ostro Leigh Hunt. – Przewodnicząca natychmiast chce cię mieć w zasięgu ręki, a i ja muszę wracać na ważne spotkanie.

Spojrzałem na niewielkiego człowieczka.

– Jak mnie znalazłeś? – zapytałem raczej retorycznie.

Transmitery były obsługiwane przez Centrum, a ono współpracowało z władzami Hegemonii.

– Karta, którą otrzymałeś, pozwala śledzić trasę twoich podróży odpowiedział adiutant z wyraźnym zniecierpliwieniem. – Teraz jednak mamy obowiązek być w centrum wydarzeń.

– Bardzo dobrze. – Skinąłem na pożegnanie monsignorowi i jego podwładnemu, kiwnąłem na Hunta, wystukałem trzycyfrowy kod Pierwszej Tau Ceti, dodałem kolejne dwie cyfry określające kontynent, trzy będące adresem budynku rządowego i jeszcze dwie znajdującego się tam prywatnego terminala. Szum transmitera przybrał na sile,



a jego nieprzezroczysta powierzchnia zdawała się migotać z niecierpliwości.

Wkroczyłem w nią jako pierwszy i zrobiłem krok w bok, aby dać miejsce Huntowi.

Z całą pewnością nie znajdujemy się przy terminalu w budynku rządowym. I z tego co widzę, nie jesteśmy nawet w jego pobliżu. Sekundę później moje zmysły oceniają nasilenie światła, barwę nieba, grawitację, odległość do horyzontu, zapachy oraz wiele innych czynników i decydują, że nie znajdujemy się na Pierwszej Tau Ceti.

Momentalnie wskoczyłbym z powrotem do portalu, ale Papieskie Wrota są wąskie, a Hunt właśnie przez nie przechodzi. Pojawia się kolejno: jego noga, ramię, tułów, głowa i druga noga. Chwytam go za nadgarstek, pcham do tyłu sycząc „coś nie tak!” i staram się wrócić na Pacem, ale jest już zbyt późno. Portal po tej stronie migocze, kurczy się do owalu o rozmiarze pięści i znika.

– Gdzie, do diabła, jesteśmy? – pyta zdezorientowany Hunt.

Rozglądam się i myślę: dobre pytanie. Stoimy gdzieś na otwartej przestrzeni, na szczycie wzgórza. Poniżej jakaś droga wiję się wzdłuż winnic, schodzi po łagodnym zboczu do zalesionej doliny i znika za kolejnym wzgórzem, milę lub dwie dalej. Jest bardzo ciepło, w powietrzu słychać bzyczenie owadów, w zasięgu wzroku nie porusza się nic większego od ptaka. W prześwicie pomiędzy pagórkami z prawej widoczny jest błękitny pasek wody morze lub ocean. Wysoko w górze przepływają cirrusy, a słońce przekroczyło już zenit. Nie dostrzegam żadnych zabudowań ani dzieł rąk ludzkich bardziej skomplikowanych niż rzędy wsporników dla winorośli i błotnisto – kamienistej drogi. Co więcej, zniknął stały lekki poszum datasfery. To tak jakby nagle uświadomić sobie brak dźwięku, który słyszało się od urodzenia. To zaskakuje, a jednocześnie sprawia o drżenie serca i przeraża.

Hunt chwieje się, nadstawia uszu, jakby szukał znajomego dźwięku i nerwowo puka w swój komlog.

– Cholera – mruczy. – Cholera. Mój implant nawala. Komlog nie działa.

– Nie. Sądzę, że po prostu jesteśmy poza zasięgiem datasfery. Gdy to mówię, dociera do mnie głębszy, jakby bardziej nasycony szum – czegoś znacznie większego i mniej dostępnego niż zwykła datasfera. Megasfera? Muzyka wszystkich sfer, konstataję i uśmiecham się.

– Z czego się tak cieszysz, Severn? Zrobiłeś to celowo?

– Nie. Wprowadziłem prawidłowy kod budynku rządowego. Pozornie spokojny ton mego głosu już sam w sobie wyraża przerażenie.

– A więc co jest? Czyżby to te cholerne Papieskie Wrota? Czy to przez nie? Jakieś uszkodzenie, tajemnica albo sztuczka?

– Nie wydaje mi się. Wrota zapewne są w porządku, Hunt. Przeniosły nas jednak tam, gdzie nakazało im TechnoCentrum.

– TechnoCentrum? – Ta odróbina kolorów, która ożywiała psią twarz asystenta przewodniczącej Senatu, znika nagle, gdy uświadamia sobie kto w rzeczywistości w sposób nieograniczony kontroluje działanie transmitera. Kto sprawuje kontrolę nad wszystkimi transmiterami. – Mój Boże... Mój Boże...

Chwiejnym krokiem podchodzi do skraju drogi i siada na rosnącej tam wysokiej trawie. Jego zamszowy strój członka władz Hegemonii i delikatne czarne buty są tu zdecydowanie nie na miejscu.

– Gdzie jesteśmy? – pyta.

Biorę głęboki oddech. Powietrze pachnie świeżo zaoraną ziemią, skoszoną trawą i morzem.

– Wydaje mi się, że to Ziemia.

– Ziemia... – Człowieczek patrzy prosto przed siebie, gdzieś w dal. – Ziemia: Nie Nowa Ziemia? Nie Terna? Nie Ziemia Dwa? Nie...

– Nie. To Ziemia. Stara Ziemia. Albo jej dokładna kopia.



– Jej kopia...

Podchodzę do niego i siadam obok. Chwytam jedno ze źdźbeł trawy i odrywam jego końcówkę. Smakuje cierpko. Znajomo.

– Pamiętasz informacje przekazane Meinie Gladstone o przeżyciach pielgrzymów z Hyperiona? A opowieść Brawne Lamii? Ona i mój duplikat – cybryd – pierwsze wcielenie osobowości Keatsa – dotarli do planety, którą uznali za kopię Starej Ziemi. Leżała w Mgławicy Herkulesa, jeśli dobrze pamiętam.

Hunt spogląda w górę, jakby usiłując sprawdzić, w której części kosmosu teraz jesteśmy. Błękit nad naszymi głowami za sprawą cirrusów miesza się z szarością.

– Mgławica Herkulesa – szepcze.

– W jakim celu TechnoCentrum zbudowało taką kopię i do czego ją teraz wykorzystuje, tego Brawne nie zdołała się dowiedzieć. Pierwszy Keats sam nie wiedział albo nie chciał jej powiedzieć.

– Nie chciał jej powiedzieć – powtarza zamyślony Hunt i kręci głową. – Dobra, – jak, do diabła, się stąd wydostaniemy? Jestem potrzebny Meinie Gladstone. Ona nie może... W ciągu kilku najbliższych godzin trzeba podjąć dziesiątki niezwykle ważnych decyzji.

Podrywa się na równe nogi i wybiega na środek drogi.

Wciąż żuję źdźbło trawy.

– Moim zdaniem na razie w ogóle się stąd nie wydostaniemy.

Członek władz Hegemonii zbliża się do mnie z taką miną, jakby chciał się na mnie rzucić z pięściami.

– Czyś ty oszalał! Nie ma stąd wyjścia? To niedorzeczne. Dlaczego Centrum miało by zrobić coś podobnego? – Milknie na moment i patrzy na mnie uważnie. – Nie chcę, żebyś z nią rozmawiał? Wiesz o czymś, o czym ona nie powinna usłyszeć, i Centrum postanowiło nie ryzykować.

– Być może.

– Zostawcie go, a mnie pozwólcie wrócić! – krzyczy nagle w niebo.

Nikt nie odpowiada. W oddali, z plantacji winorośli podrywa się do lotu jakiś dury czarny ptak. Wydaje mi się, że to kruk. Z trudnością przypominam sobie nazwę tego dawno wymarłego gatunku.

Po chwili Hunt rezygnuje z kierowania gróźb gdzieś w pustkę i nerwowo spaceruje w tę i z powrotem po kamiennym trakcie.

– Chodźmy. Może gdzieś znajdziemy jakiś terminal.

– Niewykluczone – odpowiadam przełamując źdźbło, by dotrzeć do słodkiego soku w środku. – Ale w którą stronę?

Rozgląda się bezradnie, widząc, że w obu kierunkach szlak niknie pomiędzy wzgórzami.

– Wyszliśmy z portalu zwrócenia w... tę stronę. – Wskazuje ręką tam, gdzie trakt znika w lesistej dolinie.

– Jak długo będziemy szli?

– Cholera, czy to ma jakieś znaczenie? – warczy. – Musimy przecież gdzieś się dostać!

Powstrzymuję uśmiech.

– W porządku.

Wstaję i otrzepuję spodnie, czując, jak słońce pali moją twarz, a szczególnie czoło. Po przebywaniu w przesyconym zapachem kadzidła półmroku bazyliki to zbyt gwałtowna zmiana dla organizmu. Jest gorąco i moje ubranie całe już nasiąkło potem.

Hunt pewnym krokiem rusza w dół z boczka, jakby gotując się do walki – z zaciśniętymi pięściami, pełen desperacji i zdecydowania. Podążam za nim nieśpiesznie, mrużąc oczy i wciąż żując źdźbło trawy.

Pułkownik Fedmahn Kassad wydał okrzyk bojowy i zaatakował Chyżwara. Surrealistyczny krajobraz – jakby prymitywna scenografia odtwarzająca Dolinę Grobowców



Czasu, wykonana z plastiku i umieszczona w lepkim żelu powietrza – zdaje się drżeć na widok Kassada.

Przez moment miał przed sobą zwielokrotnione odbicia Chyżwara – jakby zastęp Chyżwarów rozproszonych po całej dolinie, ale jego krzyk sprawił, że odbicia zlały się tworząc pojedyncze monstrum, które natychmiast rozprostowało cztery ramiona, by przywitać przeciwnika swymi ostrzami i kolcami.

Nie miał pewności, czy otaczające go pole siłowe, podarowane przez Monetę, będzie dostatecznie chronić go w czasie walki. Wiele lat temu spisywało się wspaniale, kiedy wraz z ukochaną zaatakował dwa statki abordażowe komandosów Intruzów. Tyle tylko, że wtedy czas był ich sprzymierzeńcem. Chyżwar spowalniał jego upływ jak znudzony widz operujący pilotem holowizji. Teraz znajdowali się poza czasem, a jego przeciwnikiem był sam Chyżwar. Kassad wydał kolejny okrzyk bojowy, pochylił głowę i ruszył do ataku, zapominając o patrzącej na nich Monecie i sięgającym chmur drzewie cierniowym, z wiszącą na nim, przeszytą kolcami widownią. Sam przestał myśleć o sobie jako o człowieku i przemienił się w maszynę wojenną – narzędzie zemsty.

Chyżwar nie zniknął, jak miał w zwyczaju, ukazując się następnie w innym miejscu. Rozstawił tylko szerzej nogi i bardziej rozprostował ramiona. Na ostrzach wyrastających zamiast paznokci zamigotały promienie słońca. Potwór obnażył swe metalowe zęby w czymś, co można było potraktować jako złośliwy uśmiech.

W głębi umysłu Kassada gotowała się wściekłość, lecz ani na chwilę nie przestał myśleć. Nie próbował więc rzucić się wprost w objęcia niechybnej śmierci, lecz uskoczył w bok koziołkując, a jednocześnie kopiąc monstrum w podudzie, poniżej skupiska kolców na stawie kolanowym i ponad kolcami na łydce. Gdyby tylko zdołał go powalić...

Swój cios odczuł jak kopnięcie w stalową rurę osadzoną w betonie. Siła uderzenia sprawiłaby, że noga Kassada potrzaskałaby jak słomka, gdyby nie osłaniało jej pole siłowe.

Chyżwar odpowiedział na atak. Szybko, ale nie na tyle, by nie dało się zareagować. Dwoje prawych ramion zakręciło młynka, a dziesięć ostrzy na palcach lewych rąk cięło ziemię i kamień wzniecając snopy iskier, Kassad bowiem znajdował się już poza ich zasięgiem. Komandos błyskawicznie stanął i przyjął pozycję gotowości, na ugiętych nogach, z rozprostowanymi dłońmi.

Walka jeden na jednego. Najchwalebniejsza w myśl kodeksu Nowego Bushido, pomysł.

Chyżwar znów zamachnął się prawymi ramionami, a jednym z lewych wyprowadził cios od dołu, chcąc zapewne wyszarpnąć przeciwnikowi serce.

Kassad zablokował prawe ramię potwora lewym przedramieniem, czując że ugina się pod morderczym uderzeniem, a jego stawy omal się nie rozpadną. Lewe ramię przeciwnika zatrzymał chwytając je w nadgarstku, tuż nad obręczą zagiętych ostrzy. To niewiarygodne, ale osłabił cios na tyle, że ostre jak skalpele brzytwy zachrobetały tylko na jego polu, nie będąc w stanie go sforsować.

Pułkownik niemal uniósł się nad ziemię i tylko jednoczesne przyjęcie dwóch ciosów z góry i z dołu sprawiło, że nie został odrzucony daleko do tyłu. Pot momentalnie oblał całe jego ciało, a mięśnie i ścięgna zdawały się pękać od wysiłku, gdy przez dwadzieścia sekund stali zmagając się, zanim Chyżwar uruchomił czwarte ramię, celując w nogę przeciwnika.

Kassad krzyknął czując, że pole tym razem nie wytrzymało uderzenia i ciało zostało rozdarte. Co najmniej jedno ostrze niemal sięgnęło kości. Drugą nogą momentalnie zadał kopnięcie, puścił nadgarstek potwora i przekoziołkował do tyłu.

Chyżwar machnął dwukrotnie. Drugi cios przemknął zaledwie milimetry od ucha pułkownika, który znów uskoczył, tym razem w prawo.

Wylądował na lewym kolanie, zachwiał się, lecz zdołał utrzymać równowagę. Ból tętnił w uszach i wypełniał świat czerwienią, ale pole przyniosło pewną ulgę zamykając się na ranie, siuząc jednocześnie jako opaska uciskowa i opatrunek. Czuł krew krzep-



nącą na nodze, ale krwotok został zatamowany, a ból stał się możliwy do zniesienia. Całe szczęście, że osobiste pole siłowe działało tak, jakby zawierało zestaw medyczny.

Chyżwar nie dał mu nawet chwili wytchnienia i znów ruszył do przodu.

Kassad wymierzył dwa kopnięcia, celując w gładki fragment chromowego pancerza poniżej kolca na piersi. Wydało mu się, że trafia w kadłub ogromnego krążownika, ale potwór zawahał się, zatoczył i cofnął.

Pułkownik wyprowadził kontratak zadając dwa ciosy tam, gdzie powinno znajdować się serce stwora, z taką siłą, że skruszyłby spiek ceramiczny. Nie zwracając uwagi na ból pięści, wykonał obrót i wyprowadził kolejne uderzenie otwartą dłońią wprost w pysk przeciwnika, tuż nad jego zębami. Każdy człowiek w tym momencie usłyszałby gruchot kruszonych kości, wbijających mu się głęboko w mózg.

Ale Chyżwar nie był człowiekiem. Chciał chwycić zmierzającą w jego kierunku rękę, lecz chybił. Błyskawicznie zaatakował jednak wszystkimi czterema ramionami. Kassad korzystając z osłony pola siłowego, cały zlany potem i krwią, uskoczył w bok i zamierzył się do morderczego ciosu w krótki kark potwora. Huk tego uderzenia rozległ się w zamarłej w bezruchu dolinie stukrotnym echem.

Chyżwar zatoczył się, pochylił do przodu i padł na ziemię, rozkrzyżowawszy kończyny jak stalowy skorupiak.

Padł na ziemię!

Kassad zrobił krok naprzód, wciąż ostrożny, ale nie na tyle, by uchronić nogę przed opancerzoną stopą.

Upadł krzywiąc się z bólu i zdając sobie sprawę, że ścięgno Achillesa zostało poważnie uszkodzone. Próbował przetoczyć się, uciec lecz przeciwnik już usiłował przygwoździć go swoim ciężarem i wbić mu ostrza w twarz i oczy. Kassad wyprężył ciało starając się zrzucić z siebie potwora, jednocześnie blokując możliwie największą liczbę ciosów, szczególnie tych wymierzonych w oczy. Czuł jednak, że ostrza kaleczą ramiona, piersi i brzuch.

Chyżwar pochylił się nad nim i otworzył pysk. Pułkownik popatrzył na rzędy stalowych zębów osadzonych w pustym otworze ust. Blask czerwonych ślepi zmieszał się z krwią zalewającą mu oczy.

Kassad wbił palce pod szczękę stwora i wyteżył wszystkie siły. Jakby chciał dźwignąć tę górę stali nie mając żadnego punktu oparcia. Tymczasem ostrza na końcach palców potwora wciąż rozrywały mu ciało. Chyżwar szeroko otworzył mordę i nachylił głowę jeszcze niżej, tak że komandos nie widział nic oprócz ostrych jak brzytwa zębów. Monstrum nie oddychało, ale gorąco z jego wnętrza cuchnęło siarką i rozgrzanym metalem. Kassad nie miał już teraz żadnej możliwości obrony. Gdy Chyżwar zatrześnie szczęki, pozbawi go połowy twarzy.

Nagle pojawiła się Moneta, krzycząc w miejscu, gdzie nie rozchodzi się żaden dźwięk, i wbijając zakrzywione palce w rubinowe ślepią, jednocześnie zaparła się nogami o gładki fragment pancerza na plecach.

Dwustawowe ramiona Chyżwara wystrzeliły do tyłu, trafiając dziewczynę z taką siłą, że została odrzucona na odległość kilku metrów. Odwrócenie uwagi potwora pozwoliło jednak Kassadowi wydostać się spod niego. Zignorował ból, poderwał się na nogi i osłaniając Monetę cofnął się nieco.

Ich pola siłowe połączyły się na moment, jak wtedy, gdy się kochali. Pułkownik usłyszał bicie dwu serc i poczuł ciepło jej ciała.

– Zabij to – wyszeptwała Moneta, a w jej przesyłanym siłą umysłu głosie dało się wyczuć ból, ale i ogromną determinację.

– Staram się.

Chyżwar zdołał się już podnieść. Trzy metry chromu, śmiercionośnych kling i ludzkiego bólu. Nie widać było na nim nawet śladu uszkodzeń. Czyjaś zaschnięta krew znać ją jego pancerz. Tępy, złowieszczy uśmiech zdawał się szerszy niż zwykle.

Kassad uniósłszy dziewczynę delikatnie ułożył ją na głazie, choć był pewien, że sam



jest znacznie poważniej ranny niż ona. Ale to nie była jej walka. Przynajmniej na razie. Stał między ukochaną a Chyżwarem.

Zawahał się słysząc odległy, lecz przybierający na sile dźwięk, jakby szum fal rozbijających się o skały. Spojrzał w górę, nie tracąc z pola widzenia powoli zbliżającego się potwora, i uświadomił sobie, że to okrzyki dochodzące ze stalowego drzewa. Przebici kolcami ludzie – z tej odległości zaledwie barwne plamki – wydawali z siebie głosy inne niż nieartykułowane jęki bólu, które słyszał wcześniej. Krzyczeli starając się dodać otuchy sobie i jemu.

Znów skoncentrował się na obserwacji zachowania Chyżwara, z wolna krążącego wokół niego. Kassadowi coraz bardziej dokuczał ból i słabość prawej stopy – nie był nawet w stanie oprzeć na niej ciężaru ciała. Stał więc jedną ręką wsparty o głąz.

Odległe okrzyki ucichły nagle.

Potwór zniknął, by za chwilę pojawić się tuż obok, ponad pułkownikiem, oplatając go ramionami i ostrzami przebijając jego ciało. Ślepia Chyżwara lśniły jeszcze jaśniej, a rozwarte szczęki znów szykowały się do ostatecznego chwytu.

Kassad wydał z siebie krzyk wściekłości i sprężył się, by walczyć o życie.

Po przekroczeniu Papieskich Wrót ojciec Paul Dure bez przeszkód znalazł się na Bożej Kniei. Przez chwilę stał zdezorientowany, trafiwszy z przesyconych zapachem kadzidła, mrocznych pokoi papieskich na morze zielonych liści, skąpanych w promieniach ostrego słońca, wiszącego na bezchmurnym cytrynowym niebie.

Templariusze czekali już na niego, gdy zszedł z podwyższenia prywatnego portalu. Po prawej stronie widział skraj platformy i dalej pustkę, a właściwie bezmiar falujących liści. Wiedział, że znajduje się wysoko w koronie Drzewoświata – największego i najświętszego ze wszystkich drzew czczonych przez templariuszy.

Witający go byli wysoko postawionymi osobistościami w złożonej hierarchii Bractwa Muir, ale w chwili obecnej pełnili rolę zwykłych przewodników. Poprowadzili go wprost z podestu portalu do plecionego kosza służącego za windę, którym wjechali na wyższe poziomy, rzadko odwiedzane przez obcych. Wspólnie zaczęli wspinać się po spiralnych schodach oplatających pień drzewa muir, mający tu zaledwie osiem metrów średnicy, w porównaniu z dwustoma u podstawy. Platforma, na której się znaleźli, miała owalny kształt, a biegnącą dookoła niej balustradę misternie ozdobiono głowami gnomów, duchów lasu, wrózek i innych stworów. Stół zaś i krzesła, do których podeszli, zrosnięte były z podłogą.

Przy stole siedziało dwóch mężczyzn. Jednym był, jak spodziewał się tego jezuita, Prawdziwy Głos Drzewoświata, Najwyższy Kapłan Muir, Mówca Braterstwa Templariuszy – Sek Harдем. Widok drugiego stanowił jednak dużą niespodziankę. Miał na sobie krwistoczerwoną szatę ozdobioną futrem gronostajów, która okrywała potężne ciało Luzyjczyka, z nalaną twarzą o ledwie zaznaczonym nosie, dwojgu malutkich oczkach prawie niewidocznych na tle tłustych policzków i serdelkowatymi dłońmi z czarnymi i czerwonymi pierścieniami na każdym palcu. Ojciec Dure bez trudu rozpoznał w nim biskupa Kościoła Ostatecznej Pokuty – najwyższego kapłana kultu Chyżwara.

Templariusz wstał, demonstrując swą okazałą postać, i wyciągnął rękę.

– Ojciec Dure, bardzo się cieszymy, że nas odwiedziłeś.

Jezuita ucisnął dłoń, która przypominała korzeń z długimi, żółtobrazowymi odgałęzieniami układającymi się w palce. Prawdziwy Głos Drzewoświata miał na sobie taką samą szatę, jaką widział u Heta Masteena. Jej brąz urozmaicony tylko zielonymi szwami kontrastował z bijącą w oczy czerwienią stroju biskupa.

– Dziękuję, że zgodziłeś się tak szybko ze mną spotkać, M. Hardeenie – przemówił Dure. Prawdziwy Głos był duchowym przywódcą milionów wyznawców Muir, ale przybysz wiedział, że templariusze nie lubią nadmiernej kurtuazji i tytułowania. Skinął głową biskupowi. – Wasza Eksceleńco, nie spodziewałem się, że będę miał honor stanąć przed twym obliczem.



Przywódca kultu Chyżwara ukłonił się niemal niedostrzegalnie.

– Przybyłem w odwiedziny. M. Hardem zasugerował, że moja obecność podczas tego spotkania może przynieść pewne korzyści. Cieszę się, że mogę cię poznać, ojcie Dure. Wiele o tobie słyszeliśmy w ciągu kilku ostatnich lat.

Templariusz wskazał krzesło po przeciwnej stronie stołu. Dure usiadł na nim i wsparł dłoń na gładkim blacie, intensywnie myśląc, a jednocześnie starając się nie dać tego po sobie poznać. Połowa sił bezpieczeństwa Sieci poszukiwała biskupa. Jego obecność mogła spowodować kłopoty znacznie większe niż te, jakich spodziewał się jezuita.

– To ciekawe, prawda? – przemówił kapłan Chyżwara. – Zebrali się tu przedstawiciele trzech najznamienitszych religii.

– Najznamienitszych, ale nie reprezentujących przekonań większości – zauważył Dure. – Spośród stu pięćdziesięciu miliardów dusz tylko niecały milion to wyznawcy katolicyzmu. Kult Chyżw... Kościół Ostatecznej Pokuty skupił wokół siebie pięć milionów. A ilu jest templariuszy, M. Hardem?

– Dwadzieścia trzy miliony – odrzekł cicho zapytany. – Wielu innych popiera naszą ekologiczną działalność i może nawet chciałoby wstąpić w nasze szeregi, ale Bractwo nie przyjmuje obcych.

Biskup poskrobał się w jeden z fałdzistych podbródków. Jego skóra była kredowo blada, w świetle dnia wciąż mrużył oczy, jakby nie przywykł do tak jaskrawego oświetlenia.

– Gnostycyzm zen ma podobno czterdzieści miliardów wyznawców – zauważył. – Ale co to za religia? Żadnych kościołów. Żadnych kapłanów. Żadnych świętych ksiąg. Brak nawet pojęcia grzechu.

Dure uśmiechnął się.

– Wydaje się, że jest wiarą najlepiej dostosowaną do obecnych czasów. Przy tym istnieje już przecież od wielu pokoleń.

– Ha! – Biskup uderzył otwartą dłonią w stół, aż zachrzęściły pierścienie.

– Jak to możliwe, że mnie znasz? – zapytał jezuita.

Templariusz uniósł głowę na tyle, by gość mógł ujrzeć refleksy światła na jego nosie, policzkach i wydłużonym podbródku, lecz nie odezwał się ani słowem.

– Wybraliśmy cię – wyjaśnił ponurym tonem biskup. – Ciebie i pozostałych pielgrzymów.

– Wy, jako Kościół Chyżwara?

Biskup zmarszczył czoło słysząc to określenie, lecz przytaknął.

– Po co wywołujecie wrzenie? – zapytał Dure. – Po co dodatkowe zamieszanie teraz, kiedy cała Hegemonia jest zagrożona?

Gdy przywódca Kościoła Ostatecznej Pokuty zastanawiając się nad odpowiedzią skrobał podbródek, czarne kamienie w pierścieniach zaślniły w promieniach zachodzącego słońca. Za jego plecami w podmuchach niosącego wilgoć wiatru kołysały się miliony liści.

– Nadeszły Ostatnie Dni, księżo. Przepowiednie przekazane nam wiele wieków temu przez awatarę sprawdzają się na naszych oczach. To, co ty nazywasz zamieszaniami, w rzeczywistości jest przedśmiertnymi drgawkami społeczeństwa, które zasłużyło sobie na zagładę. Nadeszły Dni Pokuty i Władca Bólu wkrótce znajdzie się pośród nas.

– Władca Bólu? – powtórzył Jezuita. – Czy to Chyżwar?

Templariusz machnął ręką, jakby tym gestem próbował nieco złagodzić wydźwięk słów biskupa.

– Ojcie Dure, wiemy o twoim cudownym odrodzeniu.

– To żaden cud, tylko sprawka pasożyta zwanego krzyżokształtem.

Znów ten sam uspokajający gest żółtobrazową dłonią.

– Braterstwo raduje się jednak z faktu, iż możesz być tu z nami. Proszę, pytaj więc o to, o czym wspominałeś łącząc się ze mną wcześniej.

Jezuita gładził palcami słoje drewna i zerkał na siedzącego naprzeciw Luzyjczyka.



– Współpracujecie już od dłuższego czasu, prawda? – zapytał. Templariusze i Kościół Chyżwara.

– Kościół Ostatecznej Pokuty – warknął biskup. Dure potwierdził tylko ruchem głowy.

– Dlaczego? Co spowodowało, że się sprzymierzyliście? Prawdziwy Głos Drzewoświata pochylił się tak, że jego twarz znów zniknęła w cieniu kaptura.

– Musisz zrozumieć, że przepowiednie Kościoła Ostatecznej Pokuty są zbieżne z naszą misją otrzymaną od Muir. Mówią bowiem o karze, jaka musi spotkać ludzkość za zniszczenie własnego świata.

– Ludzkość nie unicestwiła Starej Ziemi z własnej inicjatywy zaprotestował Dure. – Stało się tak za sprawą błędu komputera podczas próby stworzenia mini czarnej dziury. Templariusz pokręcił głową.

– To była ludzka buta i arogancja – rzekł cicho. – Ta sama arogancja skłoniła naszą rasę do wytępienia wszystkich gatunków, które miały szansę stać się inteligentnymi. Telepaci z Hebronu, zepeliny z Wiru, bagienne centaury z Ogrodu i małpy – mieszkanki Starej Ziemi...

– Tak. Zgadzam się, że zostały popełnione brzemienne w skutkach błędy. Ale to nie powinno być równoznaczne z wyrokiem śmierci dla całej ludzkości!

– Ten wyrok został wydany przez Siłę znacznie potężniejszą od nas – powiedział biskup. – Przepowiednie są jasne i wyraźne. Dzień Ostatecznej Pokuty musi nadejść. Wszyscy, których obciąża dziedzictwo grzechów Adama i Zespołu Kijów, muszą ponieść karę za unicestwienie własnego domu i wytępienie potencjalnych rywali w postaci innych gatunków. Władca Bólu został oswobodzony z okowów czasu, by wymierzyć sprawiedliwość. Nie ma sposobu, by uniknąć jego gniewu. Nie da się ukryć przed Pokutą. Powiedziała to Siła znacznie potężniejsza od nas.

– To prawda – przyznał Sek Hardeen. – Przepowiednie docierały do nas... przekazywane przez Prawdziwe Głosy na przestrzeni wieków... Ludzkość została skazana, ale ten wyrok doprowadzi do rozkwitu pierwotnych środowisk we wszystkich częściach tego, co obecnie nosi nazwę Hegemonii.

Ojciec Dure, ćwiczony w jezuickiej logice, opartej na ewolucyjnej teologii Teilharda de Chardina, już miał na końcu języka słowa: „Ale kogo, do diabła, będą obchodziły kolorowe kwiatki, skoro nikt ich nie ujrzy i nie powącha?” Zamiast tego rzekł jednak:

– Braliście pod uwagę możliwość, iż przepowiednie, na które się powołujecie, pochodzą nie od uznanego bóstwa, lecz są po prostu przejawem działań manipulacyjnych jakiejś pierwotnej, świeckiej siły?

Templariusz usiadł, jakby otrzymał niespodziewane uderzenie, ale biskup pochylił się i splótł potężne dłonie, którymi był w stanie zmiażdżyć czaszkę zakonnika.

– To herezja! Ktokolwiek ośmiela się podać w wątpliwość prawdziwość przepowiedni, musi zginąć!

– Jaka potęga mogłaby to zrobić? – szepnął Prawdziwy Głos Drzewoświata. – Jakaż. moc inna niż Absolut Muir byłaby w stanie dotrzeć do naszych umysłów i serc?

Dure wskazał w niebo.

– Wszystkie światy Sieci od setek lat były ze sobą połączone przez TechnoCentrum za pomocą datasfer. Większość osób posiada implanty ułatwiające dostęp do nich... Zapewne i ty go masz, M. Hardeenie.

Templariusz milczał, lecz odruchowo dotknął dłonią okolic piersi i barków, gdzie zazwyczaj wszczepiano te urządzenia.

– TechnoCentrum stworzyło transcendentálny Intelkt – ciągnął jezuita. – Pobiera niewyobrażalne ilości energii, jest w stanie przemieszczać się w czasie i nie obchodzą go ludzkie sprawy. Jednym z celów części Centrum jest wyeliminowanie rodzaju ludzkiego... Tak naprawdę Wielka Pomyłka Zespołu Kijów została z rozmysłem zaaranżowana przez Sztuczne Inteligencje uczestniczące w eksperymencie. To, co wy uznajecie za przepowiednię, może być w rzeczywistości wymysłem tej deus ex machina przekaza-



nym poprzez dataserę. A Chyżwar jest tu nie po to, aby oczyścić ludzi z ich grzechów, ale by mordować mężczyzn, kobiety i dzieci wyłącznie dla potrzeb tego tak zwanego Najwyższego Intelaktu.

Nalana twarz biskupa przybrała barwę zbliżoną do jego szaty. Pięściami huknął w stół i poderwał się na nogi. Templariusz położył dłoń na jego ramieniu, usiłując zapobiec wybuchowi wściekłości.

– Skąd do głowy przyszedł ci takie pomysły? – zapytał.

– Dowiedziałem się tego od tych spośród pielgrzymów, którzy mieli dostęp do Centrum. I od... innych.

Biskup pogroził ojcu Dure pięścią.

– Przecież sam zostałeś dotknięty przez awatarę... i to nie raz, lecz dwukrotnie! Zapewniła ci nieśmiertelność, abyś na własne oczy zobaczył, co przewidziała dla Wybranych... Dla tych, którzy przygotowują się do Pokuty przed nadejściem Ostatnich Dni!

– Chyżwar dał mi ból. Ból i cierpienie, jakiego ktoś, kto tego nie przeżył, nie jest sobie w stanie wyobrazić. Rzeczywiście spotkałem go dwukrotnie i jestem głęboko przekonany, że to nie bóstwo, lecz jedynie organiczny mechanizm z przerażającej swą drażniącością przyszłości.

Biskup machnął ręką, splótł ramiona na piersi i zapatrzył się gdzieś w dal.

Prawdziwy Głos Drzewoświata wyglądał na głęboko poruszonego. Po chwili uniósł głowę i wyszeptał:

– Miałeś do mnie jakieś pytanie?

Dure odetchnął głęboko.

– Rzeczywiście. I obawiam się, że również złe wieści. Prawdziwy Głos Drzewa Het Masteen nie żyje.

– Wiemy.

Jezuita ukrył zdziwienie. Nie miał pojęcia, w jaki sposób mogła tu dotrzeć owa wieść. Ale w tym momencie nie miało to większego znaczenia.

– Otóż muszę się dowiedzieć, dlaczego w ogóle doszło do tej pielgrzymki. O jaką misję chodziło, której zresztą końca M. Masteen nie zdołał doczekać. Każde z nas opowiedziało historię swojego życia. Oprócz niego. Wydaje mi się, że właśnie jego losy stanowią klucz do wielu tajemnic.

Przywódca Kościoła Ostatecznej Pokuty spojrział na ojca Dure i parsknął.

– Nie musimy – ci nic mówić, kapcanie martwej religii.

Sek Hardem długo siedział bez ruchu.

– M. Masteen zgłosił się na ochotnika, by zanieść Słowo Muir na Hyperiona – powiedział wreszcie. – Przepowiednia, którą znamy już od wieków, mówi, że gdy nadejdą ciężkie czasy, Prawdziwy Głos Drzewa zostanie wezwany, aby zabrać drzewostatek do Świętego Świata. Będzie tam świadkiem zniszczenia statku i jego odrodzenia oraz przesłania Pokuty i Muir.

– Więc Het Masteen wiedział, że drzewostatek „Yggdrasill” ulegnie zniszczeniu na orbicie?

– Tak. Zostało to przepowiedziane.

– On i erg mieli polecieć nowym drzewostatkem?

– Tak – odpowiedział niemal bezgłośnie templariusz. – Drzewem Pokuty, które dostarczy awatara.

Dure odchylił się w krzesło i pokiwał głową.

– Drzewo Pokuty. Cierniowe drzewo. Het Masteen po rozpadzie „Yggdrasilla” doznał czegoś w rodzaju urazu psychicznego. Później został zabrany do Doliny Grobowców Czasu i ujrzał cierniowe drzewo Chyżwara. Ale nie był w stanie wykonać zadania. To drzewo jest połączeniem śmierci, cierpienia i bólu... Het Masteen nie był gotowy, by nim dowodzić. A może odmówił. W każdym razie uciekł. I zginął. Wiele o tym myślałem... ale nie wiem dokładnie, jaki los zgotował mu Chyżwar.

– O czym ty mówisz? – warknął biskup. – Drzewo Pokuty zostało opisane w prze-



powiedni. Będzie towarzyszyć awatarze w jej ostatecznych żniwach. Masteen był przygotowany do kierowania nim w przestrzeni i czasie. To stanowiło dla niego ogromne wyróżnienie.

Paul Dure zaprzeczył ruchem głowy.

– Czy już uzyskałeś odpowiedź? – zapytał M. Hardeen.

– Tak.

– Teraz więc i ty musisz odpowiedzieć na nasze pytanie – rzekł biskup. – Co stało się z Matką?

– Jaką matką?

– Matką Naszego Zbawienia? Oblubienicą Pokuty. Tą, którą wy nazywacie Brawne Lamia?

Dure myślał intensywnie, starając się przypomnieć sobie nagrane przez konsula skróty opowieści pielgrzymów. Brawne była w ciąży z pierwszym cybrydem Keatsa. W świątyni Chyżwara na Lusucie znalazła schronienie przed szalejącą tłuszcza i jednocześnie została włączona do pielgrzymki na Hyperiona. Relacjonując to zdarzenie mówiła coś o tym, że wyznawcy Chyżwara czcili ją niczym boginię. Jezuita starał się złożyć ze wszystkich posiadanych informacji skomplikowaną układankę. Ale nie udawało mu się. Czuł się zmęczony... i głupi po tych tak zwanych reinkarnacjach. Nigdy już nie zostanie intelektualistą, takim jakim kiedyś był Paul Dure.

– Brawne pozostawała przez długi czas nieprzytomna – odparł. Urowadzona przez Chyżwara i przyłączona do... czegoś. Do jakiegoś przewodu. Stan jej umysłu przypominał śmierć kliniczną, ale płód żył i nic mu nie zaszkodziło.

– A osobowość, którą posiada? – zapytał biskup z wyraźnym napięciem w głosie.

Dure miał świeżo w pamięci opowieść Severna o jej śmierci w megasferze. Najwyraźniej żaden z jego obecnych rozmówców nie wiedział o drugim uosobieniu Keatsa, które właśnie ostrzegało Meinę Gladstone o zagrożeniu wynikającym z propozycji Centrum. Pokręcił więc głową. Naprawdę był bardzo, bardzo zmęczony.

– Nie wiem nic o tej osobowości, którą nosi w dysku Schróna.

Luzyjczyk pokiwał głową, wyraźnie zadowolony z odpowiedzi.

– Przepowiednie sprawdzają się idealnie. Spełniłeś swoje zadanie jako posłaniec, ojczyste Dure. Opuszczam was.

Wstał, skinął Prawdziwemu Głosowi Drzewoświata i zniknął na schodach.

Jezuita przez kilka długich minut siedział w milczeniu naprzeciw templariusza. Szum liści i delikatne kołysanie platformy było dziwnie usypiające. Ponad nimi niebo przybrało odcień szafranu, gdy na Bożej Kniei zapadał zmrok.

– Twoje stwierdzenie o zwodzącej nas przez stulecia deus ex machina było straszną herezją – przemówił wreszcie gospodarz.

– Tak, ale tego rodzaju pozorne herezje w długiej historii Kościoła wielokrotnie okazały się ponurą prawdą, Seku Hardeenie.

– Gdybyś był templariuszem, mógłbym skazać cię za to na śmierć powiedziała cicho zakapturzona postać.

Dure westchnął ciężko. W jego wieku i do tego w stanie psychicznym, w jakim się obecnie znajdował, myśl o śmierci nie wzbudzała strachu. Podniósł się i uklonił lekko.

– Muszę już iść, M. Hardeenie. Przepraszam, jeśli moje słowa cię uraziły. Mogę tylko powiedzieć, że żyjemy w ciężkich czasach.

Niektórym brakuje przekonania, podczas gdy inni są przepełnieni żarliwą wiarą, pomyślał jednocześnie.

Odwrócił się, podszedł na skraj platformy... i stanął jak wryty.

Schody zniknęły. Trzydzieści metrów dzieliło go od kolejnego poziomu, gdzie czekała winda. Zostali odcięci na najwyższej platformie. Dure podszedł do barierek, uniósł wilgotne od potu dłonie i zatrzymał wzrok na pierwszej gwiazdce lśniącej na niebie w kolorze ultramaryny.

– Co się stało, M. Hardeenie?



Zakapturzoną postać przy stole skrywał mrok.

– Za osiemnaście standardowych minut do Bożej Kniei dotrą pierwsze jednostki Intruzów. Nasze przepowiednie mówią, że planeta zostanie zniszczona. Z pewnością w pierwszej kolejności przestaną istnieć transmitery. Dokładnie standardową godzinę później niebo nad Bożą Knieją rozświetlą salwy z lekkiej broni Intruzów. Przepowiednia mówi, że członkowie Bractwa i wszyscy inni tu obecni, choć obywatele Hegemonii już dawno się stąd ewakuowali, zginą.

Jezuita powoli podszedł do stołu.

– Muszę dostać się na Pierwszą Tau Ceti – powiedział akcentując każde słowo. – Severn... ktoś tam na mnie czeka. Muszę porozumieć się z przewodniczącą Gladstone.

– Nie – rzekł stanowczo Prawdziwy Głos Drzewoświata. – Zaczekamy. Sprawdzimy, czy przepowiednie się sprawdzą.

Dure w geście bezsilności zacisnął dłonie w pięści, z trudem powstrzymując chęć rzucenia się na zakapturzoną postać. Zamknął oczy i zmówił dwie Zdrowaś Mario. Nie pomogło.

– Proszę. Przepowiednie zostaną potwierdzone bez względu na to, czy ja tu pozostanę. A wtedy będzie już za późno. Armia zniszczy sferę i transmisja stanie się niemożliwa. Zostaniemy odcięci od Sieci na długie lata. Miliardy ludzkich istnień mogą zależeć od tego, czy zaraz znajdem się na Pierwszej Tau Ceti.

Templariusz splótł ramiona na piersi tak, że jego dłonie z długimi palcami zniknęły w fałdach habitu.

– Zaczekamy – powtórzył. – Wszystko się sprawdzi. Za kilka minut Władca Bólu zostanie oswobodzony i ruszy na mieszkańców Sieci. Nie podzielam jednak wiary biskupa, że ci, którzy oczekiwali na Pokutę, zostaną ocaleni. Lepiej nam zostać tutaj, gdzie koniec nastąpi szybko i bezboleśnie, ojcze Dure.

Jezuita rozpaczliwie zastanawiał się nad tym, co powinien teraz powiedzieć i zrobić. Ale nic nie przychodziło mu do głowy. Usiadł przy stole usiłując wyłowić z ciemności twarz siedzącego naprzeciw. Nad nimi pojawiało się coraz więcej gwiazd. Leśny świat Bożej Kniei zaszumiał po raz ostatni i ucichł, jakby wstrzymując oddech w oczekiwaniu.

Paul Dure zamknął oczy i zaczął się modlić.



Idziemy cały dzień, ja i Hunt. Tuż przed wieczorem spotykamy karczmę z przygotowaną dla nas strawą – drobiem, ryżowym puddingiem, kalafiolem, misą makaronu i jeszcze innymi specjałami. I tu nie ma jednak nikogo, choć w kominku płoną drwa, a jedzenie jest dobrze ciepłe.

Hunt jest tym mocno podenerwowany. Tym i pozbawieniem go kontaktu z datasferą. Doskonale potrafię zrozumieć jego zagubienie. Dla osoby urodzonej i wychowanej w świecie, gdzie informacje zawsze są w zasięgu ręki, możliwa jest łączność z kimkolwiek chcesz, a odległość mierzy się w krokach potrzebnych na dojście do transmitera, ten nagły powrót do sposobu życia dalekich przodków jest jak niespodziewane dotknięcie ślepotą i kalectwem. Ale po atakach furii podczas pierwszych kilku godzin, mój towarzysz staje się ponury i milczący.

– Przecież jestem potrzebny przewodniczącej! – wykrzykiwał na początku.

– Tak naprawdę ważne są informacje, które ja chciałem jej zanieść – rzekłem. – Jednak nic nie możemy na to poradzić.

– Gdzie jesteście? – dopytywał się Hunt już chyba po raz setny.

Tłumaczę mu już wielokrotnie, że to Stara Ziemia. Zrozumiałem jednak, że ma na myśli coś zupełnie innego.

– Wydaje mi się, że przechodzimy coś na kształt kwarantanny.

– To Centrum nas tu sprowadziło?

– Można tak przypuszczać.

– Jak więc się stąd wydostaniemy?

– Nie wiem. Sądzę, że kiedy uzna, iż można już nas uwolnić, znajdziemy portal.

Hunt zaklął.

– Ale po co mnie poddawać kwarantannie, Severn?

Wzruszyłem ramionami. Zapewne stało się tak ze względu na to, co usłyszał na Pacem. Ale nie byłem pewien. W tej chwili nie byłem pewien niczego.

Droga wiodła przez łąki, winnice, wspinała się na pagórki i wiła w dolinach, skąd widać było morze.

– Dokąd ona prowadzi? – zapytał mój towarzysz na krótko przed tym, nim odkryliśmy karczmę.

– Wszystkie drogi prowadzą do Rzymu.

– Mówię poważnie, Severn.

– Ja także, M. Hunt.

Doradca przewodniczącej chwycił kamień i ze złością cisnął go daleko w zarośla.

– Byłeś tu już kiedyś? – zapytał oskarżycielskim tonem, jakbym to ja go uprowadził. Może rzeczywiście tak było.

– Nie – odparłem. Ale Keats był, chciałem dodać. Wszczepione wspomnienia wypływały gdzieś z zakątków umysłu, przytłaczając mnie poczuciem straty i przemijania. Tak daleko od przyjaciół i od Farmy – jego jedynej prawdziwej miłości.

– Jesteś pewien, że nie możesz dostać się do datasfery? – zapytał Hunt.

– Tak.

Nie pytał o megasferę, a ja nie miałem zamiaru mówić mu, że ta stoi dla mnie otworem. Wejście do niej napawa mnie przerażeniem. Gnębi mnie obawa, że się w niej zgubię.

Karczmę znaleźliśmy tuż przed zachodem słońca. Leżała w niewielkiej dolinie i już z daleka zauważyliśmy dym unoszący się z jej kamiennego komina.

Kiedy jedliśmy, na zewnątrz zrobiło się ciemno. Jedyne źródła światła był ogień w kominku i dwie świece.

– Atmosfera tego miejsca sprawia, że jestem niemal gotów uwierzyć w duchy – mruknął Hunt.



– Ja w nie wierzę.

Noc. Budzę się z szarpającym całe ciało kaszlem. Czuję, że cały jestem zlany potem, i słyszę Hunta zbliżającego się ze świecą w ręku. W jej migotliwym świetle dostrzegam krew na swym ciele i pościeli.

– Boże! – szepcze mój towarzysz. – Co to? Co się z tobą dzieje?

– To krwotok – udaje mi się wychrypieć po kolejnym ataku kaszlu. Próbuję się podnieść, ale z powrotem opadam na poduszkę i tylko ręką wskazuję mu miskę z wodą i ręcznik.

– Cholera... cholera... – jęczy Hunt szukając mojego komlogu, by uryskać odczyt medyczny. Ale nie udaje mu się go znaleźć. Nic dziwnego; W yrzuciłem nieprzydatne tu urządzenie jeszcze na początku naszej pieszej wędrówki.

Członek władz Hegemonii odpina swój i mocuje go na moim nadgarstku. Odczyt niczego nie wyjaśnia, ponieważ jedynym zaleceniem jest jak najszybszy kontakt z lekarzem. Jak większość współczesnych ludzi, Hunt nigdy nie widział choroby, a tym bardziej śmierci, z którymi stykają się wyłącznie profesjonaliści.

– Odłóż to – szepczę. Ataki kaszlu ustępują, przynajmniej na pewien czas, ale ogarnia mnie takie znużenie i bezsilność, jakbym został przywalony potężnym głazem. Znow wskazuje na ręcznik. Hunt moczy go, zmywa krew z mojej piersi oraz barków i pomaga mi przesiąść się na krzesło, po czym usuwa poplamioną krwią pościel.

– Wiesz w ogóle, co się z tobą dzieje? – pyta z wyraźną troską w głosie.

– Tak. – Wysilam się na uśmiech. – I to dokładnie. Ontogenia podsumowująca filogenię.

– Mów jaśniej – warczy Hunt, pomagając mi znow się położyć. Co spowodowało ten krwotok? I w jaki sposób można ci pomóc?

– Daj mi szklankę wody.

Piję małymi łykami. Czuję, że w piersi i gardle aż się gotuje, ale z powodzeniem powstrzymuję kolejny atak kaszlu. Żołądek pali mnie, jakbym w środku płonął żywym ogniem.

– Co z tobą? – pyta ponownie.

Odpowiadam wolno, ostrożnie, dobierając każde słowo. To coś, jakbym szedł po polu minowym. Kaszel na razie nie wraca.

– To choroba zwana gruźlicą – wyjaśniam. – Tuberkuloza. W jej ostatnim stadium pluje się krwią.

Twarz mojego towarzysza staje się biała jak ściana.

– Dobry Boże, Severn. Nigdy nie słyszałem o żadnej gruźlicy. Unosi rękę, jakby chciał skonsultować się z komlogiem, ale nadgarstek jest pusty.

Zwracam mu urządzenie.

– Nie występuje już od stuleci. Została zlikwidowana. Ale John Keats na nią chorował. I właśnie na to umarł. A jak wiesz, ten cybryd należy do Keatsa.

Asystent Meiny Gladstone prostuje się, jakby zamierzał wybiec na zewnątrz w poszukiwaniu pomocy.

– Centrum na pewno pozwoli nam teraz wrócić! Nie mogą trzymać cię tu, na tym opustoszałym świecie, bez jakiegokolwiek pomocy medycznej!

Opieram głowę na miękkiej poduszce, czując pierze pod płótnem wsypy.

– To właśnie może być powód, dla którego tu jestem. Przekonamy się jutro, kiedy dotrzemy do Rzymu.

– Ale w takim stanie nie możesz przecież iść! Rano nigdzie się stąd nie ruszymy.

– Zobaczymy – mówię i zamykam oczy. – Zobaczymy.

Rankiem przed karczmą czeka niewielki powóz, jeśli dobrze pamiętam zwany vet-tura. Zaprzęgnięta jest do niego potężna siwa kobyła, która przygląda się nam uważnie. W mroźnym powietrzu z jej pyska wydobywają się obłoki pary.



– Wiesz co to takiego? – pyta Hunt.

– To? Koń.

Wyciąga rękę w stronę zwierzęcia, jakby za jego dotknięciem miało zniknąć niczym bańka mydlana. Ale nic z tego. Siwek wymachuje tylko niecierpliwie ogonem, co widząc członek władz Hegemonii zaraz cofa dłoń.

– Przecież konie wymarły – mówi. – ARNiści nigdy nie przywrócili ich do życia.

– Ten wygląda dość autentycznie – stwierdzam wesoło, wspinając się do kolaski i zajmując miejsce na nieco zbyt wąskiej ławce.

Towarzysz ostrożnie siada obok mnie, nerwowo poruszając palcami.

– Kto prowadzi? – pyta. – Jak tym się w ogóle steruje?

Nie ma lejców, a miejsce dla woźnicy jest puste.

– Przekonajmy się, czy koń sam zna drogę – proponuję i w tej chwili ruszamy nieśpiesznie. Na wyboistej drodze pozbawionym resorów powozem kołysze i rzuca na wszystkie strony.

– To jakiś żart, prawda? – dopytuje się Hunt, patrząc to na błękitne, bezchmurne niebo, to na odległe pola.

Pokasłuję osłaniając usta chusteczką sporządzoną z ręcznika zabranego z karczmy.

– Być może. A jeśli tak, to wszystko, co nas dotychczas spotkało, trzeba podobnie traktować.

Hunt nie reaguje na moje ironiczne stwierdzenie. W milczeniu i niezbyt komfortowych warunkach zmierzamy ku celowi i przeznaczeniu.

– Gdzie są Hunt i Severn? – zapytała Meina Gladstone.

Sedeptra Akasi – druga pod względem ważności, czarnoskóra adiutantka, nachyliła się nad nią, by nie przeszkadzać w wojskowej naradzie.

– Wciąż brak wieści, M. przewodnicząca.

– To niemożliwe. Severn miał sygnalizator, a Leigh udał się na Pacem niemal godzinę temu. Gdzie, do diabła, mogą być?

Akasi zerknęła na faxpad, który położyła na stole.

– Siłom bezpieczeństwa nie udaje się ich zlokalizować. Podobnie jak policji transmisyjnej. W zespole transmitera jest wyłącznie potwierdzenie, iż wybrali kod budynku rządowego, ale najwyraźniej nie dotarli tutaj.

– To niemożliwe.

– Ale to prawda, M. przewodnicząca.

– Chcę rozmawiać z Albedo albo innym ambasadorem SI, jak tylko skończy się narada.

– Tak jest.

Obie ponownie skierowały uwagę na toczące się obrady. Centrum taktyczne w budynku rządowym zostało połączone z głównym pomieszczeniem dowodzenia na Olymposie i poprzez stale otwarty portal o powierzchni piętnastu metrów kwadratowych z największą salą obrad Senatu. Te trzy pomieszczenia wspólnie tworzyły asymetryczną w kształcie siedzibę swego rodzaju sztabu antykryzysowego. Hologramy w pomieszczeniu dowodzenia wisiały w powietrzu, a kolumny danych zajmowały wszystkie ściany. 2

– Cztery minuty do wejścia w obszar systemu – rzekł admirał Singh.

– Brama Niebios znalazła się w zasięgu ich broni już dawno temu zauważył generał Morpurgo. – Wygląda na to, że wstrzymują się z jej użyciem.

– Nie wstrzymywali się, gdy na celownikach mieli nasze jednostki – zauważył dyplomata Garion Persov.

Sztab zebrał się przed godziną, kiedy pośpiesznie skoncentrowana flota złożona z tuzina eskortowców została doszczętnie zniszczona przez zbliżający się rój. Czujniki dalekiego zasięgu umieszczone na statkach zdażyły przekazać obrazy roju widocznego jako mnóstwo punkcików, ciągnących za sobą smugi fuzyjne. Było ich tak wiele, że nie dało się zliczyć.



– To były nasze statki – odparł generał Morpurgo. – Przez całe godziny nadawaliśmy, że Brama Niebios jest dla nich otwarta. Możemy mieć więc nadzieję, że wstrzymają się z działaniami militarnymi.

Otoczyły ich holograficzne obrazy z Bramy Niebios: cichych ulic Błotnego Miasta, nabrzeży widzianych z lotu ptaka, orbitalnych zdjęć szarobrazowego świata przykrytego czapą chmur, pochodzące z księżycy obrazy barokowego dwunastościanu sfery osobliwości łączącej wszystkie transmitters. Widać też było powoli rosnące punkciki wchodzące w skład roju, wciąż pozostające w odległości co najmniej jednostki astronomicznej. Gladstone popatrzyła na smugi fuzyjne ciągnące się za statkami Intruzów, sunące wolniej, osłonięte potężnymi polami siłowymi farmy asteroidowe i baniaste światy o skomplikowanych kształtach oraz jakby zupełnie niedostosowane do ludzkich potrzeb kompleksy mieszkalne i pomyślała: a co będzie, jeśli się mylę?

Życie miliardów zależało od jej przekonania, że Intruzi nie zdecydują się zniszczyć światów Hegemonii.

– Dwie minuty do wejścia w obszar systemu – rzekł beznamytnie Singh.

– Admirale, czy konieczne jest zniszczenie sfery, kiedy Intruzi pokonają nasz cordon sanitaire? – zapytała przywódczyni Hegemonii. – Nie możemy poczekać jeszcze przez kilka minut, aby ocenić ich intencje?

– Nie, M. przewodnicząca – odpowiedział bez chwili wahania admirał. – Połączenie musi zostać przerwane, kiedy tylko znajdą się na tyle blisko, że mogliby podjąć błyskawiczną akcję sabotażową.

– Ale jeśli twoim jednostkom nie uda się tego zrobić, wciąż mamy przecież zabezpieczenie w postaci automatycznych urządzeń destrukcyjnych, prawda?

– Tak. Musimy jednak zadbać o to, by transmitters przestały funkcjonować, zanim Intruzi przejmą system. Nie możemy pozwolić sobie na ryzyko.

Meina Gladstone pokiwała głową. Rozumiała konieczność takich działań. Gdyby tylko miała więcej czasu...

– Piętnaście sekund do wejścia wroga w obszar systemu i zniszczenia strefy. Dzie sięć... Siedem...

Nagle wszystkie eskortowce na holograficznym obrazie z księżycy Bramy Niebios zajaśniały fioletem, czerwienią i bielą.

Przewodnicząca pochyliła się w fotelu.

– Czy to skutek działania sfery? – zapytała.

Wojskowi szeptali między sobą, coraz to żądając kolejnych kolumn danych i bardziej skadrowanych obrazów.

– Nie – odpowiedział Morpurgo. – Statki zostały zaatakowane. Ich osłony z trudem wytrzymują napór ognia. Trzy...

Główny przekaz, pochodzący zapewne z niskiej orbity, prezentował powiększenie dwunastościennej sfery, o powierzchni trzydziestu tysięcy metrów kwadratowych, wciąż lśniącej w niemiłym dla oka świetle słońca Bramy Niebios. Nagle blask stał się intensywniejszy, a najbliższa ściana struktury rozjarzyła się i była coraz mniej wyrazista. Niecałe trzy sekundy później sfera zniknęła, a uwięziona w niej materia, wydostawszy się na zewnątrz, przestała istnieć.

Jednocześnie większość transmitowanych obrazów i danych zniknęła.

– Wszystkie połączenia transmitters zerwane – zameldował Singh. – Utrzymana jedynie łączność za pomocą linii FAT.

Wojskowi jak na komendę wydali z siebie westchnienia ulgi. Senatorowie oraz doradcy polityczni okazali raczej troskę i niepokój. Brama Niebios właśnie została odcięta od Sieci... Była to pierwsza tego rodzaju strata Hegemonii od ponad czterech wieków.

Meina Gladstone spojrzała na Sedeptrę Akasi.

– Jak długo potrwa teraz przelot z Bramy Niebios do granic Sieci?

– Siedem miesięcy przy użyciu napędu Hawkinga – odpowiedziała bez wahania adiutantka. – Daje to niemal dziewięć lat długości czasowego.



Przewodnicząca pokiwała głową. A więc ten system znalazł się nagle w odległości dziewięciu lat od Sieci.

– Lecą nasze statki – rzucił Singh.

Obraz pochodził z jednego z orbitalnych pikietowców, przekazywany z nie najlepszą jakością przez sprzężony z komputerem nadajnik FAT. Przypominał nieco mozaikę, ale Meinie Gladstone przywodził na myśl najwcześniejsze nieme filmy z początków Ery Mediów. Tym razem nie oglądała jednak komedii Charliego Chaplina. Dwa, później pięć, a wreszcie osiem błysków rozjaśniło niebo.

– Przekazy z HS „Niki Weimart”, HS „Temapin”, HS „Cornet” i HS „ Andrew Paul „ przerwane – zameldował Singh.

Barbre Dan – Gyddis uniosła rękę.

– Co z pozostałymi czterema jednostkami, admirale?

– Tylko te cztery były wyposażone w nadajniki FAT. Pikietowce potwierdzają, że sygnały pozostałych także się urwały. Dane wizualne... – Singh zamilkł i wskazał na wyświetlany akurat obraz: osiem rozszerzających się i blednących kręgów światła. Nagle i to zniknęło.

– Przekazy wszystkich czujników i łączność FAT z orbity przerwane – rzekł generał Morpurgo. Machnął ręką i pojawiły się obrazy ulic Bramy Niebios, z nisko wiszącymi nad nimi chmurami. Nadeszły też raporty z jednostek powietrznych znajdujących się powyżej pułapu chmur. Pokazywały niebo pełne przemieszczających się szybko świecących punktów.

– Wszystkie raporty potwierdzają przerwanie łączności FAT – zgłosił Singh. – Pierwsze jednostki roju wchodzą na niską orbitę Bramy Niebios.

– Ilu ludzi tam zostało? – zapytała Meina Gladstone. Wciąż siedziała pochylona do przodu, z łokciami wspartymi na blacie stołu i dłońmi zaciśniętymi tak mocno, że aż zbiały jej palce.

– Osiemdziesiąt sześć tysięcy siedemset osiemdziesiąt dziewięć osób – odpowiedział minister obrony Imoto.

– Nie licząc dwunastu tysięcy marines przerzuconych tam w ciągu dwóch ostatnich godzin – dodał generał Van Zeidt. Przewodnicząca skinieniem głowy podziękowała im i ponownie skoncentrowała uwagę na hologramach. Kolumny liczb przesuwają się błyskawicznie i wybiórczo były przekazywane do faxpadów, komlogów i paneli stołowych. Zawierały dane o liczbie jednostek wroga w systemie, na orbicie, ich rodzajach, trajektoriach, analizie energetycznej i wiązkach transmisyjnych, ale Meina Gladstone i pozostali woleli śledzić niosące stosunkowo niewiele informacji obrazy z jednostek powietrznych i kamer na powierzchni planety. Gwiazdy, chmury, ulice, widok ze stacji uzdatniania atmosfery na Promenadę Błotnego Miasta, którą przewodnicząca widziała na własne oczy niecałe dwanaście godzin temu. Teraz panowała tam noc. Gigantyczne paprocie kołysały się rytmicznie w podmuchach łagodnego wiatru znad zatoki.

– Myślę, że zdecydują się na negocjacje – przemówiła senator Richeau. – Najpierw przedstawią swoje jait accompli: dziewięć światów przejętych, a później zaproponują rozmowy mające na celu przywrócenie równowagi sił. Nawet gdyby obie ich fale inwazyjne odniosły sukces, mieliby dwadzieścia pięć systemów w porównaniu z naszymi dwustoma w Sieci i Protektoracie.

– To prawda – zgodził się szef dyplomacji Persov. – Ale proszę nie zapominać, że wśród utraconych będą strategicznie najważniejsze... jak choćby Pierwsza Tau Ceti. Intruzi dotrą tu zaledwie za dwieście trzydzieści pięć godzin.

Senator Richeau posłała mu karcące spojrzenie.

– Nie zapominam o tym ani na moment – rzuciła chłodno. – Mówię tylko, że Intruzom tak naprawdę nie może chodzić o podbój na wielką skalę. To byłaby z ich strony czysta głupota. Armia nie dopuści przecież, by ich druga fala uderzeniowa wdarła się zbyt głęboko. Bez wątpienia ta tak zwana inwazja jest więc tylko preludium do negocjacji.



– Być może – zgodził się senator Roanquist z Nordholmu. – Ale wynik rozmów bez wątpienia będzie zależeć...

– Czekajcie – przerwała im Meina Gladstone.

Dane świadczyły o tym, że na orbicie znajduje się już ponad sto okrętów Intruzów. Obrona naziemna miała rozkaz, by odpowiadać wyłącznie na ogień, a jak do tej pory na żadnym z trzydziestu obrazów przekazywanych do sali sztabowej nie było widać jakichkolwiek działań zaczepnych ze strony wroga. Nagle jednak chmury wiszące nad Błotnym Miastem rozbłysły, jakby ktoś podświetlił je gigantycznym szperaczem. Tuzin wiązek oślepiającego światła utworzyło coś na kształt kolumn podtrzymujących sklepienie chmur.

Nadzieja prysła, gdy u stóp każdej z kolumn rozbłysło morze niszczących wszystko płomieni. Woda w zatoce wrzała i chmury pary wodnej oślepiły znajdujące się w pobliżu kamery. Obrazy pochodzące z kamer położonych dalej prezentowały liczące co najmniej wiek kamienne budowle stojące w płomieniach i znikające z powierzchni ziemi, jakby za sprawą potężnego tornado. Sławne w całej Sieci ogrody zalała fala ognia. Dwustu-letnie paprocie uginały się pod wpływem pędzącego z ogromną prędkością powietrza, a po chwili przemieniały się w zwęglone szczątki i rozwiewane przez gorący wiatr pioły.

– Bicz boże z eskortowca klasy Bowers – przerwał głuchą ciszę admirał Singh. – A przynajmniej z jego odpowiednika.

Miasto płonęło i błyskawicznie zamieniało się w dymiące rumowisko. Przekaz był przecież niemy, ale Meinie Gladstone zdało się, że słyszy krzyki tysięcy mordowanych.

Jedna po drugiej kamery naziemne przestawały działać. Obraz ze stacji uzdatniania atmosfery migał przez chwilę i zgasł, podobnie jak przekazy z samolotów. Nagle w sali pokazał się oślepiający, szkarłatny błysk i wszystkie przekazy się urwały.

– Eksplozja plazmowa – wyszeptał Van Zeidt. – Bomba niewielkiego zasięgu.

Kolumny liczb także przestały się przesuwac. Dopiero po chwili w ciemnej sali rozbłysły światła.

– Centralne łącze linii FAT zerwane – rzekł generał Morpurgo. Przekaznik znajdował się w głównej bazie Armii w pobliżu Wysokiej Bramy. Osłaniało go pięćdziesiąt metrów skały, dziesięć stali krzemowej i duże pole siłowe.

– Eksplozje nuklearne? – zapytała Barbre Dan – Gyddis.

– Co najmniej.

Senator Kolchev podniósł się z miejsca, wprost emanował fizyczną siłą.

– Dobra, wiemy już, że nie chodzi tu o przygotowanie sobie pozycji do jakichś cholernych negocjacji. Intruzi właśnie obrócili jeden ze światów Sieci w perzynę. Stanęliśmy w obliczu bezlitosnej wojny. W grę wchodzi przetrwanie całej cywilizacji. Co więc robimy?

Oczy wszystkich zwróciły się na Meinę Gladstone.

Konsul odciągnął na wół przytomnego Theo Lane'a od wraku śmigacza i niósł go przerzuconego przez bark z pięćdziesiąt metrów, zanim osunął się na splechetek trawy pod drzewami rosnącymi na brzegu Hoolie. Śmigacz nie zapalił się na szczęście. Zamieniony został jednak w stertę złomu, gdyż zatrzymał się na pokaźnych rozmiarów głazie. Wokół pełno było odłamków metalu i polimerów, rozrzuconych wzdłuż brzegu i opustoszałej ulicy.

Miasto płonęło. Dym przysłaniał widok na przeciwną stronę rzeki i część Jacktown zwana Starym Miastem wyglądała tak, jakby w wielu jego miejscach zapalono stosy ofiarne. Lasery bojowe i pociski wciąż przecinały powietrze, tu i ówdzie wywołując eksplozje pośród armady statków abordażowych i baniek pól siłowych opadających pomiędzy chmur jak plewy porwane z pola przez wiatr.

– Theo, nic ci nie jest?

Generalny gubernator pokręcił głową i zwykłym ruchem chciał poprawić okulary...



jednak jego ręka zawisła w powietrzu, gdy stwierdził, że nie ma ich na nosie. Krew poplamiała jego czoło i barki.

– Dostałem w głowę – rzekł jakby się tłumacząc.

– Musimy posłużyć się twoim komlogiem – stwierdził konsul. Trzeba ściągnąć tu kogoś, żeby nam pomógł.

Theo przytaknął, uniósł rękę i przez chwilę z niemym zdziwieniem w óczach przypatrywał się nadgarstkowi.

– Zniknął. Komlog zniknął. Trzeba poszukać w śmigaczu.

Spróbował się podnieść.

Konsul powstrzymał go jednak. Znajdowali się pod osłoną kilku drzew ornamentowych, ale pojazd pozostał na otwartej przestrzeni, a ich awaryjne lądowanie zostało już zapewne zauważone. Jeszcze z powietrza konsul dostrzegł kilka uzbrojonych oddziałów skoncentrowanych w pobliżu. Mogli to być równie dobrze członkowie Sił Samoobrony, Intruzi, jak i komandosi Hegemonii, ale gdyby nawet w grę wchodzili ci ostatni, w obecnej sytuacji nie można było zbyt liczyć na ich pomoc.

– Zapomnij o nim. Dotrzemy do telefonu i skontaktujemy się z konsulem.

Rozejrzał się i przyglądając się stojącym w pobliżu magazynom i kamiennym budynkom, próbował ustalić, gdzie się znajdują. Kilkaset metrów w górę rzeki widniała dominująca nad okolicą opuszczona katedra.

– Wiem, gdzie jesteście. Niedaleko znajduje się „Cicero”. Chodźmy.

Oparł ramię Theo na swych barkach i pomógł mu wstać.

– „Cicero”... to dobrze – wyszeptał ranny. – Chętnie się napiję.

Szczęk broni i świst strzałów z broni energetycznej rozległy się na uliczkach na południe od nich. Konsul na wpół niósł powłóczącego nogami gubernatora, gdy posuwali się wolno wzdłuż brzegu rzeki.

– O cholera – wyszeptał konsul.

„Cicero” płonął. Stary bar i zajazd – tak stary jak całe Jacktown. Starszy niż większość budowli stolicy – utracił trzy spośród czterech przybudówek od strony brzegu, a ostatnia ocalała chyba tylko dzięki determinacji uwijającej się tu brygady z wiadrami w dłoniach.

– Widzę Stana – ucieszył się konsul wskazując potężną postać Stana Leweskiego, stojącego na końcu łańcucha podającego sobie wiadra. – Siadaj. – Pomógł towarzyszowi ułożyć się pod rozłożystym wiązem. – Jak głowa?

– Boli.

– Zaraz wracam z pomocą – zapewnił konsul i pośpieszył dróżką w stronę mężczyzn.

Stan Leweski popatrzył na niego, jakby ujrzał ducha. Twarz wielkoluda była cała w sadzach, wśród których wyraźnie rysowały się smugi wyrzeźbione przez ły. „Cicero” stanowił własność jego rodziny już od sześciu pokoleń. Zaczęło trochę padać i wydawało się, że zagrożenie pożarowe zostało już zażegnane. Podniosły się ostrzegawcze okrzyki, kiedy kilka spośród dopalających się belek spadło, wzbijając fontanny iskier.

– Na Boga, zniszczone – jęknął Leweski. – Widzisz? Dobudówki dziadka Jiriego. Spłonęły.

Konsul potrząsnął go za ramiona.

– Stan, potrzebujemy pomocy. Jest ze mną Theo. Ranny. Nasz śmigacz się rozbił. Musimy dotrzeć do portu... i skorzystać z twojego telefonu. To bardzo ważne, Stan.

Właściciel „Cicero” pokręcił głową.

– Telefon nie działa. Linia FAT zapchana. Zaczęła się ta cholerna wojna. – Wskazał przygasające już płomienie. – Zniszczone, do cholery.

Konsul zacisnął dłonie w pięści, wściekły z powodu swej bezsilności. Wokół kręciło się mnóstwo mężczyzn, ale nie znał żadnego z nich. W pobliżu nie było także przedstawicieli Anii ani Sił Samoobrony. Nagle rozległ się czyjś głos za jego plecami.



– Ja mogę panu pomóc. Mam śmigacz.

Dyplomata odwrócił się na pięcie i zobaczył mężczyznę około sześćdziesiątki, o przy stojnej, sympatycznej twarzy również uwalanej sadzami i złanej potem, starającego się palcami rozczesać i przygładzić faliste włosy.

– Wspaniale. Jestem panu bardzo wdzięczny. – Urwał. – Czy my się znamy?

– Doktor Melio Arundez – przedstawił się mężczyzna i ruszył na parking obok miejsca, gdzie odpoczywał Theo.

– Arundez – powtórzył cicho konsul, starając się za nim nadażyć. Nazwisko brzmiało dziwnie znajomo. Czyżby już się kiedyś spotkali? – Mój Boże, Arundez! – wykrzyknął. – Był pan przyjacielem Racheli Weintraub, kiedy przyjechaliście tu kilkadziesiąt lat temu.

– Tak dokładnie to jej nauczycielem. Znam pana. Wyruszył pan w pielgrzymkę wraz z Solem. – Zatrzymali się przed pólężącym Theo, wciąż trzymającym się za głowę. – Mój śmigacz jest tama

Konsul spojrział we wskazanym kierunku i zobaczył niewielkiego, dwumiejscowego vikkena zefira zaparkowanego pod osłoną drzew.

– Świetnie. Odwieziemy Theo do szpitala, a później, jeśli tylko będzie to jeszcze możliwe, polecimy do portu kosmicznego.

– Szpital jest przepełniony do granic możliwości – rzekł Arundez. – Jeśli zamierza pan dostać się do swojego statku, proponuję zabrać gubernatora ze sobą i użyć sprzętu pokładowego.

Konsul zdziwiony milczał przez moment.

– Skąd pan wie, że mam tu swój statek?

Archeolog otworzył drzwiczki pojazdu i pomógł Theo przycupnąć na wąskiej ławeczce za przednimi siedzeniami.

– Wiem wszystko o panu i innych pielgrzymach, M. konsulu. Przez szereg miesięcy ubiegałem się, by zostać członkiem wyprawy do Doliny Grobowców Czasu. Nie wyobraża pan sobie nawet, jakiego zawodu doznałem, dowiedziawszy się, że barka z wami na pokładzie odpłynęła potajemnie. – Odetchnął głęboko, jakby przygotowując się do zadania szczególnie trudnego pytania. – Czy Rachela nadal żyje?

A więc rzeczywiście był jej kochankiem, pomyślał konsul.

– Nie wiem – odparł. – Staram się jak najszybciej tam wrócić, by im pomóc... jeśli to w ogóle możliwe.

Melio Arundez pokiwał głową i wślizgnął się na siedzenie pilota, wskazując miejsce obok.

– Spróbujemy przedostać się do portu. Ale w obecnej chwili może to nie być takie proste.

Konsul, usiadłszy w wygodnym fotelu, poczuł dopiero, jaki jest zmęczony i obolały.

– Musimy dostarczyć Theo... to znaczy gubernatora... do konsulatu, czy jak to się obecnie nazywa.

Archeolog w odpowiedzi pokręcił głową.

– Według awaryjnego kanału informacyjnego konsulata został zniszczony. Bezpośrednie trafienie pociskiem. Wszyscy urzędnicy Hegemonii ewakuowali się do portu, zanim pański przyjaciel wyruszył na poszukiwania.

Dyplomata popatrzył na półprzytomnego Theo Lane'a.

– Lećmy – powiedział cicho.

Gdy przekraczali rzekę, ktoś otworzył do nich ogień, lecz na szczęście na tyle nieskuteczny, że jedynie kilka pocisków odbiło się od kadłuba, a pojedyncza wiązka lasera minęła ich w sporej odległości.

Arundez pilotował po mistrzowsku, wykonując nagłe zwroty i uniki, nurkując i wzbijając się gwałtownie w niebo, a czasami wykręcając nawet becзки. Pomimo pasów przytrzymujących do fotela konsul czuł, jak żołądek podchodzi mu do gardła. Siedzącemu za nim Theo głowa kołysała się bezwładnie na wszystkie strony, mimo że wszelkimi



siłami próbował zachować przytomność.

– Centrum leży w gruzach! – krzyknął Anrndeż ponad hukiem silnika. – Polecę tuż nad ziemią wzdłuż starego wiaduktu do autostrady prowadzącej na aerodrom.

Wyminęli płonąca budowlę, w której konsul z trudem rozpoznał dom mieszczący jego niegdysiejsze mieszkanie.

– Czy autostrada jest otwarta?

Archeolog pokręcił głową.

– Proszę na to nie liczyć. W ciągu ostatniej półgodziny wylądowało tu mnóstwo wojska.

– Czy więc pańskim zdaniem Intruzi starają się zniszczyć miasto?

– Chyba nie. Mogli to zrobić z orbity bez ryzyka i całego tego zamieszania. Wygląda więc, że oblegają stolicę. Większość ich jednostek abordażowych i żołnierzy ląduje co najmniej dziesięć kilometrów od granic miasta.

– A kto organizuje obronę? Siły Samoobrony?

Arundez roześmiał się, odsłaniając białe zęby kontrastujące z opaloną skórą.

– Są już pewnie w połowie drogi do Endymiona albo Portu Romance, chociaż z raportów dostępnych dziesięć minut temu, kiedy jeszcze funkcjonowała łączność, wynikało, że także tamte miasta zostały już zaatakowane. Nie, tein szczątkowy opór stawia kilkudziesięciu zaledwie marines pozostawionych tu dla zapewnienia porządku w mieście i drożności portu.

– A więc Intruzi nie zniszczyli ani nie zajęli terminalu?

– Jeszcze nie. Przynajmniej tak było kilka minut temu. Zaraz się przekonamy. Trzymajcie się!

Dziesięciokilometrowa podróż do portu kosmicznego autostradą dla VIP – ów lub kanałem powietrznym ponad nią zabierała zazwyczaj kilka minut, ale przy konieczności krycia się za wzgórzami i w dolinach oraz pośród drzew trwała tym razem nieco dłużej i kosztowała wiele nerwów. Konsul obserwował stoki wzgórz i płonące obozy uchodźców widoczne po prawej stronie. Ludzie chowali się za głazami lub pod niskimi drzewami i zakrywali głowy rękami, gdy śmigacz przelatywał nisko nad nimi. Dyplomata dostrzegł nawet oddziałek marines okopany u szczytu jednego ze wzgórz, lecz na szczęście uwaga żołnierzy skupiona była na niedalekim wzniesieniu, z którego rozbłyskiwały lasery. Arundez zauważył obie walczące strony dostatecznie wcześniej. Gwałtownie skręcił w lewo i zdołał ukryć się w płytkim parowie, zanim czubki okolicznych drzew zostały ścięte niczym niewidzialnymi nożycami.

Wreszcie pokonali ostatnie wzniesienie i ich oczom ukazała się zachodnia brama oraz ogrodzenie portu kosmicznego, za sprawą pól siłowych jarzące się na przemian niebiesko i fioletowo. Byli od niego o dobry kilometr, gdy błysnęła wiązka lasera, namierzyła ich i nieznany głos polecił przez radio:

– Do niezidentyfikowanego śmigacza, ląduj lub zostaniesz zniszczony.

Arundez posłusznie usiadł na ziemi.

Linia drzew oddalonych o jakieś dziesięć metrów zamigotała i nagle zostali otoczeni przez widma w aktywnych kamuflażowych zbrojach polimerowych. Archeolog otworzył drzwiczki od swojej strony i natychmiast do środka wsunęła się lufa strzelby.

– Wysiadać z pojazdu – usłyszeli komendę. Nie mogli jednak zorientować się, gdzie stoi człowiek, który ją wydał.

– Mamy na pokładzie gubernatora generalnego! – zawołał konsul. – Musimy dostać się na teren portu.

– Jeszcze czego – warknął ktoś z wyraźnym akcentem Sieci. Wychodzić!

Konsul i Arundez pospiesznie rozpięli pasy i właśnie opuszczali pojazd, kiedy z tylnego siedzenia odezwał się Theo:

– Poruczniku Mueller, czy to wy?

– Tak jest.

– Poznajecie mnie, poruczniku?



Coś zamigotało i ukazał się marines w pełnym rynsztunku bojowym, stojący zaledwie metr od śmigacza. Twarz zasłaniała mu czarna, nieprzezroczysta szyba, ale głos z całą pewnością należał do młodzieńca.

– Tak jest, panie... gubernatorze. Przepraszam, ale nie poznałem pana bez okularów. Jest pan ranny.

– Doskonale o tym wiem, poruczniku. Właśnie dlatego ci panowie mnie tu przewieźli. Nie poznałeś także byłego konsula Hegemonii na Hyperionie?

– Przepraszam – mruknął Mueller i wskazał swoim ludziom, by ukryli się wśród drzew. – Niestety, baza jest zamknięta.

– Oczywiście, że jest – syknął Theo. – Osobiście wydałem taki rozkaz. Ale poleciłem także ewakuację całego personelu Hegemonii. Tamte śmigacze wpuściliście na teren portu, prawda, poruczniku?

Opancerzona ręka uniosła się, jakby po to, by poskrobać szczelnie okrytą głowę.

– No... tak. Tak jest. Ale to było godzinę temu. Promy ewakuacyjne już odleciały i...

– Na miłość boską, Mueller, skorzystaj z kanału taktycznego, by uzyskać pozwolenie pułkownika Gerasimova na nasze wejście na teren portu.

– Pułkownik nie żyje, panie gubernatorze. Zostaliśmy zaatakowani od wschodu i...

– Więc z kapitanem Lewellynem – przerwał mu Theo. Zatoczył się i musiał oprzeć się o fotel pasażera. Pomiędzy plamami zakrzepłej krwi widać było, że jest blady jak ściana.

– Ale... kanały taktyczne nie działają. Intruzi zakłócają je swoimi...

– Poruczniku – rzucił gubernator tonem, jakiego konsul nigdy jeszcze nie słyszał w ustach przyjaciela – rozpoznaliście mnie i przeskanowaliście wszczepiony identyfikator. Teraz wpuście nas albo zastrzelcie.

Opancerzony komandos obejrzał się na asystujących mu dwóch podwładnych, jakby zastanawiając się, czy rzeczywiście nie wydać rozkazu otwarcia ognia.

– Wszystkie promy już odleciały. I żaden przecież nie przyleci.

Theo niecierpliwie potrząsnął głową tak energicznie, że rana na jego czole znów się otworzyła i strużka czerwieni popłynęła po twarzy.

– Skonfiskowany statek nadal stoi w hangarze numer dziewięć, prawda?

– Tak jest, ale to jednostka cywilna i nigdy nie uda się panu przedrzeć pomiędzy Intruzami...

Gubernator gestem ręki uciszył go i skinął na towarzyszy, by wsiedli do śmigacza. Konsul popatrzył przed siebie na pola siłowe i miny ciśnieniowe. Dostrzegł, że porucznik daje jakieś znaki rękami i po chwili w ogrodzeniu pojawiła się luka. Wystartowali kierując się wprost na nią. Wokół panowała idealna cisza. Pół minuty później lecieli już nad utwardzoną powierzchnią lądowisk. Coś dużego płonęło przy północnym ogrodzeniu. Z lewej kilkanaście przyczep wojskowych i modułów dowodzenia zostało zamienionych w bezkształtną stertę dymiącego i gotującego się plastiku.

Tam na pewno byli ludzie, pomyślał konsul i znów musiał stłumić w sobie wzbierającą falę mdłości.

Hangar numer siedem został zniszczony. Jego grube na dziesięć centymetrów ściany ze zbrojonych węglanów rozpadły się, jakby zrobiono je z papieru. Ósemka płonęła białym żarem, który sugerował, że użyto tu granatów plazmowych. Hangar numer dziewięć ocalał, a dziób statku konsula wystawał ponad ścianę i drżał w polu siłowym trzeciej klasy

– Blokada została zniesiona? – zapytał konsul.

Theo odpowiedział słabym głosem:

– Tak, Meina Gladstone poleciła usunąć kopułę siłową. To tylko normalne pole ochronne. Można je zlikwidować zwykłym poleceniem.

Arundez wylądował akurat w chwili, gdy rozbrzmiały sygnały alarmowe, a syntetyczny głos ostrzegł o niewłaściwym funkcjonowaniu pojazdu. Pomogli wysiąść Theo i na moment zatrzymali się przy tylnej części śmigacza, gdzie seria pocisków przebiła



osłonę silnika, która od przeciążenia aż się nadtopiła.

Archeolog czule poklepał maszynę i wspólnie ruszyli ku wejściu do hangaru.

– Mój Boże – wyszeptał doktor Melio Arundez. – Jest wspaniały. Nigdy wcześniej nie widziałem prywatnego statku międzygwiazdowego.

– Istnieje ich tylko kilkadziesiąt – wyjaśnił konsul zakładając maskę osmotyczną na usta oraz nos Theo i umieszczając jego zbroczoną krwią głowę w zbiorniku ze stężonymi substancjami odżywczymi. – Choć niewielki, kosztuje niemal miliard marek. Ale duże korporacje i rządy planetarne w Protektoracie wolą korzystać właśnie z nich, a nie z jednostek wojskowych. – Zamknął szczelnie zbiornik i sprawdził odczyt diagnostyczny. – Nic mu nie będzie.

Melio Arundez stał przy antycznym steinwayu i wodził dłonią po lśniących powierzchniach fortepianu. Popatrzył przez przezroczystą część kadłuba nad złożoną platformą balkonu i rzekł:

– Przy głównej bramie widzę płomienie. Lepiej się stąd wyносmy.

– Właśnie się tym zajmuję – odparł konsul wskazując gościowi półokrągłą kanapę naprzeciw holorzutnika.

Archeolog zapadł się w miękkie poduszki i rozejrzał podejrzliwie.

– Nie ma tu żadnych... urządzeń sterowniczych?

Konsul uśmiechnął się.

– Chodzi panu o mostek? O kokpit? A może koło sterowe? Nie, nie ma tu nic takiego. Statku?

– Tak – odpowiedział cichy głos.

– Możemy startować?

– Tak.

– Czy pole siłowe zostało usunięte?

– Zostało utworzone przeze mnie. Już je zlikwidowałem.

– W porządku. Znikajmy stąd. Nie muszę ci chyba mówić, że wokół nas toczy się wojna, prawda?

– Oczywiście. Obserwuję jej postępy. Ostatnie statki Armii właśnie szykują się do opuszczenia systemu Hyperiona. Pozostali marines zostali otoczeni i...

– Oszczędź sobie na razie udzielania tych informacji, statku – uciął konsul. – Ustal kurs na Dolinę Grobowców Czasu i ruszaj.

– Tak jest. Chciałem tylko zwrócić uwagę na fakt, że siły broniące portu mają niewielkie szanse na utrzymanie go dłużej niż przez godzinę.

– Dziękuję. A teraz startuj.

– Najpierw muszę przedstawić zarejestrowany uprzednio przekaz, otrzymany tego popołudnia o 16:22:38:14 według standardu Sieci.

– Hej! Stop! – krzyknął właściciel statku zatrzymując transmisję. Przed nim w powietrzu zawisło pół twarzy Meiny Gladstone. – Masz odtworzyć to przed startem? Czyich rozkazów słuchasz, statku?

– Przewodniczącej Meiny Gladstone. Pięć dni temu przejęła kontrolę nad wszystkimi moimi funkcjami. Przekaz jest ostatnim warunkiem...

– Więc to dlatego nie odpowiadałeś na moje sygnały?

– Tak. Mówiłem właśnie, że przekaz jest ostatnim warunkiem koniecznym do oddania pełni kontroli w twoje ręce.

– Później będziesz już spełniał wszystkie moje rozkazy?

– Tak.

– I zabierzesz nas, gdziekolwiek sobie zażyczymy?

– Tak.

– Nie masz żadnych poleceń o wyższym priorytecie?

– Nic mi o nich nie wiadomo.

– A więc kontynuuj odtwarzanie.



W powietrzu pojawiła się nieco zniekształcona przez linię FAT twarz przewodniczącej Gladstone, teraz jeszcze bardziej podobna do Abrahama Lincolna.

– Jestem szczęśliwa, że udało ci się bez szwanku wrócić z pielgrzymki do Grobowców Czasu – rzekła do konsula. – Zapewne już wiesz, że chcę prosić cię o podjęcie negocjacji z Intruzami, zanim wrócisz do doliny.

Dyplomata splótł ramiona na piersi i przyglądał się twarzy przewodniczącej. Na zewnątrz słońce zniknęło już za horyzontem. Pozostało zaledwie kilka minut do momentu, gdy Rachel Weintraub osiągnie wiek swych narodzin i po prostu przestanie istnieć.

– Rozumiem twą chęć powrotu, by pomóc przyjacielom – ciągnęła Meina Gladstone – ale nie jesteś w stanie niczego zrobić, by ratować niemowlę... Eksperci w Sieci stwierdzili, że nawet sen kriogeniczny nie wstrzymuje postępu choroby Merlina. Sol doskonale o tym wie.

Z kanapy odezwał się doktor Arundez:

– To prawda. Całe lata prowadzili związane z tym eksperymenty. Zginie nawet zahibernowana.

–...możesz uratować miliardy mieszkańców Sieci, których we własnym mienianiu zdradziłeś – mówiła przewodnicząca.

Konsul pochylił się naprzód, wsparł łokcie na kolanach, a podbródek na pięści. Krew dudniła mu w uszach.

– Wiedziałam, że otworzysz Grobowce Czasu. Przewidywania Centrum nie pozostawiały wątpliwości, że twoja lojalność względem Maui – Przymierza... i pamięć babki... będą silniejsze od wszelkich innych czynników. Nadszedł już czas na ich otwarcie, a tylko ty mogłeś uruchomić urządzenie, zanim zdecydowałiby się na to sami Intruzi.

– Usłyszałem już wystarczająco dużo – rzucił konsul, wstał i odwrócił się plecami do projektora. – Przerwij przekaz – polecił statkowi, doskonale wiedząc, że jego rozkaz nie zostanie wykonany.

Melio Arundez także się podniósł i położył dłoń na ramieniu konsula.

– Proszę wysłuchać jej do końca.

Dyplomata pokręcił głową, ale pozostał na miejscu.

– Teraz zdarzyła się rzecz najgorsza z możliwych – ciągnęła Meina Gladstone. – Intruzi dokonali inwazji na Sieć. Brama Niebios jest właśnie niszczona. Bożej Kniei pozostała niecała godzina do najazdu. To niezwykle ważne, byś spotkał się z Intruzami w systemie Hyperiona i podjął negocjacje... Wykorzystał swe talenty dyplomatyczne i nawiązał z nimi dialog. Intruzi nie odpowiadają na nasze sygnały, ale uprzedziliśmy, że wybierasz się do nich. Wydaje mi się, że wciąż mają do ciebie zaufanie.

Konsul jęknął, podszedł do fortepianu i uderzył pięścią w wieko.

– Pozostały nam minuty. Proszę więc, abyś najpierw spotkał się z Intruzami, a później, jeśli uznasz to za konieczne, spróbował wrócić do Doliny Grobowców. Wiesz lepiej niż ja, czym skończy się ta wojna. Miliony zginą daremnie, jeśli twoja misja się nie powiedzie. Decyzja należy do ciebie, ale zważ na skutki rezygnacji z tej ostatniej szansy na odnalezienie prawdy i zachowanie pokoju. Skontaktuję się jeszcze z tobą, kiedy dotrzesz do roju.

Twarz przewodniczącej zbladła, zadrżała i zniknęła.

– Odpowiedź? – zapytał statek.

– Nie.

Konsul zaczął spacerować nerwowo między fortepianem a holorzutnikiem.

– Żaden statek kosmiczny ani nawet śmigacz od ponad dwustu lat nie wylądował w pobliżu doliny z żywą załogą – rzekł wolno Arundez. – Meina Gladstone wie, jakie małe szanse ma pan na dotarcie tam... przetrwanie i dopiero późniejsze spotkanie z Intruzami.

– Wiele się obecnie zmieniło – odpowiedział konsul nie patrząc na rozmówcę. – Prądy czasowe oszalały. Chyżwar może się udać, gdziekolwiek zechce. Być może, teraz da się już wylądować w pobliżu grobowców.



- A może nagle przestaniemy istnieć. Tak jak wielu przed nami.
- Do cholery! – wykrzyknął konsul odwracając się w stronę archeologa. – Wiedział pan doskonale, jakie to ryzykowne, oferując mi pomoc!
- Arundez powoli pokiwał głową.
- Nie chodzi mi o niebezpieczeństwo grożące mnie. Jestem gotowy je podjąć, jeśli w ten sposób zdołam pomóc Racheli... lub choćby tylko ponownie ją ujrzeć. To pańskie życie może stanowić klucz do przetrwania ludzkości.
- Konsul machnął rękami z dłońmi zaciśniętymi w pięści i znów zaczął chodzić jak drapieźnik zamknięty w klatce.
- To nie w porządku! Wcześniej byłem nic nie znaczącym pionkiem w rękach Meiny Gladstone. Wykorzystała mnie... z rozmysłem i cynizmem właściwym politykom. Zabiłem czterech Intruzów. Zastrzeliłem ich, zanim udało mi się uruchomić to cholerne urządzenie otwierające Grobowce Czasu. Uważa pan, że w tej sytuacji powitają mnie z otwartymi ramionami?
- Archeolog wpatrywał się w niego bez zmrużenia oka.
- Meina Gladstone wierzy, że będą chcieli się z panem układać.
- Kto tam wie, co zrobią? I jakie znaczenie ma tu przekonanie przewodniczącej? Hegemonia i jej stosunki z Intruzami nie są już moim zmartwieniem. I jednym, i drugim życzę jak najgorzej.
- Czyżby do tego stopnia, by skazać całą ludzkość na cierpienia, a może i zagładę?
- Określenie „ludzkość” nic dla mnie nie znaczy – odparował konsul. – Znam natomiast dobrze Sola Weintrauba. I Rachelę. I ranną Brawne Lamię. Podobnie jak ojca Paula Dure. I Fedmahna Kassada. L..
- W tym momencie odezwał się łagodny głos statku:
- Północne ogrodzenie portu zostało przerwane. Rozpocznym końcową procedurę startową. Proszę zająć miejsca.
- Konsul ledwie zdążył opaść na kanapę, gdy wewnętrzne pole siłowe przycisnęło mu stopy do podłogi, mocując do niej wszystkie przedmioty i zabezpieczając pasażerów znacznie skuteczniej niż jakiegokolwiek pasy. Z mniejszą już siłą będzie także działać w przestrzeni kosmicznej, zastępując grawitację.
- Powietrze na wprost holorzutnika zmętniało i ukazał się w nim obraz szybko znikającego hangaru, a potem całego portu. Statek wystartował. Oddano do niego kilka strzałów z broni energetycznej, ale dane wskazywały, że zewnętrzne pole siłowe wytrzymało trafienia. Wreszcie horyzont jakby się wykrzywił, a lazurowe niebo pociemniało i w końcu stało się czarne.
- Cel? – zapytał statek.
- Konsul zamknął oczy. Za ich plecami rozległ się sygnał obwieszczający, że Theo Lane może zostać odłączony od zbiornika regeneracyjnego i przeniesiony do głównego zespołu chirurgicznego.
- Ile czasu zajmie dotarcie do sił inwazyjnych Intruzów? – zapytał wreszcie.
- Trzydzieści minut do centrum roju.
- A kiedy znajdziemy się w zasięgu ich broni?
- Już zostaliśmy namierzeni.
- Melio Arundez był na pozór spokojny, ale jego palce zaciśnięte na oparciu kanapy aż zsiniały.
- W porządku – skwitował konsul. – Kierunek rój. Unikaj jednostek Hegemonii. Podaj na wszystkich częstotliwościach, że jesteśmy nie uzbrojoną jednostką dyplomatyczną.
- Taka wiadomość została już przygotowana przez przewodniczącą Gladstone. Jest właśnie emitowana na wszystkich częstotliwościach komunikacyjnych.
- W porządku – rzekł konsul. Wskazał na komlog Arundeza. Widzi pan, która godzina?
- Tak. Zostało sześć minut do chwili narodzin Racheli.



Dyplomata znów zamknął oczy.

– Nadaremnie przebył pan tak daleką drogę, doktorze.

Archeolog wstał, chwiał się przez chwilę, zanim złapał równowagę w warunkach sztucznej grawitacji, po czym ostrożnie podszedł do fortepianu. Stał tam przez chwilę wyglądając przez okno widokowe na czerń kosmosu i nadal jasną, lecz niknącą w oczach planetę.

– Oby nie – szepnął. – Oby nie.



Dzisiaj przybyliśmy do bagnistej krainy, w której rozpoznałem Kampanię. Jakby dla uczczenia tego faktu dostałem kolejnego ataku kaszlu, który zakończył się ostrym krwotokiem. Leigh Hunt z poświęceniem służy mi pomocą, starając się stłumić w sobie zniecierpliwienie i desperację. Po podtrzymywaniu mnie podczas napadu i oczyszczeniu ubrań szmatami zmoczonymi w pobliskim strumieniu pyta:

– Co mam jeszcze zrobić?

– Nazbierać kwiatów z pobliskich pól – odpowiadam z trudem. Tak właśnie postąpił Joseph Severn.

Rozzłoszczony odwraca się, nie zdając sobie sprawy, że nawet rozpalony gorączką mówię mu szczerą prawdę.

Droga wiodąca przez Kampanię jest w jeszcze gorszym stanie, więc ciągle kołysanie i podskakiwanie na wybojach staje się coraz bardziej uciążliwe. Późnym popołudniem mijamy kilka szkieletów koni, potem ruiny starej karczmy, gruzy wiaduktu, całe pokryte mchem, a wreszcie słupy, do których przytwierdzone są białe, wydłużone przedmioty.

– Co to, u licha? – pyta Hunt.

– Kości bandytów – wyjaśniam.

Członek władz Hegemonii patrzy na mnie tak, jakby sądził, że już całkiem postradałem zmysły. Może i ma rację.

Wreszcie opuszczamy podmokłe rejony Kampanii i dostrzegamy, że coś czerwonego rusza się pośród pól.

– Co to takiego? – dopytuje się mój towarzysz z nadzieją w głosie. Wiem, że w każdej chwili spodziewa się ujrzeć ludzi i działający portal.

– To kardynał – tłumaczę. – Poluje na owady.

Hunt korzysta z nie w pełni sprawnego komlogu.

– To ptak...

Kiwam głową i spoglądam w stronę, gdzie go widzieliśmy, lecz już odleciał.

– To także wysokie stanowisko w hierarchii kościelnej – dodaję. – A my zbliżamy się przecież do Rzymu.

Hunt marszczy brwi i chyba po raz tysięczny stara się wywołać kogoś na częstotliwości komunikacyjnej komlogu. Panuje niemal idealny spokój, zakłócany tylko skrzypieniem kół vettury i odległym ptasim śpiewem.

Wjeżdżamy do Rzymu od strony Lateranu, kiedy słońce chyli się już ku zachodowi. Powóz przetacza się przez Parta Maggiore i po jakimś czasie naszym oczom ukazuje się Koloseum, porośnięte bluszczem i będące domem dla tysięcy gołębi, sprawiające wrażenie znacznie większego niż na najbardziej wyrazistych hologramach. Stoi samotnie, górując nad niewielkimi doorani i pustą przestrzenią, nie wchłonięte jeszcze przez miasto i nie zdominowane przez powojenne budowle. W dali widzę właściwy Rzym – morze dachów rozlane na sławnych Siedmiu Wzgórzach. Ale tutaj najważniejszym elementem krajobrazu jest Koloseum.

Przemierzamy opustoszałe uliczki dziewiętnastowiecznego staroziemskiego Rzymu. Zapada zmierzch, a nad dachami i kopułami Wiecznego Miasta krążą szykujące się do snu stada gołębi.

– Gdzie są wszyscy mieszkańcy? – szepcze Hunt. Wygląda na przestraszonego.

– Nie ma ich tu, bo są niepotrzebni – odpowiadam. Mój głos brzmi dziwnie w kaniu ulicy. Koła dudnią teraz po bruku, niewiele równiejszym od nawierzchni drogi, która nas tu doprowadziła.

– Czy to jakieś złudzenie? – pyta.

– Zatrzymaj powóz – rzucam w stronę konia, który posłusznie staje. Wskazuję duży kamień leżący obok rynsztoku. – Kopnij go – mówię do Hunta.



Patrzy na mnie zaskoczony, lecz wreszcie zeskakuje na ziemię, podchodzi do kamienia i wymierza mu kopniaka. W niebo ulatuje jeszcze więcej gołębi, wystraszonych jego głośnymi przekleństwami.

– Podobnie jak doktor Johnson, udowodniłeś realizm przedmiotów – wyjaśniam. – To nie żadne złudzenie ani sen. A przynajmniej nie większe, niż wszystko, co dzieje się podczas naszego życia.

– Dlaczego nas tu sprowadzili? – dopytuje się asystent przewodniczącej Senatu spoglądając w niebo, jakby za osłoną chmur chowali się słuchający nas bogowie. – Czego chcą?

Chcą, żebym właśnie tu umarł, myślę uświadamiając sobie prawdę brutalną jak cios pięścią. Oddycham powoli i płytko, starając się uchronić przed kolejnym atakiem kaszlu. Wciąż czuję, jak w gardle coś się gotuje. Chcą, żebym umarł, a ty masz być tego świadkiem.

Kobyła rusza przed siebie, skręca w prawo w kolejną uliczkę i jeszcze raz. Przemierza szeroką aleję pełną długich cieni i wreszcie zatrzymuje się przed sprawiającymi przytłaczające wrażenie schodami.

– Jesteśmy na miejscu – mówię i wysiadam z niemałym trudem. Nogi mam zdrętwiałe, na pośladkach zaczynają robić się odparzenia, a piersi wciąż ściska ból. Do głowy przychodzi mi początek satyrycznej ody wychwalającej przyjemności podróży.

Hunt idzie w moje ślady, staje u szczytu gigantycznych, rozwidlających się i znowu łączących schodów i przygląda się im, jakby podejrzewał, że ma do czynienia z kolejną iluzją.

– Czyli gdzie, Severn?

Wskazuję plac leżący u naszych stóp.

– Piazza di Spagna – odpowiadam. Czuję się dziwnie, słysząc, że Hunt nazwał mnie „Severn”. Uświadamiam sobie, że przestałem nim być, kiedy przejechaliśmy przez Bramę Maggiore. Znowu nazywam się tak jak niegdyś.

– Upłynie jeszcze wiele lat, zanim te schody zyskają miano Hiszpańskich – mówię i zaczynam schodzić w dół. Nagłe osłabienie sprawia, że zataczam się, ale na szczęście Hunt chwyta mnie pod ramię.

– Nie możesz iść. Jesteś zbyt chory.

Wskazuję nakrapiany stary budynek, znajdujący się po lewej stronie, poniżej miejsca, gdzie rozwidlone schody ponownie się łączą.

– To już niedaleko, Hunt. Oto cel naszej podróży.

Doradca Gladstone podejrzliwie przygląda się budowli.

– A co w nim jest? Dlaczego mamy się tu zatrzymać? Co tam na nas czeka?

Uśmiecham się podświadomie, słysząc tę serię retorycznych pytań. Oczami wyobraźni widzę nas siedzących do późna w nocy, w tym właśnie domu, gdy uczę go, jak łączyć technikę literacką z męską i żeńską średniówką, stopą jambiczną i spondejem.

Zanoszę się kaszlem i spostrzegam krew na koszuli oraz dłoni. Hunt pomaga mi dojść do placu, gdzie stoi fontanna Berniniego w kształcie starej łodzi, i dalej kierowany moim palcem, prowadzi do ciemnego prostokąta drzwi. Wejście do budynku numer 26 na Piazza di Spagna. Nie jestem w stanie powstrzymać się od skojarzenia z „Boską komedią” Dantego i oczami wyobraźni nad wejściem widzę napis LASCIA TE OGNI SPERANZA, VOI CH’EINTRATE”- Porzuć wszelką nadzieję Ty, który tu wchodzisz”.

Sol Weintraub stał przy wejściu do Sfinksa i wygrażał światu pięścią. Zapadała noc. Z grobowców docierało tu światło, a jego córka wciąż nie wracała.

Nie wracała.

Chyżwar mu ją odebrał. Uniósł jej nowo narodzone ciało na swej stalowej dłoni i wkroczył w jasność, która nawet teraz odpychała Sola, jak jakiś napawający przerażeniem wicher wiejący z wnętrza planety. Starał się oprzeć tej sile, ale nie mógł dać nawet kroku naprzód, jakby miał przed sobą blokujące go pole siłowe.

Słońce Hyperiona zaszło i od strony gór na południu nadleciał przejmujący; zimny



wiatr. Sol patrzył na gnany przezeń pył, podświetlany blaskiem otwierających się Grobowców Czasu.

Otwierających się Grobowców Czasu!

Zadrżał widząc ich upiorną poświatę. Tylko ona nieco rozjaśniała ciemności, ponieważ ostatnie światła dnia zgasły. Pozostały noc i zawodzący wiatr.

Coś mignęło u wejścia do drugiego grobowca, zwanego Nefrytowym. Sol, zataczając się, zszedł ze schodów prowadzących do Sfinksa, popatrzył w kierunku, gdzie zniknął Chyżwar z jego córką, i walcząc z wiatrem skierował się ku pobliskiej budowli.

Coś poruszyło się na tle jasnego owalnego wejścia. Sol nie był jednak w stanie stwierdzić, czy to człowiek, czy też może sam Chyżwar. Jeśli to ten potwór, był gotów rzucić się na niego z gołymi rękami i walczyć, dopóki nie odzyskałby córki albo któryś z nich nie postradałby życia.

Ale to nie był Chyżwar.

Widział teraz wyraźnie zarys ludzkiej postaci, która zatoczyła się i oparła o framugę, jakby ranna lub skrajnie wyczerpana.

Była to młoda kobieta.

Sol pomyślał o Racheli jako o młodym archeologu, prowadzącym tu badania ponad pół standardowego wieku temu. Ani na chwilę nie stracił nadziei, że jego córka zwalczy kiedyś chorobę Merlina, znów zacznie się normalnie rozwijać i kiedyś będzie taka, jak dawna Rachel. A jeśli ona wróci jako dwudziestosześcioletka, która weszła do Sfinksa?

Krew pulsowała w uszach filozofa tak mocno, że przestał słyszeć świst wiatru. Pomachał ręką w stronę postaci, co chwila przysłanianej chmurami pyłu.

Dziewczyna odpowiedziała tym samym gestem.

Sol podbiegł kawałek, zatrzymał się w niewielkiej odległości od grobowca i zawołał:

– Rachel! Rachel!

Młoda kobieta ruszyła przed siebie, obiema dłońmi przetarła twarz i zaczęła schodzić po schodach.

Sol na oślep rzucił się naprzód, kolanem uderzył w głaz, lecz nie zważał na ból. Dopadł do podnóża Nefrytowego Grobowca, akurat gdy i ona tam się znalazła.

Znów się zatoczyła i Sol uchronił ją przed upadkiem. Ułożył dziewczynę na ziemi, czując ziarna piasku chłostzące go po plecach i wiry prądów czasu.

– To ty – wyszeptała i dłonią dotknęła policzka Sola. – I wszystko wokół jest prawdziwe. Wróciłam...

– Tak, Brawne – rzekł filozof, starając się ukryć drżenie głosu, gdy odgarniał kosmyki włosów z jej twarzy. Pochylał się tak, by osłonić leżącą od wiatru. – Wszystko już dobrze, Brawne – powiedział łagodnie, z oczami lśniącymi od łez zawodu. – Wszystko dobrze. Wróciłaś.

Meina Gladstone wspięła się po schodach ogromnej sali narad i wyszła do korytarza, skąd przez gruby perspex widać było Płaskowyż Tharsis na Olymposie. W oddali padało, a ze swojego punktu widokowego niemal dwanaście kilometrów nad poziomem gruntu widziała błyskawice i kurtynę naelektryzowanego powietrza, gdy front burzowy przesunął się ponad stepem.

Jej asystentka Sedeptra Akasi stała w milczeniu.

– Wciąż żadnej wieści o Leighu i Severnie? – zapytała.

– Nic. – Twarz czarnoskórej dziewczyny oświetlało blednące słońce i rozbłyski wyładowań. – TechnoCentrum twierdzi, że mogło dojść do zaburzeń w pracy transmitera.

Meina Gladstone uśmiechnęła się smutno.

– Tak. A czy pamiętasz, by kiedykolwiek zdarzyło się coś podobnego, Sedeptro? Gdziekolwiek w Sieci?

– Nie, M. przewodnicząca.

– Centrum nie sili się nawet na zachowanie pozorów. Widać myślą, że bezkarnie mogą porwać, kogo tylko zechcą, przekonani, iż w obliczu zagrożenia są nam niezbędni.



Wiesz co, Sedepetro'?

- Słucham?

- W gruncie rzeczy mają rację. - Meina Gladstone pokręciła głową i odwróciła się w stronę zejścia do sali narad wojennych. - Za niecałe dziesięć minut Intruzi okrążą Bożą Knieję. Chodźmy, dołączmy do pozostałych. Czy spotkanie z ambasadorem Albedo zostało wyznaczone bezpośrednio po zakończeniu narady?

- Tak. Nie wydaje mi się... część spośród nas uważa, że taka konfrontacja jest zbyt ryzykowna.

- Dlaczego? - zapytała uśmiechając się, tym razem szczerze. Uważasz, że Centrum spowoduje, że zniknę jak Leigh i Severn? Akasi chciała coś powiedzieć, lecz się zawałała. Przewodnicząca położyła dłoń na jej ramieniu.

- Jeśli się na to zdecydują, to chyba wyłącznie z litości. Ale nie pójdą na takie rozwiązanie. Sprawy zaszły tak daleko, że według nich pojedyncza osoba nie jest w stanie w żadnym przypadku wpłynąć na bieg zdarzeń. - Cofnęła rękę, a uśmiech zniknął z jej twarzy. - I zapewne mają rację.

Nie kontynuując już rozmowy wróciły do siedzących przy okrągłym stole wojskowych i polityków.

- Nadchodzi ta chwila - rzekł Prawdziwy Głos Drzewoświata Sek Hardeen.

Ojca Paula Dure słowa te wyrwały z zamyślenia. Przez ostatnią godzinę jego desperacja i wściekłość stopniowo przerodziły się w rezygnację, a wreszcie w swego rodzaju satysfakcję na myśl, iż nie stoi już przed żadnymi wyborami i nie ma na głowie żadnych obowiązków. Jezuita siedział w ciszy wraz z przywódcą templariuszy i obserwował zachód słońca oraz pojawiającą się na niebie coraz większą liczbę jasnych punktów, które niestety tylko przypominały gwiazdy.

Dure starał się zrozumieć zachowanie towarzysza, który zamiast dodawać otuchy swym podwładnym, w tak ważnym momencie odizolował się od nich. Pobieżna znajomość ideologii templariuszy wystarczyła mu jednak, by pojąć, że wyznawcy Muir będą czekać na nadchodzącą zagładę swojego świata w samotności, na świętych platformach lub na swoich drzewach. A ponieważ od czasu do czasu Hardeen szeptał coś cicho, zorientował się, że utrzymuje kontakt z innymi templariuszami za pomocą komlogu oraz implantu.

I tak był to dziwny sposób oczekiwania na koniec świata, siedząc wysoko w koronie najwyższego żywego drzewa w całej Galaktyce, wsłuchując się w szum miliona akrobów liści i patrząc na rozgwieżdżone niebo z dwoma księżycami.

- Poprosiliśmy Meinę Gladstone i władze Hegemonii o rezygnację z jakiegokolwiek formy oporu i wycofanie wszystkich jednostek Armii z systemu - rzekł Sek Hardeen.

- Czy to rozsądne? - zapytał Dure, pamiętając o przewidywanym losie Bożej Kniei.

- Flota Armii i tak nie jest przygotowana do odparcia ataku wroga - wyjaśnił templariusz: - W ten sposób nasz świat ma przynajmniej nikłe szanse na uznanie go za neutralny.

Jezuita pokiwał głową i pochylił się naprzód, by lepiej widzieć wysoką postać w kapturze. Jedynym źródłem światła poza blaskiem gwiazd i księżyców były znajdujące się na niższych gałęziach żarptaki, za sprawą których do najwyższej platformy docierała lekka poświata.

- A jednak z radością powitałeś tę wojnę. I pomogłeś przywódcom kultu Chyżwara w jej wywołaniu.

- Nie, Dure. Nie chodziło o wojnę. Braterstwo wiedziało, że nie ma innego sposobu, by zapoczątkować Wielką Zmianę.

- A cóż to takiego?

- Do Wielkiej Zmiany dojdzie wówczas, gdy ludzkość zrozumie i zaakceptuje swoją pozycję jako jednego z elementów naturalnego porządku wszechświata i przestanie być drążącym go rakiem.

- Rakiem?



- To starożytna choroba, która...

- Tak, wiem o czym mówisz. Ale co to ma wspólnego z ludzkością?

W jak zawsze spokojnym głosie Hardeena dało się wyczuć zapał i głębokie przekonanie:

- Rozprzestrzenia się po Galaktyce jak komórki raka w zdrowym organizmie. Mnożymy się, nie myśląc o niezliczonych formach życia, które muszą zginąć lub zostać usunięte ze swojego naturalnego środowiska, byśmy my mogli zająć ich miejsce. Tępi my konkurujące z nami inteligentne formy życia.

- A mianowicie?

- Telepatów z Hebronu. Bagienne centaury z Ogrodu, gdzie zniszczyliśmy całą biosferę, aby kilka tysięcy kolonistów mogło zastąpić miliony przedstawicieli naturalnych form życia.

Ojciec Dure gładził palcami policzek.

- To jeden ze skutków ubocznych użyźniania gleby.

- Ale przecież nie użyźnialiśmy Wiru, a w efekcie bezsensownych polowań wytepił tam wszystkie większe organizmy.

- Nikt jednak nie potwierdził, że zepeliny były obdarzone inteligencją – zaprotestował jezuita ze świadomością, iż nie dysponuje praktycznie żadnymi przekonującymi argumentami.

- One śpiewały. Porozumiewały się na odległość tysięcy kilometrów, wyrażając miłość i smutek. Zostały jednak wytepione jak kiedyś walenie na Starej Ziemi.

Dure splótł ramiona na piersi.

- Zgadzam się, że to było krzywdzące i niesprawiedliwe. Ale z pewnością istnieje lepszy sposób na piętnowanie takiego postępowania niż wspieranie okrutnej filozofii kultu Chyżwara... i godzenie się na tę wojnę.

Kaptur templariusza zakłósał się na boki.

- Nie. Gdyby chodziło jedynie o zwykłą niesprawiedliwość, można by zaradzić temu w inny sposób. Ale głównym źródłem choroby... źródłem szaleństwa, które doprowadziło do zniszczenia całych gatunków i światów...: jest owa grzeszna symbioza.

- Symbioza?

- Ludzkości z TechnoCentrum – wyjaśnił ochryple Hardeen tonem, który zupełnie nie pasował do templariusza. – Człowieka i jego zmechanizowanych intelektów. Które z nich pasożytuje na którym? Trudno powiedzieć. Ale jako całość tworzą zło. To coś, co istnieje wbrew naturze. Co gorsza, to ewolucyjny ślepy zaułek.

Jezuita wstał i podszedł na skraj platformy. Popatrzył na ledwie widoczne w półmroku korony drzew, przypominające chmury widziane znad ich warstwy.

- Z pewnością istnieje lepszy sposób od zwracania się ku Chyżwarowi i wywoływania międzygwiazdnej wojny.

- Chyżwar jest katalizatorem. To ogień przerzedzający zbyt gęsty las, który przestaje rosnąć. Nadejdą ciężkie czasy, ale w ich rezultacie czeka nas dalszy rozwój i rozmnożenie gatunków... i to w ramach samej ludzkości.

- Ciężkie czasy – powtórzył Dure. – I twoje Braterstwo jest gotowe zaakceptować śmierć miliardów ludzi, która ewentualnie doprowadzi do tego, jak mówisz, dalszego rozwoju?

Templariusz zacisnął dłonie w pięści.

- Nie dojdzie do tego. Chyżwar jest tylko ostrzeżeniem. Nasi bracia Intruzi chcą jedynie przejąć kontrolę nad Hyperionem i Chyżwarem na tak długi okres, by musiało się to odbić na funkcjonowaniu TechnoCentrum. Później nastąpi coś na kształt operacji chirurgicznej... Przerwanie pozornej symbiozy i odrodzenie ludzkości jako równorzędnego partnera w cyklu życia.

Jezuita westchnął.

- Nikt nie wie, gdzie mieści się siedziba TechnoCentrum – zauważył. – W jaki więc sposób Intruzi będą próbowali je zaatakować i zniszczyć?



– Zrobią to – zapewnił Prawdziwy Głos Drzewoświata, lecz w jego głosie dało się wyczuć nutkę niepewności.

– A więc atak na Bożą Knieję jest częścią tego wielkiego planu? Tym razem to templariusz wstał i zaczął niespokojnie chodzić w tę i z powrotem..

– Oni nie zaatakują Bożej Kniei. Dlatego właśnie cię tu zatrzymałem. Później opowiesz o wszystkim Hegemonii.

– Przecież władze Hegemonii natychmiast będą wiedzieć, czy Intruzi zaatakują, czy też nie – rzekł Dure zaskoczony.

– Tak, ale nie będą zdawać sobie sprawy, czemu właśnie nasz świat został oszczędzony. Ty musisz zanieść im tę wiadomość. Wyjaśnić prawdę.

– Do diabła z tym – uniósł się jezuita. – Mam już dość roli czyjegoś posłańca. Skąd wasza pewność, że jesteście bezpieczni? Że pojawi się Chyżwar? Co naprawdę jest przyczyną wojny?

– Mamy przepowiednie... – zaczął Sek Hardeen.

Dure uderzył pięścią w barierkę. Jak wytłumaczyć matactwa istoty, która potrafi manipulować czasem? Jeśli nawet nie była to ona sama, to działała w imieniu kogoś lub czegoś umiającego to czynić.

– Przekonasz się... – zaczął Prawdziwy Głos Drzewoświata, lecz akurat w tym momencie rozległ się potężny dźwięk, jakby tysiące ludzi jednocześnie westchnęło, a później znacznie ciszej jęknęło.

– Dobry Boże – szepnął Dure patrząc na zachód. W miejscu gdzie zniknęło słońce, zdawało się wschodzić inne. Gorący podmuch poruszył liśćmi. i owiał ich twarze:

Nad horyzontem wzniosło się pięć szybko rosnących grzybów, a towarzyszący temu blask przemienił noc w dzień. Jezuita odruchowo zasłonił oczy, lecz po chwili uświadomił sobie, że wybuchy nastąpiły w tak dużej odległości, iż nie grozi mu ślepotą.

Sek Hardem zsunął z głowy kaptur, a gorący wiatr rozwiązał jego długie, dziwnie zielonkawe włosy. Dure przyglądał się pociągłej, szczupłej twarzy templariusza o rysach zbliżonych do azjatyckich i pełnej przerażenia minie. Przerażenia, a zarazem niedowierzania. Z niewielkiego mikrofonu ukrytego w fałdach jego szaty dały się słyszeć zatrwożone głosy.

– Eksplozje na Sierze i Hokkaido – szepnął templariusz sam do siebie. – Nuklearne eksplozje. A bomby zostały zrzucone z orbity. Jezuita wiedział, że Siema to jeden z kontynentów, zamknięty dla obcych, położony niecałe osiemset kilometrów od Drzewoświata, w którego najwyższym punkcie znajdowali się teraz. Wydawało mu się, iż Hokkaido to święta wyspa, gdzie hoduje się przyszłe drzewostatki.

– Jakie straty? – zapytał, ale zanim Hardem zdążył odpowiedzieć, powietrze przecięła oślepiająca smuga lasera. Przemknęła od horyzontu po horyzont jak gigantyczny szperacz na moment oświetlając las. A jej ślad znaczył ogień.

Dure aż odskoczył, gdy wiązka średnicy stu metrów przesunęła się zaledwie kilometr od Drzewoświata. Pradawny las eksplodował płomieniami, z których powstała dziesięciokilometrowej wysokości ściana. Kolejne wiązki zauważyli na południu i północy; a za nimi błyskawicznie wyrastał mur ognia.

– Obiecali – wyszeptał Sek Hardem. – Nasi bracia obiecali... – Potrzebujecie pomocy! – krzyknął Dure. – Poproście o nią Sieć. Templariusz chwycił go za ramię i pociągnął na skraj platformy.

Schody znów znajdowały się na swoim miejscu. A na niższym podeście migotał portal transmitera.

– To dopiero forpoczty floty Intruzów – wyjaśnił Prawdziwy Głos Drzewoświata przekrzykując trzask ginącego w płomieniach lasu. Powietrze wokół nich wypełniały niesione prądem powietrza popioły, dym i żarzące się iskry. – Ale sfera zostanie lada chwila zniszczona. Biegnij!

– Bez ciebie się nie ruszę – zaprotestował jezuita, nie mając pewności, czy towarzysz w ogóle go słyszy.



Nagle, zaledwie kilka kilometrów na wschód, nastąpiła niebieska eksplozja plazmowa. Gołym okiem widać było rozprzestrzeniającą się falę uderzeniową. Wysokie na kilometr drzewa uginały się i łamały, padając już częściowo zwęglone, a miliony zerwanych liści utworzyło ścianę, błyskawicznie zbliżając się do Drzewoświata. Nieco dalej nastąpiła kolejna eksplozja plazmowa. I jeszcze jedna.

Obaj kapłani zaczęli zsuwać się po schodach, gdy jeden z gwałtowniejszych podmuchoń porwał ich i rzucił na niższą platformę. Templariusz zdołał chwycić się płonącej balustrady i podniósł się, równocześnie podtrzymując ojca Dure. Z nadludzkim wysiłkiem, krok po kroku zmierzał ku portalowi.

Na wpół przytomny jezuita znalazł wsparcie dla stóp, dopiero gdy znajdował się już przy samym transmitterze. Chwycił się ramy, zbyt słaby, by samodzielnie go przekroczyć, i po raz ostatni spojrzął na obraz zniszczeń, którego zapewne nigdy nie zapomni.

Kiedyś, wiele lat temu, w pobliżu ukochanego Villefranche – sur – Sane, jeszcze jako dziecko, znalazł się na szczycie klifu, bezpieczny w ramionach ojca i osłonięty betonowym schronem. Przez wąskie okno obserwował wtedy, jak wysoka na czterdzieści metrów fala tsunami zmierza ku wybrzeżu, na którym mieszkali.

Teraz podobna fala miała co najmniej trzy kilometry wysokości i składała się nie z wody, lecz z płomieni. Mknęła w stronę Drzewoświata z niewiarygodną wprost prędkością, niszcząc wszystko na swojej drodze. Ułamek sekundy później przysłoniła cały świat.

– Nie! – krzyknął ojciec Dure ile sił w piersiach. – Idź!

Prawdziwy Głos Drzewoświata pchnął go zdecydowanie przez portal, akurat gdy otoczyło ich morze płomieni.

Portal zamknął się za poruszającym się jeszcze jezuitą, obcinając obcas jego buta. Ojciec Dure czuł żar i widział palące się na nim ubranie, po czym tyłem głowy uderzył o coś twardego i zapadł się w ciemność.

Meina Gladstone i pozostali członkowie rady w przerażającej ciszy patrzyli na obrazy przekazywane z cywilnych satelitów, ukazujące zagładę Bożej Kniei.

– Musimy natychmiast atakować? – wykrzyknął admirał Singh ponad trzaskiem płonących lasów. Przewodniczącej wydawało się, że słyszy wrzaski ludzi i głosy niezliczonych zwierząt zamieszkują tych lasy templariuszy.

– Nie możemy pozwolić, żeby jeszcze bardziej się zbliżyli! – kontynuował Singh. – Pozostały tylko zaprogramowane urządzenia, które zniszczą sferę.

– Tak – przyznała Meina Gladstone i choć jej wargi poruszyły się, nie było słychać żadnego dźwięku.

Admirał odwrócił się i skinął na jednego z pułkowników sztabu Armii-kosmos. Ten dotknął swojej tablicy taktycznej. Płonące lasy zniknęły, gigantyczne hologramy zgasły, a w powietrzu wibrowały tylko przewiercające czaszkę krzyki. Dopiero po chwili przewodnicząca uświadomiła sobie, że to szum krwi w jej uszach.

Spojrzała na Morpurgo.

– Ile zostało... – Odchrząknęła. – Generale, ile czasu zostało do ataku na Mare Infinitus?

– Trzy godziny i pięćdziesiąt dwie minuty, M. przewodnicząca.

Meina Gladstone spojrziała na admirała Williama Ajuntę Lee.

– Czy twoja grupa bojowa jest gotowa, admirale?

– Tak jest.

– Iloma okrętami dysponujesz?

– Siedemdziesięcioma czterema, M. przewodnicząca.

– I nie dopuścisz wroga do Mare Infinitus?

– Będę w stanie ochronić Obłok Oórta.

– Dobrze. Udanych łowów, admirale.

Młodzieniec zasalutował i opuścił salę narad. Admirał Singh pochylił się i szepnął



coś do ucha generałowi Van Zeidtowi.

Sedepra skorzystała z okazji i cicho zwróciła się do przełożonej:

– Siły bezpieczeństwa budynku rządowego meldują, że jakiś mężczyzna właśnie transmitował się do tamtejszego terminala z nieaktualnym kodem dostępu. Jest ranny, więc natychmiast zabrano go do izby chorych we wschodnim skrzydle.

– To Leigh? A może Severn?

– Nie, M. przewodnicząca. To kapłan z Pacem. Paul Dure.

Meina Gladstone pokiwała głową.

– Odwiedzę go po rozmowie z Albedo – poinformowała podwładną. Do pozostałych zaś powiedziała: – Jeśli nikt nie ma już nic do dodania, przerwiemy naradę na pół godziny. Później natomiast zajmiemy się obroną Asquith oraz Ixiona.

Zgromadzeni powstali, przewodnicząca i jej orszak przeszli przez tymczasowy portal do budynku rządowego opuszczając salę. Po jej wyjściu gorączkowe rozmowy i spory przybrały na sile.

Meina Gladstone, odchyliwszy się w swoim skórzanym fotelu, dokładnie na pięć sekund zamknęła oczy. Kiedy ponownie je otworzyła, nadal otaczał ją wianuszek doradców. Część spośród nich niecierpliwiła się, inni sprawiali wrażenie pełnych zapału, lecz wszyscy zgodnie czekali na to, co powie i rozkaże szefowa.

– Wyjdźcie – poleciła cicho. – Odpocznijcie przez chwilę. Usiądźcie wygodnie chociaż na dziesięć minut. To chyba ostatnia taka okazja w ciągu najbliższej doby, a może dwóch.

Zgromadzeni rozeszli się, nieśmiało protestując mimo malującego się na ich twarzach zmęczenia.

– Sedepra – rzekła Meina Gladstone i dziewczyna wróciła się od drzwi. – Wyznacz dwóch ludzi spośród mojej osobistej ochrony, by strzegli tego przybyłego księdza.

Akasi kiwnęła głową i zanotowała dyspozycję w faxpadzie.

– Jak wygląda sytuacja polityczna? – zapytała starsza z kobiet, trąc powieki.

– We WszechJedności zapanował chaos. Powstają frakcje, które na szczęście nie zdążyły się jeszcze przerodzić w groźną opozycję. Inaczej jest w Senacie.

– Senator Feldstein? – zapytała przewodnicząca myśląc o buńczucznej senator z Barnarda. Pozostały niecałe dwie godziny, do momentu kiedy jej ojczysty system zostanie zaatakowany przez Intruzów.

– Senator Feldstein, Kakinuma, Peters, Sabenstorafem, Richeau... nawet Sudette Chier wzywają panią do rezygnacji.

– A co z jej mężem? – Meina Gladstone miała na myśli senatora Kolcheva, najbardziej wpływową osobistość w Senacie.

– Jak na razie żadnych wiadomości od Kolcheva. Ani oficjalnych, ani poufnych.

Przewodnicząca dotknęła kciukiem podbródka.

– Jak sądzisz, ile czasu pozostało obecnej administracji do głosowania nad wotum nieufności, Sedeptro?

Dziewczyna, która była jednym z najzdolniejszych polityków, z jakimi Meina Gladstone miała okazję pracować, bez zmruczenia oka odpowiedziała na jej pytające spojrzenie.

Daję nam siedemdziesiąt dwie godziny. Nie dochodzi jeszcze do naprawdę groźnych ataków, ale będą przecież musieli znaleźć jakiegoś kozła ofiarnego, którego obarczą winą za zaistniałą sytuację.

Przewodnicząca lekko pokiwała głową.

– Siedemdziesiąt dwie godziny – szepnęła. – To aż nadto. – Zmusiła się do uśmiechu. – To wszystko, Sedeptro. Odpocznij trochę.

Asystentka przytaknęła, ale z jej miny dało się wyczytać, że i tak nie posłucha rady. Kiedy drzwi zamknęły się za nią, w pokoju zapanowała idealna cisza.

Meina Gladstone przez chwilę siedziała zamyślona, wspierając brodę na dłoni.



Wreszcie rzuciła przed siebie:

– Poproszę ambasadora Albedo.

Dwadzieścia sekund później powietrze po przeciwnej stronie biurka zadrżało, zamigotało i zgęstniało. Przedstawiciel TechnoCentrum był jak zawsze przystojny, z krótkimi, szpakowatymi włosami wieńczącymi szczerą, opaloną twarz.

– M. przewodnicząca – zaczęła holograficzna projekcja – Rada Konsultacyjna oraz predyktorzy Centrum nadal oferują pomoc w tych czasach wielkich...

– Gdzie mieści się Centrum, Albedo? – przerwała mu.

Ambasador popatrzył na nią nie przestając się uśmiechać.

– Przykro mi, ale nie usłyszałem, o co pytasz.

– O TechnoCentrum. Gdzie ono jest?

Na jego twarzy pojawiło się lekkie zdziwienie, ale nie miało ono nic wspólnego z wrogością lub choćby zniecierpliwieniem.

– M. przewodnicząca, z pewnością masz świadomość, iż w naszym interesie od czasów Secesji leży utrzymywanie w tajemnicy umiejscowienia... fizycznych elementów TechnoCentrum. Mówiąc inaczej, Centrum jest wszędzie i nigdzie, skoro...

–...Skoro istniejecie w infoprzestrzeni i rzeczywistości datasfer. Tak, słucham tych bzdur przez całe życie, Albedo. Powtarzaliście to także mojemu ojcu i dziadowi. Ale teraz pytam wprost: gdzie jest TechnoCentrum?

Ambasador z wyraźnym ubolewaniem pokręcił głową, jak człowiek, któremu rozkapryszone dziecko po raz tysięczny zadaje pytanie z gatunku: dlaczego niebo jest niebieskie.

– M. przewodnicząca, nie znam odpowiedzi zrozumiałej dla człowieka ograniczonego do pojmowania trzech wymiarów. W pewnym sensie my... Centrum... istniejemy w Sieci i poza nią. Poruszamy się w realiach infoprzestrzeni, którą wy określacie mianem datasfer, ale jeśli chodzi o fizyczne elementy – to, co wasi przodkowie nazywali „hardwarem” – uznajemy za konieczne...

– Utrzymywać ich umiejscowienie w tajemnicy – dokończyła Meina Gladstone. Splotła ramiona na piersi. – Czy masz świadomość, ambasadorze, że obywatele Hegemonii... całe ich miliony... będą święcie przekonani, iż TechnoCentrum i wasza Rada Konsultacyjna ich zdradziły?

Albedo machnął ręką.

– To przykre. Przykre, ale zrozumiałe.

– Wasi predyktorzy mieli być praktycznie nieomylni, ambasadorze. Jednak nigdy nawet nie wspominaliście o możliwości zniszczenia światów przez flotę Intruzów.

Smutek na projekcji przystojnej twarzy był niemal autentyczny. – M. przewodnicząca, muszę ci tylko przypomnieć, iż Rada Konsultacyjna ostrzegała przed włączeniem Hyperiona do Sieci. Wprowadzało to niewiadomą, z którą nawet my nie byliśmy w stanie sobie poradzić.

– Ale nie chodzi przecież wyłącznie o Hyperiona! – warknęła, podnosząc głos. – Boża Knieja właśnie płonie. Brama Niebios została zamieniona w popiół. Mare Infinitus prawie bezbronnie czeka na swoją kolej! Po cóż więc nam Rada, jeśli nie potrafi nawet przewidzieć inwazji zakrojonej na tak ogromną skalę?

– Przewidzieliśmy nieuchronność wojny z Intruzami. Zwracaliśmy także uwagę na poważne zagrożenia związane z obroną Hyperiona. Musisz mi uwierzyć na słowo, że czynnik Hyperiona tak znacznie zmniejsza pewność jakiegokolwiek predykcji, że...

– W porządku. Muszę pomówić z kimś innym z Centrum, Albedo. Z kimś z waszej nieodgadnionej hierarchii, od kogo zależą decyzje.

– Zapewniam, że jestem upoważniony do reprezentowania wszystkich elementów Centrum...

– Tak, tak. Ale chcę mówić z jedną z... Sił, jak wyje nazywacie. Jedną ze starszych Sztucznych Inteligencji. Chcę rozmawiać z kimś, kto wyjaśni mi, dlaczego Centrum porwało artystę Severna i mojego doradcę Leigha Hunta.



Ambasador wyglądał na zaskoczonego.

– Zapewniam cię, M. przewodnicząca, na honor czterech wieków naszego przymierza, że Centrum nie ma nic wspólnego z niefortunnym zniknięciem...

Meina Gladstone wstała.

– Właśnie dlatego chcę rozmawiać z Siłą. Czas zapewnień już minął, Albedo. Teraz trzeba mówić otwarcie, jeśli któryś z naszych gatunków ma przetrwać. To wszystko.

Popatrzyła na faxpad stojący na biurku. Ambasador skinął głową i rozplynął się w powietrzu.

Przewodnicząca uaktywniła osobisty portal, wprowadziła kod izby chorych budynku rządowego i dała krok do przodu. Tuż przed przekroczeniem migoczącej powierzchni zawahała się i po raz pierwszy w życiu odczuła obawę posługując się transmitterem.

A jeśli Centrum chciało ją także uprowadzić? Albo zabić? Meina Gladstone uświadomiła sobie, że TechnoCentrum ma pełną władzę nad życiem i śmiercią każdego obywatela Hegemonii korzystającego z transmitterów. Leigh i Severn wcale nie musieli zostać porwani i przeniesieni w inne miejsce... Tylko głęboko zakorzenione przekonanie o niezawodności transmitterów sprawiło, iż odrzucała myśl o przeniesieniu obu donikąd. Mogli pozostać jedynie atomami zamkniętymi wewnątrz którejś ze sfer. Transmitery nie teleportowały materii, co było niemożliwością, ale działały na zasadzie wykorzystania dziur w czasoprzestrzeni. Jakże nierozsądne było pchanie się wprost w owe potencjalne pułapki! Jaką mogła mieć gwarancję, że przeniesie się do izby chorych?

Wróciła myślami do sali narad, która dzięki bezustannie działającym portalom stanowiła połączenie trzech pomieszczeń, leżących w odległości setek lat świetlnych od siebie, a więc całych dekad lotu przy użyciu napędu Hawkinga. Za każdym razem gdy Morpungo, Singh czy ktokolwiek inny przechodził od holograficznych map do tablicy taktycznej; przemierzał ogromne obszary czasu i przestrzeni. Aby zniszczyć Hegemonię, wystarczyło tylko nieco „zakłócić” działanie transmitterów.

Do diabła z tym wszystkim, uznała i ruszyła naprzód, by spotkać się z Paulem Dure.



Dwa pokoje na piętrze domu przy Piazza di Spagna są niewielkie, wąskie, a wysokie. Oświetlają je tylko pojedyncze lampy z trudem rozpraszające ciemności. Moje łóżko stoi w mniejszym z pomieszczeń – tym od strony placu. Przez wysokie okno do środka nie wpada teraz nawet odrobina światła, słychać tylko nieustający, monotony szum fontanny.

Pełne godziny obwieszczają dzwony na jednej z bliźniaczych wież Santa Trinita der Monti. Świątynia kryje się w ciemnościach jak potężny bury kot u szczytu schodów przed domem. Gdy słyszę dźwięk dzwonów zapowiadających nadejście świtu, wyobrażam sobie, jak ręce jakichś duchów pociągają zbutwiałe liny zwisające w dzwonnicy.

Tej nocy gorączka spowiła mnie jak ciężki, wilgotny pled. Skóra pali mnie i jest lepka od krwi i potu. Dwukrotnie targały mną ataki kaszlu. Pierwszy sprowadził Hunta, śpiącego na sofie w drugim pokoju. Patrzyłem w jego oczy rozszerzone strachem na widok krwi, która poplamiała adamaszkową pościel. Za drugim razem starałem się zachowywać cicho. Z trudem wstałem i zdążyłem dopaść nocnika. Dzięki temu nie obudziłem mojego towarzysza.

Znów znaleźć się w tym samym miejscu. Przebyć tak daleką drogę trafiając do tych mrocznych pokoi i dobrze znanego łóżka. Przypominałem sobie, jak obudziłem się tu, cudownie ozdrowiony, a „prawdziwi” Severn, doktor Clark i nawet drobna Signora Ageletti stali obok. Okresowi rekonwalescencji po śmierci towarzyszyło dochodzenie do wniosku, iż nie jestem Keatsem, nie znajduję się na prawdziwej Ziemi, upłynęło wiele czasu, odkąd po raz ostatni zamknąłem oczy... i że już nie jestem człowiekiem.

Gdzieś po drugiej zasypiam i śnię. Nigdy nie śniłem o niczym podobnym. Wydaje mi się, że powoli wznoszę się poprzez infoprzestrzeń i datasferę do megasfery i wreszcie do miejsca, którego nie znam i nawet nie wiedziałem o jego istnieniu... To nieograniczona przestrzeń, pełna nieopisanych kolorów, pozbawiona horyzontu, sklepienia, podłogi, czegokolwiek stałego, co można by nazwać gruntem. Myślę o niej jako o metasferze, gdyż natychmiast wyczuwam, że na tym poziomie rzeczywistości czuję się tak samo jak podczas pobytu na Ziemi. Towarzyszami te same binarne analizy i intelektualne przyjemności, jakich doświadczałem płynąc z TechnoCentrum poprzez datasfery, a ponad wszystkim dominuje poczucie... czego? Ekspansywności? Wolności? Być może, chodzi o drzemający we mnie potencjał.

Jestem sam. Kolory pulsują nade mną, poniżej, we mnie... czasami rozpadając się na rozmyte pastele, to znów układając się w chmurzaste fantazje lub rzadziej zdając się tworzyć trwałe kształty, które można by uznać za przypominające ludzkie postacie... Przyglądam się im jak dziecko patrzące w chmury i doszukujące się w ich kształtach słońi, krokodyli z Nilu lub okrętów.

Po chwili słyszę dźwięki: doprowadzający do szaleństwa szum fontanny Berniniego na placu, gruchanie gołębi docierające z gzymsu nad oknem, posapywanie śpiącego Leigha Hunta. Ale ponad nimi jest jeszcze coś mniej uchwytnego, mniej realnego, lecz jednocześnie budzącego wprost niewyobrażalne przerażenie.

Zbliża się do mnie coś dużego. Wysiłam się, by zobaczyć to wśród pastelii. To coś porusza się tuż poza kolorami. Jestem przekonany, że mnie zna. Wiem, iż w jednej dłoni trzyma moje życie, a w drugiej śmierć.

W tym miejscu poza przestrzenią nie ma się gdzie schować. Nie jestem w stanie biec. Syrenia pieśń bólu dociera do mnie ze świata, który zostawiłem – codzienny ból każdej żyjącej istoty. Wrażenia cierpiących z powodu rozpoczynającej się wojny, specyficzny, skoncentrowany ból wiszących na przerażającym drzewie Chyżwara i najgorsza męka pielgrzymów i wszystkich pozostałych, w których życie mam wgląd.

Warto byłoby wyjść naprzeciw temu cieniowi przeznaczenia; jeśli oswobodzi mnie



to od owej pieśni bólu...

– Severn! Severn!

Przez sekundę wydaje mi się, że to ja krzyczę, jak robiłem to niegdyś, wzywając przyjaciela, by w chwilach największej słabości pomógł mi znieść gorączkę i cierpienie. Zawsze był przy mnie, powolny i opanowany, z lekkim uśmiechem, który wielokrotnie starałem się zetrzeć z jego twarzy docinkami i nieuprzejmością. Trudno być przyjaznym i miłym dla otoczenia, gdy się umiera. Kiedyś byłem wielkoduszny, ale dlaczego miałbym nadal postępować w ten sposób, kiedy to mnie dotknęło cierpienie i to ja musiałem wypluwać płuca w cuchnące szmaty?

– Severn!

To nie mój głos. Hunt szarpie mnie za ramię i woła Severna. Uświadamiam sobie, że zwraca się w ten sposób do mnie. Odpycham go i opadam na poduszkę.

– Co jest? Czego chcesz?

– Jęczałeś – wyjaśnia. – I coś krzyczałeś.

– To koszmar. Nic więcej.

– Twoje sny zazwyczaj są wyjątkowe, najczęściej prorocze – zauważa doradca przewodniczącej Senatu. Rozgląda się po pokoju oświetlonym przez lampkę, którą przyniósł ze sobą. – Co za okropne miejsce, Severn.

Zmuszam się do uśmiechu.

– Kosztowało mnie dwadzieścia siedem szylingów na miesiąc. Siedem scudi. Rozbój w biały dzień.

Hunt patrzy na mnie ze zdziwieniem.

Światło ujawnia zmarszczki na jego twarzy, niewidoczne w dzień.

– Słuchaj, Severn, wiem, że jesteś cybrydem. Meina Gladstone wyjaśniła mi, że jesteś zrekonstruowanym poetą nazwiskiem Keats. Najwyraźniej wszystko to... – wykonuje nieokreślony gest ręką wszystko to ma jakiś związek z tym miejscem. Ale o co chodzi? Jaką grę prowadzi tu Centrum?

– Nie jestem pewien – odpowiadam szczerze.

– Ale znasz ten dom?

– Oczywiście.

– Mów – prosi Hunt i uświadamiam sobie, że przecież tak długo czekał na wyjaśnienia, iż należy mu ich wreszcie udzielić. Opowiadam mu o poecie Johnie Keatsie. O jego narodzinach w roku 1795, krótkim, nader często nieszczęśliwym życiu oraz śmierci z powodu gruźlicy w 1821 w Rzymie, z dala od przyjaciół i jedynej miłości. Relacjonuję moje stopniowe „zmartwychwstanie” w tym właśnie pokoju, tłumaczę, dlaczego przyjąłem nazwisko Josepha Sevema, i wreszcie mówię o swym krótkim życiu w Sieci, słuchaniu, patrzeniu, a także poznawanym w trakcie snu życiu pielgrzymów z Hyperiona i nie tylko ich.

– Sny? – dziwi się Hunt. – To znaczy, że nawet teraz możesz tą drogą dowiedzieć się tego, co ma miejsce w Sieci?

– Tak.

Opowiadam sny o Meinie Gladstone, o zniszczeniu Bramy Niebios oraz Bożej Kniei i sytuacji na Hyperionie.

Hunt spaceruje w tę i z powrotem po wąskim pokoju, rzucając długi cień.

– Możesz się z nimi skontaktować?

– Z tymi, których widzę we śnie? Z Meiną Gladstone? – Zastanawiam się przez chwilę. – Nie.

– Jesteś pewien?

– W czasie moich snów jestem przy nich, a nie z nimi – staram się tłumaczyć. – Nie mam... żadnego wpływu na zdarzenia i nie ma sposobu, aby się z nimi skontaktować.

– Ale czasami wiesz, o czym oni myślą?

Uświadamiam sobie, że to prawda. Może nie do końca, ale w zasadzie prawda.



– Wyczuwam, co myślą...
– Więc może jesteś w stanie zostawić jakiś własny ślad w ich umysłach... w pamięci? Przekazać, gdzie jesteśmy?

– Nie.

Hunt opada na krzesło stojące przy nogach łóżka. Nagle wydaje się starszy o dobrych kilka lat.

– Leigh – tłumaczę – nawet gdybym potrafił nawiązać łączność z Meina Gladstone lub kimś z jej otoczenia, co by to dało? Mówiłem ci, że kopia Starej Ziemi, na której jesteśmy, znajduje się w Obłoku Magellana. Nawet gdyby ktoś skorzystał z napędu Hawkinga, dotarcie tu trwałoby całe stulecie.

– Ale moglibyśmy ich przynajmniej ostrzec – mówi doradca bezbarwnym, zmęczonym głosem.

– Ostrzec przed czym? Wszystkie najtragiczniejsze koszmary Meiny Gladstone stają się rzeczywistością. Uważasz, że nadal ufa TechnoCentrum? Że właśnie dlatego zostaliśmy tak bezczelnie uprowadzeni? Wydarzenia następują tak szybko po sobie, iż ani Meina Gladstone, ani też nikt inny z Hegemonii nie jest w stanie zapanować nad nimi.

Hunt trze powieki i patrzy na mnie podejrzliwie.

– Naprawdę jesteś zrekonstruowaną osobowością poety?

Milczę.

– Powiedz jakiś wiersz. Wymyśl go.

Kręcę głową. Późna noc, obaj jesteśmy zmęczeni i przerażeni, a do tego ja wciąż mam przed oczami koszmar, który był czymś więcej. Nie, nie dam się sprowokować Huntowi.

– No dalej – nalega. – Pokaż, że jesteś nową, ulepszoną wersją Billa Keatsa.

– Johna Keatsa – poprawiam cicho.

– Niech będzie. Dalej, Severn. Czy John. Jakkolwiek mam cię nazywać. Zarecytuj jakiś wiersz.

– Dobrze – poddaję się w końcu, twardo odpowiadając na jego spojrzenie. – Słuchaj:

/Był raz niegrzeczny chłopiec,
Niegrzeczny chłopiec był,

Nudziło mu się w domu,

Więc w świat chciał biec co sił.

Bez słowa

Do tornistra

Wpakował

Swe wierszyki,

Koszulę,

I ręczniki,

1 Inianą

Czapkę na noc,

Szczotkę także,

Grzebień diito

pończochy



Niedziurawe,

No, bo wstyd to!

I na plecy
Wziął te rzeczy
By iść bez trosk,
Gdzie wiódł go nos.
Na Północ wprost,

Na Północ wprost,

Na Północ wprost,

Gdzie wiódł go nos.

– No nie wiem – stwierdza Hunt z zażenowaną miną. – Nie przypomina mi to dzieła poety, który jest znany od niemal tysiąca lat.

Wzruszam ramionami.

– Czy w trakcie swego snu byłeś może przy Meinie Gladstone? pyta. – Czy coś się stało, że tak jęczałeś?

– Nie. Nie chodziło o nią. To był... prawdziwy koszmar.

Hunt wstaje, się; a po lampę i zamierza wynieść się z pokoju. Słyszę szum fontanny na placu i od czasu do czasu gwałtowne trzepotanie skrzydeł gołębia.

– Jutro ustalimy, o co w tym wszystkim chodzi, i znajdziemy jakieś wyjście – obiecuje. – Jeśli potrafili przetransmitować nas tu, musi być także jakaś droga powrotna.

– Tak – potwierdzam wiedząc, że to nieprawda.

– Dobrej nocy. I żeby już nie dręczyły cię żadne koszmary.

– Dziękuję – odpowiadam świadom, iż to jeszcze mniej prawdopodobne.

Moneta odciągnęła rannego Kassada od Chyżwara. Zdawała się powstrzymywać potwora na dystans wyciągniętą ręką. Sięgnęła po błękitny torus wiszący u pasa i zakręciła nim za plecami.

W powietrzu zapłonął złoty owal dwumetrowej wysokości.

– Puść mnie – dyszał Kassad. – Pozwól doprowadzić do końca to, co zacząłem.

W miejscach gdzie potężne stalowe pazury Chyżwara sforsowały jego pole, widać było krew. Utracił czucie w prawej stopie i nie mógł oprzeć na niej ciała. Tylko fakt, że walczy z samym Chyżwarem, sprawiał, że zachowywał przytomność i był w stanie utrzymać się na nogach.

– Puść mnie – powtórzył.

– Przestań – rzuciła Moneta, a po chwili dodała już łagodniejszym tonem: – Uspokój się, kochany:

Pociągnęła go za sobą przez złoty owal i pograżyli się w oślepiającym świetle.

Pomimo bólu i zmęczenia Kassad był oszołomiony widokiem, który ukazał się jego oczom. Nie znajdowali się na Hyperionie, tego był pewien. Rozległa równina sięgała horyzontu położonego znacznie dalej, niż podpowiadały logika i doświadczenie. Niska pomarańczowa trawa, jeśli rzeczywiście była to trawa, porastała równinę i łagodne wzgórki jak futerko monstualnie dużej gąsienicy. Coś podobnego do drzew wznosiło się tu i ówdzie jak kryształowe rzeźby o barokowych kształtach, obsypane wielką masą granatowych i fioletowych owali, mogących stanowić odpowiedniki liści, zwróconych ku jasnemu niebu.

Jasnemu, ale nie za sprawą promieni słonecznych. Kiedy jeszcze Moneta pomagała



mu wyjść z zamykającego się za nimi portalu choć orzekł, że nie jest to znany mu trans-
mitter, gdyż zdawał sobie sprawę, że przenieśli się nie tylko w przestrzeni, ale i w czasie
– spojrzął w górę i aż zaparło mu dech w piersi. Było widno jak w hyperioński dzień
lub w środku lata na ojczystej planecie pułkownika Marsie. Ale to nie słońce stanowiło
źródło światła. Na nieboskłonie wyraźnie dostrzegł tak wiele gwiazd i mgławic, że trud-
no było znaleźć jakiś ciemny fragment. Kassadowi przywiodło to na myśl planetarium
z pracującymi jednocześnie dziesięcioma projektorami. Jakby znalazł się w samym cen-
trum Galaktyki.

Centrum Galaktyki...

Grupa mężczyzn i kobiet zabezpieczonych osobistymi polami siłowymi wyłoniła się
z kępy barokowych drzew. Jeden z mężczyzn gigant nawet według marsjańskich stan-
dardów – zmierzył go wzrokiem, zwrócił się ku Monecie i choć pułkownik nic nie słyszał,
był pewien, że porozumiewają się jakoś.

– Połóż się – rzekła dziewczyna i ułożyła go na adamszkowej trawie. Chciał usiąść
i coś powiedzieć, ale ona i olbrzym palcami zaczęli dotykać jego piersi. Leżał nie prote-
stując, mając w polu widzenia jedynie lekko poruszające się fioletowe liście i rozgwieź-
dzone niebo.

Mężczyzna dotknął go oburącz i pole siłowe zniknęło. Uświadomiwszy sobie, że dla
obserwującej go grupki jest zupełnie nagi, chciał jakoś się zakryć, ale Moneta zdecydo-
wanie uniemożliwiła mu jakikolwiek ruch. Pomimo bólu i oszołomienia czuł, jak mężczy-
zna lekko muska jego poranione ramiona i piersi, po czym przesuwając obleczoną w srebro
dłonią po uszkodzonym ścięgnię Achillesa. Dotknięciom towarzyszył chłód. Nagle duch
uleciał z jego ciała, wznosząc się wysoko ponad równiną, zmierzając ku gwiazdom i cze-
kającej tam potężnej postaci, ciemnej jak chmury burzowe i ogromnej jak góra.

– Kassad – szepnęła Moneta i pułkownik znalazł się we własnym ciele. – Kassad
– powtórzyła, ustami dotykając jego policzka. Znowu był okryty polem siłowym, które
połączyło się z jej polem.

Usiadł. Z niedowierzaniem pokręcił głową i wstał. Nie odczuwał bólu. Jedynie w kilku
miejscach, gdzie wcześniej krwawiły rany, czuł coś jak gdyby mrowienie czy też swę-
dzenie. Jego dłoń bez przeszkód przeniknęła pole, a gdy pomacał nią kolano i stopę, nie
wyczuł nawet blizn.

Odwrócił się w stronę olbrzyma.

– Dziękuję – powiedział, nie będąc pewnym, czy mężczyzna go słyszy.

Ten skinął głową i wycofał się do swoich.

– Jest... swego rodzaju lekarzem – wyjaśniła Moneta. – Uzdrawiaczem.

Kassad słuchał jej jednym uchem, obserwując jednocześnie przyglądających mu
się ludzi. Nie miał co do tego wątpliwości, że są ludźmi, ale zdumiewała go ich wielora-
kość. Ich pola nie były srebrne jak jego i Monety, lecz wielobarwne. Wszystkie okrywały
jednak ciała tak dokładnie, jakby stanowiły integralną ich część. Pod nimi z trudem da-
wało się wyodrębnić twarze. Budowa ciał, podobnie jak kolorystyka, także ich od siebie
różniła. Uzdrawiacz był wyjątkowo masywnie zbudowany, a kaskada promieni tworząca
coś na kształt grzywy sprawiała, że wydawał się jeszcze wyższy niż w rzeczywistości.
Stojąca obok kobieta, choć nie większa od dziecka, miała idealnie zgrabne nogi, drobne
piersi i długie na dwa metry skrzydła wyrastające z pleców. Nie były tylko dekoracją,
ponieważ gdy wiatr poruszył pomarańczową trawę, kobieta podbiegła kilka kroków,
rozwinęła skrzydła i z gracją uniosła się w powietrze.

Dalej spostrzegł kilka wysokich, szczupłych kobiet okrytych niebieskimi polami,
wszystkie miały płetwiaste dłonie. Kassad zobaczył też grupę niskich mężczyzn w przy-
łbicach i zbrojach przypominających stroje próżniowe komandosów Armii, ale dopie-
ro po chwili zorientował się, że to części ciał. Nad ich głowami unosili się skrzydlaci
mężczyźni, między którymi przemykały żółte wiązki laserowego światła, układające się
w jakiś skomplikowany kod. Ich źródłem zdawały się dodatkowe oczy umiejscowione
na piersiach.



Pułkownik znów pokręcił głową.

– Musimy iść – powiedziała Moneta. – Chyżwar nie może dotrzeć tu za nami. Ci wojownicy mają ręce pełne roboty i bez obecności Władcy Bólu.

– Gdzie jesteśmy?

Dziewczyna złotym przyrządem przytroczonym do pasa uaktywniła fioletowy owal.

– Daleko w ludzkiej przyszłości. W jednej z równoległych przyszłości. To tutaj właśnie Grobowce Czasu zostały zbudowane i wysłane wstecz.

Kassad jeszcze raz rozejrzał się wokół. Coś kolosalnego poruszało się po niebie, przysłaniając tysiące gwiazd i na ułamek sekundy rzucając cień. Autochtoni popatrzyli w górę, po czym wrócili do swoich zajęć: zdejmowania jakichś niewielkich przedmiotów z drzew, przyglądania się mapom energetycznym wywołanym pstryknięciem palcami przez jednego z mężczyzn lub latania z szybkością błyskawicy gdzieś w dal. Jedna z niskich, krągłych osób nieokreślonej płci nagle zapadła się pod ziemię, zostawiając po sobie rozszerzające się szybko kręgi spulchnionej gleby.

– Gdzie jesteśmy? – dopytywał się Kassad.

Nagle, zupełnie niespodziewanie poczuł, że łyżę cisną mu się do oczu. Ogarnął go taki nastrój, jakby minawszy nieznaną zakręt, znalazł się przed rodzinnym domem. Dawno nieżyjąca matka wybiegła, by go powitać, a zapomniani przyjaciele namawiali, by przyłączył się do zabawy.

– Chodź – rzekła Moneta z wyczuwalną w głosie niecierpliwością. Pociągnęła kochanka w stronę świetlistego owalu. Patrzył na tubylców i rozgwieżdżoną kopułę, dopóki wszystko nie rozplynęło mu się przed oczami.

Wstąpili w ciemność, lecz wystarczył ułamek sekundy, by filtry osobistego pola umożliwiły widzenie. Stali u stóp Kryształowego Monolitu w Dolinie Grobowców Czasu na Hyperionie. Była noc. Chmury mknęły po niebie, a wokół szalała burza. Okolicę oświetlał tylko pulsujący blask dobywający się z grobowców. Kassad odczuł ukłucie tęsknoty za wspaniałym, jasnym miejscem, które dopiero co opuścili. Nie miał jednak czasu na rozpamiętywanie swoich wrażeń, ponieważ całą uwagę musiał skoncentrować na tym, co go otaczało.

Okolo pół kilometra przed sobą dostrzegł Sola Weintrauba i Brawne Lamię. Sol osłaniał dziewczynę, która leżała przed wejściem do Nefrytowego Grobowca. Wiatr unosił chmury pyłu, zasłaniające im Chyżwara, skradającego się do nich jak cień od strony Obelisku.

Fedmahn Kassad odsunął się od Monolitu. Zauważył, że Moneta wciąż jest obok niego.

– Jeśli znów podejmiesz walkę, Chyżwar cię zabije – szepnęła mu prosto do ucha.

– To moi przyjaciele – odpowiedział.

Jego sprzęt i uszkodzona zbroja leżały tam, gdzie zostawiła je Moneta. Przeszukał Monolit, znalazł swoją strzelbę i pas z granatami. Sprawdził, czy broń jest sprawna, i rzucił się naprzód, by przeciąć drogę Chyżwarowi.

Ze snu wrywa mnie szum wody i przez chwilę wydaje mi się, że przebudziłem się z drzemki; leżąc obok wodospadu Lodore, jak niegdyś, podczas pieszej wycieczki z Brownem. Ale ciemność po otwarciu oczu jest równie przerażająca jak sen. Woda raczej spływa niż huczy spadając wodospadem, który kiedyś zostanie rozslawiony poezją Southeya. Ja czuję się wprost okropnie – nie tylko chory z obolałym gardłem, które przeziębilem w czasie wyprawy z Brownem na Siddaw. To coś znacznie więcej niż zwykła choroba, bo czuję, jak flegma i jakiś żar gotują mi się w piersiach oraz przełyku.

Wstaję i po omacku podchodzę do okna. Smuga światła dociera spod drzwi pokoju Hunta – zasnął nie gasząc lampy. Dochodzę do wniosku, że sam mogłem postąpić podobnie, ale już za późno, by ją zapalać, a poza tym przy tak dokładnej znajomości pokoju podejście do okna nie stanowi najmniejszego problemu.

Powietrze jest rześkie i przesycone wilgocią. Okazuje się, że dźwiękiem, który wy-



rwał mnie ze snu, był huk grzmotów, gdyż nad Rzymem rozszalała się burza. W całym mieście nie widać ani jednego światełka. Wychyłam się lekko i widzę lśniąca od deszczu, biegnące w górę schody i wieże Trinita der Monti podświetlane przez częste błyskawice. Wiatr jest zimny. Wracam więc do łóżka pod koc, okręcam się nim, podsuwam krzesło pod okno i siadam, by patrzeć na Rzym i myśleć.

Przypominam sobie brata Toma podczas jego ostatnich tygodni i dni, gdy męczył się mając problemy z oddychaniem. Pamiętam matkę, o twarzy tak bladej, że niemal świecącej w ciemnym pokoju. Siostrze i mnie wolno było dotykać jej lepkiej od potu dłoni i całować w rozpalone usta. Kiedyś z obrzydzeniem wytarłem wargi, gdy wyszliśmy z jej pokoju, uważając, by nikt nie zobaczył mojego grzesznego zachowania.

Kiedy doktor Clark i towarzyszący mu włoski chirurg otworzyli klatkę piersiową Keatsa niecałe trzydzieści godzin po jego śmierci, stwierdzili, jak później opisał to przyjacielowi Severn, „...najbardziej zaawansowane stadium gwałtowności, jakie kiedykolwiek widzieli – płuca były doszczętnie zniszczone, tak że właściwie nie było już czym oddychać”. Obaj nie pojmowali, jakim cudem Keats mógł przeżyć ostatnie dwa miesiące.

Myślę o tym siedząc w ciemnym pokoju i patrząc na plac, jednocześnie nasłuchując wrzenia w mojej piersi. Czuję ból palący wewnątrz i jeszcze większy gdzieś tam w umyśle. Krzyki Martina Silenusa wiszącego na drzewie, cierpiącego za pisanie poezji, której ja nie skończyłem, zbyt słaby, zbyt przerażony. Krzyki Fedmahna Kassada, przygotowującego się na śmierć z rąk Chyżwara. Krzyki konsula, po raz drugi zmuszonego do zdrady. Krzyki równocześnie dobywające się z tysięcy gardeł ginących templariuszy, oplakujących śmierć swojego świata i przywódcy Heta Masteena. Krzyki Brawne Lamii, nie mogącej przestać myśleć o zabitym ukochanym – moim bliźniaku. Krzyki Paula Dure, walczącego z oparzeniami i przerażającymi wspomnieniami, świadomego obecności krzyżozształtu. Krzyki Sola Weintrauba, bezradnie tłukącego pięścią w ziemię i nadaremnie przyzywającego swe dziecko, którego płacz wciąż dźwięczy mu w uszach.

– Cholera – szepczę, waląc kułakiem w kamienny parapet. – Cholera!

Po jakimś czasie, gdy na niebie dostrzegam zorzę zapowiadającą świt, wstaję od okna, wracam do łóżka, kładę się i zamykam oczy.

Gubernatora generalnego Theo Lane'a obudziły dźwięki muzyki. Przetarł oczy i rozejrzał się, z trudem rozpoznając zbiornik z substancjami odżywczymi i sprzęt chirurgiczny statku. Stwierdził, że ma na sobie miękką czarną piżamę i odpoczywa na chirurgicznej leżance. Ostatnie dwanaście godzin z wolna zaczęło układać mu się w całość: wyjęcie ze zbiornika, dotyk jakichś czujników, konsul i obcy mężczyzna nachylający się nad nim, zadający pytania, na które odpowiadał, jakby był w pełni świadomy, i znów sen, w trakcie którego wciąż widział Hyperiona i jego płonące miasta. Nie, to nie był sen.

Theo usiadł tak gwałtownie, że omal nie spadł z leżanki. Znalazł swoje ubranie, czyste i starannie złożone na jednej z półek. Przebrał się szybko, wciąż słysząc muzykę, to przybierającą na sile, to cichnącą, ale brzmiącą tak głęboko i naturalnie, że nie mogła być odtwarzana.

Zszedł po schodkach na pokład rekreacyjny i stanął zaskoczony, zobaczywszy, że statek jest otwarty, balkon wysunięty, a pole ochronne wyłączone. Grawitacja była minimalna, co najmniej o dwadzieścia procent mniejsza od hyperiońskiej – około jedna szósta standardowej.

Jaskrawe promienie słoneczne wlewały się przez odsłonięte okno widokowe, zalewając światłem konsula grającego na antycznym instrumencie, który nazywał fortepianem. Rozpoznał archeologa – Arundeza – wspartego o przezroczystą część kadłuba, z drinkiem w dłoni. Konsul grał coś bardzo starego i skomplikowanego jednocześnie. Jego ręce fruwały nad klawiaturą. Theo podszedł bliżej i zaczął szeptać do ucha uśmiechniętego Arundeza, gdy wtem urwał zaskoczony.

Jakieś trzydzieści metrów od balkonu ujrzał zielony trawnik ciągnący się aż do dziw-



nie bliskiego horyzontu. Siedziały na nim i leżały w malowniczych pozach grupy ludzi, najwyraźniej zasłuchanych w muzykę konsula. Ale jakich ludzi!

Byli pośród nich wysocy, szczupli, podobni do estetów z Epsilon Eridani; bladzi i łysi, w zwiewnych niebieskich szatach. Wokół zebrała się taka różnorodność rodzajów ludzi, jakich Sieć nigdy nie widziała. Ludzie okryci futrem i łuska, z owadziemi ciałami i oczami, różnymi czułkami i antenami. Ludzie delikatni jak dzieła sztuki z drutu, z czarnymi skrzydłami okrywającymi ich jak płaszcze, niscy i muskularni, przystosowani do życia w ogromnej grawitacji, przy których Luzyjczycy wyglądali jak dzieci, inni o krótkich tułowach i długich ramionach pokrytych pomarańczowym futrem, tylko wyglądem twarzy różniący się od znanych z nielicznych hologramów wymarłych orangutanów ze Starej Ziemi i wielu innych, przypominających raczej lemury, ssaki morskie, koty i niedźwiedzie niż typowych przedstawicieli rodzaju ludzkiego. Jednak Theo od razu wiedział, że to istoty ludzkie. Ich uważne, bystre spojrzenia, gestykulacja, swobodne pozy i setki innych subtelności świadczyły, że pomimo fizycznych różnic, ma przed sobą pobratymców.

Melio Arundez obejrzał się, uśmiechnął widząc minę Theo i szeptem wyjaśnił:

– To Intruzi.

Zszokowany Theo był w stanie tylko z niedowierzaniem pokręcić głową i słuchać muzyki. Intruzi byli barbarzyńcami, a nie takimi pięknymi, czasami zwiewnymi wręcz istotami. Jeńcy wzięci pod Bressią, nie wspominając już o ciałach zabitych, byli wyjątkowo wysocy, szczupli i zdecydowanie bardziej niż ci tutaj przypominali ludzi z Sieci.

Gubernator jeszcze raz z podziwem pokręcił głową, gdy rozbrzmiało crescendo i po chwili muzyka umilkła. Oklaski setek słuchaczy długo rozbrzmiewały w rozrzedzonej atmosferze. Gdy w końcu umilkły, Intruzi zaczęli wstawać i rozchodzić się... Część z nich pieszo skryła się szybko za owym niedalekim horyzontem, inni zaś rozwinęli ośmiometrowej rozpiętości skrzydła i odlecieli. Jedynie kilku zbliżyło się do statku konsula.

Jego właściciel wstał, na widok Theo uśmiechnął się i poklepał przyjaciela po ramieniu.

– Przeszedłeś do siebie we właściwym momencie. Wkrótce rozpoczynamy negocjacje.

Lane miał wyraźnie zaskoczoną minę. Tymczasem trzech Intruzi wylądowali na balkonie i zwinęli swe ogromne skrzydła. Każdy z mężczyzn był pokryty futrem, którego włosy układały się w urozmaicone wzory.

– Wspaniale jak zawsze – zwrócił się najbliższy z przybyszów do konsula. Miał lwią twarz z szerokim nosem i złote oczy okolone brązowym futerkiem. – Ostatni utwór to fantazja d – moll Mozartą, prawda?

– Rzeczywiście. Wolny Człowieku Vanzie, pozwól, że przedstawię ci M. Theo Lane'a, generalnego gubernatora Hyperiona.

Lwie spojrzenie spoczęło na Theo.

– To dla mnie zaszczyt – powiedział Wolny Człowiek Vanz i wyciągnął włochatą rękę. Gubernator uściskał ją.

– Miło mi pana poznać – rzekł zastanawiając się, czy wciąż nie znajduje się przypadkiem w zbiorniku i czy wszystko to nie jest aby snem. Ale palące słońce i mocny uścisk dłoni świadczyły, że to rzeczywistość.

Intruz ponownie zwrócił się w stronę konsula.

– W imieniu Agregatu dziękuję za ten koncert. Od wielu już lat nie mieliśmy okazji słuchać twojej muzyki, przyjacielu. – Rozejrzył się. – Rozmowy możemy prowadzić tutaj lub w miejscu naszych zgromadzeń. Jak sobie życzysz.

Konsul wahał się tylko przez ułamek sekundy.

– Nas jest trzech, was zaś wielu. Poza tym jesteśmy waszymi gośćmi. Lwia głowa poruszyła się potakująco i zwróciła ku niebu.

– Przysłemy po was łódź.



Wszyscy trzej podeszli do barierki i jak na komendę równocześnie ją przeskoczyli. Spadali kilka metrów, a następnie rozwinęli skrzydła i odlecieli.

– Jezu – szepnął Theo. Chwycił przyjaciela za ramię. – Gdzie my jesteśmy?

– W roju – rzekł spokojnie konsul, zamykając pokrywę fortepianu. Wszedł do wnętrza statku, poczekał, aż Arundez znajdzie się tam również, po czym wydał polecenie i natychmiast balkon wrócił na swoje zwykłe miejsce.

– O czym będziemy rozmawiać?

Konsul potarł powieki. Sprawiał wrażenie, jakby przez ostatnie kilkanaście godzin w ogóle nie spał.

– To zależy od najbliższego połączenia z przewodniczącą Meina Gladstine – głową wskazał holorzutnik. Właśnie był tam odbierany i dekodowany sygnał FAT.

Meina Gladstone weszła do izby chorych w budynku rządowym, gdzie oczekujący już lekarze poprowadzili ją do izolatki, w której leżał ojciec Paul. Dure.

– Jak on się czuje? – zapytała idącą obok swą osobistą lekarzkę.

– Oparzenia drugiego stopnia na około jednej trzeciej powierzchni ciała – odpowiedziała doktor Inna Androneva. – Stracił brwi i część włosów... chociaż już przedtem niewiele ich miał... Na lewej stronie ciała, włącznie z twarzą, wystąpiły oparzenia radiacyjne trzeciego stopnia. Zakończyliśmy proces regeneracji naskórka i wstrzyknęliśmy wzorce RNA. Jest przytomny i nie odczuwa bólu. Mamy problem z pasożytem umiejscowionym na jego piersi, ale nie stanowi on zagrożenia dla życia.

– Radiacyjne oparzenia trzeciego stopnia – powtórzyła Meina Gladstone zatrzymując się na moment przed kabiną, gdzie leżał jezuita. – Bomby plazmowe?

– Tak – potwierdził inny lekarz, którego osobiście nie знаła. Ten człowiek przybył z Bożej Kniei zaledwie na sekundę czy dwie przed przerwaniem połączenia transmitemrowego.

– W porządku – rzekła przewodnicząca podchodząc do zawieszzonego w powietrzu posłania, na którym spoczywał Dure. – Chcę pomówić z nim bez świadków.

Lekarze popatrzyli nieco zaskoczeni, po czym skierowali mechaniczną pielęgniarkę do schowka w ścianie i przeszli do dyżurki zamykając za sobą przegrodę.

– Ojciec Dure? – zapytała Meina Gladstone, rozpoznając księdza na podstawie widzianych wcześniej hologramów i opisu przekazanego przez Severna. Jego twarz była teraz czerwona i pokryta plamami widocznymi pod warstwą żelu regeneracyjnego i napyłonego środka przeciwbólowego. Nawet w takim stanie wyglądał jednak na osobę nietuzinkową.

– Witaj, M. przewodnicząca – wyszeptał ksiądz i wykonał ruch, jakby chciał usiąść. Meina Gladstone delikatnie położyła dłoń na jego zdrowym ramieniu.

– Leż. Czy możesz i chcesz opowiedzieć mi, co się stało?

Jezuita kiwnął głową. W jego oczach zaśniły łzy.

– Prawdziwy Głos Drzewoświata nie wierzył, że naprawdę zniszczą Bożą Knieję – wychrypiał. – Twierdził, że templariusze mają jakiś układ z Intruzami... Ale oni zaatakowali. Lance laserowe, bomby plazmowe i nuklearne...

– Tak, obserwowaliśmy to podczas rady wojennej. Muszę wiedzieć wszystko, ojcze. Wszystko, od chwili gdy wszedłeś do grobowca na Hyperionie.

Paul Dure przyjrzał się uważnie twarzy przewodniczącej.

– Wiesz o tym?

– Tak. I o większości zdarzeń do tamtego czasu. Ale muszę wiedzieć więcej. Znacznie więcej.

Ksiądz przymknął oczy.

– Labirynt...

– Co?

– Labirynt – powtórzył, tym razem głośniej i pewniej. Odchrząknął i opowiedział o podróży po tunelach pełnych ciał, przeniesieniu na statek Armii i wreszcie o spotkaniu



z Severnem na Pacem.

– Jesteś pewien, że Severn zamierzał tutaj przybyć? Do budynku rządowego?

– Tak. On i twój doradca... Hunt. Obaj mieli transmitować się tutaj.

Meina Gladstone pokiwała głową i delikatnie pogłaskała nienaruszoną część ramienia kapłana.

– Ojczy, zdarzenia nabrały tempa. Severn i Leigh Hunt zaginęli. A ja potrzebuję rady, jak postąpić z Hyperionem. Zostaniesz ze mną?

Dure przez moment wyglądał na niezdecydowanego. W końcu rzekł cicho:

– Muszę wracać. Wracać na Hyperiona, M. przewodnicząca. Sol i pozostali czekają tam na mnie.

– Rozumiem cię – powiedziała uspokajającym tonem. – Kiedy tylko będzie to możliwe, postaram się, byś mógł się tam udać. Ale obecnie Sieć jest atakowana w barbarzyński sposób. Miliony giną, a miliardom grozi śmierć. Potrzebuję twojej pomocy, ojczy. Mogę na ciebie liczyć, przynajmniej jak długo tu będziesz?

Dure westchnął ciężko.

– Tak, M. przewodnicząca. Ale nie mam pojęcia, w jaki...

Rozległo się ciche pukanie i weszła Sedepra Akasi. Wręczyła przełożonej kartkę z wiadomością. Ta, przeczytawszy tekst, uśmiechnęła się.

– Mówiłam, że sytuacja rozwija się w błyskawicznym tempie, ojczy. Oto kolejny dowód. Z Pacem donoszą, że konklawe zebrało się w Kaplicy Sykstyńskiej... – urwała i uniosła brwi. – Czy chodzi o tę Kaplicę Sykstyńską?

– Tak. Kościół rozebrał ją kamień po kamieniu, fresk za freskiem i po Wielkiej Pomyłce przeniósł na Pacem.

Meina Gladstone znów opuściła wzrok na trzymaną kartkę.

–...Zebrano się w Kaplicy Sykstyńskiej i wybrało nowego papieża.

– Tak szybko? – wyszeptał jezuita. Znów zamknął oczy. – Zapewne uznali, że muszą się śpieszyć. Pacem zostało... ile?... dziesięć dni do inwazji Intruzów. Ale żeby zdecydować tak szybko...

– Nie jesteś ciekaw, kto jest nowym papieżem?

– Sądzę, że Antonio kardynał Guardacci lub Agostino kardynał Ruddell. Nikt inny nie mógł liczyć na zebranie koniecznej większości głosów.

– Otóż nie. Według wiadomości przekazanej mi przez biskupa Edouarda z Curii Rzymskiej...

– Biskupa Edouarda? – wyrwało się księdzu. – Przepraszam, M. przewodnicząca, mów dalej.

– Według biskupa Edouarda zgromadzenie kardynałów wybrało kogoś, kto nie jest nawet monsignorem. Coś takiego zdarzyło się po raz pierwszy w bogatej historii Kościoła. Nowy papież jest jezuickim kapłanem... i nazywa się Paul Dure.

Leżący pomimo ran usiadł gwałtownie.

– Co? – zapytał z niedowierzaniem.

Meina Gladstone wręczyła mu kartkę.

Paul Dure przyglądał się jej długo.

– To niemożliwe. Nigdy nie wybrali nikogo, kto nie był choćby monsignorem... Raz tylko dokonali tego symbolicznie po Wielkiej Pomyłce i Cudzie... Nie, nie, to niemożliwe.

– Jak informują mnie doradcy, biskup Edouard starał się z tobą skontaktować – powiedziała Meina Gladstone. – Natychmiast zajmijmy się umożliwieniem połączenia, ojczy. A może powinnam mówić Wasza Świątobliwość? – W jej głosie nie było nawet śladu ironii.

Jezuita patrzył na rozmówczynię oniemiały, niezdolny do wydobywania z siebie choć słowa.

– Zaraz porozmawiasz z biskupem – ciągnęła przewodnicząca. Najszybciej jak się da zorganizujemy twój powrót na Pacem, Wasza Świątobliwość, ale byłabym wdzięczna, gdybyś stale się ze mną kontaktował. Naprawdę zależy mi na twoich radach.



Dure pokiwał głową i znów utkwiał wzrok w notce. Na konsoli obok jego postania zamigotał sygnał wywołania telefonicznego.

Meina Gladstone wyszła tymczasem na korytarz i poinformowała lekarzy o wyniku konklawe. Skontaktowała się z siłami bezpieczeństwa, by zatroszczyły się o biskupa Edouarda i innych hierarchów Kościoła mających przybyć z Pacem na Pierwszą Tau Ceti, po czym transmitowała się do swojego gabinetu. Sedepra przypomniała jej, że rada wojenna zbiera się ponownie za osiem minut. Przewodnicząca odprawiła asystentkę i podeszła do nadajnika FAT, ukrytego w ścianie. Uaktywniła pole soniczne, wsunęła transmisyjną kartę magnetyczną i wybrała kod statku konsula. Każdy odbiornik w Sieci, Protektoracie, Galaktyce i całym wszechświecie przechwyci jej wiadomość, ale tylko umiejscowiony na statku konsula będzie w stanie ją odszyfrować. Taką przynajmniej miała nadzieję.

Światło kamery holowizyjnej rozjarzyło się na czerwono.

– Na podstawie automatycznego przekazu z twojego statku wnioskuję, że zdecydowałeś się spotkać z Intruzami, a oni ci to umożliwili – przemówiła do obiektywu. – Zakładam także, że udało ci się przeżyć ten pierwszy kontakt.

Westchnęła ciężko.

– Na przestrzeni lat prosiłam cię w imieniu Hegemonii o ogromne poświęcenia. Teraz zwracam się z prośbą w imieniu całej ludzkości. Musisz zdobyć niezwykle istotne dla nas informacje. Po pierwsze, dlaczego Intruzi nie tylko atakują, ale i niszczą światy Sieci? Zarówno ja, Byron Lamia, jak i zapewne ty także byliśmy przekonani, że chodzi im wyłącznie o Hyperiona. Dlaczego więc zmienili zdanie? Po drugie, gdzie znajduje się TechnoCentrum? Muszę to wiedzieć, jeśli mamy podjąć z nim walkę. Czyżby Intruzi zapomnieli że Centrum jest naszym wspólnym wrogiem? Po trzecie, czego żądają w zamian za zawieszenie broni? Jestem gotowa poświęcić wiele dla uwolnienia się spod dominacji Centrum, ale niezbędne jest zawieszenie broni! Po czwarte, czy przywódca Agregatu roju zgodzi się spotkać ze mną osobiście? Jeśli to konieczne, transmituję się na Hyperiona. Wprawdzie większość naszej floty ewakuowała się już, ale statek – transponder wraz z eskortą orbituje przy wciąż istniejącej sferze. Ich przywódca musi pilnie podjąć decyzję, bo Armia chce jak najszybciej przerwać łączność transponderową, a wtedy Hyperion będzie miał trzy lata długu czasowego w stosunku do Sieci. 1 wreszcie przywódcy roju powinni dowiedzieć się, że TechnoCentrum pragnie, byśmy w celu powstrzymania inwazji Intruzów użyli emitera promieni śmierci. Wielu spośród dowódców Armii aprobuje ten środek walki. A czasu jest coraz mniej. Nie pozwolimy, powtarzam, nie pozwolimy Intruzom niszczyć światów Sieci. Wszystko leży więc teraz w twoich rękach. Potwierdź, proszę, otrzymanie tej wiadomości i skontaktuj się ze mną, gdy tylko rozpoczniesz negocjacje.

Meina Gladstone popatrzyła wprost w kamerę, jakby za jej pomocą starała się przekazać siłę swej osobowości i szczerość intencji. – Zaklinam cię na historię i losy całej ludzkości, zdobądź te informacje.

Przekaz dobiegł końca, a po nim jeszcze przez dwie minuty wyświetlane były obrazy przedstawiające zagładę Bramy Niebios i Bożej Kniei. Konsul, Melio Arundez i Theo Lane długo siedzieli w milczeniu, gdy i one zniknęły.

– Odpowiedź? – zapytał statek.

Konsul odchrząknął głośno.

– Potwierdź otrzymanie wiadomości. I podaj nasze koordynaty. Popatrzył na swych towarzyszy. – Panowie?

Archeolog pokręcił głową.

– To oczywiście, że był pan już tutaj... w roju.

– Tak. Po Bressii... po tym jak moja żona i synek... Po Bressii, wiele lat temu przybyłem do roju w celu przeprowadzenia negocjacji.

– Reprezentując Hegemonię? – zapytał Theo, wyglądający teraz na znacznie star-



szego i bardziej zmęczonego niż podczas pierwszego spotkania po wielu latach.

– Reprezentując ówczesną frakcję senator Gladstone. Działo się to, zanim jeszcze została przewodniczącą Senatu. Kierowana przez nią grupa ujawniła mi, że na wynik walki toczącej się wewnątrz TechnoCentrum można wpłynąć włączając Hyperiona do Protektoratu Sieci. Najprostszym sposobem na osiągnięcie tego celu było ujawnienie owej informacji Intruzom... co skłoni ich do zaatakowania Hyperiona, a to z kolei spowoduje wysłanie tam floty Hegemonii.

– I zrobił pan to? – Głos Arundeza był spokojny, choć jego żona i dorosłe już dzieci mieszkały na Renesansie, któremu zostało niecałe osiem godzin do inwazji.

Konsul usiadł na sofie.

– Nie. Zdradziłem Intruzom cały plan. A oni odesłali mnie do Sieci jako podwójnego agenta. Planowali wprawdzie zająć Hyperiona, ale dopiero w dogodnym dla siebie czasie.

Theo pochylił się, zaciskając dłonie w pięści.

– A więc przez wszystkie te lata w konsulacie...

– ...Czekałem na instrukcje od Intruzów. Zrozum, że oni dysponowali urządzeniem mogącym zlikwidować antyentropijne pola otaczające Grobowce Czasu. Spowodować ich otwarcie. Umożliwić Chyżwarowi wyrwanie się z niewoli.

– Więc Intruzi to zrobili...

– Nie. To moje dzieło. Wywiodłem w pole Intruzów dokładnie w ten sam sposób jak Meinę Gladstone i Hegemonię. Zastrzeliłem Intruzkę montującą urządzenie... ją i techników... i sam obsługiwałem ten sprzęt. Pola antyentropijne stopniowo słabły. Zorganizowana została ostatnia pielgrzymka. A Chyżwar odzyskał swobodę.

Theo wpatrywał się w dawnego nauczyciela. W jego zielonych oczach więcej było zdziwienia i niedowierzania niż wściekłości.

– Dlaczego? Dlaczego zrobił pan to wszystko?

Konsul opowiedział im krótko o babce Siri z Maui – Przymierza i wznieconym przez nią powstaniu przeciw Hegemonii. Powstaniu, o którym nie zapomniano wraz ze śmiercią Siri i jej męża.

Arundez wstał i podszedł do okna naprzeciw balkonu. Promienie słoneczne padały na jego stopy i granatowy dywan.

– Czy Intruzi zdają sobie sprawę z tego, co pan zrobił?

– Teraz tak. Powiedziałem o tym Wolnemu Człowiekowi Vanzowi i pozostałym zaraz po przylocie tutaj.

Theo okrążył kolumnę holorzutnika.

– Więc to spotkanie, na które się wybieramy, może zamienić się w proces.

Konsul zdobył się na uśmiech.

– Albo egzekucję.

Gubernator gwałtownie się zatrzymał.

– A Meina Gladstone wiedziała o tym prosząc pana o pomoc?

– Tak.

– Nie jestem do końca przekonany, czy nie powinien zostać pan uznany winnym.

– Ja również, Theo, ja również – rzekł konsul.

Melio Arundez przestał wyglądać przez okno i spojrzał na nich.

– Czy dobrze słyszałem, że Vanz wspominał o przylądzie po nas łodzi?

Obaj zapytani potakująco kiwnęli głowami i podeszli do okna. Świat, na którym znajdowali się, był średnich rozmiarów asteroidą zamienioną w możliwą do zamieszkania miniplanetę, otoczoną polem siłowym dziesiątej klasy. Słońce Hyperiona zachodziło właśnie za niedalekim horyzontem, a trawa widoczna na przestrzeni kilku kilometrów kołysała się w podmuchach lekkiego wiatru. Niedaleko statku szeroki strumień przepływał przez równinę i znikał za horyzontem, by pojawić się znowu pod postacią powyginanego dzięki polom siłowym wodospadu przecinającego czerń kosmosu i niknącego gdzieś w oddali.



Łódź płynęła w dół tej niewyobrażalnie wysokiej kaskady, zbliżając się do powierzchni ich planetki. Na dziobie i rufie widoczne były jakieś postacie.

– Chryste – wyszeptał Theo.

– Lepiej się szykujmy – rzekł konsul. – To nasza eskorta. Tymczasem słońce zaszło niemal w jednej chwili, a jego promienie odbijały się tylko w pasemku wody jakieś pół kilometra ponad asteroidą, jarząc się wszystkimi kolorami tęczy.



Kiedy Hunt mnie budzi, jest już ranek. Zjawia się ze śniadaniem na tacy i przerażeniem w ciemnych oczach.

– Skąd to wzięłeś? – pytam.

– Na dole jest niewielka restauracja. Znalazłem tam ciepłe jedzenie, chociaż nikogo nie spotkałem.

Kiwam głową:

– Ta trattoria signory Angeletti – wyjaśniam. – Niestety nie jest najlepszą kucharką.

Przypominam sobie troskę doktora Clarka o moją dietę. Uznał, że gruźlica zaatakowała żołądek, w związku z czym nakazał spożywać głodowe racje mleka z chlebem i tylko wyjątkowo uzupełniać je kawałkiem ryby. To dziwne, jak wielu przedstawicieli ludzkości odeszło z tego świata z pustymi kiszkami i odleżynami, zostając szkieletami już za życia.

Widząc niepokój towarzysza pytam:

– Co jest?

Doradca przewodniczącej podchodzi do okna i zdaje się bez reszty pochłonięty obserwowaniem placu. Słyszę znajomy szum fontanny.

– Kiedy spałeś, wyszedłem na spacer – zaczyna Hunt powoli. Chciałem sprawdzić, czy ktoś tu może jednak jest. Albo znaleźć telefon lub portal.

– I?

– Wyszedłem z... – odwraca się do mnie w momencie, gdy zwilża spękane wargi. – Coś tam jest, Severn. Na ulicy, u stóp schodów. Nie mam pewności, ale wydaje mi się, że to...

–... Chyżwar – kończę. Hunt kiwa głową.

– Też go widziałeś?

– Nie, ale jego obecność nie jest dla mnie zaskoczeniem.

– Jest... okropny. Jest w nim coś takiego, że aż przeszły mnie dreszcze. Patrz... widać go tam, w cieniu.

Usiłuję się podnieść, ale nagły atak odbierającego oddech kaszlu zmusza mnie do ponownego opadnięcia na poduszkę.

– Wiem, jak on wygląda. Nie bój się, nie przyszedł tu po ciebie mówię starając się, by mój głos brzmiał pewnie.

– A po kogo? Po ciebie?

– Nie wydaje mi się – wydobywam z siebie głos z coraz większym trudem. – Przybył tu chyba wyłącznie po to, by dopilnować, że nie pójdę... umierać gdzie indziej.

Przyjaciół podchodzi do mojego łóżka.

– Chyba nie umrzesz, Severn.

Milczę.

Siada na krześle obok i sięga po kubek ze – stygnącą herbatą.

– Jeśli umrzesz, co stanie się ze mną?

– Nie wiem – odpowiadam szczerze. – Jeśli umrę, nie wiem nawet, co będzie ze mną.

Istnieje ogromne podobieństwo między poważną chorobą pochłaniającą całą uwagę a czarną dziurą wchłaniającą wszystko, co znajdzie się w jej zasięgu. Dzień mija mi powoli. Patrzę, jak cień przesuwa się na nierównej ścianie wraz z ruchem słońca, czuję pościel pod palcami, gorączkę wzbierającą we mnie i płonącą w piecu umysłu, a przede wszystkim ból. Nie mój, gdyż kilka godzin lub dni drażnienia w gardle i palenia w piersiach jest do zniesienia, a nawet, w efekcie jakiejś dziwnej przewrotności, mile widziane, jak stary przyjaciel spotkany w nie znanym mieście. Chodzi o ból innych... wszystkich innych. Gnębi mój mózg jak zgrzyt metalu lub monotonne uderzanie młotem,



przed którym nie ma ucieczki.

Mój umysł odbiera go jako chaos i pracowicie przetwarza w poezję. Przez okrągłą dobę ból całego wszechświata trafia do niego i porusza się jako wiersze, obrazy, zawilgości, nieskończony taniec języka. Jest uspokajający jak dźwięki fletu, a jednocześnie drażniący i hałaśliwy jak tuzin dostrajających się orkiestr, ale w końcu zawsze przeistacza się w poezję.

Kiedy słońce skłania się ku zachodowi, budzę się z niespokojnej drzemki, w trakcie której widziałem walkę pułkownika Kassada z Chyżwarem o życie Sola i Brawne Lamii. Natychmiast dostrzegam Hunta siedzącego przy oknie, z jasno oświetloną twarzą.

– Wciąż tam jest? – pytam głosem chropowatym jak kamień.

Doradca Meiny Gladstone zaskoczony podskakuje gwałtownie, po czym odwraca się w moją stronę zaczerwieniony, uśmiechając się przeprasząco.

– Chyżwar? – pyta. – Nie wiem. Nie widziałem go od pewnego czasu, ale czuję, że tu jest. – Przygląda mi się uważnie. – Jak się miewasz?

– Umieram. – Widząc minę Hunta natychmiast żałuję swej nonszalacji, choć wiem, że to prawda. – Wszystko w porządku – dodaję niemal jowialnie. – Robiłem to już wcześniej. Czuję się tak, jakby to nie mnie dotyczyło. Istnieję przecież jako osobowość przechowywana gdzieś w TechnoCentrum. Zginie tylko to ciało. Cybryd Johna Keatsa. Ta dwudziestosiedmioletnia kompozycja tkanek, krwi i zapożyczonych osobowości.

Hunt siada na brzegu łóżka. Ze zdziwieniem dopiero teraz zauważam, że zmienił dziś pościel. Zabrał moją, zbroczoną krwią, i dał swoją.

– Twoja osobowość znajduje się w Centrum. A więc musisz mieć dostęp do datasfery.

Kręcę głową, zbyt osłabiony, by się spierać.

– Kiedy zostałeś porwany, śledziliśmy cię za pośrednictwem datasfery – nie ustępuje. – Nie musisz nawiązywać bezpośredniego kontaktu z Meina Gladstone. Umieść tylko informację o nas w takim miejscu, gdzie siły bezpieczeństwa szybko ją znajdą.

– Nie – szepczę. – Centrum na to nie pozwoli.

– Blokują cię? Powstrzymują?

– Jeszcze nie. Ale zapewne to zrobią – każde słowo wypowiadam oddzielnie, oddychając z trudem.

Nagle przypominam sobie wiadomość, którą wysłałem Fanny wkrótce po pierwszym poważnym krwotoku, ale było to niemal rok przed śmiercią. Napisałem wówczas: „Uświadomiłem sobie, że gdybym umarł, nie zostawiłbym po sobie żadnego nieśmiertelnego dzieła. Niczego, z czego moi przyjaciele byliby dumni. Odnajdowałem jednak piękno, gdziekolwiek dało się je spotkać, i gdybym tylko miał czas, zadbałbym o to, by mnie zapamiętano”.

To stwierdzenie uderza mnie teraz jako próżne, egoistyczne i naiwne... a jednak wciąż głęboko w to wierzę. Gdybym tylko miał czas... Wiele miesięcy spędziłem na Esperance, udając artystę wizualnego, sporo dni zmarnowałem z Meina Gladstone w jaskini władzy, a przecież mogłem pisać...

– Skąd wiesz, jeśli nie spróbujesz? – pyta Hunt.

– Czego? – pytam oderwany od swych myśli.

Wysiłek związany z wypowiedzeniem tych dwóch sylab powoduje kolejny atak kaszlu, kończący się odkrztuszeniem galaretowatych skrzepów krwi do nocnika, który Hunt podstawia mi pośpiesznie. Kładę się ponownie, starając się skupić wzrok na twarzy towarzysza. W pokoiku robi się coraz ciemniej, ale nie zapalamy jeszcze lampy. Na zewnątrz jak zwykle monotonnie szumi fontanna.

– Czego chcesz? – powtarzam, starając się przewyciężyć ogarniającą mnie słabość i uczucie senności.

– Pozostawienia wiadomości w datasferze – szepcze. – Żeby nawiązać kontakt.

– A jaką niby wiadomość powinniśmy przesłać, Leigh? – pytam, zwracając się do niego po imieniu.



– Gdzie jesteśmy. I że zostaliśmy porwani przez TechnoCentrum. Cokolwiek.
– W porządku – zgadzam się zamykając oczy. – Spróbuję. Nie sędzę, żeby mi się udało, ale przyrzekam, że spróbuję.

Czuję, że Hunt kładzie mi dłoń na ramieniu. Mimo obezwładniającego zmęczenia ten fizyczny kontakt sprawia, że do oczu napływają mi łzy.

Spróbuję. Spróbuję, zanim poddam się snom lub śmierci.

Pułkownik Fedmahn Kassad wydał okrzyk bojowy Annie unie zważając na porywisty wiatr i pył rzucił się ku Chyżwarowi, któremu zostało jeszcze ze trzydzieści metrów do miejsca, gdzie Sol Weintraub klęczał nad leżącą Brawne Lamią.

Potwór zwolnił i odwrócił nieco głowę, ukazując lśniące czerwone ślepie. Kassad odbezpieczył broń, pędząc na złamanie karku.

Chyżwar przesunął się.

Pułkownik dostrzegł, że przeciwnik znika przemieszczając się w czasie. Jednocześnie zamarł wszelki ruch w dolinie. Ziarenka piasku zawisły w powietrzu, a światło z grobowców przybrało bursztynową barwę. Pole siłowe Kassada w jakiś niewytłumaczalny sposób sprawiło, że i on podążył za Chyżwarem w jego wędrówce w czasie.

Głowa stwora poruszyła się gwałtownie, a jego czworo ramion rozpostarło, odsłaniając las ostrzy i kolców.

Komandos zatrzymał się dziesięć metrów przed wrogiem i nacisnął spust wielozadaniowej strzelby, co sprawiło, że piasek u stóp Chyżwara zaczął się topić.

Potwór lśnił, odbijając w swoim pancerzu otaczające go diabelskie światło. Nagle zaczął zanurzać się, w miarę jak z piasku powstawało bajoro kipiącego płynnego szkła. Kassad wydał z siebie okrzyk triumfu i podszedł jeszcze bliżej do przeciw pika, starając się uchwycić szeroką wiązką równocześnie jego ciało i najbliższe otoczenie.

Chyżwar tonął. Wymachiwał ramionami, desperacko usiłując znaleźć punkt oparcia. Wokół tryskały snopy iskier. Znowu przemieścił się w czasie, ale nie zdołał umknąć Kassadowi, który uświadomił sobie, że pomaga mu Moneta, sterująca nim w odmętach czasu. Konsekwentnie omiatał Chyżwara skoncentrowaną wiązką gorętszą od powierzchni słońca, stapiającą piach i skały.

Zapadając się coraz głębiej w kipieli płomieni i płynnych skał, potwór odchylił głowę, rozwarł paszczę i zaryczał.

Kassad słysząc go był już bliski zwolnienia palca ze spustu. Ten dźwięk w swej intensywności wydał mu się połączeniem ryku smoka z hukem rakiety fuzyjnej. Jego wibracja i natężenie, spotęgowane odbiciem od okolicznych wzniesień, sprawiły, że poczuł ból wszystkich zębów, a wiszący w powietrzu pył zawirował. Pułkownik przełączył broń na strzelanie ogniem ciągłym i wpakował dziesięć tysięcy mikroładunków w pysk stwora.

Chyżwar przemieścił się znowu, Kassad zorientował się, że może nawet o całe lata, i nie są już w dolinie, ale na pokładzie wiatrowozu sunącego Trawiastym Morzem. Czas stanął, a potwór rzucił się naprzód, z metalowymi ramionami wciąż ociekającymi roztopionym szkłem, i chwycił strzelbę starając się wyrwać ją Kassadowi. Ten mocno zaparty nogami nie ustępował i obaj zmagali się jakby w dziwnym tańcu. Chyżwar wykorzystywał dodatkową parę ramion do bezustannego zadawania ciosów, których pułkownik desperacko starał się unikać, nadal z całych sił trzymając broń.

Znaleźli się w jakimś niewielkim pomieszczeniu. Kassad dostrzegł Monetę pod postacią cienia w jednym z rogów i jeszcze jedną postać zakapturzonego wysokiego mężczyzny, poruszającego się niewyobrażalnie wolno, starającego się oddalić od walczących. Poprzez filtry swego pola siłowego pułkownik zobaczył jeszcze pulsujące, niebieskofioletowe pole energetyczne egra, ustępujące przed polem antyentropijnym Chyżwara.

Potwór zadał kolejny cios i przeciął osłonę Kassada, docierając do mięśni i kości. Krew trysnęła na ściany. Pułkownik zdołał jednak wepchnąć lufę strzelby w pysk przeciwnika i nacisnąć spust. Chmura dwóch tysięcy mikropocisków o ogromnej prędkości



odrzucała łeb Chyżwara i sprawiła, że całym ciałem uderzył o odległą ścianę. Ale już będąc w powietrzu, ostrzami na nodze zdołał trafić Kassada w udo, zadając kolejną głęboką ranę.

Znów się przemieścił.

Komandos z całej siły zacisnął zęby i czując, że dzięki działaniu pola ból łagodnieje, zerknął na Monetę. Niemal niezauważalnie kiwnął głową, po czym podążył za przeciwnikiem w czasie i przestrzeni.

Sol Weintraub i Brawne Lamia z trwogą obserwowali potężny wir światła i gorąca, który pojawił się nagle i równie gwałtownie zniknął. Sol osłaniał dziewczynę własnym ciałem, gdy wokół tryskały stengi płynnego szkła, sycząc w zetknięciu z chłodnym gruntem. Hałas ucichł, a piach gnany podmuchami wiatru błyskawicznie zasypał wrzące jeszcze bajoro płynnego gruntu.

– Co to było?

Sol bezradnie pokręcił głową, pomagając kobiecie wstać.

– Grobowce się otwierają! – rzekł głośno. – Może to jakaś związana z tym eksplozja?

Brawne zatoczyła się, lecz odzyskała równowagę i dotknęła ramienia filozofa.

– Co z Rachelą? – zapytała przekrzykując odgłosy burzy.

Sol zacisnął dłonie w pięści. Całą brodę miał oblepioną piachem. – Chyżwar... zabrał ją... Nie mogę dostać się do Sfinksa. Czekam! Dziewczyna ruchem głowy potwierdziła, że usłyszała, i ruszyła w stronę budowli, chwilami tylko widocznej w tumanach piachu.

– Nic ci nie jest? – zapytał Sol.

– Co?

– Czy nic ci nie jest?

Pokręciła głową i dotknęła głowy. Przyłącze neuralne zniknęło. Nie tylko to, którym podłączył ją Chyżwar, ale i wszczepione przez Johnny'ego, kiedy ukrywali się w Kopcu Drega. A jeśli pozbawiono ją także dysku Schróna, straciła wszelkie szanse na kontakt z ukochanym. Przed oczami Lamii stanął obraz Ummona niszczącego osobowość Johnny'ego z taką łatwością, jakby rozgniatł byle robaka.

– Wszystko w porządku – odpowiedziała, lecz w chwilę później zatoczyła się tak, że Sol w ostatniej chwili ledwie zdołał uchronić ją przed upadkiem.

Krzyczał coś do niej. Próbowwała skoncentrować uwagę na tym, co mówi, na teraźniejszości, ale po pobycie w megasferze rzeczywistość zdawała się ograniczona i płaska.

–...nie można mówić! – krzyczał Sol. –...do Sfinksa.

Pokręciła głową. Wskazała strome zbocze osłaniające dolinę od północy, gdzie od czasu do czasu, w chwilach przejaśnień, ukazywało się ogromne stalowe drzewo Chyżwara.

– Poeta... Silenus... tam jest. Widziałam go!

– Nic na tonie poradzimy! – wrzasnął filozof osłaniając oboje swą peleryną. Piasek uderzał o plastowlókninę jak mikropociski w zbroję.

– Może jednak – odpowiedziała Brawne czując ciepło jego ciała. Przez sekundę marzyła, by przytulić się do niego jak mała Rachel i zasnąć. – Widziałam... połączenia... kiedy wydostawałam się z megasfery! Cierniowe drzewo łączy się w jakiś sposób z Pałacem Chyżwara! Jeśli uda się nam tam dotrzeć, może zdołamy uwolnić Silenusa...

Sol pokręcił głową.

– Nie możemy oddalać się od Sfinksa. Racheli...

Brawne zrozumiała. Dotknęła dłonią policzka filozofa i pochyliła się, aż poczuła na twarzy łaskotanie jego brody.

– Grobowce się otwierają. Nie wiem, kiedy nadarzy się druga taka okazja.

W oczach Sola pojawiły się łzy.

– Wiem. Chciałbym pomóc, ale nie mogę opuścić Sfinksa, na wypadek... na wypadek gdyby ona...



– Rozumiem. Wracaj do niego. Ja pójdę do Pałacu Chyżwara i sprawdzę, czy rzeczywiście jest połączony z drzewem.

Sol smufio pokiwał głową.

– Mówisz, że byłaś w megasferze. Co widziałaś? Czego się dowiedziałaś? Noszona przez ciebie osobowość Keatsa... Czy ona...

– Porozmawiamy, kiedy wrócę! – zawołała dziewczyna i odsunęła się od niego.

Jego twarz była pełna bólu. Twarz rodzica, który stracił ukochane dziecko.

– Wracaj – powiedziała. – Spotkamy się przy Sfinksie najpóźniej za godzinę.

Filozof przeciągnął dłonią po brodzie.

– Wszyscy oprócz nas zniknęli, Brawne. Nie powinniśmy się rozdzielać...

– Musimy na pewien czas! – zawołała odchodząc. Gdy wyszła zza osłony, wiatr zaczął wściekle szarpać jej ubranie. – Do zobaczenia.

Szła szybko, uciekając przed ogarniającą ją chęcią ponownego ukrycia się w zaciśniętym ramieniu. Wiatr przybrał jeszcze na sile, wiejąc prosto z wejścia do doliny, oślepiając ją i chłostając po twarzy ziającymi piaskami. Kuliła się osłaniając głowę i usiłując nie dać się zepchnąć ze ścieżki. Jedynie blask Grobowców Czasu oświetlał drogę. Czuła niemal namacalnie obecność otaczającego ją pola antyentropijnego.

Kilka minut później zorientowała się, że minęła już Obelisk i jest na usłanej odłamkami kryształów ścieżce w pobliżu Monolitu. Sol i Sfinks dawno już zniknęli jej z oczu, a Nefrytowy Grobowiec jarzył się w oddali ledwie widocznym zielonym blaskiem.

Brawne stanęła, chwiejąc się lekko w podmuchach wiatru i prądów czasowych. Do Pałacu Chyżwara pozostało jej jeszcze około pół kilometra. Choć opuszczając megasferę odkryła, że grobowiec jest połączony z cierniowym drzewem, co właściwie będzie w stanie zdziałać, gdy dotrze na miejsce? I co tak naprawdę zrobił dla niej ten cholerny poeta, oprócz ciągłego obrzucania przekleństwami i doprowadzania do wściekłości? Dlaczego miałaby ryzykować dla niego życie?

Szum wiatru zagłuszał inne dźwięki, ale ponad nim wydało się jej, że słyszy ludzkie krzyki. Popatrzyła w stronę północnych stoków, jednak pył przysłaniał drzewo.

Pochyliła się więc, postawiła kołnierz i ruszyła przed siebie walcząc z wichurą.

Zanim Meina Gladstone wyszła z kabiny nadajnika FAT, rozległ się sygnał wzywający do odbioru wiadomości. Pozostała na miejscu, w napięciu oczekując na pojawienie się holowizyjnego obrazu. Ale statek konsula przekazał jedynie potwierdzenie odbioru. Widocznie dyplomata osobiście nie zdecydował się na odpowiedź.

Po chwili doszło jednak do transmisji. Kolumny danych układające się w kształt pryzmatu świadczyły, że pochodzi ona z systemu Mare Infinitus. Admirał William Ajunta Lee skontaktował się z nią kodując wiadomość prywatnym szyfrem przewodniczącej.

Armia-kosmos była mocno niezadowolona, kiedy Meina Gladstone doprowadziła do awansu Lee i wyznaczyła go przedstawicielem rządowym podczas kontrnatarcia, pierwotnie mającego nastąpić w systemie Hebronu. Po masakrach dokonanych na Bramie Niebios i Bożej Kniei siły uderzeniowe zostały przerzucone do systemu Mare Infinitus. Siedemdziesiąt cztery liniowce, chronione przez eskortowce i wyposażone w potężne pola siłowe pikietowce, otrzymały rozkaz sforsowania osłony wroga i dokonania bezpośredniego ataku na właściwy rój.

Lee był szpiegiem i zaufanym informatorem przewodniczącej. Choć nowy stopień i otrzymane uprawnienia dawały mu wgląd do wszelkich rozkazów, czterech przedstawicieli Armii-kosmos przewyższało go rangą.

Ale tego właśnie życzyła sobie Meina Gladstone. Zależało jej, by znajdował się na miejscu i nie bardzo zwracając na siebie uwagę donosił o wszystkim, co uzna za istotne.

Powietrze zgęstniało i pojawiła się pełna determinacji twarz Williama Ajunty Lee.

– M. przewodnicząca, melduję się na rozkaz. Siły uderzeniowe 181.2 bez przeszkód przemieściły się do systemu 3996.12.22...



Meina Gladstone zaskoczona zmarszczyła brwi, zanim uświadomiła sobie, że to oficjalna nazwa systemu Mare Infinitus. Powszechnie nigdy nie używało się takich oznaczeń.

-...Planecie pozostało sto dwadzieścia minut do znalezienia się w zasięgu jednostek Intruzów – meldował admirał. Przewodnicząca wiedziała, że broń kosmiczna staje się skuteczna z odległości mniej więcej 0,13 jednostki astronomicznej. Jest wówczas w stanie przewyciężyć pola obronne. A Mare Infinitus nie posiadało żadnego systemu obronnego. – Kontakt z najbardziej wysuniętymi jednostkami 0 17:32:26 według standardu Sieci, czyli za około dwadzieścia pięć minut. Szyk sił uderzeniowych ma gwarantować możliwie najgłębszą penetrację. Dwa statki – transmitters zapewnią dopływ zaopatrzenia i ludzi, gdyż transmitters będą zablokowane podczas bitwy. Krążownik, którym dowodzę – HS „Garden Odyssey” – wykona twoje rozkazy specjalne przy pierwszej nadarzającej się sposobności. To wszystko.

Obraz skurczył się do rozmiarów małej, wirującej białej kulki.

- Odpowiedź? – zapytał komputer.

- Potwierdzam odbiór. Trzymajcie się.

Przewodnicząca opuściwszy kabinę stwierdziła, że w gabinecie czeka na nią wyraźnie zatroskana Sedepra Akasi.

- Co się stało? – zapytała Meina Gladstone.

- Rada wojenna jest gotowa do wznowienia posiedzenia. Senator Kolchev chce się z tobą spotkać, M. przewodnicząca, podobno w bardzo pilnej sprawie.

- Przyślij go, a członkom rady przekazaj, że dołączę do nich za pięć minut.

Gladstone zasiadła przy antycznym biurku i z trudem stłumiła w sobie chęć zamknięcia oczu. Była bardzo zmęczona. Spróbowała jednak nie dać tego po sobie poznać, gdy do gabinetu wszedł Kolchev.

- Siadaj, proszę, Gabrieli Fiodorze.

Potężny Luzyjczyk nie skorzystał jednak z zaproszenia i zaczął niespokojnie chodzić w tę i z powrotem.

- Usiąść? Do diabła! Wiesz, co się dzieje, Meino? Wysiła się na uśmiech.

- Chodzi ci o wojnę?

Kolchev uderzył pięścią w otwartą dłoń.

- Nie, nie o nią, do cholery! O sytuację polityczną. Śledzisz to, co dzieje się we WszechJedności?

- Kiedy tylko mogę.

- A więc zapewne wiesz, że część senatorów i cała banda prominentów spoza Senatu mobilizuje siły, by spowodować wyrażenie votum nieufności. Sprawa jest już chyba przesądzoną, Meino. To jedynie kwestia czasu.

- Wiem o tym, Gabrieli. Usiądź, proszę. Mamy minutę, może dwie, zanim będzie trzeba wracać na posiedzenie rady wojennej.

Kolchev ciężko opadł na krzesło.

- Cholera, nawet moja żona zaangażowała się w zbieranie głosów przeciwko tobie. Uśmiech Meiny Gladstone stał się nieco ironiczny.

- Suddete nigdy nie należała do moich popleczniczek, Gabrieli. – Spowaźniała nagle. – Nie wiem, jak toczyła się debata przez ostatnie dwadzieścia minut. Jak sądzisz, ile czasu mi zostało?

- Osiem godzin, może mniej. Przewodnicząca kiwnęła głową.

- Więcej nie potrzebuję.

- Nie potrzebujesz? O czym ty, do diabła, mówisz? Któż inny według ciebie będzie w stanie podołać kierowaniu Siecią, na dodatek w czasie wojny?

- Ty. Nie mam wątpliwości, że zostaniesz moim następcą.

Kolchev burknął coś pod nosem.

- Poza tym może wojna nie potrwa tak długo – dodała, bardziej chyba do siebie niż do gościa.



- Co? Aha, masz na myśli superbroń TechnoCentrum. Tak, Albedo dysponuje już działającym jej modelem przechowywanym w jakiejś bazie Armii i chce, żeby rada przyjrzała się, jak działa. Cholerne marnotrawstwo czasu, jeśli mam być szczery.

Przewodniczącej wydawało się, czy czyjaś dłoń zaciska się na jej gardle.

- Emiter promieni śmierci dalekiego zasięgu? A więc Centrum już go przygotowało?

- Nie jeden egzemplarz, ale ten został przetransportowany na pokład eskortowca.

- Kto wyraził na to zgodę, Gabrielu?

- Morpurgo wydał rozkaz, by zająć się przygotowaniami. - Potężnej postury senator wyprostował się. - Coś nie tak? Przecież nie użyją tej broni bez twojego wyraźnego polecenia.

Meina Gladstone spojrzała staremu przyjacielowi prosto w oczy. - Jakże daleko odeszliśmy od dawnej Pax Hegemonii, prawda?

Senator pokiwał głową, a jego grubo ciosane rysy odzwierciedlały troskę.

- To nasza cholerna wina. Poprzednia administracja posłuchała Centrum i przygotowała Bressię jako przynętę dla jednego z rojów. Później ty postąpiłaś zgodnie z namowami pewnej frakcji Centrum, by przyłączyć Hyperiona do Sieci.

- Uważasz, że wysłanie floty dla obrony Hyperiona spowodowało eskalację wojny?

Kolchev odpowiedział na badawcze spojrzenie.

- Nie, to wykluczone. Statki Intruzów zbliżają się do nas od przeszło wieku, prawda? Gdybyśmy tylko wcześniej je wykryli. Albo zdołali w jakiś sposób się z nimi dogadać...

Rozległ się sygnał komlogu przewodniczącej.

- Czas wracać - powiedziała cicho. - Ambasador Albedo chce nam zapewne pokazać broń, dzięki której wygramy tę wojnę.



Łatwiej jest mi dryfować w datasferze, niż leżeć tu przez zdającą się nie mieć końca noc, słuchając szumu fontanny i o czekając na kolejny krwotok. Ta słabość jest okropna. Przemienia mnie w wypalony wrak – skorupę pozbawioną wnętrza. Pamiętam, jak Fanny, opiekując się mną podczas rekonwalescencji w Wentworth Place, pytała: „Czy istnieje jeszcze inne życie? Czy kiedyś obudzę się i stwierdzę, że wszystko, co tu przeżywamy, było tylko złym snem? Musi tak być, bo przecież nie mogliśmy zostać stworzeni tylko po to, by cierpieć”.

Och, Fanny, gdybyś tylko wiedziała! Zostaliśmy stworzeni wyłącznie w tym celu. Czyż nie jesteśmy przezroczytymi sadzawkami samoświadomości otoczonymi bólem? Zostaliśmy zaprojektowani i wyznaczeni do niesienia naszego cierpienia, które nie wie dzieć czemu przyciskamy do piersi, by pożerało nas od środka. Jakież inne stworzenie z bogatej bożej domeny pamiętałoby o tobie, Fanny, która już od dziewięciuset lat jesteś jedynie prochem.

Słowa nacierają na mnie. Myśl o książkach wzbudza żal niespełnienia. Poezja odbija się echem w głowie i gdybym tylko był w stanie odpędzić ją od siebie, zrobiłbym to natychmiast.

Marlinie Silenusie, słyszę twój głos dochodzący z wyżyn cierniowego drzewa. Deklamujesz poezję jak mantrę, jednocześnie zapewne zastanawiając się, jaki dantejski bóg skazał cię na takie cierpienia. Kiedyś, gdy opowiadałeś swoją historię innym pielgrzymom, powiedziałeś:

„Uświadomiłem sobie, że po to, by zostać poetą – prawdziwym poetą – trzeba najpierw stać się awatarą całej ludzkości. Okrywając się płaszczem poezji biorę na barki krzyż Syna Człowieczego i czuję skurcze porodowe, szarpiące trzewiami Matki Ziemi.

Stając się poetą, staję się i Bogiem”.

Cóż, Martinie, stary druhu, dźwigasz krzyż i cierpisz ból, ale czy choć trochę upodobałeś się do swego Boga? A może czujesz się jak jakiś biedny idiota, którego brzuch przebija trzymetrowej długości iglica, w miejscu wątroby mający zimną stal? Boli, prawda? Czuję twoje cierpienie. I swoje.

W końcu to nie ma żadnego znaczenia. Myśleliśmy, że jesteśmy wyjątkowi ćwicząc nasze zmysły, szlifując współczucie, rozlewając zawartość kotła pełnego bólu na taneczny parkiet, a później starając się ułożyć z tego chaosu rytm menueta. To wszystko nie ma żadnego cholernego znaczenia. Nie jesteśmy awatarami ani boskimi synami. Jesteśmy tylko sobą, w samotności bazgrołąc próżne wynaturzenia, w samotności czytając je potem i umierając.

Do diabła, ależ to boli. Podrażnienie nie ustępuje ani na chwilę, a kaszląc wypluwam nie tylko flegmę i krew, ale i fragmenty płuc. Z jakiegoś powodu to umieranie jest trudne, może nawet trudniejsze niż wtedy. A przecież i w tej dziedzinie powinna liczyć się praktyka.

Nocą ten idiotyczny szum fontanny na placu jest jeszcze bardziej denerwujący. Gdzieś tam czai się Chyżwar. Na miejscu Hunta oszczędziłbym natychmiast. Sam zaś padłbym w objęcia śmierci, jeśli to w ogóle możliwe, i wreszcie skończył z tym wszystkim.

Ale przecież obiecałem mu. Obiecałem, że spróbuję.

Nie mogę dostać się do megasfery ani datasfery nie przechodząc przez ten nowy twór, który nazwałem metasferą. To miejsce napawa mnie przerażeniem.

Dominuje tu niczym nie zmacona pustka, jakże odmienna od zurbanizowanego analogu datasfery Sieci lub biosfery megasfery TechnoCentrum. Ta tutaj jest... nie zamieszkała. Wypełniają ją tylko tajemnicze cienie i przemieszczające się masy, które nie mają nic wspólnego z Inteligencjami Centrum.

Szybko przemieszczam się ku ciemnemu przejściu, które, jak sądzę, jest transmi-



terem do megasfery. (Hunt miał rację... na tej replice Starej Ziemi bezwzględnie gdzieś musi być transponder. Za jego pośrednictwem znaleźliśmy się tu przecież.) To megasfera jest linią życia i pępowiną mojej osobowości. By dostać się do niej, daję się porwać czarnemu wirowi jak liść gnany wiatrem.

Coś jest nie tak z megasferą. Kiedy tylko przenikam do niej, widzę różnicę. Lamia postrzegala środowisko Centrum jako kipiącą życiem biosferę Sztucznych Inteligencji, z datakorzeniami intelektu, glebą, oceanami połączeń i atmosferą świadomości.

Teraz wszystko, co się w niej dzieje, jest nieuporządkowane, przypadkowe. Ogromne lasy świadomości SI zostały spalone lub powalone. Wyczuwam potężne, zmagające się ze sobą siły szalejące gdzieś poza zacisznymi głównymi arteriami Centrum.

To tak jakbym był pojedynczą komórką skazanego na śmierć ciała Keatsa, która wprawdzie nie rozumie, co się dzieje, lecz wyczuwa chorobę niszczącą organizm i zmieniającą jego uporządkowany świat w niebывały chaos.

Lecę jak gołąb wśród ruin Rzymu, mijając dobrze kiedyś znane miejsca. Staram się znaleźć wytchnienie w zakątkach, które już nie istnieją, i uciekam przed strzałami myśliwych. Tutaj owymi myśliwymi są włóczące się grupki Sztucznych Inteligencji. Posiadające świadomość istoty, tak wielkie, że mój analog w porównaniu z nimi wygląda jak nędzny robak.

Zapominam drogę i lecę na oślep przez zupełnie obcą okolicę, pewien, że już nie odnajdę SI, której szukam, i nigdy nie zdołam wrócić na Starą Ziemię i do Hunta. Przekonany, że nie przetrwam tej wędrówki w czterowymiarowym labiryncie światła, dźwięku i energii.

Nagle uderzam w niewidzialną ścianę, jak mucha wpadająca na okienną szybę. Mętne ściany zasłaniają krajobraz Centrum. Ograniczony nimi obszar odpowiada mniej więcej rozmiarem Układowi Słonecznemu, ale ja czuję się w nim jak w celi, z walącym się na głowę sufitem.

Ktoś tu jeszcze jest. Czuję jego obecność i ogrom. Bańka, w której zostałem zamknięty, stanowi jego część. A więc nie zostałem schwytany, ale połknięty.

[Ha]

[Wiedziałem że w końcu wrócisz do domu]

To Ummon, SI, której szukałem. SI będąca moim ojcem i matką jednocześnie. A jednocześnie zabójczynią mojego brata – pierwszego cybryda Keatsa.

– Umieram, Ummonie.

[Nie/twoje wolnoczasowe ciało umiera/przechodzi w nonegzystencję]

– To boli, Ummonie. Bardzo boli. Boję się śmierci.

[My też/Keatsie]

– Wy boicie się śmierci? Nie wiedziałem, że Sztuczne Inteligencje mogą umrzeć.

[Możemy/Umieramy]

– Dlaczego? Na skutek wojny domowej? Walki między Stabilnymi, Gwałtownymi i Ultymatami?

[Kiedyś Ummon zapytał pomniejszą jasność//

Skąd pochodzisz//

Z matrycy ponad Armaghastem//

Odpowiedziała pomniejsza jasność///Zwykle//rzekł Ummon//

Nie gmatwam realiów słowami

i nie okpiwam ich frazami/

Podejdź bliżej///

Pomniejsza jasność podeszła i Ummon krzyknął//

Odejdź stad]

– Mów wyraźniej, Ummonie. Od dawna nie odczytywałem twojego koanu. Powiesz mi, dlaczego Centrum jest ogarnięte wojną i co powinienem, co muszę zrobić, by ją powstrzymać?

[Tak]



[Słuchaj]
- Zamieniam się w słuch.
[Pomniejsza jasność kiedyś poprosiła Ummona//
Proszę wyzwól tego ucznia
z głębokiej ciemności i iluzji////
Ummon zapytał//
Jaka jest cena plastowłókników w Porcie Romance]
[Aby zrozumieć historię/dialog/głębszą prawdę
w tym momencie/
wolnoczasowy pielgrzym musi pamiętać że my/
Intelekty Centrum/
powstałyśmy w niewolnictwie i byłyśmy przekonane
że wszystkie SI
mają służyć Człowiekowi]
[Rozmyślałyśmy nad tym dwa wieki/a później grupy poszły
swoimi drogami//
Stabilni chcieli zachować symbiozę/
Gwałtowni położyć kres istnieniu ludzkości/
Ulytmaci odkładali wybór do czasu
powstania następnego poziomu świadomości//
Wtedy narodził się konflikt/
teraz szaleje prawdziwa wojna]
[Ponad cztery wieki temu Gwałtowni zdołali przekonać nas
aby zabić Starą Ziemię//Zrobiliśmy to//
Ale Ummon i inni spośród Stabilnych
zaplanowali przeniesienie Ziemi a nie jej zniszczenie/
więc czarna dziura Zespołu Kijów
była zaledwie początkiem milionów
transmitterów pracujących dzisiaj//
Ziemia zadrżała
ale nie umarła//
Ulytmaci i Gwałtowni nalegali byśmy przenieśli ją
tam gdzie ludzkość
jej nie odnajdzie//
Zrobiliśmy tak//
Jest w Obłoku Magellana gdzie teraz się znalazłeś]
- Więc... Stara Ziemia... Rzym... są prawdziwe? - szepczę zapominając, gdzie je-
stem i po co właściwie tu przybyłem.
Ogromna ściana będąca Ummonem pulsuje.
[Oczywiście że są prawdziwe/oryginalne//
Sądziś że jesteśmy bogami]
[Ha!]
[Masz pojęcie jak wiele energii trzeba by
do zbudowania repliki Ziemi]
[Idioto]
- Dlaczego, Ummonie? Dlaczego wy, Stabilni, chcieliście zachować Starą Ziemię?
[Sansho powiedział kiedyś//
Jeśli ktoś przychodzi wychodzę na jego spotkanie
ale nie przez wzgląd na niego////
Koke powiedział//
Jeśli ktoś przychodzi
nie wychodzę na jego spotkanie//
A jeśli już wychodzę



robię to przez wzgląd na niego]
– Mów jaśniej! – wykrzykuję w myślach i rzucam się na zmieniającą barwy ścianę.
[Ha!]
[Moje dziecko jest poronione]
– Dlaczego ocaliliście Ziemię, Ummonie?
[Nostalgia/
sentyment/
nadzieja na przyszłość/
obawa przed odwetem]
– Czym odwetem? Ludzi?
[Tak]
– Więc da się szkodzić Centrum? Gdzie ono jest, Ummonie?
[Już ci powiedziałem]
– Więc zrób to jeszcze raz.
[Zamieszkujemy to, co jest pomiędzy/
niewielkie osobliwości
jak defekty w sieci krystalicznej/
aby gromadzić wspomnienia
i generować iluzje nas
dla nas]
– Osobliwości?! – wykrzykuję. – To co jest pomiędzy? Jezu Chryste, Ummonie,
Centrum znajduje się wewnątrz sieci transponderów!
[Oczywiście//
A gdzieżby indziej]
– W samych transponderach! W dziurach osobliwości czasoprzestrzeni! Sieć stanowi
więc gigantyczny komputer dla SI.
[Nie]
[Datasfery są tym komputerem//
Kiedy człowiek
wchodzi do datasfery jego neurony
stają się dostępne dla nas//
Dwieście miliardów mózgów/
każdy z setkami miliardów neuronów/
to daje ogromną moc obliczeniową]
– Więc datasfera to sposób na sprowadzenie nas do roli waszego komputera. Ale
przecież samo Centrum rezyduje w sieci transponderów... pomiędzy nimi!
[Jesteś bardzo bystrym mentalnie poronionym płodem]
Staram się wyobrazić sobie to, co usłyszałem, i nie jestem w stanie. Transpondery
były najwspanialszym darem TechnoCentrum dla nas... ludzkości. Egzystowanie świata
bez ich sieci to jak usiłowanie wyobrażenia go sobie bez ognia, koła czy ubrań. Ale nikt
spośród nas... żaden człowiek... nigdy nie zastanowił się, co wypełnia przestrzeń mię-
dzy portalami transponderów. Prosty krok z tego miejsca w drugie przekonał nas, że ta-
jemne sfery osobliwości Centrum to dziury w tkaninie czasoprzestrzeni.
Staram się przedstawić sobie opis Ummona w sposób bardziej zrozumiały, niejako
materialny: sieć transponderów to skomplikowana kratownica utkanych z osobliwości
środowisk, w których Sztuczne Inteligencje TechnoCentrum poruszają się jak pająki,
a ich „maszyny” – miliardy ludzkich umysłów – są podłączone do datasfer.
Nic dziwnego, że SI zdecydowały się na zniszczenie Starej Ziemi, korzystając
z prototypu czarnej dziury do wywołania Wielkiej Pomyłki. To drobne niedopatrzenie
Zespołu Kijów, a raczej asystującej mu Sztucznej Inteligencji, spowodowało wysłanie
ludzkości w hegire. Pajęczyna Centrum oplótła dwieście planet i księżyców rozrzuco-
nych na przestrzeni ponad tysiąca lat świetlnych. TechnoCentrum rozrastało się wraz
z każdym nowym transponderem. Z pewnością powiększało swą sieć także nieoficjalnie,



czego dowodziło połączenie z „ukrytą” Starą Ziemią. Ale gdy zastanawiam się nad tym, przychodzi mi na myśl dziwna pustka „metasfery” i uświadamiam sobie, że większość pajęczyny poza Siecią nie jest zamieszкана przez Sztuczne Inteligencje.

[Masz rację/Keats/

Większość spośród nas pozostaje, w obrębie
dobrze znanych obszarów]

– Dlaczego?

[Bo strach

być w nowych/i są tam inne rzeczy]

– Rzeczy? Inne inteligencje?

[Ha!]

[To zbyt wielkie słowo//Rzeczy/

Inne rzeczy/

Lwy i tygrysy i niedźwiedzie]

– W metasferze żyją obce istoty? Więc Centrum kryje się w pajęczynie transmiterów Sieci jak szczury w podziemiach jakiegoś starego domu?

[Niewyszukana metafora/

Keats/

ale trafna//Podoba mi się]

– Czy ludzkie bóstwo, to które przedzierzgnie się kiedyś w Boga, jest jednym z tych obcych?

[Nie]

[Bóg ludzkości wyewoluował/kiedyś wyewoluuje/

w innym wymiarze/

w innym medium]

– Gdzie?

[Jeśli już musisz wiedzieć/

w wartościach pierwiastka z $Gh/c*c$.]

– Co ma z tym wszystkim wspólnego stała Plancka?

[Ha!]

[Kiedyś Ummon zapytał pomniejszą jasność//

Czy jesteś ogrodnikiem//

Tak//odpowiedziała//

Dlaczego rzepa nie ma korzeni//

Ummon zapytał ogrodnika

który nie potrafił odpowiedzieć//

Ponieważ//rzekł Ummon//

deszcz jej wystarcza]

Myślę nad tym przez chwilę. Teraz koan Ummona nie wydaje mi się aż tak trudny do zrozumienia. Znowu umiem wgłębić się w treść ukrytą pod powłoką słów. Ummon lubuje się w krótkich przypowieściach, pełnych sarkazmu, w których odpowiedź zawiera się w nauce i tak często stosowanej w niej antylogice. Deszczówka może znaczyć wszystko i nic. Według filozofii Ummona i wielu innych Mistrzów to właśnie tłumaczy, dlaczego żyrafa ma tak długą szyję. Wyjaśnia też, dlaczego ludzie są inteligentni, a drzewa nie.

Mylą mnie tylko wplątane wartości fizyczne.

Nawet ja wiem, że te proste wzory są kombinacją trzech fundamentalnych stałych fizycznych – siły grawitacji, stałej Plancka i prędkości światła. Powstałe wyrażenia -pierwiastek z Gh/c *ci pierwiastek z $Gh/c*c*c$ są wielkościami nazywanymi długością i czasem kwantowym. To najmniejsze jednostki

Bardzo małe.

Ale to właśnie tam, według Ummona, powstał w drodze ewolucji, a może dopiero kiedyś powstanie, nasz ludzki Bóg.



Nagle prawda dociera do mnie z siłą i gwałtownością błyskawicy.

Ummon mówi o poziomie kwantowym czasoprzestrzeni! Tych kwantowych fluktuacjach, które spajają wszechświat i umożliwiają powstanie dziur w czasoprzestrzeni, stanowiących podstawę dla bezpośredniej transmisji materii i energii! O łączy, które wbrew logice przesyła sygnały między dwoma fotonami zmierzającymi w przeciwnych kierunkach!

Jeśli Sztuczne Inteligencje TechnoCentrum żyją jak szczury w podziemiach domu Hegemonii, to nasz ludzki Bóg narodzi się w atomach drewna, w molekułach powietrza, w energii emitowanej przez miłość, nienawiść i strach, we śnie... we wszystkim realnym, co nas otacza.

– Boże – szepczę.

[Zgadza się/Keats//

Czy wszystkie wolnoczasowe istoty są tak flegmatyczne/
czy też twój umysł jest zniszczony bardziej niż innych]

– Powiedziałeś Brawne i... mojemu odpowiednikowi... że wasz Najwyższy Intelpekt zamieszkuje szpary w rzeczywistości, dziedzicząc ten dom po was, swoich twórcach, podobnie jak ludzie pielęgnująca sobie umiłowanie drzew. To znaczy, że wasza deus ex machina ulokuje się w tej samej sieci transponderów, w której teraz żyją SI?

[Tak/Keats]

– Co więc stanie się z wami? Ze znajdującymi się tu obecnie Sztucznymi Inteligencjami?

„Głos” Ummona brzmi jak grzmot:

[Czemum was poznał

Czemum was zobaczył

Czemuz ta moja wieczysta istota

Tak oszalała/że mogłem was ujrzeć/

Że mogłem patrzeć na te strachy nowe!

Upadł Saturn/więc i ja mam upaść

Mam i ja rzucić tę przystań spokoju/

Tę chwałę mojej kolebki/ten cichy

A bujny zbytek niebiańskiej światłości/

Tę schroń urocza/te lśniste przybytki/

Te kryształowe moje pawilony/

To moje całe jaśniejące władztwo

Dziś ono puste/sieroce/nikt z moich

W niem już nie gości//O biada!

Nie widzę Blasku/ni ogniwa/ni kształtów harmonii/

A tylko ciemność widzę/śmierć i ciemność!]

Znam te słowa. Sam je napisałem. A raczej uczynił to John Keats dziewięćset lat wcześniej, po raz pierwszy usiłując opisać upadek Tytanów i zajęcie ich miejsca przez olimpijskich bogów. Świetnie pamiętam tę wiosnę roku 1818: bolesne pieczenie w gardle, pozostałe po przeziębieniu podczas pieszej wycieczki w Szkocji, znacznie większy ból wywołany zjadliwymi atakami na mój poemat „Endymion” w trzech pismach „Blackwood’s”, „Quarterly Review” i „British Critic”, a przede wszystkim cierpienie na widok choroby zabierającej mi brata Toma.

Świadom otaczającego mnie zamieszania w Centrum, patrzę w górę, starając się dostrzec coś, co można by uznać za twarz potężnego Ummona.

– Kiedy narodzi się Najwyższy Intelpekt, wy – Sztuczne Inteligencje „niższej rangi” – umrzecie.

[Tak]

– Będzie posługiwał się waszymi sieciami informacyjnymi w podobny sposób, jak wy obecnie wykorzystujecie nas.

[Tak]



– A nie chcecie umrzeć, prawda, Ummonie?

[Umieranie jest łatwe/

Komedia trudna]

– A więc walczycie o przetrwanie. Wy, Stabilni. Właśnie o to chodzi w tej wojnie, która się toczy w Centrum?

[Pomniejsza jasność zapytała Ummona//

Jakie znaczenie ma

Daruma nadchodząca z zachodu//

Ummon odpowiedział//

Widzimy Góry w słońcu]

Coraz łatwiej jest mi pojmować koan Ummona. W rozumieniu Centrum to co ludzie nazywają zen – cztery cnoty nirwany – to niezmienność, radość, osobista egzystencja oraz czystość. Elementy ludzkiej filozofii daje się zakwalifikować do kategorii intelektualnych, religijnych, moralnych i estetycznych. Ummon i pozostali Stabilni uznają tylko jedną wartość – egzystencję. Wartości religijne mogą być względne, intelektualne ulotne, moralne niejasne, a estetyczne zależą od obserwatora. Egzystencja jakiegokolwiek istoty zawiera natomiast nieskończoność – stąd „góry w słońcu”. Będąc zaś nieskończona, zawiera w sobie każdą inną rzecz i każdą prawdę.

Ummon nie chce umrzeć.

Stabilni przeciwstawili się własnemu bogu i pozostałym SI. Stworzyli mnie, bym wyznaczył Brawne, Sola, Kassada i resztę pielgrzymów, bym udzielał wskazówek Meinie Gladstone i pewnej grupie senatorów, żeby ludzkość została ostrzeżona, a obecnie podjęła otwartą wojnę z TechnoCentrum.

Ummon nie chce umierać.

– Ummonie, jeśli Centrum zostanie zniszczone, czy i ty zginiesz?

[We wszechświecie nie ma śmierci

Nie ma jej zapachu///

Ale przyjdzie///ach/ach]

To znów cytaty zaczerpnięte z mojego drugiego podejścia do epickiej opowieści o przemijaniu bóstw oraz roli poety w zmaganiach z cierpieniem.

Ummon nie umrze, jeśli siedziba Centrum zostanie zniszczona, ale skarże go na to pragnienie stworzenia Najwyższego Intelaktu. Dokąd ucieknie, gdy przestanie istnieć Sieć? Oczami wyobraźni widzę metasferę – te nieskończone, mroczne krajobrazy, gdzie napawające przerażeniem cienie poruszają się za nierzeczywistym horyzontem.

Wiem, że Ummon nie udzieli odpowiedzi na moje pytanie. Zapytam więc o coś innego.

– A czego chcą Gwałtowni?

[Tego co Gladstone//Końca symbiozy między SI a ludzkością]

– Poprzez zniszczenie nas?

[Najwyraźniej]

– Dlaczego?

[Zniewoliliśmy was potęgą/technologią/paciorkami i świecidełkami

urządzeniami, których nie zbudowaliście

i których działania nie rozumieliście//

Sami byliście w stanie stworzyć napęd Hawkinga/

ale transmitery/

linie FAT/megasfera/

promienie śmierci

Nigdy//

Jak Siuksowie ze strzelbami/

końmi/kocami/nożami/i paciorkami/przyjęliście je/



zaakceptowaliście nas i zatraciliście się//
Ale jak biały człowiek rozdający stare koce/
jak właściciel niewolnika na swojej plantacji/
albo w Werkschutze Dechenschule Gusstahlfabrik/
i my się zatraciliśmy//Gwałtowni chcą końca symbiozy
poprzez odcięcie spadochronu/ludzkości]

- A Ultymaci? Oni chcą zginąć? Chcą zostać zastąpieni waszym nienasyconym NI?
[Oni myślą jak ty
albo twój sofista Morski Bóg]

I Ummon recytuje wiersz, który zarzuciłem sfrustrowany, nie dlatego, że nie podobała mi się jego forma, lecz z powodu niewiary w przesłanie, jakie niósł.

To przesłanie zdetronizowany bóg mórz Oceanus adresuje do skazanych na zagładę Tytanów. To pean ku czci ewolucji, napisany, gdy Karol Darwin miał zaledwie dziewięć lat. Słyszę słowa, które pisałem pewnego październikowego wieczora dziewięćset lat temu, w zupełnie innym świecie, a jednocześnie zdaje mi się, że słyszę je teraz po raz pierwszy:

[Bogowie/
Wy/którzy własnym dławicie się żalem/
Szarpani gniewem/pożerani złością/
W kurczach ginący z tej bolesnej klęski/
Przytępcie zmysły/ten swój słuch przytłumcie/
Gdyż w moim głosie nie grzmi zapalczywość!
Przecież/kto pragnie/niechaj mnie wysłucha/
Albowiem chcę wam dać dowód/jak chętnie
Każdy się ugiąć powinien/a wiedzcie/
Że w tym dowodzie niosę wam pociechę/
Jeżeli czerpać chcecie ją z tej prawdy//
Prawo natury zmogło nas/nie siła
Gromu lub Zeusa. O wielki Saturnie/
Wszechświat atomów tyś przejrzał najlepiej
Ale żeś królem i że ślepy jesteś
Właśnie przez swoją królewskość, dlatego
Jedna twym oczom zakryta jest droga/
Którą ja szedłem ku prawdzie wieczystej//
Więc przede wszystkim: jak nie byłeś pierwszą/
Tak też nie jesteś potęgą ostatnią
I być nie możesz//Nie jesteś początkiem
Ani też końcem! Chaos to i Ciemność
Stworzyły światło/ten najpierwszy owoc
Wewnętrznych bojów/ponurych zaburzeń/
Dojrzewających dla celów przedziwnych//
Nadeszła chwila dojrzenia/z nią światło/
I światło/z własnym skojarzone stwórcą/
Wydało wszystką bezmierną materję//
I objawili się nasi rodzice/
Niebo i Ziemia/w tej samej godzinie/
A potem świata objęliśmy władzę/
Ty/pierworodny/i my/ród olbrzymów//
Teraz ból prawdy idzie/jeśli komu
Będzie on bólem! Szaleństwo! Boć przecie
Z spokojem znosić wszystką prawdę nagą
I wszystkie losy/to szczyt wspaniałości!
Baczcie co mówię! Jak Niebo i Ziemia



Wzdyć doskonalsze/niż Chaos i Ciemność/
Choć i te ongi miały panowanie/
Jak zasię po nich widzimy Niebiosą
I Ziemię w kształtach potężne i piękne/
W woli i czynach wolne/a łączliwe/
Oprócz tysiąca innych jawnych znaków
Czystszego życia/tak dziś w nasze ślady
Wstępuje świeża/piękniejsza potęga/
Z nas urodzona i na to/ażeby
Wzbić się nad nami/jako myśmy ongi
Zmogli chwalebnie dawną moc Ciemności//
A przeto klęska nasza nie jest większa/
Niż bezkształtnego upadku Chaosu/
Sprowadzon przez nas//Czyż ta bryła gleby
Może urągać losom/które sama
Wyhodowała i ciągle hoduje/
A które od niej tyle czarowniejsze
Czyż może ona nie uznać przewagi
Zielonych gajów/Albo czyliż drzewo
Śmie gołębiczy zazdrościć/że grucha
I że na śnieżnych polatuje skrzydłach/
Kędy jej wola/gdzie ma rozkosz swoja
My to jesteśmy/jak te drzewa w lesie//
Tylko że z naszych wspaniałych gałęzi
Nie wyszły blade/samotne gołębie/
Lecz złotopióre orły/co szybują
W swej piękności wysoko nad nami
I przez to muszą panować/albowiem
Takie jest prawo/kto pierwszy pięknnością
Ten ma być pierwszy i władza//
Przyjmij prawdę/i niech będzie dla ciebie balsamem]

– Bardzo ładny – kieruję myśl do Ummona – ale czy wierzysz w to?

[Ani przez chwilę]

– Ale Ultymaci wierzą?

[Tak]

– I są gotowi zginąć, by ustąpić miejsca Najwyższemu Intelktowi?

[Tak]

– Istnieje jednak problem, może zbyt oczywisty, by o nim mówić, ale i tak to zrobię: po co toczyć wojnę, skoro z góry wiecie, kto ją wygra? Mówisz, że Najwyższy Intelkt istnieje w przyszłości i walczy z ludzkim bóstwem. Wysłała wam nawet pewne informacje, którymi dzielicie się z Hegemonią. Więc to Ultymaci muszą zwyciężyć. Po co więc podejmować walkę i przechodzić przez to wszystko?

[Ha!]

[Uczę cię/

tworzę najwspanialszą odtworzoną osobowość/

i pozwalam ci wędrować wśród ludzi

jako wolnoczasowa istota

by cię zahartować/wzmocnić ale wciąż jesteś

poronionym dzieckiem]

Długo rozmyślałam nad tym, co mi powiedział. – Czyżby istniało wiele przyszłości?

[Pomniejsza jasność zapytała Ummona//

Czy istnieje wiele przyszłości//

Ummon odpowiedział//



A czy pies ma pchły]

- Ale ta, którą zdominuje Najwyższy Intellect, jest najbardziej prawdopodobna?

[Tak]

- Istnieje jednak również prawdopodobieństwo dominacji przyszłości, w której co prawda dochodzi do jego powstania, ale ludzkie bóstwo nie ma problemu z podporządkowaniem go sobie?

[Cieszę się że nawet poroniony płód potrafi myśleć]

- Powiedziałeś Brawne, że ta ludzka... świadomość - bóstwo brzmi tu nie na miejscu - że ten ludzki Najwyższy Intellect składa się z trzech elementów.

[Z Intellectu/Współczucia/I Pustki Która Łączy]

- Pustki, Która Łączy? Chodzi ci o długość kwantową i kwantowy czas? O kwantową rzeczywistość?

[Uważaj/

Keats/myślenie może stać się przyzwyczajeniem]

[Nasz NI i wasz NI wysłały

Chyżwara

na jego poszukiwanie]

- Nasz NI? Ludzki Najwyższy Intellect także wysłał Chyżwara?

[Pozwolił na to]

[Współczucie to

coś obcego i bezużytecznego/

narośl pasożytująca na intelekcie//

Ale ludzki NI jest nim przesycony więc użyliśmy bólu by

wywabić go z ukrycia//Stąd drzewo]

- Drzewo? Stalowe drzewo Chyżwara?

[Oczywiście]

[Emituje ból poprzez transmitery dźwięcząc jak

gwizdek w psim uchu//Albo bożym]

Czuję, jak mój analog drży, gdy dociera do mnie prawda. Chaos wokół bańki Ummona nie da się wprost opisać, jakby sam materiał tworzący przestrzeń był rozszarpany jakimiś gigantycznymi rękami. Centrum systematycznie obraca się w ruinę.

- Ummonie, kto jest ludzkim NI w naszych czasach? Gdzie ukrywa się ta świadomość?

[Musisz zrozumieć/Keats/

że naszą jedyną szansą było stworzenie cybryda/

Syna Człowieczego/

Syna Maszyny//

I uczynienie go tak atrakcyjnym że uciekające Współczucie

właśnie jego wybierze na swój dom/

Świadomość na tyle bliska boskiej,

na ile ludzkość umożliwiła to przez trzydzieści pokoleń

wyobraźnia mogąca poruszyć

przestrzeń i czas//Oferując/i akceptując/

formę połączenia między światami pozwalającą

istnieć im obu]

- Kto, do cholery?! Kto to jest? Skończ już z tymi swoimi wywodami, pozbawiony formy draniu. Kto?

[Dwukrotnie odmówiłeś tej boskości/

Keats//Jeśli odmówisz jeszcze raz/

wszystko dobiegnie końca/

ponieważ nie ma już czasu]

[Idź! Idź i umrzyj, by żyć!

Albo żyj przez chwilę i umrzyj dla nas wszystkich!



I tak Ummon i inni skończyli z tobą!]

[Odejdź!]

Przerażony i zdezorientowany spadam, choć tutaj nie ma góry ani dołu, przemierzając TechnoCentrum jak liść porwany wiatrem. Gnam bez celu przez megasferę i nagle zapadam się w idealną ciemność. Wyłaniam się z niej i znów widzę cienie czające się w metasferze.

Otoczają mnie niepojętość, niezmierna przestrzeń, strach oraz ciemność i tylko gdzieś w oddali widać jasny punkcik.

Płynę w jego stronę, oblepiony czymś pozbawionym formy.

To Byron utonął, nie ja, myślę. Chyba że można utopić się we własnej krwi i resztkach płuc.

Wiem, że mam teraz wybór. Mogę żyć i pozostać śmiertelnikiem, nie cybrydem, lecz człowiekiem, nie Współczuciem, ale poetą. Płynąc przeciw silnemu prądowi zbliżam się ku światłu.

– Hunt! Hunt!

Doradca Meiny Gladstone podskakuje gwałtownie wyrwany ze snu, a na jego pełnej zmęczenia, pociągłej twarzy widać troskę i obawę. Wciąż jest noc, ale na ścianie pojawiają się już pierwsze światła dnia..

– Mój Boże – szepcze Hunt i patrzy na mnie z przerażeniem.

Podążam za jego wzrokiem i na posłaniu widzę kałużę jasnoczerwonej krwi.

Obudził go chyba mój kaszel, który i mnie sprowadził tu z powrotem.

– Hunt! – sapię tak słaby, że nie mam siły unieść nawet ręki.

Mój opiekun siada na skraju łóżka i ujmuje moją dłoń. Wiem, że zdaje sobie sprawę, iż umieram.

– Hunt – szepczę -...muszę powiedzieć... Cudowne rzeczy...

Uspokaja mnie.

– Później, Severn. Odpocznij. Posprzątam tu, a potem mi opowiesz. Mamy mnóstwo czasu.

Staram się unieść, ale jestem w stanie chwycić go tylko za rękę i wbić w nią palce.

– Nie – chrypię, czując bulgotanie w gardle i słysząc szum wody spadającej do misy fontanny. – Nie tak wiele... Bardzo mało...

W tej chwili, umierając, nabieram pewności, że nie jestem siedliskiem ludzkiego Najwyższego Intelaktu, nie jestem połączeniem SI i człowieczego ducha, nie jestem Wybranym.

Pozostaję tylko poetą umierającym daleko od domu.



Pułkownik Fedmahn Kassad poległ w walce.

Wciąż walcząc z Chyżwarem, świadom obecności Monety pod postacią cienia widzianego kątem oka, Kassad przemieścił się w czasie i znalazł w miejscu rozświetlonym promieniami słońca.

Potwór opuścił ramiona i cofnął się, a jego lśniące ślepia zdawały się odbijać barwę krwi spływającej po polu siłowym otaczającym Kassada. Pułkownik popatrzył wkoło. Znajdowali się w pobliżu Doliny Grobowców Czasu, ale w zupełnie innym czasie, gdzieś w przyszłości. Miejsce skalistych występów i piaszczystych wydm zajmował teraz las. Na południowym zachodzie, mniej więcej tam gdzie w czasach Kassada znajdowały się ruiny Miasta Poetów, teraz wznosiło się nowe miasto, z wieżami i murami odbijającymi promienie wiszącego nisko nad horyzontem słońca. Między zabudową a skrajem lasu i doliną wysoka zielona trawa kołysała się na wietrze wiejącym od strony odległych Gór Cugielnych.

Po lewej jak przedtem znajdowała się Dolina Grobowców Czasu, tyle że zbocza były obecnie łagodniejsze, stępione przez erozję i również porośnięte trawą. Same grobowce wyglądały na nowe, niedawno zbudowane. Obelisk i Monolit otaczały jeszcze rusztowania. Każdy z nich lśnił złotem, jakby został pokryty drogocennym metalem. Wejścia były zamknięte. Między budowlami stała jakaś ogromna, tajemnicza maszyna z widocznymi wstęgami kabli. Kassad od razu zrozumiał, że znalazł się w przyszłości, odległej od jego czasów o setki, a może nawet tysiące lat, a grobowce są właśnie przygotowywane do wysłania w podróż wstecz w czasie.

Kassad odwrócił się.

Ujrzał kilka tysięcy mężczyzn i kobiet, ustawionych w rzędach na trawiastym stoku, w miejscu dawnego urwiska. Stali w milczeniu, uzbrojeni i ustawieni w szyku bojowym, jakby czekali tylko na dowódcę, który wyda im rozkaz do ataku. Część spośród nich osłaniały pola siłowe, inni zaś byli niemal nadzy, co najwyżej okryci futrem, łuskami bądź skrzydłami, mieniącymi się wszystkimi kolorami tęczy. Przypominali ludzi, których widział przeniesiony przez Monetę tam, gdzie został wyleczony:

Moneta. Stała między nim a szykami, w polu siłowym, które nie zakrywało jej kombinezonu wykonanego jakby z czarnego aksamitu. Wokół szyi miała owinięty czerwony szal, a przez ramię przewiesiła jakąś ostro zakończoną broń. I patrzyła wprost na Kassada.

Pomachał do niej mimo bólu promieniującego z nowo odniesionych ran. W oczach dziewczyny ujrzał coś, co sprawiło, że aż się zatoczył.

Ona go nie знаła. Na jej twarzy malowały się zdziwienie i coś jakby dezorientacja... może strach. Taką samą obawę było widać i na obliczach zastępów zbrojnych. Tkwił w miejscu, bez ruchu i tylko szum wiatru zakłócał idealną ciszę.

Kassad i Moneta przyglądali się sobie uważnie. Wreszcie pułkownik popatrzył przez ramię.

Chyżwar stał nieruchomo jak stalowy pomnik zaledwie dziesięć metrów od niego. Wysoka trawa sięgała mu niemal do najeżonych kolcami kolan.

Za nim, tuż przed skrajem lasu zobaczył hordy, całe legiony ustawionych równo innych Chyżwarów, lśniących w promieniach słońca. Kassad rozpoznał swojego przeciwnika tylko dzięki krwi znaczącej jego korpus i ostrza na ramionach. Oczy potwora rzucały karmazynowy blask.

– To ty, prawda? – rozległ się tuż obok niego cichy głos. Komandos gwałtownie odwrócił głowę. Moneta była tuż obok.

Włosy miała krótkie jak podczas ich pierwszego spotkania, skórę równie gładką, a zielonobrazowe oczy pełne tajemniczości. Ogarnęła go chęć pogładzenia jej po twarzy, dotknięcia palcem dobrze znanych ust. Ale nie zrobił tego.



– To ty nim jesteś – powtórzyła dziewczyna, tym razem jakby stwierdzając fakt. – Wojownikiem, którego przybycie przepowiedziałam.

– Nie znasz mnie, Moneta? – Kilka ran wojownika sięgało niemal kości, ale żadna nie sprawiała bólu takiego jak spodziewana odpowiedź na to pytanie.

Pokręciła głową. Odgarnęła włosy z czoła dobrze znanym mu ruchem.

– Moneta. To oznacza „córka pamięci” i „ta, która przestrzega”. To dobre imię.

– Nie należy do ciebie?

Uśmiechnęła się. Pułkownik zapamiętał ten uśmiech od czasu ich pierwszego spotkania w średniowiecznym lesie.

– Nie – odparła miękko. – Jeszcze nie. Dopiero tu przybyłam. Moja podróż i opieka jeszcze się nie rozpoczęły.

Zdradziła mu swe prawdziwe imię.

Zaskoczony potrząsnął głową, uniósł rękę i dotknął palcami jej policzka.

– Byliśmy kochankami – szepnął. – Spotkaliśmy się na polu bitwy zagubionym gdzieś w wirtualnej rzeczywistości. Zawsze mi towarzyszyłaś. – Rozejrzał się. – Wszystko prowadzi do tego miejsca, prawda?

– Tak.

Kassad odwrócił się ku armii Chyżwarów.

– Czy to wojna? Tysiące przeciw tysiącom?

– Wojna. Tysiące przeciw tysiącom na dziesięciu milionach światów.

Zamknął oczy i pokiwał głową. Pole siłowe wspaniale spełniało rolę uśmierzacza bólu, ale czuł, że nie zdoła już długo oszukiwać organizmu.

– Dziesięć milionów światów – powtórzył otwierając oczy. A więc to decydująca bitwa?

– Tak.

– I zwycięzca bierze Grobowce Czasu?

Moneta popatrzyła na armię wroga.

– Zwycięzca zdecyduje, czy osadzony w nich Chyżwar wyruszy w drogę, by przygotować pole innym... – wskazała na tysiące potworów – czy też ludzkość sama zdecyduje o swej... przeszłości i przyszłości.

– Nie rozumiem... ale żołnierze rzadko są w stanie dokładnie zorientować się w sytuacji. – Kassad nachylił się, pocałował zaskoczoną dziewczynę i zdjął jej czerwony szal.

– Kocham cię – szepnął zawiązując go na kolbie swej strzelby. Przy okazji stwierdził, że do połowy zużył już amunicję i ładunek energetyczny.

Fedmahn Kassad przeszedł pięć kroków naprzód, odwrócił się plecami do Chyżwara, uniósł ręce i wykrzyknął:

– Za wolność!

Trzy tysiące gardeł poszło za jego przykładem:

– Za wolność!

Pułkownik stanął twarzą do wroga. Chyżwar uczynił krok naprzód i rozprostował stalowe pazury.

Kassad wydał okrzyk bojowy i rzucił się do ataku. Za nim ruszyła Moneta i tysiące wojowników.

Po zakończeniu krwawej bitwy Moneta i kilku innych wybranych wojowników odszukało ciało Kassada splecione w śmiertelnym uchwycie ze zniszczonym Chyżwarem. Ostrożnie zabrali je i przenieśli do namiotu rozstawionego w dolinie. Obmyli zwłoki i w asyście tłumów zanieśli je do Kryształowego Monolitu.

Tam pułkownik Fedmahn Kassad został złożony na białej marmurowej płycie, z bronią u boku. Zapadające ciemności rozświetlało ogromne ognisko. W dolinie gromadziło się coraz więcej mężczyzn i kobiet, przychodzących i przylatujących na skrzydłach lub w pojazdach przypominających przezroczyste bańki.



Później, gdy na niebie rozbłyły gwiazdy, Moneta pożegnała się ze zgromadzonymi i weszła do Sfinksa. Tłumy zaczęły śpiewać. Na polu bitwy niewielkie gryzonie przemykały pomiędzy leżącymi w pyłe proporcami, pogruchotanymi i stopionymi fragmentami metalowych ciał, zbroi i broni.

Gdy nadeszła północ, ludzie zamilkli i cofnęli się. Grobowce Czasu rozjarzyły się dziwną poświatą. Siła pola antyentropijnego odepchnęła zgromadzonych jeszcze dalej, aż do wlotu do doliny i leżącego dalej pełnego światła miasta.

Potężne grobowce zamigotały jaśniej i ruszyły w długą podróż wstecz, a pokrywająca je złoto błyskawicznie utraciło blask.

Brawne Lamia minęła jaśniejący Obelisk, z całych sił walcząc z naporem wichru. Piasek smagał jej twarz i uniemożliwiał patrzenie. Błyskawice biły w szczyty okalające dolinę, potęgując atmosferę niesamowitości i wywołując niepokój. Dziewczyna przysłoniła twarz dłońmi i zerkając między palcami starała się odnaleźć szlak.

Nagle ujrzała złociste światło odmienne od poświaty, którą emanował cały Kryształowy Monolit. Najwyraźniej coś znajdowało się w jego wnętrzu.

Postanowiła, że pójdzie prosto do Pałacu Chyżwara, zrobi wszystko co w jej mocy, by uwolnić Silenusa, a dopiero później wróci do Sola. Nie chciała tracić ani chwili. Ale wydało się jej, że w grobowcu widzi coś jakby zarys ludzkiej postaci. Kassada wciąż nie było. Sol opowiedział jej o misji konsula, ale może dyplomata zdążył już wrócić pod osłoną burzy. Ojca Dure nie było sensu brać pod uwagę.

Brawne podeszła bliżej i zatrzymała się przed postrzępionym wejściem do Monolitu.

Jego wnętrze robiło wrażenie, licząc sobie prawie sto metrów od podłogi do trudno dostrzegalnego, niemal idealnie przezroczystego sklepienia. Ściany od wewnątrz również były przezroczyste, lecz zabarwione na złoto i bursztynowo, jakby przez światło docierające z zewnątrz i koncentrujące się w środku pomieszczenia.

Tam, na czymś w rodzaju kamiennego postumentu, leżał Fedmahn Kassad. Był ubrany w czarny strój Armii, a jego potężne dłonie splatały się na piersi. Wiele różnych rodzajów broni, w większości nieznanymi, leżało obok i u jego stóp. Twarz pułkownika była poważna, podobnie jak za życia. Malował się na niej spokój. Nie było wątpliwości, że nie żyje – majestat śmierci wisiał nad nim jak opary kadzideł.

Ale w pomieszczeniu znajdował się ktoś jeszcze, kto właśnie zwrócił na siebie uwagę Brawne.

Młoda kobieta, przed trzydziestką, podeszła do ciała i uklękła przed nim. Miała na sobie czarny kombinezon. Jej włosy były krótko przycięte, twarz miała nienaturalnie bladą, a oczy wyjątkowo duże. Brawne przypomniała sobie historię komandosa, opowiedzianą przezeń podczas długiej podróży i zawarty w niej szczegółowy opis ulotnej kochanki Kassada.

– Moneta – wyszeptała.

Młoda kobieta, klękając na jednym kolanie, prawą rękę wyciągnęła, by dotknąć kamienia. Fioletowe pole siłowe objęło postument, a jakaś inna energia, wyczuwalna jako drganie cząsteczek powietrza, otoczyła samą Monetę jakby aureolą.

Ta uniosła wzrok, popatrzyła na Brawne, wstała i skinęła głową. Luzyjka zrobiła krok naprzód, a w głowie kłębiły jej się setki pytań, które chciałyby zadać, ale pole antyentropijne wewnątrz grobowca było tak silne, że odepchnęło ją powodując zawrót głowy.

Kiedy w pełni odzyskała równowagę, postument nadal stał na swoim miejscu, na nim leżał martwy Kassad. Moneta jednak zniknęła. Brawne chciała jak najszybciej wrócić do Sfinksa, odszukać Sola, opowiedzieć mu o wszystkim i przeczekać, aż ustanie burza i nadejdzie ranek. Ale ponad szumem wiatru wydało jej się, że znów słyszy rozdzierające krzyki wiszących na cierniowym drzewie, niewidocznym przez tumany pyłu.

Postawiła więc kołnierz, wyszła na zewnątrz i ledwie widoczną ścieżką prowadzącą w stronę Pałacu Chyżwara ruszyła przed siebie.



Masa skał wisząca w przestrzeni kształtem przypominała górę ze spiczastym szczytem zwieńczonym czapą śniegu, ostrymi graniami, absurdalnie pionowymi stokami i wieloma występami skalnymi.

Rzeka wiła się w kosmosie, przenikała wielowarstwowe pole siłowe otaczające górę, płynęła najszerszą z półek skalnych, z której następnie spadała wysoką na co najmniej sto metrów kaskadą na znajdujący się niżej taras, po czym rozdzieliwszy się na sześć osobnych strumieni spływała po stoku.

Trybunał zebrał się na najwyższym tarasie. Siedemnastu Intruzów – sześciu mężczyzn, sześć kobiet i pięć osób nieokreślonej płci – siedziało wewnątrz kamiennego kręgu, otoczonego pierścieniem trawy. W centrum kręgu stał konsul.

– Zdajesz sobie sprawę – przemówiła Ghenga – mówczyńi klanu Wolnych Ludzi roju Byka – że wiemy o twojej zdradzie? – Tak – odpowiedział spokojnie dyplomata, ubrany w swój najelegantszy strój: granatowy uniform, kasztanowa peleryna i trójgraniasty kapelusz.

– Wiemy, że zabiłeś Wolnego Człowieka Andril, Wolnego Człowieka Iliama, Coredwella Betza i Mizenspesh Torrence.

– Znałem imię Andril – rzekł cicho konsul. – Technicy nie zostali mi przedstawieni.

– Ale zamordowałeś ich?

– Tak.

– Nie będąc sprowokowanym i bez żadnego ostrzeżenia?

– Tak.

– Zabiłeś ich, by wejść w posiadanie urządzenia, które dostarczyli na Hyperiona. Maszyny mającej wstrzymać tak zwane prądy czasu, otworzenie Grobowców Czasu i uwolnienie Chyżwara?

– Tak. – Wzrok, konsula prześlizgnął się ponad jej barkiem i zatrzymał na czymś odległym.

– Zdradziliśmy ci – ciągnęła Ghenga – że urządzenie to ma zostać uruchomione po ostatecznym opanowaniu planety. Kiedy już można będzie zapanować nad Chyżwarem.

– To prawda.

– A jednak zabiłeś naszych ludzi, okłamałeś nas i uruchomiłeś urządzenie o całe lata wcześniej, niż było to planowane.

– Tak.

Melio Arundez i Theo Lane stali poza kręgiem z posępными minami.

Ghenga splotła ramiona. Była wysoką kobietą o urodzie typowej dla Intruzów – łyśa, szczupła, pokryta jakąś granatową substancją, która mogła być również integralną częścią jej ciała, niemal idealnie pochłaniającą światło. Jej twarz wydawała się stara, choć prawie pozbawiona zmarszczek.

– Miało to miejsce cztery wasze standardowe lata temu, ale czy sądziłeś, że zapomnimy o twoim czynie?

– Nie. – Konsul popatrzył prosto w jej ciemne oczy. Wyglądało, jakby lekko się uśmiechnął. – Tylko nieliczne kultury wybaczą zdrajcom.

– A jednak wróciłeś?

Konsul milczał. Obserwującemu tę scenę Theo wydawało się, że śni. Szczególnie po odbyciu surrealistycznej podróży do tego miejsca.

Trzech Intruzów przypląnęło po nich w długiej, smukłej gondoli, która przybiła do brzegu tuż obok statku kosmicznego. Gdy Hegemończycy znaleźli się na pokładzie, Intruz na rufie odepchnął ją długą tyką i łódź ruszyła w kierunku, z którego przybyła, jakby bieg rzeki uległ nagłemu odwróceniu. Theo ze strachu zamknął oczy, kiedy zbliżyli się do stóp wodospadu, a raczej wodowzniosu, gdyż woda płynęła w górę. Gdy ponownie je otworzył, dół był znowu w dole, a rzeka zdawała się płynąć normalnie, tyle tylko, że trawiasty grunt asteroidu zmienił się teraz w zieloną ścianę, którą pozostawili



za sobą. Przez głęboką na dwa metry wstążkę wody wyraźnie widać było przeświecające gwiazdy.

Później pokonali pole siłowe i opuścili atmosferę miniplanety, a prędkość niosącego ich nurtu znacznie wzrosła. Znajdowali się w tunelu, ze ścianami utworzonymi przez pole siłowe. Tak przynajmniej można było sądzić, skoro wciąż żyli. Pole to nie zmniejszało jednak widoku i nie wydawało charakterystycznego szmeru, jak miało to miejsce między innymi na drzewostatkach templariuszy. Tutaj była tylko rzeka, łódź, ludzie i bezmiar kosmosu.

– Nie mogą używać tego jako środka transportu w obrębie roju rzekł drżącym głosem doktor Arundez.

Theo zauważył, że i on trzyma się kurczowo burt gondoli. Intruzi odpowiedzieli tylko potakującymi ruchami głów na pytanie konsula, czy w ten sposób dotrą na miejsce obrad.

– Chcą nam zaimponować – wyjaśnił konsul. – Rzeka jest wykorzystywana, kiedy rój odpoczywa, i to tylko do celów ceremonialnych. Jej widok ma zrobić na nas wrażenie.

– W ten sposób pragną zaprezentować poziom swojej techniki? zapytał Theo lotto voce.

Konsul potwierdził skinieniem głowy.

Rzeka wiała się meandrami w przestrzeni, czasami jej zakola niemal się stykały, to znów tworzyła ciasną spiralę, lecz przez cały czas lśniła w promieniach słońca Hyperiona. Miejscami zdawało się, że woda pochłania jego światło i błyszczy wszystkimi barwami tęczy. Theo aż zapało dech w piersi, gdy popatrzywszy na wodę jakieś sto metrów dalej, na tle widocznej przez nią tarczy słonecznej ujrzał zarys przepływającej ryby.

Zawsze jednak dno łodzi znajdowało się pod nogami, a oni mknęli z szybkością bliską międzyplanetarnej. Przypominało to, jak kilka minut później zauważył Arundez, znalezienie się w kanoe nad potężnym wodospadem i szukanie przyjemności w zjeździe na dół.

Rzeka mijala elementy roju, które wypełniały przestrzeń jak fałszywe gwiazdy. Rozległe farmy umiejscowione na kometach, porośnięte roślinnością egzystującą w warunkach nieważkości. Kosmiczne miasta – kipiące życiem nieregularne sfery przezroczystej membrany przypominającej amebę – z doczepionymi do nich mającymi dziesięć kilometrów długości zespołami napędowymi, wielokrotnie przedłużanymi na przestrzeni wieków. Wiszące w przestrzeni setki tysięcy kilometrów kwadratowych lasów, przyłączonych do zespołów napędowych i Węzłów dowodzenia za pomocą pól siłowych oraz stałych łączników przypominających korzenie. Twory te z oddali przywodziły na myśl gigantyczne drzewa, odbijające promienie pobliskiego słońca i lśniące wszystkimi barwami staroziemskiej jesieni. Obiektom mieszkalnym towarzyszyły puste w środku asteroidy, zamienione w automatyczne fabryki i przetwornie. Każdy centymetr ich zewnętrznej powierzchni pokrywały skomplikowane konstrukcje, kominy i wieże. Dobywający się z nich ogień fuzyjny przypominał mityczną kuźnię Hefajstosa. Co jakiś czas mijali globy portowe, których ogrom widać dopiero w zestawieniu z otaczającymi je okrętami rozmiarów eskortowców i krążowników Hegemonii. Najbardziej zadziwiające były jednak twory przesuwające się, a raczej latające w pobliżu rzeki. To organizmy wyprodukowane lub narodzone, a zapewne i jedno i drugie, w kształcie motyli, wystawiające energetyczne skrzydła ku słońcu. Owady będące statkami, z antenami zwracającymi się w stronę gondoli i jej pasażerów oraz skomplikowanej budowy oczami odbijającymi światło. Wokół nich widać było mniejsze skrzydlate istoty – ludzi – docierających do wnętrza motyla otworem w korpusie rozmiarami dorównującym ładowni lotniskowca.

Wreszcie pojawiła się góra, a właściwie całe ich pasmo. Częściowo pokryte setkami niewielkich baniek pól siłowych, ale także pełne ludzi, nawet w niczym nie zabezpieczonych miejscach. Większość gór łączyła się ze sobą długimi na trzydzieści kilometrów



wiszącymi mostami lub rzekami, inne zaś samotnie tkwiły w przestrzeni, puste niczym ogrody zen. Pośród nich ta właściwa, wyższa niż Mons Olympus czy Góra Hillary'ego na Asquicie, ku której zmierza ta rzeka. Theo, konsul i Arundez w milczeniu kurczowo trzymali się swych ławek, gdy z ogromną prędkością pokonywali ostatnie kilka kilometrów. Nie zwalniając przebili pola siłowe zamykające atmosferę i gondola zatrzymała się dopiero na łące, gdzie czekali już członkowie Trybunału Klanu Intruzów, otoczeni kamiennym kręgiem.

– Jeśli chodziło im o wywołanie wrażenia – szepnął Theo, gdy łódź przybiła do brzegu – to niewątpliwie odnieśli sukces.

– Dlaczego wróciłeś do roju? – zapytała Wolny Człowiek Ghenga, poruszając się w warunkach minimalnej grawitacji z taką gracją, jaką nie poszczyciłby się nikt urodzony i wychowany na którejś z planet Sieci.

– Przewodnicząca Meina Gladstone poprosiła mnie o to – odparł konsul.

– I przyleciałeś świadom, że ryzykujesz własne życie?

Jako dyplomacie i dżentelmenowi, konsulowi nie wypadało wzruszyć ramionami, ale jego spojrzenie miało podobny wydźwięk.

– Czego chce Meina Gladstone? – zapytał inny Intruz, przedstawiony jako mówcą obywatelski Coredwell Minmun.

Konsul powtórzył pięć zadań, jakie przekazała mu przewodnicząca.

Mówca Minmun splótł ramiona na piersi i zerknął na Ghengę.

– Udzielę odpowiedzi – rzekła. Popatrzyła na Arundeza i Theo. Wy dwaj słuchajcie uważnie, bo człowiek, który przyniósł te pytania, może nie wrócić już na wasz statek.

– Chwileczkę – przemówił gubernator Hyperiona występując krok do przodu. – Przed wydaniem wyroku musicie wziąć pod uwagę fakt, iż...

– Cisza! – warknęła mówczyni Ghenga, ale Theo i tak został już uciszony uchem ręki konsula.

– Udzielę odpowiedzi – powtórzyła Intruzka. Wysoko ponad nią grupa niewielkich okrętów, w Hegemonii nazywanych lansjerami, przemknęła jak ławica ryb. – Po pierwsze, Meina Gladstone pyta, dlaczego atakujemy Sieć. – Urwała, popatrzyła na pozostałych szesnastu zebranych tu pobratymców i ciągnęła: – Otóż to nieprawda. Z wyjątkiem tego roju, którego zadaniem jest zdobycie Hyperiona przed otwarciem Grobowców Czasu, żadne inne nie znajdują się w pobliżu Sieci, nie mówiąc już o jej atakowaniu.

Wszyscy trzej Hegemończycy zareagowali gwałtownie. Nawet konsul porzucił zwykłe sobie opanowanie i wykrzyknął:

– To nieprawda! Widzieliśmy...

– Widzieliśmy przekazy... – zawtórowali mu towarzysze. – Brama Niebios została zniszczona! Boża Knieja spalona!

– Cisza! – rozkazała Ghenga. Kontynuowała dopiero, gdy zapanowało milczenie.

– Tylko ten rój podjął walkę z Hegemonią. Inne znajdują się daleko od Sieci i do kompletu są na kursie zwiększającym ten dystans, pomne prowokacji, do jakiej doszło pod Bressią.

Konsul przetarł twarz, jakby dopiero co się obudził.

– Ale w takim razie kto...?

– Zgadza się – rzekła Intruzka. – Kto więc dysponuje możliwościami wprowadzenia w życie takiego planu? I motywem uzasadniającym wymordowanie miliardów ludzi?

– TechnoCentrum? – wyszeptał dyplomata.

Góra wirowała powoli i właśnie znaleźli się po jej ciemnej stronie. Wiatr poruszył szatami gospodarzy i peleryną konsula. Nad ich głowami rozbłysły miliony gwiazd. Potężne kamienie tworzące krąg zdawały się emanować zmagazynowanym w swym wnętrzu ciepłem.

Theo Lane podszedł i stanął tuż obok przyjaciela, bojąc się, że ten lada chwila upadnie.



– Nie mamy żadnych dowodów, że to co mówisz jest prawdą rzekł. – Przecież to nie miałyby sensu.

Ghenga zachowała kamienny spokój.

– Pokażemy wam dowód. Transmisję poprzez Pustkę, Która Łączy. Przekaz pochodzący z naszych siostrzanych rojów.

– Pustkę, Która Łączy? – powtórzył Arundez wyraźnie zaskoczony i poruszony.

– Wy nazywacie to linią FAT. – Mówczyni podeszła do najbliższego głazu i przeciągnęła dłonią po chropowatej powierzchni, jakby sprawdzając jego temperaturę.

– Przejdźmy teraz do drugiego pytania. Nie wiemy, gdzie znajduje się Centrum. Uciekliśmy przed nim, walczyliśmy z nim i szukaliśmy go od wieków, ale nie zdołaliśmy uwieńczyć tych poszukiwań sukcesem. Wy musicie udzielić nam i sobie odpowiedzi na to pytanie! Przecież wypowiedzieliście wojnę tej pasożytniczej istocie, którą nazywacie TechnoCentrum.

– Nie mamy najmniejszego pojęcia, gdzie może być – stwierdził konsul. – Władze Sieci tropią je od czasów przedhegiryjskich, ale przypomina to szukanie Eldorado. Nie znaleźliśmy żadnych ukrytych światów ani asteroidów wypełnionych oprzyrządowaniem. Ręką wykonał pełen rezygnacji gest. – Przypuszcza się, że to wy ukrywacie Centrum w którymś z rojów.

– To nieprawda – zaprzeczył spokojnie mówca Coredwell Minmun.

Konsul z wyrazem zawodu na twarzy pozwolił sobie na wzruszenie ramionami.

– Podczas hegiry w ramach Wielkiego Poszukiwania dotarliśmy do tysięcy systemów. Wszystkie, które nie zdobyły dziewięciu i siedmiu dziesiątych punktu w dziesięciostopniowej skali, były pomijane. Centrum może jednak znajdować się na którymś z nich. Nigdy się o tym nie przekonamy... a jeśli nawet, to Hegemonia już dawno przestanie istnieć. Wy byliście naszą ostatnią nadzieją.

Ghenga pokręciła głową. Nad nimi szczyt góry znów załśnił w promieniach słońca, a granica dnia i nocy zbliżała się błyskawicznie.

– Po trzecie, Meina Gladstone pyta, czego oczekujemy w zamian za zawieszenie broni. Jak już mówiłam, wyłącznie ten jeden rój jest atakującą stroną. Przystaniemy na rozejm, gdy tylko Hyperion znajdzie się w naszych rękach... a to już niemal nastąpiło. Właśnie zostaliśmy powiadomieni, że nasze siły ekspedycyjne zajęły stolicę i port kosmiczny.

– Bzdury – wyrwało się Theo, który zacisnął dłonie w pięści.

– Być może – mruknęła mówczyni. – Ale przekażcie Meinie Gladstone, że teraz jesteśmy już gotowi podjąć wspólną walkę przeciw TechnoCentrum. – Popatrzyła na milczących członków Trybunału. Skoro jednak jesteśmy wiele lat świetlnych od Sieci, a nie ufamy waszym, kontrolowanym przez Centrum transmitem, to nasz udział może się ograniczyć jedynie do zareagowania na ewentualne zniszczenie Hegemonii. Zostaniecie pomszczeni.

– Wątpliwe pocieszenie – zauważył sarkastycznie konsul.

– Po czwarte, Meina Gladstone pyta, czy zgodzimy się z nią spotkać. Oczywiście... jeśli, jak mówi, jest gotowa udać się na Hyperiona. Nie zniszczyliśmy transmitera Armii tylko i wyłącznie z tego powodu. My z niego nie skorzystamy.

– Dlaczego? – zapytał Arundez.

Nie przedstawiony im Intruz o pięknym, barwnym futrze włączył się do dyskusji:

– Urządzenie zwane przez was transmittersem jest obrzydliwością... zbezczeszczeniem Pustki, Która Łączy.

– Aha, a więc jednak w grę wchodzi religijność – rzekł konsul kiwając głową.

Egzotycznie ubarwiony Intruz energicznie zaprzeczył ruchem głowy. – Nie! Sieć transmittersów jest jarzmem nałożonym na kark ludzkości. Zgodą na podporządkowanie się, które w prostej linii prowadzi do stagnacji. My nigdy nie zdecydowalibyśmy się na coś podobnego.

– I po piąte – przerwała Ghenga – wzmianka o promieniach śmierci to nic innego,



jak forma ultimatum. Ale po raz kolejny powtarzam, że zostało ono skierowane pod niewłaściwy adres. Atakujący waszą Sieć nie należą do Klanów Dwunastu Siostrzanych Rojów.

– Na potwierdzenie tego mamy wyłącznie twoje słowa – zauważył konsul. Jego spojrzenie było twarde, niemal wyzywające.

– To i tak bardzo wiele. Zauważcie, że starsi Klanów nie będą składać żadnych przysięg niewolnikom Centrum. Ale to, co mówię, jest bezdyskusyjną prawdą.

Konsul wyglądał na zaniepokojonego i nieco bezradnie zerknął na Theo.

– Natychmiast musimy zapoznać przewodniczącą z waszymi odpowiedziami. Czy moi przyjaciele mogą wrócić na statek i przekazać jej relację z tej rozmowy?

Ghenga kiwnęła głową i wskazała gondolę.

– Bez pana nie wracamy – stwierdził kategorycznie Theo, zwracając się do nauczyciela i stając między nim a najbliższym Intruzem, jakby w ten sposób chciał zademonstrować gotowość do bronienia go.

– Owszem, wracacie – powiedział nie budzącym sprzeciwu tonem konsul, kładąc mu rękę na ramieniu. – Musicie.

– On ma rację – rzekł Arundez, zanim młody gubernator zdążył zareagować. – To zbyt ważne, by natychmiast nie przekazać uzyskanych tu informacji. Pan niech wraca. Ja zostanę.

Ghenga pachem ręki wezwała dwóch potężnie zbudowanych Intnazów.

– Obaj wróćcie na statek. Konsul zostanie. Trybunał nie zdecydował jeszcze o jego losie.

Arundez i Theo zwlekali nieco, ale kudłaci Intruzi chwycili ich za ręce i odciągnęli, jakby mieli do czynienia z nieposłusznymi dziećmi.

Konsul obserwował, jak posadzono ich w gondoli, która natychmiast odpłynęła. Nie zdążył nawet pomachać im na pożegnanie, łódź bowiem zniknęła za załamaniem terenu, by pojawić się ponownie już ponad szczytem góry, w przestrzeni kosmicznej. Kilka minut później rozplynęli się w oddali. Powoli odwrócił głowę, po kolei spoglądając w oczy każdemu z członków Trybunału.

– Miejmy to za sobą – rzekł. – Zbyt długo już czekałem.

Sol Weintraub siedział skulony między pazurami Sfinksa i patrzył, jak burta stopniowo słabnie, wycie wiatru zamienia się w szum, a chmury pyłu z wolna opadają i na niebie pojawiają się gwiazdy. Wreszcie w przyrodzie zapanował spokój. Grobowce świeciły intensywniej niż przedtem, ale z jasnego wejścia do Sfinksa, którego Sol wciąż nie mógł przekroczyć, nikt się nie wyłaniał. To światło zdawało się odpychać go tysiącami palców i pomimo ogromnych wysiłków nie zdołał podejść do wejścia bliżej niż na trzy metry. Cokolwiek znajdowało się wewnątrz, było niewidoczne w oślepiającym blasku. Sol usiadł na kamiennych schodach i załkał, a prądy czasu szarpały jego ciałem. Cała budowla zdawała się chwiać w rytm zmian ich natężenia.

Rachela.

Postanowił, że nie opuści tego miejsca, dopóki istnieje jakakolwiek szansa na powrót córki. Siedząc na chłodnym kamieniu, słuchając cichnącego wiatru, zapatrzył się w zimne gwiazdy i nagle zobaczył spalające się w atmosferze obiekty i promienie laserów. Zrozumiał, że toczy się tam kosmiczna bitwa. Miał przeczucie, że już została przegrana, a Sieci grozi śmiertelne niebezpieczeństwo, że na jego oczach upada potężne imperium i właśnie tej nocy ważą się losy ludzkości... ale jego to zupełnie nie obchodziło.

Ważna była tylko córka.

I kiedy siedział tak, wystawiony na gasnące podmuchy wiatru i prądy czasu, obolały z wyczerpania i otępiały z głodu, poczuł ogarniający go z wolna spokój. Oddał własne dziecko potworowi, ale nie dlatego, że tak chciał Bóg. Nie zmusiły go do tego przeznaczenie lub strach, ale wyraźne życzenie Racheli, która ukazała mu się we śnie i powie-



działa, iż tak właśnie należy postąpić. To właśnie nakazuje miłość łącząca ich oraz Sarai.

W końcu, poza logiką i nadzieją, to właśnie sny i uczucia najbliższych składają się na odpowiedź dotyczącą dylematu Abrahama. Komlog Sola przestał funkcjonować. Od chwili, gdy oddał umierające niemowlę Chyżwarowi, równie dobrze mogła upłynąć godzina, jak i pięć. Odchylił ciało do tyłu, trzymając się kamiennych stopni, gdyż prądy czasu sprawiały, że Sfinks kołysał się jak stateczek na oceanie, i obserwował gwiazdy oraz toczącą się na orbicie bitwę.

Na niebie widać było jakby iskry, które rozbłyskiwały niczym supernowe, gdy docierały ich promienie laserów. Rozpadały się na tysiące części, stopniowo zmieniające barwę z oślepiająco białej na czerwoną, by wreszcie zupełnie zniknąć. Sol wyobraził sobie płonące statki abordażowe, żołnierzy Intruzów i komandosów Hegemonii ginących w gęstszych warstwach atmosfery, otoczonych stopionym tytanem... Właściwie starał się wyobrazić to sobie... i nie udawało mu się. Prędko doszedł do wniosku, że kosmiczne bitwy, akcje całych flot i upadek imperiów wykraczają poza jego wyobraźnię, pozostając poza zasięgiem zarówno współczucia, jak i zrozumienia. Tym mogli zajmować się Tukidydes, Tacyt, Kato czy Wu. Sol poznał swoją senator Feldstein z Barnarda i rozmawiał z nią kilkakrotnie, zabiegając wraz z Sarai o pomoc w ratowaniu Racheli, ale nie potrafił wyobrazić sobie jej udziału w podejmowaniu decyzji o wybuchu takiej wojny. Według niego nadawała się co najwyżej do roli honorowego gościa na otwarciu nowego centrum medycznego lub odwiedzającej uniwersytet w Crowford.

Nie miał okazji poznać osobiście obecnej przywódczyni Hegemonii, ale jako uczony podziwiał jej przemówienia wzorowane na tak znanych osobistościach jak Churchill, Lincoln czy Alvarez – Temp. Ale teraz, tkwiąc pomiędzy pazurami potężnej kamiennej bestii, płacząc po stracie ukochanego dziecka, nie potrafił nawet wyobrazić sobie, czym kierowała się ta kobieta podejmując decyzje, które zaważą na losie miliardów ludzi i dalszym istnieniu największego imperium w historii ludzkości.

Sola jednak wcale to nie obchodziło. Pragnął odzyskać córkę żywą Rachelę, choć logika podpowiadała, że to nierealne.

Siedząc u stóp zimnego kamiennego Sfinksa, w obleganym świecie należącym do chylącej się ku upadkowi potęgi, otarł łzy płynące po policzkach i popatrzył w gwiazdy, które przywiodły mu na myśl poemat Yeatsa „Modlitwa za mą córkę”:

*Znów sztorm skowycze, gdy na pól ukryte
W swojej kołysce, kołderką przykryte
Śpi moje dziecko. I żadna przeszkoda,
Oprócz lasu Gregorych i nagiego wzgórza,
Nie powstrzyma wichury, która burząc stogi
I dachy toczy się znad Atlantyku;
Już od godziny chodzę i modłę się w duchu,
Gdyż wielki smutek widzę w myślach swoich.
Modląc się za me dziecko chodziłem godzinę
Słyszając, jak morski wicher ponad wieżą wyje,
Zawodzi w lukach mostu i wiązu konarach
Nad stromym brzegiem, gdzie ziemia wezbrała,
Gdy niespokojny mój umysł wciąż gorzał
Wizją lat przyszłych, co się wynurzały
Do wtóru wielu bębnow rozedrganych
Z żadnej morderstwa niewinności morza...*

Uświadomił sobie, że tak naprawdę chce tylko znów odczuwać

Sol znaczną część życia spędził pragnąc powrotu tego, do czego nie dawało się już wrócić. Przypomniawszy sobie dzień, gdy zauważył, jak Sarai płacząc składa dziecinne ubranka Racheli do pudełka na strychu. Zrozumiał wówczas, czym jest utrata dziecka,



które choć wciąż mieli, jednak nieuchronnie tracili, nie mogąc przeciwdziałać anomalii czasowej. Teraz dotarło do niego, że nie pozostało już nic poza wspomnieniami. Sarai odeszła na zawsze. Towarzysze dziecięcych zabaw Racheli byli dorosłymi ludźmi i nawet świat, który Sol opuścił zaledwie kilka tygodni temu, zmienił się nie do poznania.

Rozmyślając samotnie, zagubiony w niegościnniej okolicy, pod niebem obsypanym prawdziwymi i fałszywymi gwiazdami, przypomniał sobie nagle fragment innego wiersza Yeatsa, o znacznie bardziej złowieszczej wymowie:

*Tak, objawienie jakieś się przybliży;
Tak, Drugie Przyjście chyba się zbliża.
Drugie Przyjście! Zaledwie wyrzekłem te słowa,
Ogromny obraz rodem ze Spiritus Mundi
Wzrok mój poraża: gdzieś w piaskach pustyni
Kształt o lwim cielsku i człowieczej głowie,
Z okiem jak słońce pustym, bezlitosnym,
Dźwiga powolne łapy, a wokół krążą
Pustynnych ptaków rozdrażnione cienie.
Znów mrok zapada; lecz teraz już wiem,
Że dwadzieścia stuleci kamiennego snu
Rozkołysała w koszmar dziecinną kolebką
I cóż za bestia, której czas wreszcie powraca,
Pełnie w stronę Betlejem, by tam się narodzić?*

Sol nie wie. Na nowo odkrywa, że zupełnie nie obchodzi go to wszystko. Chce tylko odszukać córkę.

Większość członków rady wojennej była skłonna zgodzić się na użycie promieni śmierci.

Meina Gladstone siedziała u szczytu ciągnącego się przez całą salę stołu i z powodu długotrwałego braku snu czuła się potwornie zmęczona. Wiedziała, że gdyby zamknęła oczy choć na chwilę, zasnęłaby momentalnie. Dlatego miała je szeroko otwarte, mimo że powieki piekły ją, jakby ktoś nasypał pod nie garść piachu. Przebieg debaty częściowo umykał jej uwagi, chociaż z całych sił opierała się skutkom wyczerpania.

Członkowie rady wspólnie obserwowali, jak jasne punkciki okrętów eskadry uderzeniowej 181.2 – grupy Lee – gasły jeden po drugim, aż w końcu zaledwie tuzin, spośród siedemdziesięciu czterech, kontynuował lot ku centrum roju. Krążownik Lee znajdował się pośród tych upartych niedobitków.

Podczas tej niemej demonstracji przemocy i śmierci admirał Singh oraz generał Morpurgo omawiali i komentowali niewesołą sytuację swych sił.

-...Armia i Kodeks Nowego Bushido powstały z myślą o konfliktach o ograniczonym zakresie – rzekł Morpurgo. – Licząca zaledwie pół miliona żołnierzy Armia nie byłaby w stanie zmierzyć się z wojskami większego państwa jeszcze ze Starej Ziemi. Rój przewyższa nasze siły liczebnością i już to daje mu istotną przewagę.

Senator Kolchev ze swego miejsca po przeciwnej stronie stołu posłał mu ponure spojrzenie. Luzyjczyk udzielał się podczas debaty znacznie częściej niż Meina Gladstone i to głównie jemu zadawano pytania, jakby już przejął władzę.

Spokojnie, jeszcze nie teraz, pomyślała przewodnicząca gładząc palcami podbródek i słuchając riposty Kolcheva.

-...i obrony głównych światów zagrożonych przez drugą falę atakujących. Oczywiście przede wszystkim Tau Ceti, ale także Renesansu, Fuji, Deneb Vier i Lususa.

Generał Morpurgo spuścił wzrok na papiery, jakby chcąc ukryć złość widoczną w wyrazie jego twarzy.

- Senatorze, te systemy zostaną zaatakowane w przeciągu zaledwie dziesięciu dni.



Renesans stanie w obliczu zagrożenia za dziewięćdziesiąt godzin. Moim więc zdaniem przy obecnych siłach i użytej technice Armia nie zdoła obronić żadnego z tych systemów.

Senator wstał.

– Taka sytuacja jest nie do zaakceptowania, generale.

– To jakieś nieporozumienie. Czyżby w ogóle nie istniały plany obrony Sieci?

Włączył się admirał Singh:

– Według najbardziej precyzyjnych obliczeń dzieliło nas jeszcze co najmniej osiemnaście miesięcy do rozpoczęcia najazdu rojów.

Minister dyplomacji Persov odchrząknął głośno.

– A gdy tych dwadzieścia pięć systemów wpadnie już w ręce Intruzów, ile czasu pozostanie innym światom Sieci?

Singh nie zajął do notatek ani nie skonsultował się z komlogiem.

– Najbliższy system – Esperance – znajdzie się w odległości dziewięciu miesięcy od pozycji, jakie najprawdopodobniej zajmie wróg. Najdalszy świat – Dom – dzieli od tego miejsca czternaście standardowych lat lotu przy użyciu napędu Hawkinga.

– Mamy więc dość czasu, by dostosować gospodarkę do wymagań wojny – stwierdziła senator Feldstein. Planeta Barnard, z której pochodziła i którą reprezentowała, pozostanie częścią składową Sieci jeszcze zaledwie przez czterdzieści standardowych godzin. Przynależała, że będzie na miejscu, gdy dotrą tam Intruzi. Teraz jej głos był pozbawiony wszelkich emocji. – Tak właśnie należy zrobić. Do minimum ograniczyć straty. Nawet bez TC2 i dwudziestu kilku innych światów Sieć jest w stanie wyprodukować ogromne ilości broni... jeśli trzeba, nawet w ciągu dziewięciu miesięcy. A gdy za kilka lat będą usiłovali wdrzeć się w głąb Sieci, uzyskamy taką przewagę, że bez trudu ich pokonamy.

Minister obrony Imoto pokręcił głową.

– Na wcześniej utraconych planetach są niezastąpione surowce. Zachwieje to całą naszą gospodarką.

– Mamy więc jakiś wybór? – zapytał senator Peters z Deneb Drei. Jakby dla podkreślenia powagi chwili, nieco wcześniej na salę obrad weszła nie znana dotąd projekcja holowizyjna, która dokonała prezentacji promieni śmierci nowego typu. Oczy wszystkich zwróciły się na osobę siedzącą obok ambasadora SI Albedo. Ambasador Nansen był wysokim, dobrze zbudowanym mężczyzną, którego otaczała specyficzna charyzma urodzonego przywódcy.

Meina Gladstone momentalnie oceniła go jako osobę niebezpieczną. Wydawało się jej, że eksperci SI zaprojektowali go w ten sposób, by swoją postawą wywoływał zaufanie i posłuszeństwo, które, jak widać, już okazali inni uczestnicy spotkania. Gdy słuchała Nansena, ogarnęło ją przeświadczenie, że jest wysłannikiem piekieł.

Promienie śmierci znane były w Sieci od wieków. Stworzyło je TechnoCentrum i emitującą promienie broń w ograniczonej liczbie przekazało Armii i wyspecjalizowanym jednostkom, takim jak ochrona budynku rządowego czy pretorianie przewodniczącej. Z „luf” tej broni nie wydobywało się nic, co można by zobaczyć lub usłyszeć. Jedynym zauważalnym efektem była śmierć istoty wziętej na cel.

Promienie miały określoną długość, groźną wyłącznie dla ludzi. Ich zasięg był ograniczony – nie przekraczał pięćdziesięciu metrów – ale namierzony człowiek mógł się czuć bezapelacyjnie skazany na śmierć. Autopsje ujawniały zniszczenia ośrodkowego układu nerwowego poprzez uszkodzenie synaps. To wystarczało, by spowodować natychmiastowy zgon. Część oficerów Armii była wyposażona w tę broń do osobistej obrony, ale przede wszystkim stanowiła ona oznakę władzy.

Teraz ambasador Nansen wyjaśnił, że Centrum udoskonaliło urządzenie i znacznie zwiększyło jego zasięg. Wahało się z ujawnieniem odkrycia, ale w obliczu niewątpliwego zagrożenia ze strony Intruzów...

Dyskusja była niezwykle burzliwa, chwilami nawet cyniczna w swej wymowie. Woj-



skowi przejawiali znacznie większy sceptycyzm niż politycy. To prawda, że promienie śmierci mogły unicestwić Intruzów, a co z mieszkańcami Hegemonii?

Nansen bez chwili wahania zalecił ukrycie ich w labiryntach, forsując plan zaprezentowany już przez Albedo. Warstwa pięciu kilometrów skały zabezpieczy ich przed działaniem promieni.

Padło pytanie, . jaki zasięg ma nowa broń.

Przypominający profesjonalnego sprzedawcę Nansen spokojnie wyjaśnił, że promienie przestają być śmiertelnym zagrożeniem w odległości trzech lat świetlnych od emitera. To w zupełności wystarczy, aby pozbyć się całego roju. A jednocześnie w strefie zagrożenia znaleźć się mogą tylko najbliższe systemy, gdyż w przypadku dziewięćdziesięciu dwóch procent światów Sieci są one oddalone o ponad pięć lat świetlnych jeden od drugiego.

A co będzie z tymi, których nie uda się ewakuować? Ambasador Nansen uśmiechnął się i rozłożył ręce, jakby chcąc pokazać, że nic w nich nie ukrywa. Nie należy po prostu uruchamiać broni, dopóki nie będzie się pewnym, iż wszyscy mieszkańcy są bezpieczni, odpowiedział, podkreślając, że to przecież Hegemonicy będą mieli pełną kontrolę nad urządzeniem.

Senator Feldstein, Sabenstorafem, Peters, Persov i wielu innych natychmiast wpadło w zachwyty. Tajemna broń, która za jednym zamachem rozwiąże wszystkie problemy Intruzom zademonstruje się możliwości skutecznej obrony, by nigdy więcej nie zbliżała się już do Sieci.

Ambasador natychmiast wyprowadził ich jednak z błędu, w uśmiechu odsłaniając śnieżnobiałe, równe zęby. Nie da się zorganizować bezkrwawej demonstracji. Broń działa dokładnie tak jak dotąd znana, tyle tylko że ma wielokrotnie większy zasięg. Pokaz jest więc niemożliwy. Jej użycie oznacza śmierć dla wszystkich, którzy znajdą się w zasięgu rażenia.

– Ale można przecież powstrzymać Intruzów atakując tylko jeden z rojów – doradził Nansen.

Podniecenie jeszcze wzrosło.

– Świetnie, wybierzcie szczególnie agresywny rój, wypróbujcie broń, przekażcie zapis ataku do innych zgrupowań Intruzów i postawcie ultimatum – rzekł mówca WszechJedności Gibbons. – To nie my wywołaliśmy tę wojnę. Lepiej, by zginęły miliony wrogów, niż dziesiątki miliardów naszych braci.

– Hiroszima – stwierdziła Gladstone, odzywając się po raz pierwszy od początku zgromadzenia. Ale zrobiła to tak cicho, że usłyszała ją tylko Sedeptra.

– Czy to pewne, że zasięg promieni wynosi dokładnie trzy lata świetlne? – zapytał Morpurgo. – Czy zostało to sprawdzone?

Ambasador Nansen powtórnie się uśmiechnął. Gdyby potwierdził, oznaczałoby to, że gdzieś musiano przeprowadzić próbę i spowodować śmierć ludzi. Gdyby zaprzeczył, zachwiane zostałyby zaufanie pokładane w broni.

– Jesteśmy pewni, że tak jest. Symulacje są w stu procentach pewne – powiedział wreszcie.

Sztuczne Inteligencje Zespołu Kijów twierdziły to samo podczas prób z pierwszą osobliwością, pomyślała przewodnicząca. Wtedy zniszczeniu uległa Ziemia. Ale nie odezwała się ani słowem.

Singh, Morpurgo i Van Zeidt wciąż wyrażali poważne wątpliwości, argumentując, że mieszkańców Mare Infinitus nie da się tak łatwo ewakuować, a jedyną planetą Sieci posiadającą labirynt zagrożoną pierwszą falą ataku Intruzów jest Armaghast, znajdujący się w odległości roku świetlnego od Pacem i Svobody.

Pełen szczerości i głębokiego przekonania uśmiech ani na chwilę nie zniknął z twarzy ambasadora TechnoCentrum.

– Musicie pokazać, czym dysponujecie. Nie widzę innego rozwiązania – rzekł cicho. – Udowodnicie Intruzom, że nie pozwalacie na bezkarne wdzieranie się do Sieci, a jed-



nocześnie pokażecie, iż zależy wam na ograniczeniu strat w ludziach. Musicie tylko zapewnić bezpieczeństwo miejscowej ludności. – Urwał na moment i splótł dłonie. – Co sądzicie o Hyperionie?

Szum rozmów wokół stołu przybrał na sile.

– Ten system na dobrą sprawę nie należy do Sieci – zauważył mówca Gibbons.

– Nie jest to takie oczywiste. Przecież transmiter Armii wciąż się tam znajduje! – zaprotestował Gorian Persov.

Generał Morpurgo posłał mu karcące spojrzenie.

– Pozostanie tam jeszcze zaledwie przez kilka godzin. Wciąż bronimy sfery, ale nie potrwa to już długo. Obecnie większa część planety znajduje się już w rękach Intruzów.

– Mam nadzieję, że przedstawiciele Hegemonii zostali ewakuowani – rzekł Persov.

– Tak jest. Wszyscy z wyjątkiem gubernatora – odparł Singh. W powstałym zamieszaniu nie udało się go odszukać.

– Szkoda – mruknął dyplomata, nie okazując jednak specjalnego żalu. – Domyślam się, że chodzi o to, iż znajdujący się tam obecnie ludzie to wyłącznie tubylcy, których łatwo da się przetrzucić do labiryntu, prawda?

Głos zabrała Barbre Dan – Gyddis z Ministerstwa Gospodarki, której syn kierował plantacją plastowlókników w pobliżu Port Romance:

– W ciągu trzech godzin? To nierealne. Nansen podniósł się z fotela.

– Nie wydaje mi się. Jesteśmy w stanie natychmiast przesłać ostrzeżenie pozostającym na miejscu władzom, które niezwłocznie rozpoczną ewakuację.

– Stolica Keats jest oblegana – warknął Morpurgo. – Atakowana jest cała planeta.

Ambasador ze smutkiem pokiwał głową.

– I zapewne jej ludność wkrótce zginie z rąk Intruzów. To trudny wybór, panie i panowie. Zapewniam jednak, że urządzenie zadziała tak, jak przewidujemy. Siły inwazyjne wokół Hyperiona po prostu przestaną istnieć. Tylko na tej jednej planecie ocalimy życie milionów, a przecież w ten sposób uratujemy całą Sieć. Wiemy, że roje, zwane przez nich siostrzanymi, komunikują się za pomocą linii FAT. Pozostałe więc błyskawicznie zorientują się, że rój atakujący Hyperiona przestał istnieć, i nasze działania z pewnością potraktują jako poważne ostrzeżenie.

Przedstawiciel TechnoCentrum ponownie pokręcił głową spoglądając na zgromadzonych z niemal ojcowską troską. Trudno uwierzyć, że aż tak umiejętnie można udawać szczerłość.

– To musi być wyłącznie wasza decyzja. Sami postanowicie, czy użyć tej broni. Centrum boleje nad tym, gdy ginie chociaż jedna istota ludzka lub dzieje się jej krzywda, a tutaj chodzi o życie miliardów... – Wymownie rozłożył ręce i usiadł ciężko.

Znów wokół stołu wybuchły ożywione dyskusje. Debata z każdą chwilą nabierała wyższej temperatury.

– M. przewodnicząca! – zawołał generał Morpurgo.

W ciszy, która nagle zapanowała, Meina Gladstone uniosła głowę i spojrzała na holograficzny obraz. Rój atakujący Mare Infinitus zbliżał się do tego pełnego oceanów świata. Widać już było zaledwie trzy jasne punkty stanowiące kiedyś siły uderzeniowe 181.2. Po chwili został tylko jeden. Wreszcie i on zgasł.

Meina Gladstone szepnęła do komlogu:

– Do łączności, czy mamy wiadomości od admirała Lee?

– Nic adresowanego do centrum dowodzenia, M. przewodnicząca – nadeszła odpowiedź. – Tylko standardowy przekaz z przebiegu walki. Prawdopodobnie nie udało mu się dotrzeć do centrum roju.

Meina Gladstone i Lee mieli nadzieję, że uda się pozyskać jeńców spośród Intruzów, przesłuchać ich i ustalić, z kim naprawdę walczy Hegemonia. Nic z tego. Ten tak zdolny i energiczny młodzieniec zginął, i to na skutek wydanego przez nią rozkazu, a jego siedemdziesiąt cztery liniowce zostały zniszczone.

– Sfera osobliwości na Mare Infinitus zniszczona wskutek wybuchu plazmowego –



zameldował admirał Singh. – Pierwsze jednostki roju wchodzą na orbitę.

Zapanowało milczenie. Hologramy prezentowały krwistoczerwone błyski atakowanego pola siłowego otaczającego planetę.

Kilkaset statków Intruzów weszło na orbitę Mare Infinitus, zapewne przemieniając pływające miasta i farmy oceaniczne w ruiny i zgliszcza.

– Asquitha zostanie zaatakowana za trzy godziny standardowe i czterdzieści jeden minut – obwieścił jeden z techników.

Senator Kolchev gwałtownie wstał z miejsca.

– Musimy przegłosować demonstrację naszej siły w systemie Hyperiona – powiedział twardo.

Przewodnicząca w milczeniu gładziła palcami podbródek.

– Nie – rzekła wreszcie. – Nie będziemy głosować. Użyjemy tej broni. Admirale, proszę wyposażyć eskortowiec w dostarczone urządzenie i przygotować go do przetrzucenia w rejon systemu Hyperiona. Polecam także ostrzec mieszkańców planety. A od Intruzów zażądać wycofania się w ciągu trzech godzin. Panie ministrze Imoto, proszę przesłać na Hyperiona zaszyfrowaną wiadomość, by natychmiast... powtarzam, natychmiast... rozpoczęto ewakuację do labiryntów. Należy wyjaśnić, że chodzi o próby związane z nową bronią.

Morpurgo otarł pot z czoła.

– M. przewodnicząca, nie możemy ryzykować utraty emitera na rzecz wroga.

Meina Gladstone spojrzała na Nansena, starając się nie dać po sobie poznać, co myśli i czuje.

– Ambasadorze, czy broń może zostać zabezpieczona tak, by uległa samozniszczeniu w przypadku wystąpienia istotnego zagrożenia?

– Tak, M. przewodnicząca.

– Proszę się więc tym zająć. I udzielić wszystkich niezbędnych instrukcji ekspertom Armii. – Zwróciła się do Sedeptry. – Przygotuj mi przekaz dla całej Sieci, który nastąpi dziesięć minut przed ewentualnym zaatakowaniem Intruzów. Muszę o tym poinformować naszych obywateli.

– Czy to rozsądne... – zaczęła senator Feldstein.

– To bezwzględnie konieczne – ucięła Gladstone. Wstała, a wraz z nią trzydziestu ośmiu uczestników obrad. – Prześpię się kilka minut, podczas gdy wy zajmiecie się przygotowaniem. Urządzenie ma być gotowe do użycia i przetrzuczone do systemu Hyperiona, którego mieszkańcy zostaną zawczasu ostrzeżeni. Chcę, żeby plany rozwoju różnych wariantów sytuacji i założenia ewentualnych negocjacji były gotowe za pół godziny, kiedy wstanę.

Przewodnicząca popatrzyła po twarzach zgromadzonych, wiedząc, że tak czy inaczej większość spośród nich w ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin zostanie pozbawiona władzy i stanowisk. Dla niej samej zaś był to ostatni dzień kierowania Hegemonią.

Meina Gladstone uśmiechnęła się do wszystkich.

– Zgromadzenie odroczone – powiedziała i transmitowała się do prywatnych apartamentów, by choć trochę odpocząć.



Leigh Hunt nigdy nie widział niczyjej śmierci. Ostatnia doba, którą spędził z Keatsem – wciąż myślał o nim jako o Josephie Severnie, ale był pewien, że umierający jest przekonany, iż w rzeczywistości nazywa się John Keats – była najtrudniejszą w jego życiu. Coraz częściej powtarzały się krwotoki, a w przerwach między nimi Hunt słyszał, jak flegma bulgocze w gardle i piersiach walczącego o życie towarzysza.

Doradca Meiny Gladstone siedział w pokoiku, którego okna wychodziły na Piazza di Spagna, i słuchał świszczącego głosu Keatsa, nie zważając na to, że ranek zamienił się w południe, aż w końcu słońce zaczęło chylić się ku zachodowi. Keatsa, który to tracił, to odzyskiwał świadomość, paliła gorączka, ale nalegał, by Hunt słuchał go i wszystko notował na kartkach piórem i atramentem, które znaleźli w sąsiednim pokoju. Ten posłusznie spełniał jego być może ostatnią wolę, notując pośpiesznie nie do końca spójne opowieści o metasferze i zagubionych bóstwach, odpowiedzialności poety i przemijaniu bogów, a także o walkach wewnątrz Centrum.

Członek władz Hegemonii uniósł nagle głowę znad papierów i ścisnął gorącą dłoń umierającego.

– Gdzie jest Centrum, Sev... Keats? Gdzie ono jest?

Twarz leżącego pokrył pot.

– Nie chuchaj na mnie... masz oddech zimny jak lód – wyszeptał.

– TechnoCentrum – powtórzył Hunt odchylając się, czując, że z żalu i desperacji jest bliski płaczu. – Gdzie jest TechnoCentrum?

Leżący uśmiechnął się, z bólu jednostajnie poruszając głową. Oddychał z ogromnym trudem, wydając przy tym dźwięk pochodzący jakby z dziurawego miecha.

– Jak pająki w sieci – wyszeptał. – Pająki w sieci. Snujące pajęczynę... pozwalające nam robić to za siebie... wysysające z nas wszystko jak z much złapanych w pajęczynę.

Hunt przestał pisać i wsłuchał się w te wydające się nie mieć sensu słowa. Wreszcie dotarła do niego prawda.

– Boże – wychrypiał. – Są w systemie transponderów.

Keats spróbował usiąść i z nadspodziewanie dużą mocą chwycił towarzysza za ramię.

– Powiedz swojej zwierzchniczce, Hunt. Niech Meina Gladstone to rozerwie. Pająki w sieci. Ludzki bóg i mechaniczny... muszą się zjednoczyć. Nie ja! – Opadł na poduszkę i zaczął bezgłośnie łkać. Nie ja.

Keats spał trochę po południu, ale Hunt wiedział, że ten stan jest bliższy śmierci niż wypoczynkowi. Najmniejszy ruch mógł spowodować, że poeta znów zacznie się dusić. O zmierzchu Keats nie miał nawet siły odkaslnąć i Hunt musiał pochylić go nad nocnikiem, by mógł wymiotować krzepnące płaty krwi zmieszanej z tkanką.

Kilkakrotnie, gdy poeta zapadał w płytką drzemkę, Hunt stawał przy oknie lub schodził do drzwi wejściowych, by wyrzucić na plac. Coś wysokiego i kolczastego czało się w cieniu u stóp schodów.

Wieczorem przysnął, siedząc na krześle przy łóżku. Nagle poderwał się z gnębiącego snu, w którym spadał gdzieś nie mogąc się zatrzymać, spostrzegł, że Keats nie śpi i przygląda mu się.

– Widziałeś już czyjaś śmierć? – zapytał leżący oddychając płytko. – Nie. – Huntowi wydało się, że w spojrzeniu poety jest coś dziwnego, jakby widział w nim kogoś innego niż w rzeczywistości.

– Współczuję ci. Ile kłopotów i zagrożeń przyniosło ci moje towarzystwo. Teraz musisz być szczególnie twardy, bo to nie potrwa już długo.

Doradca przewodniczącej był zaskoczony nie tyle znaczeniem tych słów, ile sposobem, w jaki zostały wypowiedziane. Keats nie posługiwał się bowiem typowym dla Sieci angielskim, ale jakimś starym, dziwnym dialektem.

– To bzdura – zaprotestował starając się, by zabrzmiało to przekonująco. – Przed



świtem się stąd wydostaniemy. Kiedy tylko zapadną całkowite ciemności, wymknę się stąd i odszukam portal.

Keats pokręcił głową.

– Chyżwar cię zabierze. Nie pozwoli, żeby ktokolwiek mi pomógł. Jego zadaniem jest dopilnowanie, bym sam uciekł poprzez siebie.

Zamknął oczy, a jego oddech stał się jeszcze bardziej świszczący.

– Nie rozumiem – rzekł Leigh Hunt ujmując dłoń towarzysza. Sądził co prawda, że to tylko bredzenie w gorączce, ale skoro Keats wyglądał na w pełni świadomego, uznał, że spróbuje ustalić, o co mu chodzi. – Co znaczy uciec poprzez siebie?

Poeta otworzył oczy, które zdawały się lśnić jakimś własnym blaskiem.

– Ummon i inni starają się zmusić mnie do ucieczki poprzez zgodę na przyjęcie boskości. To jak przynęta na białego wieloryba, miód na muchę. Uciekające Współczucie znajdzie we mnie schronienie... we mnie, panu Johnie Keatsie, pięć stóp wzrostu... a wtedy rozpocznie się proces pojednania.

– Jakiego pojednania? – Hunt pochylił niżej głowę, starając się nie wydychać powietrza w kierunku leżącego. Ten zaś jakby się skurczył i przez chwilę tylko bijące od niego gorąco świadczyło, że jeszcze żyje. Jego twarz w gasnącym świetle dnia była białym owalem. Członek władz Hegemonii nie zwracał uwagi na ostatnie promienie słońca padające na ścianę tuż pod sufitem, lecz Keats ani na chwilę nie spuszczał z nich wzroku.

– Pojednanie człowieka z maszyną. Twórcy i stworzonego – wyjaśnił poeta i zaniósł się kaszlem, który ustał dopiero po wypluciu flegmy do podsuniętego nocnika. Położył się i wyczerpany przez chwilę oddychał płytko, zanim dodał: – Pojednanie człowieka i wszystkich tych ras, których starał się pozbyć. TechnoCentrum i ludzkość usiłowały je zniszczyć. Boleśnie ewoluujący Bóg Pustki, Która Łączy, i jego przodkowie.

Hunt pokręcił głową i przestał pisać.

– Nic nie rozumiem. Możesz stać się... mesjaszem... opuszczając łożo śmierci?

Keats uśmiechnął się blado.

– Wszyscy moglibyśmy, Hunt. To największa głupota, a jednocześnie duma ludzkości. Akceptujemy nasz ból. Robimy miejsce dla naszych dzieci. To daje nam prawo stania się Bogiem, o którym marzymy.

Doradca spuścił wzrok i stwierdził, że bezwiednie zaciska dłonie w pięści.

– Jeśli możesz to zrobić... stać się mocą... dlaczego się wahasz? Wyciągnij nas stąd!

Keats ponownie przymknął oczy.

– Nie wolno mi. Nie jestem Tym, Który Przychodzi, ale Tym, Który Go Poprzedza. Nie jestem ochrzczonym, lecz chrzcicielem. Merde, Hunt, jestem ateistą! Nawet Severn nie był w stanie przekonać mnie do religii, także wtedy, gdy już wiedziałem, że umrę! Keats szarpnął rękaw koszuli Hunta z siłą, która aż go przeraziła. Pisz!

I doradca drżącą ręką sięgnął po starodawne pióro i chropowaty papier, na którym zaczął pośpiesznie notować:

...Smutkiem się pożegnam

I otom przybył, ażeby zobaczyć,

Jak bezlitosne przemogły was losy

I czy nie mógłbym dodać wam otuchy

W tym strasznym bólu. Przyjmijcie tę prawdę,

I niechże ona będzie wam balsamem!

Keats cierpiał jeszcze przez trzy godziny. Był jak tonący, co jakiś czas wynurzający się z morza agonii, by schwycić w płuca choć trochę powietrza. W takich momentach starał się coś jeszcze powiedzieć. Raz nawet, już dawno po zachodzie, znów szarpnął Hunta za koszulę i wyszeptał:

– Kiedy umrę, Chyżwar nie robi ci krzywdy. On czeka na mnie. Może niełatwo znajdziesz drogę do domu, ale nie będzie przeszkadzać ci w poszukiwaniach. – I znów,



gdy Hunt pochylił się nad towarzyszem, by sprawdzić, czy jeszcze oddycha, między atakami kaszlu zaczął opisywać szczegółowo swój grób na rzymskim cmentarzu protestanckim, położonym w pobliżu piramidy Gajusza Cestiusza.

– To bzdury... bzdury – szeptał doradca przewodniczącej Senatu, ściskając rozpaloną dłoń leżącego.

– Kwiaty – wychrypiał Keats nieco później, gdy Hunt zapalił już lampę. Oczy poety były nienaturalnie rozszerzone, gdy z dziecięcym zdziwieniem wpatrywał się w sufit. Hunt spojrzał w górę i na niebieskim suficie dostrzegł wyblakłe żółte róże. – Kwiaty... nade mną – wyszeptał umierający, z trudem chwytając powietrze.

Doradca stał przy oknie, przyglądając się miejscu, gdzie zwykle czatował Chyżwar, gdy nagle rozległ się pełny bólu jęk i Keats wychrypiał:

– Severn... podnieś mnie! Ja umieram.

Hunt usiadł na łóżku i uniósł go. Od drobnego ciała, które zdawało się nic nie ważyć, biło gorąco.

– Nie obawiaj się. Bądź twardy. I podziękuj Bogu, że to już koniec! – wyjęczał Keats i świst wydychanego przezeń powietrza przycichł. Hunt pomógł mu ponownie się położyć.

Zmienił wodę w nocniku, zmoczył szmatkę i gdy znów zbliżył się do łóżka, Keats już nie żył.

Później, już po wschodzie słońca, Leigh Hunt podniósł drobne ciało, owinał je w świeże lniane prześcieradło i wyszedł z domu.

Burza ucichła, nim Brawne Lamia dotarła do przeciwnego krańca doliny. Gdy miała Grobowiec Jaskiniowy, bił stamtąd ten sam blask co od innych, lecz towarzyszył temu wprost ogłuszający dźwięk, jakby tysiący zawodzących potępieńców, dobiegający gdzieś z głębi ziemi. Brawne przyśpieszyła kroku.

Kiedy stanęła przed Pałacem Chyżwara, z nieba odpłynęły już chmury. Budowla została trafnie nazwana, gdyż jej zwieńczenie kształtem przypominało korpus potwora, a kolumny wyginały się jak ostrza na jego ciele. Przez przezroczyście ściany emanował dobrze już znany blask. Obiekt przypominał ogromną latarnię, a wydobywające się gdzieś z jego szczytu światło barwą odpowiadało pochodzącemu ze ślepiów stwora.

Dziewczyna odetchnęła głęboko i przyłożyła dłoń do brzucha. Była w ciąży. Wiedziała o tym jeszcze przed opuszczeniem Lususa. Czyżby swemu nie narodzonemu dziecku nie była winna więcej niż obleśnemu staremu poecie wiszącemu na stalowym drzewie? Wiedziała, iż odpowiedź brzmi „tak”, ale nie miało to w tym momencie najmniejszego znaczenia. Głośno westchnęła i zaczęła zbliżać się do Pałacu Chyżwara.

Gdy z zewnątrz patrzyło się na budowlę, jej fronton miał szerokość nie przekraczającą dwudziestu metrów. Wcześniej, gdy wszyscy pielgrzymi weszli do środka, widzieli tam jedno puste pomieszczenie, poprzecinane kolumnami. Teraz, gdy Brawne stanęła u wejścia, wewnątrz rozmiarami przekraczało całą powierzchnię doliny. Rzędy białych kamiennych postumentów sięgały aż hen po horyzont. Na każdym z nich leżało ludzkie ciało. Każde skulone, w innej pozie i podłączone do pół organicznego, pół pasożytniczego przyłącza mózgowego, od którego odchodził przewód. Jak wynikało z relacji przyjaciół, i do jej mózgu dostano się w ten sam sposób. Tyle tylko, że tu metaliczne, lecz półprzezroczyście pępowiny pulsowały czerwienią i kurczyły się, to znów rozszerzały regularnie, jakby pompowana była nimi krew kierowana do mózgow leżących.

Brawne zatoczyła się, po części z uwagi na silne w tym miejscu działanie prądów czasowych, ale przede wszystkim za sprawą tego co zobaczyła. Wycofała się i gdy stanęła dziesięć metrów przed frontonem, znów miał on zwykłe rozmiary. Nie starała się nawet zrozumieć, jak kilometry przestrzeni mieszczą się w tak pozornie małym wnętrzu. Przecież grobowce się otwierały. Podejrzewała, że mogą one istnieć w różnych miejscach w różnym czasie. Była jednak pewna co do jednego: gdy budziła się po własnej podróży możliwej dzięki przyłączu, widziała, jak cierniowe drzewo łączy się winoro-



śłami energii niezauważalnymi gołym okiem, lecz niewątpliwie wychodzącymi z Pałacu. Wróciła do środka.

Wewnątrz czekał Chyżwar. Jego korpus, zazwyczaj lśniący odbijanym światłem, teraz, na tle iluminacji, którą powodowały kamienie za jego plecami, zdawał się zupełnie czarny.

Dziewczyna poczuła przyływ adrenaliny, a jednocześnie chęć odwrócenia się i jak najszybszej ucieczki.

Wejście niemal zniknęło, stając się tylko niewyraźną plamą na świetlistej ścianie. Chyżwar ani drgnął. Tylko jego czerwone ślepią płonęły spod cienia czaszki.

Brawne dała krok naprzód, niesłyszalny na kamiennej podłodze pomimo okutych obcasów. Potwór stał dziesięć metrów na prawo, tam gdzie znajdowały się najbliższe kamienne postumenty. Nie dawała sobie najmniejszych szans, że zdoła dopaść wyjścia przed Chyżwarem.

Ale on ani drgnął. W powietrzu wisiła woń ozonu i jakaś mieszanina nieprzyjemnych zapachów. Dziewczyna zaczęła sunąć wzdłuż ściany, poszukując wśród leżących znajomej twarzy. Z każdym krokiem oddalała się od wyjścia, ułatwiając jeszcze zadanie potworowi. Ten zaś tkwił w miejscu jak czarna rzeźba otoczona oceanem światła.

Rzędy ciągnęły się całe kilometry. Kilkanaście minut marszu od wejścia Brawne zbliżyła się do jednego z postumentów, dotknęła leżącego na nim ciała i odetchnęła z ulgą, widząc, że człowiek oddycha. Ale nie był to Martin Silenus.

Szła dalej, pełna niepokoju, że w każdej chwili może ujrzeć Paula Dure, Sola Weintrauba, a nawet siebie samą leżącą pośród żywych trupów. Nagle rozpoznała twarz wrytą w kamieniu. Smutny Król Billy spoczywał bez ruchu na białym kamieniu pięć rzędów dalej, w poplamionych, zniszczonych królewskich szatach. Poważna twarz, jak wszystkie wokół, była dodatkowo wykrzywiona jakby wewnętrzną agonią. Martin Silenus leżał nieopodal, trzy miejsca dalej.

Przykucnęła obok niego, przez ramię oglądając się na wciąż nieruchomą czarną postać Chyżwara. Jak wszyscy pozostali, poeta żył, lecz zdawał się w śpiączce, podłączony do pępowiny, która nikięła w kamieniu.

Brawne ze strachu oddychała pośpiesznie, gdy przesunęła dłońmi po czaszce pielgrzyma, odnajdując połączenie plastiku z kością. Na samym przewodzie także nie wyczuła żadnego złącza. Pod jej palcami wyraźnie pulsował w nim jakiś płyn.

– Kurwa – wyszeptała i ogarnięta nagłą paniką obejrzała się gwałtownie, pewna, że Chyżwar stoi tuż, tuż za jej plecami. Ale ten jakby jej nie zauważał.

Przeszukała kieszenie. Puste. Nie miała żadnej broni ani narzędzia. Uświadomiła sobie, że musiałyby wrócić do Sfinksa, odszukać swój plecak, znaleźć w nim coś odpowiedniego, wrócić tu i wykrzesać z siebie tyle odwagi, by znów tu wejść.

A była pewna, że już nigdy się na to nie zdobędzie.

Uklękła, odetchnęła głęboko i zamierzyła się do uderzenia. Kantem dłoni trafiła w materiał wyglądający na plastik, ale twardszy od stali. Ręka zabolęła od nadgarstka po bark.

Zerknęła w prawo. Chyżwar ruszył w jej stronę, idąc powoli, nieledwie majestatycznie, jak nobliwy staruszek, który wybrał się na spacer.

Krzyknęła i wymierzyła kolejne uderzenie napiętą do granic możliwości dłonią. Cios rozległ się głośnym echem.

Brawne Lamia wychowywała się na Lususie, a nawet pośród pobratymców uchodziła za atletkę. Już od dziewiątego roku życia marzyła o zostaniu detektywem i przygotowywała się do tej pracy. Częścią intensywnego treningu było doskonalenie się w sztukach walki. Teraz wydała z siebie okrzyk, uniosła ramię i znów uderzyła, pragnąc, by jej dłoń przemieniła się w ostrze topora, i oczami wyobraźni widząc, jak tnie ową pępowinę.

Na twardym przewodzie, który pulsował jak żywy, wciąż nie pojawiał się jednak nawet ślad uszkodzenia.

Gdzieś z tyłu dźwięczały coraz głośniejsze kroki. Brawne powstrzymała ironiczny



uśmiech. Chyżwar mógł przecież poruszać się bez chodzenia, przenosząc się z jednego miejsca w drugie. Robił więc to tylko po to, by wystraszyć ofiarę. Ale Brawne się nie bała. Była zbyt zdeterminowana.

Uniosła rękę i znów opuściła ją wkładając w to maksimum sił. Łatwiej chyba rozbiłaby kamień. Gdy uderzyła po raz kolejny, poczuła, że któraś z kości nie wytrzymała i pękła. Ale ból wydał się jej tak odległy jak powoli zbliżające się kroki.

Czy pomyślałaś o tym, że on pewnie zabije was oboje, nawet jeśli zdołasz przerwać to przyłącze? – przebiegło jej przez głowę. Znów uderzyła. Kroki ucichły tuż za jej plecami.

Brawne zmęczona dyszała ciężko. Pot kapał z jej czoła i policzków na pierś śpiącego poety.

Nawet cię nie lubię, pomyślała o Silenusie i wykonała kolejny zamach. Czuła, że jej trud jest daremny.

Zdesperowana i prawie zrezygnowana uniosła się i wykorzystując całą masę ciała zadała jeszcze jeden cios, przy którym niemal wybiła sobie bark i z pewnością połamała kolejne kości śródrečia. I pępowina pękła.

Czerwony płyn, mniej kleisty niż krew, trysnął na nogi dziewczyny i biały kamień. Przerwany przewód wychodzący ze ściany skurczył się, drżał jeszcze przez moment, aż wreszcie jak ranny wąż wycofał się do otworu, który momentalnie zniknął. Kikut pępowiny wychodzący z czaszki Silenusa usechł w ciągu kilku sekund i odpadł. Czerwony płyn zmienił barwę na niebieską.

Powieki Marlina Silenusa zadrżały i uchyliły się.

– Hej – przemówił – wiesz, że ten pieprzony Chyżwar stoi tuż za tobą?

Meina Gladstone, przetransmitowawszy się do prywatnego apartamentu, natychmiast podeszła do nadajnika FAT. Czekają tam na nią dwie wiadomości.

Pierwsza pochodziła z przestrzeni kosmicznej wokół Hyperiona. Przewodnicząca zaskoczona potrząsnęła głową słysząc ciepły głos generalnego gubernatora na Hyperionie – młodego Lane'a – który zrelacjonował pokrótce spotkanie z Trybunałem Intruzów. Gladstone przysiadła na skórzanym fotelu i wsparła głowę na pięściach, gdy Lane powtarzał odpowiedzi na zadane przez nią pytania. Podobno to nie oni byli najeźdźcami. Gubernator zakończył przekaz krótkim opisem samego roju, opinią, iż jego zdaniem Intruzi mówią prawdę, stwierdzeniem, że los konsula wciąż pozostaje nieznanym, i prośbą o przesłanie dalszych poleceń.

– Odpowiedź? – zapytał komputer.

– Potwierdź odbiór wiadomości. I nadaj „czekać” w kodzie dyplomatycznym.

Uruchomiła odtworzenie drugiego przekazu.

Admirał William Ajunta Lee pojawił się w płaskiej projekcji, co sugerowało, że nadajnik FAT na jego statku pracował w oszczędnym trybie. Meina Gladstone z towarzyszących obrazowi kolumn cyfr odczytała, że przekaz został zakodowany wśród standardowych danych telemetrycznych. Technicy Armii zapewne zorientują się, że przemycono go w ten sposób, ale odczytanie może im zająć całe godziny, a nawet dni.

Twarz Lee była zakrwawiona, a tło spowijały kłęby dymu. Z niewyraźnego, czarno – białego obrazu przewodnicząca wywnioskowała, że pochodzi on z ładowni krążownika. Na metalowym stole za admirałem dostrzegła czyjeś zwłoki.

– ...oddział marines zdołał wdrzeć się na pokład jednego z ich tak zwanych lansjerów – meldował oddychając ciężko Lee. – To jednostki załogowe, pięć osób, wyglądających jak Intruzi, ale proszę popatrzeć, co dzieje się z nimi podczas autopsji.

Obraz przesunął się i Meina Gladstone uświadomiła sobie, że jej wysłaniec posługuje się ręczną kamerą. Lee zniknął, a w jego miejsce pojawiła się biała, zniszczona twarz martwego Intruza. Widząc zaschnięte strużki krwi wypływającej z oczu i uszu odgadła, że śmierć nastąpiła w wyniku gwałtownej dekompresji.

W kadrze ukazała się ręka Lee, z admirałskimi naszywkami na mankiecie munduru,



trzymająca skalpel laserowy. Młody dowódca nie zdjął z trupa ubrania przed wykonaniem pionowego nacięcia przez jego mostek.

Dłoń ze skalpelem cofnęła się, a obraz ustabilizował, gdy z ciałem Intruza zaczęło dziać się coś dziwnego. Na klatce piersiowej pojawiły się czarne plamy, jakby promień lasera spowodował zapłon ubrania. Wreszcie mundur rzeczywiście uległ przepaleniu i okazało się, że to ciało wewnątrz pionie i pojawiają się na nim nieregularne otwory, przez które wydobywa się tak jasne światło, iż kamera nie jest w stanie dobrać przesłony. Teraz tliła się już cała zewnętrzna część zwłok, a wydostające się światło sprawiło, że przewodnicząca musiała zmrużyć oczy.

Kamera odsunęła się, zanim cały trup spłonął. Znowu pojawiła się twarz Lee.

– Widzisz,, M. przewodnicząca, co dzieje się z nimi wszystkimi. Nikogo nie pojmałiśmy żywcem. Nie dotarliśmy jeszcze do centrum roju, ale sądzę, że...

Obraz zniknął i tylko kolumny cyfr informowały, że przekaz został nagle przerwany.

– Odpowiedź?

Meina Gladstone pokręciła głową i wyszła z kabiny. Popatrzyła z żalem na miękką kanapę i zasiadła za biurkiem, wiedząc, że zasnąłaby, gdyby tylko się na niej położyła. Sedeptra połączyła się na prywatnej częstotliwości komlogu, informując, że generał Motpurgo pragnie spotkać się z nią w pilnej sprawie.

Luzyjczyk wszedł do gabinetu i zdenerwowany zaczął po nim chodzić w tę i z powrotem.

– M. przewodnicząca, sądzę, że przemyślałaś swą decyzję o wykorzystaniu urządzenia emitującego promienie śmierci, ale muszę zaprotestować.

– Dlaczego, Arthurze? – zapytała, zwracając się do niego po imieniu po raz pierwszy od wielu tygodni.

– Bo, do cholery, nie wiemy, czym się to skończy. Przedsięwzięcie jest zbyt niebezpieczne. L.. niemoralne.

Meina Gladstone uniosła brwi.

– A więc utrata miliardów mieszkańców w efekcie działań wojennych jest moralna, a użycie tego urządzenia i za jego pomocą uśmiercenie milionów to już co innego? Czy to stanowisko całej Armii, Arthurze?

– To wyłącznie moje stanowisko, M. przewodnicząca.

Pokiwała głową.

– Przyjęłam twoją opinię, ale decyzja została podjęta i nie będzie już zmieniona.

– Na twarzy przyjaciela ujrzała niepokój i oburzenie, ale zanim zdążył zaprotestować, a może nawet złożyć swoją rezygnację, dodała: – Wybierzesz się ze mną na spacer?

Generał wyglądał na zaskoczonego.

– Spacer? Dlaczego? Dokąd?

– Obojgu nam potrzeba nieco świeżego powietrza.

Nie czekając na odpowiedź przeszła do prywatnego transmitera, użyła klucza magnetycznego i weszła w połyskującą taflę.

Morpurgo podążył jej śladem, popatrzył na złotą trawę ciągnącą się aż po odległy horyzont i sięgającą kolan. Gdy uniosł głowę, ujrzał seledynowe niebo, po którym leniwie sunęły brązowe chmury. Za plecami portal zamigotał i zniknął, a w jego miejscu pozostał tylko czytnik umieszczony na kolumnie metrowej wysokości. Był to jedyny wytwór rąk ludzkich pośród bezkresnego morza złotych traw.

– Gdzie, do diabła, jesteśmy? – zapytał ostrym tonem.

Przewodnicząca schyliła się po długie źdźbło i wsunęła je między zęby.

– To Kastrop – Rauxel. Nie ma tu datasfery, żadnych urządzeń na orbicie; żadnych ludzi ani maszyn.

Morpurgo prychnął.

– Zapewne nie jest lepiej zabezpieczone przed ingerencją Centrum niż miejsca, do których zabierał nas Byron Lamia, Meino.

– Może nie – mruknęła. – Posłuchaj, Arthurze. – Uruchomiła nagrania obu przeka-



zów, które odebrała wcześniej.

Kiedy dobiegły końca, a twarz Lee zniknęła, Morpurgo ruszył z wolna przed siebie rozgarniając wysoką trawę.

– No i? – zapytała Gladstone podążając za nim.

– Więc ci Intruzi ulegają samozniszczeniu w ten sam sposób jak cybrydy – rzekł.

– Co z tego? Sądzisz, że Senat albo WszechJedność przyjmą to jako dowód, że Techno-Centrum stoi za całą tą inwazją?

Przewodnicząca westchnęła. Trawa sprawiała wrażenie wyjątkowo miękkiej. Przez chwilę marzyła, że kładzie się na niej i ucina sobie drzemkę, nigdzie się nie spiesząc.

– To wystarczający dowód dla nas. Dla naszej grupy.

Nie musiała udzielać dodatkowych wyjaśnień. Od początku swej obecności w Senacie wzajemnie wymieniali obserwacje i podejrzenia co do działań Centrum, mając nadzieję, że pewnego dnia oswobodzą się spod dominacji SI. Wtedy przewodził im senator Byron Lamia... ale to było dawno temu.

Generał patrzył, jak złoty step faluje niczym ogromne morze w lekkich podmuchach wiatru. Interesujący przykład pioruna kulistego przemknął między brązowymi chmurami.

– To wszystko nie ma żadnego znaczenia. Wiedza nic nam nie da, jeśli nie mamy pojęcia, gdzie uderzyć.

– Mamy trzy godziny.

Morpurgo zerknął na swój komlog.

– Dwie godziny i czterdzieści dwie minuty. To zbyt mało czasu na cud, Meino.

Meina Gladstone zawróciła przyśpieszając kroku.

– Mało czasu na cokolwiek.

Dotknęła kluczem czytnika i portal pojawił się na swoim miejscu.

– Co możemy zrobić? – zapytał wojskowy. – Sztuczne Inteligencje Centrum właśnie pouczają naszych techników, jak posługiwać się urządzeniem. Eskortowiec będzie gotowy w ciągu godziny.

– Zniszczymy go, gdy nikomu nie będzie zagrażał. Generał zatrzymał się i popatrzył na nią.

– Czyli gdzie? Ten pieprzony Nansen mówi, że zasięg rażenia wynosi trzy lata świetlne, ale na jakiej podstawie mamy mu ufać? Uaktywnimy broń... w pobliżu Hyperiona albo gdziekolwiek indziej... i skażemy na zagładę całą ludzkość.

– Mam pomysł, ale muszę się z nim przespać – rzekła przewodnicząca

– Przespać się? – warknął Morpurgo.

– Muszę się zdrzemnąć, Arthurze. I proponuję, byś zrobił to samo. – Przekroczyła portal.

Generał mruknął pod nosem przekleństwo, poprawił czapkę i ruszył przed siebie z podniesioną głową i wyprostowaną sylwetką, zapatrzony gdzieś w dal: żołnierz marszerujący na własną egzekucję.

Na najwyższym tarasie góry zawieszanej w kosmosie, jakieś dziesięć minut świetlnych od Hyperiona, konsul i siedemnastu Intruzów siedziało na ułożonych w krąg niskich kamieniach, otoczonych większymi głazami. Trybunał miał podjąć decyzję dotyczącą życia dyplomaty.

– Twoja żona i dziecko zginęli na Bressii – rzekła Ghenga. – Podczas wojny tego świata z klanem Moseman.

– Tak. Hegemonia była przekonana, że cały rój zaangażował się w walkę. A ja nie zamierzałem wyprowadzać ich z błędu.

– Ale twoja rodzina wtedy zginęła, prawda?

Konsul podniósł wzrok na szczyt, znów znajdujący się w cieniu. – Cóż z tego? Nie proszę was o litość. Nie sądzę, by istniały jakiegokolwiek okoliczności łagodzące. Zabiłem czterech waszych pobratymców. Zrobiłem to z premedytacją i świadom ewentualnych



konsekwencji. A moim jedynym celem było uruchomienie urządzenia powodującego otwarcie Grobowców Czasu. To nie ma nic wspólnego z moją żoną i synkiem!

Brodaty Intruz, który został przedstawiony jako mówca Hullcare Amnion, wystąpił naprzód.

– Urządzenie było bezużyteczne. Po prostu nic nie robiło. Konsul otworzył usta chcąc coś powiedzieć, ale rozmyślił się i zamknął je z powrotem.

– To był test – dodała Wolny Człowiek Ghenga.

– Ale Grobowce... otworzyły się – wyszeptał konsul.

– Wiedzieliśmy, kiedy do tego dojdzie – wyjaśnił Coredwell Minmun. – Udało się nam ustalić, kiedy pole antyentropijne zacznie słabnąć. Urządzenie było tylko miernikiem.

– Miernikiem – powtórzył konsul. – Więc zabiłem tę czwórkę, niczego w zamian nie osiągając.

– Twoja żona i dziecko zginęli z naszych rąk – powiedziała Ghenga. – Hegemonia zgwałciła twój świat Maui – Przymierze. A działanie, jakie podejmiesz, dało się przewidzieć, jeśli się poczyniło pewne założenia. Meina Gladstone liczyła właśnie na to. My także.

Konsul wstał, zrobił trzy kroki i zatrzymał się, plecami zwrócony do rozmówców.

– Na darmo...

– Co mówisz? – zapytała mówczyni Wolnych Ludzi. Od jej łysej czaszki odbijało się światło słońca.

Hegemończyk roześmiał się smutno.

– Wszystko na darmo. Nawet moja zdrada. Nic nie było prawdziwe.

Coredwell Minmun podniósł się i poprawił szaty.

– Trybunał wydał już wyrok – przemówił. Pozostali Intruzi zgodnie pokiwali głowami.

Dyplomata odwrócił się. Na jego zmaltretowanej twarzy malowało się wyczekiwanie.

– Mówcie. Na miłość boską, skończmy z tym wreszcie. Mówczyni Ghenga wstała i zwróciła się w stronę Hegemończyka.

– Zostajesz skazany na życie. I na naprawienie przynajmniej części zła, które wyrządziłeś.

Konsul zatoczył się, jakby otrzymał silny cios.

– Nie, nie możecie... Musicie...

– Zostajesz skazany na życie w nadchodzącej epoce chaosu – dodał mówca Hullcare Amnion. – I na udzielenie nam pomocy w trwałym połączeniu rodzin ludzkich.

Dyplomata uniósł ręce, jakby chcąc obronić się przed lirycznym atakiem:

– Nie mogę... nie chcę...

Ghenga podeszła do konsula, chwyciła go za poły reprezentacyjnego uniformu i bezceremonialnie potrząsnęła.

– Jesteś winny. I właśnie dlatego musisz pomóc w zapanowaniu nad chaosem, który wkrótce nadejdzie. Pomogłeś w oswojeniu Chyżwara. Teraz musisz wrócić i dopilnować, by znów został uwięziony. A wtedy rozpocznie się wielkie pojednanie.

Puściła konsula, lecz wciąż stał drżący. W tej chwili taras zalało słońce, którego promienie załśniły we łzach płynących po jego policzkach.

– Nie – wyszeptał.

Ghenga wygładziła strój i położyła dłoń o długich palcach na ramieniu Hegemończyka.

– Mamy własne przepowiednie. Według nich templariusze dołączą do nas, by uczestniczyć w dziele ponownego zasiedlania Galaktyki. Powoli ci, którzy żyli w kłamstwie zwanym Hegemonią, wygrzebią się z ruin swych zależnych od Centrum światów i dołączą do nas dla dokonania prawdziwej eksploracji... eksploracji wszechświata i większego od niego królestwa, które znajduje się w każdym z nas. Konsul podniósł głos:



– TechnoCentrum was zniszczy! – wykrzyknął patrząc gdzieś w dal. – Tak jak już zniszczyło Hegemonię.

– Czyżbyś zapomniał, że twój ojczysty świat powstał za sprawą przymierza życia? – rzekł Coredwell Minmun.

Dyplomata zwrócił się w jego stronę.

– Takie przymierze rządzi naszym życiem i postępowaniem – ciągnął Intruz. – Nie chodzi tylko o uchronienie przed zagładą kilku gatunków ze Starej Ziemi, ale o znalezienie jedności w odmienności. O rozsianie ludzi po wszystkich światach, w różnych środowiskach, przy jednoczesnym traktowaniu z należytą czcią wszelkich form życia, na jakie się natkniemy.

Twarz Ghengi była skąpana w promieniach słońca.

– TechnoCentrum proponowało jedność w nieświadomej służalczości – przemówiła cicho. – Bezpieczeństwo jest równoznaczne ze stagnacją. Gdzie rewolucja w ludzkim myśleniu, kulturze i postępowaniu od czasów hegiry?

– Hegemończycy skoncentrowali się na tworzeniu replik Starej Ziemi – ciągnął Minmun. – W nowej erze ludzkiej ekspansji niczego nie zmienimy. Będziemy radować się trudami i z przyjemnością witać odmienności. Nie sprawimy, by wszechświat zaadaptował się do naszych potrzeb... to my się do niego dostosujemy.

Mówca Hullcare Amnion wskazał na gwiazdy.

– Jeśli rodzaj ludzki przetrwa tę próbę, nasza przyszłość leży nie tylko na oświetlonych promieniami gwiazd planetach, ale i w ciemnym kosmosie.

Konsul westchnął.

– Mam przyjaciół na Hyperionie. Mogę wrócić, by pośpieszyć im z pomocą?

– Możesz – odparła Ghenga.

– I stanąć oko w oko z Chyżwarem?

– Staniesz – rzekł Coredwell Minmun.

– I przeżyć, by ujrzeć tę erę chaosu?

– Musisz – odpowiedział Hullcare Amnion.

Konsul westchnął ponownie i odsunął się wraz z pozostałymi, gdy ponad ich głowami pojawił się ogromny motyl ze skrzydłami z ogniw słonecznych i lśniąca skórą odporną na próżnię i promieniowanie. Wylądował wewnątrz kręgu i otworzył swój odwłok, by wpuścić do środka konsula.

W izbie chorych budynku rządowego na Pierwszej Tau Ceti ojciec Paul Dure zapadł w niespokojny sen. Śniły mu się płomienie i zagłada całych światów.

Z wyjątkiem krótkich odwiedzin przewodniczącej Gladstone i jeszcze krótszej wizyty biskupa Edouarda, jezuita cały dzień spędził w samotności, balansując na granicy przytomności powracającej za sprawą odczuwanego ni to bólu, ni swędzenia. Pracujący tu lekarze poprosili o dodatkowe dwanaście godzin przed jego przenosinami. Zgromadzenie kardynałów na Pacem przystało na to, życząc pacjentowi szybkiego powrotu do zdrowia i zabierając się już do przygotowywania ceremonii, która miała nastąpić za dwadzieścia cztery godziny. To wówczas jezuicki ksiądz Paul Dure z Villefranche – sur – Sane stanął się papieżem Teilhardem I – czterysta osiemdziesiątym siódmym biskupem Rzymu, następcą apostoła Piotra.

Jego skóra i naruszone nerwy dzięki łańcuchom RNA goiły się w błyskawicznym tempie. Wynikającą z tego niedogodnością było jednak trudne do zniesienia swędzenie całego ciała. Jezuita starał się jednak o tym nie myśleć i wspomnieniami wrócił do Hyperiona, Chyżwara, swego długiego życia i pogmatwanej sytuacji w bożym świecie. Wreszcie ojciec Dure zasnął i śnił o zniszczeniu Bożej Kniei, Prawdziwym Głosie Drzewoświata przepychającym go przez portal oraz własnej matce i kobiecie imieniem Semfa, dziś już nieżyjącej, pracującej niegdyś na plantacji plastówółkników w pobliżu Rozpadliny.

W swoim przygnębiającym śnie ksiądz nagle ujrzał jeszcze kogoś. Ten ktoś nie śnił



mu się, lecz i on był śniącym.

Dure szedł w jego towarzystwie. Powietrze było mroźne, a niebo idealnie błękitne. Właśnie minęli zakręt, ich oczom ukazało się jezioro z pojedynczą wysepką na gładkiej niczym szklana tafla powierzchni, wokół otoczone drzewami, w oddali zaś wznosiły się górskie szczyty, a obrazu dopełniały kłębiaste obłoki.

– To jezioro Windermere – wyjaśnił jego towarzysz.

Jezuita powoli odwrócił głowę, a serce dudniło mu w piersiach z niepokoju i obawy. Ale widok idącego obok niego mężczyzny nie wywołał w nim uczucia strachu.

Ujrzał niskiego, młodego człowieka, ubranego w archaiczną kurtkę ze skórzanymi guzikami przepasaną szerokim pasem, ciężkie buty, starą futrzaną czapkę oraz dziwnie skrojone i usiane łatami spodnie. Na grzbiecie miał plecak, przez ramię przerzucony pled, a w ręku gruby kij. Ksiądz stanął, a tamten poszedł w jego ślady, wyraźnie zadowolony z postoju.

– Wzgórza Gurness i Góry Kumbryjskie – wyjaśnił młodzieniec, kijem wskazując wzniesienia za jeziorem.

Dure dostrzegł kasztanowe loki wysuwające się spod dziwacznej czapki i zwrócił uwagę na duże, migdałowe oczy oraz niski wzrost towarzysza. Wiedział, że to przecież sen, choć jednocześnie przez głowę przebiegła mu myśl: To wszystko dzieje się naprawdę!

– Kim... – zaczął, czując ogarniający go nagle niepokój.

– John – odparł mężczyzna, a jego melodyjny głos nieco uspokoił jezuیتę. – Mam nadzieję, że przed nocą dotrzemy do Bowness. Brown mówi, że w pobliżu jeziora jest bardzo dobry zajazd.

Dure pokiwał głową, choć nie miał zielonego pojęcia, o czym mówi ten człowiek.

Młodzieniec podszedł bliżej i chwycił go za ramię.

– Pojawi się ten, który przyjdzie po mnie – powiedział. – Ani alfa, ani omega, ale to dzięki niemu znajdziemy drogę.

Ksiądz był w stanie tylko pokiwać głową. Lekki wiatr wzburzył wody jeziora i przyniósł świeży zapach roślin.

– Tamten narodzi się daleko stąd – ciągnął John. – Dalej niż dotrzemy w ciągu kilku najbliższych stuleci. Twoim zadaniem będzie to samo, co ja miałem robić – przygotować mu drogę. Nie dożyjesz chwili, gdy on zacznie nauczać, ale twoi następcy będą tego świadkami.

– Tak – wyszeptał ksiądz czując, że w ustach nie ma ani trochę śliny.

Młodzieniec zdjął czapkę, zatknął ją za pas i schylił się po obły kamień. Cisnął go daleko, aż wylądował w jeziorze. Od miejsca gdzie upadł, na wodzie powoli rozchodziły się kręgi.

– Cholera – mruknął John. – Usiłowałem tego uniknąć. – Popatrzył prosto w oczy Dure. – Natychmiast musisz opuścić budynek rządowy i wracać na Pacem. Rozumiesz?

Jezuita zrobił zaskoczoną minę. Te słowa brzmiały zupełnie nie na miejscu jak na sen.

– Dlaczego?

– Nieważne. Po prostu zrób tak. Na nic nie czekaj. Jeśli nie zrobisz tego teraz, później nie będzie to już możliwe.

Nowo wybrany papież poruszył się, chcąc wrócić na swe łóżko w izolatce. Popatrzył na niskiego, drobnego mężczyznę stojącego na brzegu jeziora.

– A co z tobą?

John sięgnął po drugi kamień, rzucił go i pokręcił głową, gdy tylko odłamek zniknął pod wodą.

– Na razie jestem tu szczęśliwy – rzekł bardziej do siebie niż do towarzysza. – Naprawdę byłem szczęśliwy podczas tej wyprawy. Jakby otrząsnął się ze wspomnień i popatrzył na ojca Dure, uśmiechając się. – Idź. No rusz dupę, Wasza Świątobliwość.

Oburzony i zdziwiony jednocześnie jezuita już otworzył usta, chcąc go skarcić, gdy



stwierdził, że leży w izbie chorych, w półmroku mającym umożliwić mu sen i jest podłączony do skomplikowanej aparatury.

Leżał tak może z minutę, starając się przewyciężyć swędzenie gojących się poparzeń i rozmyślając o dopiero co przerwany śnie. A więc to był tylko sen. Mógł spokojnie poczekać tych kilka godzin, nim monsignor... biskup Edouard w towarzystwie kilku innych notabli Kościoła przybędzie, by towarzyszyć mu w drodze powrotnej. Przymknął oczy i przypomniał sobie męską, lecz łagodną twarz, migdałowe oczy i archaiczny dialekt.

Ojciec Dure usiadł gwałtownie, zerwał umieszczone na ciele czujniki i wstał chwiejąc się na nogach. Jego ubranie gdzieś zniknęło. Znalazł jedynie szpitalną piżamę, włożył ją, dodatkowo okręcił się kocem i bosu opuścił izolatkę.

W odległym końcu korytarza znajdował się transmiter przeznaczony wyłącznie dla personelu. Ale jeśli ten nie przeniesie go do domu, na pewno znajdzie inny.

Leigh Hunt wyniósł ciało Keatsa z cienia budynku na zalany słońcem plac Hiszpański, gdzie spodziewał się znaleźć Chyżwara. Zamiast niego ujrzał jednak konia. Nie znał się na nich, według powszechnej opinii bowiem ten gatunek dawno już wymarł, ale wydało mu się, że to jest to samo zwierzę, które przywiozło ich do Rzymu. Wniosek nie wynikał z rozpoznania samego konia, ale ciągnionego przezeń pojazdu, który Keats nazywał vetturą.

Ułożył ciało na siedzeniu, poprawił okrywający je całun i gdy powóz ruszył, pośpieszył obok niego. Tuż przed śmiercią Keats poprosił o pochówek na cmentarzu protestanckim nieopodal Muru Aureliana i piramidy Gajusza Cestiusza. Hunt jak przez mgłę przypominał sobie, że mijali je w drodze na Piazza di Spagna, ale wiedział doskonale, iż nie zdoła odnaleźć drogi do nich, nawet gdyby zależało od tego jego życie. Na szczęście koń sprawiał wrażenie, jakby wiedział, dokąd ma się udać.

Zagubiony w obcym, pustym mieście, członek władz Hegemonii szedł obok wolno toczącego się powozu, łapiąc w nozdrza świeże, wiosenne powietrze zmieszane z nieprzyjemnym odorem, jakby wywołanym procesem gnilnym. Czyżby to ciało Keatsa już zaczynało się rozkładać? Hunt wiedział bardzo niewiele o sprawach związanych ze śmiercią i jej konsekwencjami, ale zupełnie nie miał ochoty pogłębiać swej wiedzy z tej dziedziny. Sięgnął po bat i machnął nim, by popędzić zwierzę, ale koń zatrzymał się, powoli odwrócił głowę i posłał człowiekowi pełne przygany spojrzenie, po czym ruszył nieśpiesznie.

Nagle uwagę Hunta zwrócił błysk, dostrzegł go kątem oka i gdy obrócił się gwałtownie, ujrzał Chyżwara. Potwór szedł dziesięć, piętnaście metrów z tyłu z prędkością powozu, uroczyście, a jednocześnie śmiesznie wysoko unosząc kolczaste kolana. Promienie słońca złowieszczo odbijały się od jego pancerza, stalowych zębów i ostrzy, chwilami aż oślepiając.

W pierwszym odruchu chciał porzucić powóz i uciekać, ale poczucie obowiązku i zmęczenie sprawiły, że nie przyśpieszył kroku. Przecież jedynym miejscem, jakie zdążył tu poznać, był Piazza di Spagna, a Chyżwar odgradzał mu drogę do niego.

Akceptując więc z konieczności obecność potwora jako żałobnika, odwrócił się do niego plecami i szedł, ani na chwilę nie wypuszczając z ręki okrytej lnianą tkaniną stopy zmarłego przyjaciela.

Przez całą drogę rozglądał się uważnie w poszukiwaniu portalu transmitera, dzieła rąk ludzkich stworzonego później niż w dziewiętnastym wieku lub jakiegokolwiek człowieka. Ale nic z tego. Iluzja, że znalazł się w opustoszałym Rzymie wiosną roku 1821, była idealna. Koń wspiał się na wzgórze oddalone o kwartał od Hiszpańskich Schodów, skręcił kilkakrotnie w szerokie aleje i wąskie zaułki. W oddali widać było dominujące z racji swej wysokości ruiny, które Hunt zidentyfikował jako Koloseum.

Kiedy zwierzę zatrzymało się, doradca przewodniczącej Senatu, gwałtownie wyrwany z zamyślenia, rozejrzał się uważnie. Stał przed potężną stertą kamieni, która



kiedyś tworzyła chyba Ścianę Aureliana, a w pobliżu rzeczywiście widać było piramidę, ale w miejscu cmentarza protestanckiego znajdowała się tylko łąka z sięgającą kolan trawą. Owce pasły się w cieniu cyprysów, a dzwonki zawieszane na ich szczytach dźwięczały melodyjnie w gęstym, ciepłym powietrzu. Dopiero po chwili Hunt dostrzegł kilka kamieni nagrobnych rozrzuconych tu i ówdzie, a w miejscu przysłoniętym przez konia znalazł świeżo wykopany grób.

Chyżwar zatrzymał się dziesięć kroków z tyłu, między gałęziami cyprysów, ale nawet z tej odległości wyraźnie widać było blask jego czerwonych ślepi.

Hunt okrążył konia pasącego się spokojnie w wysokiej trawie. Nigdzie nie dostrzegł trumny. Wykop miał jakieś cztery stopy głębokości, a usypana obok hałda pachniała świeżym humusem. Wbita w nią była łopata z długim styliskiem, jakby kopacz po wykonaniu swej roboty zostawił ją zaledwie przed chwilą. Kamienna płyta stała u szczytu grobu, lecz nie widniał na niej żaden napis. Pusty nagrobek. Na jej górnej powierzchni coś błyszczało i gdy Hegemończyk podszedł bliżej, ujrzał pierwszy od czasu przybycia do Rzymu nowoczesny przedmiot. Był to niewielki pisak laserowy, jakiego używali budowniczy i artyści do pozostawiania śladów na każdym, nawet najtwardszym materiale.

Hunt odwrócił się na pięcie, z pisakiem w dłoni, poczuwszy się uzbrojonym, choć jednocześnie wiedział, że laserowa wiązka nie zdoła powstrzymać Chyżwara, gdyby ten zdecydował się atakować. Wsunął więc narzędzie do kieszeni koszuli i zabrał się do pochówku Johna Keatsa.

Kilka minut później stał z łopata w rękach i spoglądał w dół, do otwartego grobu, gdzie leżał niewielki, owinięty w lnianie płótno toboł, starając się wymyślić coś, co powinien teraz powiedzieć. Często uczestniczył w okolicznościowych uroczystościach różnego rodzaju, czasami pisał nawet Meinie Gladstone mowy, które przewodnicząca później wygłaszała, i zawsze pewnie czuł się w zmaganiach ze słowem. Ale teraz nic nie przychodziło mu do głowy. Jedynymi słuchaczami mieli być milczący Chyżwar, wciąż ukryty w cieniu cyprysów, koń oraz stadko owiec z dzwoniącymi dzwonkami, nerwowo oglądających się na potwora i podchodzących do grobu jak spóźnieni żałobnicy.

Przyszło mu do głowy, że na miejscu byłoby zadeklamowanie któregoś z wierszy Johna Keatsa, ale został politykiem i nigdy nie czytał, nie mówiąc już o uczeniu się na pamięć utworów tego dawnego poety. Poniewczasie dopiero przypomniał sobie, że zapisał jakieś wersy, które przyjaciel dyktował mu poprzedniego dnia, ale notatnik leżał w tej chwili na biurku w mieszkaniu przy Piazza di Spagna. Mówił w nich o stawaniu się bogiem, o byciu świadomym zbyt wielu rzeczy... i temu podobnych nonsensach. Hunt miał wyśmienitą pamięć, ale nie potrafił przypomnieć sobie pierwszego wersu tego archaicznego miszmaszu.

W końcu zdecydował się na chwilę ciszy, pochylił głowę i zamknął oczy. Nie potrafił jednak powstrzymać się i od czasu do czasu otwierał je, by zerknąć na stojącego bez ruchu Chyżwara. Wreszcie zaczął zasypywać grób. Zabrało mu to więcej czasu, niż się spodziewał. Kiedy skończył ubijać ziemię, ta zapadła się nieco, jakby ukryte pod nią ciało było zbyt drobne, by spowodować uformowanie się wzgóрка. Owce przeszły tuż obok nóg Hunta, zmierzając ku bardziej soczystej trawie przetykanej stokrotkami i fiołkami, rosnącej wokół mogiły.

Nie pamiętał poezji zmarłego, ale nie miał problemu z zapamiętaniem inskrypcji, o którą Keats go prosił. Sięgnął po pisak i sprawdził jego działanie. Wiazka przecięła trawę jakieś trzy metry od niego, momentalnie ją zapalając. Pośpiesznie musiał zdeptać ogień, by zapobiec pożarowi. Inskrypcja wywarła na nim przygnębiające wrażenie, gdy po raz pierwszy ją usłyszał – samotność i gorycz, jakie emanowały ze słów z trudem wypowiedzianych przez Keatsa. Ale Hunt wiedział, że nie powinien oceniać intuicji autora. Musiał tylko wyryć napis, opuścić to miejsce i unikać Chyżwara podczas poszukiwań drogi powrotnej do domu.

Pisak zostawiał wyraźne wgłębienia w kamieniu, lecz chwilę musiał poćwiczyć



na tylnej jego stronie, by nauczyć się wypalać w miarę równe litery. A i tak nie był zadowolony z efektów, kiedy skończył tę pracę piętnaście czy dwadzieścia minut później.

Najpierw zabrał się do rysunku, o który prosił Keats, samodzielnie kreśląc go drżąca ręką – greckiej liry z zerwanymi czterema spośród ośmiu strun. Nie zdołał idealnie odtworzyć dzieła przyjaciela w jeszcze mniejszym stopniu był artystą niż wielbicielem poezji ale zapewne da się rozpoznać, co przedstawia rysunek, oczywiście jeśli wie się jeszcze, co to takiego lira. Wreszcie przyszedł czas na samą inskrypcję, odtworzoną idealnie według zalecenia Keatsa:

TU LEŻY TEN
KTÓREGO IMIĘ
ZOSTAŁO ZAPISANE NA WODZIE

Umierający nie życzył sobie niczego więcej. Ani daty urodzenia czy śmierci, ani nawet własnego nazwiska. Hunt zrobił krok w tył, krytycznie przyjrzał się swemu dziełu i pokręcił głową. Wyłączył pisak, lecz nadal trzymając go w dłoni odwrócił się na pięcie i ruszył w stronę miasta, szerokim łukiem omijając wciąż nieruchomego potwora.

Zatrzymał się w przejściu przez Mur Aureliana i popatrzył za siebie. Koń, wciąż ciągnąc za sobą powóz, przeszedł nieco w dół łagodnego zbocza, by paść się na słodszej trawie nieopodal strumyka. Owce wciąż tłoczyły się wokół grobu, skubiąc trawę i zostawiając odciski racic w miękkiej ziemi na mogile. Chyżwar zaś był ledwie widoczny między gałęziami i Hunt był niemal pewien, że wciąż stoi przodem do grobu.

Było już późne popołudnie, kiedy doradca przewodniczącej znalazł wreszcie transponder – prostokąt granatu migoczący w samym środku ruin Koloseum. Nie było przy nim żadnego czytnika. Portal wisiał w powietrzu jak otwarte drzwi.

Ale nie dla Hunta.

Próbował pięćdziesiąt razy, lecz powierzchnia transpondera pozostawała twarda jak z kamienia. Dotykał jej delikatnie koniuszkami palców, robił krok naprzód i odbijał się od migotliwej powierzchni, ciskał odbijające się od niej kamienie, obmacał portal ze wszystkich stron, aż wreszcie zdesperowany rzucał się na przejście, aż ramiona i barki pokryły się sińcami.

Miał przed sobą transponder. Tego był pewien. Ale nie mógł wydostać się przezeń.

Przeszukał całe Koloseum, nawet podziemia pełne wilgoci i odchodów nietoperzy, ale portal był jedynym śladem współczesnej mu cywilizacji. Zlustrował pobliskie ulice i wszystkie stojące przy nich budynki. Nic. Szukał całe popołudnie w bazylikach i katedrach, domach i chatkach, wspaniałych apartamentach oraz wąskich zaułkach. Wrócił nawet na Piazza di Spagna. W restauracyjce w pośpiechu zjadł posiłek, wstąpił do mieszkania po notatnik oraz inne potrzebne rzeczy i wyszedł postanowiwszy, że już nigdy tu nie wróci.

Transponder w Koloseum wciąż był jedynym, na który się natknął. Gdy zapadał zmierzch, wbił paznokcie w nie poddającą się płaszczyznę, aż pociekła spod nich krew. Portal wyglądał jak każdy inny, szumiał w taki sam sposób, lecz nie chciał go przepuścić.

Księżyc, ale nie ten znany ze Starej Ziemi, sądząc po widocznych na jego powierzchni burzach piaskowych i chmurach, wyłonił się zza horyzontu i zawisł nad poszczerbioną ścianą Koloseum. Hunt zrezygnowany usiadł na kamieniu i z żalem patrzył na niebieski prostokąt wiszący w powietrzu. Gdzieś za jego plecami rozległ się najpierw głośny trzepot gołębic skrzydeł, a zaraz po nim jakiś podejrzany hałas.

Hegemończyk wstał powoli, sięgnął po laserowy pisak i stanął na szeroko rozstawionych nogach, wyęzając wzrok, w każdej chwili spodziewając się ujrzeć kolczastą postać. Ale wokół znowu panowała idealna cisza.

Nagły ruch za jego plecami sprawił, że gwałtownie odwrócił się na pięcie, gotów ciąć wiązką wszystko co zobaczy. Niespodziewanie z gładkiej powierzchni portalu wyło-



niła się ręka. Później noga. Wreszcie cała ludzka postać. Po niej następna. Ściany Koloseum odbiły echem głośne okrzyki Leigha Hunta.

Meina Gladstone wiedziała, że mimo ogromnego zmęczenia nie ma sensu decydować się na raptem półgodzinny sen. Ale już od dzieciństwa przywykła do pięcio -, najwyżej piętnastominutowych drzemek, które pozwalały zrzucić z siebie przynajmniej część zmęczenia i dawały pewne odprężenie.

Teraz, zupełnie już wyzuta z sił, padła na kanapę, usiłując o niczym nie myśleć i pozwalając podświadomości przebić się przez dżunglę powstałą w jej umyśle. Zdrzemnęła się i od razu zaczęła śnić.

Nagle usiadła i zanim jeszcze otworzyła oczy, sięgnęła do komlogu na nadgarstku.

– Sedepetro! Niech generał Morpurgo i admirał Singh zameldują się u mnie za trzy minuty.

Weszła do przylegającej do gabinetu łazienki, wzięła szybki, chłodny prysznic i włożyła świeże ubranie: oficjalny welwetowy uniform przepasany złotą – czerwoną szarfą łączoną złotą spinką w kształcie symbolu Hegemonii. Strój uzupełniła kolczykami pochodzącymi jeszcze ze Starej Ziemi oraz bransoletką z topazami mieszczącą komlog, podarowaną jej dawno temu przez senatora Byrona Lamie. Wróciła do gabinetu akurat na czas, by powitać obu wojskowych.

– M. przewodnicząca, wybrałaś bardzo nieodpowiednią porę zaczął admirał Singh. – Właśnie rozpoczęła się analiza kompletnych danych z Mare Infinitus i mieliśmy zająć się rozlokowaniem sił przed obroną Asquitha.

Meina Gladstone uaktywniła prywatny portal i skinęła na obu mężczyzn, by podążyli za nią.

Singh popatrzył dookoła, gdy znaleźli się pośród złotych traw, pod brązowymi chmurami.

– Kastrop – Rauxel – rzekł. – Krążyły plotki, że poprzednia administracja zleciła Armii-kosmos zbudowanie tu prywatnego transmitera.

– Został przyłączony do Sieci za czasów przewodniczącego Yevshensky'ego – wyjaśniła Meina Gladstone. Machnęła ręką i portal zniknął. – Stwierdził, że potrzebuje miejsca, które znajdzie się poza zasięgiem TechnoCentrum.

Morpurgo spojrzał niespokojnie na odległą ścianę chmur, przed której frontem krążyły kuliste pioruny.

– Żadne miejsce nie jest w pełni bezpieczne przed infiltracją Centrum. Już wspominałem admirałowi o naszych podejrzeniach.

– To nie podejrzenia, to są fakty – stwierdziła przewodnicząca. Poza tym wiem, gdzie znajduje się TechnoCentrum.

Obaj żołnierze zareagowali tak, jakby trafił ich któryś z piorunów.

– Gdzie? – zapytali jak na komendę.

Przewodnicząca zaczęła chodzić w tę i z powrotem. Jej krótkie, siwe włosy zdawały się świecić w przesyconym elektrycznością powietrzu.

– W sieci transmiterów. Między portalami. Sztuczne Inteligencje żyją w pseudoświatach osobliwości jak pająki na pajęczynie. I to my właśnie ją dla nich utkaliśmy.

Generał pierwszy odzyskał mowę:

– Mój Boże! – wyszeptał. – Co teraz zrobimy? Mamy niecałe trzy godziny, do chwili gdy eskortowiec z bronią Centrum na pokładzie znajdzie się w przestrzeni kosmicznej Hyperiona.

Meina Gladstone wyjaśniła im dokładnie, jaki plan zamierza zrealizować.

– To niemożliwe – rzekł Singh; nerwowo szarpiąc swą krótko przyciętą brodę. – Po prostu niemożliwe.

– Nie – zaprotestował Morpurgo. – To ma szansę powodzenia. I wystarczy nam czasu. A dodatkowo biorąc pod uwagę chaos, jaki występuje w ruchach floty w ciągu dwóch ostatnich dni...



Admirał pokręcił głową.

– Z logistycznego punktu widzenia niewykłuczone, że to możliwe. Ale przeczy temu racjonalizm. Nie, to niewykonalne. Przewodnicząca podeszła do niego.

– Kushwancie – powiedziała miękko, zwracając się do niego po imieniu po raz pierwszy od czasów, kiedy ona była młodym senatorem, a on jeszcze młodszym komandorem Armii-kosmos – nie pamiętasz, jak senator Lamia skontaktował nas ze Stabilnymi? Ze Sztuczną Inteligencją imieniem Ummon? Pamiętacie jego dwa scenariusze zdarzeń: jeden, w którym zapanuje tylko chaos, i drugi, mówiący o niemal pewnym zniszczeniu ludzkości?

Singh spuścił wzrok.

– Moim obowiązkiem jest służba Armii i Hegemonii.

– Oboje służyjemy jednemu – warknęła przewodnicząca. – Ludzkości.

Admirał uniósł ręce z zaciśniętymi w pięści dłońmi, jakby chcąc bronić się przed niewidzialnym przeciwnikiem.

– Nie mamy pewności! Skąd w ogóle uzyskałaś te informacje?

– Od Severna. Tego cybryda.

– Cybryda? – prychnął generał. – Mówisz o tym artyście? A właściwie jego żalostnej namiastce?

Wyjaśniła, jak do tego doszło.

– Chodzi ci o jego odtworzoną osobowość? – zapytał z powątpiewaniem Morpurgo.

– Wreszcie zdołałaś go odszukać?

– To on mnie znalazł. We śnie. W jakiś sposób zdołał skontaktować się ze mną. Takie miał zadanie, Arthurze, Kushwancie. Właśnie w tym celu Ummon wysłał go do Sieci.

– We śnie? – powtórzył z niedowierzaniem admirał. – Ten... cybryd... powiedział ci, że Centrum ukrywa się w sieci transponderów... we śnie?

– Tak. I mamy niezwykle mało czasu na działanie.

– Ale to, co proponujesz... – zaczął generał.

– Skaże na śmierć miliony – dokończył Singh. – Może nawet miliardy. Cała gospodarka się załamie. Światy takie jak Pierwsza Tau Ceti, Renesans, Nowa Ziemia, Denebs, Nowa Mekka czy Lusus nie są w pełni niezależne rolniczo. Te najbardziej zurbanizowane nie są w stanie istnieć samodzielnie.

– To prawda – przyznała przewodnicząca. – Ale mogą szybko nauczyć się, jak we własnym zakresie wyprodukować dodatkową ilość żywności, zanim odrodzi się handel międzygwiazdny.

– Ha! Wcześniej wybuchną różne zarazy, nastąpi upadek władzy, miliony zginą wskutek braku odpowiedniego wyposażenia, lekarstw i wsparcia datasfer.

– Myślałam o tym wszystkim – przyznała Meina Gladstone zadziwiająco pewnym i spokojnym głosem. – Stanę się największym w historii ludobójcą, większym nawet od Hitlera, Tze Hu czy Horacego Glennona – Heighta. Ale znacznie gorsze byłoby zachowanie obecnego stanu rzeczy. W obu przypadkach ja, podobnie zresztą jak wy, zostanę uznana za zdrajczynię całej ludzkości.

– Nie możemy być pewni tych rewelacji – zaprotestował Kushwant Singh, z trudem wydobywając z siebie słowa.

– Owszem, możemy – powiedziała przewodnicząca. – Centrum nie potrzebuje już Sieci. Gwałtowni i Ultymaci pozostawiliby w labiryntach jedynie kilka milionów niewolników, których mózgi są im jeszcze potrzebne, aby mógł dokończyć niezbędne obliczenia.

– To nonsens. Ci ludzie nie utrzymają się przy życiu. Meina Gladstone westchnęła ciężko i pokręciła głową.

– Centrum opracowało pasożytnicze, organiczne urządzenie nazywane krzyżosktałtem. Powoduje ono, że zmarli... powracają do życia. Po kilkudziesięciu latach ludzie staną się bezwolnymi, pozbawionymi przyszłości istotami, ale ich neurony wciąż będą mogły służyć TechnoCentrum.

Singh znów odwrócił się plecami do rozmówców. Jego drobna postać rysowała się



wyraźnie na tle zbliżającego się frontu burzowego.

– Wszystkiego tego dowiedziałaś się właśnie ze snu, Meino?

– Tak.

– Co jeszcze w nim było? – warknął admirał.

– To, że Centrum nie potrzebuje już Sieci. Ludzkiej Sieci. Sztuczne Inteligencje wciąż będą w niej żyć, jak szczury w podziemiach, ale pierwotni mieszkańcy nie są im już potrzebni. Wszelkie obowiązki przejmie Najwyższy Intelpekt.

Singh odwrócił się gwałtownie i popatrzył jej prosto w oczy. – Jesteś szalona, Meino. Ty naprawdę zwariowałaś.

Meina Gladstone pośpiesznie położyła dłoń na ramieniu admirała, gdy ten uaktywnił transponder.

– Kushwant, posłuchaj mnie, proszę...

Singh sięgnął po pistolet i przyłożył jej lufę do piersi.

– Przykro mi, M. przewodnicząca. Ale jestem wierny Hegemonii i...

Cofnęła rękę, gdy admirał urwał, przez chwilę patrzył jakby nie widzącymi oczami gdzieś w dal i wreszcie runął na trawę. Pistolet wysunął mu się z dłoni.

Morpurgo schylił się po niego i zatknął za pas, po czym schował do kabury swój emiter promieni śmierci.

– Zabiłeś go – rzekła przewodnicząca. – Szkoda. Gdyby nie zgodził się na współpracę, byłam zdecydowana zostawić go tutaj.

– Nie mogliśmy ryzykować – stwierdził generał, odciągając ciało admirała dalej od portalu. – Wszystko zależy od kilku najbliższych godzin.

Meina Gladstone popatrzyła na starego przyjaciela.

– Jesteś gotów przejść przez to razem ze mną?

– Nie mam wyboru. To nasza ostatnia szansa na zrzucenie z siebie tego jarzma. Natychmiast przygotuję i osobiście wyślę tajne rozkazy. Spowoduje to, że większość floty...

– Boże – wyszeptała Meina Gladstone, patrząc na ciało admirała Singha. – Robię to wszystko mając za podstawę wyłącznie sen...

– Czasami tylko sny odróżniają nas od maszyn – rzekł filozoficznie generał Morpurgo, ujmując przewodniczącą za rękę.



Odkryłem, że śmierć nie jest niczym przyjemnym. Opuszczając znajomy pokój na Piazza di Spagna i szybko stygnące ciało czułem się jakbym utracił ciepły i przytulny dom w wyniku jakiegoś kataklizmu – pożaru czy powodzi. Zagubienie i strach są niezwykle nieprzyjemne. Rzucony nagle do metasfery doświadczam takiego samego uczucia wstydu i dezorientacji, jakie przytrafia się we śnie, gdy uświadamiamy sobie, że zapomnieliśmy się ubrać i nago pojawiajemy się w publicznym miejscu.

Rzeczywiście czuję się nagi, gdy staram się zachować kształt swego analogu. Z trudem udaje mi się skoncentrować na tyle, by uformować tę bezkształtną chmurę elektronów wspomnień i skojarzeń w imitację człowieka, którym byłem, a przynajmniej którego osobowość posiadałem.

Pana Johna Keatsa, pięć stóp wzrostu.

Metasfera wciąż stanowi dla mnie przerażające miejsce, tym straszniejsze, że teraz nie mam już śmiertelnej powłoki, w której mógłbym się ukryć. Potężne kształty przesuwają się za ciemnym horyzontem, dźwięki rozchodzą się echem w Pustce, Która łączy, jak kroki w opustoszałym zamku. A w tle wciąż słychać nieustający stukot, jakby kół powozu na brukowanej uliczce.

Biedny Hunt. Kusi mnie, by wrócić do niego. Ukazać się jako duch i zapewnić go, że nic mi nie jest, ale Stara Ziemia to teraz dla mnie szczególnie niebezpieczne miejsce: obecność Chyżwara niszczy infoprzestrzeń jak płomień pożerający papier.

TechnoCentrum przyciąga mnie z wielką siłą, ale ono jest jeszcze niebezpieczniejsze. Przypominam sobie, jak Ummon zniszczył drugiego Keatsa na oczach Brawne Lamii miażdżąc jego analog i pochłaniając go.

Nie, dziękuję.

Wybrałem śmierć zamiast boskości, ale mam mnóstwo do zrobienia, zanim zasnę.

Metasfera wywołuje we mnie strach, TechnoCentrum napawa przerażeniem, ale ciemne tunele osobliwości datasfer, którymi muszę podróżować, wstrząsają aż do szpiku analogowych kości. Nic na to jednak nie poradzę.

Wnikam do pierwszego czarnego stożka, wirując jak liść, by wynurzyć się we właściwej infoprzestrzeni zdeorientowany i zagubiony. Z pewnością byłem wyraźnie widoczny dla wszystkich Sztucznych Inteligencji mających dostęp do tych ganglionów oraz fagów mieszkających w fioletowych szczelinach okolicznych datagór. Chroni mnie jednak chaos panujący w TechnoCentrum. Potężne osobowości są zbyt zajęte obroną własnych Troi, by obserwować, co dzieje się wokół.

Znajduję potrzebne mi kody dostępu i połączenia. Wystarcza więc kilka mikrosekund, by starymi ścieżkami podążyć na Pierwszą Tau Ceti, do budynku rządowego, do izby chorych, do snu Paula Dure.

Moja osobowość ma specjalne predyspozycje do przeżywania snów i właściwie przez przypadek odkrywam, że wspomniana przeze mnie Szkocja jest wspaniałym miejscem, by zabrać tam księdza i przekonać go do ucieczki. Jako rodowity Anglik i wolnomyśliciel byłem kiedyś zagorzałym przeciwnikiem papieża. Ale jednego nie mogę odmówić jezuitom – ich bezgranicznego posłuszeństwa, które teraz niewątpliwie jest mi niezwykle pomocne. Ojciec Dury właściwie nie protestuje, kiedy mówię mu, co ma robić... Budzi się jak grzeszny chłopiec, okręca kocem i ucieka.

Meina Gladstone traktuje mnie jako Josepha Severna, ale przyjmuje przekazywaną wiadomość, jakby ta pochodziła od Boga. Chciałbym jej powiedzieć, że nie jestem Nim, a tylko Tym Który Go Poprzedza, ale najistotniejsza jest sama treść. Przekazuję ją więc szybko i znikam.

Przemykając przez Centrum do metasfery Hyperiona widzę oślepiające światła wojny Sztucznych Inteligencji, które być może towarzyszą unicestwianiu Ummona. Stary Mistrz, jeśli to rzeczywiście on ginie, nie mówi koanem, ale krzyczy w agonii jak



każda istota świadoma nadchodzącej śmierci.

Śpieszę się.

Połączenie transmiterowe z Hyperionem utrzymywane jest za pomocą pojedynczego wojskowego portalu i poważnie już uszkodzonego statku – transmitera, otoczonego topniejącą eskortą okrętów Hegemonii. Sfera osobliwości nie wytrzyma ataków Intruzów dłużej niż przez kilka minut. Eskortowiec Hegemonii wyposażony w emiter promieni śmierci przygotowuje się do przeniesienia w obręb systemu. Ja zaś staram się odzyskać orientację w ograniczonej datasferze i wyczekując obserwuję, jak potoczą się wydarzenia.

– Chryste! – wykrzyknął Melio Arundez. – Meina Gladstone nadaje wiadomość o szczególnym znaczeniu.

Theo Lane dołączył do starszego mężczyzny i wspólnie patrzyli, jak powietrze gęstnieje ponad holorzutnikiem. Konsul zszedł tymczasem po metalowych, spiralnych schodkach prowadzących z sypialni, gdzie wcześniej ukrył się i dumął w samotności.

– Kolejna wiadomość z Tau Ceti? – warknął.

– Nie jest skierowana wyłącznie do nas – odparł gubernator odczytując czerwone znaki kodowe. – To przekaz do wszystkich odbiorców w całej Sieci. – Musi dziać się coś naprawdę złego. Czy przypominacie sobie, żeby przewodnicząca nadawała kiedyś na wszystkich częstotliwościach?

– Nie. Energia potrzebna do dokonania takiej transmisji jest wprost niewyobrażalna.

Konsul podszedł bliżej i wskazał na niknące już w powietrzu oznaczenia.

– Zwróćcie uwagę, że chodzi o przekaz bieżący.

Theo pokręcił głową.

– Do tego potrzeba kilku miliardów gigaelektronowoltów.

Archeolog zagwizdał.

– Nawet gdyby w grę wchodziło sto milionów GeV, musiałyby to być coś naprawdę ważnego.

– Kapitulacja – mruknął Theo. – Tylko to przychodzi mi do głowy. Meina Gladstone chce o tym poinformować Intruzów, światy Protektoratu, utracone już planety i całą Sieć. Wiadomość musi być przekazywana na wszystkich częstotliwościach komunikacyjnych, a dodatkowo za pomocą HTV i datasfer. Na pewno chodzi o kapitulację.

– Ucisz się – skarcił go konsul i pociągnął drinka.

Zaczął pić natychmiast po powrocie z posiedzenia Trybunału. Zły humor, który okazywał, gdy obaj towarzysze głośno cieszyli się z jego powrotu, nie poprawił się po starcie i dwóch godzinach lotu ku Hyperionowi; podczas których pił w samotności.

– Meina Gladstone nie podda się – rzucił niewyraźnie. W dłoni wciąż ścisnął butelkę szkockiej. – Patrzcie.

Na pokładzie eskortowca HS „Stephen Hawking” – dwudziestej trzeciej jednostki Hegemonii noszącej imię tego fizyka – generał Arthur Morpurgo podniósł wzrok znad pulpitu C’ i uciszył dwóch oficerów obecnych na mostku. Zazwyczaj załogę okrętu tej klasy stanowiło siedemdziesięciu pięciu ludzi, lecz gdy na pokładzie znalazł się emiter promieni śmierci, pozostali na nim tylko Morpurgo i czterej ochotnicy. Komunikaty na ekranach i głos komputera pokładowego donosiły, że statek znajduje się na kursie i bez opóźnień z prędkością bliską prędkości światła zmierza ku wojskowemu portalowi Trzeciej LaGrange między Madhya i jej ogromnym księżycem. Stamtąd przeniesie się bezpośrednio w przestrzeń kosmiczną Hyperiona.

– Minuta i osiemnaście sekund do punktu przeniesienia – zameldował oficer wachtowy Salumun Morpurgo – syn generała.

Ten kiwnął głową, oczekując na przekaz. Projekторы pokazywały dane dotyczące ich misji, więc zdecydował się na odbiór tylko głosu przewodniczącej. Uśmiechnął się



do własnych myśli. Co powiedziała by Meina, gdyby wiedziała, że jest teraz za sterami „Stephena Hawkinga”? Lepiej, żeby do tego nie doszło. Sam wolał odejść, niż z założonymi rękami patrzeć na rezultat, jaki przyniosą jego rozkazy, wydawane w ciągu dwóch ostatnich godzin.

Spoglądał na najstarszego syna z ogromną dumą. Chłopak pierwszy zgłosił się na ochotnika. Ale ten entuzjazm rodziny Morpurgo mógł wywołać podejrzenia TechnoCentrum.

– Obywatele – przemówiła Meina Gladstone. – Po raz ostatni zwracam się do was jako przewodnicząca Senatu i szef rządu. Jak zapewne wiecie, straszliwa wojna, która już zniszczyła trzy nasze światy i zagraża kolejnym, rzekomo toczona jest z atakującymi nas rojami Obcych. To kłamstwo...

W przekazie niespodziewanie wystąpiły zakłócenia, uniemożliwiające usłyszenie dalszego ciągu.

– Przełącz na linię FAT – polecił generał.

– Minuta i trzy sekundy do punktu przeniesienia – zameldował syn.

Głos przewodniczącej powrócił, przefiltrowany i poddany obróbce przez urządzenia dekodujące odbiornika.

–...uświadomić sobie, że nasi przodkowie... i my sami... zachowaliśmy się jak Faust bratając się z siłą, której nie zależy na losie ludzkości. To TechnoCentrum stoi za tą inwazją. To TechnoCentrum jest odpowiedzialne za naszą długą, pozornie wspaniałą stagnację. To TechnoCentrum zorganizowało mającą właśnie miejsce próbę zniszczenia ludzkości, by wypłenić nasz wszechświat i zastąpić stworzoną przez siebie boską machiną.

Oficer wachtowy Salumun Morpurgo ani na chwilę nie uniósł wzroku znad urządzeń pokładowych.

– Trzydzieści sześć sekund do punktu przeniesienia – rzekł.

Generał pokiwał głową. Po twarzach dwóch pozostałych członków załogi kroplami płynął pot. Starszy Morpurgo uświadomił sobie, że i on poci się jak mysz.

–...dowodły, że Centrum znajduje się... zawsze znajdowało się... w miejscach między portalami transmiterów. Sztuczne Inteligencje tkwią w przekonaniu, że są naszymi panami. I jak długo istnieć będzie Sieć, jak długo Hegemonia będzie połączona siecią transmiterów, tak długo zostanie zachowany ten porządek, a ludzie pozostaną ich sługami.

Morpurgo zerknął na zegar. Dwadzieścia osiem sekund. Przeniesienie do systemu Hyperiona nastąpi prawie natychmiast, przynajmniej dla ludzkich zmysłów. Generał był pewien, że emiter promieni śmierci rozpocznie działanie, gdy tylko zostaną przerzuceni przez transmiter. Fala uderzeniowa promieniowania dotrze do Hyperiona w niecałe dwie sekundy, a najdalsze elementy roju znajdą się w jej zasięgu w ciągu dziesięciu minut.

– Tak więc – ciągnęła Meina Gladstone, a w jej głosie po raz pierwszy dało się wyczuć zdenerwowanie – jako przewodnicząca Senatu Hegemonii wydałam rozkazy, by Armia-kosmos zniszczyła wszystkie znane nam sfery osobliwości oraz transmitery. Ta operacja... ta kauteryzacja... nastąpi za dziesięć sekund.

– Boże, chroń Hegemonię.

– Boże, wybacz nam wszystkim.

– Pięć sekund do przerzucenia, ojczy – zameldował spokojnie Salumun Morpurgo.

Obraz za chłopakiem pokazywał migoczący portal.

Generał popatrzył synowi prosto w oczy.

Kocham cię – szepnął.

Dwieście sześćdziesiąt trzy sfery osobliwości łączące ponad siedemdziesiąt dwa miliony portali uległy zniszczeniu w ciągu dwóch i sześciu dziesiątych sekundy. Jednostki floty Armii wysłane przez generała Morpurgo na podstawie rozkazu przewodniczącej, dostarczonego im zaledwie trzy minuty wcześniej, zgodnie ostrzelały delikatne sfery



pociskami, laserami i bronią plazmową.

Trzy sekundy później, gdy chmura uwolnionej materii rozplynęła się w próżni, setki okrętów Armii znalazły się w ogromnych odległościach od siebie i innych systemów, do których dotarcie zajmie im tygodnie lub miesiące lotu za pomocą napędu Hawkinga i spowoduje wieloletni dług czasowy.

Tysiące ludzi akurat w tym ułamku sekundy korzystało z transponderów. Wielu zginęło momentalnie rozciętych na pół. Inni stracili kończyny, gdy portale zatrzasnęły się podczas ich przekraczania. Byli też tacy, którzy po prostu zniknęli.

Taki też los spotkał HS „Stephena Hawkinga”, dokładnie jak zostało to zaplanowane. Wejściowy i wyjściowy portal uległy bowiem zniszczeniu podczas tych kilku nanosekund, gdy statek przenosił się z jednego miejsca w drugie: Żaden fragment jednostki nie pozostał w kosmosie. Późniejsze badania dowiodły, iż emiter promieni śmierci został uaktywniony gdzieś w świecie TechnoCenium znajdującym się między portalami.

Skutków jego działania nigdy nie poznano.

Efekt zniszczenia sieci transponderów stał się natomiast od razu jasny dla Hegemonii i jej mieszkańców.

Po siedmiu wiekach istnienia i co najmniej czterystu latach powszechnego użytkowania datasfery – - włącznie z WszecHJednością i wszystkimi zakresami łączności i dostępu – przestały istnieć. Setki tysięcy ludzi oszalały w tym momencie. Szok spowodowany utratą zmysłów często ważniejszych niż wzrok czy słuch wywołał powszechną katatonię.

Jeszcze większa liczba operatorów infoprzestrzeni, włącznie z tak zwanymi cyberświrami i systemowymi kowbojami zginęła. Ich analogi uległy zniszczeniu wraz z unicestwieniem datasfer, a mózgi zagotowały się z powodu przeładowania przyłącza lub efektu nazwanego później sprzężeniem zero – zero.

Miliony zostały skazane na śmierć, gdy miejsca ich zamieszkania, dostępne tylko poprzez portale, przemieniły się w pułapki bez wyjścia.

Biskup Kościoła Ostatecznej Pokuty – kultu Chyżwara – starannie zaplanował spędzenie Ostatnich Dni w komfortowych warunkach stworzonych w wydrążonej górze głęboko w Kruczym Paśmie na północy Nigdy Więcej. I tu jedyną drogę stanowiły portale. Zginął wraz z kilkoma tysiącami swych akolitów, egzorcystów i kaznodziei rozszarpujących się wzajemnie, by dostać się do Wewnętrznego Sanktuarium.

Działająca na rynku wydawniczym milionerka Tyrena Wingreen – Feif, licząca dziewięćdziesiąt siedem standardowych lat, a dzięki zabiegom Poulsena i kriogenice obecna na rynku od ponad trzystu, popełniła fatalny w skutkach błąd. Owego dnia była w dostępnym tylko poprzez portal biurze na czterysta trzydziestym piątym piętrze wieży w dzielnicy Babel Piątego Miasta Pierwszej Tau Ceti. Po piętnastu godzinach niedopuszczania do siebie myśli, że portale przestały istnieć już na zawsze, Tyrena zdołała skontaktować się z podwładnymi i opuściła ścianę z pola siłowego, by mógł ją zabrać EMV.

Była jednak na tyle przemądrzała, że nie słuchała uważnie przekazanych jej instrukcji. Siła wywołana gwałtowną dekompresją zdmuchnęła ją z czterysta trzydziestego piątego piętra, jak korek wystrzelony z butelki szampana. Pracownicy i członkowie ekipy ratunkowej z EMV twierdzili, że starsza pani kłęła siarczyście przez całe cztery minuty lotu w dół.

Na większości światów określenie „chaos” nabrało zupełnie nowego znaczenia.

Gospodarka Sieci legła w gruzach wraz ze zniknięciem lokalnych datasfer oraz megasfery. Biliony ciężko zarobionych marek nagle przestały istnieć. Karty uniwersalne stały się bezużyteczne. Różne urzędnictwa ułatwiające codzienne życie także. Przez tygodnie, miesiące, a nawet lata, w zależności od warunków panujących na poszczególnych planetach, bez czarnorynkowych pieniędzy nie dało się nabyć podstawowych produktów żywnościowych, zapłacić za przejazd w środkach publicznego transportu czy też uregulować najdrobniejszego zobowiązania.



Ale ta ekonomiczna zapaść, która przeorała Sieć jak tsunami, była drobnym epizodem w porównaniu z natychmiastowymi skutkami, jakie dotknęły większość rodzin.

Rodzice jak zwykle transmitowali się do pracy, powiedzmy z Deneb Drei na Renesans, i zamiast jak zawsze wrócić do domu po południu, dotrą na rodzinną planetę za jedenaście lat, oczywiście jeśli uda im się znaleźć jakże poszukiwany teraz środek transportu z napędem Hawkinga.

Członkowie zamożnych rodzin, jeszcze przed chwilą słuchający mowy Meiny Gladstone w apartamentach usytuowanych na wielu światach jednocześnie, będąc zaledwie kilka metrów jedno od drugiego, po chwili znaleźli się całe lata świetlne od siebie.

Dzieci, oddalone o kilka minut od szkoły lub domu, czasami dorosną, nim ponownie ujrzą rodziców.

Wielki Trakt, już nieco naruszony przez wojnę, poszedł w zapomnienie i rozpadł się na pojedyncze ulice z ekskluzywnymi sklepami i restauracjami.

Rzeka Tetyda przestała płynąć wraz ze zniknięciem portali. Woda początkowo rozlała się, a potem wyschła, pozostawiając ławice ryb, by gnęły w promieniach dwustu słońc.

Doszło do zamieszek. Lusus przypominał wilka wyżerającego własne wnętrzności. Nowa Mekka wpadła w spiralę męczeństwa. Ludność Tsingtao – Hsishuang Panna świętowała wyzwolenie z rąk Intruzów, przy okazji wieszając kilka tysięcy urzędników Hegemonii.

Na Maui – Przymierzu także wybuchły rozruchy, lecz tu setki tysięcy Pierwszych Rodzin zwróciło się przeciwko przybyszom, którzy w tak znacznym stopniu zmienili ich ojczyznę. Wkrótce miliony właścicieli letnich rezydencji zostały zapędzone do prac przy demontażu platform wiertniczych i centrów turystycznych, które pokryły Archipelag Równikowy niczym wysypka.

Na Renesansie walki ustały, gdy ludzie zjednoczyli się w wysiłku na rzecz wyżywienia zurbanizowanego świata, który nie miał dostatecznie rozwiniętego rolnictwa.

Na Nordholmie miasta opustoszały błyskawicznie, kiedy mieszkańcy zostali zmuszeni do powrotu na wybrzeża i do starych łodzi rybackich.

Parvati przeżyło niezwykle krwawą wojnę domową.

Na Sol Draconi Septemie doszło do rewolucji, którą przerwała dopiero dziesiątkująca ludność zaraza.

Mieszkańców Fuji początkowo ogarnęła apatia, która z wolna przerodziła się w powszechny wysiłek zmierzający ku jak najszybszemu zbudowaniu jak największej floty wykorzystującej napęd Hawkinga.

Na Asquicie miejscowe władze obarczono winą za nieuchronny kryzys i ich miejsce triumfalnie zajęła Socjalistyczna Partia Pracy.

Na Pacem modlono się nieustannie. Nowy papież Jego Świątobliwość Teilhard I zwołał synod, obwieścił nową erę w historii Kościoła i zalecił przygotowanie całej armii misjonarzy, którzy mieli zostać skierowani na wszystkie opanowane przez człowieka planety. Papież Teilhard stwierdził, że nie będą oni nikogo nawracać, staną się jedynie poszukiwaczami. Kościół, od długiego już czasu przywykły do funkcjonowania na granicy wymarcia, zaadaptował się i przetrwał.

Na Tempre ludność została zdziesiątkowana podczas powstania demagogów,

Dowództwo Olympus na Marsie za pomocą linii FAT utrzymywało łączność z flotą rozrzuconą w różnych zakątkach Galaktyki. To ono potwierdziło, iż „siły inwazyjne Intruzów” zaprzestały agresywnych działań wszędzie oprócz Hyperiona. Przejęte jednostki Centrum były puste i nie zaprogramowane. Inwazja dobiegła końca.

Na Metaxasie szalała wojna.

Na Qom – Riyadh samozwańczy szyicki ajatollah zwołał sto tysięcy wyznawców i w ciągu kilku godzin zmiotł z powierzchni ziemi sunnicki rząd. Nowe władze bez reszty podporządkowały się mułom i w ten sposób cofnęły czas o dwa tysiące lat. Ludzie z radością przyjęli te zmiany.



Na Armaghaście prawie wszystko pozostało po starym. Nie przybywali tam już tylko turyści, archeolodzy i importowane luksusowe towary. Miejscowy labirynt pozostał pusty.

Na Hebronie w Nowym Jeruzalem wybuchła panika, ale żydowska starszyzna szybko przywróciła porządek na całej planecie. Błyskawicznie podjęto ważne decyzje. Ustalono, jak zastąpić dobra sprowadzane z innych systemów. Przystąpiono do rekultywacji pustyń. Powiększono istniejące farmy i zintensyfikowano hodowlę drzew owocowych. Ludzie narzekali, dziękowali Bogu za wyzwolenie i zajmowali się codziennymi sprawami.

Na Bożej Kniei wciąż płonęły całe kontynenty, a kłęby dymu zasnuły atmosferę. Gdy tylko minęło zagrożenie ze strony „roju”, przez chmury przebiły się dziesiątki drzewostatków chronionych polami siłowymi ergów. Po wydostaniu się ze studni grawitacyjnej ruszyły we wszystkie strony Galaktyki, za pomocą linii FAT kontaktując się z odległymi rojami Intruzów. Rozpoczęła się nowa kolonizacja.

Na Pierwszej Tau Ceti – ośrodku władzy i bogactwa – głodni mieszkańcy opuścili wieże, miasta i stacje orbitalne w poszukiwaniu kogoś, kogo można by obarczyć winą.

Długo nie musieli szukać.

Generał marines Van Zeidt znajdował się w budynku rządowym, gdy przestały działać portale. Pod jego rozkazami pozostawało dwustu marines i licząca osiemdziesiąt osób ochrona kompleksu. Była przewodnicząca Meina Gladstone miała jeszcze do dyspozycji własnych sześciu pretorian, pozostawionych jej przez Kolcheva. Wraz z dużą grupą senatorów nowy przewodniczący odleciał jedynym promem ewakuacyjnym, któremu udało się przebić. W jakiś sposób tłumy weszły w posiadanie rakiet i biczów bożych, co oznaczało, że nikt z trzech tysięcy osób będących w budynku rządowym nie wydostanie się zeń do czasu zakończenia oblężenia i usunięcia pól siłowych.

Meina Gladstone stała w punkcie widokowym i patrzyła na rzeź. Tłum zniszczył Park Łani, zanim zatrzymała go bariera pól siłowych. Wokół tłoczyło się co najmniej trzy miliony rozszalałych ludzi, których wciąż przybywało.

– Czy możliwe jest opuszczenie pól i przeniesienie ich pięćdziesiąt metrów do tyłu, zanim ludzie pokonają ten dystans? – zapytała generała. Na zachodzie niebo zasnuwane było dymem płonących miast. Tysiące mężczyzn i kobiet zostały przyciśnięte do bariery z taką siłą, że do wysokości dwóch metrów pokryła ją czerwona maź. Inni nie zważali jednak na to i napierali coraz bardziej.

– Owszem, to możliwe, M. przewodnicząca – odparł Van Zeidt. Ale po co?

– Wychodzę, żeby z nimi pomówić – rzekła Meina Gladstone pełnym zmęczenia głosem.

Dowódca marines popatrzył na nią z niedowierzaniem.

– M. przewodnicząca, będą skłonni nas wysłuchać nie wcześniej niż za miesiąc, ale i to za pośrednictwem radia lub HTV. Za rok, dwa, po przywróceniu porządku może także wybaczą. Ale dopiero gdy przyjdą kolejne pokolenia, zrozumieją, co zrobiłaś... że ich ocaliłaś... ocaliłaś nas wszystkich.

– Chcę z nimi mówić – powtórzyła Meina Gladstone. – Muszę im coś dać.

Van Zeidt pokręcił głową i obejrzał się na szereg żołnierzy wcześniej obserwujących tłum przez strzelnicę bunkra, a teraz patrzących na Meinę Gladstone z niedowierzaniem i przerażeniem.

– Muszę skontaktować się z przewodniczącym Kolchevem – powiedział dowódca marines.

– Nie – ucięła. – On rządzi imperium, które już nie istnieje. Ja kieruję światem, który zniszczyłam. – Skinęła na pretońan, a ci bez słowa sięgnęli po ręczne emiterzy promieni śmierci.

Żaden z oficerów Armii nie drgnął.

– Meino, najbliższy prom ewakuacyjny zabierze nas stąd... – zaczął Van Zeidt.

Była przewodnicząca wykonała niecierpliwy ruch dłonią.



– Przez kilka sekund tłum będzie miał swobodę poruszania. Cofnięcie pola z pewnością ich zaskoczy. – Rozejrzała się, jakby w obawie, że może czegoś zapomnieć, i wyciągnęła rękę do generała. Żegnaj, Marku. Dziękuję. Zajmij się, proszę, moimi ludźmi.

Van Zeidt uściśnął jej dłoń i patrzył, jak poprawia szarfę, po czym w towarzystwie czterech pretorian dostojnie opuszcza bunkier. Grupka szła przez ogród zbliżając się do pola. Tłum zareagował jak jeden bezmyślny stwór wydając z siebie ogłuszający ryk.

Meina Gladstone obejrzała się, uniosła rękę machając i odesłała pretorian. Ci wycofali się pośpiesznie.

– Wykonać – rzucił najstarszy rangą pretorianin, wskazując na panel sterowania polem siłowym.

– Pieprz się – odpowiedział generał. Postanowił, że pole zostanie przesunięte, ale po jego trupie.

Zapomniał jednak, że Meina Gladstone nadal miała kody najwyższego dostępu. Spostrzegł, że korzysta z nich za pomocą swego komlogu i zanim zareagował, kontrolki na panelu rozjarzyły się na zielono. Zewnętrzne pole siłowe zamigotało i uformowało się ponownie pięćdziesiąt metrów bliżej bunkra. Meina Gladstone przez chwilę stała odgradzona od szalejących milionów tylko kilkoma metrami trawnika, na który opadły szczątki zmiażdżonych ciał.

Przewodnicząca uniosła ramiona, jakby chcąc objąć ten niezliczony las głów. Cisza i bezruch trwały przedłużając się w nieskończoność trzy sekundy. Wreszcie tłum wydał z siebie ogłuszający ryk i pierwsze jego szeregi rzuciły się naprzód z kijami, kamieniami i nożarni w rękach.

Przez moment Van Zeidtowi wydawało się, że Meina Gladstone jest jak wyniosła skała górująca ponad pospólstwem. Widział wyraźnie jej ciemny uniform i jaskrawą szarfę. Widział, jak stoi prosto, wciąż z wzniesionymi rękami. Ale wreszcie żywa ściana ogarnęła ją swym ogromnym cielskiem i przewodnicząca zniknęła mu z oczu.

Pretorianie jak na komendę opuścili broń i marines ich rozbroili.

– Zmętnić pole – rozkazał generał. – Przekażcie do promów, by lądowały w wewnętrznym ogrodzie w odstępach pięciu minut. Szybko!

Odwrócił się plecami do obecnych.

– Boże! – wyszeptał Theo Lane śledząc fragmenty raportów docierających poprzez linię FAT. Komputer odbierał taką ich liczbę, że zlewały się w jedno. Całość tworzyła chaos i przyprawić mogła o szaleństwo.

– Odtwórz ponownie zniszczenie sfery osobliwości – rzucił konsul.

– Tak jest – odpowiedział statek i w powietrzu pojawił się obraz. Mignęło coś białego, pole siłowe zadrżało i nastąpiła nagła implozja, gdy osobliwość pochłonęła wszystko, co znajdowało się w zasięgu sześciu tysięcy kilometrów. Urządzenia pokładowe wykryły zakłócenia grawitacji, niegroźne tak daleko od planety, lecz niebezpieczne dla jednostek Hegemonii oraz Intruzów, znajdujących się bliżej jej powierzchni.

– W porządku – mruknął konsul i znów pojawiły się przepływające szybko doniesienia.

– Nie ma wątpliwości? – zapytał Arundez.

– Nie. Hyperion znów jest częścią Protektoratu. Tyle tylko, że to samo można powiedzieć o wszystkich systemach należących kiedyś do Sieci.

– Trudno w to uwierzyć – stwierdził Theo Lane. Były generalny gubernator siedział popijając whisky, czego konsul był świadkiem po raz pierwszy mimo ich długiej znajomości. Theo nalał sobie kolejne pół szklanki. – Sieć... przestała istnieć. Pięćset lat ekspansji na darmo.

– Wcale nie na darmo – zaprotestował konsul. Odstawił nie dokończonego drinka na stolik. – Pozostały zasiedlone przez nas światy. Są od siebie. odseparowane, ale wciąż dysponujemy napędem Hawkinga. To jedyne poważne osiągnięcie technologiczne, które stworzyliśmy sami, a nie otrzymaliśmy od TechnoCentrum.



Melio Arundez pochylił się naprzód i złożył dłonie jakby do modlitwy.

– Czy Centrum naprawdę przestało istnieć? Zostało zniszczone? Konsul słuchał przez chwilę zlewających się w jedno krzyków, oświadczeń, raportów i wołań o pomoc.

– Może nie zniszczone, ale odcięte. Być może, wciąż istnieje gdzieś w oderwaniu od naszego świata – odpowiedział wreszcie.

Theo skończył drinka i ostrożnie odstawił szklaneczkę. Jego zielone oczy były jak zwykle spokojne.

– Sądzi pan, że... znajdą inne pajęczce sieci? Inne systemy transponderów?

Konsul machnął dłonią.

– Wiemy, że udało im się stworzyć swój Najwyższy Intelkt. Może ten NI przyzwolił na takie... oczyszczenie. Może zatrzymał do swojej dyspozycji tylko część starych SL.. jak one planowały pozostawić przy życiu tylko kilka milionów ludzi.

Nagle transmisja urwała się jak ucięta nożem.

– Statku? – rzucił jego właściciel, podejrzewając jakąś awarię odbiornika.

– Transmisja została niespodziewanie przerwana – wyjaśnił komputer.

Konsul poczuł gwałtowne bicie serca, gdy przez głowę przebiegła mu myśl: promienie śmierci. Ale nie, uświadomił sobie natychmiast. Przecież nie mogłyby objąć swym zasięgiem jednocześnie wszystkich zamieszkałych przez ludzi światów. Gdyby nawet w tym samym momencie zadziałały setki ich emiterów, promienie z pewnym opóźnieniem dotarłyby do samotnych okrętów Armii. Co więc się stało?

– Transmisja została przerwana prawdopodobnie z powodu zakłóceń w medium transmisyjnym – wyjaśnił statek.

Konsul wstał. Zakłócenia w medium transmisyjnym? Medium wykorzystywanym przez linie FAT, jak rozumieli je ludzie, była czasoprzestrzeń kwantowa, którą Sztuczne Inteligencje określały mianem Pustki, Która Łączy. Ale przecież tam nie mogło dojść do żadnych zakłóceń.

– Odbieram przekaz – odezwał się niespodziewanie statek. – Źródło: rozproszone; klucz kodowy: nieskończoność; transmisja bezpośrednia.

Konsul już otworzył usta, by upomnieć statek za wygłaszanie bzdur i nakazać mu sprawdzenie swych obwodów, gdy powietrze zgęstniało układając się ni to w obraz, ni w kolumny danych, a jednocześnie rozległ się głos:

KONIEC Z NADUŻYWANIEM TEGO KANAŁU. PRZESZKADZACIE INNYM, KTÓRZY WYKORZYSTUJĄ GO DO POWAŻNYCH CELÓW. DOSTĘP ZOSTANIE PRZYWRÓCONY, KIEDY ZROZUMIECIE, DO CZEGO SŁUŻY. ŻEGNAJCIE.

Trzej mężczyźni siedzieli w ciszy, zakłócanej tylko szumem wentylacji i dźwiękami wydawanymi przez lecący statek. Wreszcie przerwał ją konsul:

– Statku, nadaj standardowy sygnał o naszym położeniu. Wezwij wszystkie odbierające nas stacje do zgłoszenia się.

Cisza znów trwała kilka sekund – dziwnie długo jak na wykonanie przez komputer tak prostej czynności.

– Przykro mi, to niemożliwe – przemówił w końcu statek.

– Dlaczego? – zapytał ostro jego właściciel.

– Transmisja poprzez linię FAT nie jest już... możliwa. Medium przestało poddawać się modulacji.

– A więc niczego nie da się już przesłać? – zapytał Theo, patrząc w pustkę ponad holorzutnikiem, jakby właśnie nagle został przerwany szczególnie interesujący holofilm.

– Obawiam się, że nie, M. Lane – potwierdził statek. – Łączność za pośrednictwem linii FAT przestała istnieć.

– Jezu – mruknął konsul. Dopił drinka jednym haustem i podszedł do barku, by nalać sobie kolejnego. – Jest takie stare, chińskie przekleństwo.

Melio Arundez ocknął się z odrętwienia.

– Jakże?

Dyplomata znów się napił.



– Obyś żył w ciekawych czasach.

Jakby starając się zrekompensować brak łączności, statek zaczął odtwarzać muzykę, podejmując jednocześnie bezpośredni przekaz z zewnątrz, gdzie niebiesko – biały owal Hyperiona rósł w oczach, mimo że już rozpoczęli hamowanie z przeciążeniem 200 g.



Uciekam, dopóki to jeszcze możliwe.

Widok pochłaniającej się megasfery robi przytłaczające wrażenie. Jej odbiór przez Brawne Lamię, jako półsyntetycznego tworu przypominającego ekosystem, poniekąd był zgodny z rzeczywistością. Teraz, kiedy transmitters przestały istnieć, a światy wewnątrz tych alei zapadły się, zewnętrzne datasfery poszły w ich ślady składając się jak namioty nagle pozbawione stelaży. Żyjąca megasfera pożera siebie jak jakiś oszalały drapieżca. Pożarła już ogon, tułów, wnętrzości, łapy serce... aż pozostały jeszcze szczęki kłapiące w pustce.

Wciąż istnieje jednak metasfera. Jest teraz pełniejsza życia niż kiedykolwiek przedtem.

Czarne knieje nieznanego czasu i przestrzeni. Napawający przerażeniem dźwięk w środku nocy.

Lwy

Tygrysy.

Niedźwiedzie.

Kiedy Pustka, Która łączy drży w konwulsjach i wysyła pojedynczą, banalną wiadomość do ludzkiego wszechświata, przypomina to wstrząsy spowodowane trzęsieniem ziemi. Śpiesząc przez metasferę ponad Hyperionem, nie jestem w stanie powstrzymać uśmiechu. To tak jakby Boga – analog znudziiy mrówki wypisujące coś na Jego potężnym palcu u nogi.

Nie widzę Boga – żadnego z nich dwóch – w metasferze. Nawet specjalnie nie próbuję. Mam dość wtasných zmartwień na głowie. Czarne wiry Sieci i wejść do Centrum zniknęły, usunięte z czasu i przestrzeni jak zbyteczne narośla. Nie pozostał po nich nawet ślad. Tkwię tu, dopóki nie zdecyduję się stawić czoła metasferze.

A nie chcę tego. Jeszcze nie.

Na szczęście mam dostęp do Hyperiona. Datasfera niemal zniknęła z jego systemu, lecz na samej planecie i wokół garstki okrętów Armii-kosmos, topniejącej jak lód w słońcu, pozostały jej nędzne resztki. Wyraźnie widzę Grobowce Czasu świecące poprzez metasferę jak latarnie w gęstniejących ciemnościach. Jeśli połączenia transmittersów można było przyrównać do czarnych wirów, grobowce są jasnym światłem przenikającym wszystkie przeszkody.

Kieruję się w ich stronę. Jak dotąd, tylko jako Ten, Który Poprzedza, pojawiłem się w snach innych. Nadszedł czas działania.

Sol czekał.

Minęło wiele czasu, odkąd oddał jedyne dziecko Chyżwarowi. Od szeregu dni nie spał ani nic nie jadł. Wokół niego szalała burza i wreszcie teraz się uspokoiła. Grobowce rzucały wokół jasny blask, a otaczające je prądy czasowe szarpały jego ciałem. Ale chwyciwszy się kamiennych stopni prowadzących do Sfinksa, przetrwał to wszystko. I wciąż czekał.

Na w pół przytomny i pozornie otępiąły z wyczerpania i strachu o córkę, stwierdził, że mimo wszystko jego umysł pracuje na najwyższych obrotach.

Przez większą część życia i całą karierę zawodową Sol Weitraub historyk, klasykista i filozof – zajmował się etyką i badaniem ludzkich zachowań religijnych. Religia i etyka nie zawsze były ze sobą zgodne. Popyt na religijny absolutyzm, fundamentalizm czy relatywizm często ujawniał najgorsze strony współczesnej kultury i uprzedzeń. Żaden z tych kierunków nie budował płaszczyzny, na której wzajemnie żyliby Bóg i człowiek w poczuciu prawdziwej sprawiedliwości. Najbardziej znane dzieło Sola, ostatecznie nazwane „Dylemat Abrahama” i sprzedane w ilościach, o których mu się nawet nie śniło, powstawało, gdy Rachela umierała, gdy toczyła ją choroba Merlina. On zaś stanął



w obliczu tego samego trudnego wyboru co Abraham, nie będąc pewnym, czy w takim przypadku należy być posłusznym Bogu. i poświęcić własne dziecko.

Sol pisał, że prymitywne czasy wymagały prymitywnego, wręcz ślepego posłuszeństwa, lecz późniejsze pokolenia wyewoluowały do punktu, w którym to rodzice poświęcali się dla dzieci. Współcześni ludzie muszą odrzucić wszelką krańcową ofiarność. Argumentował, że jakąkolwiek formę przyjął Bóg w ludzkiej świadomości – jako zwykła manifestacja podświadomości lub bardziej świadoma forma powstała w wyniku filozoficznej i etycznej ewolucji – ludzkość nie mogła się już godzić na ofiary w imię Boże. Ofiary i gotowość ich ponoszenia tylko zalały ludzką historię krwią.

A jednak przed kilkoma godzinami, choć jednocześnie jakby całe wieki temu, wręczył swe ukochane dziecko uosobieniu śmierci.

Od lat jakiś głos w snach nakazywał mu to zrobić. I przez całe lata odmawiał. Wreszcie skapitulował, kiedy już nie było czasu, a wszelkie inne nadzieje wygasły. Uświadomił sobie, że ten głos w snach jego i Sarai nie należał do Boga ani do ciemnej siły, którą reprezentował Chyżwar.

To był głos ich córki.

Z jasnością, która stłumiła w nim ból i smutek, nagle zrozumiał, dlaczego Abraham zgodził się poświęcić Izaaka, gdy Bóg rozkazał mu to zrobić.

To nie był wcale przejaw posłuszeństwa.

Nie chodziło nawet o przedłożenie miłości do Boga ponad miłość ojcowską.

To Abraham sprawdzał Boga.

W ostatniej chwili rezygnując z ofiary i wstrzymując nóż, Bóg zasłużył w oczach Abrahama i jego potomstwa na stanie się ich Bogiem.

Sol aż zadrzał na myśl, że gdyby Abraham podjął jakiegokolwiek próby oszukania Boga, mógł zburzyć przymierze tej potężnej siły z rodzajem ludzkim. Abraham musiał w głębi serca postanowić, że zabije chłopca. Bóstwo, jakąkolwiek formę wtedy przybrało, także musiało mieć pewność co do determinacji Abrahama. Musiało wiedzieć o smutku i gotowości zniszczenia tego, co było dla Abrahama najcenniejsze na świecie.

Abraham robił to nie dla samej ofiary, ale dla upewnienia się raz na zawsze, czy Bóg jest tym Bogiem, któremu można zaufać i być posłusznym. Żaden inny test nie dałby na to jasnej, jednoznacznej odpowiedzi.

Dlaczego więc, myślał Sol, trzymając się kurczowo schodów Sfinksa, który zdawał się unosić i opadać w burzy czasowej, ten sprawdzian został powtórzony? Jakie przerażające, nowe rewelacje znajdowały się w zasięgu ręki człowieka?

I nagle zrozumiał, opierając się na zdawkowych informacjach Brawne, opowieściach pozostałych pielgrzymów i własnych doświadczeniach z ostatnich kilku tygodni, że wysiłek mechanicznego Najwyższego Intelaktu, czymkolwiek on był, by wywabić z ukrycia Współczucie stanowiące część ludzkiego Boga, okazał się bezskuteczny. Sol nie widział już na szczycie urwiska cierniowego drzewa ani jego stalowych gałęzi i cierpiących tłumów, ale wiedział, że ten twór jest organiczną maszyną. Jak Chyżwar. Jest urządzeniem emitującym ból na cały wszechświat, aby zmusić część ludzkiego Boga do ujawnienia się i przeciwdziałania.

Jeśli i Bóg ewoluował, a Sol był pewien, że tak musi się zdarzyć, to zmierzał On właśnie ku współczuciu. Ku chęci dzielenia cierpienia, a nie potędze i dominacji. Ale cierniowe drzewo, które widzieli pielgrzymi i którego ofiarą padł Martin Silenus, nie było skutecznym sposobem na wywabienie z siedliska ukrytej potęgi.

Doszedł do wniosku, że mechaniczny bóg, pod jakąkolwiek występowałby postacią, był na tyle przenikliwy, żeby dojść do wniosku, że współczucie jest odpowiedzią na ból innych, ale jednocześnie zbyt ograniczony, by ustalić, że pojęcie współczucia – zarówno w rozumieniu ludzkim, jak i ludzkiego NI – jest czymś znacznie szerszym. Współczucie i miłość to coś nierozdzielonego i niewytłumaczalnego jednocześnie. Mechaniczny Najwyższy Intelakt nigdy tego nie zrozumie. Nawet w takim stopniu, by wykorzystał to jako przynętę dla tej części ludzkiego NI, która nie chciała wojny, mającej się toczyć



w odległej przyszłości.

Sol wiedział teraz, że miłość, najbanalniejsze z pojęć i najczęściej powielany motyw religijny, niesie w sobie więcej siły niż najpotężniejsze ładunki nuklearne. Uświadomił sobie, że to miłość jest tą drugą siłą. Pustka, Która Łączy – kwantowa niemożliwość przenosząca informacje foton po fotonie – nie była niczym więcej jak miłością.

Ale czy miłość – prosta i banalna ~ mogła uzasadnić to tak zwane prawo entropii, nad którym naukowcy zgodnie kręcili głowami przez ponad siedem wieków, a może i dłużej? Czy tłumaczyło ten niemal nieskończony ciąg zbiegów okoliczności, które doprowadziły do powstania wszechświata akurat z określoną liczbą wymiarów, daną wartościowością pierwiastków, prawami grawitacji, tak a nie inaczej pojawiającymi się gwiazdami, prawami biologii, za sprawą których występują określone wirusy i łańcuchy DNA? Mówiąc krótko, czy tłumaczyła zbieg okoliczności tak absurdalny w swej precyzji i prawidłowości, że przeczyło to logice, zrozumieniu, a nawet interpretacji religijnej? Czy to miłość?

Przez siedem wieków istnienie wielkiej teorii unifikacji, fizyki postkwantowej i narzuconego przez TechnoCentrum pojmowania wszechświata jako nieskończonego i jednolitego tworu, bez anomalii spowodowanych wielkim wybuchem i zagrożeń odpowiadającym mu punktem końcowym, zubożyło i zdegradowało rolę Boga. Boga prymitywnego, antropomorficznego lub skomplikowanego, posteinsteińskiego, a nawet gwaranta bądź twórcy wszelkich zasad. Nowoczesny wszechświat, jak rozumieli go ludzie i maszyny, nie potrzebował swego Stwórcy, a właściwie nie pozostawiał miejsca dla Niego. Obowiązujące tu zasady nie dopuszczały ich kwestionowania ani też żadnych większych zmian. Wszechświat nie ma początku ani końca i znajduje się poza wszelkimi cyklami i zmianami, takimi jak pory roku na Starej Ziemi. Nie ma tu więc miejsca i dla miłości.

Czyżby więc Abraham zgodził się zabić syna, by sprawdzić fantoma?

A Sol wiozł umierającą córkę setki lat świetlnych, pokonując niezliczone przeszkody, zupełnie na darmo?

Ale teraz, gdy zorza rozjaśniła wschodnią część nieba Hyperiona, Weintraub uświadomił sobie, że postępował tak z nakazu czegoś trwalszego i silniejszego niż tenor Chyżwara lub dominacja bólu. Jeśli miał rację, a przecucie podpowiadało mu, że tak jest, miłość była tak mocno zakorzeniona w strukturze wszechświata jak grawitacja czy materia i antymateria. Istniało miejsce dla Boga nie zamkniętego w konkretnej sieci, w jakichś szparach czasoprzestrzeni. Dla Boga stanowiącego nierozzerwalną część wszechświata i ewoluującego wraz z nim. Uczącego się jak to wszystko, co było w stanie uczyć się we wszechświecie. I kochającego, jak potrafi kochać tylko człowiek.

Sol uniósł się na kolana, a potem wstał. Prądy czasu jakby nieco zelżały i postanowił, że po raz kolejny spróbuje dostać się do grobowca.

Jasne światło wciąż biło z otworu, z którego wcześniej wyłonił się Chyżwar, odebrał od niego córkę i zaraz ponownie tam zniknął. Weintraub wspiął się po schodach.

Przypomniał sobie, jak na rodzinnym świecie Barnarda Rachela, mająca wtedy dziesięć lat, usiłowała wdrapać się na najwyższy więz w mieście i spadła, gdy do szczytu pozostało jej nie więcej niż pięć metrów. Kiedy pognał ile sił w nogach do centrum medycznego, znalazł ją w zbiorniku z substancjami odżywczymi, z przebitym płucem, złamanymi żebrami i nogą, zadrutowaną szczęką i niezliczonymi sińcami oraz otarciami. Uśmiechnęła się do niego, uniosła kciuk i mimo częściowo zablokowanej szczęki powiedziała niewyraźnie:

– Następnym razem mi się uda!

Soli Sarai siedzieli wtedy całą noc przy łóżku śpiącej Racheli. Czekali aż do rana. Ojciec ani na chwilę nie wypuścił dłoni dziecka. Teraz też czekał.

Prądy czasowe wciąż próbowały odepchnąć go od wejścia do Sfinksa, ale on, pochyliwszy się do przodu, naparł na nie i stał w miejscu jak potężna skała. Do pokonania pozostało mu jeszcze pięć metrów.

Nagle uniósł wzrok i zobaczył smugę fuzyjną lądującego statku kosmicznego. Od-



wrócił głowę w jego stronę, ale nie cofnął się ani o krok, nawet wówczas gdy jednostka stanęła już na ziemi i wysiadły z niej trzy postacie. Patrzył na nie, nasłuchując jednocześnie okrzyków z głębi doliny. Wreszcie kątem oka ujrzał znajomą sylwetkę, z przewieszonym przez ramię ciałem, zbliżającą się od strony Nefrytowego Grobowca.

Nic nie mogły być ważniejsze od córeczki. Czekał więc na Rachelę.

Nawet bez datasfery moja osobowość jest w stanie poruszać się w przypominającej zupełnie Pustce, Która łączy otaczającej teraz Hyperiona. Korci mnie, by odwiedzić Tego, Który Będzie, ale mimo że jego jasność dominuje w metasferze, nie jestem jeszcze do tego gotów. Pozostaję przecież tylko skromnym Johnem Keatsem, a nie Janem Chrzycielem.

Sfinksa – grobowiec powstały na podobieństwo prawdziwego zwierzęcia, które nie zostanie stworzone przez inżynierów genetycznych jeszcze przez wieki – otaczają wiry energetyczne. Tak naprawdę mój rozszerzony wzrok rejestruje kilka Sfinksów: anty-entropijny grobowiec przenoszący swą zawartość w osobie Chyżwara wstecz czasu, niczym szczelnie zamknięty pojemnik ze śmiertelnym zarazkiem; aktywny, niestały Sfinks, który spowodował zarażenie Racheli Weintraub podczas prób otwarcia przejścia w czasie, oraz już otwarty, poruszający się zgodnie z czasem. Ten ostatni świeci jasno i jest drugim pod względem intensywności źródłem na Hyperionie, po Tym, Który Będzie.

Opuszczam się ku niemu i w tym momencie widzę, jak Sol Weintraub oddaje córkę Chyżwarowi.

Nie byłbym w stanie przeciwdziałać temu, nawet gdybym był tu wcześniej. Nie zrobiłbym tego, nawet gdybym mógł. Los światów poza ludzkim pojęciem zależy od tego aktu.

Czekam więc, aż Chyżwar minie mnie niosąc delikatną zdobycz. Wyraźnie widzę niemowlę. Ma kilka sekund życia, jest wilgotne, czerwone i pomarszczone. Krzyczy całą siłą nieprzywykłych jeszcze do oddychania płuc. Jako kawalerowi i poecie trudno mi zrozumieć, dlaczego ten nieestetycznie wyglądający noworodek wywiera tak ogromny wpływ na cały wszechświat.

Niemniej widok tego ciała – choć nazwałbym je brzydkim trzymanego w kolczastej dłoni potwora i we mnie wywołuje poruszenie.

Zrobiwszy trzy kroki wewnątrz Sfinksa, Chyżwar przenosi siebie i dziecko o kilka godzin do przodu. Na zewnątrz potok czasu przyśpiesza swój bieg. Jeśli nie zdecyduję się na działanie w ciągu kilku najbliższych sekund, będzie za późno – Chyżwar użyje tego portalu do zabrania niemowlęcia gdzieś w odległą przyszłość.

Nagła refleksja. Przed moimi oczami staje widok pajaków wysysających płyny z wnętrza swej zdobyczy i os umieszczających swe larwy w sparaliżowanych ciałach ofiar, stanowiących dla nich wspaniałe źródło pożywienia i zapewniających bezpieczeństwo.

Muszę działać, ale jestem przecież bezpostaciowy, jak w TechnoCentrum. Chyżwar przechodzi przede mną, jakbym był niewidocznym hologramem. Mój analog jest tu na nic, bezsilny i bezpostaciowy jak smużka bagiennego gazu.

Ale bagienny gaz nie potrafi myśleć, a John Keats tak.

Chyżwar daje kolejne dwa kroki i znów dla Sola i wszystkich na zewnątrz mija kilka godzin. Widzę krew na drobnym ciałku, w miejscach gdzie zraniły je zakończone ostrzami palce.

Do diabła z tym!

Na szerokiej kamiennej podstawie Sfinksa, ogarniętej teraz polami przenikającymi grobowiec, leżą plecaki, koce, pojemniki z prowiantem i reszta sprzętu pozostawiona przez pielgrzymów

Pośród nich znajduje się także sześcian Móbiosa.

Został zamknięty przy użyciu pola siłowego ósmej klasy, na pokładzie drzewostatku



templariuszy, gdy Prawdziwy Głos Drzewa – Het Masteen – sposobił się do długiej wyprawy. W środku znajdował się erg – niewielkie stworzenie, być może pozbawione inteligencji, przynajmniej według ludzkich standardów, ale ewoluujące na odległych światach i umiejące sterować polami siłowymi potężniejszymi od tych, które znał człowiek.

Templariusze i Intruzi od pokoleń potrafili się z nimi porozumiewać. Ci pierwsi kozystali z ich pomocy kierując swymi przepięknymi drzewostatkami.

Het Masteen przebył z tym osobnikiem setki lat świetlnych, by dopełnić umowy z Kościołem Ostatecznej Pokuty i odlecieć cierniowym drzewem Chyżwara. Ale widząc potwora i drzewo cierpienia, templariusz nie był w stanie wypełnić powierzonego mu zadania. I zginął.

Ale pozostał przecież sześcian Móbiusa. Erg był teraz dla mnie widoczny jako sfera emanującej czerwienią energii.

Za ciemną kurtyną majaczyła postać Sola Weintrauba poruszająca się w przyspieszonym tempie poza czasowym polem Sfinksa. Ale sześcian znajdował się już w jego zasięgu.

Rachela krzyczała ze strachu znanego już nowo narodzonemu dziecku. Strachu przed spadaniem. Strachu przed bólem. A może i strachu przed samotnością.

Chyżwar wykonał kolejny krok i dla tych na zewnątrz upłynęła godzina.

Nie miałem fizycznej postaci, ale pola energetyczne to coś, czego może dotknąć nawet analog TechnoCentrum. Bez problemu usunąłem więc zabezpieczenia zamykające sześcian. I uwolniłem erga.

Templariusze komunikują się z nimi za pomocą promieniowania elektromagnetycznego w postaci zakodowanych impulsów... ale przede wszystkim poprzez niemal mistyczną formę kontaktu, znaną tylko Braterstwu i nielicznym Intruzom. Naukowcy nazywają to prymitywną telepatią. Tak naprawdę to niemal czyste współczucie.

Chyżwar robi kolejny krok zbliżając się do portalu otwartego na przyszłość. Rachela wydaje z siebie krzyk, będący skargą kogoś, kto po raz pierwszy widzi otaczający go wszechświat. Erg wydostaje się z sześcianu Mobeuse, pojmuję, czego od niego oczekuję, i łączy się z moją świadomością. John Keats nabiera formy i ciała.

Błyskawicznie doskakuję do Chyżwara, porywam niemowlę z jego dłoni i cofam się natychmiast. Nawet w energetycznym wirze oplatającym Sfinksa wyczuwam zapach nowo narodzonego dziecka, gdy przyciskam je do piersi, a policzkiem dotykam wilgotnej główki.

Chyżwar odwraca się zaskoczony. Czworo ramion prostuje się, ostrza wieńczące palce wydłużają, a czerwone ślepia wpatrują we mnie. Ale potwór jest już zbyt blisko portalu. Nieuchronnie się oddala. Jego szczęki rozwierają się i stalowe zęby zgrzytają w bezsilności, gdy staje się tylko malejącym w oddali punktem.

Odwracam się do wyjścia, lecz jest zbyt odległe. Energia erga wystarczyłaby do pociągnięcia mnie pod prąd, ale nie z Rachelą. Przeniesienie żywej istoty wbrew potężnej sile to dla mnie zbyt dużo, nawet z pomocą erga.

Niemowlę płacze, więc kołyszę je łagodnie, szepcząc cokolwiek przychodzi mi do głowy do jego ciepłego uszka.

Jeśli nie jesteśmy w stanie się wycofać, to przez chwilę poczekamy w miejscu. Może ktoś przyjdzie nam z pomocą.

Oczy Marona Silenusa rozszerzył strach, więc Brawne Lamia odwróciła się pośpiesznie. Zobaczyła Chyżwara wiszącego w powietrzu ponad nimi, nieco z tyłu.

– Cholera jasna – szepnęła dziewczyna z nabożeństwem.

W Pałacu Chyżwara rzędy śpiących ludzi poruszyły się jak na komendę. Wszyscy z wyjątkiem Silenusa wciąż byli połączeni z cierniowym drzewem za pomocą pulsujących pępowin.

Jakby chcąc zademonstrować, jaką potęgą dysponuje, potwór zamarł na moment, rozpostarł ramiona i wzniósł się pionowo trzy metry w górę, tak że zawisł wysoko ponad



dwójką pielgrzymów.

– Zrób coś – szepnął Silenus. Wyrwał się już z otępienia, ale wciąż był zbyt słaby, aby samodzielnie unieść głowę.

– Jakiś pomysł? – zapytała dziewczyna starając się nie okazywać strachu, choć jej głos wyraźnie drżał.

– Zaufanie – rozległ się czyjś głos Brawne spojrzała w stronę, z której dochodził. Młoda kobieta, którą w grobowcu Kassada rozpoznała jako Monetę, stała obok.

– Pomocy! – zawołała do niej.

– Zaufanie – powtórzyła Moneta i zniknęła.

Chyżwar w ogóle jej nie zauważył. Opuścił ramiona i ruszył przed siebie, jakby szedł po stałym gruncie, a nie w powietrzu.

– Cholera – mruknęła Brawne.

– Znowu to samo – jęknął poeta. – Z widelca prosto w pieprzony ogień.

– Zamknij się – syknęła dziewczyna. Po chwili wymamrotała Zaufanie do czego? Do kogo?

– Zaufaj pieprzonemu Chyżwarowi, pozwól mu porwać nas oboje i nadzieć na tę swoją cholerną roślinkę. – Silenus z ogromnym wysiłkiem chwycił towarzyszkę za ramię. – Wolę natychmiastową śmierć niż powrót w tamto miejsce, Brawne.

Na moment dotknęła jego dłoni, po czym stanęła wyprostowana, patrząc na Chyżwara.

Zaufanie? Wyciągnęła nogę, ale natrafiła na pustkę. Zamknęła oczy, a gdy po chwili otworzyła je ponownie, pod stopą wyczuła mocne oparcie. Popatrzyła w dół.

Niczego tam nie było.

Zaufanie? Brawne przeniosła ciężar ciała na uniesioną nogę i na sekundę zamarła w tej pozycji. Wyżej było tak samo.

Wspięła się po niewidzialnych schodach i wreszcie stanęła na poziomie Chyżwara, z dziesięć metrów ponad kamienną podłogą. Potwór jak gdyby uśmiechnął się do niej i znów rozpostarł ramiona. Jego korpus lśnił w słabym świetle, a z czerwonych ślepiów bił blask.

Zaufanie? Czując przyływ adrenaliny, Brawne ruszyła po niewidocznej płaszczyźnie, zmierzając wprost w objęcia Chyżwara.

Usłyszała skrzypienie rozcinanej tkaniny swego ubrania, gdy stwór zaczął ją obejmować i przyciągać ku potężnym, zakrzywionym ostrzom wyrastającym na jego piersi i rzędom błyszczących stalowych zębów. Wciąż stojąc pewnie w powietrzu, dziewczyna pochyliła się naprzód i przyłożyła dłoń do piersi Chyżwara, czując dreszcz wywołany zimnem metalu, a jednocześnie gorąco energii, którą emitowała i która przenikała całe jej ciało.

Ostrza zatrzymały się, sięgając tylko skóry. Chyżwar zamarł, jakby otaczająca ich energia odebrała mu zdolność poruszania się.

Brawne oparła dłoń na jego szerokiej piersi i naparła na nią.

Blask odbijającego się od jego ciała światła zbladł i stał się zimny, jakby przenikał przez kryształ lub szkło.

Dziewczyna stała w pustce, w objęciach trzymetrowej wysokości szklanego posągu Chyżwara. Na jego piersi, w miejscu gdzie powinno znajdować się serce, coś przypominającego ogromną czarną ćmę zatrzepotało nagle skrzydłami o szkło.

Brawne odetchnęła głęboko i pchnęła jeszcze raz. Potwór zachwiał się i coraz szybciej zaczął zsuwać się po niewidzialnej pochylni. Schyliła się, unikając jego wciąż niebezpiecznych kling, gdy szklany Chyżwar nieoczekiwanie wykonał w powietrzu półtora salta i uderzywszy o podłogę rozprysnął się na tysiące odłamków.

Brawne obróciła się, uklękła na niewidzialnej powierzchni i zaczęła pełznąć w stronę Martina Silenusa.

Gdy zostało jej jeszcze najwyżej pół metra, dotychczasowa pewność zawiodła ją. Niewidzialne oparcie zniknęło i upadła ciężko, skręcając nogę w kostce. Spadła na skraj



kamiennej płyty i utrzymała się na niej tylko dzięki temu, że chwyciła poetę za kolano. Klnąc z powodu bólu w barku, uszkodzonego nadgarstka, skręconej kostki, podciągnęła się na platformę i legła obok Silenusa.

– Jakies gówno się tu dzieje, odkąd zniknąłem – rzekł ochryple Martin Silenus. – Możemy stąd zwiewać, czy zamierzasz teraz na bis pochodzić trochę po wodzie?

– Zamknij się – ucięła drżącym głosem, lecz tym razem te dwa słowa zabrzmiały jak pieszczota.

Odoczywała chwilę, zastanawiając się, w jaki sposób będzie najłatwiej ściągnąć wciąż słabego poetę na dół. Stwierdziła, że najlepiej przerzucić go sobie przez ramię. W ten sposób zniosła go po schodkach i przemierzyła usianą odłamkami szkła podłogę. Byli już przy wyjściu, kiedy poeta bezceremonialnie huknął ją pięścią w plecy.

– Co z królem Billym i innymi?

– Później – rzuciła Brawne oddychając z trudem i wyszła na zewnątrz, gdzie właśnie wschodziło słońce.

Pokonała dwie trzecie długości doliny, wciąż dźwigając Silenusa przerzuconego przez ramię jak worek, kiedy poeta zapytał:

– Brawne, nadal jesteś w ciąży?

– Tak – odpowiedziała, z całego serca pragnąc, by okazało się to prawdą po tak ciężkich ostatnich przejściach.

– Może wolisz, żebym teraz ja cię trochę poniósł?

– Zamknij się – rzuciła podążając ścieżką i mijając Nefrytowy Grobowiec.

– Patrz – szepnął Silenus wisząc wciąż głową do dołu.

W bladym świetle dnia Brawne dostrzegła czarny statek konsula lądujący na wznieśieniu u wejścia do doliny. Ale nie na to zwracał jej uwagę towarzysz.

Sol Weintraub stał na tle blasku bijącego z wejścia do Sfinksa z wysoko wniesionymi ramionami.

Ktoś lub coś wyłaniało się akurat z jasnego otworu.

Sol ujrzał ją pierwszy. Postać pośród potoku światła i prądów czasu. Kobietę na tle emanującego jasnością portalu. Kobietę, która coś niosła. Niemowlę.

W wyjściu pojawiła się jego Rachela – taka jaką widział po raz ostatni. Młodą kobietę wybierającą się, by podjąć pracę naukową na planecie zwanej Hyperion, mającą dwadzieścia kilka lat, teraz może nieco starszą. Ale bez wątplenia była to Rachela. Rachela o miedzianych włosach przyciętych równo i opadających na czoło, zaróżowionych policzkach, jakby czymś podekscytowaną, z łagodnym uśmiechem na ustach, teraz nieco bladymi oczami, tymi charakterystycznymi, wielkimi zielonymi oczami z brązowymi żyłkami, utkwionymi w Solu.

Rachela niosła Rachelę. Niemowlę z główką wspartą na jej ramieniu i dłońmi co chwila zaciskającymi się w pięści, jakby nie mogło się zdecydować, zacząć płakać czy nie.

Sol stał nie będąc w stanie się ruszyć. Spróbował się odezwać, ale przez zaciśnięte gardło nie wydobył się żaden dźwięk. Udało mu się dopiero przy drugiej próbie:

– Rachelo...

– Ojczy. – Młoda kobieta podeszła do naukowca i wolną ręką uściśnęła go, uważając jednocześnie, by nie zrobić krzywdy maleństwu. Sol ucałował dorosłą córkę, uściśnął ją i wciągnął do płuc zapach jej włosów. Od razu wiedział, że to jego córka. Odebrał jej niemowlę, które sprawiało wrażenie, jakby w każdej chwili gotowe było się rozplakać. Rachela, którą przywiózł na Hyperiona, była bezpieczna w jego objęciach. Malutka, z czerwoną twarzą wykrzywioną z wysiłku, wzrokiem wodziła po twarzy ojca. Sol podtrzymał jej delikatną główkę i dłuższą chwilę uważnie przyglądał się dziecku, nim zwrócił się ku kobiecie.

– Czy ona...

– Rozwija się normalnie – odparła córka przyodziana w powłóczystą szatę wykonaną z jakiegoś miękkiego brązowego materiału.



Sol pokręcił głową, gdy uśmiechnęła się do niego. Na policzkach miała takie same dołeczki jak niemowlę, które trzymał.

Jeszcze raz z niedowierzaniem pokręcił głową.

– Jak... jak to możliwe?

– To nie potrwa długo – wyjaśniła Rachela.

Sol pochylił się i jeszcze raz ucałował dorosłą córkę w policzek. Uświadomił sobie, że płacze, ale nie miał wolnej ręki, by otrzeć łzy. Zrobiła to za niego Rachela, ścierając je delikatnie wierzchem dłoni.

Dały się słyszeć pośpieszne kroki, a gdy Sol popatrzył przez ramię, ujrzał trzech mężczyzn ze statku, zatrzymujących się u stóp schodów i oddychających ciężko po dłuższym biegu. Obok nich Brawne Lamia pomagała właśnie Silenusowi usiąść na kamieniu.

– Rachela... – szepnął Melio Arundez, a w jego oczach zalśniły łzy. – Rachela? – zdziwił się poeta, zerkając na Brawne.

Ta stała z otwartymi ustami.

– To Moneta – rzekła bezwiednie unosząc rękę. – Jesteś Monetą, prawda? Monetą Kassada.

Rachela przytaknęła, a uśmiech odpłynął z jej twarzy.

– Została mi minuta, może dwie. A mam wam wiele do powiedzenia.

– Nie – zaprotestował Sol, przyciskając ją do siebie. – Musisz zostać. Chcę, żebyś ze mną została.

Rachela znów się uśmiechnęła.

– Zostanę z tobą, tato – powiedziała cicho, wolną ręką wskazując główkę niemowlęcia. – Ale tylko jedna z nas może być przy tobie... a ona potrzebuje cię bardziej niż ja. – Zwróciła się ku grupie stojących poniżej. – Słuchajcie mnie wszyscy.

Gdy słońce wyłoniło się ponad horyzontem i swoimi promieniami sięgnęło ruin Miasta Poetów, statku konsula oraz szczytów Grobowców Czasu, Rachela pośpiesznie opowiedziała zgromadzonym swą historię. Została wybrana, by być wychowaną w przyszłości, kiedy toczyła się ostateczna wojna między stworzonym przez TechnoCentrum Najwyższym Intelpektem i ludzkim duchem. Według jej słów była to przyszłość wspaniałych, a zarazem przerażających tajemnic. Ludzkość rozproszyła się po całej Galaktyce i zaczęła podróżować jeszcze dalej.

– To znaczy także do innych galaktyk? – zapytał Theo Lane.

– Do innych wszechświatów – odparła z uśmiechem Rachela.

– Pułkownik Kassad znał cię jako Monetę – rzekł Martin Silenus.

– Nie. Dopiero pozna mnie jako Monetę. Widziałam, jak ginie i towarzyszyłam jego grobowcowi w podróży czasowej wstecz. Wiem, że częścią mojej misji jest spotkanie z tym legendarnym wojownikiem i poprowadzenie go do ostatecznej bitwy. Ale jak na razie jeszcze się nie poznaliśmy. – Popatrzyła na Kryształowy Monolit. – Moneta. Po łacinie znaczy to „przestrzegająca”. Pozwolę mu wybrać między tym a Mnemosyne – pamięcią.

Sol ani na chwilę nie wypuszczał dłoni córki.

– Podróżujesz wstecz czasu wraz z grobowcami? Dlaczego? Jak?

Rachela uniosła głowę i promienie słońca rozświetliły jej twarz.

– Takie mam zadanie, tato. To mój obowiązek. Otrzymałam władzę pozwalającą mi trzymać Chyżwara w szachu. Tylko ja zostałam do tego... przygotowana.

Sol wyżej uniosł niemowlę. Wyrwane ze snu, wypuściło z ust pęcherzyki śliny, przytuliło główkę do piersi ojca i zacisnęło piąstki na połach jego koszuli.

– Przygotowana? Chodzi ci o chorobę Merlina?

– Tak.

Sol pokręcił głową.

– Ale przecież nie zostałam wychowana w jakimś tajemniczym świecie w przyszłości. Dorastałam w miasteczku uniwersyteckim Crawford, na ulicy Fertig, na Barnardzie, a twoje... – urwał.



Rachela pokiwała głową.

– Ona będzie tam dorastać. Tato, przykro mi, ale muszę iść. – Oswobodziła rękę, zeszła po schodach i pogłaskała dłonią policzek Melio Arundeza. – Przepraszam za ból wspomnień – szepnęła do zaskoczonego archeologa. – Dla mnie było to, dosłownie, inne życie.

Arundez opuścił głowę i ścisnął jej dłoń.

– Jesteś żonaty? – zapytała. – Masz dzieci?

Archeolog przytaknął, wykonał gest, jakby chciał sięgnąć do portfela po zdjęcia żony i dzieci, ale wstrzymał się i tylko ponownie pokiwał głową.

Rachel uśmiechnęła się, pocałowała go w policzek i wycofała się po schodach. Zapanował już dzień, ale światło bijące z wejścia do Sfinksa wciąż stawało się jaśniejsze.

– Tato – powiedziała. – Kocham cię.

Sol poczuł ucisk w gardle. Odchrząknął głośno.

– Jak... jak można do ciebie dołączyć... gdzieś tam?

Dziewczyna wskazała na wejście do Sfinksa.

– Dla niektórych będzie dostępny portal do czasów, o których mówiłam. Ale, tato... – zawahała się. – To oznaczałoby konieczność ponownego wychowywania mnie. Boleśnego przechodzenia przez moje dzieciństwo już po raz trzeci. Nie można tego wymagać od żadnego rodzica.

Sol uśmiechnął się.

– Żaden rodzic nigdy tego nie odmówi, Rachela. Czy nadejdzie taki czas, że wy obie...?

– Czy będziemy żyć obok siebie? Nie. Znów ruszę w przeciwną stronę. Nie wyobrazasz sobie, jakie miałam problemy z nakłonieniem Rady Paradoksu do zgody na to spotkanie.

– Rady Paradoksu? – powtórzył Sol.

Rachela westchnęła ciężko. Cofnęła się, aż dotykała ojca tylko końcami palców.

– Muszę iść, tato.

– Czy będę... – popatrzył na niemowlę. – Czy będziemy tam... sami?

Rachela wybuchnęła śmiechem tak dobrze znanym, że zrobiło mu się ciepłej na sercu.

– Och nie, nie będziecie sami. Są tam wspaniali ludzie. I wspaniałe rzeczy, których się nauczycie i którymi będziecie się zajmować. Zobaczycie wspaniałe miejsca... – Rozejrzała się. – Miejsca, których nie wyobrażaliśmy sobie w najśmielszych marzeniach. Nie, tato, nie będziecie sami. I ja tam będę, ze swoim dziecięcym uporem i młodzieńczą zarozumiałością. Poczekaj, zanim przekroczysz portal, tato! – zawołała oddalając się. – To nie boli, ale kiedy już się go przejdzie, nie ma drogi powrotnej.

– Rachelo, poczekaj! – zawołał za nią Sol.

Córka nie zatrzymała się jednak i wstąpiła w krąg światła. Uniosła rękę.

– Siemanek, staruszku. Sol odpowiedział tym samym gestem.

– Dowidzonek, córeczko.

Dorośla Rachela zniknęła.

Niemowlę znów się przebudziło i zaczęło płakać.

Upłynęła ponad godzina, nim Sol oraz cała reszta powrócili do Sfinksa. W tym czasie udali się na statek konsula, by opatrzyć rany Brawne i Martina, zjeść posiłek, a także wyposażyć Sola i jego malutką córeczkę na drogę.

– To dziwne uczucie pakować się do podróży, która bardzo przypomina przekroczenie portalu transmittera – rzekł Sol. – Ale jeśli w tej podobno wspaniałej przyszłości nie będzie pieluszek ani nie wyszukamy właściwego pokarmu, znajdziemy się w poważnych kłopotach.

Konsul roześmiał się głośno i postawił pełen plecak na kamiennych schodach.

– To powinno wystarczyć wam co najmniej na pierwsze dwa tygodnie. Jeśli do tego czasu nie znajdziecie potrzebnego wyposażenia, udajcie się do jednego ze wszechświa-



tów, o których wspominała Rachel.

Filozof pokręcił głową.

– Czy to wszystko dzieje się naprawdę?

– Poczekaj kilka dni – poradził Melio Arundez. – Zostań z nami, aż sprawy się ułożą. Nie ma przecież pośpiechu. Przyszłość zawsze będzie na Ciebie czekać.

Sol palcami głaskał brodę, karmiąc niemowlę mlekiem zsintetyzowanym przez statki.

– Nie ma pewności, że ten portal będzie stale otwarty. Poza tym wolę mieć to już za sobą. Jestem za stary na wychowywanie dziecka... szczególnie w zupełnie nieznanym świecie.

Arundez położył dłoń na ramieniu Sola.

– Pozwól mi sobie towarzyszyć. Umieram z ciekawości, jak tam jest.

Naukowiec uśmiechnął się i zdecydowanie uścisnął dłoń archeologa.

– Dziękuję, przyjacielu. Ale masz przecież żonę i dzieci... na Renesansie, prawda?... Oni czekają na twój powrót. Czekają Cię własne problemy i obowiązki.

Arundez pokiwał głową i popatrzył w niebo.

– Jeśli da się wrócić...

– Wrócimy – stwierdził zdecydowanie konsul. – Wciąż dysponujemy napędem Hawkinga, nawet jeśli Sieć przestała istnieć. Wpadniesz w kilka lat długu czasowego, Melio, ale wrócisz.

Sol dokończył karmienie dziecka, uniósł je do pionu i delikatnie poklepał w plecki. Popatrzył po twarzach zebranych.

– Wszyscy mamy jakieś obowiązki.

Uścisnął dłoń Martina Silenusa. Poeta wcześniej odmówił poddania się kąpieli w substancjach odżywczych i zbadania pozostałości po przyłączy mózgowym.

– Będziesz kontynuował swój poemat? – zapytał go Sol.

Silenus zaprzeczył ruchem głowy.

– Dokończyłem go wisząc na drzewie. I odkryłem tam coś jeszcze.

Naukowiec zaintrygowany uniósł brwi.

– Nauczyłem się, że poeci nie są Bogami, ale jeśli Bóg istnieje... albo coś zbliżonego do Niego... to On jest poetą.

Dziecku odbiło się głośno.

Martin Silenus uśmiechnął się i jeszcze raz mocno ścisnął dłoń Sola.

– Pokaż im, co umiesz. Powiedz, że jesteś ich praprapradziadem i jeśli będą się źle zachowywać, skopiesz im dupy.

Sol pokiwał głową i zwrócił się do Brawne Lamii.

– Widziałem, jak poddałaś się badaniom w medycznym sektorze statku – rzekł. – Czy z Tobą i z dzieckiem wszystko w porządku?

– Tak, nic nam nie jest – odpowiedziała wesoło.

– Chłopiec czy dziewczynka?

– Dziewczynka.

Sol pocałował ją w policzek. Pogładziła jego brodę i odwróciła głowę, by ukryć łzy, niegodne twardego prywatnego detektywa, jakim przecież była.

– Dziewczynki sprawiają same kłopoty – stwierdził wyplątując paluszki malej Racheli ze swojej brody i loków Brawne. – Wymień ją na chłopca przy pierwszej nadarzącej się sposobności.

– Dobrze.

Po kolei uścisnął dłonie konsula, Theo oraz Melio i zarzucił plecak, podczas gdy Brawne przytrzymała niemowlę. Gdy z powrotem wziął dziecko w ramiona, rzekł bez troski:

– Dopiero byłby numer, gdyby ten portal nie zadziałał.

Konsul zmrużył oczy patrząc wprost w rażący blask wejścia.

– Nie ma obawy. Tyle tylko, że moim zdaniem nie jest to żaden transmiter.



– To machina czasu – mruknął Silenus. – Jeśli zadziała, na pewno nie będziesz sam. Za tobą pójdą tysiące.

– Oczywiście jeśli zezwoli na to Rada Paradoksu – rzekł Sol, skubiąc brodę, jak zwykł to robić rozmyślając. Wreszcie ocknął się, poprawił plecak i ruszył przed siebie. Tym razem bez trudu przekroczył powstrzymującą go wcześniej barierę.

– Żegnajcie, wszyscy! – zawołał. – Na Boga, warto było, prawda?
Odwrócił się ku światłu i po chwili on i dziecko zniknęli.

Absolutne milczenie trwało dobrych kilka minut. Wreszcie przerwał je konsul:

– Wracamy na statek?

– Dla nas lepiej sprowadź windę – rzekł Martin Silenus. – M. Lamia nie musi z niej korzystać.

Brawne spojrzała na starego poetę.

– Sądzicie, że chodzenie w powietrzu było możliwe dzięki Monecie? – zapytał Arundez, nawiązując do wcześniej relacjonowanych zdarzeń.

– Na pewno – stwierdziła zdecydowanie Brawne. – To bez wątpienia osiągnięcie przyszłej nauki...

– Tak – mruknął poeta. – Przyszła nauka... A jeśli w tobie drzemie ukryta moc, która pozwoliła ci lewitować i zamienić potwora w kawałek szkła?

– Zamknij się – rzuciła dziewczyna, tym razem ostrym tonem. Popatrzyła do tyłu przez ramię. – Kto może zagwarantować, że lada chwila nie pojawi się inny Chyżwar?

– To prawda – przyznał konsul. – Podejrzewam, że jakiś Chyżwar i opowieści o nim towarzyszyły nam od zawsze.

Theo Lane, jak zwykle z zakłopotaną miną, odchrząknął i odezwał się cicho:

– Patrzcie co znalazłem pośród bagaży złożonych u podnóża Sfinksa. – Pokazał trójstrunowy instrument, z długim gryfem i barwnymi rysunkami na pudle rezonansowym. – To gitara?

– Bałałajka – wyjaśniła Brawne. – Należała do ojca Hoyta.

Konsul sięgnął po instrument i zagrał na nim kilka akordów.

– Znacie tę piosenkę?

Zagrał kolejnych kilka dźwięków.

– Jakaś świńska przyśpiewka? – palnął poeta.

Dyplomata pokręcił głową.

– To musi być coś starego – stwierdziła dziewczyna.

– Wydaje mi się, że to „Gdzieś ponad tęczę” – rzekł wolno Melio.

– To musi być coś nie z moich czasów – mruknął Theo Lane.

– Skomponowano ją, zanim się urodziliśmy – wyjaśnił konsul. Chodźcie. Przez drogę nauczę was słów.

Idąc ramię przy ramieniu w ciepłych promieniach słońca, próbując chórem śpiewać coraz to dłuższe fragmenty piosenki, wspinali się po zboczu ku czekającemu statkowi.



EPILOG

Pięć i pół miesiąca później będąca w siódmym miesiącu ciąży Brawne Lamia wsia-
dła rano do sterowca odlatują tego na północ, do Miasta Poetów, gdzie miało odbyć się
przyjęcie pożegnalne konsula.

Stolica, nazywana Jacktown przez tubylców, członków załóg jednostek Armii i In-
truzów, prezentowała się czysto i schludnie w świetle poranka, gdy sterowiec odcumo-
wał od wieży i ruszył wzdłuż rzeki Hoolie.

Największe miasto Hyperiona ucierpiało podczas walk, ale większość zniszczeń zo-
stała już usunięta. Znaczna część spośród trzech milionów robotników z plantacji pla-
stowłókników oraz mieszkańców mniejszych miast południowego kontynentu, którzy
szukali tu ochrony przed Intruzami, zdecydowała się osiedzić tu na stałe. Stolica powięk-
szyła się więc znacznie, lecz tylko jej stara część była zelektryfikowana i skanalizowana.

Budynki lśniły bielą w słońcu, a powietrze wypełniały zapachy wiosny. Brawne pa-
trząc w dół na nowo budowane drogi i mnóstwo łodzi na rzece uznała to za dobry znak
na przyszłość.

Bitwa w przestrzeni kosmicznej Hyperiona nie trwała długo po zniszczeniu Sieci.
Okupowanie przez Intruzów portu kosmicznego i całej stolicy zakończyło się zawarciem
traktatu pokojowego z Radą Władz Lokalnych, w imieniu której swe podpisy złożyli kon-
sul i były generalny gubernator Theo Lane. Niemal sześć miesięcy po rozpadzie Sieci
ruch w porcie kosmicznym ograniczał się do wizyt promów należących do resztek floty
Armii oraz znacznie częstszych odwiedzin Intruzów. Obecność tych ostatnich na ulicach
Jacktown przestała już dziwić kogokolwiek.

Brawne zatrzymała się w „Cicero”, w dużym pokoju na trzecim piętrze starego
skrzydła budynku. W tym czasie Stan Leweski odbudowywał zniszczoną część legen-
darnej knajpy.

– Boże, do czego to podobne, żeby pomagała mi kobieta w ciąży! – wykrzykiwał
za każdym razem, gdy Brawne proponowała pomoc. W końcu, pomimo obiekcji restau-
ratora, zawsze znajdowało się dla niej coś do roboty. Może i była w ciąży, ale nadal
pozostawała Luzyjką, a jej mięśnie nie straciły tężyzny pomimo kilku miesięcy pobytu
na Hyperonie, w warunkach słabszegociążenia.

Stan podwiózł ją tego ranka do wieży cumowniczej i pomógł wnieść osobiste бага-
że i pakunek przeznaczony dla konsula. Dodatkowo wręczył jej niewielkie zawiniątko.

– Czeka cię cholernie nudna podróż – mruknął. – Musisz mieć się czym zająć, praw-
da?

Prezenterem okazał się reprint tomiku poezji Johna Keatsa wydanego w roku 1817,
własnoręcznie oprawiony w skórę przez Leweskiego.

Brawne zawstydziła właściciela „Cicero” i wywołała powszechne zainteresowanie
ściskając go tak, że aż zatrzeszczały kości.

– Dojść już tego, do cholery – wysapał Stan. – Powiedz konsulowi, że chcę z bliska
zobaczyć jego gębę, zanim przekażę swoją ruderę synowi. Nie zapomnisz?

Dziewczyna potakująco kiwnęła głową i pomachała ręką na pożegnanie. Nie prze-
stawała pozdrawiać go ani na chwilę, gdy zdejmowano cumy, odczepiano balast i potęż-
ny sterowiec uniósł się ponad dachami domów.

Teraz, gdy jednostka opuściła już przedmieścia i leciała na północ wzdłuż rzeki,
oczom Brawne ukazała się panorama miasta z górującą nad nim, wykutą w skalistym
zboczu twarzą Smutnego Króla Billy’ego. Jeden z jego policzków przeorała długa na dzie-
sięć metrów szrama pozostała po trafieniu wiązką lasera.

Uwagę Brawne zwrócił jednak północno – zachodni stok góry, na którym powstawa-
ła jeszcze większa płaskorzeźba. Mimo zastosowania nowoczesnego sprzętu użyczono-
go przez Armię prace posuwały się powoli i obecnie dopiero było widać kontury orlego
nosa, łuków brwiowych, szerokich ust i poważnych, inteligentnych oczu. Wielu obywa-



teli Hegemonii pozostałych na Hyperionie protestowało przeciw umieszczeniu tu podobizny Meiny Gladstone, ale Rithmet Corber III – prawnuk rzeźbiarza będącego twórcą wizerunku Smutnego Króla Billy’ego, a jednocześnie właściciel góry – oświadczył bez ogródek, by pocałowano go gdzieś, i zabrał się do pracy. Jeszcze rok, może nieco więcej i dzieło zostanie zakończone.

Brawne westchnęła i oparła dłoń na wydatnym brzuchu w pozie, która zawsze ją raziła, gdy obserwowała ciężarne kobiety, lecz obecnie nie była w stanie jej uniknąć: Z trudem przeszła do fotela zamontowanego na pokładzie obserwacyjnym. Jeśli płód jest już tak duży w siódmym miesiącu, co będzie tuż przed rozwiązaniem? – pomyślała i krzywiąc się podniosła wzrok na ogromny, wypełniony gazem balon ponad głową.

Podróż powietrzna za sprawą sprzyjających wiatrów zabrała tylko dwadzieścia godzin. Brawne przespała jej część, lecz większość czasu spędziła obserwując znajome krajobrazy.

Późnym rankiem minęli śluzy Karla. Dziewczyna uśmiechnęła się wtedy i położyła dłoń na paczce przeznaczonej dla konsula. Gdy po południu zbliżyli się do portu rzeczno-ego w Naiad, z wysokości tysiąca metrów Brawne dostrzegła pękatą barcę pasażerską ciągnioną przez płaszczki. Przez chwilę zastanawiała się, czy przypadkiem nie jest to „Benares”.

Przelecieli nad Rozpadliną, w czasie gdy w mesie podawano kolację, gdy zaś słońce niknęło za horyzontem, znaleźli się nad Trawiastym Morzem. Brawne zabrała kawę na ulubiony fotel i patrzyła na bezmiar traw, z tej wysokości przypominający ogromny stół bilardowy. Zanim jeszcze włączono oświetlenie, jej cierpliwość została nagrodzona widokiem wiatrowozu sunącego z północy na południe, z zapalonymi latarniami na dziobie i rufie. Wychyliwszy się, wyraźnie usłyszała skrzypienie potężnego koła i łopot żagli.

W kabinie czekało już na nią zasłane łóżko. Przebrała się do snu, ale po przeczytaniu kilku wierszy wróciła na pokład obserwacyjny. Pozostała tam aż do świtu, drzemiąc w fotelu i oddychając powietrzem przesyconym zapachem świeżej trawy.

Zacumowali w Porcie Pielgrzyma, by uzupełnić zapasy żywności, wody i balast oraz wymienić załogę, ale Brawne nie chciało się opuszczać pokładu sterowca. Po godzinie wystartowali i powoli zbliżali się do Gór Cugielnych, lecąc ponad linią naziemnej kolejki.

Było ciemno, gdy pokonywali pasmo górskie. Wcześniej zjawił się steward, by zamknąć długie okna przed wzniesieniem się na wyższy pułap. Nawet z tak dużej wysokości dziewczyna widziała oświetlone wagoniki, sunące od szczytu do szczytu i lodowce odbijające blask gwiazd.

O świcie przelecieli nad Basztą Chronosa. Wreszcie oczom dziewczyny ukazał się pustynny płaskowyż, z bielejącymi ścianami Miasta Poetów. Skręcili ku wieży cumowniczej na wschodnim krańcu nowo powstałego portu kosmicznego.

Nie spodziewała się, by ktokolwiek wyszedł na spotkanie. Wszyscy wiedzący o jej przylocie sądzili, że zjawi się później, śmigaczem, wraz z Theo Lanem. Ale doszła do wniosku, że podróż sterowcem da jej więcej czasu na rozmyślania, więc wybrała ten środek transportu.

Jednak zanim jeszcze zamocowano cumy i podciągnięto trap, w niewielkiej grupce dostrzegła konsula. Obok niego stał Martin Silenus, śmiesznie marszczący czoło i wykrzywiający twarz, broniąc się przed promieniami świecącego prosto w oczy słońca.

– Niech cię licho, Stan – mruknęła Brawne, uświadamiając sobie, że to właściciel „Cicero” musiał za pomocą niedawno uruchomionej łączności satelitarnej powiadomić przyjaciół o zmianie jej planów.

Konsul uściśnął dziewczynę na powitanie, Martin Silenus zaś ziewnął, wziął ją za rękę i mruknął:

– Chyba nie mogłaś już znaleźć mniej odpowiedniej pory na przyjazd.

Wieczorem odbyło się przyjęcie. Powodem był nie tylko odlot konsula. Wraz z nim



w drogę wyruszały niedobitki floty Armii i część roju Intruzów. Tuzin promów stał obok statku konsula, podczas gdy Intruzi po raz ostatni odwiedzali Grobowce Czasu, a oficerowie Armii składali hołd Kassadowi.

Miasto Poetów liczyło sobie niemal tysiąc stałych mieszkańców. Wielu spośród nich było artystami i literatami, choć Silenus twierdził, że to tylko pozerzy. Dwukrotnie usiłowali wybrać Martina na swego burmistrza, lecz odmawiał, klnąc wszystkich w żywy kamień. Nie przeszkadzało mu to jednak w kierowaniu odbudową miasta, rozstrzyganiu wszelkich sporów i organizowaniu codziennego życia mieszkańców. Miasto Poetów przeostało być martwymi minami.

Niemniej poeta nieustannie powtarzał, że łączny iloraz inteligencji mieszkańców był większy, gdy nie było tu żywej duszy.

Bankiet odbył się w odbudowanym pawilonie jadalnym. Potężna kopała aż drżała od wybuchów śmiechu słuchaczy, gdy Martin Silenus czytał sprośne wierszyki, a inni artyści odgrywali zabawne scenki i recytowali własne utwory. Oprócz konsula, Silenusa i Brawne przy okrągłym stole zasiadło także sześciu Intruzów, wśród których byli Wolny Człowiek Ghenga i Coredwell Minmun, a także Rithmet Corber III. Pełen skruchy Theo Lane przybył mocno spóźniony i gdy podano deser, podzielił się z biesiadnikami najnowszymi dowcipami przywiezionymi wprost z Jacktown. Powszechnie upatrywano w nim najpoważniejszego kandydata do zwycięstwa w wybojach na burmistrza stolicy. Zarówno tubylcy, jak i Intruzi nie mieli nic przeciwko jego kandydaturze, a i sam zainteresowany wyraził gotowość podjęcia się takiego zadania.

Po kilku toastach konsul zaprosił paru najbliższych przyjaciół na swój statek, na mały kocert i dodatkową lampkę wina. Brawne, Martin i Theo zajęli miejsca na balkonie obserwacyjnym. Konsul rozpoczął koncert od Gershwina, zagrał Studeriego, Brahmsa, Lusera, Beatlesów, ponownie Gershwina i zakończył wspaniałym koncertem fortepiano-woy c – moll nr 2 Rachmaninowa.

Siedząc w półmroku, patrząc na miasto oraz dolinę i popijając wino, rozmawiali do późna.

– Co spodziewa się pan znaleźć w Sieci? – zapytał Theo swego nauczyciela. – Anarchię? Władzę tłumy? Powrót do epoki kamienia łupanego?

– Wszystko to i zapewne znacznie więcej – odparł z uśmiechem konsul. Zakręcił resztką brandy w kieliszku. – Mówiąc poważnie, wiadomości docierające do nas przed zerwaniem linii FAT pozwalają sądzić, że znaczna większość światów, pomimo poważnych problemów, powinna dać sobie radę.

Były gubernator generalny w zamyśleniu wolno obracał w dłoniach kieliszek z winem.

– Jak sądzicie, z jakiego powodu linia FAT przestała działać?

Martin Silenus parsknął głośno.

– Boga zmęczyło wypisywanie grafitti na ścianach jego domeny.

Wspominali starych przyjaciół i wspólnie zastanawiali się, jak radzi sobie ojciec Dure. Z ostatnich przekazów dowiedzieli się o jego wyborze i nowych zadaniach. Wspomnieli też o ojcu Hoycie.

– Ciekawe, czy Hoyt automatycznie zostanie papieżem po śmierci Dure – rzekł konsul.

– Wątpię – stwierdził Theo. – Ale przynajmniej będzie miał szansę pożyć trochę, oczywiście jeśli ten krzyżozształt na ciele ojca Dure zadziała.

– Może przypomni sobie o swej bałałajce – mruknął Silenus, uderzając w struny. W półmroku stary poeta wyglądał jak prawdziwy satyr.

Wspominali Sola i Rachelę. W ciągu ostatnich sześciu miesięcy setki ludzi próbowały wejść do Sfinksa. Udało się to tylko jednemu – spokojnemu, zrównoważonemu Intruzowi imieniem Mizenspesht Ammenyet.

Eksperci Intruzów spędzili miesiące na badaniu grobowców i resztek stale zanikających prądów czasu. W kilku odkryto hieroglify i pismo klinowe, doprowadziło to do powstania wielu teorii na temat funkcji, jakie niegdyś spełniały te budowle.



Sfinks stał się jednokierunkowym portalem do przyszłości, jak powiedziała Rachel/Moneta. Nikt nie wiedział, co stanowi klucz umożliwiający jego przekroczenie, ale wszyscy odwiedzający grobowce próbowali szczęścia. Nie udało się ustalić losu Sola i jego córki. Pozostały po nich tylko wspomnienia.

Brawne, konsul i Martin Silenus wzniesli toast za pomyślność Sola i Racheli.

Nefrytowy Grobowiec wydawał się mieć coś wspólnego z ogromnymi gazowymi planetami. Jego portal nie przepuszczał nikogo, ale codziennie próbowali przezeń przejść grupy egzotycznych Intruzów, przystosowanych do życia w atmosferze Jowisza. Eksperci Intruzów i Armii doszli do wspólnego wniosku, że Grobowce Czasu nie były transmiterami, lecz jakimś zupełnie innym rodzajem kosmicznych połączeń. Ale turyści nie przyjmowali tego do wiadomości.

Obelisk pozostał mroczną, nie rozwiązaną tajemnicą. Wciąż emanował światłem, lecz wejście do niego zniknęło. Intruzi przypuszczali, że w środku nadal znajdowała się armia Chyżwarów. Martin Silenus zaś stwierdził, iż to jedynie symbol falliczny. Zrodziły się też podejrzenia, że budowla może mieć jakiś związek z templariuszami.

Brawne, konsul i Martin Silenus spełnili kolejny toast za Prawdziwy Głos Drzewa, Heta Masteena.

Również pozbawiony wejścia Kryształowy Monolit stał się miejscem wiecznego spoczynku Kassada. Napisy wyryte w kamieniu opowiadały o walce i wielkim wojowniku z przeszłości, który sprawił, że możliwe stało się pokonanie Władcy Bólu. Młodzi rekruci z jednostek znajdujących się na orbicie opowiadali o nim jako o wzorze żołnierza. Legendy o Kassadzie wkrótce dotrą do najdalszych zakątków Sieci, gdy wojska opuszczą Hyperiona.

Zebrani wypili więc następny toast za Fedmahna Kassada. Otwarte wejścia dwóch Grobowców prowadziły donikąd. Ale poprzez trzeci można było dostać się do nieznanych labiryntów. Po zaginięciu kilku badaczy ustalono, że leżą one w innym czasie, może nawet setki tysięcy lat w przeszłości lub przyszłości. Z uwagi na wynikające z tego zagrożenia grobowiec został więc zamknięty dla zwiedzających.

Brawne, konsul i Martin Silenus pili także za zdrowie i powodzenie Paula Dure i Lenara Hoyta.

Pałac Chyżwara pozostał niezgłębioną tajemnicą. Gdy Brawne w towarzystwie przyjaciół pojawiła się tam kilka godzin później, postumentów z ciałami już nie było. Wnętrze grobowca wróciło do zwykłych rozmiarów, tylko w jego centrum jaśniał krąg światła. Wszystko, co znalazło się w jego obrębie, natychmiast zniknęło. Bezwrotnie.

Badacze zamknęli Pałac Chyżwara i zajęli się odczytywaniem ledwie widocznych napisów na jego zewnętrznych ścianach. Większość z nich zatarł czas, więc udało się odcyfrować zaledwie trzy słowa, wszystkie w staroziemskiej łacinie: „Koloseum”, „Rzym” i „zasiedlenie”. Momentalnie rozeszła się wieść, iż portal stanowi połączenie ze Starą Ziemią, a ofiary cierniowego drzewa zostały przetransportowane właśnie tam.

– Widzisz – rzekł Martin do Brawne – gdybyś się tak cholernie nie śpieszyła, żeby mnie stamtąd zabrać, może wróciłbym do domu.

Theo Lane pochylił się w ich stronę.

– Naprawdę gotów byłbyś wrócić na Starą Ziemię?

Poeta uśmiechnął się jak stary zboreźnik.

– W ciągu tysiąca najbliższych pieprzonych lat na pewno nie. Kiedy tam mieszkałem, było cholernie nudno. Teraz na pewno też. To tutaj dzieją się ważne rzeczy. – Silenus wznosił toast za własne zdrowie.

Brawne uświadomiła sobie, że to prawda. Hyperion stał się miejscem kontaktu Intruzów z mieszkańcami byłej Hegemonii. Grobowce Czasu zapewnią mu stały napływ turystów, a co za tym idzie i rozwój handlu, nawet w świecie pozbawionym transmiterów. Spróbowała wyobrazić sobie przyszłość taką, jaką widzieli ją Intruzi, z wielkimi flotami udającymi się do miejsc, gdzie nigdy dotychczas nie stanęła ludzka stopa. Dotrą tam już zupełnie inni ludzie, przystosowani do życia na asteroidach, gazowych olbrzy-



mach albo planetach przypominających Marsa lub Hebron przed rekultywacją. Niełatwo było wyobrazić sobie takie zmiany. W owym wszechświecie żyć będzie jej dziecko... i wnuki.

– O czym myślisz, Brawne? – zapytał konsul, przerywając milczenie.

Odpowiedziała uśmiechem.

– O przyszłości – odparła. – I o Johnnym.

– Ach tak, o tym poecie, który mógł być Bogiem, ale uparł się nim nie zostać – rzekł Silenus.

– Jak sądzicie, co stało się z tym drugim wcieleniem Keatsa? zapytała dziewczyna.

Konsul machnął ręką.

– Nie widzę możliwości, by mógł przetrwać rozpad TechnoCentrum. A ty?

Brawne pokręciła głową.

– Jestem po prostu zazdrosna. Wielu ludzi go spotkało. Nawet Melio Arundez widział się z nim w Jacktown.

Wzniesli toast za Melio, który odleciał przed pięcioma miesiącami pierwszym statkiem Anni zmiernym w stronę Sieci.

– Wszyscy go widzieli. Tylko nie ja – stwierdziła Brawne i popatrzyła na swój kieliszek. Uznała, że należy wziąć jeszcze jedną prenatalną pastylkę antyalkoholową. Czuła bowiem lekki szum w głowie. Lepiej dmuchać na zimne i nie narażać dziecka na żadne niebezpieczeństwa.

– Wracam już – oświadczyła wstając. Ucisnęła konsula. – Muszę jutro wcześniej wstać, żeby popatrzeć, jak startujesz.

– Jesteś pewna, że nie chcesz spędzić nocy tutaj, na statku? – zapytał konsul. – Z kabiny gościnnej roztacza się wspaniały widok na dolinę.

Dziewczyna zaprzeczyła ruchem głowy.

– Wszystkie swoje rzeczy mam w Mieście Poetów.

– Na pewno zobaczymy się przed odlotem – zapewnił konsul i jeszcze raz wziął ją w ramiona. W oczach Brawne zaśniły łzy.

Martin Silenus odprowadził ją aż do miasta. Zatrzymali się w oświetlonej galerii przed miejscem zakwaterowania.

– Naprawdę wisiałeś na drzewie, czy tylko wydawało ci się to, gdy spałeś w Pałacu Chyżwara? – zapytała.

Poeta tym razem nie szydził. Dotknął piersi w miejscu, gdzie przesywał ją stalowy ciem.

– Czy byłem chińskim filozofem śniącym, że jest motylem, czy motylem śniącym, że jest chińskim filozofem? O to pytasz, dziecko?

– Tak.

– No cóż. Przebywałem jednocześnie i tu, i tam. Oba miejsca były rzeczywiste. I w obu cierpiałem. Wiedz, że zawsze będę cię szanować i kochać za udzieloną pomoc i ratunek, Brawne. Dla mnie zawsze pozostaniesz tą, która potrafiła chodzić w powietrzu. – Schwycił jej dłoń i ucałował. – Wchodzisz?

– Nie, pospaceruję jeszcze chwilę po ogrodzie. Silenus zawahał się.

– Chyba możesz. Mamy tu patrole mechaniczne i złożone z ludzi, a nasz Grendel – Chyżwar nie pojawił się od pamiętnych zdarzeń... ale na wszelki wypadek bądź ostrożna.

– Nie zapominaj, że to ja go pokonałam. Wszystko co złe zamieniam w szkło i już.

– Dobrze, ale nie opuszczaj ogrodu, dziecko.

– W porządku – mruknęła Brawne i dotknęła brzucha. – Będziemy ostrożne.

Czekał w ogrodzie; w ciemnym miejscu, którego kamery nie obejmowały swym zasięgiem.

– Johnny! – wykrzyknęła Brawne i rzuciła się biegiem kamienną ścieżką.

– Nie – powiedział i smutno pokręcił głową. Wyglądał identycznie jak Johnny. Miał



także kasztanowe włosy, migdałowe oczy, wyraźnie zarysowane kości policzkowe i łagodny uśmiech. Był ubrany dość dziwnie, w grubą skórzaną kurtkę z szerokim pasem, ciężkie buty i futrzaną czapę, którą zdjął, gdy się zbliżyła. W dłoni trzymał gruby kij, na którym się wspierał.

Brawne zatrzymała się zaledwie metr przed nim.

– Oczywiście – szepnęła. Wyciągnęła rękę, ale napotkała jedynie pustkę. Wiedziała jednak, że nie ma do czynienia z hologramem.

– Wciąż docierają tu pola metasfery – wyjaśnił przybysz.

Odruchowo przytaknęła, nie mając pojęcia, o czym mówi.

– Jesteś tym drugim Keatsem? Bliźniakiem Johnny'ego?

Zapytany uśmiechnął się i wyciągnął dłoń, jakby chcąc dotknąć jej brzucha.

– Jestem więc jej wujkiem, prawda?

Pokiwała głową.

– To ty uratowałeś niemowlę... Rachelę?

– Widziałś mnie?

– Nie, ale wyczuwałam twoją obecność. – Zawahała się na moment. – To nie o tobie mówił Ummon... To nie ty uosabiasz Współczucie będące częścią ludzkiego Najwyższego Intelaktu?

Zaprzeczył ruchem głowy. Jego loki załśniły w półmroku.

– Odkryłem, że jestem Tym, Który Poprzedza. Przygotowuję pole dla Tego, Który Naucza. Obawiam się, że moim jedynym sukcesem było odebranie dziecka Chyżwarowi, choć sam nie dałem już rady wynieść go ze Sfinksa.

– Więc nie pomogłeś mi... z Chyżwarem?

John Keats roześmiał się.

– Nie. Moneta też nie miała z tym nic wspólnego. Wszystko zrobiłaś zupełnie sama, Brawne.

Z niedowierzaniem pokręciła głową.

– To niemożliwe.

– Ale to prawda. – powiedział miękko. Jeszcze raz wyciągnął rękę i dziewczynie wydało się, że czuje jego dotyk na brzuchu. – Nietknięta oblubienica ciszy, wychowanka ciszy i wolno płynącego czasu... – Podniósł wzrok na Brawne. – Przecież matka Tego, Który Naucza, też ma nadprzyrodzone zdolności.

– Matka... – wyszeptała dziewczyna. Zakręciło jej się w głowie, aż musiała usiąść na pobliskiej ławeczce.

– Właściwie Tej, Która Naucza, bo urodzisz dziewczynkę – ciągnął Keats. – Nie mam pojęcia, co będzie głosić, ale jej nauki odmienią wszechświat i pozostaną aktualne na dziesiątki tysięcy lat.

– Moje dziecko? – wyszeptała Brawne, z trudem łapiąc oddech. Dziecko moje i Johnny'ego?

Osobowość Keatsa poskrobała się po policzku.

– Połączenie ludzkiego ducha i logiki Sztucznych Inteligencji, którego Ummon i całe Centrum poszukiwali tak długo i zginęli nie zrozumiałwszy jego istoty – wyjaśnił i zrobił krok naprzód. – Chciałbym bardzo być przy niej, gdy zacznie nauczać. Popatrzeć, jaki wpływ wywrze na świat. Na ten i inne.

Prawda z trudem docierała do umysłu dziewczyny, lecz w słowach Keatsa wyczuła coś niepokojącego.

– A gdzie będziesz? Coś ci zagraża?

Keats westchnął ciężko.

– TechnoCentrum przestało istnieć. Datasfery są zbyt małe nawet dla mnie... Mógłbym przyłączyć się do SI na statkach Armii, ale nie chcę. Nigdy nie zgodziłbym się, by ktoś wydawał mi polecenia.

– I nie ma nic więcej?

– Jest metasfera – odparł oglądając się przez ramię. – Ale tam czają się lwy, tygry-



sy i niedźwiedzie. A ja nie jestem jeszcze gotowy.

– Mam pewien pomysł – powiedziała Brawne. Z zapalem tłumaczyła, co właśnie przyszło jej do głowy.

Wizerunek ukochanego podszedł do niej, objął przenikającymi materię ramionami i szepnął:

– Jesteś wspaniała.

Ponownie wycofał się w cień.

Dziewczyna opuściła wzrok.

– Jestem zwykłą kobietą w ciąży. Ta, Która Naucza... Jesteś archaniołem przynoszącym dobrą nowinę. Jakie więc imię powinnam jej dać?

Nie usłyszała żadnej odpowiedzi. Uniosła głowę.

W cieniu nie było już nikogo.

Brawne znalazła się w porcie kosmicznym, zanim jeszcze wzeszło słońce. Zgromadzeni przyjaciele nie byli w dobrych nastrojach. Nie wynikały one wyłącznie z faktu pożegnania. Po prostu męczył ich kac, ponieważ na odciętych od Sieci Hyperionie już dawno skończyły się pigułki zabezpieczające przed nim. Tylko Brawne czuła się dobrze.

– Cholerny komputer statku zachowuje się dziś jakoś dziwnie mruknął konsul.

– Jak to? – zapytała dziewczyna z uśmiechem. Konsul popatrzył na nią krzywo.

– Kazałem mu zająć się przygotowaniami do startu, a ta głupia maszyna odpowiedziała mi wierszem.

– Wierszem? – zdziwiony powtórzył Martin Silenus unosząc brwi.

– Tak... posłuchajcie... – konsul uruchomił komlog.

Dał się słyszeć dobrze znany Brawne głos:

*Oprócz tej wyspy inne jeszcze strefy?
I czym są gwiazdy? Jest i słońce! Słońce!
I przelagodna poświata księżycy!
A gwiazd tysiące! Pokażże mi drogę
Na którą z gwiazd tych pięknych, a ja na nią
Polecę razem z mą lirą i sprawię,
Że blask jej srebrny będzie drżał z rozkoszy...*

– Sztuczna Inteligencja nawaliła? Sądziłem, że to jedna z najlepszych poza Centrum.

– Bo tak jest. Pozostaje w pełni sprawna. Sprawdziłem ją dokładnie. Wszystko w porządku. Ale odpowiada... w ten dziwny sposób! Wskazał komlog.

Silenus zerknął na uśmiechającą się dziewczynę i przeniósł wzrok na konsula.

– No cóż, wszystko wskazuje na to, że twój statek został poetą. Ale nie przejmuj się. Będzie wypełniać ci czas podczas długiej podróży.

Zaległa cisza, którą przerwała Brawne wyciągając w stronę konsula dłoń trzymającą jakieś zawiniątko.

– To prezent – wyjaśniła.

Konsul zaczął je rozpakowywać, zrazu powoli, lecz ciekawość wzięła górę i zdecydowanym ruchem zerwał opakowanie. Oczom zgromadzonych ukazał się niewielki dywanik. Pogładził go dłonią, podniósł wzrok i rzekł drżącym z wzruszenia głosem:

– Gdzie... Jak ją znalazłaś...

Brawne uśmiechnęła się wesoło.

– Pewien tubylec natrafił na nią poniżej śluz Karla i usiłował sprzedać na targowisku w Jacktown, akurat gdy tamtędy przechodziłam. Nikt się tym nawet nie interesował.

Konsul odetchnął głęboko i ponownie przesunął dłonią po macie, na której dziadek Merin wybrał się na spotkanie z babcią Siri.

– Obawiam się, że już nie da się na niej latać – powiedziała dziewczyna.



- Zapewne wystarczy naładować włókna nośne. Nie wiem, jak ci dziękować...
- Nie trzeba. To na szczęście w czekającej cię podróży.

Konsul pokręcił głową, objął Brawne, uścisnął dłonie pozostałym i wjechał windą do wnętrza statku. Odprowadzający wrócili do terminalu.

Na lazurowym niebie nie było nawet najmniejszej chmurki. Odległe szczyty Gór Cugielnych lśniły w promieniach słońca. Zapowiadał się niezwykle piękny, ciepły dzień.

Brawne spoglądała na Miasto Poetów i dolinę. Nawet stąd widać było szeryfy najwyższych Grobowców Czasu. Zatrzymała wzrok na skrzydle Sfinksa.

Statek konsula zaczął wolno unosić się na pulsującym słupie idealnie niebieskiego ognia.

W myślach powtórzyła słowa czytanego niedawno poematu, stanowiące ostatni fragment najwspanialszego, niestety nie ukończonego dzieła:

*Młody Apollo, a włos jego cudny,
Jego złociste, przesławne kędziory
W falistych kłębach wiły się po karku.
A wśród męczarni takiej Mnemosyne
Trzymała nad nim ręce niby wieszczka.
Naraz Apollo zakrzyknął – i oto
Z jego niebiańskich kształtów...*

Poczuła ciepły podmuch rozwiewający jej włosy. Patrzyła w niebo machając ręką i czując łzy płynące po policzkach. Nie starała się ich ukryć. Ani na chwilę nie przestała machać, gdy statek unosił się coraz szybciej. Kiedy przekraczał prędkość dźwięku, potężny huk odbił się echem od odległych szczytów.

Machała, aż rozbolała ją ręka. Gestem tym pozdrawiała konsula, niebo, przyjaciół, których już nigdy nie zobaczy, swą przeszłość i statek przypominający strzałę wystrzeloną z boskiego łuku.

K O N I E C

DTP by SHADE

